PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK L. Tom 197.

STYCZEŃ — LUTY — MARZEC

1933

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Polska Wyspiańskiego.[1])

I rzekł Jezus Saduceuszom: Błądzicie, nie rozumiejąc Pism ani mocy Bożej... Nie jestci Bóg umarłych ale żyjących. (Mt. 22, 29—32.)

Było to w r. 1898. Stanisław Wyspiański bawiąc jeszcze we Francji, dzielił się listownie z Lucjanem Rydlem barwną wstęgą swych wrażeń i myśli. Z początkiem lipca tegoż roku wybrał się na kilka dni do Reims. Oczarowany widokiem słynnej katedry i podniesiony na duchu przedziwnym blaskiem związanych z nią wspomnień, wysyła do przyjaciela kilka dłuższych listów, w których opis zamienia się mimowoli w natchnioną poezję, a poezja rozdzwania się nakoniec cudowną modlitwą. Patrząc z zachwytem na postać Matki Najświętszej w portalu katedry, zrazu snuje wspomnienia przytomnej tu duchem Dziewicy Orleańskiej, ale wnet powraca myślą do Polski, do tej swojej Polski, która zawsze wypełniała mu całe serce. „Dziewico Przeczysta" — woła, porównując swój naród do bohaterskiej Oswobodzicielki Francji — daj nam Ty taką siłę zwycięską, tyle mocy niezmożonej, tyle wytrwałości do pracy! Wskrzesz w nas dusze tak silne jak długie są nasze cierpienia, tak wielkie, jak głębokie są nasze rany, tak płonące miłością, jak ten ogień straszny, w którym zgorzało to dziewczę. My przywiążemy się do pracy ciężkiej, my chcemy upadać pod jej ciężarem, aby dowieść naszej miłości, my spłonąć chcemy na stosie poświęceń dla kraju — na Twoją cześć, Marjo!

[1]) Kazanie na obchód 25 letniej rocznicy zgonu poety, powiedziane w kościele Franciszkanów w Krakowie dn. 26 listop. 1932.

Ale Ty pozwól nam widzieć, choćby w dzień naszej śmierci, w ostatniej choćby chwili zobaczyć tęczę przyszłości, jutrzenkę nowego życia. Niech ona zabłyśnie nam koroną promienną na Twojem czole dziewiczem — Ty Królowo naszej Ojczyzny, Królowo Polskiej Korony!"

Choć pisały się te słowa u samego progu jego działalności literackiej — w tej modlitwie maluje się już cały Wyspiański. Umiłowanie Ojczyzny tak płomienne, że przetapia go niejako w jedno z nią ciało i jednego ducha, ale to umiłowanie ma jedną cechę zupełnie osobliwą, że całą potęgą uczucia i woli wyrywa mu się z piersi do Ojczyzny jedynie ż y w e j i w o l n e j. On nie chce już tej Polski, która

Zepchnięta z życia Kapitolu
W porozbiorowej doliny otchłanie,

wiodła wśród narodów świata jakieś szczególne, ponadgrobowe, napół duchowe istnienie; On nie chce już Polski, rozpiętej na krzyżu i

Rozsmętnionej w czyścowych cierpieniach;

On chce jej wolnej, żywej, chce jej niepodległej, państwowo samoistnej i potężnej. A ta myśl i ta wola niepodległości Ojczyzny, wypracowywana w duszy w bólu i w walce z tysiącznemi powodami wątpienia, rośnie w nim i potężnieje i rozpala się coraz bardziej, aż do pochłonięcia wszystkich innych myśli i dążeń, a kiedy doszła już do szczytu napięcia — jeśli wolno użyć słów innego genjusza — wciska ją w swe twórcze pióro

Jak nabój w burzące działo,

aby wybuchła i wstrząsając umysły i serca, aby sprowadziła upragnione zmartwychwstanie.

Ale ten wybuch nie ma być rzuconem niebu wyzwaniem. Treścią jego nie jest

zemsta, zemsta na wroga,
z Bogiem, choćby mimo Boga,

lecz płomienne, niezmożone pragnienie, przechodzące często w prawdziwą modlitwę, żeby ta wyśniona rzeczywistość wyzwolenia przyszła nam od Boga, przez Boga i z Bogiem.

Jakby wsłuchał się w te słowa Chrystusowe, które położyłem na początku, że *Bóg nie jest umarłych ale żyjących*,

tak prosi i błaga i zaklina i spala sam siebie w ofiarnej modlitwie:

Niech się królestwo stanie
Nie krzyża, lecz zbawienia!
Daj nam o daj Jezu Panie
Twoją Polskę objawienia!

Dzieje tej myśli i woli w duszy Wyspiańskiego i niezrównany talent, który cały poświęcił jej służbie i niezaprzeczony wpływ, który twórczością swoją wywarł na odrodzenie Ojczyzny — to wszystko i wiele jeszcze innych pięknych rzeczy będą opowiadać inni i gdzieindziej. Na tem miejscu godzi się oddać ten tylko hołd prawdzie i hołd duszy wielkiego poety, żeby stwierdzić jasno i donośnie, że istotną częścią składową tak jego duchowego wnętrza, jak wspaniałej wizji przyszłości, którą on w tem wnętrzu swojem począł i wypieścił była wiara, i to nie inna wiara tylko chrześcijańska i katolicka, a przedziwnie mocna i szczera i głęboka.

Że Stanisław Wyspiański jako człowiek był prawdziwie i na serjo wierzącym, w to nie może wątpić nikt z tych, którym dane było bliżej z nim się zetknąć. Wystarczy przypomnieć tu długie chwile poważnej modlitwy, jakie spędzał w kościołach krakowskich, zwłaszcza w ulubionym kościele na Skałce, wystarczy zaznaczyć jak serjo pojmował obowiązki religijne, nawet wtedy, gdy żądały od niego niemałej ofiary, jak serce całe wkładał w pracę artystyczną dla świątyń Pańskich, jak oburzał się do głębi, gdy pewne ustępy jego dzieł próbowano w sensie niereligijnym wykładać, jak wreszcie pobożnie i po chrześcijańsku schodził z tego świata, zupełnie tak, jak sobie niegdyś wywróżył

Że umrzeć miał szczęśliwy,
Ściskając w ręku krzyż.

Ale to jest dopiero człowiek, ten dobry, szlachetny człowiek, którego osobistemu urokowi trudno było się oprzeć, ale człowiek tylko, a nie jest zawsze łatwo z zewnętrznego obcowania z człowiekiem przekonać się co naprawdę mieszka w jego wnętrzu. Wyspiański jednak z tego wnętrza swojego nie zrobił tajemnicy. On odsłonił przed

Polską całą swoje serce, i to w sposób tak szczery, tak wolny od szukania siebie, jak mało który inny pisarz. I wtedy dała dowód przedziwna jego twórczość, że ta wiara, którą wyznawał w prywatnem życiu, była istotnie treścią jego duszy, pokazało się, że ten ogromny, tytaniczny umysł, który, rzekłbyś, rozrywa wszystkie pęta i łamie wszystkie zapory, poddawał się jednak z dziecięcą prostotą więzom chrześcijańskiej wiary.

Na pobieżne choćby zestawienie religijnych motywów, któremi Wyspiański wzbogacił swe utwory, niepodobna tutaj się porywać. Możnaby odwrotnie zapytać gdzie jest jedno jego dzieło lub choćby fragment, w którym mogłyby znaleźć miejsce religijne czynniki a nie znalazły. Jak korzeń kwiatu wypowiada się nazewnątrz całemi pękami barwnych kielichów, tak z korzenia wiary w jego sercu wychodzą ustawicznie myśli i obrazy wiary, które z przedziwnem bogactwem i rozmaitością wplatają się w jego dzieła. Bóg, Chrystus, gorąco umiłowana Matka Najświętsza, święci, szczególnie polscy, aniołowie, cała wreszcie niewidzialna rzeczywistość nadprzyrodzonego świata — to wszystko snuje się jak nić złota przez całą jego twórczość. I owszem nie jest to tylko nić złota, ale złote tło mozaiki, na którem występują wszystkie jego postacie. On bez tego tła nie może tworzyć; duch jego potrzebuje koniecznie poza tem, co się dzieje na widzialnej scenie, głębokiej perspektywy niewidzialnych rzeczywistości wiary. Bo proszę tylko spróbować wyrwać z jego dzieł motywy i momenty religijne — co zostanie? karykatura tylko wielkiego arcydzieła, pokrzywione i połamane szczątki wspaniałej budowy, odarte z blasku tej myśli, która łączyła je w jedność i nadawała im głębokie znaczenie.

Ale to ogromne bogactwo religijnych pierwiastków, którem Wyspiański wzbogaca swe dzieła, może to forma tylko bez treści, może to konwencjonalne komunały i czysto dekoratywny czynnik, niczem nie związany z duszą artysty!

Żeby jednak takie pojęcie o rzeczy obalić, wystarczy chyba to jedno przeciwstawienie: Wyspiański i konwencjonalność! Wyspiański i czcza forma bez treści! To ten, co jakby młotem druzgotał wszelki fałsz i zakłamanie myśli,

On miałby ciągle w myśl swoją wprowadzać, to czego sam na serjo nie bierze? On co tak wysoko pojmował swe posłannictwo do narodu, co krwią swego serca chciałby był go wskrzesić do nowego życia, On miałby to podawać innym jako zadatek zmartwychwstania, czego sam swoją wiarą nie ożywił?

On modli się tak pięknie do Boga:

Bym tak miał z Ciebie siłę
Jak wierzę w Twoją wiarę!

A więc On, ten miłośnik i chwalca siły, ten spragniony nad wszystko mocy ducha, On nie waha się wiary i siły położyć na dwóch szalach, o których równowagę błaga w swej modlitwie! I to miałoby być czczem słowem tylko? To miałoby być pozbawioną prawdy wewnętrznej konwencją?

Nie potrzebujemy jednak poprzestawać na wnioskach i domysłach. Sam poeta nie pozostawił nas w wątpliwości co do szczerości swych myśli i uczuć, gdy nietylko pozytywnie o religijne czynniki opiera wielkie dzieło swojego ducha, ale i negatywnie na wiele sposobów poucza, że bez podwalin religijnych nie może się ostać ten gmach przyszłości narodu, który On z tak niezmiernym wysiłkiem i poświęceniem buduje.

Kogóż nie uderzyła i zawsze na nowo nie przejmuje ta potężna scena *Wesela*, w której z dziennikarzem rozmawia zjawa Stańczyka! Z jednej strony pod czerwonem, błazeńskim odzieniem zdrowie i siła i surowa, bezwzględna prawda, nieubłagana w sądzie nad zwyrodniałością serc i umysłów; z drugiej strony bezsilna dusza, przeżarta zwątpieniem i znieprawiona rozpustą życia, dusza, która chce już wszystko porzucić.

I te nasze polskie posty
Dusz do polskich świętych
I te nasze tęczowe mosty
Czułości nad pustką rozpiętych
Malowanki Częstochowskie
W koronach — i wszystkie wiary!

Ale czy może być surowsza chłosta tych kierunków myśli i uczuć, jak ta, którą tu Poeta wymierza,

Naści; rządź!
Masz tu kaduceus polski

Mąć nim wody, mąć!
Kłam sercu, nikt nie zrozumie
Hasaj w tłumie!
Mąć tę narodową kadź,
Serce truj, głowę trać!

I czy nie jest wymowne to wyznanie, które wyrywa z ust tego przedstawiciela schorowanej myśli dzisiejszej:

Nie widzę, nie widzę dróg,
Zaćmił mi się Bóg?

I któż nie poczuje, w tej samej rozmowie, jak drgają całą mocą oburzenia te słowa któremi Poeta piętnuje wszelkie próby wprowadzenia do myśli polskiej cynizmu i wyuzdania:

Znam ja co jest serce targać
Gwoździmi, co się w serce wbiły
Biczem własne szarpać ciało
Plwać na zbrodnie, lżyć złej woli
Ale Świętości nie szargać
Bo trza, żeby święte były
Ale Świętości nie szargać
To boli.

A niemniej wymownie i w tem też się przedstawia prawdziwa myśl i wiara Poety, że tam dopiero i wtedy dostaje się naród pod władzę jakichś ciemnych, wrażych potęg, które pętają mu siły i zatruwają serce, gdy zginął, gdy rozprysł się, gdy zapadł się „złoty róg" przysłany od Boga i dźwięczący pobudką Bożego „Słowa".

Nie, nie może być żadnej wątpliwości co Wyspiański myślał o roli wiary w życiu odrodzonego narodu. Cały prześliczny symbolizm w który przystraja fakt i przebieg dokonywującego się zmartwychwstania składa się niemal wyłącznie z religijnych motywów. Od Boga, od „jasnego Boga" wychodzi to „Słowo" i ten rozkaz, który podany z nieba złoty róg ma wydzwonić, by wskrzesić do nowego życia umarłych. Ożywić tych wskrzeszonych ma nie inny duch jeno duch Chrystusowy, do Chrystusa bowiem wznosi się pokorna modlitwa:

Jest tyle sił w narodzie
Jest tyle, mnogo ludzi
Niechże w nie duch Twój wstąpi
I śpiące niech obudzi.

A jeśli chodzi o ustawę zasadniczą odrodzonego państwa, to

Matka Boska w koronie
Na wawelskim, królewskim tronie
Siedząca manifest pisze;
Skrypt co kraj cały obleci
I tysiące obudzi i wznieci.

Słudzy zaś i pomocnicy tego nowego królestwa, to na ziemi, ludzie z ryngrafem Marji na piersiach, a w niebie całe zastępy aniołów i świętych. Bo głównem przeznaczeniem wskrzeszonej Ojczyzny

Straż polska u Bożych znaków,

to wielkie dzieło królestwa Bożego na ziemi, dla którego wódz narodu nie gdzieindziej, tylko w Rzymie szuka zbawczego błogosławieństwa.

Czy to wszystko tylko wyobraźnia poetyczna, czy to są wiotkie rojenia wyśnionej pobożnie legendy?

Trzebaby zgoła nie znać i nie rozumieć Wyspiańskiego, żeby nie odczuć, że przez te wszystkie symbole nie co innego się wypowiada, tylko ta żywa, głęboka wiara, którą on wyznawał całem swem życiem. Tę wiarę tu i ówdzie, na małą chwilę przesłaniają przelotne cienie, jak w pogodne nawet dni, lekkie mgiełki czepiają się nieraz skalnych tatrzańskich szczytów, ale co do treści swej i źródeł i celów są to te same wierzenia, które wydzwaniają co rano wszystkie wieże krakowskich kościołów, te same, które gromadzą u stóp ołtarzy ową szarą biedotę, w której tłum tak często mieszał się wielki Poeta, te same, które wiarą, nadzieją i miłością od wieków obejmowała katolicka Polska.

I tu już dochodzimy do najgłębszych źródeł tej wielkiej, tej żywej religijności, jakiej pełna była dusza natchnionego piewcy naszego zmartwychwstania. Swem polskiem, typowo polskiem sercem Wyspiański jak mało kto drugi odczuł i właściwy sens polskich dziejów i istotną treść zbiorowej polskiej duszy. I jak wyniósł z tego zrozumienia przekonanie, że „Polska to wielka rzecz", tak też zrozumiał, że jej wielkości najistotniejszym składnikiem jest i musi być jej wierność Bogu, jej żywa katolicka wiara. Chcieć tą wiarę z serca Polski wyrwać, czy tylko ją osłabić, jest to tyle, co

wyrwać sam rdzeń narodowego drzewa, zamieniając je tem samem w to, czemu grozi Poeta

Że gdy na nie wichry dmuchną
Rozleci się zgasłe próchno.

Tutaj też leży właściwy powód, dla którego Wyspiański tak usilnie, tak natarczywie wprowadza religijny pierwiastek w życie odrodzonej Polski. Nie dane mu było wprawdzie oczyma własnemi oglądać odrodzonej Ojczyzny, ale on wieszczym swym duchem bezwątpienia wyczuł, że jesteśmy już u progu zmartwychwstania. Wyczuł wszakże i zrozumiał jedno jeszcze, co przed nim tak wspaniale wywróżył Krasiński, że ta nowa, wskrzeszona Polska znajdzie się zrazu — bo nie mogło być inaczej — jakby na wąskim przesmyku między Królestwem Bożem a tą otchłanią, w której niema już Boga ni wiary, tylko nienawiść i wzgarda wszystkiego co święte. Nie mogło być inaczej — bo przyszliśmy napowrót do życia u schyłku epoki, nad miarę pełnej przeczeń i bluźnierstw i o świcie dopiero, nie w jasnym dniu chrześcijańskiego odrodzenia. Przeczuł więc Wyspiański — świadectwem choćby burzliwa żegluga ostatniej sceny Legjonu — że o nawę tej zmartwychwstałej Ojczyzny będą uderzać wichry przeróżnych pokus i złowrogie fale, w tym celu miotane mocami ciemności, by światło wiary zatopić w niej i zgasić. I w tej myśli, chcąc ostrzec swój naród przed największem i najzgubniejszem nieszczęściem, upomina i zaklina i woła całą mocą swego ducha i całem płomiennem ukochaniem swego serca, że powołanie i życie wskrzeszonego narodu nie może ziścić się inaczej, tylko od Boga, przez Boga i z Bogiem.

Gdyś jeszcze był pomiędzy nami, wielki wieszczu nowego narodowego życia, zadawałeś sobie prześliczne pytanie:

O któryż jestem żywy
Czy ten, co leci wzwyż
Czy ten, co zmarł szczęśliwy
Ściskając w ręku krzyż?

Na to pytanie my dziś możemy dać odpowiedź. Byłeś żywy i byłeś wielkim twórcą życia, gdyś żył wśród nas i dzierżył dany ci od Boga „złoty róg" olbrzymiego talentu i kiedyś

dzwonił na nim tak potężnie na zmartwychwstanie serc i umysłów i sumień. Byłeś żywy i zostaniesz żywy, bo takie duchy jak twój nie giną i nie maleją z oddaleniem, ale wciąż rosną w perspektywie dziejów.

Ale jesteś żywym i inaczej, nietylko w naszej myśli i pamięci. Ty wielki piewco życia już dziś pojmujesz, że *nie jestci Bóg umarłych ale żyjących* bo stoisz żywy na wieki — ufamy w to mocno — przed tronem Bożym. O wstawiaj się tam za Ojczyzną, którą tak umiłowałeś na ziemi. Niech wśród wszystkich burz, które na nią uderzą tej prawdy nie zapomni, którąś Ty jej tak potężnie wyśpiewał, że tylko przez Boga i z Bogiem żyć będzie i niech ta prawda umocni ją na zawsze na drodze wielkości i pokoju. Amen.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

U dna zagadnień ekonomicznych.

Droga, którą się kształtował światopogląd społeczny, była zgoła odmienna na Wschodzie i na Zachodzie Europy. Rzym starożytny stworzył zasadę, że jednostka ludzka rodzi się wolną, a wolność jej ograniczają jedynie konieczności, płynące ze współżycia społecznego. Inaczej mówiąc: dozwolone jest jej wszystko z wyjątkiem tego, co ustrój społeczny (prawa państwa, władza monarsza, czy władza narodu) jej zabrania. Ta zasada tworzyła filozoficzne podłoże prawodawstw wszystkich państw, jakie po upadku Rzymu stopniowo wyrastały na całym zachodnim obszarze Europy od Gibraltaru po Dniepr i Dźwinę.

Od tej linji zaczynała się Europa wschodnia — potężne państwo carów, w którego granicach skrzyżowanie szczepów słowiańskich z Chazarami i Waregami, wpływy kultury bizantyjskiej, zalew tatarski i jego trzywiekowe jarzmo, złożyły się na wytworzenie powierzchownie europejskiego, ale odrębnego świata, obcego kulturze łacińskiej. Zjawiła się w nim jakaś umysłowość swoista, z której wyrosła podstawa prawodawstwa diametralnie przeciwna łacińskiej: człowiek rodzi się niewolnikiem bez praw, a nadaje mu je car, i to mu tylko wolno, na co mu car zezwala.

Ta zasada, przeciwna naturze ludzkiej, zrodzić musiała z konieczności bunt myśli, tłumiony przemocą przez kilka wieków. Gdy więc wreszcie naród niewolników obdarzono „wolnością" — prawem wypowiadania swych pragnień i poglądów w Dumie, ukonstytuowanej w 1906-ym roku, to upajał się on tem wypowiadaniem z lubością. Ludzie zebrani w parlamencie dla radzenia o sprawach państwa roztrząsali filozoficzne zagadnienia zasadnicze i czynili wrażenie inży-

nierów, którzy, powołani do budowy dróg żelaznych i mostów, popisują się cytowaniem geometrycznych twierdzeń i trygonometrycznych wzorów. Słowa „zagadnienie zasadnicze" stały się hasłem rozbrzmiewającem z trybuny dumskiej.

Jakież to było niepoważne w oczach narodu parlamentarzystów, którzy od wieków nietylko radzili nad sprawami Rzeczypospolitej, ale o nich stanowili! Jak śmiesznem i dziecinnem wydawało się ludziom Zachodu, przywykłym do operowania w sprawach społeczno-gospodarczych całemi kompleksami myślowemi, dyskutowanie o znaczeniu pojęć zasadniczych już oddawna przetrawionych.

Atoli przyszedł wstrząs i zachwiał uporządkowanym gmachem już nietylko stosunków, ale nawet i pojęć. I nie Wschód, lecz właśnie Zachód woła dziś o nową ideę, a zagadnienie bardziej zasadnicze nad jej poszukiwanie istnieć chyba nie może? Wypadałoby więc przyznać, że na tem polu świat zachodni trochę za pochopnie ironizował wschodnią psychikę, która zawczasu odczuła potrzebę rewizji zagadnień zasadniczych. Zresztą nie w tem tylko, ale i w samym kierunku owej rewizji Zachód jakby kapitulował wobec Wschodu. Bo oto już nie jakaś zgłodniała, zrozpaczona, a ciemna masa; już nie fanatycznie zaślepieni demagodzy, ani sprytni agenci przewrotów politycznych, ale ludzie światli, trzeźwi i poważni wygłaszają pogląd, że przyczyn katastrofy należy szukać w kapitalizmie i liberalizmie gospodarczym, że autonomiczna swoboda jednostki, jej prawa i byt gospodarczy wolny, są zasadami przebrzmiałemi, że znaczenie posiada jedynie całość organizmu społecznego, a nie jednostka, będąca tylko jego komórką.

W takim kierunku nurtują dziś te „principjalne" zagadnienia umysły zachodnie, którym to jednak wcale nie przeszkadza potępiać wschodni komunizm. Coprawda to potępia się go już znacznie spokojniej, niż przed dziesięciu laty. Przyglądamy się mu raczej w całej Europie z pewnem zaciekawieniem. Przywykło się do istnienia sowieckiego państwa i zaczynamy już zastanawiać się nad tem, czy należy potępiać jego komunistyczne zasady, czy może tylko bolszewickie metody wprowadzania ich w życie.

W wołaniu o nową ideę, co w brzmieniu wyraźniej-

szem oznacza szukanie nowych form ustroju społeczno-gospodarczego, tkwi dążenie, do którego na zachodzie wstydzimy się przyznać otwarcie, lub może nie mamy odwagi nazwać go po imieniu. Bo czemże są owe ogólnikowe twierdzenia o przeżyciu się kapitalizmu, owe literacko-filozoficzne określenia jednostki ludzkiej jako bezosobowej komórki społecznego organizmu? Nie jestże to w gruncie rzeczy głoszenie tych samych komunistycznych haseł, które się tak niedawno potępiało? Czy wobec katastrofy, która trwa i staje się coraz bardziej nie do zniesienia, nie jest to przypadkiem nieśmiałe wyrażenie pragnienia, aby lepiej już raz wreszcie ten komunizm zapanował? Oczywiście nie tak po barbarzyńsku wprowadzony, jak w Rosji, z bezbożnictwem, prześladowaniem wiary, niszczeniem rodziny, deptaniem moralności, gardzeniem kulturą duchową i tradycjami.

Boć taki bolszewizm, czy neobolszewizm, czy jeszcze jakoś inaczej nazwany, ale w gruncie rzeczy zawsze na jednych i tych samych marksowskich zasadach oparty ustrój, to może pomysł wcale nie taki głupi? Przy obecnym niebywałym postępie wiedzy i techniki, jeśli nie jedna, to dwie lub trzy „piatiletki" wystarczą dla wyposażenia ludzkości w taką liczbę i tak sprawnych urządzeń przemysłowych wszelkiego rodzaju, źródeł wszelkiej produkcji, zakładów wychowawczych, naukowych, leczniczych, rozrywkowych, że leninowski ustrój społeczny zostanie urzeczywistniony jeszcze w oczach obecnych pokoleń. Przypomnijmy sobie jak ustrój ten ma w praktyce funkcjonować.

Oto świat, a choćby tylko jakieś samowystarczalne państwo, zostaje pod względem wytwórczości rolnej i przemysłowej tak intensywnie zorganizowane, że sześć, czy siedm lat pracy każdej zdrowej, dorosłej i odpowiednio wyszkolonej jednostki, by zabezpieczyć na całe życie zarówno wszelkie jej potrzeby własne, jak i potrzeby wypadającego na jej ciężar ułamka jednostki do pracy niezdolnej. Zostało to na podstawie statystyki obliczone z uwzględnieniem wszelkich potrzeb nietylko fizycznych, ale i duchowych jednostki kulturalnej. Owa sześcioletnia praca jest oczywiście powszechną i przymusową. Własność prywatna jednostki zostaje bezwzględnie zniesiona. Istnieje tylko używalność wypro-

dukowanych dóbr, a więc używalność przedmiotów względnie niezniszczalnych (domy, meble, sprzęty), oraz prawo spożywania i zużywania produktów i wyrobów na te cele przeznaczonych (produkty spożywcze, odzienie i t. p.). Jedynym i wyłącznym właścicielem ziemi, wszelkich nieruchomości i ruchomości, wszelkich wyprodukowanych zapasów, materjałów, towarów, słowem wszystkiego — jest państwo. Ono też jest jedynym producentem wszelkich wyrobów, oczywiście takich, jakie samo uzna za potrzebne dla składających je komórek ludzkich. Inne zaś wyroby wogóle istnieć nie będą, bo nikt ani sobie, ani nikomu nie będzie miał możności ich wytwarzać. Dla należytego funkcjonowania tej machiny, wytwórczość musi być we wszelkich kierunkach regulowana odpowiednio do uznanych przez państwo potrzeb, a równolegle z tem musi być regulowane szkolenie sił fachowych i roboczych, przeznaczonych do różnych gałęzi pracy i wytwórczości. Jednostka staje sie więc istotną komórką organizmu społeczno-państwowego, która wykonywa to, co jej każą, tak, jak każą i wtedy, kiedy każą. Otrzymuje też naukę i wyszkolenie nie według własnego wyboru, a według nakazu. Niewolnictwo takie trwa przez cały czas wychowania, szkolenia, nauczania i przez sześć lat przymusowej pracy. Potem jest już człowiek obywatelem wolnym, a przynajmniej zwolnionym od poprzednich przymusów i obowiązków względem państwa. Ono będzie go do końca życia utrzymywało; to znaczy, że wolno mu będzie odpowiednio do przeciętnych potrzeb człowieka, przez państwo określonych, korzystać ze wszystkiego, co państwo wytwarza. Nie wolno mu będzie tylko wytwarzać samemu tego, co zechce i tak, jak zechce, ponieważ ani ziemi, ani warsztatu nie będzie posiadał.

Obojętnem jest czy ustrój taki ochrzcimy mianem bolszewizmu, komunizmu, czy kapitalizmu państwowego. Nazwa ma tu znaczenie czysto akademickie, ponieważ zmonopolizowanie wszelkiego majątku, kapitału we wszelkich postaciach, w jednych tylko rękach państwa, równa się zniesieniu kapitału i prawa własności. Sprawa skali równej lub różnej, w jakiej obywatelom wolno byłoby z dóbr przez państwo wytwarzanych i posiadanych korzystać, jest drugo-

rzędną, jest sprawą ustaw. A nawet i to zagadnienie, czy ustawy takie stanowić będzie parlament jednakowo przez wszystkich obieralny, czy jakaś uprzywilejowana organizacja przedłużająca sama swoje trwanie, jest również drugorzędne. Wszystko to są formy zewnętrzne. Fundamentalną formą ustroju, ową ideą nową w stosunku do działającej dotąd, jest wykreślenie ze stosunków społecznych pojęcia kapitału i własności jednostki: komunizm.

I on jeden tylko może być ową nową ideą, której ludzkość szuka. Innej n o w e j, o ile o ideę, a więc o p o d s t a w o w ą formę społeczną chodzi, być nie może. Więc albo istniejący od wieków stary ustrój kapitalistyczny, w którym każda jednostka jest gospodarczo autonomiczna, albo nowy komunistyczny, w którym jest ona tylko komórką zbiorowości. *Tertium non datur*, bo każda forma pośrednia, o ileby ją wynaleziono, będzie tylko krokiem od kapitalizmu do komunizmu, stanem przejściowym, polem walki dwóch kierunków i dwóch obozów, szamotaniem się wśród nakazów i zakazów połowicznych, krępujących wolność, a nie dających wzamian tego niezawodnego dobrobytu, jaki za sześć lat przymusowej pracy komunizm zapewnia człowiekowi na całe życie.

Pomyślmy tylko: za sześć lat pracy przymusowej cały wiek ludzki beztroskiego używania życia; używania go w całej pełni jednakowo dostępnej wszystkim! Może maksymum tej pełni będzie niższe od tego, jakie jest dziś dostępne nielicznym wybrańcom, ale zato dostępne będzie wszystkim. Rola jednostki ludzkiej autonomicznie gospodarzącej „na swojem" zostanie wprawdzie zredukowana do roli bezimiennej komórki zbiorowiska, całkowicie temu zbiorowisku podporządkowanej, ale nie będzie też nikogo, komuby owa komórka ludzka zazdrościć mogła niezależności. Jedynym bowiem w pełni niezależnym, decydującym i rządzącym panem nie będzie tu żaden człowiek, a idea, pojęcie, istota nieuchwytna, jak jakiś bóg niedościgła, i tem samem nie budząca zazdrości.

I niema co obrazu tego ustroju ośmieszać, niema co ironizować, wyszukiwać w nim stron ciemnych, które tylko zyskać mogą na porównaniu z jeszcze ciemniejszemi dzi-

siejszego życia. Daremnie też szukałoby się w tym ustroju niewykonalności jego programu. Bo rzecz jest zupełnie możliwa do zrealizowania, a program pod względem ekonomicznym i technicznym opracowany gruntownie rzeczowo i przekonywująco. Toteż bynajmniej dziwić się nie można, że znajduje on całe zastępy entuzjastycznych wyznawców i zdobywa coraz szersze kręgi społeczeństwa. Coraz bowiem szybciej kurczy się liczba tych jednostek, którymby ich autonomiczne stanowisko w społeczeństwie coś więcej dawało ponad nieograniczone prawo zdychania wśród „zupów", „zatów", „kachów", sekwestratorów i komorników. Wolność, swoboda dysponowania swoją osobą i rządzenia swoją własnością przedstawia wartość i ma swój urok tylko wtedy, gdy się własność posiada lub widzi możliwość dorobienia się jej bodajby kosztem czasowego głodowania. Proletarjat ubiegłego wieku mógł możliwość taką widzieć, i liczne były potwierdzające ją przykłady. Wykształcenie było ku temu narzędziem bodaj że w 80-ciu procentach niezawodnem, a bez niego znaczny odsetek pracowników najemnych dochodził pracą, oszczędnością i zabiegliwością do własności. Ale katastrofa obecnie trwająca, i jej charakter, zgoła odmienne ukazuje horyzonty, i niema tak optymistycznego marzyciela, któremuby ona pozostawiała nadzieję już nie zdobycia własności, teoretycznie dozwolonego w obecnym ustroju, ale nawet dysponowania swoją osobą w innych granicach, jak między powieszeniem się, a utopieniem. Czyż nie lepsza więc komunistyczna niewola i rola komórki wciąż zależnej, ale sytej, ogrzanej, pod dachem i nawet używającej rozrywek, niż teoretycznie wolnej jednostki, której autonomja jest pełna, a żołądek pusty? W ustroju kapitalistycznym człowiek jest niewolnikiem głodu, a komunizm z niewoli tej go wyzwala.

Poczucie narodowe, patrjotyzmy, wiara religijna, są wprawdzie puklerzami przeciw komunizmowi pojętemu po bolszewicku. Ale czyż koniecznem jest takie jego ujmowanie? Kierunek narodowy i religijny, nie politycznie, a ideowo, zasadniczo pojmowany, bynajmniej antypodów komunizmu nie stanowi i nie jest wałem ochronnym dla kapitalistycznego ustroju.

Więc mózgi, które już oddawna nurtowały owo ośmieszane „zagadnienie zasadnicze", odniosą wkońcu zwycięstwo, a ośmieszający je Zachód będzie musiał zawrócić i podążyć za postępem społecznym wschodnim. Jeśli nie podąży za nim dobrowolnie, by choć na innych polach uratować swą własną kulturę i wnieść ją do nowego ustroju, to zmusi go do tego rewolucja tak rozpaczliwa, że nic ze zdobyczy tej kultury nie oszczędzi, a tak straszliwa i krwawa, jakiej ludzkość dotąd nie oglądała. Zachód to rozumie, i jego wzywanie nowej idei jest otrąbieniem kapitulacji przed ustrojem komunistycznym i szukaniem dróg do jego wprowadzenia możliwie bezboleśnie, a bodaj nawet z korzyściami i zachowaniem władzy dla tych „zwierzchnich dziesięciu tysięcy", które ją dotąd dzierżą. Tak więc, czy owak ustrój komunistyczny, sowiecki, marksowski — chodzi o treść, nie o nazwę — zapanuje, rozwinie się, ustali, i „nowa idea" zapewni ludzkości spokój i zadowolenie.

Tak zakończy się proces dziejowy, który przed półtora wiekiem rozpoczęła rewolucja francuska. Bo nowa idea w rzeczywistości nie na wschodzie, a tam, na zachodzie się zrodziła: *Liberté, Égalité, Fraternité.* Wschód miał tylko odwagę szczerego wprowadzenia jej w życie. On tylko wypełnia tę kartę dziejów, którą rewolucja francuska odwróciła i nową ideę wypisała na niej w nagłówku.

Nową. Jak rozumieć to określenie? Dzieje ludzkości znane nam są na przestrzeni sześciu, a choćby siedmiu tysięcy lat jej istnienia, z drukowanych ksiąg, zapisanych pergaminów, rysunków, rzeźb, malowideł, budowli, wykopalisk i legend, przekazywanych z pokoleń w pokolenia. Im dalej w przeszłość, tem wiadomości nasze są szczuplejsze i mniej dokładne, tem więcej uzupełniać je musimy wnioskami pośredniemi, by przypuszczalną całość odtworzyć. Wreszcie na siedmdziesięciu wiekach kończy się wszystko, co wiemy o ludzkości, jako o gatunku wtedy już ujętym nietylko w rozmaite rasy i poszczególne szczepy, ale nawet w narody i państwa, w zorganizowane społeczeństwa. A wszystkie one pozostają przez całe 70 wieków zorganizowane na podstawie ustroju kapitalistycznego. Na przestrzeni tego czasu

pojawiają się i republiki i monarchje w jednych i tych samych zbiorowiskach. Widać, że i wtedy ludzkość szukała zmian i nowych idei; od jednych form przechodziła do drugich, ale tylko na powierzchni, bo kapitalistyczna podstawa ustroju wciąż trwała. Stąd też trwała ciągle przewaga jednej jednostki nad drugą: panowanie człowieka nad człowiekiem w takiej lub innej formie, wyrażającej się stosunkiem patrycjusza do niewolnika, rycerza ziemianina do chłopa, fabrykanta do robotnika, bankiera do wytwórcy.

Liberté, Égalite, Fraternité było więc istotnie ideą nową. Ale nową tylko w znaczeniu społeczno-ekonomicznem i tylko od 70-ciu wieków. Bo wszak historja zastaje wtedy ludzkość już zorganizowaną w społeczeństwa, i bynajmniej nie wiemy czy przed owemi czasy hasło wolności, równości i braterstwa nie bywało w społeczeństwa rzucane i przez nie w jakiejś formie stosowane. Zresztą choćby nawet przyznać ojcom rewolucji francuskiej pierwszeństwo wynalazku w zastosowaniu do form społecznych, to sama zasada bynajmiej nie była nowa, bo wszystkie te trzy pierwiastki, a w każdym razie dwa pierwsze, nosi człowiek w sobie, odkąd pojawił się na ziemi. Nie zapominajmy zaś, że owe 70 wieków, o których coś wiemy o budowie ludzkich społeczeństw, stanowią zaledwie pięćdziesiątą część istnienia ludzkiego gatunku.

Myśliciele, którzy zagadnienie obecnej katastrofy gospodarczej rozważają, lub którym wybawienie z niej społeczeństw zostaje oficjalnie powierzane, jak zresztą i ci, którzy hasła społeczne formują i rzucają, to (z małemi wyjątkami) politycy, prawnicy, ekonomiści, słowem: ludzie o humanistycznem wykształceniu i humanistycznym kierunku myślenia. Przedewszystkiem więc widzą ludzkie społeczeństwo, a nie widzą ludzkiego gatunku. Bo zajmowanie się gatunkiem jest sprawą przyrodniczą, a nie humanistyczną. A wszak to właśnie w zagadnieniach przyrodniczych tkwi jądro spraw wszelkich. Spróbujmy więc przyjrzeć się sprawie od strony gatunku.

Odrębność gatunku, jego swoistą wśród innych fizjognomję, stanowią nietylko cechy anatomiczne i fizjologiczne, ale i psychiczne: jego instynkty gatunkowe, istniejące obok podstawowych, wspólnych wszystkim gatunkom żyjącym.

Instynkt budowania uli i zbierania miodu jest gatunkowym u pszczoły. On łącznie z innemi cechami stanowi, że pszczoła jest pszczołą. Jest z nią tak ściśle związany, tak od niej nieodłączny, że zabić można go w pszczole tylko z nią samą. Pszczoły hodowane w celach doświadczalnych w zamknięciu pod siatką i żywione miodem gotowym, ale nie przez nie zbieranym, przestają się rozmnażać w drugiem, a najdalej w trzeciem pokoleniu i giną. Trzecie pokolenie jest już tak zdegenerowane, że ginie nawet gdy je zpowrotem umieścić w warunkach naturalnych (Darwin).

Zadanie gwałtu instynktowi gatunkowemu zwyradnia gatunek i bądź odrazu go zabija, bądź stopniowo poprzez kilka pokoleń doprowadza do zagłady. Oczywiście każdy gatunek zwierzęcy broni się przed pogwałceniem jego instynktów, i gwałt taki może być dokonany jedynie przez człowieka. W całej bowiem przyrodzie on jeden tylko posiada tę inteligencję pomysłową, w której znajduje sposoby zniewolenia stworzeń innych gatunków. I nietylko ich, ale i jednostek ludzkich, i mocen jest na tych jednostkach zadać gwałt instynktom gatunkowym człowieka. Ale też jeden tylko człowiek potrafi przeciw pogwałceniu swoich instynktów gatunkowych bronić się s k u t e c z n i e, i w rezultacie ostatecznym, obserwowanym w masach, instynkt gatunkowy człowieka odnosi zwycięstwo nad gwałcicielem. Taką jest też historja niewolnictwa, bo tu właśnie gwałcony był instynkt gatunkowy człowieka. W czemże się on wyraża?

Poza wyższemi cechami duchowemi, jakiemi Bóg człowieka uposażył, charakteryzują go dwa instynkty gatunkowe. Jeden z nich, to instynkt stadowy. Posiadają go też niektóre inne gatunki w jeszcze wyższym stopniu. Dzięki niemu gatunki te tworzą ule, mrowiska i stada, a człowiek — społeczeństwa. Drugi instynkt, już wyłącznie tylko gatunkowi ludzkiemu właściwy, to instynkt indywidualizacji: p s y c h i c z n e j a u t o n o m i c z n o ś c i jednostki. Podobnie, jak bez instynktu stadowego człowiek nie tworzyłby społeczeństw, tak bez tego drugiego nie mógłby tworzyć pomysłów i dzieł indywidualnych. Wszystkie jednostki ludzkie wciąż naśladowałyby tylko swój pramodel, jak bocian bociana w stadzie, a mrówka mrówkę w mrowisku. Stąd też mrowisko jest od

tysięcy wieków zawsze to samo, gdy człowiek, dzięki instynktowi autonomiczności jednostki, i mógł i musiał z ras wytworzyć szczepy, plemiona i narodowe społeczeństwa, z jaskiń i bierwniowych schronisk murowane gmachy, z ciosanych kamiennych strzał karabiny. Nie znaczy to jednak, by człowiek był instynktu naśladowczego pozbawiony. Owszem, wypływa on, jak wtórny, ze stadowego, i każda ludzka jednostka ma popęd do czynienia tego, co inne, dzięki czemu powstaje zgodne działanie społecznego stada. Ale ponadto drugi popęd pcha jednostkę ludzką do czynienia tego inaczej, niż one, „po swojemu", a także do czynienia rzeczy zgoła odrębnych, nowych, których źródło pierwotne leży w ciekawości indywidualnej, będącej wynikiem instynktu autonomiczności. I stąd właśnie, a nie z konieczności zewnętrznej (jak tego dowieść próbowała szkoła materjalistyczna) powstały pierwsze ludzkie odkrycia i wynalazki. [1]) Z instynktu autonomiczności jednostki zrodził się instynkt

[1]) Jasnem jest, że dzieła człowieka tworzy jego intelekt, a nie instynkt; ale impuls, pobudzający intelekt do tworzenia, ma źródło swe w instynkcie. W pierwszych fazach istnienia i rozwoju człowieka pierwotnego (końcowy perjod miocenu, poprzedzający jaskiniowca) intelekt nie mógł być świadomy nietylko celu poczynań, ale nawet samego siebie, i świadomość ta rozwinęła się dopiero później. Niektóre dziś jeszcze istniejące plemiona dzikie są poniekąd obrazem miocenowca, i jeszcze niedawno odkryto w południowej Afryce wśród nich takie, którym niecenie ognia jest nieznane. Charakterystyczną u wszystkich tych plemion jest automatyczna bezmyślność różnych bezcelowych ruchów, przypominająca zabawy maleńkiego dziecka, jak np. trwające godzinami uderzanie jakimkolwiek ułamkiem drzewa o ziemię, przesypywanie garściami piasku i t. p. Takim to ruchom należy prawdopodobnie przypisać wynalazek niecenia ognia, zupełnie wypadkowy. Człowiek pierwotny trąc bezmyślnie o jakiś pień ułamkiem drzewa, wypolerował jego powierzchnię. To go zabawiło i dalej już celowo powtarzał tę zabawę, aby ujrzeć gładką i połyskującą powierzchnię jakiejś odłamanej drzazgi, a niecierpliwość osiągnięcia wyniku, spowodowała szybsze i silniejsze tarcie, skąd nastąpiło rozgrzanie i wreszcie zajęcie się drzazgi płomieniem. Niezależnie od tego, innem zródłem poznania ognia, opartem na mitologicznych podaniach hinduskich, mogło być też zajęcie się suchych gałęzi płomieniem od uderzenia pioruna gdzieś na innym obszarze wśród innego ludzkiego stada. W każdym razie nie obala to poprzedniego przypuszczenia, ponieważ badania stwierdzają niecenie ognia tarciem drewna o drewna u ludów pierwotnych, co powstać mogło oczywiście tylko drogą przypadkowego spostrzeżenia, bo celowo nie mógł tu człowiek działać, skoro celu jeszcze zgoła nie znał.

własności: potrzeba posiadania pola do rozwoju swego autonomicznego działania.

Poznawszy tym sposobem niecenie ognia, niecił go potem już tylko z ciekawości, a nie z potrzeby, bo badania wskazują, że w owej epoce i na owych przestrzeniach warunki klimatyczne bynajmniej nie zmuszały jeszcze człowieka do szukania ciepła w płomieniu lub w odzieży. Więc jedynie ciekawość danej jednostki ludzkiej i potrzeba jej zadowolenia były źródłem rozwoju przypadkowego odkrycia w wynalazek stosowany celowo już znacznie później. Analogiczna jest też geneza uprawy ziemi i używania metali. Ot, jakieś ziarna roślinne, służące za pożywienie, a zbierane gdzieś zdala od leśnego barłogu ludzkiego, przyniósł człowiek i ukrył w jego pobliżu, przysypując ziemią. Gdzieś kilka ziarn pozostało, wykiełkowało, i wyrosła roślina niosąca te same pożądane ziarna. Wypadkowe spostrzeżenie pobudziło ciekawość człowieka, skłoniło ją do umyślnego powtórzenia eksperymentu i stało się jądrem wynalazku: jak tworzyć źródło pożądanego pokarmu na jakichś nowozajmowanych przestrzeniach, na których go brakło. A metal? Prawdopodobnie znów jakaś bezmyślna zabawa grzebania w ziemi i sypania jej grudek na płomień, lub może umyślne zasypanie płomienia, gdy poznano, że go się tą drogą ugasza. Było to może przy kopaniu jakiejś głębszej jamy przeznaczonej na kryjówkę, na zasadzkę lub na zagrzebanie zdobyczy, gdzieś w pobliżu pokładów rudy miedzianej, bizmutowej, czy ołowianej, i rzucone na płomień grudki stopiły się w bryłę, z której poczęły ściekać sople połyskujące po zastygnięciu. Więc znowu nie potrzeba, a ciekawość pchnęła człowieka do poszukiwania grud tak niezwykłej ziemi, którą odkrył kopiąc, i kopał głębiej. I wciąż jeszcze tylko ciekawość kazała mu topić dłużej, dorzucać bierwien i dmuchać, by grzać silniej i zobaczyć co też z tego będzie; a im więcej nowych tajemnic w tym nieznanym materiale odkrywał, tem więcej różnym próbom go poddawał, by nowe zjawiska ujrzeć, nie wiedząc, że je kiedyś celowo zużytkuje. Idąc takiemi drogami bezwiednie za swym instynktem, odkrył człowiek nietylko sposób niecenia ognia, uprawiania ziemi i używania metali, ale i własną ciekawość Teraz już wiedział, że ją posiada; przestał zadawalać się przypadkami, zaczął szukać pod ziemią i na ziemi, najpierw by tylko zaspokoić ciekawość już świadomą siebie, później świadomą celu poszukiwań i wreszcie ujętą w metody techniczne i naukowe, a podporządkowaną potrzebom życia. Ciekawość ta i n d y w i d u a l n a u każdej jednostki ludzkiej, u każdej rozwijająca się inaczej i w najróżniejszych kierunkach na własną rękę, nie jest niczem innem, jak wyrazem instynktu autonomiczności jednostki, instynktu tylko ludzkiemu gatunkowi właściwego. Żaden inny go nie posiada. Ciekawości nie znamy u żadnego z gatunków zwierzęcych. Psa, lwa, niedźwiedzia, bociana, pszczołę, to tylko pociąga i pobudza do poszukiwań, co interesuje byt, zawsze jednakowy, całego gatunku, Poza tem żadnej ich jednostki nic nie zaciekawia, i przechodzą obojętnie obok każdego zjawiska, które z bytem gatunku lub stada, jako całości nie wiąże się bezpośrednio.

Tendencją materjalistycznej teorji transformizmu było sprowadzenie nietylko różnych skomplikowanych psychik zwierzęcych, ale i całej psychiki człowieka do dwóch instynktów podstawowych, wspólnych wszystkiemu, co żyje, t. j. do instynktu samozachowawczego (głód i samoobrona) i do instynktu zachowania gatunku (popęd płciowy i zabezpieczenie potomstwa od zagłady). Było to doktrynie materjalistycznej niezbędne dla wyprowadzenia wszelkich istnień z jednej protoplazmy wspólnej, z jednego pierwotnego organizmu, którego cała psychika (jeśli ją tak nazwać można) zamykała się w tych dwóch instynktach, będących jeszcze tylko mechanicznemi odruchami. Poza temi dwoma instynktami nie widział materjalizm sił odrębnych ani w instynktach gatunkowych, ani w rasowych, ani w wyższych zjawiskach duchowych. Stąd też pochodzi, że doktrynerom ustroju społecznego, wykarmionym jeszcze na filozofji materjalistycznej, wydaje się, że społeczeństwo ludzkie można budować według wszelkich dowolnych planów, byle tylko dwa instynkty podstawowe znalazły w nich zaspokojenie.

Atoli wiedza przyrodnicza wyrosła już z materjalistycznych powijaków i dowiodła, że pochodzenia instynktów gatunkowych nie można szukać wyłącznie w przyczynach zewnętrznych, które jakoby z dwóch instynktów podstawowych wydobyć miały wszelkię inne. Cały szereg badań przyrodniczych wykazuje, że instynkty swoiste każdego z żyjących gatunków, mają swe źródła własne, z których się rozwinęły i utrwaliły bynajmiej nie płyciej i nie słabiej od instynktów podstawowych. Zresztą proste rozumowanie wskazuje, że tak być musiało. Jeśli bowiem instynkt samozachowawczy na tem polega, że jednostka chce istnieć, to oczywiście chce istnieć sobą: istotą s w e g o gatunku, bo istnieć czemś innem, niż sobą, znaczyłoby to samo, co istnienie własne utracić. Zrozumiałem jest więc, że instynkty gatunkowe i podstawowe mają siłę równą.

Zbytecznem byłoby dowodzić, że nie w samych tylko instynktach gatunkowych człowieka należy szukać źródła zarówno indywidualnych poczynań jednostek, jak i ustrojów społecznych. Rozwój ich form celowych, jak i wszelkie

świadome dzieła jednostek, zawdzięcza człowiek zdolnościom duchowym, od instynktów wyższym. Dawny, materjalistyczny kierunek wiedzy przyrodniczej obniżał charakter tych zdolności. Natomiast wykształcenie zwrócone wyłącznie w kierunku humanistycznym prowadzi przeważnie do zbyt daleko sięgających uniesień literackich. Toteż, patrząc na olbrzymie zdobycze umysłu ludzkiego, często wołamy w zachwycie, że niema granic jego polotowi, że on wszystko zdobywa, że wszelkie przeszkody łamie i potężne siły przyrody zwalcza: pokonał czas i przestrzeń, bo w mgnieniu oka przenosi dziś w dal dźwięki i obrazy na falach eteru; pokonał prawo ciążenia, bo samolotem wzbija się ponad obłoki... Jest to bardzo piękna deklamacja, ale konkluzje trzeźwe są nieco odmienne. Człowiek nie pokonał prawa ciążenia, a wznosi się samolotem i kieruje nim właśnie tylko dzięki temu prawu. Człowiek usuwa ze swej drogi wszelkie materjalne przeszkody: wierci skały, przewraca góry, zasypuje rzeki, opanowuje wszelkie twory, wszystko w przyrodzie zwalcza, tylko właśnie nie jej siły i prawa. Te są od niego potężniejsze. Człowiek potrafi je wyzyskać, wyciągnąć korzyści z ich poznania, ale zwalczyć ich nie zdoła nigdy. To należy zapamiętać i beznadziejność takiej walki mieć na uwadze, gdyby nam przyszła myśl jej podjęcia.

A przychodzi ona tym, co w zagadnienia społeczne wnikają wyłącznie po linji humanistycznej, zaniedbując lub wzgardzając kierunkiem przyrodniczym. Stąd również pochodzi owe przecenianie mocy intelektu, który stanowi wszak tylko część ludzkiej psychiki; tę właśnie, która posiada zdolność wybiegania poza granice przyrodniczej rzeczywistości. Drugą część naszej psychiki tworzą instynkty gatunkowe człowieka; a one przykuwają go już wprost w znaczeniu fizycznem do przyrody i są działającemi w nim jej prawami. Walka z niemi byłaby beznadziejna. Toteż ustrój komunistyczny, oparty na zdławieniu gatunkowego, instynktu autonomiczności, jest konstrukcją zgóry na ruinę skazaną.

I tu leży przyczyna, dla której nie spotkaliśmy trwania podobnej konstrukcji na całej znanej nam przestrzeni 70-ciu wieków. Raczej przeciwnie: historja ta ukazuje nam

przykład podjętej już próby komunistycznego ustroju, zakończonej tragicznem fiaskiem. Jak dziś, tak i wtedy powstał ten ustrój nie drogą naturalnego rozwoju (co jest zrozumiałe, ponieważ jest on naturze ludzkiej przeciwny), a drogą obmyślanego programu. Zatem zrodzony był z intelektu, który przecenił swą moc. I jak dziś, tak i wtedy zrodził się pomysł w intelekcie wschodnim. Zaprowadzony według niego w Chinach w końcu XI-go wieku ustrój komunistyczny przetrwał zaledwie 20 lat[1]) i można dziś patrzeć na niego

[1]) O. Ewarysť Huc, badacz kronik chińskich, w pracy swej wydanej 1838 roku, a więc przed Marksem i powstaniem teorji komunizmu, opisuje ustrój społeczny wprowadzony w Chinach około 1065 roku za panowania cesarza San-Dzunga z dynastji Song. Trzęsienia ziemi, które objęło wielkie obszary, a po niem kilka lat klęskowego nieurodzaju, sprowadziło na Chiny katastrofę gospodarczą. Na jej podłożu rozpasała się spekulacja i w społeczeństwie chińskiem, w którem do owego czasu panowała równowaga gospodarcza, powstały z jednej strony olbrzymie fortuny a z drugiej nędza, ogarniająca wielkie rzesze. Wytworzył się stan, w stosunkach chińskich nieznany i rażący władze kraju. W celu naprawy stosunków i zapobieżenia raz na zawsze wyzyskowi jednych poddanych przez drugich opracował mandaryn Wang-Nam-Szea program sprawiedliwego ustroju państwa. Program ten, zaaprobowany przez cesarza i wprowadzony w życie, został szczegółowo opisany w kronikach chińskich i powtórzony przez O. Ew. Huca. Jest on oparty na skonfiskowaniu wszelkiej własności prywatnej i wszystkich kapitałów należących do poddanych na rzecz cesarza. Wszystko objął cesarz, jako jedyny posiadacz, jedyny wytwórca wszystkiego, co Chiny produkowały i jedyny aprowizator wszystkich swoich poddanych. Zostali oni pod względem aprowizacji podzieleni na 5 kategorji, a na 11 pod względem rodzaju pracy, do której zobowiązywał ich dekret. Z tych ostatnich kategoryj najliczniejszą stanowili rolnicy. Każdy z nich otrzymywał określoną ilość ryżu, i był obowiązany określony obszar ziemi uprawić, zasiać, ryż zebrać i oddać zbiór cesarzowi. Ludność przywykła czcić rozkazy cesarskie jak boskie, poddała się dekretowi bez szemrania, a w większości swej przyjęła go nawet entuzjastycznie. Po roku nędza znikła prawie całkowicie, ale w następnym już pracowitość Chińczyków znacznie upadła, coraz częstsze były wypadki, że poddany, który otrzymał ryż na zasiew, spożył i roli nie uprawił. Po kilku latach ogół przestał pracować, oddając się rabunkom i grabieży. Śmiertelność wzrastała przerażająco. W całem państwie powstał chaos. Część ludności zaczęła się domagać powrotu do warunków dawniejszych. Grabiące bandy tworzyły całe armje walczące między sobą i z resztą narodu. Niedołężny cesarz ulegający wpływom Wang-Nam-Szea nie potrafił zdobyć się na decyzję. Ten zaś obstawał przy utrzymaniu ustroju, szukając daremnie sposobów opanowania rewolucji,

jak na przytoczony już eksperyment laboratoryjny, dokonany na pszczołach. Eksperyment tem bardziej pouczający, że poddano mu człowieka.

Przytoczonemu tu przykładowi chińskiemu możnaby pozornie przeciwstawić fakt, że na przestrzeni cytowanych siedmdziesięciu wieków historji nie było właśnie ani jednej chwili, w której instynkt autonomiczności jednostki ludzkiej nie byłby stale gwałcony. Bo czemże innem było niewolnictwo, trwające pod rozmaitemi postaciami mniej lub więcej jaskrawemi aż do rewolucji francuskiej a w niektórych społeczeństwach i dłużej? Argument taki dowodziłby jednak tylko powierzchowności myślenia. Niewolnictwo, czy jakakolwiek inna postać upośledzenia naturalnych praw jednych ludzi przez drugich, było wyrazem przemocy narzuconej jednostce przez jednostkę, grupie przez grupę, i wynikiem walki o byt. W miarę duchowego rozwoju człowieka uszlachetniały się (abstrahując od nawrotów) i formy walki i formy jej skutków. Nie wolno oczywiście tracić z uwagi tego momentu, jakim jest walka o byt w kształtowaniu się ustroju społecznego, ale też i nie identyfikować go z momentami zgoła innej kategorji. Jeśli się mówi o ustroju, który ma być przyjęty, jako zrealizowanie nowej i d e i i stanowić panaceum, to nie można przeciwstawiać mu tego, co w dziejach ludzkości nie było jakąś ideą inną ucieleśnioną w ustroju, a walką: całym szeregiem walk naturalnych, w których wyniku pogwałcony instynkt zwyciężył podobnie, jak w przykładzie chińskim. Tu walka trwała krótko, tylko 20 lat, bo gwałt dokonany był na całem społeczeństwie. Tam ciągnęła się przez wieki, ponieważ instynkt autonomiczności jednostki gwałcono tylko w części społeczeństwa.

Rola walki o byt, leżąca również w prawach przyrody,

---

która obaliła wreszcie ustrój po 18-tu latach jego trwania, a w tym czasie ludność Chin zmniejszyła się o połowę. Wang-Nam-Szea, zmuszony uchodzić wraz z nieliczną garstką swych zwolenników, przyczynił się podobno w dużej mierze do ruchu szczepów mongolskich i późniejszego pochodu Dżingischana. Tak opisuje ten fragment historji Chin O. Ew. Huc, dodając od siebie: „Les suites de cette reforme, inconcevable pour l' esprit européen, bien que noble dans le but qu'elle visait, furent cependat deplorables" (Następstwa tej reformy niepojęte dla umysłu europejskiego, acz szlachetnej w swych celach, okazały się jednak opłakane).

bynajmiej nie jest czynnikiem drugorzędnym w naturalnem kształtowaniu się ustroju społecznego. Intelekt może kształtowaniu temu dopomagać, może nim w pewnych granicach kierować, ale nie może być architektem wyłącznie zatopionym w sobie, który rysuje projekt gmachu, abstrahując zarówno od natury gruntu, na jakim go ma stawiać, jak i od cech i własności materjału, z którego będzie go wznosił. Trzeba pamiętać, że przyroda i jej prawa są tym gruntem, a materjałem człowiek ze swemi niezniszczalnemi instynktami gatunkowemi. Pijany marzyciel, który o tem zapomina, może naszkicować gmach przepiękny, który jednak rozsypie się, zanim stanie. To, co widzimy w Rosji, jest dopiero układaniem fundamentów, lecz prawdopodobnie jeszcze nasze pokolenie ujrzy, jak zawalą się ściany, zanim je pokryje dach. I kto wie, czy gdy kłęby pyłu po walących się gruzach opadną, nie wyłoni się z poza nich oblicze zupełnie trzeźwego przedsiębiorcy, który pijanego konstruktora zaangażował.

Nietylko przykład chiński jest dowodem przyrodniczej nierealności ustroju komunistycznego. Tam, jak i dziś w Rosji, był on urzeczywistnieniem programu planowo opracowanego, a więc stanem świadomym swego charakteru. Był jednak okres, w którym gatunek ludzki żył w stanie komunizmu nieświadomie, i aczkolwiek nie z historycznych dokumentów o tem wiadomo, i nawet nie z archeologicznych, to jednak wolno twierdzić, że okres taki bezsprzecznie istnieć musiał, a był nim najpierwszy okres istnienia człowieka na ziemi.

Ten pierwszy typ człowieka przedhistorycznego nie posiadał jeszcze absolutnie nic: żadnej broni, ani narzędzi, bo dopiero później wpadł na pomysł łupania kamienia; żadnej odzieży, bo do okrywania ciała skórami zwierząt zmusiły go dopiero znacznie późniejsze zmiany klimatyczne; i jaskiń też jeszcze nie nauczył się obierać sobie za kryjówkę, a tem mniej kryjówki takie wznosić; nie posiadał więc własności literalnie żadnej. Lasy, zarośla, kępy drzew i krzewów na całych przestrzeniach, które przebiegały, na których osiadały, mnożyły się i żyły stada ludzkie, nie były własnością niczyją, co w gruncie rzeczy jest równoznaczne własności wspólnej zbiorowiska. Przyroda dostarczała tym stadom i każdej ich jednostce pełne zaspokojenie ich potrzeb pier-

wotnych tak, jak w przygotowywanym ustroju sowieckim Rosji ma zorganizowana technika zaspakajać wszelkie potrzeby ludzi dzisiejszych. Były inne potrzeby i inne środki ich zaspokojenia, ale ich wzajemny stosunek jednaki: tu i tam pełnia wytwórczości i pełnia zaspokojenia potrzeb. Jednakowy także stosunek machiny stadowej do jednostek: wszystkie były wobec niej równe i wszystkie miały jednakowe prawo do wszystkiego, co machina wytwarza. Ale tylko do tego; bo poza nią nikt nic według swej indywidualnej woli nie produkował. Nie było mu wolno. W ustroju sowieckim zabrania mu tego prawo, tam zabraniał mu poziom jego psychicznych zdolności. Zakaz ten odczuwał więc człowiek pierwotny nawet mniej, niż przyszły sowiecki obywatel, czy „towarzysz", a raczej nie odczuwał go wcale. Lepiej mu więc było. Wreszcie walka o byt między jednostkami stada, którą ustrój sowiecki rzekomo usuwa, także jeszcze nie powstała. Istniała walka człowieka z szakalem, niedźwiedziem, czy innym drapieżnikiem, ale nie wewnątrz stada ludzkiego między jego jednostkami. Było ich jeszcze za mało, a łatwo dostępnego pokarmu za wiele. Walka o byt jest skutkiem, który musi mieć swą przyczynę, a przyczyna owa zaczęła się pojawiać dopiero znacznie później. Walki między jednostkami ludzkiemi mogły w tym początkowym okresie istnienia gatunku powstać tylko o samicę. Wątpliwem jest jednak, aby ustrój sowiecki zdołał źródło i tych walk usunąć; a jest ono w naturalnem kształtowaniu się ustroju społecznego też nie bez znaczenia.

Bytowanie gatunku w owych najpierwotniejszych formach stadowych nie było ustrojem zorganizowanym przy współudziale intelektu, a więc nie ustrojem, a stanem bytowania, ale bezspornie komunistycznym w najprostszej postaci. I należy postawić tu sobie pytanie dlaczego ten komunistyczny charakter nie przetrwał, gdy w miarę rozwoju gatunku ludzkiego stado stawało się stopniowo społeczeństwem, a stan bytowania ustrojem społecznym? Gdy coś pozostaje w charakterze swym niezmienione, to niema racji szukania przyczyn tej trwałości, bo jest ona wynikiem fizycznego prawa inercji. Gdy jednak w jakimś układzie pojawia się zmiana jego charakteru, to po pierwsze muszą istnieć

ku temu przyczyny, i należy ich szukać, a powtóre dowodzi to, że są one od charakteru układu silniejsze i że mu narzucają charakter inny. Owe przyczyny silniejsze od pierwotnego komunistycznego charakteru ludzkiego bytowania leżą w przemożnych właściwościach psychiki człowieka, a przedewszystkiem w jego gatunkowym instynkcie autonomiczności, który strychulca nie znosi. Prymitywność bytowania w pierwszych fazach istnienia gatunku była strychulcem z natury rzeczy. Oczywiście innym dla człowieka, a innym np. dla mrówki. Ale gdy stopniowy rozwój mrówki polegał na przypuszczalnem udoskonaleniu strychulca pierwotnego, to rozwój człowieka polegał na jego odrzuceniu. Pęd tego rozwoju indywidualnego oprze się zawsze wszelkiej mechanizacji, a ustrój komunistyczny na niej przedewszystkiem polega. Zapewne, że nietylko komunistyczna, ale każda forma życia społecznego poniekąd człowieka mechanizuje; ale mechanizacja ta obejmuje niektóre tylko dziedziny jego istnienia (i raczej formy życia, niż jego treść), przez co może nawet tem silniej rozpęd indywidualny szuka ujścia w innych dziedzinach i tem większe osiąga w nich zdobycze. Natomiast w komunistycznym ustroju mechanizacja sięga do treści i jest zupełna.

Wynędzniałym i z głodu ginącym rzeszom nietylko ciemnych jednostek, a tem bardziej nieoświeconych, wydaje się ustrój ten z jego propagandowo wyłożonym programem, ostatecznem rozwiązaniem społecznego zagadnienia. I gdyby nagle został urzeczywistniony, to owe rzesze, dziś do niego przeniesione, znalazłyby tam dla siebie poczucie tego rozwiązania aż do jutra. Lecz, nasycone zaspokojeniem wszystkich odczuwanych potrzeb, jutro już odczułyby potrzeby nowe, których ten ustrój nie zadawala, a przedewszystkiem potrzebę zaspokojenia instynktu autonomiczności. Bo on tylko na tak długo przycichł, jak długo głodem gwałcony był instynkt samozachowawczy, lecz gdy tylko gwałt nad nim ustanie, to tamten odezwie się pełnym głosem. I głos ten wyrazi się wkońcu rewolucją, która obali sztuczną budowlę.

Wiara w możliwość zrealizowania i trwania ustroju komunistycznego jest wynikiem przebrzmiałych prądów ma-

terjalistycznych, których wpływ pozostał jeszcze tam, gdzie styczność z wiedzą przyrodniczą jest tylko rzemieślnicza lub bardzo powierzchowna. Przykładem materjalistycznego ujmowania zagadnień społeczno-przyrodniczych jest Maeterlink, zachwycający się życiem ula, mrowiska i termitjery, nietylko jako ciekawem zjawiskiem przyrody, ale jako ideałem i wzorem dla społeczeństwa ludzkiego. Zachwyca go, że mrówka jest doskonałym mechanizmem i tylko doskonale funkcjonującą komórką zbiorowego organizmu. Jako jednostka nie przedstawia ona dla mrowiska wartości, bo pozostawiona sama sobie nic zbudować nie jest zdolna, a w masie ubytek jej zostaje niezwłocznie zastąpiony przez nową komórkę identycznie do poprzedniej podobną.

Taką to właśnie organizację przyjęto za wzór komunistycznego ustroju. Zapomniano tylko, że ani człowiek człowiekiem, ani mrówka mrówką nie jest dlatego, że nią być chce, a powtóre, że miljon mrówek, to tylko miljon razy jedna i ta sama mrówka, a miljon ludzi, to miljon odrębnych światów. Mrowisko to twór najbardziej zbliżony do jednostkowego organizmu, a społeczeństwo ludzkie jest organizmem tylko w literackiej przenośni. Nagłe ubycie z niego jakiejś jednej tylko „komórki" ludzkiej, lub nagłe wydobycie się na powierzchnię jakiejś innej, stanowi niekiedy o losie całego społeczeństwa, lub zmienia jego fizjognomję i odbija się na całości jego życia zbiorowego. Każda jednostka ludzka jest dla społeczeństwa cenną, nawet najbardziej szara, bo nigdy nie wiadomo, czemu da początek, lub czem się stanie. Kim, jeśli nie jedną z tysięcy szarych jednostek był Mikołaj Mickiewicz? Lecz nie byłoby Adama, gdyby przed jego spłodzeniem zabrakło Mikołaja. Kim był Paderewski w 24-ym roku życia? Młodym „zdolnym" muzykiem, którego gra „podobała się" kuracjuszom w Nowem Mieście. A czy nie odbiłoby się na losach Polski, gdyby ta, wtedy jeszcze szara jednostka, wówczas ubyła? Ludzkość zawdzięcza swój rozwój bynajmniej nie zbiorowym, a jednostkowym dziełom. I nietylko o wyjątkowe jednostki tu chodzi, których dzieła są wielkiemi pchnięciami postępu. Tworzą go wciąż wszystkie przez to właśnie, że instynkt pcha każdą do tworzenia dla siebie i po swojemu ze świadomością i po-

czuciem własności swych zdobyczy, ulepszeń i poprawy dla siebie, wnosi to automatycznie w społeczeństwo. Taki sam absurd i niebezpieczeństwo, jak w wołaniu o nową ideę, tkwi więc i w modnem dziś haśle pogardy dla bytu jednostki.

(Dokończenie nastąpi).

Jan Wortman.

Od Redakcji. Autor powyższego artykułu posiłkuje się w swem dowodzeniu przypuszczeniem o 350 tysiącach lat dawności rodzaju ludzkiego. Hipoteza ta, zresztą dla celów artykułu nie konieczna, jest mocno sporną. Por. artykuł Ks. E. Kosibowicza T. J. p. t. „Dawność ludzkości" (*Przegląd Powsz.* grudzień 1928 r.) Podobnież hipotetyczną tylko wartość można przyznać przypuszczeniom autora co do mentalności prymitywnego człowieka, źródła wynalazków i t. d. zob. wyżej, str. 21, przypisek u dołu.

Zasięg kolonizacji polskiej na ziemiach ruskich.

Niepowodzenia dyplomatyczne Kazimierza Wielkiego na froncie zachodnim, kolejne traktaty wyszehradzkie i kaliskie, powodujące w konsekwencji swej utratę Pomorza i Śląska, zwróciły polskie zamysły polityczne w kierunku wschodnim. Bezpotomna śmierć Bolesława Trojdenowicza zastała Ruś Halicką pogrążoną w bezwładzie, rozdartą wewnętrznie i pokłóconą, a przeto stojącą otworem dla obcych wpływów. Sytuacji tej nie omieszkał wykorzystać król Kazimierz, i wysuwając swe prawa dynastyczne do Rusi Włodzimiersko-Halickiej, jako krewny Trojdenowiczów, zajął ją zbrojnie (1340). Zajęcie grodów ruskich było niejako pierwszym etapem planu królewskiego. Poprzez Halicz pragnął Kazimierz sięgnąć po Wołoszczyznę i objąć w posiadanie ważny szlak handlowy, prowadzący ze Lwowa przez Jassy do genueńskich portów czarnomorskich, Białogrodu i Kilji.

Planu tego w całości przeprowadzić się nie udało. Po opuszczone dziedzictwo Bolesława jednocześnie z Kazimierzem wyciągali ręce litewscy Gedyminowicze, Węgrzy a wreszcie najniebezpieczniejsi ze wszystkich — Tatarzy. Polubowne załatwienie sprawy z Andegawenami węgierskimi utworzyło na wschodzie Europy koalicję polsko-węgierską, przeciw której zkolei stanęła liga litewsko-tatarska. Rozpoczęła sią walka, trwająca prawie bez przerwy przez lat dwadzieścia kilka, a terenem jej stały się niemal wszystkie ziemie południowo-ruskie. Dopiero wielka wyprawa armji polskiej na Wołyń w r. 1366 i zdobycie Włodzimierza zmusiły Lubarta do zawarcia niekorzystnego dlań pokoju.

W myśl tego układu otrzymał Kazimierz Bełz, Chełm i Włodzimierz z okolicznemi włościami po zachodni brzeg rzeki Turji, ponadto zaś południową połać Wołynia, ciążącą ku Krzemieńcowi. Zdobyte na Lubarcie ziemie oddał król w lenno kniaziom Narymuntowiczom i Korjatowiczom, by w ten sposób zabezpieczyć się na przyszłość przed ewentualnemi pretensjami Litwy.

Tak więc, przy końcu panowania ostatniego z Piastów, dawne księstwo halicko - włodzimierskie znalazło się w rękach polskich. Jeszcze w czasie zawieruchy wojennej przystąpił Kazimierz do dzieła kolonizacji Rusi. Kraj, wyniszczony przez wojnę, ogołocony z ludności przez nieustanne najazdy tatarskie, wymagał wiele nakładu pracy, by mógł się podnieść z ruiny i stanąć na stopie, odpowiedniej jego położeniu geograficznemu, tak ważnemu ze względu na prowadzący przezeń szlak czarnomorski. Objąwszy w posiadanie Ruś Halicką, nie zamierzał król narzucać jej przemocą urządzeń polskich, lecz postanowił działać stopniowo, licząc słusznie, iż zczasem wyższa kultura polska kraj opanuje.

Prowadząc politykę pojednawczą, ujmował sobie Kazimierz przedewszystkiem większe rody bojarskie, obdarzając je różnemi przywilejami i lennami. Miasta dostają powoli prawo magdeburskie (najpierw Lwów, Sanok i Kołomyja), powstają nowe osiedla miejskie i wiejskie. Obok Kościoła wschodniego, posiadającego własne katedry biskupie w Haliczu, Przemyślu, Włodzimierzu i Chełmie, zjawiają się teraz placówki katolickie. Wprawdzie katolicyzm szerzyć się począł na Rusi halickiej już w w. XIII, propagowany przez zakony dominikańskie i franciszkańskie, a zwłaszcza przez Jacka Odrowąża, jednakże właściwa latynizacja tej prowincji rozpoczyna się z chwilą inkorporacji jej do Polski. Z tą chwilą poczynają powstawać biskupstwa katolickie, zrazu tytularne jedynie, a następnie faktyczne, i to w tych miastach, gdzie istniały już katedry wschodnie, t. j. w Przemyślu (1340), Włodzimierzu (1358), Chełmie (1359), a wreszcie arcybiskupstwo w Haliczu, przeniesione później do Lwowa. Popierając katolicyzm, kierował się król jednocześnie zasadą tolerancji religijnej zarówno w stosunku do wyznawców schyzmy (wyniesienie biskupstwa halickiego do

godności metropolji), jak i Ormian (ufundowanie biskupstwa we Lwowie) i Żydów. Konieczność szybszego zaludnienia kraju otworzyła wrota dla wychodźtwa polskiego. Wówczas to pojawiać się zaczynają osiedla polskie. Na pustkowiach i zrujnowanych zamczyskach osiadają pierwsi ziemianie polscy, wrastający powoli w nowe warunki i zamieniający się stopniowo w pierwszych pionierów polskości i strażników kresowych, których typowym okazem była rodzina Habdanków, osiadła w Buczaczu. Za wielmożą polskim szedł zwykle rzemieślnik, dworzanin, żołnierz. Były to pierwsze kroki — powolne działanie zostawiono czasowi.

Śmierć Kazimierza Wielkiego poczyniła zmiany w obrębie jego nabytków południowo-wschodnich. Lubart przy pomocy Kiejstuta obległ zamek włodzimierski i zburzył go doszczętnie. Narymuntowicze, lennicy ziemi chełmskiej i bełzkiej, poddali się Litwie. Mimo pomyślnej wyprawy polsko-węgierskiej, w rezultacie zdołał Lubart zatrzymać cały Wołyń, jedynie wyrzekł się ziemi chełmskiej i bełzkiej, które odtąd tracą łączność z Wołyniem, jednocząc się coraz ściślej z Rusią halicką. Cała ta połać kraju z ośrodkami we Lwowie, Chełmie i Bełzie scala się powoli w dość jednolitą prowincję, dla której zczasem utrwala się nomenklatura Rusi Czerwonej.

Oderwanie samej Rusi Czerwonej na rzecz Węgier nie miało znaczenia hamującego dla rozwoju w niej kolonizacji polskiej, zwłaszcza za rządów Opolczyka, właściwego organizatora Kościoła katolickiego na Rusi. Gdy wygaśnięcie męskiej linji Andegawenów pociągnęło za sobą walkę domową na Węgrzech, panowie polscy, korzystając z osłabienia południowego sąsiada, zdecydowali się urządzić walną wyprawę na Ruś Czerwoną pod przewodnictwem Jadwigi, jako dziedziczki Ludwika, która posiadłość ojca miała objąć na rzecz Polski.

Wyprawa ta (1387) odbyła się prawie bez walk. Ludność większych miast ruskich, jak Lwowa i Przemyśla, wysłała delegacje do królowej z prośbą o przyłączenie do Korony Polskiej. Poddał się również bez oporu i starosta węgierski, jedynie Halicz, broniony przez załogę węgierską, stawił opór. Jednakże unja polsko-litewska i na tym od-

cinku wydała owoce. Nie mogąc liczyć na pomoc litewską, a przeciwnie, widząc oddziały litewskie, ciągnące Polakom z pomocą, musieli Węgrzy ustąpić. Tak więc, ostatecznie nastąpiło wcielenie Rusi Czerwonej do Polski. Wyprawa Jadwigi była świetnie obmyślonym krokiem politycznym, gdyż zajęcie Rusi Czerwonej pociągnąć miało niebawem za sobą zhołdowanie Wołoszczyzny i Multan, jako naturalnej drogi wypadowej ku ujściom Dunaju i Dniestru. Objęcie w jedną całość polityczną szlaków handlowych czarnomorskich miało olbrzymie znaczenie dla rozwoju miast czerwonoruskich, a przedewszystkiem dla Lwowa, stającego się powoli najważniejszem ogniwem handlowem.

Od tej chwili rozpoczyna się w szybkiem tempie prowadzona kolonizacja kraju. Ziemie, leżące odłogiem, a żyzne i bogate, szczodra dłoń jagiellońska rozdzielać będzie hojnie między magnatów i szlachtę. Tarnowscy osiadają w Przeworsku, Jarosławiu, zakładają Gliniany. Spytek z Melsztyna dostaje ziemię samborską, zakłada dzisiejszy Sambor, a posuwając włości swe ku wschodowi, staje się powoli pierwszym kolonizatorem polskim zachodniego Podola. Ziemowit mazowiecki kolonizuje Bełz. Wślad za magnatami i szlachtą rozpoczyna się pierwsza wielka wędrówka ludności polskiej na wschód, głównie z Mazowsza i ziemi lubelskiej. Ludność ta posuwa się poprzez Bełz (sprowadzona przez Ziemowita) w kierunku na Lwów i Tarnopol, wzywana przez Spytka ku granicom Podola. Tak więc ludność polska mieszać się zaczyna powoli z ruską, zarówno na wsi, jak i w miastach, zwłaszcza w t. zw. hospodarskich i tych, które otrzymują prawa magdeburskie (Przemyśl, Gródek, Trębowla, Drohobycz, Stryj, Sambor i in.). Wraz z magnatami powstają coraz liczniejsze kościoły i klasztory katolickie, które spełniać poczynają podwójną misję: szerzenia katolicyzmu i utrwalenia w polskości przybyszów. W ciągu wieku XV żywioł szlachecki na Rusi Czerwonej uległ tak dalece polonizacji, że w następnem stuleciu stanie się kraj ten zkolei rozsadnikiem kultury polskiej dla pobliskiego Wołynia. Znaczenia takiego nabrała Ruś Czerwona od czasów powstania Świdrygiełły; od tego czasu szlachtę czerwonoruską zrównano całkowicie ze szlachtą innych dzielnic polskich, a niebawem

utworzono z Rusi Czerwonej dwa województwa, ruskie (1434) i bełzkie (1462), których przedstawiciele (wojewodowie i kasztelanowie) zasiedli w senacie polskim.

Bezpośrednim powodem wojny ze Świdrygiełłą była walka o Podole, które stanowiło niejako wschodnie przedłużenie Rusi Czerwonej i było celem pożądań magnatów polskich, jak to widzieliśmy na przykładzie Spytka z Melsztyna i Buczackich. Podole, bardziej niż jakakolwiek dzielnica ruska, podatne było dla wpływów polskich przedewszystkiem dzięki swoistym stosunkom społecznym. Korjatowicze, przybywszy na Podole, zastali tam jedynie gmin wiejski; warstwa bojarska powoli dopiero się kształtowała z ludu, kniaziów udzielnych nie było, nie było zatem warstw, które w innych ziemiach ruskich reprezentowały żywioł zachowawczy i broniący swych praw. Tak więc, nie mogąc się oprzeć na bojarstwie, nie mogli Korjatowicze wprowadzić na Podolu litewskiego ustroju feudalnego, czemu ostatecznie przeszkodziło usunięcie dotychczasowych władców i objęcie Podola przez w. ks. Witolda (1395) i napływ elementu ziemiańskiego z Małopolski i Rusi Czerwonej.

Podole, wyludnione przez Tatarów bardziej od Rusi Czerwonej, wymagało intensywnej kolonizacji, toteż Witold, jakkolwiek obdarowywał ziemią przeważnie przybyszów litewsko-ruskich, musiał jednakże zgadzać się na immigrantów polskich, jakkolwiek ci ostatni, przywykli do swobód polskich, zżymali się na surowy rygor litewski i propagowali wciąż ideę wcielenia Podola do Korony. Stanu mieszczańskiego nie było, gdyż prócz stołecznego Kamieńca, posiadającego jeszcze od czasów Korjatowiczów prawo magdeburskie, inne miasta były w stadjum zaczątku i bynajmniej nie grały roli ognisk handlowo-przemysłowych. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że w w. XV Kościół wschodni w Polsce przechodzi okres rozprzężenia, że Podole nie posiadało odrębnej hierarchji cerkiewnej, lecz zależną od Halicza, że zatem i kler schyzmatycki nie posiadał znaczenia — było rzeczą łatwą do przewidzenia, że żywiołem, który w miarę ustalania się stosunków zdobędzie stanowisko przodujące na Podolu, będzie element polski, najżywotniejszy w owym czasie, najbardziej ekspansywny.

Przybysze polscy, tak rycerstwo, jak osadnicy wszelkiego rodzaju, wnosili ze sobą obrządek katolicki, toteż w okresie rządów Witolda widzimy wciąż przybywających zakonników z reguły św. Franciszka i Dominika, powstają już wtedy klasztory w Kamieńcu, Smotryczu. Żywioł polski był na tyle już silny, że z chwilą śmierci Witolda potrafił uknuć spisek i podstępem opanować Kamieniec, Smotrycz, Skałę i Czerwonogród, t. j. wszystkie warownie zachodniego Podola. Jednakże nowy władca Litwy, Świdrygiełło, nie myślał Polsce odstąpić Podola, które teraz stało się kością niezgody między dwoma niedawno zbratanemi narodami. Rozgorzała więc wojna domowa na Podolu, trwająca przez lat kilka, przyczem okazało się, że zachodnia część kraju stoi po stronie polskiej, podczas gdy wschodnia, bardziej pustynna, zgrupowana dokoła Bracławia, opowiedziała się za Świdrygiełłą. Walka skończyła się kompromisem, na mocy którego Bracławszczyzna pozostała przy Litwie, zachodnie zaś połacie kraju (odtąd one tylko zwać się będą Podolem) dostały się Koronie (r. 1434).

Tak więc r. 1434 był nowym krokiem naprzód w procesie posuwania się wpływu polskiego ku wschodowi. Politykę wschodnią prowadziła Korona w tym czasie umiejętnie. Wzorując się na doświadczeniach czerwonoruskich, postanowiła Korona zjednać sobie przedewszystkiem ziemian, bojarów i mieszczaństwo kamienieckie. Kamieniec natychmiast otrzymał potwierdzenie prawa magdeburskiego, warstwa ziemiańska otrzymała przywileje narówni z resztą kraju, w r. 1434 utworzone zostało województwo podolskie. W ciągu kilku lat znaczna część obszarów hospodarskich rozdarowana została między przybyszów z Polski pod warunkiem osiedlenia się na miejscu.

Brak dawniejszych kniaziów i bogatego bojarstwa, posiadającego wielkie obszary rolne, przyczynił się do tego, że Podole, bardziej niż Ruś Czerwona, a zwłaszcza Wołyń, przedstawiał wdzięczne pole do kolonizacji. Obfitość ziem t. zw. hospodarskich, należących do monarchy, dawała możność rozdzielania dóbr między ubogą, a licznie zgłaszającą się szlachtę z ziem sąsiednich, skutkiem czego Podole właściwe stało się zczasem domeną średnio-zamożnej warstwy

szlacheckiej, nigdy zaś prawie nie wytworzyło klasy wielkich posiadaczów latyfundjów, tak typowej później dla Wołynia i Ukrainy. Już w 50 lat po utworzeniu województwa widzimy na Podolu około 40 rodów szlacheckich. Większość z nich — to przybysze czerwonoruscy, zarówno pochodzenia rdzennie polskiego, jak i miejscowego, przeważnie zresztą spolszczeni, o których to pospolicie mówiono, że są *gente Rutheni*, a *natione Poloni*. Obok szczeroruskich domów Czuryłów, Korczaków, Kierdejów, spotykamy tam zdawna osiadłych na Rusi, a z Polski pochodzących Buczackich, Fredrów, Jazłowieckich, jak świeżo z zachodu przybyłych Odrowążów, Chodeckich, Koniecpolskich, Lanckorońskich, Rejów, Sieniawskich i innych. Powoli też do godności szlacheckiej wydźwigają się miejscowi dawni bojarowie, wszakże nieliczne. Nawet w Kamieńcu powstaje osobna dzielnica mieszczan polskich, którzy powoli wysuwają się na czoło miasta. Jeżeli chodzi o nasycenie polskością — żadna dzielnica ruska nie uległa jej tak szybko i tak intensywnie, jak Podole.

Zupełnie odmiennemi drogami i inaczej utrwalały się wpływy polskie na Wołyniu. Prowincja ta, w porównaniu z Podolem znacznie gęściej zaludniona, nie nękana najazdami tatarskiemi, odcięta linją bagien poleskich od właściwej Litwy, a zatem nie ulegająca zbytnio litewskim wpływom ustrojowym, pod rządami wielkich książąt i ich namiestników prowadziła żywot odrębny. Ludność ziemi wołyńskiej w okresie rządów litewskich była już znacznie zróżniczkowana pod względem społecznym. Najważniejszą warstwą społeczną, obok byłych bojarów, którzy powoli pod wpływem litewsko-polskim przyjmują tytuły „panów", później „ziemian", były liczne rody kniaziowskie, pojawiające się już w w. XIV. Nie dorównując początkowo znaczeniem warstwie ziemiańskiej, wybijają się zczasem na stanowisko przodujące, tak, że w w. XVI stają się już potęgą, zwłaszcza, że tradycje swe poczynają wywodzić od Gedymina i Ruryka. Trzecią warstwę, półszlachecką, tworzyli t. zw. bojarowie służebni, pełniący służbę wojenną narówni z kniaziami i ziemiaństwem, zależni jednak od nich i nieposiadający pełni praw. Mieszczaństwo nieliczne, zgrupowane w kilku większych grodach (Łuck, Włodzimierz, Krzemieniec)

żyło życiem odrębnem. Wreszcie chłopi, jak w innych prowincjach ruskich, stanowili warstwę najniższą, całkowicie uzależnioną od ziemian i kniaziów.

Od czasów Świdrygiełły był Wołyń przedmiotem nieustannych waśni między Litwą i Koroną, roszczącą sobie doń pretensje. Mimo jednak, iż spór ten Kazimierz Jagiellończyk rozstrzygnął na korzyść Litwy, przez cały okres władzy litewskiej, t. j. w wiekach XV i pierwszej połowie XVI-go wpływy kultury polskiej powoli doń się przedostają. Doszło nawet do tego, że gdy król definitywnie przyznał Wołyń Litwie (1452), ziemiaństwo wołyńskie przygotowało spisek (zresztą wykryty), mający na celu obalenie władzy litewskiej i poddanie się Koronie. Nie uczynili tego przybysze polscy, jak widzieliśmy tego przykład na Podolu, lecz rodowita szlachta wołyńska pod przewodnictwem Korczaków i Kierdejów. Spiskowcom chodziło zarówno o zachowanie odrębności dzielnicowej, w którą godził centralizm litewski, jak i o przyznanie przywilejów dla warstw przodujących — na wzór polski.

Przenikanie żywiołu polskiego na Wołyń zaczęło się już za czasów Witolda i Świdrygiełły, tak samo zresztą jak i przenikał tam katolicyzm. Witold sprowadził na Wołyń zakon dominikański, ufundował w Łucku katolicką katedrę biskupią. Jakkolwiek w późniejszych czasach katolicyzm czyni postępy, zyskując nowe placówki (kościoły w Krzemieńcu i Równem), to jednak od połowy XV w. aż do czasów Unji Lubelskiej napływ szlacheckiego elementu polskiego został zahamowany, dzięki wydaniu przez Kazimierza Jagiellończyka przywileju, nadającego dla całej Litwy prawo nabywania urzędów i dóbr jedynie przez obywateli litewskich, z wyłączeniem obcych, a więc i przybyszów z Korony. Skutkiem tego zarządzenia był napływ wielkiej ilości kniaziów litewskich, Holszańskich, Łukomskich, Druckich, Lubeckich, powiększających kadry i tak już licznych na Wołyniu rodów kniaziowskich.

Toteż wiek XVI zastał już Wołyń całkowicie pod supremacją kniaziów, licznie obdarowanych, dzierżących w rękach swych większą część kraju. Kniaziowie ci, posiadając również większość urzędów krajowych, zaczynają powoli

spychać właściwą warstwę ziemiańską, uważając ją niejako za stan podrzędny. Te to okoliczności sprawiły, że warstwa ziemiańska poczęła wyraźnie dążyć do zjednoczenia z Koroną, która nie znała uprzywilejowanej warstwy książąt, a w której cały stan szlachecki posiadał równe prawa. Gdy więc Zygmunt August, kierując się względami polityczno-strategicznemi, postanowił Wołyń i ziemię kijowską połączyć z Koroną, by na jej barki przelać część ciężaru wojny moskiewskiej — w większości warstw uprzywilejowanych na Wołyniu natrafił na grunt podatny. Jedynie możniejsi kniaziowie stanowili żywioł opozycyjny, świadomy utraty swego stanowiska uprzywilejowanego w razie przyjęcia się stosunków polskich. Jakkolwiek więc brakowało na Wołyniu żywiołu polskiego, skłonnego do połączenia się z Polską (byli w tym czasie jedynie nieliczni przedstawiciele Łaskich, Działyńskich, Gniewoszów i Łysakowskich), pogodził się szybko Wołyń z myślą przyłączenia do Korony. Mając grunt przygotowany, dokonał król podziału ziemi wołyńskiej na dwa województwa — wołyńskie (właściwy Wołyń) i bracławskie (Bracławszczyzna, po utworzeniu wojew. podolskiego włączona została do ziemi wołyńskiej), a następnie, na pamiętnym sejmie lubelskim w r. 1569 wcielił je wraz z wojew. kijowskiem i podlaskiem do Korony.

W inkorporowanych województwach kniaziowie i ziemianie zostali zrównani pod względem prawnym, otrzymując wolności i przywileje szlachty koronnej. Równocześnie jednak poczyniono na rzecz nabytych terytorjów szereg ustępstw: nie rozciągnięto na nie ustawy o egzekucji dóbr, zachowano własne ustawodawstwo (Statut Wołyński), utrzymano język ruski w urzędach i sądach, urzędy zastrzeżono jedynie dla obywateli tych województw, otwarto jednakże wrota dla nowych przybyszów z Korony. Tak więc od czasów Unji Lubelskiej stał się Wołyń nietylko integralną częścią Korony, lecz otworzył szeroko wierzeje dla osadnictwa i wpływów polskich.

Czem dla Rusi Czerwonej było Podole, tem dla Wołynia ziemie ukrainne, przekształcone zczasem w województwa kijowskie i bracławskie, pospolicie zwane Ukrainą, których rubieże gubiły się w bezkresach nizin stepowych.

Kraj, zaludniony nadto przez potomków różnojęzycznych i różnoplemiennych koczowników, z wyraźną przewagą elementu ruskiego, w ostatnich latach rządów litewskich był jeszcze „pustynią", wśród której tu i ówdzie rozsiadłe grody tworzyły istotne oazy. Jeżeli w tym czasie rozpoczyna się ruch kolonizacyjny, to idzie on bądź z Wołynia (Bracławszczyzna), bądź też z Wołynia i Polesia (Kijowszczyzna). O planowej kolonizacji ziem, poza najbliższemi okolicami Kijowa, Winnicy i innych grodów, niema jeszcze mowy. Natomiast okolice Dniepru stają się już wtedy terenami rozmaitych „uchodów", t. j. terenów łowieckich i rybackich, dla wszelkiego rodzaju samorzutnych przybyszów, uciekających z głębi kraju i tworzących zczasem pierwsze kadry ludzi „nieposłusznych", bezpańskich, nie uznających żadnej władzy.

Wśród ludności Ukrainy z okresu przed Unją element polski był oczywiście najmniej liczny, dochodzący do 2—3%. Byli to przeważnie bądź członkowie załóg wojskowych, bądź poszczególni mieszczanie kijowscy, osiedli na prawie magdeburskiem, natomiast ziemian o nazwiskach polskich nie spotykamy. Pewien, i to znacznie większy, odsetek ludności polskiej znajduje się w szeregach t. zw. „nieposłusznych", tworzących powoli przyszłą kozaczyznę. Dopiero rok 1569 utworzył dla Ukrainy nowe możliwości kolonizacyjne, a tem samem napływ elementu polskiego, względnie polonizowanie się stopniowe górnych warstw ludności rdzennej. Gdy w ciągu drugiej połowy wieku XVI uderzał napór polski na Wołyń, to na Ukrainę, z racji jej geograficznego położenia, napór ten przesunie się na epokę późniejszą, osiągając kulminacyjny punkt w chwili przełomowej dla państwa, którą bezwątpienia był rok 1648, rok wybuchu rewolucji kozackiej.

W okresie tym, który zbiega się z najwyższym rozwojem potęgi państwowej zjednoczonej Rzplitej, ziemie ruskie zmieniają w znacznym stopniu swoje oblicze etniczne, upodabniając się do reszty prowincyj Korony. Stało się to drogą zarówno stopniowego asymilowania i polszczenia ruskich warstw przodujących, jak i coraz liczniejszego napływu żywiołu polskiego. Postęp polonizacji kraju nie odbywa się wszędzie jednolicie. Ruś Czerwona i Podole,

wcześnie wcielone do Korony, zniwelowane całkowicie pod względem ustrojowym z resztą państwa, pozbawione własnych odrębności, ulegały wpływom polskim szybciej i intensywniej; Wołyń, kierujący się własnem ustawodawstwem dzielnicowem, posługujący się oficjalnie językiem ruskim, świeżo inkorporowany i zazdrosny o swe zdobycze partykularne — ulegać będzie fali polskości powolniej i oporniej; jeszcze słabiej odbije się piętno polskie na dalekiej Ukrainie, słabo zaludnionej, ulegającej powadze schyzmatycko - ruskiego Kijowa i coraz bardziej rosnącej, a nastrojonej odśrodkowo, warstwie kozackiej.

Polonizacja górnych warstw społeczeństwa ruskiego, biorąc pod uwagę nieustanne stykanie się z żywiołem polskim i brania udziału w całokształcie życia państwowego, była rzeczą nieuniknioną. Weźmy jako przykład najbardziej zwartą i zorganizowaną przed aktem inkorporacji prowincję ruską — Wołyń. Województwo wołyńskie, zżywając się coraz bardziej z resztą Korony, wyzbywa się powoli swych odrębności terytorjalnych. W r. 1578 zgadza się Wołyń na wprowadzenie ziemstw na wzór polski, utożsamiając całkowicie swój samorząd powiatowy z resztą ziem polskich. Gdy Batory ustanawiał trybunały, miał powstać w Łucku specjalny trybunał dla prowincyj wschodnich — niedługo jednak trwał, gdyż już w 10 lat później szlachta wołyńska zrzeka się własnego trybunału, ponieważ jej sprawy majątkowe zazębiają się coraz bardziej z resztą Małopolski.

Związanie ziem ruskich z Trybunałem Lubelskim było jedną z poważniejszych przyczyn stopniowej polonizacji warstw przodujących. Szlachta ówczesna, zarówno polska jak i ruska, miała usposobienie burzliwe, toteż procesowała się wciąż i znaczną część czasu przepędzała w sądach. Ponieważ miejscowe sądy grodzkie i ziemskie (biorąc pod uwagę ówczesne pieniactwo) rzadko były instancją ostateczną, więc też większość spraw opierała się o trybunał, nierzadko docierając do królewskich sądów zadwornych, asesorskich i sejmowych. Tam ziemianie ruscy spotykali się ze swoją „bracią" polską, poznawali jej język i obyczaje, a podróżując ponadto na różne zjazdy, sejmy, elekcje, rokosze, konfederacje, przyjmowali stopniowo kulturę polską,

upodobniając się do reszty obywateli Rzplitej. Zaczynało się od stroju i obyczaju — kończyło się na języku i wyznaniu.

Wprawdzie językiem urzędowym Wołynia i Ukrainy był nadal język ruski, jednakże język polski coraz bardziej zaczyna przenikać do aktów oficjalnych. Coraz częściej w urzędach tamtejszych (przedewszystkiem na Wołyniu) ukazuje się język polski; o ile wyroki sądów powiatowych są nadal wydawane w języku ruskim, o tyle wszelkie zapisy hipoteczne wnosi szlachta coraz chętniej w języku polskim. Wpływały na to dwie okoliczności. Przedewszystkiem język polski był powszechny w reszcie Korony, a ponieważ interesy szlachty wołyńskiej i ukrainnej poczęły się coraz bardziej wiązać z interesami reszty kraju (nabytki dóbr, małżeństwa, koligacje), trzeba więc było sporządzać często akty, które byłyby zrozumiałe nietylko w Łucku i Kijowie, lecz również we Lwowie, Lublinie, czy w Warszawie. Powtóre — urzędowy język ruski, używany przez wyćwiczonych w szkole cerkiewnej pisarzy, był językiem martwym, odbiegającym zdawna od języka potocznego, którym posługiwał się chłop, czy mówiący po rusku szlachcic, i zbiegiem czasu język ten staje się coraz bardziej niezrozumiały, lub wreszcie skażonym językiem polskim, upstrzonym końcówkami ruskiemi i przybranym w szatę zewnętrzną kirylicy. Jeżeli jeszcze za czasów Władysława IV instrukcje sejmików wołyńskich domagać się będą poszanowania praw języka ruskiego w urzędach — będzie to jedynie chęć utrzymania tradycji, gdyż żadnego nacisku zgóry w tej sprawie nie było, a sami projektodawcy posługiwali się już wówczas prawie wyłącznie językiem polskim.

Niezależnie od polonizacji szlachty i kniaziów ruskich, na ogólne polszczenie się prowincji wschodniej miał wielki wpływ nieustanny napływ elementu rdzennie polskiego, przedewszystkiem warstwy szlacheckiej, zarówno posesjonatów, jak wszelkiego rodzaju „gołoty". Prawo o egzekucji dóbr nie obowiązywało na kresach, toteż w ciągu w. XVI i pierwszej połowy XVII obserwujemy okres kurczenia się królewszczyzn na korzyść rozwoju dóbr prywatnych, otrzymywanych jako *panis bene merentium*. Dotyczyło to przedewszystkiem znacznych obszarów, t. zw. „pustyń" w woje-

wództwach bracławskiem i kijowskiem, nadawanych hojnie przez monarchów, zarówno na rzecz miejscowych kniaziów i ziemian, jak i przybyszów z głębi kraju. Niezależnie od immigracji, spowodowanej systemem donacyjnym, w znacznym stopniu przedostaje się na ziemie ruskie element polski drogą kupna, dzierżawy, wreszcie koligacyj i związków małżeńskich.

By się przekonać, jak dalece wkorzenił się żywioł polski w ziemie ruskie, wystarczy się przyjrzeć „Atlasowi Ziem Polskich" Jabłonowskiego, sporządzonemu dla okresu przełomu wieku XVI na XVII, a więc jeszcze prawie na pół wieku przed punktem kulminacyjnego rozwoju kolonizacji polskiej. Z pośród samych tylko znaczniejszych ziemian, przybyłych niewątpliwie z Wielko i Małopolski, spotykamy Buczackich na Podolu, Działyńskich na Rusi Czerwonej i Wołyniu, Górskich na Rusi Czerwonej, Kochanowskich na Wołyniu, Kalinowskich, rozsiadłych na Rusi Czerwonej Podolu, województwach bracławskiem i kijowskiem, Kamienieckich i Kmitów na Rusi Czerwonej, Koniecpolskich w okolicach Bełza, Lutomskich i Lanckorońskich na Podolu, Ligęzów, Lubomirskich, Michałowskich, Maciejowskich i Marcinkowskich na Rusi Czerwonej, Mieleckich na Rusi Czerwonej i Podolu, Odrowążów na Podolu, Oleśnickich i Ostrorogów na Rusi Czerwonej, Piaseckich na Rusi Czerwonej i Podolu, Pieniążków i Pileckich na Rusi Czerwonej, Potockich, osiadłych we wszystkich ziemiach ruskich, Sieniawskich na Rusi Czerwonej, Wołyniu i Podolu, Stadnickich na Rusi Czerwonej, Tarnowskich i Tęczyńskich na Rusi i Podolu, Wolskich (tamże), Zamoyskich, którzy z Rusi Czerwonej przedostali się już na Podole i Ukrainę, Zborowskich na Rusi i Podolu, Żółkiewskich poza Rusią — na Wołyniu i wojew. kijowskiem, Myszkowskich na Podolu, Odrzywolskich w Bracławszczyźnie, Pełków i Popielów na Rusi, Pretniczów i Radziejowskich na Podolu, Rejów, Ściborów na Rusi Czerwonej, Sieciechów na Podolu, Skotnickich, Trzcińskich w woj. ruskiem, Włodków na Rusi, Wołyniu i Podolu, Zakrzewskich na Rusi i Podolu, Zarębów i Żelechowskich na Rusi, Zaleskich i Złotnickich na Rusi i Podolu — nie

licząc całego szeregu pomniejszych rodów, których tu wyliczać niesposób.

Powyższe nazwiska dotyczą tylko posiadaczów ziemskich, nie mówiąc natomiast nic o całej masie dzierżawców, zarówno dóbr królewskich, jak prywatnych, zwłaszcza rozsianych na olbrzymiej przestrzeni latyfundjów ukrainnych, nie dotyczą zupełnie całego drobiazgu szlacheckiego, któremu ustawa pod utratą szlachectwa zabrania parać się rzemiosłem czy handlem, a który tworzył całe kadry oficjalistów rolnych, dworzan i wszelkiego rodzaju domowników w dobrach magnackich.

Już samo pobieżne zestawienie powyższych nazwisk wskazuje, że różnice istniejące dawniej między Rusią Czerwoną i Podolem z jednej, a Wołyniem i Ukrainą z drugiej strony, pogłębiają się. O ile pierwsze z nich poszachowane są na drobne stosunkowo majętności średniozamożnej szlachty, o tyle drugie skupiają w sobie olbrzymie latyfundja rosnącej warstwy magnatów kresowych, zarówno pochodzenia polskiego, jak i rekrutujących się z byłych kniaziów wołyńskich, przedzierzgających się powoli w książąt na wzór europejski. Im bliżej roku 1648, tem napływ szlachty polskiej, względnie spolszczonej litewskiej, staje się większy. W r. 1620 wymiera najmożniejszy na Wołyniu i Ukrainie ród kniaziów Ostrogskich, a dobra ich w znacznej części przechodzą w ręce Lubomirskich (Połonne, Lubor, Ostropol), Zamoyskich (Równe, Dorohobne), Chodkiewiczów (Zwiahel, Berezda). Wymierają powoli i inne rody kniaziowskie (Zbarascy), a miejsce ich zajmują wielkopolanie Leszczyńscy i Opalińscy (Czartorysk, Milanowicze), małopolanie Sobiescy i Firlejowie, Litwini Radziwiłłowie (Ołyka) i Chodkiewicze.

Brak danych statystycznych nie pozwala na określenie etnicznego stanu ludności miejskiej i kmiecej, wiadomo jednak, że w większych miastach, zwłaszcza na Rusi Czerwonej i Podolu, tworzą się specjalne dzielnice polskie. Wychodźtwo bowiem nie miało wielkiego znaczenia polonizacyjnego, gdyż poważny odsetek elementu wiejskiego, pozostawiony sam sobie wśród masy ludności ruskiej, już w drugiem pokoleniu ulegał rutenizacji, zwłaszcza z początku, gdy nie był wspierany przez Kościół katolicki, który

go jedynie prawie mógł na obcej ziemi zachować dla polskości.

Rozwój Kościoła katolickiego na ziemiach ruskich był jednym z czynników najpoważniejszych, wpływających na polonizację kraju. Niezależnie od bezpośredniego oddziaływania, dzięki wprowadzeniu unji kościelnej, przyczynił się Kościół w znacznym stopniu do osłabienia kleru schyzmatyckiego, w znacznej większości będącego żywiołem zachowawczym, niechętnym z natury rzeczy szerzącym się wpływom polskim. Jeżeli Unja Brzeska wywołała rozdwojenie Kościoła wschodniego, przyczyniające wiele kłopotów państwu, to było to skutkiem niezrozumienia jej znaczenia przez ogół szlachecki i nieprzyjścia z istotną pomocą biskupom unickim. Dopuszczenie biskupów unickich do senatu podniosłoby ich autorytet i nie pociągnęłoby z pewnością za sobą secesji władyków lwowskiego i przemyskiego. Zdanie, że unja pochłonęła wiele elementu polskiego na ziemiach ruskich i, utrzymawszy w Kościele swym liturgję i język ruski, przyczyniła się do rutenizacji wielkiej ilości Polaków — jest niesłuszne. Dla szlachty i kniaziów ruskich była unja prawie zawsze pomostem, prowadzącym do katolicyzmu, natomiast polska ludność katolicka do unji nie przystępowała, pozostając przy katolicyzmie, względnie rutenizowała się zupełnie od unji niezależnie.

Walka Kościołów wschodnich, niezależnie od jej konsekwencyj natury politycznej, wywołała na Wołyniu i woj. kijowskiem niebywałe dotychczas ożywienie umysłowe i zupełnie nieświadomie sprzyjała szerzeniu się wpływów polskich. Cała polemika wyznaniowa unicko-schyzmatycko-unicka odbywa się prawie wyłącznie w języku polskim. Jeśli drukowano niektóre prace kirylicą, to był to również język polski, przybrany w wschodnią szatę zewnętrzną. Sami nawet Jezuici posługiwali się nie łaciną, lecz językiem polskim. Przemawiały za tem względy natury praktycznej, gdyż łacina (poza Podolem i Rusią Czerwoną, gdzie szlachta uległa już polonizacji) mało było znana, a język urzędowy ruski kostniał coraz bardziej, podczas gdy polszczyzna zdobywała sobie prawo obywatelstwa.

Do utrwalenia polskości przyczynił się również katoli-

cyzm, działając bezpośrednio. Nie brał on oficjalnie (poza zakonem Jezuitów) udziału w walce dwóch kościołów wschodnich, lecz w miarę okoliczności posuwał się konsekwentnie na wschód. Prawosławie, wytężywszy uwagę przeciw unitom, nie zauważało, że o krok za niem posuwa się rzymski katolicyzm i zdobywa coraz więcej placówek. Nieatakowany przez nikogo, postanowił Kościół zyskać sobie sfery magnackie Rusi, by za ich możnem poparciem utrwalić swe stanowisko.

Plan ten udał się w stopniu znacznym. Kniaziowie i ziemianie ruscy, o ile pierwotnie (poza grupą Ostrogskiego) przyjęli unję, o tyle w krótkim czasie porzucają ją, przechodząc na katolicyzm. Zczasem i tego zaniechano, przechodząc z dyzunji wprost na wyznanie rzymsko-katolickie. Jednem z niepowodzeń unji było to właśnie, że magnaci ruscy nie popierali jej, lecz przyjmowali obrządek rzymsko-katolicki; nie pomagały zakazy papieskie, by Jezuici nie przyjmowali do kolegjów swych młodzieży unickiej, lecz kierowali ją do szkół unickich — rozkazu tego nie słuchali rodzice adeptów, więc też i Jezuici musieli iść za nakazami chwili. Kniaź wołyński, czy szlachcic ruski z Ukrainy, ocierający się w stolicy o sfery katolickie, podróżujący często bardzo po Włoszech i kształcący się na katolickim uniwersytecie bolońskim czy padewskim, nie chciał nadal pozostawać przy „chłopskiej wierze", za którą uważał zarówno dyzunję, jak i unję z racji jej wschodniego obrządku, lecz przechodził na katolicyzm, a syna wysyłał wprost do kolegjum jezuickiego. Na przełomie wieku XVI i XVII nie było prawie roku, by jakiś znaczniejszy ród kniaziów wołyńskich nie przeszedł na katolicyzm: uczynili to najpierw Zbarascy i Czartoryscy, za nimi Sanguszkowie i Zasławscy, dalej Wiśniowieccy, Koreccy, Poryccy i cały szereg rodzin ziemiańskich. Nawet młodzi Ostrogscy, synowie wielkiego protektora dyzunji, stali się gorącymi obrońcami obrządku rzymskiego.

Szlachta ruska, przyjmując katolicyzm, nie poprzestaje na tym fakcie, lecz nowe wyznanie propaguje w miarę sił i możności w swych dobrach. Przyjrzyjmy się tej prowincji, która do niedawna była ostoją Kościoła wschodniego i najbardziej zwartego środowiska ruskiego — Wołyniowi. Sa-

muel Korecki już w r. 1583 kładzie podwaliny kościoła katolickiego w swem gnieździe rodowem, a brat jego kościół ten wykańcza. Janusz Zasławski buduje w r. 1599 kościół parafjalny w Zasławiu, a w kilka lat później funduje klasztor bernardyński. Jerzy Czartoryski stawia w r. 1610 kościół w Klewaniu, a syn jego wprowadza Jezuitów i osadza ich w dawnym monasterze dyzunickim. Janusz Ostrogski, jeszcze za życia ojca, nie dbając na groźby i uwięzienie, oddaje międzyrzecki klasztor dyzunicki w ręce Franciszkanów, a później, stawszy się posiadaczem całej fortuny ojca, funduje kościoły w Dubnie, Konstantynowie, Stepaniu, Lutowiżu. W tym samym czasie inni fundatorzy wznoszą kościoły w Równem, Korytnicy, Krzemieńcu, Połonnem, Zwiahlu, Łucku, Lachowcach, Deraźni, Ostrogu, Lubarze, Czartorysku, Wiśniowcu, Załoźcach i szeregu innych miejscowości. W połowie XVII wieku nie było już prawie miasteczka, w któremby nie było choć jednej świątyni katolickiej, a wszystkie one prawie fundowane były przez miejscową szlachtę.

Jeżeli tak się działo na Wołyniu, stosunkowo późno uległego wpływom polskim, to na Rusi Czerwonej, tak dawno zespolonej z Polską, i Podolu, które wcale prawie nie brało udziału w walce wyznaniowej, proces polonizacji i latynizacji z natury rzeczy w tym samym czasie zrobił dalej idące postępy. Na Rusi Czerwonej, pomijając liczne klasztory (przeważnie Dominikanów i Franciszkanów) już w połowie XVI w. spotykamy 21 kościołów parafjalnych, nie licząc innych. W tym samym czasie na Podolu, przeszło dwa razy mniejszem od Wołynia, spotykamy przeszło 40 kościołów parafjalnych i klasztornych, przyczem zarówno kapituła kamieniecka, jak i poszczególne klasztory (Dominikanie smotryccy) posiadały rozległe dobra.

Tak więc ku połowie XVII st. język ruski usuwa się na Rusi Czerwonej, Wołyniu, a zwłaszcza Podolu, ze szczytu drabiny społecznej, kryjąc się po dworkach drobniejszej braci szlacheckiej, po murach monasterów, w izbach mieszczańskich i chłopskich. Znikają powoli odrębności terytorjalne. Wszystko, co działa, ma głos i decyduje — wżywa się w kulturę polską i łacińską.

Jedynie Ukraina, zwłaszcza kijowska, stawiła dość silny opór wpływom polskim i katolickim. Trzy były czynniki, działające hamująco na rozwój polonizacji kraju: 1) promieniowanie dyzunickiego ośrodka kijowskiego, 2) działalność odśrodkowo nastrojonej kozaczyzny, 3) niszczycielska działalność Tatarów, niweczących dzieło kolonizacji.

Kijów, istotna stolica Rusi schyzmatyckiej, przystąpił do unji kościelnej niechętnie i pozornie tylko; wprawdzie metropolita Rahoza zgłosił swój akces, lecz poza nim stała wroga unji i katolicyzmowi a potężna wpływami Ławra Peczerska. Jej to dziełem było wciągnięcie do akcji dyzunickiej kozaczyzny i dokonanie rozłamu w łonie Kościoła wschodniego. Dopatrując się w akcji unji zamachu nietylko na wyznanie, lecz i narodowość ruską, nie zawahało się duchowieństwo kijowskie przed szukaniem oparcia o współwyznawczą i pokrewną plemiennie Moskwę. Odnosi się to zwłaszcza do czasów metropolitów Boreckiego i Kopińskiego, nieprzejednanego wroga unji i polskości, który za pośrednictwem zadnieprzańskich monasterów dyzunickich ofiarowywał niedwuznacznie swe usługi wschodniemu sąsiadowi. Dopiero przyznanie częściowych praw dyzunitom przez Władysława IV i pojednawcza polityka Mohyły, posądzonego przez Kopińskiego o skłanianie się ku unji, uciszyły walkę wyznaniową, a co ważniejsze, odseparowały sfery kierownicze kościoła dyzunickiego od kozaczyzny.

Wciągnięcie przez kler dyzunicki kozaczyzny do akcji wyznaniowej miało ogromne znaczenie natury państwowej. Kozacy, awyznaniowi *(religionis nullius)*, bez wyraźnego oblicza narodowościowego, stali się *sui generis* organizacją stanową, jaką mogły wytworzyć ówczesne warunki geograficzno-ekonomiczne na Ukrainie, organizacją odśrodkową, aspołeczną. Bezwzględnie winą państwa była nieumiejętność zużytkowania żywiołu kozackiego i uczynienia z niego elementu osiadłego. Brak ciągłości linji politycznej ze strony państwa doprowadził do tego, że kozaczyzna, wyrosła jako konieczna samoobrona ludności miejscowej przeciw najazdom tatarskim, oręż swój zkolei zwraca przeciw własnemu państwu. Jednakże bunty kozaków były jedynie walką o anarchicznie pojęte prawo wolności — dopiero od r. 1620, gdy ducho-

wieństwo dyzunickie zwróciło się do kozaczyzny o pomoc w walce z unją, przybył kozakom w pomoc bardzo ważki argument ideowy. Odtąd wystąpienia kozackie pozorowane będą hasłami walki o wiarę, a o krok za tem szło hasło walki narodowościowej. W ten sposób kozaczyzna, mająca dotychczas jedynie wyraźne oblicze socjalne, przybierać zaczyna postawę o wyraźnem zabarwieniu wyznaniowem i nacjonalnem.

Rozrost elementu kozackiego, nieopanowanego, „nieposłusznego", był wielkim hamulcem w dziele kolonizacji Podnieprza. Kozaczyzna, zarówno rejestrowa, jak i „wypisowa", umiała sobie wywalczyć specjalne prawa stanowe, dzięki którym nie mogła być użyta jako element osadniczy, co więcej, oddziaływała demoralizująco na zwykłą ludność „posłuszną", osadzoną na pustkowiach i sprowadzaną z innych okolic, gdyż każdy wieśniak po odbyciu t. zw. „słobody" wolał, rzecz prosta, wciągnąć się do organizacji kozackiej, niż stawać się zwykłym chłopem pańszczyźnianym. Te to głównie przyczyny sprawiały, że Ukraina naddnieprzańska przez długi czas zaludniana była jedynie przez futory kozackie, nie nadając się do normalnej gospodarki szlacheckiej.

Dopiero w wieku XVII postanowiło państwo, zarówno ze względów natury gospodarczej, jak i politycznej (nacisk ze strony Turcji) przystąpić do stopniowego likwidowania kazaczyzny. W r. 1625 zabroniono kozakom i ich rodzinom przebywać w dobrach prywatnych pod utratą praw kozackich, co miało doniosłe znaczenie dla postępu kolonizacji w dobrach szlacheckich; w r. 1638 wyszła ustawa, formująca z kozaków 6000-ny zastęp wojskowy, resztę zaś zamieniająca „w chłopy obrócone pospólstwo".

Zarządzenia te, wydane, jak przyszłość miała wykazać, zbyt późno, miały doraźny skutek w postaci niespotykanie szybkiego postępu kolonizacji Podnieprza, a zwłaszcza Zadnieprza, będącego jeszcze w ostatnich latach XVI st. kompletną „pustynią", służącą w najlepszym razie jako tereny rybarcko-łowiecko-bartnicze dla koczujących jednostek. Nie mając do czynienia z ludnością „nieposłuszną", poczynają właściciele dóbr prywatnych, a za nimi dzierżawcy

olbrzymich królewszczyzn, ściągać całe masy ludności z ziem bardziej zaludnionych i osadzać je na prawie „słobodnem", które uwalniało osadników na lat 15—20 od ciężarów pańszczyźnianych, zobowiązując ich jedynie do opłaty za uprawianą ziemię. Toteż w drugiej ćwierci XVII w. następuje tak szybki wzrost ludności na Podnieprzu, że staje się to zjawiskiem wprost niespotykanem.

Rzuca się to zwłaszcza w oczy na Zadnieprzu kijowskiem, wielkiej połaci kraju, ciągnącej się od Dniepru po granicę moskiewską i stepy czarnomorskie. Cały ten obszar stanowił dobra państwowe (królewszczyzny), należące do starostw perejasławskiego i czerkaskiego; w r. 1590 środkowa część Zadnieprza, położona nad dorzeczem Suły („Posule") oddana została rodzinie Wiśniowieckich.

Od tej chwili stan posiadłości się nie zmieniał: od północy i południa ciągnęły się królewszczyzny, dzierżawione najpierw przez Żółkiewskich, następnie Koniecpolskich, trzon obejmowała ogromna „Wiśniowiecczyzna", która w r. 1590 była „pustynią", nie posiadającą ani jednego osiedla.

Koniecpolscy i Wiśniowieccy przystąpili do dzieła w tempie amerykańskiem. Hetman Stanisław Koniecpolski, przy pomocy inżyniera Beauplan'a całe dorzecze Psiołu, Worskły i Samary opasał łańcuchem warownych miasteczek, obsadzonych przez załogę polską, mającą na oku bezpieczeństwo od strony Tatarów. Posule Wiśniowieckich w r. 1630 posiada już 4 miasta, 14 większych wsi, nie licząc całego szeregu słobód i futorów, o ogólnej liczbie ludności około 4600 głów. W r. 1645 jest tam już 19 miast i kilkaset wsi, a ludność w przybliżenie dochodzi do 230.000, co na milę^2 daje około 730 głów — gęstość przewyższająca zaludnienie zdawna zagospodarowanego Wołynia. Element wiejski, prawie wyłącznie ruski, napływał przeważnie z prawobrzeżnej Ukrainy i Polesia, jednocześnie jednak zarówno królewszczyzny, jak i dobra Wiśniowieckich, nasycane są bardzo licznie elementem szlacheckim, pełniącym wszelkiego rodzaje funkcje dzierżawców, oficjalistów, dworzan, żołnierzy. Wystarczy przejrzeć spis podwładnych Jeremiego Wiśniowieckiego, by się przekonać, z jak odległych stron ściągał on szlachtę polską, dorabiającą się majątku na Zadnieprzu.

Zarówno Jeremi Wiśniowiecki, jak i Stanisław Koniecpolski byli zupełnie świadomymi pionierami polskości i katolicyzmu na Zadnieprzu. Za ich przyczyną powstają pierwsze kościoły, klasztory i kaplice katolickie (Perejasław, Łubnie, Przyłuka, Rumno, Warwa); Wiśniowiecki wszelkie akty, wychodzące z jego kancelarji, nawet nadania na rzecz klasztorów dyzunickich, każe redagować po polsku, wielotysięczna armja Wiśniowieckiego i załogi hetmana składają się prawie wyłącznie ze szlachty, przybyłej często z Wielkopolski i Mazowsza, a nadającej wybitnie polskie piętno bezludnemu do niedawna krajowi.

Zasięg kolonizacji polskiej od r. 1618 przerzuca się na rewindykowane od Moskwy ziemie siewierskie, z których utworzono wojew. czernichowskie. Kraj ten, nie narażany bezpośrednio na najazdy tatarskie, w chwili objęcia go przez Polskę, był zaludniony już dość gęsto, toteż nie przedstawiał wdzięcznego pola dla emigracji, jednakże pewna ilość dóbr państwowych pozwoliła na osadzenie całego szeregu rodzin szlacheckich, jak Kalinowskich, Kazanowskich, Kossakowskich.

Wysilając całą energję kolonizacyjną w kierunku wschodnim, ku granicy moskiewskiej, zaniedbało państwo południowe rubieże ziem ruskich, ginące w stepach czarnomorskich. Czynnikiem, hamującym ekspansję w tym kierunku, było sąsiedztwo tatarskie. Straszliwe najazdy tatarskie, zapuszczające niszczycielskie zagony na Podole, Ruś Czerwoną i Ukrainę, a czasem nawet sięgające Wołynia, były bardzo silną zaporą, hamującą normalny rozwój życia na ziemiach ruskich, powstrzymując zwłaszcza tempo kolonizacji przez uprowadzanie jasyru. Społeczeństwo szlacheckie nie umiało zastosować radykalnych środków zaradczych; uciekano się do półśrodków, bądź przez ustawienie (zbyt szczupłego) wojska kwarcianego na rubieżach podolskich i bracławskich, bądź przez budowanie pogranicznych zameczków obronnych, które Tatarzy umieli doskonale omijać. Orda nietylko ogałacała kraj z ludności, lecz była ponadto przyczyną ustawicznego stanu podniecenia, w jakiem żyła ludność kresowa, była wreszcie główną przyczyną istnienia kozaczyzny. Gdy w r. 1645 powstał zainicjowany przez

króla i Koniecpolskiego plan zniweczenia ordy i zabezpieczenia na przyszłość normalnego rozwoju ziem południowych — egoizm szlachty, obawiającej się wzrostu przewagi królewskiej, plan ten zniweczył. Jeżeli nie zdecydowano się na radykalny krok, to pozostawała jeszcze droga pośrednia, której konsekwentnie, z pomyślnym skutkiem, trzymała się Moskwa: droga stopniowego kolonizowania stepów południowych i wyparcie Tatarów z ich wygodnego punktu obserwacyjnego. Oczywiście, wykonanie tego dzieła wymagałoby wielu wysiłków i zagwarantowania bezpieczeństwa, wydałoby jednak zczasem dobre owoce. Budowa w odległych stepach Kudaku miała jedynie znaczenie strategiczne, nigdy zaś kolonizacyjne. Dopiero w przeddzień Chmielnicczyzny zaczęto poważnie myśleć nad kolonizacją stepów (nadanie Chortycy Wiśniowieckiemu) — lecz było już zapóźno. Bezpośrednie sąsiedztwo kozacko-tatarskie było jedną z przyczyn, wywołujących katastrofę w r. 1648, która zadała państwu cios śmiertelny.

Wybuch powstania Chmielnickiego wstrząsnął organizmem państwowym i na lat 50 przyniósł ziemiom ruskim okres t. zw. „ruiny". Miecz kozacko-tatarsko-turecki zdziesiątkował ludność województw południowych, zamieniając je niemal w pustynię. Kto nie poszedł w łyka tatarskie, lub nie zginął od szabli, ten uciekał na zajęte przez Moskwę Zadnieprze. Dzieło zaludnienia kraju trzeba było zaczynać od początku.

Najbardziej w okresie „ruiny" ucierpiała Ukraina. Granice jej skurczyły się przez utratę całego Zadnieprza i Kijowa z okolicami, to zaś, co pozostało przy Rzplitej, było jednem wielkiem rumowiskiem i pustkowiem. Przyczyniła się do tego polityka Moskwy, która zrezygnowawszy z prawobrzeżnej Ukrainy, postanowiła ją zamienić w pustynię. Poczynający się po „ruinie" odradzać kraj, najechał Piotr Wielki i całą osiadłą ludność przesiedlił za Dniepr. Ten sławny „zhon" w latach 1711—12, dokonany z niebywałą surowością i bezwzględnością, na długo pozostał w pamięci ludu ruskiego, a sięgał Bracławia i Niemirowa. Dopiero, gdy w kilka lat później załogi moskiewskie opuściły miasta ukrainne, ruch osadniczy wezbrał na nowo z całą mocą.

Ruch osadniczy odbywał się teraz zgoła w innych okolicznościach, niż w wieku XVI i XVII. Zlikwidowanie kozaczyzny przekreśliło samorzutny system osadnictwa, które teraz kierowane jest prawie wyłącznie z inicjatywy szlachty, zarówno właścicieli dóbr, jak i dzierżawców królewszczyzn. Wrócenie do dawnego systemu „słobód" ściągało zewsząd ludność na Ukrainę, przedewszystkiem z Polesia, Wołynia i, mimo surowych zakazów carskich, z lewobrzeża. Jeżeli przychodził chłop polski — ginął w morzu ruskiem, zwłaszcza, iż nie było kościoła, któryby go w wierze i języku utrzymał. Kościół katolicki już do dawnego znaczenia nie podniósł się. Jeszcze w połowie XVIII w. widzimy zaledwie kościół i klasztor Jezuitów w Białej Cerkwi, kościółek drewniany w Stawiszczach i kaplicę zamkową w Bohusławiu. Oto wszystkie świątynie rzymsko-katolickie na terenach królewszczyzn, które przecież stanowiły główny zrąb województwa kijowskiego; oczywiście, w dobrach prywatnych z inicjatywy właścicieli dźwigają się powoli nieliczne świątynie katolickie, nie wystarczające nawet dla potrzeb szlachty, nie mówiąc o tem, by miały jaki wpływ na osadników kmiecych. Tak więc, po okresie wojny, Ukraina stała się może bardziej ruską niż dawniej; jedynie szlachta, wszelkiego stanowiska, była już teraz w olbrzymiej większości polska, przyznając się do obrządku łacińskiego.

Niemniejszy obraz zniszczenia przedstawiało i Podole, jednakże odbudowywało się zgoła w innych warunkach. Tutaj elementem osadniczym (wiejskim i miejskim) był przedewszystkiem żywioł polski. Nie posiadamy żadnych danych o liczebności immigracji polskiej, możemy jedynie przytoczyć zdanie współczesnego pamiętnikarza, Otwinowskiego. Mówi on, że po pokoju karłowickim (r. 1699) „poczęło się powoli Podole osadzać, dokąd wiele tysięcy chłopów poszło od Wisły, a osobliwie od Przemyśla i Sanoka, że prawie całe wsie pustkami pozostały w Podgórzu; zeszło się tam i Rusi potrosze, a ci nasi Mazurowie *succesu temporis* w Ruś się przeobrażali, i może się tam teraz nazwać ten kraj polsko-ruskim". Jednakże mimo rutenizacji pierwszych kadr przybyszów polskich, Podole w znacznym stopniu zdołało zachować polskość nawet na wsi, a to ze względu na ogromną

ilość drobnej i średniozamożnej szlachty, stanowiącej wytrwały żywioł polski, jak i dzięki szybkiemu odbudowaniu się świątyń katolickich. W r. 1751 było już na Podolu 60 kościołów, a w r. 1792 128, z czego 101 parafjalnych i 27 klasztornych. Dyzunja przestała istnieć, miejsce jej zajął kościół unicki, posiadający na Podolu pięć dekanatów. O tem, jak dalece Podole mogło być nasycone elementem polskim, świadczy fakt, że oficjalna statystyka rosyjska z r. 1832 a więc w 40 lat po objęciu Podola przez Rosję, naliczyła tam 10% Polaków, przyczem za tych ostatnich uważano tylko rzymsko-katolików, zaliczając unitów w czambuł do narodowości małoruskiej.

Z wiru walki półwiekowej Wołyń wyszedł równie może zrujnowany i wyludniony, jednakże znacznie bardziej zespolony z resztą Rzplitej; w szeregu różnych koncepcyj politycznych, czy to stworzenia państwa kazackiego, czy półniepodległej Ukrainy pod protektoratem Moskwy, względnie Turcji, Wołyń nie był nigdy brany pod uwagę. Uważano go już za jednostkę zbyt silnie związaną z Polską i zbyt silnie przesiąkniętą wpływami polskiemi, nie sięgano więc z zewnątrz po jego terytorjum.

Istotnie, w wieku XVIII uległ Wołyń znacznemu przeobrażeniu, przedewszystkiem wśród jego warstw przodujących. O ile w okresie poprzednim spotykamy znaczny odłam mniej zamożnej szlachty, uważającej się za ruską i broniącej dyzunji przed wszelkiego rodzaju wpływami latyńskiemi, jeżeli szlachta ta w walce z Zachodem znajdowała wspólną platformę z kozaczyzną, to z chwilą wybuchu wojen kozackich sytuacja ta całkowicie uległa zmianie. Kozacy wywiesili wprawdzie hasło walki w obronie dyzunji, przedewszystkiem jednak prowadzili walkę socjalną, wypowiedzianą warstwie posiadającej, bez względu na jej przynależność wyznaniową, narodowościową, czy kulturalną. Mając do wyboru między obozem kozackim i polskim, szedł szlachcic wołyński do tego, który mu gwarantował życie i mienie, a znalazłszy się tam, przyjmował jego kulturę, rzucał język ruski i dyzunję, przyjmował język polski, następnie katolicyzm, aż stawał się bliźniaczo podobny do sąsiadów z za Buga.

Mieszczaństwo i lud wiejski, zawiedzione w nadziejach

przez kozaków, grabione i mordowane przez ich sprzymierzeńców tatarskich, zmieniły też swe oblicze. O ile wybuch kozacki przyjęły te warstwy z radością, o tyle zczasem, dzięki gorzkiemu doświadczeniu, odwracają się od kozaków. Mieszczaństwo, zniszczone i zubożałe, musiało się na nowo odbudowywać, a do tego potrzebna była atmosfera pokojowa, której ustawiczne zamieszki i przemarsze różnorakich wojsk dać nie mogły. Jako warstwa kulturalniejsza od chłopów, stykająca się stale ze szlachtą, przyjmuje mieszczaństwo powoli jej obyczaje, język, a często wyznanie, stając się w końcu XVIII w. w znacznej części polską, zwłaszcza, że wobec wyludnienia zasilają się miasta wołyńskie elementem rdzennie polskim. Chłopi, dalecy od haseł walk politycznych i wyznaniowych, przyjęli masowy udział w powstaniu kozackiem jedynie w nadziei poprawy bytu materjalnego, uzyskania wolności i zrzucenia jarzma pańszczyźnianego. Gdy nadzieje te zawiodły, uchodzili gremjalnie za Dniepr, a ci, co zostali, popadli w rezygnację. W tym też czasie zaczyna się pierwsza naprawdę fala immigracji ludności wiejskiej z Podlasia i Lubelszczyzny na Wołyń, tworząc cały szereg wsi rdzennie polskich. Ośrodki te w większej części mogły zachować swą polskość dzięki zupełnemu w tym czasie zwycięstwu unji i rozrostowi Kościoła rzymskiego.

Dodatni wpływ na stabilizację stosunków wołyńskich miało zwycięstwo Kościoła grecko-katolickiego nad dyzunją. Unja nie była i nie mogła być środkiem, prowadzącym do polonizacji kraju, gdyż wszelkie tendencje nacjonalistyczne z natury rzeczy leżą poza sferą interesów Kościoła, jednakże z punktu widzenia państwowości polskiej unja przyniosła wiele korzyści przez usunięcie wpływów kleru dyzunickiego, nastrojonego do kultury polskiej niechętnie i odśrodkowo. Duchowieństwo unickie, oparte o państwo, wychowywało społeczeństwo ruskie w atmosferze lojalności względem państwa, czego widome znaki dali Bazyljanie w czasie powstania kościuszkowskiego.

Równolegle z postępami unji rozwijał się na Wołyniu Kościół katolicki. W okresie lat 1660—1795 powstało na Wołyniu sto kilkadziesiąt nowych kościołów i klasztorów przy odpowiednim wzroście liczebnym duchowieństwa. Roz-

wój katolicyzmu był naturalny, gdyż, jak była już mowa wyżej, szlachta prawie bez wyjątku przyjęła obrządek zachodni; duchowieństwo katolickie, ukończywszy swą misję wśród szlachty, miało teraz za zadanie utrzymanie przy katolicyźmie tych rzesz mieszczańskich i chłopskich, które, wywędrowawszy z głębi Polski, znalazły się na terytorjum obcem pod względem narodowościowym. Misję tę Kościół w znacznej mierze wypełnił.

Tak więc, ku końcowi istnienia Rzplitej zasięg kolonizacji polskiej na ziemiach ruskich zdołał powrócić mniej więcej do chwili jego najwyższego natężenia z połowy XVII stulecia. Jeżeli zasięg skurczył się terenowo, to przybrał, zwłaszcza na Wołyniu, na intensywności nasilenia. Jednakże niemoc społeczeństwa, zbyt długo pozwalającego sobie na okres dezorganizacji i zastoju, spowodować miał niebawem katastrofę państwową, która przekreślić miała również w znacznej części wielowiekową pracę kulturalną i kolonizacyjną narodu polskiego na ziemiach ruskich.

Dr. Wład. Tomkiewicz.

Turcja wobec elekcji Walezego.

Trzech historyków zajęło się bliżej sprawą stosunku Turcji do elekcji Henryka: Polak, Francuz i Turek. Wincenty Zakrzewski, publikując w 1878 r. swe niezastąpione do dziś dzieło *Po ucieczce Henryka*, rzucił bardzo dużo światła i na wypadki, rozgrywające się przed wyborem Andegaweńczyka, a ówczesną politykę Turcji wobec jego elekcji niezmiernie wnikliwie i trafnie ocenił i scharakteryzował.[1]) Markiz de Noailles, opisując związki Henryka z Polską, zajął się również stanowiskiem Porty wobec jego elekcji głównie pod kątem widzenia stosunków francusko-tureckich.[2]) Wreszcie ostatnio krótką sześciostronicową rozprawkę o stosunku wielkiego wezyra Mohammeda Sokollego wobec zmiany tronu w Polsce napisał uczony turecki Ahmed Refik.[3]) Rozprawka ta oznacza się zdumiewającą wprost nieznajomością spraw polskich; autor naprz. twierdzi, że Polska za czasów Sokollego istnienie swe zawdzięczała państwu ottomańskiemu(!)[4]) Autor najwidoczniej zupełnie nie orjentuje się w ówczesnej sytuacji politycznej; stosunku Turcji do Polski i do Moskwy zupełnie nie rozumie i ocenia ten stosunek pod kątem widzenia wypadków XVIII i XIX w. Wyzyskana została zaledwie drobna część

---

[1]) Zakrzewski, *Po ucieczce Henryka*. Dzieje bezkrólewia 1574—1575. Kraków, 1878 r. str. 67—72.

[2]) Noailles, *Henri de Valois et la Pologne en 1572*. Paris 1867 t. II, str. 323—325.

[3]) Ahmed Refik, *Sokolli Mehmet Pacha et le trône de Pologne Pensée Turque*, str. 89—95.

[4]) Str. 90.

źródeł do badanego zagadnienia, a i tego tak skąpego materjału autor nie umiał należycie zanalizować i powiązać. Toteż rozprawka ta przedstawia tylko pewną względną wartość, jako dokument tego, w jaki sposób i na jakim poziomie niektóre zagadnienia z dziejów stosunków polsko-tureckich są rozumiane i przedstawiane przez historjografję turecką.

Przyjmując pogląd Zakrzewskiego na politykę Porty wobec bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta, starał się piszący dorzucić garść szczegółów przez tego badacza pominiętych i w konsekwencji podać czytelnikowi obraz przedmiotu bardziej drobiazgowy i dokładny, aniżeli mógł to uczynić historyk traktujący dane zagadnienie jedynie ubocznie.

I.

Z końcem lata oraz jesienią 1569 r. wpływowi dygnitarze Porty ottomańskiej, wielki wezyr Mohammed Sokolli, naczelny tłumacz Ibrahim bej, poseł turecki do Francji Mahmut bej, oraz bogaty bankier żydowski José Miquez poczęli z agentami francuskimi w Konstantynopolu prowadzić znamienne rozmowy. Pierwszym Francuzem, któremu Sokolli wyjawił swe plany, był agent finansowy rządu francuskiego Claude du Bourg. [1])

Intrygant, ale przytem człowiek naiwny i niedoświadczony, du Bourg nie orjentował się w grze politycznej Turcji i całkowicie poszedł na lep pięknych słówek i obietnic wielkiego wezyra. Sokolli w towarzystwie Machmut beja przyjął w ostatnich dniach sierpnia łatwowiernego Francuza i zaczął wypytywać go o plany matrymonjalne Karola IX, czy mianowicie prawdą jest, że król francuski zamierza wstąpić w związki małżeńskie z córką cesarza. Na odpowiedź du Bourg'a, że słyszał o tych projektach, ale nie umie w tej mierze powiedzieć nic pewnego, basza oświadczył, iż

[1]) O osobie du Bourg'a por. Charrière, *Les négociations de la France dans le Levant,* publiés pour la première fois par... t. III Paris 1853. Collection de documents inédits sur l'histoire de France publiés par les soins du Ministre de l'Instruction publique. Première série. Histoire Politique, str. 63 przyp. 1. i str. 64, przyp. 1.

małżeństwo takie byłoby bardzo miłe sułtanowi, gdyż w ten sposób umocniłaby się jego przyjaźń z cesarzem. Następnie basza zaczął pytać się o brata królewskiego księcia Anjou i wysunął projekt małżeństwa jego z królewną polską Anną. Król polski — mówił — jest wielkim władcą i pierwszym z książąt chrześcijańskich, który zawarł przyjaźń z sułtanem. Annę zaś Polacy przeznaczyli już do objęcia dziedzictwa po bracie. Wreszcie poruszył wezyr sprawę jednego jeszcze małżeństwa, mianowicie królewny Marguerity, późniejszej słynnej „reine Margot", z księciem Siedmiogrodu Janem Zygmuntem Zàpolyą. Jan Zygmunt — zapewniał — jest prawdziwym królem, synem prawdziwego króla i królowej; sułtan Soliman kochał go jak rodzonego syna, a przed wyprawą, w której śmierć znalazł, przysiągł, że nie złoży oręża, póki korony węgierskiej nie odda Janowi Zygmuntowi.

Du Bourg zachwycił się pomysłami Sokollego; w szczerość słów baszy nie wątpił ani na chwilę, gdyż „mógł czytać to z jego twarzy i z ruchów, na które zwracał baczną uwagę". Rozmowa ta wydała mu się tak ważną, że nie śmiał powierzać jej listom wysyłanym z Konstantynopola, a opisał ją dopiero w obszernym memorjale, zredagowanym prawie rok później w Wenecji. Wówczas to du Bourg w propozycjach Sokollego postawił kropki nad i i pierwszy, zdaje się, wysunął myśl kandydatury Henryka do tronu polskiego. Zwracał uwagę Karola IX, że Porta wpływami swemi w Polsce dużo mogłaby w tej mierze zrobić, a dodać do tego należy „pewne naiwne i naturalne upodobanie, które Polacy zawsze mieli wobec Francuzów". Wiek Henryka i Anny nie jest pono dobrany, ale „potęga tak wielkiego królestwa, które zawsze wystawia do boju 80 tys. dobrych koni, zrobi zawsze siostrę królewską bardzo młodą i pożądaną". [1])

Rzecz jasna, że Turkom nie chodziło wcale o rozszerzenie wpływów domu walezjuszowskiego ani o przyszłość Henryka. Celem tej intrygi Sokollego było jedynie osłabienie cesarza przez wzmocnienie malkontentów węgierskich i ich głowy, księcia siedmiogrodzkiego. Porta, zawarłszy

[1]) Por. list du Bourg'a do Karola IX, 30 sierpnia 1569 r. Konstantynopol, Charrière str. 72—75 i memorjał jego napisany w Wenecji prawdopodobnie w czerwcu 1570 r., *ibidem* str. 73—78 przyp.

w 1568 r. ośmioletni rozejm z cesarzem, nie życzyła sobie wybuchu wojny nad Dunajem, zajęta była bowiem prowadzeniem działań zaczepnych przeciwko Moskwie w wielkiej wyprawie na Astrachań i Kazań.[1]) Toteż gdy Jan Zygmunt usiłował znowu wywołać wojnę z cesarzem, spowodował wielkie niezadowolenie w Stambule. Sułtan zwrócił się nawet do króla polskiego z prośbą, aby powstrzymał wojenne zapędy siostrzeńca.[2]) Zajęci wojną na północo-wschodzie, musieli Turcy posługiwać się na północo-zachodzie tylko bronią dyplomatyczną. Sokolli więc słusznie kombinował, że spokrewnienie Zàpolyi z Walezjuszami stanowiłoby trwałą przyczynę niezgody między cesarzem a królem francuskim. Gdyby zaś małżeństwo nie doszło do skutku, to i tak poruszenie tej sprawy starczyłoby do wytworzenia między dworami paryskim a wiedeńskim atmosfery nieufności. Projekt małżeństwa księcia Andegaweńskiego z infantką polską również rzucony był z myślą stworzenia nowego źródła nieporozumień między Habsburgami a Francją. Związek wszakże między Janem Zygmuntem a królewną francuską był w oczach Sokollego daleko ważniejszym. Dyplomata turecki Machmut bej wysłany został do Francji przedewszystkiem w tym celu, aby przekonać Karola IX o korzyściach płynących z małżeństwa Zàpolyi z Margueritą. Zarazem Sokolli, Ibrahim bej, Miquez i również inni dostojnicy wciąż na ten temat konferowali z posłem francuskim w Stambule Grantrie de Grandchamp. Zapewniali, że francuska królewna nie wyjdzie zamąż za księcia o niepewnej pozycji, gdyż Jan Zygmunt ma najpiękniejszą przyszłość przed sobą; Turcja bowiem dołoży wszelkich starań, aby po śmierci Zygmunta Augusta został obrany królem polskim. Ze swojej strony sułtan odda mu Wołoszczyznę i Mołdawję. Te ostatnie obietnice odegrały później, jak zobaczymy, pewną dość znaczną nawet rolę.

Bardziej od du Bourg'a z wielką polityką obeznany

---

[1]) Hammer, *Histoire de l'Empire Ottoman depuis son origine jusqu'a nos jours*, t. VI str. 338—341.

[2]) Pajewski, *Węgierska polityka Polski w połowie XVI wieku* (1540—1571). Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności. Kraków 1932, str. 221—222.

Grandchamp odrazu sceptycznie potraktował tureckie projekty. Ocenił je niewątpliwie słusznie pisząc do Karola IX, że Turcy pragną w ten sposób uniemożliwić zbliżenie między cesarzem a Francją, a zarazem zapobiec niebezpieczeństwu, jakieby dla nich wynikło, gdyby korona polska dostała się Habsburgom. [1])

Zdaje się wszakże, że Grandchamp nieufnie odnosił się do projektów tureckich nietyle z ostrożności, ile przez osobistą niechęć do du Bourg'a, który się do nich tak zapalił. Grandchamp miał zresztą daleko idące plany co do własnej karjery. Więcej bowiem niż obowiązkami poselskiemi zajmował się projektem własnego małżeństwa z córką bogatej wdowy po byłym hospodarze wołoskim Mircea Ciobanul, która miała mu dać w posagu 30 tys. dukatów. Zamyślał także o zdobyciu dla siebie Wołoszczyzny, gdzie rządził Petru Schiopul, brat jego narzeczonej. [2]) Stąd zamiar oddania księstw wołoskich Janowi Zygmuntowi nie mógł być po jego myśli.

Mniej jeszcze zapewne niż ambasador de Grandchamp entuzjazmował się myślą spokrewnienia z księciem siedmiogrodzkim dwór francuski, chociaż daleko świetniejszą partją dla Marguerity był pan z panów Zàpolya, niż córka kupców florenckich dla ojca jej Henryka II. Swatano przytem Margueritę z królem portugalskim, a więcej jeszcze z królem Navarry Henrykiem. Zresztą sprawa małżeństwa siedmiogrodzkiego stała się nieaktualną, gdyż 14 marca 1571 r. Jan Zygmunt zmarł na atak serca.

Więcej jeszcze niż losem Marguerity zajmowano się w Paryżu ustaleniem przyszłości księcia Anjou. Przez czas jakiś myślano o wyswataniu go z Elżbietą królową angielską, z czem ze strony angielskiej wiązano daleko idące nadzieje, jak przyjęcie protestantyzmu przez Karola IX, ba

---

[1]) Dwa listy Grandchamp'a z 16 października 1569 do Karola IX i do Katarzyny Medycejskiej, Charrière, str. 82—94. Raport Adama Franchi do cesarza z 2 października, Hurmuzaki Ludoxin, *Documente privitoare la istoria Românilor*, t. II cz. I, Nr. 572, str. 590—591.

[2]) Jorga, *Geschichte des Osmanischen Reiches nach den Quellen dargestellt*, t. III Gotha 1910, str. 139.

nawet upadek papiestwa.[1]) Pojawiły się także i bardziej awanturnicze plany zaopatrzenia brata królewskiego. Myślano mianowicie, aby jako lennik turecki objął rządy Algeru. Nic więc dziwnego, że aluzje Sokollego i entuzjastyczne rady du Bourg'a znalazły na dworze francuskim przychylne przyjęcie i obok projektów angielskich i algerskich zaczęto w Paryżu brać pod uwagę myśl osadzenia Henryka na tronie Jagiellonów. Jan Montluc popierał wobec Katarzyny Medycejskiej myśl małżeństwa Henryka z Anną Jagiellonką z tem, że Zygmunt August przeprowadzi wybór Andegaweńczyka na swego następcę.[2]) Z najbliższego otoczenia Henryka zwrócono się więc do Franciszka de Noailles biskupa Daxu, jadącego właśnie w ważnej misji dyplomatycznej do Turcji, z prośbą o opinję w sprawie małżeństwa królewicza z Elżbietą. Biskup zatrzymał się przez osiem dni w Lugdunie w sierpniu 1571 r. i ułożył tam jako odpowiedź obszerny memorjał, w którym omówił sytuację polityczną Europy w związku z planami Henryka. Projekt małżeństwa jego z Elżbietą uznał za bardzo szczęśliwy i wykazywał ile korzyści przyniesie on Francji. Ale obok tego zwrócił uwagę i na królewskie widoki polskie Andegaweńczyka. Zaznaczał, że sprawa ta wymaga długiej a tajemnej pracy przygotowawczej w Polsce jeszcze przed śmiercią Zygmunta Augusta. Sądził przytem, że łatwo będzie skłonić sułtana „według środków, które wtedy będą pod ręką" do poparcia Henryka podczas elekcji. Sułtan oczywiście będzie wolał widzieć Henryka królem polskim, niż księciem Siedmiogrodu lub władcą Cypru. Henryk bowiem jest zbyt wybitną indywidualnością, zbyt wsławił się już zwycięstwami odnoszonemi w młodzieńczym wieku, aby Turcy zgodzili się na zbyt bliskie z nim sąsiedztwo, zwłaszcza iż stara przepowiednia mówi, że państwo osmańskie zginie od oręża francuskiego.[3])

Czy i jak rząd francuski wprowadził w życie rady biskupa de Noailles i rozpoczął zabiegi jeszcze za życia Zygmunta Augusta o koronę polską dla Henryka — nie wchodzi to w zakres niniejszej pracy. Chodzi nam tylko o stwier-

[1]) Pastor, *Geschichte der Päpste*. T. VIII, Freiburg 1928, str. 379.
[2]) Noailles, t. I, str. 48—49.
[3]) Memorjał w drukowany u Charrière'a przyp. 1, str. 168—173.

dzenie, że po raz pierwszy bodaj myśl kandydatury Andegaweńczyka do tronu polskiego rzucona była ze strony tureckiej.

II.

6 sierpnia 1572 r. przybył do Konstantynopola goniec od sandżaka Benderu z wiadomością o zgonie króla Zygmunta Augusta.[1]) W pierwszej chwili w tureckich sferach rządowych zapanowała dezorjentacja. Nie zdawano sobie dokładnie sprawy, jakie stanowisko zająć należy wobec bezkrólewia i przyszłej elekcji w Polsce. Ponieważ Rzeczpospolita nie zawiadomiła Porty urzędowo o śmierci króla, uważano, iż ta ostatnia urzędowo nic o tem nie wie. Toteż sułtan i wielki wezyr wystosowali pod adresem zmarłego władcy listy, domagając się wydania hospodara wołoskiego Bogdana, który od pewnego czasu popadł w niełaskę u Porty i został na stolcu hospodarskim zastąpiony przez Iwonię. Sprawa Bogdana, który schronił się w Polsce, ciągnęła się już od dłuższego czasu i była przedmiotem legacji cześnika halickiego Andrzeja Taranowskiego.[2])

Odrazu też zaniepokoiły się kierujące sfery tureckie możliwością wyboru któregoś z arcyksiążąt, co oznaczałoby wciągnięcie Polski w orbitę wpływów zdecydowanie antytureckich. Wkrótce po gońcu od sandżaka Benderu przybył do Stambułu czausz z Budzina również z wieścią o śmierci króla polskiego z tym dodatkiem, że Polacy zwrócili się już do cesarza, ofiarowując koronę jednemu z jego synów. Basza budziński oświadczył wprawdzie pogardliwie, że Polacy mogą swym królem wybierać kogo chcą, sułtan bo-

[1]) Poseł cesarski w Turcji Karol Rym do cesarza, 14 sierpnia. Hurmuzaki, t. II, cz. I, Nr. 615, str. 636.

[2]) Listy sułtana i wezyra z 24 sierpnia, Hurmuzaki, t. II, cz. I, Nr. 616 i 617, str. 637—639. Karol Rym do cesarza, 4 września, *ibidem*, Nr. 618, str. 640–641. O legacji Taranowskiego krótka wzmianka u Turyna, *De Aelii Aristidis Codice Varsoviensi atque de Andrea Taranowski et Theodosio Zygomala*. Nakładem Akademji Umiejętności. Archiwum Filologiczne Nr. 9, Kraków 1929, str. 21—22. W sprawie Bogdana korespondencja króla, sułtana, Sokollego, Ryma w Archiwum Głównem w Warszawie, Turcica, karton 77. Rkps. Muzeum ks. Czartoryskich Nr. 611 oraz Hurmuzaki, t. II, cz. I.

wiem dość już ma królestw pod swemi rządami.[1]) Basza mijał się wszakże z prawdą; ani sułtan nie zadawalał się ziemiami, które on i jego przodkowie podbili, ani też Turcji nie było wszystko jedno, czy Polska prowadzić będzie nadal politykę pokojową, czy też zjednoczy się z wrogiemi państwu osmańskiemu potęgami. Do tej drugiej ewentualności Porta nie mogła dopuścić. Wielki wezyr Sokolli zapytał Taranowskiego o jego opinję w sprawie przyszłej elekcji, a na uwagę posła, że przeszłości przewidywać nie może, odparł, że Polacy powinni pamiętać, że dom austrjacki nie ma stałego pokoju z Turcją; w razie więc wyboru arcyksięcia nie mogliby być uważani za przyjaciół, lecz za wrogów.[2])

Daleko ciekawsze rozmowy prowadził Sokolli z posłem francuskim, znanym nam już biskupem Daxu, Franciszkiem de Noailles. Biskup kończył wtedy rokowania o nowy traktat z Turcją. Obok tego żywo zajmował się algerskiemi projektami księcia Anjou. Łagodził i zmieniał instrukcje otrzymywane w tej sprawie z Paryża, robił Turkom wielkie obietnice na przyszłość, ale w gruncie rzeczy nie wierzył, aby Porta zgodziła się na objęcie przez królewicza francuskiego rządów Algerji.[3]).

Do zajętego temi sprawami, a przygotowującego się już do rychłego odjazdu ambasadora zwrócił się wielki wezyr z zachęcającemi aluzjami w sprawie przyszłości Henryka i elekcji polskiej. Po śmierci króla Zygmunta Augusta — mówił — siostra jego, żarliwa katoliczka, wybrana została królową z tem, że w przeciągu dwóch lat ma wyszukać sobie męża, który wtedy będzie natychmiast koronowany na króla. Tymczasem do boku jej dodano radę dla zawiadywania sprawami państwa, złożoną z dwóch biskupów i dwóch panów świeckich. Wiadomości te wydały się biskupowi dość ważne, zwrócił się więc do Taranowskiego z prośbą o wyjaśnienie. Poseł polski zastrzegł się, że nie otrzymał wieści z kraju, ale dodał, że informacje Sokollego uważa za bardzo prawdopodobne. Następnie niewiadomo czy w jakiś

[1]) Cyt. wyż. list Karola Ryma z 14 sierpnia.

[2]) Cyt. wyż. list Karola Ryma z 4 września.

[3]) Korespondencja biskupa z Karolem IX i Henrykiem w tej sprawie u Charrière'a, str. 291—294 i 299—300.

sposób sprowokowany przez biskupa, czy też z własnej inicjatywy — oświadczył, że panowie polscy byliby jaknajlepiej wobec kandydatury Henryka usposobieni. Noailles odmalował wtedy niezmiernie pochlebny obraz cnót i zalet królewicza, kładąc szczególny nacisk na jego wielkie sukcesy wojenne w tak młodym wieku. Pan cześnik halicki nie w ciemię był bity i na awanse Francusa awansami ze swej strony odpowiedział. Oświadczył mu, że ma stosunki z najmożniejszymi senatorami, a na zapewnienie, iż Henryk będzie umiał okazać swą wdzięczność, Taranowski „obiecał cuda". Tą samą zapewne taktyką — „obiecywaniem cudów" potrafił zręczny poseł uchronić w rok później kraj od groźnego najazdu moskiewskiego. Noailles oświadczył jeszcze Taranowskiemu, że dobrym — jego zdaniem — środkiem do zjednania Polaków dla kandydatury Henryka byłaby interwencja sułtana. Żywo odparł na to Taranowski, że byłaby to najprostsza droga do odwrócenia Polski od kandydata francuskiego. Polacy — tłumaczył biskupowi — tyle krzywd doznali od Turcji, że zaraz po elekcji chcą wszcząć z nią wojnę. Układny stosunek zmarłego króla względem Porty najskuteczniej przyczyniał się do obniżenia jego autorytetu u szlachty.

Pod wpływem rozmów z Sokollim i Taranowskim, Noailles wyrobił sobie pogląd tego rodzaju, że są poważne widoki uzyskania dla Henryka korony polskiej i że należy podjąć odpowiednie w tym kierunku starania. „Myślę — pisał do królewicza — że to przedsięwzięcie (t. j. objęcie rządów w Polsce) jest bezporównania pewniejsze, większe i bogatsze, niż algerskie, gdyż w Algerji są tylko buntownicy i malkontenci, skłonni do ciągłych zamieszek; w przeciwieństwie do tego Polska to kraj dostatni i wojowniczy, który może wystawić do boju 100 tys. jazdy, nie licząc piechoty i nie licząc wielkiego księstwa litewskiego, które zmarły król nierozdzielnie włączył do swego królestwa". [1])

Wiadomości powyższe o rozmowach biskupa Daxu z wielkim wezyrem i z posłem polskim wypadnie bliżej zanalizować. Nie ulega wątpliwości, że Sokolli, opowiadając

[1]) Noailles do Henryka, 2—4 września Charrière, str. 300—302.

posłowi francuskiemu fakty przez siebie zmyślone w wyborze Anny Jagiellonki na królową Polski i o koronacji jej przyszłego męża, w sposób bardzo ostrożny, bardzo dyplomatyczny zachęcał dwór francuski do wysunięcia kandydatury Henryka. A jednak Turcja wyboru Henryka sobie nie życzyła i Noailles pod tym względem nie miał żadnych złudzeń. O ile rok przedtem, pisząc w Lugdunie swój memorjał, sądził, że Turcy poprą starania królewicza o koronę polską, o tyle teraz, po dłuższym półrocznym zgórą pobycie w Stambule widział, mimo aluzji Sokollego, że zjednanie sobie poparcia Turcji będzie rzeczą niezmiernie trudną, jeśli nie niemożliwą. I było to zupełnie zrozumiałe. Nie życząc sobie wyboru Henryka, Porta pragnęła jednak wysunięcia jego kandydatury, gdyż to szachowało kandydata austrjackiego i fatalnie zmniejszało jego szanse, nie mogło przytem nie wpłynąć na pogorszenie stosunków między Wiedniem a Paryżem.

Znamienne jest również zachowanie się Taranowskiego. O ile zrozumiałe jest zupełnie, że w rozmowie z posłem francuskim wyrażał się on o kandydaturze Andegaweńczyka bardzo dyplomatycznie i „obiecywał cuda", to dziwniej trochę brzmiały jego zapewnienia, jak to szlachta polska pałała chęcią wojny z Turkami. Można to wytłumaczyć tylko w ten sposób, że Taranowski starał się w miarę możności zapobiec wmieszaniu się Porty w sprawy polskie. Zapewniając zatem Noailles'a, że poparcie sułtańskie odstręczyłoby serca Polaków od kandydata francuskiego, pragnął przeszkodzić jakimś francuskim intrygom w Stambule, które niekorzystnie mogłyby się odbić na biegu spraw w Polsce.

Noailles zresztą zajmował się w owym czasie polską kandydaturą Henryka tylko dorywczo i z własnej inicjatywy. Celem jego ówczesnej legacji było zawarcie traktatu zaczepno-odpornego przeciw Hiszpanji. Francja chciała mieć zapewnione tyły na morzu Śródziemnem, aby mieć ręce rozwiązane w Niderlandach i móc przejść tam do zdecydowanego ataku. We wrześniu 1572 r. układy z Portą były już zakończone. Wynik ich uważał poseł francuski za swój wielki triumf i w liście do króla oddawał sobie zupełną sprawiedliwość. Świeżo podpisany traktat określił jako najkorzyst-

niejszy, jaki kiedykolwiek zawarto na Wschodzie. Bardzo zadowolony ze swych sukcesów opuścił Noailles w końcu września Konstantynopol. [1]) Parę tygodni przedtem w pierwszych dniach września wyjechał do Polski Taranowski. [2])

III.

Dość późno, bo dopiero w listopadzie, [3]) przybył do Stambułu goniec z Polski z listami, w których senatorowie zawiadamiali Portę o zgonie króla. Toteż teraz dopiero po tem zawiadomieniu urzędowem pospieszyli sułtan i wielki wezyr wyrazić swe ubolewanie z powodu śmierci wiernego sprzymierzeńca Porty ottomańskiej i udzielić Polakom cennych rad w sprawie wyboru przyszłego władcy. Pismo swe rozpoczął Selim II wspomnieniem Zygmunta Starego i dobrych stosunków, jakie łączyły tego monarchę z Turcją: „Król wasz, który od dawnych czasów — pisał sułtan do senatu — szczerze i prawdziwie w miłości z nami żył, z tego świata do inszego żywota z woli Bożej przestąpiwszy, znowu na jego miejsce syna jego własnego królem obraliście byli, i ten na rozkazanie Boże musiał się stawić, a trudno woli i przejrzeniu Bożemu przeczyć. A tak wspomniany Król Wasz, mądrze i obyczajnie się sprawując, czas swój odprawił, wiedział i znał się na przyjaciołach, z nim przyjaźń nasza i postanowione przymierze od synów do synów trwać miało. Toż przymierze i taż przyjaźń jako za jego żywota była i teraz ustawać abo psować się nie będzie, gdyż to Wasze Królestwo dawnego naszego Przyjaciela Królestwo było i, jakoście tego przymierza naszego za jego żywota z obu stron ochraniając uczciwość jemu czynili i teraz z powinnymi pokrewnymi i z pany, którzykolwiek są, ochraniane będzie i aby kto obcy miał do państwa Przyjaciela mego wchodzić, żadną miarą nie pozwalam, bo wspomnianego Przyjaciela naszego Panowie Wezyrowie i wszyscy znaczni ludzie naszymi przyjaciółmi są i jaka miłość za żywota

[1]) Noailles do Karola IX 28 listopada, Raguza. Charrière, str. 312-317. O misji Noailles'a por. komentarze Charrière'a, str. 229-230.

[2]) Noailles do Karola IX 6 września. Charrière str. 298—302.

[3]) Karol Rym do cesarza, 30 listopada. Hurmuzaki, t. II, cz. I Nr. 623, str. 645—646.

zmarłego była, takaż teraz i potem z jego pokrewnymi i przedniejszymi pany ustawać nie będzie. Przeto radzę Wam i naukę dawam, abyście koło tego dobrze, porządnie i roztropnie postępowali. Słyszeliśmy też, że skądinąd do tego królestwa różne sposoby i drogi przez poselstwa podając, kto wniść i Królem Waszym zostać chce. Wiedzcież, że takowych ta wola jest, aby Was z państwa Waszego wyzuwszy, tułaczami i żebrakami poczyniwszy, od żon, synów i córek i od dóbr Waszych Was odłączyli, a tem się sami zbogacili, a aby Was snadniej ułowić mogli i oszukać, będą Wam rozmaicie przysięgać, ale nieprawdziwie, bo jako skoro noga ich w Królestwo Wasze wnijdzie, wszystkich Was pozakowawszy rozproszą. Pomyślcież o tem porządnie, a Familji albo Domu zmarłego Króla Waszego nie opuszczajcie. Jeśli kto jest z pokrewnych królestwa Jego godny, jemu wszyscy wspólnie dopomagajcie i wspólną radą i zgodą jakoście za żywota Króla zmarłego Przyjaciela Naszego czynili — czyńcie nie puszszając między się nikogo obcego, abyście z synami i córkami Waszemi spokojnie siedzieli. Jeśliby też z pokrewnych wspomnianego Przyjaciela Naszego nikt nie był królestwa tego godzien, tedy wedle Waszego zwyczaju z pośrodka siebie zgodnie z poprzysiężeniem króla uczyńcie, a drudzy pozostali bądźcie mu posłuszni, aby królestwo Wasze obcemu w ręce nie wpadło, a Familja i miejsca Wasze aby wcale zostawały. A to my, co widzimy Wam być pożytecznego szczerze radzimy i póki tej naszej rady i nauki one wdzięcznie przyjąwszy słuchać będziecie, wszyscy Nasi bejowie i wszystkie wojska będą Wam ku pomocy".

Podobnych rad i zaleceń udzielił Polakom i Mohammed Sokolli. W zapewnieniach przyjaźni poszedł nawet nieco dalej niż sułtan, gdyż na wypadek najazdu na Polskę obiecywał jej zbrojną pomoc turecką. „A tak — pisał do senatorów — jeśli Wy rady Cesarza Najjaśniejszego słuchać będziecie, a następowałby kto obcy na Królestwo Wasze, prędko do Wysokiej Porty oznajmujcie wiedząc, że w tamtych krajach będący sędziakowie i ukrainni ludzie i Akindzijowie są zawsze gotowi, a potem ze wszystkiem wojskiem przyciągnąwszy, towarzystwa Wam dopomóc gotowi jesteśmy,

gdyż z Waszym ostatnim Królem będące przymierze, jakoby z synami i córkami pozostałemi było". [1])

Listy te określają dokładnie stanowisko, jakie zajęła Porta wobec elekcji w Polsce. Chęć utrzymania z Rzecząpospolitą poprawnych stosunków sąsiedzkich, a stąd pragnienie, aby na tronie zasiadła infantka Anna, jedyny przebywający w kraju członek rodu Jagiellonów, a gdyby to się okazało dla jakich bądź względów — niemożliwe — ktoś z panów polskich, który chciałby i mógłby politykę zmarłego króla kontynuować; zarazem obawy, aby przez wybór Habsburga lub Rurykowicza polityka Rzeczypospolitej wobec Turcji nie uległa zmianie, a stąd ostrzeżenia przed obcymi książętami, którzy dybią tylko na całość i niezawisłość królestwa — oto polityka, jaką Turcja przez cały czas bezkrólewia miała poprowadzić wobec swej północnej sąsiadki.

Toteż poseł cesarski w Stambule Karol Rym łudził swego władcę donosząc mu, że sułtan nalega szybko, aby Polacy wybrali swym królem przyjaciela Porty, nie sprzeciwiając się elekcji cudzoziemca. [2]) Od samego początku bowiem, jak widzieliśmy, Porta zaznaczała wyraźnie, że jest przeciwna wyborowi obcego księcia.

---

[1]) Oryginały tych listów wraz ze współczesnemi tłumaczeniami Otwinowskiego w Archiwum Głównem w Warszawie, Turcica karton 68. Oba listy błędnie datowane „pod pełnią miesiąca Zylkade 941 r. t. j. między 15—23 maja 1535 r. Z treści wynika niezbicie, że są to pierwsze listy wysłane do Polski przez sułtana i wezyra po śmierci Zygmunta Augusta. List wezyra do senatu, które łacińskie tłumaczenie posłał Karol Rym cesarzowi, Hurmuzaki, t. II cz. I Nr. 621, str. 643—644 z datą 20 listopada 1572 r. jest najprawdopodobniej jedną z kopji cytowanego wyżej listu wezyra; tłumacz świadomie czy nieświadomie zniekształcił jego treść.

[2]) Cyt. wyżej list Karola Ryma z 30 listopada.

(Dokończenie nastąpi).

Dr. Janusz Pajewski.

Jakób Rivière.

Jakób Rivière to jedna z najciekawszych i najsympatyczniejszych postaci literackiego świata francuskiego lat ostatnich, a historja jego wewnętrznych przeżyć jego walk, jego pełnego życia i przedwczesnej śmierci jest z pewnością jednym z najbardziej wstrząsających dramatów duszy ludzkiej, jest prawie mistyczną historją zwycięskiej walki Boga z człowiekiem o jego duszę.

Jakób Rivière był pisarzem, literatem (choć słowa tego nie cierpiał), krytykiem, a przedewszystkiem redaktorem pisma literackiego „Nouvelle Revue Française", pisma skupiającego koło siebie najlepsze siły młodej literatury francuskiej.

Ale jak trafnie o nim powiedział G. Duhammel „należał on do tych, którzy mają do podpisania coś więcej jak tylko książki". Bo rzeczywiście wpływ jego nie da się wytłumaczyć jego pisanem dziełem, jakkolwiek ono jest dobre i inteligentne. Olbrzymi ten wpływ i kult, jakim do dziś otoczona jest pamięć młodego redaktora, wskazują na niezwykle silną indywidualność. Bo nie urok ani sława wielkiego pisarza grupowała koło niego ludzi i poddawała ich jego wpływowi. Wpływ jego wyprzedził właściwie działalność literacką i płynął z jakichś ukrytych a potężnych źródeł wewnętrznych. Sam fakt, że żył, żył potężnie, bez kompromisów, z rzadko spotykaną szczerością wobec siebie, z dziwną lojalnością względem swej wewnętrznej prawdy, wywierał przedziwny urok na jego otoczenie.

Aby zrozumieć Rivièra i tę jego najgłębszą prawdę, z której płynęła i jego działalność literacka i praca redaktorska i to stanowisko „dyrektora dusz", jakie zajął od lat najmłodszych, trzeba poznać jego dzieje wewnętrzne a przedewszystkiem jego tak ciekawe ewolucje i tak bolesne walki religijne. Bo mało kto może,

tak jak Rivière, był człowiekiem z jednej bryły. Był on do przesady prawie skrupulatnym w wewnętrznej uczciwości i nigdy nie zdarzyło się, tak jak się to nieraz zdarza, żeby po jakiejś wewnętrznej przemianie front jego zewnętrzny, słowo mówione, czy pisane, szło rozpędem dawnych, a już nieaktualnych przekonań. Nie miał żadnego fałszywego wstydu i odrazu szczerze ukazywał się nazewnątrz takim, jakim zaczynał być „naprawdę".

Urodzony w Bordeaux 15 lipca 1886 r. w rodzinie katolickiej, otrzymał wychowanie religijne. Pierwsze jego odsunięcie się od wiary, jako młodego chłopca, nie przedstawia nic szczególnie ciekawego. Poszło ono zwykłą drogą zetknięcia z niewierzącymi kolegami, niedoważonych młodzieńczych filozofowań, antyreligijnej lektury.

I znowu książka nasuwa młodemu Rivièrze wątpliwości przeciwne, budzi i ożywia zagadnienie, które w swej prostolinijnej młodej zarozumiałości uważał za definitywnie rozstrzygnięte i z zakresu zainteresowań wyeliminowane. Ą gdyby jednak ta odrzucona z taką dumą i pewnością religja była prawdziwa? Autorem, który zburzył jego sceptyczny spokój wewnętrzny, był wielki poeta Paweł Claudel. Toteż do niego, choć nie zna go osobiście, zwraca się listownie Rivière o pomoc, a wkrótce i o ratunek. I można śmiało powiedzieć, że mało jest tak wzruszających, prawie rozdzierających, dokumentów ludzkich walk i niepokojów, jak ta właśnie korespondencja.

Dla jego szczerej i wewnętrznie uczciwej duszy, pytanie, czy religja j e s t p r a w d z i w a czy nie, jest decydujące. „Trzeba przedewszystkiem chcieć prawdy, prawdy jakaby nie była". Żadne inne względy, ani potrzeba moralnego oparcia, ani etyka, ani potrzeba dyscypliny, ani żadne względy użyteczności społecznej nie istnieją dla niego. Nie ma w sobie nic z praktycznej pseudoreligijności Barrèsa, nic z religijności wysnutej u wielu z umiłowania tradycji i ładu. Rivière nieomylnym instynktem swej bezkompromisowej i do dna każdej kwestji idącej duszy wyczuł i zrozumiał odrazu, że jest tylko jedno pytanie: czy religja katolicka jest prawdziwa, czy nie. Jeśli nie, nonsensem jest używać jej formuł i nakazów do załatwiania jakichkolwiek spraw życia. „Bo religja interesuje nas tylko o tyle, o ile jest prawdziwa". „Niepodobna zrozumieć tych, którzy twierdzą, że trzeba jej bronić, dla jej społecznej użyteczności, nawet jeśli się w nią nie

wierzy. Maurycy Barrès! Co za zniewaga dla religji!" Natomiast jeśli religja jest prawdziwa, wszystko przed nią ustępuje. Wtedy ona jedna musi być pierwsza i decydująca w każdej gałęzi życia i niema wymagań, których by postawić nie mogła. Jeśli raz uwierzymy z całą pewnością, że Bóg jest, i że ten Bóg objawia nam swą naukę w religji katolickiej, to zupełnem szaleństwem byłoby Mu się sprzeciwiać, choćby ta nauka wydała nam się jak Apostołom, „mową twardą", choćby Jego wymagania wydały się, nam najsroższe. Skoro jest i jest Bogiem niema się co spierać i targować.

Rivière nie robił nigdy nic połowicznie, więc i teraz ten dramat wewnętrzny pochłania go całkowicie. I co dziwne się może wydać tym, którzy mało się interesowali temi najtragiczniejszemi dramatami wewnętrznemi, jakiemi są nawrócenia, jest to, że teraz najboleśniejszym i najtrudniejszym do przezwyciężenia jest już nie bunt myśli, lecz bunt woli. „Jestem przekonany o Bogu. Wiem, że otaczają nas rzeczy nieznane i niewypowiedziane tajemnice, tylko nie chcę przełożyć Boga nad siebie". Rivière krzyczy z rozpaczliwą szczerością, że nie chce być katolikiem. Nie chce tego uniżenia myśli i serca, którego chrześcijański Bóg wymaga. Nie chce ładu, spokoju, wytłumaczenia świata, które mu obiecuje katolicyzm. Broni się wszystkiemi sposobami. Niemożnością, drwinami, bagatelizowaniem swoich wewnętrznych niepokojów. Claudel zna ten bunt: „ja — pisze on w liście z 4 lutego 1909 r. — który otrzymałem wielkie łaski i który pewniejszy jestem prawdy katolicyzmu, niż tego, że słońce świeci, tak, pewny jakgdybym Chrystusa własnemi oglądał oczyma, potrzebowałem jednak 4-ech lat, żeby zwyciężyć wzgląd ludzki, choć od pierwszej chwili miałem wiarę tak zupełną, jak dzisiaj".

U Rivièra działają znacznie głębsze pobudki niż wzgląd ludzki. Jego ewentualne nawrócenie nie będzie dla niego tylko jakiemś moralnem oparciem, jakąś ozdobą życia, wprowadzeniem nowych praktyk, czy częściową zmianą przekonań. Dla niego będzie to przebudowa całego jego dotychczasowego „ja", zburzenie wszystkiego, co było, prawdziwie zupełnie nowe „narodzenie się". Z nieubłaganą swą logiką widzi, że po przyjęciu religji nie będzie już dla niego żadnych kompromisów, ani półśrodków, że zostać katolikiem to znaczy wejść na drogę świętości, doskonałości i wyrzeczeń, a rozumie, że to droga twarda i trudna. A czyż może

przyjąć wiarę, nie wyciągając z niej ostatecznych konsekwencyj? „Przypuśćmy, że nawrócę mój umysł, pisze do Claudela, nie będę mógł jednak oddziaływać na moje uczynki, uchwycić ich, ująć w karby, zadać im gwałtu, zamienić je, tak jak trzeba w nieustanną do Boga modlitwę... W takim razie czuję, że lepiej nie wierzyć, niż wierzyć nie praktykując". A praktykować dla niego, to być doskonałym; „Daj mi siłę zerwać to wszystko... nakłoń mnie do Boga. Wszystko pewnego ranka zostawić, wstać, aby już nie wrócić, mieć już tylko swą nagość do ofiarowania... Takbym tego pragnął, a nie mogę!"

Ale „zaplątawszy się w sieci Chrystusowe", jak pisze do niego Claudel, nie może się już z nich wyrwać. W tej tragicznej walce, odbitej z całą szczerością w przepięknej korespondencji z Claudelem, uderza nas jedna rzecz: z początku jest ona ze strony Rivièra szukaniem przeczuwanej prawdy, potem jakby rozpaczliwą przed nią obroną. Rivière zanim się jeszcze nawrócił, czuł nad sobą przemoc Bożą i choć starał Mu się wymknąć całą bujnością i zmiennością swej impulsywnej natury, miał w głębi duszy bolesne i trwożne przeczucie swej ostatecznej przegranej w tej walce. „Są chwile, w których jestem głęboko przekonany, że napowrót zostanę katolikiem. Nie mogę sobie wyobrazić jak, ale wierzę w to..." „jeśli kiedykolwiek mam być nawrócony, zmusi mnie do tego tylko jakaś siła wewnętrzna". A po nawróceniu pisze te znamienne i jakby prorocze słowa: „Jakżeż różnorodne metody może mieć Bóg, aby zbudować naszą wieczność: może się posunąć aż do tego, żeby niektórym kazać umrzeć w warunkach wyjątkowych i w ten sposób stworzyć im od jednego razu zasługi, którychby sami nie umieli osiągnąć." Gdy się zna całe życie Rivièra, a zwłaszcza okoliczności jego przedwczesnej śmierci, prorocze te słowa muszą nas przejąć zgrozą i zdumieniem. Widzimy w nich przepowiednię klęski człowieka w jego walce z Bogiem. Bo rzeczywiście ma się wrażenie, że Bóg duszę Rivièra chciał zdobyć i zdobył przemocą.

Siedm długich lat trwała obecnie ta walka. Pierwszy list Rivièra do Claudela, ówczesnego ambasadora w Tienstinie, datowany jest z lutego 1909 r., Rivière miał wtedy lat 20. Szła ona, jak całe zresztą życie Rivièra, linją krzywą. Z początku ma się wrażenie, że Rivière jest już, już, u progu wiary, z taką namiętną tęsknotą ręce ku niej wyciąga. Potem natężenie to słabnie.

I Claudel, który na wszystkie jego wątpliwości z największą odpowiadał cierpliwością, wydaje się już zniechęcony. Ale wkońcu widocznie zwyciężyła łaska. O tym ostatnim okresie wahań i zmagań mniej mamy wiadomości, bo listy Rivièra z tego okresu zaginęły. Tylko z odpowiedzi Claudela możemy wnioskować o ich treści, a z ostatniego, datowanego z dnia 5 stycznia 1914 r., dowiadujemy się, że w tym czasie Rivière przystąpił do Sakramentów z najżywszą wiarą i pobożnością!

Po siedmiu latach walki Bóg zdobył duszę Rivièra.

4-ego sierpnia 1914 r. ogłoszona jest mobilizacja, a 24-ego sierpnia dostaje się Rivière do niewoli niemieckiej. Trzy lata spędzi w niemieckich obozach. Nadarza mu się wprawdzie sposobność, aby złagodzić swój los: jego znajomy, Waldemar von Seydlitz, dawny minister sztuk pięknych w Saksonji, chce go wyciągnąć z obozu. Proponuje, aby lata wojny spędził raczej jako gość Niemiec, niż jako jeniec. Ale Rivière odmawia. Nie chce żadnych złagodzeń, żadnych wyróżnień, chce znosić „swój los". „J' entends subir mon sort proprement". Z ofiarowanych mu ulg przyjmuje tylko książki.

Te długie lata osamotnienia, odcięcia od świata i ciszy, to jakby długie rekolekcje, czas ugruntowania się w wierze świeżego konwertyty. W monotonnem, płaskiem i ogłupiającem życiu obozowem budzi się w Rivièrze tak mu właściwy duch propagandy, budzi się w nim człowiek czynu i apostoł. Odrazu wybija się na kierownicze stanowisko wśród swoich towarzyszy, staje się ich dyrektorem i doradcą. Aby uniknąć obniżenia i zagaśnięcia życia duchowego wśród tępoty niewoli organizuje odczyty, konferencje i pogadanki. Przygotowuje się do nich starannie, przemyśliwuje i notuje tematy, które będzie poruszał. Są to przeważnie tematy religijne. Snuje plany, aby napisać apologetykę katolicyzmu i robi plan tego dzieła. Wpatrzony pilnie w swą duszę notuje każde jej poruszenie. Notuje swoje walki, upadki, zwycięstwa. Prowadzi jakby ewidencję swego stosunku do Boga. Po śmierci Rivièra, żona jego zebrała i wydała wszystkie te notatki, zapiski i szkice, pod tytułem: „A la trace de Dieu". Powstała z tego, mogę śmiało powiedzieć, jedna z najpiękniejszych, najgłębszych i najbardziej bezpośrednich książek religijnych, jakie zdarzyło mi się czytać.

Claudel we wstępie, którym tę książkę opatrzył, pisze:

„Wielka książka! książka przeznaczona do długiego dobrze czyniącego żywota", a dalej zaznacza słusznie, że główną osią tej książki jest myśl o absolutnej, objektywnej prawdzie Boga i przez Niego podanej religji katolickiej. Bóg nie jest ani wypływem naszych pojęć, ani dążeń, jest Bytem osobowym, realnym i bezwzględnym. Tą prawdą niejako Rivière ciągle się cieszy i delektuje, ją to w swych szkicach apologetycznych chce drugim wyjaśnić i uprzystępnić. Z tej też swej wiary w Boga osobowego, z tej swojej, jakby namacalnej wiedzy o Bogu płynie cały jego do Boga stosunek, żywy, prosty często niemal dziecinnie poufny: „Boże mój, jesteś tak godny podziwu, tak zabawny w zręczności, z jaką wykonywujesz Twoje zamierzenia, że radością jest być w Twojej służbie i być narzędziem Twojej przemyślności. Dziękuję Ci Boże mój, że mi tę rolę zachowałeś!"

W długie zimowe wieczory czyta dzieła św. Teresy i „Naśladowanie". Jest zdumiony, prawie przerażony, jak sam powiada, widząc, że w swej drodze do Boga robił nieświadomie to, co jest zalecane przez Mistrzów życia duchowego. „Myślę więc, że droga wiodąca do Boga jest rzeczą namacalną, która istnieje poza nami, i że chodzi tylko o to, aby ją znaleźć, a to znowu cóż za oczywisty dowód istnienia Boga". Ale jak słusznie mówi Claudel, Rivière mistykiem nie jest. Jest on przedewszystkiem myślicielem, człowiekiem intelektu, który umysł i dane człowiekowi przez Boga zdolności uważa za najświętsze narzędzie Jego służby, toteż modli się: „Proszę Cię, Boże mój, abyś dalej mówił do mego rozumu, abyś mnie pouczał Twemi znakami, abyś pozwolił mi czytać w Twoich zamiarach, jak to czyniłeś dotychczas. Oto jest przydział, o który śmiem prosić, ponieważ Ty sam żądałeś mojej inteligencji i stopniowo wciągałeś ją całkowicie w straszliwe zazębienia Twojej prawdy". Ale Rivière jest także człowiekiem czynu, więc chce z pomocą Bożą zdobytą prawdę rozszerzać i drugim udzielać. „Może jestem posłany, aby rozpalać pochodnie przed tymi, co posługują się myślą i aby pomagać w wytyczaniu tej drogi umysłowej, która nie jest najmniej królewską z pośród dróg wiodących do Ciebie". Pracę tę rozpoczyna zaraz w obozie. Skłonił do powrotu do Boga jednego ze swych towarzyszy, a raczej naprowadził go na „ślad Boga". Jest tem głęboko wzruszony: „Jakie wzruszenie widzieć, jak ktoś wpada w Twoje sieci, Boże mój, tak samo jak i ja w nie wpadłem. Jak-

żeż jesteś potężny i straszliwy! Jakież wzruszenie czuć, że potrzebowałeś mnie, że już się posługujesz mojem pośrednictwem, aby powołać do Siebie duszę! O gdybyż mi się mogło udać to pierwsze doświadczenie. Boże mój natchnij mnie, podsuń mi moją lekcję!"

Gdy się czyta te tak przejmujące uwagi, rozmyślania i porywy duszy do Boga, gdy się czyta modlitwę: „Boże mój, spraw, abym mógł równie skutecznie oddziaływać na moich ukochanych, gdy do kraju powrócę" — zdawaćby się mogło, że człowiek tak wiarę rozumiejący, tak z Bogiem blisko obcujący, pójdzie już prostą drogą doskonałości i apostolstwa.

Ale nieobliczalne i nieprzewidziane są drogi słabości ludzkiej.

Po trzechletniej niewoli zdrowie Rivièra zaczyna coraz bardziej słabnąć. Znajomi różnemi staraniami zamieniają jego niewolę na internowanie w Szwajcarji. W tem internowaniu spędza rok, lecząc się i odpoczywając. Po tej rocznej kuracji, po zakończeniu wojny, spotykamy Rivièra już w wirze paryskiego życia. I tu wymyka nam się wszelki ślad jego życia wewnętrznego i religijnego. W ruchliwym redaktorze i pisarzu nie widzimy śladu mistyka, rozmodlonego i apostołującego więźnia. Przeciwnie, widzimy go już dość od religji dalekiego, czy też dla niej obojętnego. Jaka była ta droga odwrotu nie wiemy. Może i on sam nie wiedział. Przeważnie ludzie zdają sobie jasno sprawę z ewolucyj wewnętrznych, prowadzących ich do odnalezienia, lub zdobycia wiary, czy też do znaczniejszego postępu w cnocie. Jest to praca aktywna, wymagająca świadomości i współpracy i nieświadomie odbyć się nie może. Ruch przeciwny, cofanie się fali, osłabnięcie wiary i cnoty jest często prostem zatrzymaniem się na drodze w górę, krótką przerwą w czuwaniu i wysiłku. Ten krótki wypoczynek, ta chwila wahania, duchownego zdrzemnięcia się wystarcza często, aby zniszczyć całą już przebytą drogę. Budząc się, człowiek zapytuje się ze zdumieniem, jak to się stało, że cofnął się tak daleko. Staje często przerażony wobec faktu dokonanego. Jawne są i widoczne bijące źródła nowych uczuć i sił a prawie nieuchwytne jest powolne wysychanie rzeki. Może u Rivièra stało się to, przed czem ostrzegał przyjaciela Claudel: „przyjemności i prace życia wyleczą cię wkrótce, tak jak wielu innych, z wszelkiego metafizycznego niepokoju". Może po okresie ciszy i bezczynności uderzyły w Rivièra zbyt silnie

i gwałtownie prądy życia i zdławiły wybujałą, ale może zbyt mało zahartowaną roślinę jego wiary. Może miał za mało tej woli, o której mówił, że jest potrzebna, aby przetrwać chwile cofania się łaski, chwile, w których Bóg milknąc, nie jest już namacalnem doświadczeniem wewnętrznem. A może wkońcu uległ Rivière subtelnej pokusie wewnętrznej, bo jak pisze jego żona, nie przestał być katolikiem w swych przekonaniach wewnętrznych, ale, uważając się za zamało doskonałego, nie chciał innym swoich religijnych przekonań narzucać, nie chciał jako katolik występować publicznie i „stanąć w szeregu". I stało się to, o czem tak pięknie pisze Papini, że ogień, który przestaje nowe niecić płomienie, sam powoli wymiera i gaśnie.

Może jedna z tych przyczyn zacierała powoli u Rivièra ślady religijności, może, i najprawdopodobniej działały wszystkie po trochę. W każdym razie w dziele Rivièra, począwszy od roku 1919 nie natrafiamy już na ślady żywszego życia religijnego, ani religijnych zainteresowań. Zresztą i przyjaciele Rivièra wiedzieli o tem jego odwróceniu się od religji. Oto co pisze o tym okresie Franciszek Mauriac, sam, jak wiadomo, gorliwy katolik: „Cały wysiłek Rivièra w tych latach ostatnich zdawał się sprzeciwiać jego najgłębszym dążeniom. Ten chrześcijanin chciał zpowrotem stać się Grekiem (grekiem w zrozumieniu Nietzschego); przywrócił i odbudował zpowrotem barjery krytyczne, które ongiś, w epoce pokuty, rozmodlenia i łez był zwalił. Starał się z zajadłością zniszczyć w sobie tę „nadnaturę", którą każe nam osiągnąć chrystjanizm. „W każdym razie Rivière nigdy przeciwko religji nie występuje, coby też potwierdzało przypuszczenie, że nie jest to dobrowolne i świadome odtrącenie religji, ale jakby wyśliźnięcie się z niej, pod wpływem innych, bardziej Rivièra narazie fascynujących zagadnień.

W roku 1919 otwiera się zpowrotem po wojennej przerwie „Nouvelle revue française", miesięcznik literacki, jeden z najlepszych i najruchliwszych we Francji. Rivière odrazu zostaje jego redaktorem. W całej jego bujnej i jakby gorączkowej pracy literackiej z tego okresu (a był to twórczo najpłodniejszy okres jego życia) przebijają się te same cechy umysłu i charakteru, co i ongiś cechowały jego walki o wiarę i religijne wzloty: rzetelność, wewnętrzna uczciwość, zapał, chęć czynu. Pourrat powiada, że Rivière pisze, bo to jego czyn, a Fernandez twierdzi, że nie

był „książkowy" a i sam Rivière boi się, żeby nie być „literatem". Rivière jest przedewszystkiem krytykiem. W krytykę wierzy jak w czyn, mogący przerobić literaturę i dusze. A o to mu chodzi przedewszystkiem. Choć zamiłowany w idejach, ma jednak wstręt do t. zw. „beaux esprits". Zawsze pochłonięty zagadnieniami najistotniejszemi, nie lubuje się ani nie interesuje zbytnio zagadnieniami formy, arabeską i zewnętrzną ozdobą sztuki. Stąd cechy jego stylu: jasność, prostota, pewna nawet surowość. Zdanie jego ogołocone z wszystkiego co zbyteczne, idzie niejako w głąb, zawsze zdaje się szukać, czasem wskutek tego jest wahające, bo nie jest pewne, czy wydobyło z głębi myśli to właśnie, co konieczne i najistotniejsze.

Dorobek literacki Rivièra to przeważnie artykuły i studja, rozsiane po pismach i zebrane potem w tomy studjów. Najważniejsze są studja o Prouście i o Claudelu, traktat „wiara" i „O szczerości względem siebie samego". Jest też cały szereg krytyk i studjów muzycznych, bo Rivière początkowo marzył o tem, by zostać krytykiem muzycznym. Są też studja o malarstwie, artykuły społeczne i polityczne. Oprócz krytyk wydał Rivière za swego życia dwie książki: studjum o Niemcach p. t.: „L'Allemand" i powieść „Aimée".

„L'Allemand" jest może jedną z najlepszych jego prac, zwłaszcza pierwsza jej część p. t. „Według natury". Stara się w niej oddać psychologję Niemców (le génie allemand), czerpiąc materjały ze swej długoletniej obserwacji Niemców podczas niewoli. Ale chociaż Rivière okazał tu niezmiernie wiele wnikliwości i zdaje się, że naogół trafne wysnuł wnioski ze swych obserwacyj, był jednak człowiekiem zbyt impulsywnym i namiętnym, aby stać się obserwatorem chłodnym i bezstronnym. Z każdej kartki tej książki, mimo widocznych czasem wysiłków do bezstronności, bije nienawiść i pogarda dla Niemców.

Tego rodzaju studja zawsze cierpią na pewne uproszczenia i zbyt szybkie uogólniania i w najlepszym razie zawierają prawdę tylko częściową. Toteż, chociaż studjum Rivièra jest pisane dobrze, żywo i inteligentnie, najciekawszą częścią jego pracy są przedmowy (do pierwszego i drugiego wydania). W przedmowie zwykle autor objaśnia, uzasadnia, a często i usprawiedliwia swe stanowisko i zwykle wyczytuje się z niej ukrytą sympatję piszącego do tego, co napisał. Rivière robi wręcz przeciwnie. Jego

przedmowy to jakby przeproszenie czytelnika za wydane dzieło, ostrzeżenie go przed złemi uczuciami nienawiści, które to studjum może w nim wzbudzić, ostre obwinienie siebie za napisanie książki stronniczej i jeszcze raz ostrzeżenie, żeby jej nie brać dosłownie, i czytając uwzględnić rozdrażnienie i z niego wynikającą niesprawiedliwość autora. Nie wiem, czy kto kiedykolwiek poprzedził swą książkę tak niepochlebną przedmową. Ale w tem właśnie samooskarżeniu jest cały Rivière. Dla niego książka jest czynem. A po ochłonięciu z przykrości niewoli uznał, że ten czyn jest może krzywdzący i zbyt surowo sądzący wrogów. A w każdym razie, że może się przyczynić do rozdmuchania tak bardzo szkodliwych nienawiści narodowych. Bo Rivière po wojnie stał się, może nie z uczucia, ale z przekonania gorącym zwolennikiem porozumienia z Niemcami. Więc ze zwykłą sobie szczerością przyznaje się odrazu do popełnionego błędu i chce go naprawić.

Po przeczytaniu tych przedmów nasuwa się pytanie, dlaczego Rivière, tak ostro sądzący swą książkę, wydał ją jednak. Uznawszy ją za szkodliwą i niesprawiedliwą, najprostszą chyba rzeczą było wrzucić ją do kosza. Niech rzuci na niego kamieniem pisarz, który mając w tece dzieło, doskonale napisane, interesujące, chwalone przez znawców, wrzuci je do kosza!... Zresztą nieubłaganą, okrutną logiką logiczne są tylko małe dzieci i wielcy święci, a życie ludzi zwykłych pełne jest wzruszających kompromisów z logiką, tem częstszych i tem mniej nazewnątrz zrozumiałych, im bogatsze są ich natury i umysły.

Rivière przy całej swojej wewnętrznej uczciwości, dbałości jedynie o prawdę („W dniu, w którym mi ktoś dowiedzie, że Jacques Rivière choć raz uczynił coś przez podstęp, że popełnił czyn, mogący choćby zdaleka trącić perfidją, złośliwością lub zawiścią, w tym dniu powiem sobie z rozpaczą, że nie jest możliwem spotkać na świecie duszy pięknej" — powiedział Lacretelle), ten Rivière, dyrektor dusz i człowiek czynu, nie był jednak wolny od ambicyj literackich. I jak prawie każdy pisarz współczesny, marzył o napisaniu dobrej powieści. Próbował też sił na tem polu. Ale, o ile był świetnym publicystą i krytykiem, powieściopisarzem nie był. Jedyna jego powieść „Aimée", jest słaba i nudna. To znaczy jest inteligentna i zawiera w sobie dużo ciekawych myśli, ale, choć miała ten zamiar, powieścią wła-

ściwie nie jest. Zdarzyło się Rivièrowi to, co często zdarza się nawet doskonałym i inteligentnym pisarzom: swoje poglądy, refleksje, uwagi i uczucia wziął on za żywe życie i stworzył postacie, które mądrze wprawdzie mówią, ale wcale nie żyją. Boulenger pisząc o „Aimèe" powiedział, że Rivière był za inteligentny, aby napisać powieść. Jest to z pewnością paradoks, bo inteligencja rzadko do czego zawadza, ale w każdym paradoksie kryje się cześć prawdy. Może był nie za inteligentny, ale zanadto intelektualny, zanadto zajęty ideami, a za mało prostemi obrazami życia. — „Zasadniczą zaletą powieściopisarza, powiada dalej Boulenger, jest, żeby był wzrokowcem i żeby obrazy chował jasno w pamięci. Jacques Rivière jest przeciwieństwem wzrokowca, jest on typem człowieka, który gromadzi swoje wspomnienia w formie wzruszeń, człowiekiem, który nie pamięta obrazów, ale wywołane przez nie uczucia". „A więc J. Rivière, chcąc napisać powieść, musi operować swojemi wspomnieniami-wzruszeniami. Wzruszenie może się w literaturze wyrazić albo jako idea albo jako obraz, a ponieważ umysł Rivièra nie wydaje z siebie obrazów, musi więc swe uczucia wyrażać ideologicznie. Cała jego powieść i postacie są abstrakcją". Sam Rivière skarży się także na brak imaginacji i czuje, że teren powieści nie jest dla niego odpowiedni. „Imaginacja jest moją słabą stroną. Staram się rozwijać mój talent w kierunku, który mu nie jest właściwy". Ale mimo tego próbuje się jeszcze na tym obcym sobie terenie i pisze drugą powieść, „Florentine", której już jednak nie skończył.

Sam może Rivière nie zdawał sobie sprawy ile tragicznej słuszności było w jego powiedzeniu, że nie jest i nie chce być literatem. Bo rzeczywiście nie to, co za życia podpisał i wydał stanowi największą jego wartość jako pisarza. Nad poprawne i ciekawe jego studja i artykuły musimy stanowczo przełożyć wydane po śmierci notatki („A la trace de Dieu") i listy, a nad twórczość literacką wpływ i urok osobisty, którym podbił swe otoczenie.

Rivière miał to szczęście, trzeba przyznać, dość wyjątkowe, że był na stanowisku najbardziej zgodnem z jego usposobieniem i zdolnościami, na stanowisku redaktora. Gdyby jakiś współczesny Baltazare Castiglione chciał napisać dzieło o idealnym redaktorze, to chyba musiałby za wzór wziąć Rivièra. Bo wy-

marzonym redaktorem bywa zazwyczaj człowiek o wielkiej pojemności umysłu, o zaostrzonym zmyśle krytycznym, o zdolności rozumienia wielu rodzajów twórczości i wczuwania się w różne sposoby pisania. Ludzie, posiadający te właściwości, rzadko są sami silnemi indywidualnościami twórczemi, bo człowiek piszący ma z konieczności swój własny kąt patrzenia i z konieczności wczuwa się mniej lub więcej wyłącznie jedynie w swój sposób pisania. Rivière był wymarzonym typem redaktora: silną indywidualnością jako człowiek, mniej silną jako pisarz oryginalny, twórczy. Miał natomiast jakiś dziwny dar budzenia w drugich drzemiących w nich, nieraz nieuświadomionych jeszcze darów i zdolności, miał umiejętność kierowania drugimi, wskazywania właściwej im drogi, miał talent zagrzewania ich i zachęcania do pracy. I nietylko te cechy umysłowe, ale i cechy charakteru czyniły zeń znakomitego redaktora. Bo charakter dla redaktora jest równie ważny, jak zalety umysłowe. Redaktor musi umieć odmówić przyjęcia artykułu. Nawet przyjacielowi, nawet czasem naświetniejszemu pisarzowi musi umieć powiedzieć przykre „nie do druku". Musi mieć cierpliwość i sumienność czytania foljałów manuskryptów, przynoszonych do każdej redakcji przez „młodych". Musi mieć tę ustawiczną dbałość o rzecz samą, o linję swego pisma i nie ulegać wpływom i sugestjom wielkich nazwisk. Musi mieć wiele taktu, połączonego z odwagą cywilną i stanowczością, aby odmawiać nie obrażając a zachęcać nie schlebiając.

Te właśnie zalety: odwagę cywilną, pracowitość, sumienność, niezależność sądu a przytem wielką uprzejmość i brak zarozumiałości posiadał Rivière w stopniu bardzo wysokim. Toteż ten młody redaktor, miły i uprzejmy, nieledwie nieśmiały w obejściu, a jednak tak stanowczy i zdecydowany w sądzie, zdobył wkrótce olbrzymi wpływ na wszystkich swoich współczesnych. Pourtalès pisze po jego śmierci: „Tracąc Rivièra, literatura francuska traci więcej jak pisarza, traci kierownika sumień, traci dyrektora. A to nieskończenie więcej, jak stracić stylistę".

Myślę, że na dnie tego dziwnego wpływu Rivièra leży jego napozór bardzo nieznaczna, a w istocie tak rzadko spotykana właściwość: Rivière umiał słuchać. Gide, mówiąc o zaletach jego rozmowy, tak się dalej wyraża: „a co jeszcze rzadsze umiał drugiego wysłuchać; a słuchał nie przez uprzejmość lub ogólnikową

potrzebę sympatji, ale przez wewnętrzną potrzebę zrozumienia i zajęcia stanowiska".

Tak jak w swem dążeniu do religji Rivière nie interesował się sobą, lecz Bogiem, mniej myśląc o tem, co religja mu da, a więcej o tem, co on Bogu będzie winien, tak i w stosunku do ludzi zapominał o sobie, a umiał całem sercem i umysłem zająć się drugimi, a przez to prawdziwe, ciepłe i serdeczne zainteresowanie się każdym, kto się do niego zbliżył, umiał tak sobie ludzi zjednywać i tak skutecznie na nich oddziaływać. Pięknie rolę Rivièra wśród współczesnych określa jeden z jego znajomych: „W umyśle podtrzymywał płomień, w sercu miłość i świat wydaje się teraz mieszkaniem o wiele zimniejszem tym wszystkim, którzy choć chwilę zagrzali się w jego słońcu".

Warunki finansowe Rivièra były dość ciężkie, pracował wiele, często ponad siły, zwłaszcza, że zdrowie nadszarpnięte latami niewoli pozostało już na zawsze wątłe. Mimo to jednak życie jego było szczęśliwe. Ożeniony z Izabellą Fournier, siostrą przyjaciela lat młodych, miał dwoje dzieci i cieszył się zupełnem szczęściem rodzinnem. Był też otoczony zupełnie wyjątkową ludzką przyjaźnią i zdobywał sobie coraz rosnące uznanie i stanowisko w świecie literackim. Prawdziwie zdawaćby się mogło, że wyleczył się z „niepokojów metafizycznych" i choć Mauriac twierdzi, że w tej epoce męczył się wewnętrznie i daremnie próbował w siebie wmówić, że szczęście posiada, to jednak napozór bez widocznej dla siebie szkody wyrwał się „z Chrystusowych sieci", zwyciężył i zagłuszył natarczywe wołanie Boga.

Ale w dziejach duszy, w jej walce o prawdę, a także, jak w tym wypadku, w jej walce przeciwko prawdzie i Łasce, działa nietylko człowiek, ale działa także i Bóg. Całe życie miał Rivière poczucie, że jest pod przemocą Bożą, że „coś" go zmusi do zostania katolikiem, że w razie potrzeby Bóg nawet śmierci użyje, żeby go zdobyć dla siebie. Teraz te przeczucia miały się w sposób tragiczny i przejmujący spełnić.

W początku lutego 1925 r. Rivière ciężko zachorował. Pielęgnując żonę i dzieci zaraził się grypą; zdawało się, że choroba już minęła, gdy 12 lutego rozeszła się wiadomość, że Rivière dogorywa. Jego przyjaciel, Jacques Copeau, opowiada nam w przejmujących słowach te dnie walki ze śmiercią, bo jak całe życie Rivièra, tak i jego śmierć była walką. „Zdaje mi się, że Jacques

jest jak zawsze pochłonięty swoją pracą, a tą pracą jest obecnie walka przeciwko śmierci. Mówią obecni, że na swojem łóżku wyglądał jak człowiek, który padł w śmiertelnych zapasach. Nie łatwo mu rozstać się z życiem". „Czy rozumiecie co się ze mną dzieje? woła. — O koniec mojego życia! moje życie... moje życie..."

Rodzina jego też walczy. „Jego żona i bliscy zadręczają go opieką, nie ustając ani chwili tak, jakby nie chcieli zostawić chorobie ani jednej wolnej chwili do robienia postępów... A z trochę dalsza jego przyjaciele patrzyli na niego, wytężając wszystkie siły, patrzyli na siebie łącząc się wzajemnie, nie wiem, czy w modlitwie, czy w nadziei, czy poprostu w trwodze i przerażeniu, wiem tylko, że nie widziałem nigdy, aby tak potężne uczucie łączyło ludzi jak to, które otaczało Jacqua i podtrzymywało go w cierpieniu jego dni ostatnich".

Gdy tylko stan Rivièra okazał się groźny, żona jego sprowadziła księdza. Z wielką pobożnością wyspowiadał się chory i przyjął ostatnie sakramenta. „Po bytności księdza wielka reakcja nastąpiła u Jacqua". Ożywia się, ustępuje jego rozpacz i trwoga a natomiast z ust wyrywa się okrzyk dziękczynienia, niemal triumfu, okrzyk, który pozwala nam zobaczyć, jak śmierć swoją rozumiał i przyjmował: „A teraz jestem zbawiony cudem! Oto drzwi są otwarte! Odnajduję Boskie światło!" Okrzyk ten, powiada jego żona, był jego testamentem, kluczem, który nam przekazał od mieszkania, do którego wchodził.

14 lutego zakończył Rivière życie, a świadek jego śmierci mówi: „zdawało się, że Jacques zamknął oczy w oślepiającym blasku niewypowiedzianej światłości".

Tak Bóg zdobył w śmierci duszę, na którą zarzucił swe sieci, a która mu się w życiu uparcie wymykała, i taka była triumfalna a przeczuwana klęska człowieka, w jego walce z Bogiem!...

Zofja Starowieyska - Morstinowa.

Przegląd piśmiennictwa.

Z literatury powieściowej.

Andrzej Strug: Żółty krzyż. Część pierwsza „Złoto Renu", część druga „Bogowie Germanji" (Gebethner). — Zygmunt Nowakowski: Start Edmunda Sulimy (Gebethner). — Leon Kruczkowski: Kordjan i cham (Gebethner). — Janusz Meissner: Żwirko i Wigura (Gebethner) — Jim Poker: Panna wodna (Główna księgarnia wojskowa). — Jan Waśniewski: Na podszybiu (Rój). — Kazimierz N. Gołba: W cieniu wielkiej legendy (Księgarnia Krakowska). — Marja Czeska-Mączyńska: Otworzyło się okno na świat) (Księgarnia Katolicka, Katowice). — Marja Czeska-Mączyńska: Macierzyństwo (nakładem autorki).

„Żółty krzyż" Andrzeja Struga ma być trylogją. Dotąd wyszły dwie jej części, a mianowicie „Złoto Renu" i Bogowie Germanji". Jest to dzieło mające przedstawić grozę i ohydę wojny. Czyni to w szeregu obrazów dla pozoru tylko nanizanych na lekką nitkę fabuły. Zwłaszcza tom pierwszy jest fragmentaryczny, w drugim splątana fabuła szpiegowska wybija się bardziej na plan pierwszy. Ten też tom pierwszy ma w sobie więcej epickiego zacięcia. Autor techniką jakby kinową przesuwa przed naszemi oczyma obraz potworny pola walki, tonącą łódź podwodną, (może najbardziej udany i przejmujący epizod książki), całą nędzę ludności cywilnej, rozpacz osieroconych rodzin, całą deprawację, jaką wojna w społeczeństwo wprowadza, całą okrutną grę szpiegowstwa, wywiadu i kontrwywiadu. (Bardzo ciekawy w drugim tomie epizod ze szpiegiem, któremu zamyliła się jego osobowość własna z osobowością udaną). Maluje cały obłęd ludzki, który naukę i wiedzę wprzęga w wynajdywanie coraz skuteczniejszych środków wzajemnego mordowania się. Sceny te rozgrywają się kolejno na froncie morskim i lądowym, w Paryżu, Berlinie i w fabrykach Żółtego krzyża (Yperitu) nad Renem. Świat cały ukazuje się jakby opętany szaleństwem wojny, która raz porwawszy ludzkość w swoje potworne zazębienie, doprowadza ją do absurdu i w działaniach militarnych i we wprost już bezsensownych działaniach wywiadowczych. Jasny i trzeźwy sąd o rzeczy zachowują tylko — zresztą drugoplanowo w książce

się ukazujący wolnomularz Niemeyer i podległy młody socjalista Kurt — a wszystkie sympatje pisarza zdają się skupiać na postaci marynarza-komunisty Gebeschussa. Tak daje autor wyraz swoim, znanym zresztą, przekonaniom politycznym i społecznym, choć nigdzie ich nie narzuca.

Gdyby książka ta była pisana przez autora o mniejszym niż Strug talencie, byłaby się łatwo stoczyła do rzędu popularnej szpiegowsko-sensacyjnej historji. Ale Strug, używając jako sztafarzu szpiegowskiej (i trzeba przyznać rzeczywiście zaciekawiającej) fabuły, choć operuje czysto szerlokholmesowskiemi efektami, nie popada nigdzie w ton powieści czysto sensacyjnej. Jego artystyczne założenie, obraz świata w obłąkaniu wojny, jest stale na planie pierwszym. Obrazy są kreślone z przekonywującą siłą plastyczną, z wielkim talentem epickim i wielką szlachetną prostotą stylu. Opisuje wiele wypadków różnych na skutek wojny rozpętanych ludzkich namiętności i deprawacji, maluje ogólne rozprzężenie obyczajów i moralności, ale choć czyni to w słowach mocnych i obrazach realistycznych, nie przekracza nigdzie granic dobrego smaku i artystycznego umiaru.

W dziele Struga podkreślić jeszcze można pewien rys znamienny i raczej humorystycznie zabarwiony: w Strugu, pacyfiście zagorzałym, potępiającym ostro wojnę, odzywa się jednak, nie wiem, świadomie czy podświadomie dawny bojownik o niepodległość, legjonista i żołnierz. Oburza go wojna, ale drażnią go też mocno błędy w jej prowadzeniu, zbytnia biurokracja, nieudolność skomplikowanych aparatów sztabowych, brak przezorności wodzów i t. d. Nie należało do tej nienawistnej wojny dopuszczać, ale skoro już raz była, można ją było prowadzić lepiej, sprężyściej i inteligentniej... Ta żyłka żołnierska, przebijająca się tu i ówdzie poprzez mentalność namiętnego oskarżyciela wojny, jest raczej sympatyczna, nie dlatego broń Boże, żeby wojna była sympatyczna, tylko dlatego, że świadczy o wielkiem bogactwie uczuć i zrozumień autora, a także o jego niewygasłej młodzieńczości, książce zaś jego dodaje żywotności a pacyfistycznym idejom jakby piętna przemyślanej rzetelności.

Pewna pani, nie lubiąca widocznie poważnej lektury, mówiła, że w powieści czyta tylko dialogi, a „ten czarny kawior" (t. j. opisy, refleksje, wszystko, co nie jest á linea) opuszcza. Tej pani nie radzę czytać ostatniej książki Zygmunta Nowakowskiego „Start Edmunda Sulimy", tak samo jak nie radziłabym jej nikomu, kto w powieści szuka wyłącznie sensacyjnej lub sentymentalnej fabuły, i boję się, że książka ta nie będzie miała tak szerokiego rozgłosu, jak inne książki poczytnego autora. Nie dlatego, żeby była słabszą, przeciwnie, wedle mnie ma nutę może szczerszą i bardziej bezpośrednią, niż np. „Przylądek dobrej nadziei", ale choć, jak wszystkie książki Nowakowskiego, jest roz-

świetlona sporą dozą dowcipu i humoru, jest jednak bardzo poważna i głęboka, i dlatego znajdzie poważne uznanie wyłącznie w ściślejszem kole czytelników. Już jej istotne, ale bardzo specyficzne walory formalne, będą cenione zapewne tylko przez t. zw. smakoszów literackich, przez ludzi, którzy dużo czytali i potrafią ocenić jej delikatną, subtelną i lekko ironiczną robotę. Ta na starej powieści wzorowana forma, pełna zwrotów do czytelnika, pełna pozornych naiwności i pozornego niezgrabstwa, jest w rzeczy samej mistrzowskiem żonglowaniem formą, a ta forma szczęśliwie obrana daje autorowi pełną swobodę do przerzucania się od fabuły do refleksji i lirycznych opisów, daje też znakomity materjał architektoniczny, materjał, który autor w pełni wykorzystał dla zwartej budowy powieści. Gdy się pisze o Nowakowskim, dodawać nie potrzeba, że styl jest doskonały, i że cała książka iskrzy się od kalamburów, zabawnych zwrotów i subtelnej gry słów.

Treścią książki jest jeden dzień z życia młodego, prowincjonalnego aktora, Edmunda Sulimy, który wezwany przez teatr stołeczny przyjeżdża zagrać w zastępstwie chorego aktora rolę ks. Reichstadu w „Orlątku", i na skutek powodzenia w tej roli angażuje się na stałe do stolicy. Ten dzień to skrót całego aktorskiego życia. Ale znowu, kto spodziewałby się po powieści z życia aktorskiego lekkich „cygańskich" obrazków i ploteczek, różnych ponurych zakulisowych intryg, ten będzie zawiedziony. Edmund Sulima to pretekst, a choć autor zapewnia, że nie pisze o sobie, samem tem powiedzeniem podkreśla wszystkie motywy, jeśli nie autobiograficzne, to autopsychologiczne tej powieści, w której nam mówi o rzeczy, którą zna i rozumie jak nikt inny, a przedewszystkiem o rzeczy, którą nadewszystko kocha — o teatrze. Choć mówi się dziś dużo o upadku teatru, o braku dlań zainteresowania, są jeszcze ludzie, na których słowa teatr, aktor, scena wywierają fascynujące wrażenie, dla których życie zakulisowe ma jakiś nęcący i tajemniczy urok, którzy lubią i umieją poddawać się sugestji gry, dla których nazwisko aktora i odtwarzanego bohatera sztuki plącze się w jakąś jedyną, przedziwną pół żywą, pół wyśnioną istotę. Dla tych wszystkich ludzi książka Nowakowskiego będzie miała urok poprostu wtajemniczenia. Naprzód pozwoli im dokładnie poznać całą niejako technikę teatru, gorączkę panującą przed spektaklem, tremę przy wychodzeniu na scenę, wszystkie tajniki charakteryzacji, dekoracji, prób; zapozna ich z tak ważnemi w życiu teatru osobistościami jak krawiec, kostjumer, rekwizytor, inspicjent, wtajemniczy ich w różne tragikomiczne epizody, w różne przypadkowe efekty, w różne zajścia na scenie podczas przedstawienia, które grożą klęską całemu spektaklowi i, choć najczęściej przez publiczność nie zostają zauważone, w oczach aktorów do epokowych urastają zdarzeń. Ale każdy miłośnik teatru interesuje się przedewszystkiem

jego istotnym instrumentem: aktorem! jak i w jakim stopniu przejmuje się rolą, jak stwarza w sobie ten szereg postaci nowych, jak sam ulega sugestji stwarzanej przez siebie fikcji, ile z jego istotnego „ja" wchodzi w jego kreację, ile z jego kreacji przesącza się zpowrotem w jego psychikę, co ze sceny bierze, a co jej daje, i na te wszystkie pytania daje nam właśnie powieść Nowakowskiego odpowiedź. Razem z młodym Edmundem gramy to olbrzymie, melodramatyczne sztuczydło, świetnie zresztą wybrane na zilustrowanie techniki spektaklu i techniki gry. Z iście Proustowską precyzją odtwarza autor wszystkie przeżycia młodego aktora, rozkłada na atomy jego życie na scenie, wiąże je z życiem codziennem. Nie pozwala się uwieść tak łatwemu w tym temacie zakłamaniu artystycznemu, daje nam przekrój duszy w całej jej szerokości, z dokładnem uwzględnieniem wszystkich jej splątanych i zazębionych słoi. Edmund żyje równocześnie wszystkiemi fibrami swego jestestwa ludzkiego i aktorskiego, całą pełnią życia scenicznego i całą zakłopotaną troską swego, jak dotąd ubogiego, życia prywatnego, całym wysiłkiem swej małej inteligencji i dość pospolitej duszy, i całym splendorem z niewiadomych powodów na niego właśnie spadającego natchnienia artysty. Leżą przed nami wszystkie śrubki i sprężyny tego skomplikowanego instrumentu, jakim jest aktor. A choć Nowakowski tak nam ukazuje wszystkie sprężyny aktorskiej duszy i sztuki, choć wtajemnicza nas we wszystkie najintymniejsze sprawy teatru i ukazuje go nam w szarem świetle dnia a nie jedynie w świetle kinkietów, to jednak teatru nam nie „odbronzował", nie odarł go w naszych oczach z tajemniczego uroku. Przeciwnie, przedstawił nam sugestywnie całą jego niesamowitą poezję, stworzył niejako jego legendę i te ustępy, w których niekłamane wzruszenie autora wydobywa się, jakby przemocą, poprzez zawsze chłodną i ironiczną jego postawę, te miejsca, w których teatr szumi mu jak muszla, w których słyszy jego tajemniczą muzykę, w których zjawia mu się duch Aliny na pustej scenie, w których z tajemniczego gmachu płynie ku niemu przeklęty i błogosławiony zarazem czar scenicznej fascynacji — czar sztuki — należą do najlepszych i najładniejszych ustępów jego książki.

„Kordjan i cham" Leona Kruczkowskiego jest raczej szkicem historycznym, jak powieścią. Jest to podmalowanie tła społecznego w okresie poprzedzającym bezpośrednio wybuch powstania listopadowego. Tło to jest rzeczywiście okropne. Autor żywo i przekonywująco przedstawia stosunki panujące na wsiach w latach między rokiem 1820 a 1830. Opisuje straszną nędzę chłopa, jego ucisk i nadużycia, jakich dopuszczają się właściciele ziemscy i rządowi dzierżawcy i zupełną bezsilność chłopa, nie mogącego nigdzie uzyskać sprawiedliwości. We wstępie pisze autor, że książka jego oparta jest wyłącznie na dokumentach hi-

storycznych, a przedewszystkiem na pamiętniku Kazimierza Deczyńskiego. Ten właśnie Kazimierz Deczyński jest główną postacią książki, raczej jej ośrodkiem krystalizacyjnym dla historycznych opisów i refleksji autora. Jest to syn biednego chłopa, który ukończywszy szkołę w powiatowem miasteczku, zostaje nauczycielem ludowym w swojej rodzinnej wsi. Patrząc na oburzające krzywdy, jakich doznaje cała wieś od dzierżawcy, pana Czartkowskiego, pisze Deczyński w imieniu gromady skargę do rządu. Przekupiony przez p. Czartkowskiego urzędnik rozpatruje sprawę na jego korzyść, a uznany za niebezpiecznego buntownika Deczyński zostaje oddany do wojska, wbrew chroniącym go prawnie od służby wojskowej okoliczności: wieku i zawodu. W chwili wybuchu powstania Deczyński spotyka syna swego ciemiężyciela, Felusia Czartkowskiego, ucznia szkoły podchorążych, który zwraca się do niego z patrjotycznym apelem. Ale Deczyński nie widzi wroga w Moskalu, ani w carze: jego wróg to właśnie pan Czartkowski i jemu podobni. Oburzony Feluś Czartkowski zabija Deczyńskiego uderzeniem kolby, jako wroga ojczyzny.

Ponieważ nie jestem fachowym historykiem, trudno mi osądzić, o ile książka Kruczkowskiego jest historycznie wierna i źródłowa. W każdym razie przedstawiony w niej obraz epoki jest dość przekonywujący. Ale każda książka, przedstawiająca wyłącznie jedną stronę danej epoki, jedno jej zagadnienie, czy bolączkę, będąc nawet najzupełniej prawdziwą i historycznie ścisłą, do pewnego stopnia paczy ogólny koloryt tej epoki, bo przesłania, czy niedostatecznie uwzględnia innych, równocześnie istniejących nastrojów, prądów i wartości. Taki też prawdopodobnie błąd perspektywy musi zachodzić i w książce Kruczkowskiego. Nie jest to zarzut, tylko skonstatowanie nieodłącznych od tego rodzaju książek niebezpieczeństw. O co natomiast możnaby się już raczej z autorem spierać, to o autentyczność oddanych przez niego nastrojów w szkole Podchorążych we wilję listopadowego wybuchu. Kruczkowski przedstawia młodych oficerów jako ludzi znudzonych monotonją szkoły, zniechęconych beznadziejnością widoków na awans w szarżach wojskowych i tym prawie wyłącznie nastrojom przypisuje początek ich spisku i myśli o powstaniu. Autor, widząc w młodych wojskowych synów chłopskich ciemiężycieli, młodzików zarozumiałych, często bezczelnych, mających niejedną ludzką krzywdę na sumieniu, nie może się już w nich dopatrzeć ani szlachetnych idej, ani bezinteresownego patrjotyzmu. Karygodne i okrutne stosunki społeczne, panujące wówczas, nie były wyłącznie wynikiem specjalnej przewrotności poszczególnych obywateli, lecz niestety, wypływem ogólnie panujących pojęć; trzeba było bardzo wyjątkowej szerokości pojęć umysłu, aby się tych pojęć pozbyć, a to, co dla nas jest oczywiste, co jest wymogiem najprymitywniejszej sprawiedliwości, byłoby dla ludzi ówczesnych szczytem jakiejś bohaterskiej miłości

bliźniego. Dlatego w ludziach, którzy nam dziś wydają się monstrami zbrodni, mogły wówczas istnieć obok okrucieństwa i pychy i szlachetniejsze instynkty, łącząc w przedziwnej pojemności ludzkiego serca uczucia najgorętsze z najlepszemi. Jakkolwiek jednak możnaby z autorem „Kordjana i chama", co do poszczególnych punktów dyskutować, trzeba przyznać, że książka jego jest niezmiernie ciekawa, że mimo braku istotnej fabuły czyta się ją z niesłabnącem zainteresowaniem i wielką zasługą autora jest, że przedstawił nam epokę roku 30-go nie od zawsze wygrywanej (i mocno już ogranej) strony romantycznej, ale od strony bolesnej jej codzienności. Z rzadko spotykaną żywością stworzył powieść zbiorową, gdzie bohaterem jest nie osobnik, ale cały lud, znakomicie uchwycony w różnych swoich typach i w specyficznej psychologji swej zbiorowości. Napisanie tak udanej książki tego typu jest rzeczą trudną i wymaga nie lada opanowania pisarskiego rzemiosła.

Kilka drastycznych scen erotycznych schodzi na plan drugi wśród ideowych i historycznych zainteresowań autora.

„Żwirko i Wigura", którym Meissner poświęcił swą ostatnią pracę, są nam jeszcze zbyt bliscy, aby mogli się stać naprawdę bohaterami książki. Zbyt niedawno jeszcze nazwiska ich unosiły na skrzydłach dumy nasze narodowe ambicje, zbyt niedawno szarpnęła naszemi sercami wiadomość o ich tragicznej śmierci, zbyt świeży żal za nimi, zbyt serdeczne współczucie dla ich osieroconych rodzin, abyśmy mogli spokojnie czytać ich „biografję". Doskonale wyczuł i rozumiał to ich kolega i przyjaciel, Janusz Meissner, toteż książka jego nie ma w sobie nic „książkowego", żadnego epickiego ani historycznego oddalenia od przedmiotu, to raczej rozmowa z publicznością, rozmowa urywana, trochę bezładna, o bardzo bliskich przedwcześnie zmarłych przyjaciołach. Bo choć pisać o nich jeszcze nie można, to jednak mówić trzeba; o czem innem wogóle trudno mówić. Trzeba, uśmiechając się przez łzy, powtarzać sobie te błahe, a dziś jakżeż doniosłe epizody, te drobne nic nie znaczące szczegóły z ich życia, trzeba opowiadać, jak to Żwirko wiózł samolotem konfiturę z agrestu choremu koledze, jak napół zły, napół rozbawiony zwymyślał po żołniersku lotnika kolegę od „podróżników" i „Guliwerów". Myśląc o nich trzeba ciągle wspominać chwilę ich triumfu, ich emocji, ich wytężonej pracy. Trzeba, zamknąwszy oczy, wyobrażać sobie jakby to było, gdyby Wigura kreślił dalej po nocach swe obliczenia, a Żwirko stał od 4 z rana przed demblińskim hangarem. Do tej rozmowy rzewnej, prostej i serdecznej o Żwirce i Wigurze nie był nikt tak uzdolniony ani uprawniony, jak porucznik pilot Meissner, który równie zręcznie kreśli loopingi na kartach papieru, jak na powietrznych szlakach. Niejednokrotnie już wyruszaliśmy z nim w powietrzne podróże, pod wpływem jego

sugestywnego opowiadania przeżywaliśmy ich kuszący czar, upojenie, niebezpieczeństwa i wysiłki. A gdy dzisiaj mówi nam nie o napewno zawsze z życia czerpanych, ale jednak po literacku przyrządzanych przygodach lotniczych, ale o chwale i śmierci swych bliskich i przyjaciół, jego prosty, jasny, pozbawiony frazesu styl a przedewszystkiem gorące jego i nawskroś lotnicze serce potrafiły nas naprawdę przejąć i wzruszyć.

„Panna wodna" Jim Pokera jest powieścią propagandową, mającą w jak najszerszych kołach wzbudzić zainteresowanie do polskiej floty, zwłaszcza floty wojennej i wykazać konieczność jej budowania, choćby kosztem największych ofiar, bo, jak zapewnia autor, tylko silna flota bojowa, stojąca w pogotowiu na morzu Bałtyckiem, zapewni nam trwały pokój. Tezę tę ilustruje Jim Poker opowieścią o wojnie z Niemcami w przyszłości, w której to wojnie ponosi Polska mnóstwo klęsk, wskutek braku okrętów wojennych, a wobec tego braku nie pomoże nawet nadludzkie męstwo polskich marynarzy. Dopiero nauczeni doświadczeniem zabierają się Polacy do budowy pancerników i torpedowców, a książka kończy się w roku 1943 przeglądem wspaniałej polskiej floty. W przeglądzie tym biorą udział także duchy wszystkich dawnych okrętów Rzeczypospolitej polskiej. Bohaterowie powieści, kapitan Ney i porucznik Górski, to wzory marynarzy, którzy w służbie ojczyzny zapominają o wszystkich prywatnych urazach i kłótniach, o życiowych niepowodzeniach i nieszczęściach. Największem ich umiłowaniem jest morze i to morze zastępuje im miłość i kobietę, morze jest ich prawdziwą kochanką. Zresztą kobieta odgrywa dużą rolę w tej powieści. Jest to tajemnicza, dziwna, kapryśna i bohaterska Marta, w której obaj bohaterowie się kochają. Marta, bałamucąc obydwóch, wciąga w pułapkę niemieckiego kaisera i powoduje jego śmierć. Kaiser ginie w jej ramionach pod gruzami zbombardowanego domu. Na szczęście dla powieści zamiast Marty ginie jej pokojowa, a Marta wprawdzie z krótszą nogą i blizną na twarzy, ale zawsze piękna i czarująca, zostaje żoną porucznika Górskiego. Dla tem skuteczniejszej widocznie propagandy morskiej cała powieść okraszona jest zbyteczną dozą zmysłowości, a jej myślą etyczną jest, że kobieta powinna być „łaskawa" dla polskiego marynarza i darzyć względami oficera, walczącego za ojczyznę, tak jak to czyni Dunka, Gerda. Polskim kobietom, zarzuca autor, że zanadto flirtują, ale za mało skrupulatnie swoich domniemanych przyrzeczeń dotrzymują. Książkę czyta się łatwo, wiele w niej ciekawych i rzeczowych szczegółów o rzemiośle morskiem, o różnych typach okrętów i o wojnie na morzu; opisy bitew są bardzo przekonywujące. Styl jest prosty i jasny, język poprawny i czysty.

„Na podszybiu" Jana Waśniewskiego jest, jak sam tytuł wskazuje, jedną z coraz liczniej u nas się pojawiających powieści górniczych. Opisuje życie i pracę w Dąbrowie Górniczej i w kopalniach Olkuskich. Pracę swą dedykuje autor ojcu, który pracował wiele lat w przemyśle węglowym, toteż widać, że Waśniewski, zżyty od dzieciństwa z kopalnią, zna ją dokładnie, zna warunki pracy i panujące stosunki i te opisy są najbardziej wartościową częścią jego dzieła. Obok scen z życia kopalni, obowiązujących w takich powieściach opisów katastrof górniczych, wyzysku francuskiego kapitału, ciężkich warunków pracy robotników, umieszcza także autor w swej książce sporo dysput ideowych o religji, urządzeniach społecznych, miłości i t. d. Z dysput tych, gdzie najskrajniejsze teorje socjalne i antyreligijne przeciwstawiają się poglądom umiarkowanym i zdrowym, trudno sobie wyrobić zdanie, na jakiem stanowisku stoi autor, jednakowoż zdaje się potępiać bolszewickie i antyreligijne wystąpienia młodego literata Antoniego. Silnie też brzmi w „Podszybiu" nuta antyżydowska. Zresztą książka ta, moralnie nieszkodliwa, nie przedstawia zbytniego interesu: fabuła jej jest dość naiwna, a technika prymitywna, toteż trudno przewidzieć, jak rozwinie się talent autora, na który zdają się wskazywać plastyczne i żywo kreślone sylwetki powieściowych bohaterów.

„W cieniu wielkiej legendy" Kazimierza N. Gołby jest powieścią historyczną z epoki powstania listopadowego. Przedstawia ona grupę ludzi, marzących o tem, żeby na tron polski powołać księcia Reichstadu. Wiadomo, że tu i tam odzywały się głosy za tą kandydaturą, ale myśl o niej tak małą odegrała rolę w nastrojach listopadowych, że rozdmuchanie jej na główny wątek długiej powieści przedstawiało duże trudności i musiało wypaść dość mało przekonywująco; zresztą jeśli młody książę miał w Polsce takich popleczników, jak to przedstawia K. Gołba, trudno się dziwić, że myśl ta zgasła w zarodku. Bohater powieści, młody Dawidowski, syn napoleońskiego wiarusa, jest bardzo może szlachetny, ale beznadziejnie niemądry i dziecinny, a ekskleryk Smagłowski, który stoi na czele spisku bonapartystycznego w Polsce, jest szalbierzem i pomyloną głową. Fabuła powieści obfituje w różne niewiarygodne przygody romantyczne, w tanie efekty i mocno niesmaczne sceny erotyczne.

„Otworzyło się okno na świat" Marji Czeskiej-Mączyńskiej jest powieścią ściśle popularną, zbudowaną wedle jej odwiecznych, choć kto wie czy jeszcze do teraz nie słusznych kanonów. Matka, źle wychowująca syna, pobłażająca mu we wszystkiem i dająca mu zły przykład, dożywa chwili, gdy ten syn złodziej i morderca kończy na szubienicy. Matka uczciwa i zacna umie z pracy rąk wychować troje dzieci: jeden syn zostaje

księdzem i ofiarną i rozumną pracą umie przerobić oblicze wsi, gdzie jest wikarym a potem proboszczem, drugi syn kończy studja, idzie zawsze drogą szlachetnej dumy, pracy i wysiłku i żeni się wkońcu z piękną i bogatą baronówną węgierską. Posłuszna i dobra córka znajduje szczęście w dobranem małżeństwie; matka staruszka błogosławi Boga za szczęście swych dzieci, a dzieci otaczają ją najczulszą i serdeczną wdzięcznością. Sporo w tej książeczce zdrowych nauk moralnych, zachęcających przykładów cnoty, sporo wzruszenia, sporo też oczywiście powieściowego sentymentalizmu i sytuacji czysto książkowych, ale może takich właśnie efektów i sentymentów potrzeba, aby wzruszyć publiczność, dla której ta książka jest przeznaczona.

Tomik poezji Marji Czeskiej-Mączyńskiej „Macierzyństwo" jest, jak wszystkie dzieła tej autorki, przepojony głębokim duchem religijnym. Wyraża w słowach prostych tkliwe uczucia matki, radości pożycia rodzinnego, wielkość i doniosłość chwili, gdy zjawia się na świecie nowe życie. Oprócz tych wierszy macierzyńskich zawiera tomik i wiersze na tematy różne. We wszystkich ta sama pogoda poufnego spojrzenia w życie, tęskne zamyślenie, wzniesienie myśli do Boga, dużo odczucia piękna przyrody. Myśl jeśli nie zawsze bardzo nowa, to w każdym razie zawsze rozumna i szlachetna. Forma wierszy także nie pozuje na oryginalność, ale jest zawsze poprawna.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Semaine Internationale d'Ethologie Religieuse. V Session. Luxembourg, 16—22 Sept. 1929. Librairie Orientaliste Paul Geuthner. Paris 1931. 8°. Str. 362.

W pierwotnych zamiarach twórców i organizatorów —„Międzynarodowy Tydzień"... miał za zadanie informować autentycznie o stanie i rozwoju historji religji oraz nauk pokrewnych. Miał to być perjodyczny bilans przedkładany na publicznych posiedzeniach zjazdowych tak fachowcom jak i szerszej inteligentnej publice. Chodziło głównie o obalenie monopolu, jaki skrajny ewolucjonizm narzucił naukowemu światu nietylko w dziedzinie nauk przyrodniczych ale także w historycznych badaniach nad genezą oraz rozwojem religji.

Cel ten został w całej pełni osiągnięty. Posiedzenia „Międzynarodowego Tygodnia"... (pierwsze w Louvain r. 1912) stały się potężnym bodźcem do głębszych studjów nad dziejami religij, opartych na metodzie ściśle historycznej; równolegle, a raczej w przyczynowym związku, rozszerzono metodę naukowego krytycyzmu także i na etnologję oraz antropologję. Utalentowani ludzie tej miary co ks. W. Schmidt S. V. D., ks. W. Koppers S. V. D. w Austrji, a ks. H. Pinard de la Boullaye T. J. we Francji, sta-

nęli do warsztatu wytężonej, naukowej pracy. W początkach swych badań i studjów nawiązali do historycznej, a na badaniu kulturalnych wzkaźników opartej metody, którą się słusznie wsławił koloński profesor F. Graebner. Inicjatywa okazała się nawskróś szczęśliwą. Dziś po upływie lat zaledwie dwudziestu dorobek tej pracy jest wprost olbrzymi, a wpływ nowej szkoły w świecie naukowym bardzo poważny. Szereg zasadniczych dzieł ks. Schmidt'a i wspaniałe studjum ks. Pinard'a o historji porównawczej religij wywalczyły sobie światowe uznanie, korygując tem samem mnóstwo metodycznych błędów, obalając przesądy, zaprawiając do dalszych objektywnych, ściśle naukowych studjów. Wiedeński uniwersytet stał się powoli ogniskiem, z którego promieniuje nowy kierunek umysłowy i czyni zdobycze nowa metoda. Nietylko ks. ks. Schmidt i Koppers objęli katedry etnologji i historji religij ale przed paru laty ministerstwo oświaty stworzyło prawdziwy Instytut Etnologji, którego kierownictwo powierzono ks. Koppers'owi, wyposażając go we wszystkie potrzebne środki techniczne i zapewniając słuchaczom instytutu akademickie stopnie. W tej chwili studjują w tym Instytucie akademicy ze wszystkich prawie narodów europejskich, nie brak nawet Amerykanów i Japończyków. Na tymże uniwersytecie prehistorję wykłada prof. O. Menghin a antropologję prof. V. Lebzelter, obaj zaś pozostają w najściślejszej ideowej współpracy z ks. Schmidt'em. Organ tej szkoły historyczno-kulturalnej: *Anthropos* ma pierwszorzędne znaczenie ze względu na doniosłość ogłaszanych prac i badań. Nowa pomoc przybyła w postaci misjologicznego muzeum w Rzymie, w którem zebrano pierwszorzędny materjał etnologiczny pod wytrawnem kierownictwem właśnie ks. Schmidt'a. Za jego inicjatywą a z poparciem Ojca św. zorganizowano przed paru laty naukową ekspedycję na Malakkę, celem bliższego poznania pigmejskich Semangów; drugą do Ziemi Ognistej, dla zbadania resztek pierwotnych a antropologicznie prastarych Indjan; trzecią wyprawę skierowano do kraju Buszmenów w Poł. Afryce, czwarta bawi dotychczas w centralnej Afryce i bada tamtejsze plemiona Pigmejów, wreszcie piąta ekspedycja bada pierwotnych mieszkańców na Filipinach. Do pracy w zakresie porównawczej etnologji zdołano wciągnąć i naukowo przygotować cały szereg misjonarzy, pracujących wśród plemion pierwotnych, a przez nich uzyskano pierwszorzędne informacje i posunięto daleko porównawcze zestawienia. Zbytecznem jest dodawać, iż w rezultacie tych rozlicznych a metodycznie skoordynowanych prac obalono definitywnie cały szereg legend ewolucjonizmu, zaimprowizowanych w dziedzinie historji religij przez patrjarchów tej szkoły.

Konsenkwentnie jednak i zadania Międzynarodowego Tygodnia musiały ulec zmianie. Nie warto już tracić czasu na walkę z pogrobowcami skrajnego ewolucjonizmu, pora raczej na pracę pozytywną i konstruktywną. Już w ciągu ostatniego dziesięciole-

cia można było zauważyć postępującą w tym właśnie kierunku zmianę, jej wyrazem było kurczenie się posiedzeń, przeznaczonych ogólnym kwestjom metody a rozrastanie się części specjalnej, monograficznej, mnożenie się referatów sprawozdawczych o nowych odkryciach w zakresie porównawczego studjum religij. Coraz częściej dopuszczano do głosu już nietylko profesorów-teoretyków ale badaczy z egzotycznych terenów. Przynosili oni dokumenty autentyczne, odkrycia niesłychanie doniosłe, podpatrzone, sfotografowane, utrwalone na płytach gramofonowych, ilustrowane okazami kulturalnego życia dzikich szczepów. Obecnym zatem zadaniem „Międzynarodowego Tygodnia" jest właśnie popierać te inicjatywy, ułatwić je i organizować na naukowym terenie. Pracownicy się mnożą a zapał rośnie.

Ostatnie posiedzenie w Luksenburgu było pełnym wyrazem tego nowego prądu. Sprawozdanie, które zawiera obecny piąty tom jest wiernem echem dokonującego się przeobrażenia.

Zagadnieniom ogólnym poświęcono zaledwie 11 referatów, część specjalna obejmuje 20 odczytów dyskusyjnych, zgrupowanych dokoła doniosłej kwestji: jak się przedstawia organizacja rodzinnego życia w rozmaitych ośrodkach cywilizacyjnych? W części ogólnej, na życzenie Ojca św. Piusa XI wprowadzono kilka odczytów poglądowych o folklorze. W przyszłości dział ten ma być coraz więcej uwzględniany. Pierwszą inicjatywę przyjęto z aplauzem. *Volkskunde und religiöse Volkskunde* (prof. J. Schrijnen), tegoż autora: *Mariage et noces dans le folklore hollandais*; *Hochzeits — und Ehegebräuche im Luxemburger Lande* (prof. J. Hess); wreszcie: *Le folklore flamand* (prof. J. Coppens), — oto referaty z tej dziedziny. Zdaje mi się, iż na najbliższem posiedzeniu „Tygodnia" nie powinno braknąć referatu o folklorze polskim. „Hanusine Wesele", ilustrujące wiernie folklor, związany z zawarciem małżeństwa w krakowskiem, możnaby żywcem przenieść z desek teatru krakowskiego, na podjum Międzynarodowego Tygodnia. Sukces byłby niemały. A to tylko przecież jeden szczegół w bogatej skarbnicy polskiego folkloru.

Dwa referaty poświęcono zagadnieniom psychologji religji, trzy metodyce szkoły kulturalno-historycznej: w zakresie porównawczych studjów religij, w nauce o prehistorycznych kołach kulturalnych, wreszcie w filologji porównawczej z uwzględnieniem stosunku kół kulturalnych do kół językowych. Nazwiska prelegentów tej miary co ks. prof. Schmidt, prof. Menghin, ks. prof. Wunderle, baron Descamps, ks. prof. de Sinéty — dają gwarancję poziomu. Zbyt śmiałe poglądy prof. Menghin'a, syntetyzującego może za pośpiesznie, wywołają zapewne zastrzeżenia ze strony innych prehistoryków.

W części specjalnej zamieszcza ks. prof. Koppers dwa doskonałe, poglądowe artykuły o rodzinie ludów pierwotnych oraz znajdujących się już w wyższych stadjach kulturalnego rozwoju

(ludy pasterskie i protorolnicze — ustrój matrjarchalny i patrjarchalny). Następuje szereg referatów o rodzinie w Chinach, w Japonji, na Syberji (u Czukczów, Jukagizów, Korjaków, Itelmów), wśród ludów altajskich, to znowu w Kongo, w połud. Afryce, wśród Buszmenów, czy w Ameryce wśród mieszkańców Ziemi Ognistej, brazylijskich Indjan i t. d. Nie brak i referatów, opartych na archeologji, a omawiających rodzinę Kananejczyków, Fenicjan, Aramejczyków, to znowu Azteków i Maya i t. d.

Dwa referaty ogólniejsze o początkach i rodzajach exogamji i małżeńskich zakazów (przeszkód), o ewolucji społecznej i religijnej stanowią finał sprawozdania. Wszystkie referaty, zawarte w części szczegółowej, wyszły z pod pióra specjalistów, wielu z nich opierało się na badaniach, przeprowadzonych osobiście wśród odnośnych szczepów.

Materjał zawarty w tym tomie jest niezwykle bogaty i urozmaicony a ze względu na centralny punkt zagadnienia bardzo aktualny. Żałować można, że pewne referaty podano w skróceniu, dla niektórych podano tylko źródła, gdzie dana kwestja przez odnośnego referenta jest omówiona szczegółowo i obszernie. Chodziło oczywiście o zmiejszenie kosztów wydawnictwa. W każdym razie dla wszystkich, którzy się zajmują etnologją czy porównawczą historją religij książka niniejsza przynosi pierwszorzędny i niezbędny materjał naukowy.

Ks. E. Kosibowicz.

Ks. Arcybiskup R. Jałbrzykowski: „Bóg jest miłość" (I Jan 4, 16), czyli przewodnia myśl w życiu duchownem. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha, 1933, str. 283.

Pod tym wspólnym tytułem: „Bóg jest miłość" Czcigodny Autor rozwija w 43 krótkich rozdziałach szereg myśli, dotyczących naszej najważniejszej sprawy na ziemi, a mianowicie — sprawy uświęcenia własnej duszy. Ponieważ istota świętości polega na wypełnieniu przykazania miłości Boga i bliźniego, dlatego też autor z tego punktu widzenia podchodzi do obranego przez siebie tematu. Autorowi, jak dowiadujemy się z przedmowy, chodziło przedewszystkiem o to, aby ta praca przyczynić się mogła do rozniecenia ognia miłości Bożej w sercach braci i sióstr. Cel, jak widzimy, czysto praktyczny, pasterski, którego autor nigdy z oczu nie spuszcza i który u niego decyduje o sposobie traktowania przedmiotu. Ze względu na wytknięty cel praktyczny autor starannie unika omawiania obszernego, stara się nie rozwijać, lecz rzucać myśli, a rzucając je dba o formę ładną, jasną, dostępną dla umysłu każdego; stąd też argumentacja jego staje się krótką, lakoniczną, polegającą na dwóch, trzech słowach, ale przekonywającą i mocną. Autor dużo przesłanek czerpie z przekonania ogółu, z doświadczeń życia codziennego smutnych i pocieszających oraz własnych spostrzeżeń i stara się z nich ukuć krótki,

ale ostry, jak gwóźdź, argument, któryby trafił do umysłowości człowieka współczesnego, człowieka, który naogół myśleć nie umie i nie lubi, a skoro myśli, to myśli pośpiesznie i przyjmuje argumenty, które same się narzucają. Dziś w wieku kina i sportu wszystko się robi błyskawicznie. Gdy się nie przekona kogo jednem słowem, nie przekona się go wcale, zabraknie mu uwagi. Ma się wrażenie, że autor dla tych współczesnych ludzi swą książkę napisał. Tu myśli idą po sobie prędko, błyskawicznie, ubrane w argumentację krótką i lapidarną. Teksty Pisma św. dobrane są do celu praktycznego bardzo trafnie, a przedewszystkiem te, które są krótkie i jasne. Myśli czyli tematów poruszono dużo i w każdym z nich autor starał się uchwycić to, co jest najbardziej istotnego i przykuwającego uwagę i starał się to uwypuklić.

Ze względu na jej wartość wewnętrzną oraz ładną szatę zewnętrzną książkę tę powitać należy z prawdziwą radością oraz wdzięcznością dla jej Najdostojniejszego Autora za wzbogacenie naszej literatury ascetycznej.

Ks. Ignacy Świrski.

Dr. Andrzej Niesiołowski: Formy i metody pracy oświatowej. Nakł. Towarzystwa Polskiej Młodzieży Szkolnej, Warszawa 1932, str. XII + 272.

W poszukiwaniu nowych metod pracy oświatowej. Opracowali Dr. Al. Hertz i Łucja Kipowa, Warszawa 1932, str. 131.

Powszechny Uniwersytet Korespondencyjny. Cele, wskazówki, kursy. Warszawa 1933, str. 79.

Trzy wymienione z tytułów książki mają to wspólnego, że dotyczą oświaty pozaszkolnej. Zresztą pierwsza od ostatnich dwóch różni się swoim charakterem i zakresem.

Dr A. Niesiołowski ogłosił w książce treść swoich wykładów uniwersyteckich, w których chciał dać, jak sam to określa, „próbę klasyfikacji i analizy socjologicznej" pracy oświatowej. Objął zaś swem zainteresowaniem tę pracę nietylko w Polsce, ale, i to przeważnie, zagranicą. Opisuje rozmaite instytuty, w jakich się oświata pozaszkolna urzeczywistnia i metody, jakiemi się posługuje i cały ten materjał faktyczny stara się ułożyć w pewne kategorje myślenia socjologicznego. Może nie każdemu będzie jasny pożytek z tych „socjologicznych" klasyfikacyj i analiz, prowadzonych podług pewnych utartych szablonów poznańskiej szkoły (prof. Znanieckiego). I niewątpliwie lepiej jest dopomóc do założenia jednego społecznego dzieła, niż tysiąc uklasyfikować. Ale i to pewna, że i praktycy w książce Dra Niesiołowskiego znajdą niejedną cenną wskazówkę, a w przytoczonych przez niego instytucjach zagranicznych niejeden wzór do naśladowania u nas. Niechaj tylko nie zniechęcają się nieco suchą, schematyczną formą książki. Dodajemy, że autor, wyraźny katolik, uwzględnia wszyst-

kie próby pracy oświatowej, prowadzone przez Kościół lub przy jego udziale w duchu katolickim.

Książka A. Hertza i Ł. Kipowej zaznajamia nas z rezultatami pracy jednej z instytucyj oświaty pozaszkolnej, mianowicie Powszechnego Uniwersytetu Korespondencyjnego w Warszawie. Istnieje on blisko lat dziesięć i mógł zgromadzić pewne doświadczenia. Temi doświadczeniami dzieli się z czytelnikiem, wprowadzając go w mechanizm funkcjonowania Instytutu; daje nam także obraz zainteresowań tych, co z Uniwersytetu korzystali, opracowany na materjale statystycznym i na przeprowadzonej ankiecie. Uniwersytetowi Korespondencyjnemu chodzi o „wychowanie obywatelskie", pojmuje je jednak bardzo szeroko, wciągając do swojego programu także naukę języków, matematyki i nauk przyrodniczych. W wychowaniu obywatelskiem, w pojęciach o społeczeństwie, o państwie, w oświetleniu faktów historycznych zapewne Uniwersytet hołduje jakiemuś zasadniczemu światopoglądowi, tego jednak światopoglądu, na podstawie danego schematycznego przedstawienia jego pracy, określić niepodobna. Jedno tylko zdaje się być pewnem, że instytucja ta jest ściśle związana ze sferami politycznemi, stojącemi u steru rządu. Do chwili bliższego poznania samej ideologji, panującej w Uniwersytecie Korespondencyjnym, recenzja niniejsza nie może być uważana za bezwzględne polecenie tej instytucji, lecz raczej za zachętę do zainteresowania się nią, jako bądź co bądź ciekawą próbą wychowywania obywatelskiej masy.

Uzupełnieniem poprzedniej książki jest broszura, której tytuł na trzeciem miejscu podaliśmy. Podaje ona programy różnych grup wykładów przez korespondencję i warunki korzystania z nich. Adres: Powsz. Uniw. Koresp., Warszawa, ul. Nowy Świat 30.

Ks. J. Urban.

Jędrzej Giertych: O program polityki kresowej. Warszawa, nakładem Tow. Wyd. „Patria", 1932, str. 148.

Trudny problem naszych Kresów Wschodnich posiada już wcale obfitą literaturę, zarówno po stronie polskiej, jak ukraińskiej i białoruskiej. Niedawno powiększyła się ona o jedną, pokaźną objętościową pozycję. Książka p. Giertycha wyróżnia się jednak nietylko rozmiarami od przeważnie drobnych rozpraw i artykułów, dotyczących powyższego przedmiotu, ale i tem, że obejmuje całokształt sprawy i podaje obszerny, szczegółowo wypracowany program polskiej polityki na Kresach Wschodnich, ujęty logicznie i konsekwentnie w duchu polskiej ideologji nacjonalistycznej.

Główną ideę przewodnią tego programu stanowi, jak wiadomo, stopniowa asymilacja naszych miejscowości słowiańskich.

Można im wprawdzie zostawić odrębne zwyczaje i właściwości, uszanować miejscowe tradycje, byleby to wszystko nie przekraczało granic odrębności regjonalnych, nie uwłaczających zasadniczej jedności państwowej i narodowej Rzeczypospolitej. Innoplemieńcy słowiańscy w Polsce powinni zatem, zdaniem autora, nietylko wyrzec się wszelkich aspiracyj niepodległościowych, ale także przyjąć język polski za literacki, własny język traktować za narzecze lokalne, słowem stać się Polakami, mówiącymi po rusku lub białorusku. Ideał powyższy da się, zdaniem autora, osiągnąć, o ile państwo i społeczeństwo polskie, szczególnie kresowe, zdobędzie się na długotrwały patrjotyczny wysiłek, by obcoplemienną ludność słowiańską pociągnąć do polskiej kultury, starając się równocześnie hamować wszelkiemi sposobami rozwój jej odrębnej kultury narodowej. W tym celu należy odpowiednio zreorganizować szkolnictwo kresowe; może ono w niższych klasach uwzględniać w szerszej mierze gwarę miejscową, ale na średnim poziomie nauczania musi już znajdować się pod dominującym wpływem polskiego języka i polskiej kultury. Drugim ważnym środkiem taktycznym ma być możliwie dokładna izolacja separatystycznie nastrojonej inteligencji ruskiej od biernych i nieuświadomionych mas ludowych. W jaki sposób wykonać to wskazanie, autor nie mówi, przypuszczalnie dlatego, że sam takiego cudownego środka nie zna; w praktyce zredukuje się on zapewne do walki o duszę ludu ruskiego, którego należy wyrwać z pod wpływu jego duchowych przywódców i pozyskać drogą szerokiej akcji gospodarczej i socjalnej społeczeństwa polskiego oraz władz państwowych. Wkońcu wypowiada autor *pia desideria* w kierunku stopniowego spolszczenia cerkwi prawosławnej i unickiej.

Cały ten program nie jest koncepcją nową ani oryginalną, został on już dawno sformułowany w głównych linjach przez R. Dmowskiego, St. Głąbińskiego, St. Grabskiego i innych koryfeuszów obozu nacjonalistycznego. J. Giertych zebrał te wszystkie rozsypane częstokroć po różnych pismach idee i myśli w jedną systematyczną całość, dodając od siebie rozmaite szczegółowe wskazówki taktyczne, czasem może trafne, innym razem zgoła naiwne, np. ów pomysł manifestu o zmianie konstytucji i polityki kresowej, przez co autor obiecuje sobie wyrobić wśród tamecznej ludności poczucie stabilizacji stosunków politycznych. Wogóle znać w książce p. Giertycha brak znajomości stosunków miejscowych, do czego się autor zresztą szczerze przyznaje; dlatego wywody jego przybierają czasem postać oderwanych od życia, teoretycznych pomysłów. W szczegółach różni się niekiedy od innych działaczy i publicystów swego obozu. Na jego dobro zapisać należy, że nie łudzi się możliwością zmiany stosunków etnicznych na Kresach drogą intensywnej kolonizacji polskiej, i to

z przyczyny zbyt gęstego zaludnienia. Natomiast mniej liberalnym okazuje się w dziedzinie spraw kulturalnych, bo sprzeciwia się założeniu uniwersytetu ukraińskiego w Polsce, na co zasadniczo godzą się inni nacjonaliści polscy, a sprzeciwia się ze względu na swoje teoretyczne założenie, że należy zmienić w miarę możności wszelkie różnice między ludnością polską i ruską. Z tej samej przyczyny odrzuca autor pomysł narodowych kuryj wyborczych na Kresach, aczkolwiek popiera go tak wybitny leader narodowej demokracji, jak prof. St. Grabski.

Oceniając książkę p. Giertycha ze stanowiska etyki katolickiej i realizmu politycznego, trzeba o niej powiedzieć mniej więcej to samo, co o ideologji i programie polskiego nacjonalizmu wogóle. Przedewszystkiem zakwestjonować należy zasadnicze ujęcie rzeczy, wedle którego normą w działalności politycznej może być tylko interes własnego narodu, nie oglądający się na żadne inne racje natury moralnej. Sam program asymilacji narodowej mniejszości słowiańskich budzi poważne zastrzeżenia etyczne ze względu na swego ducha zaborczego i dość silne już uświadomienie narodowe wśród ludności ruskiej, szczególnie na terenie b. Galicji Wschodniej, aczkolwiek autor pragnie przeprowadzać ten program naogół środkami łagodnemi i kulturalnemi. Jeszcze gorzej wypadnie ocena powyższej koncepcji pod względem realności politycznej. Autor patrzy na zagadnienia kresowe przez nazbyt różowe okulary; zdaje sobie wprawdzie sprawę z olbrzymich trudności, na jakie napotyka plan asymilacyjny, ale zbyt łatwo spodziewa się pokonać powyższe przeszkody. Kto jednak trzeźwo spogląda na te rzeczy, ten wie dobrze, że ludność ruska jest doskonale zabezpieczona przed wpływami asymilacyjnemi polskiemi, dzięki swej odrębnej strukturze kulturalnej oraz odmiennej organizacji religijnej. Toteż nie można liczyć na jakieś większe sukcesy akcji asymilacyjnej, przynajmniej w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat. Próby tego rodzaju pogłębią tylko przepaść między ludnością polską i ruską, zaostrzyłyby jeszcze bardziej antagonizmy narodowe na Kresach i uniemożliwiłyby jakąkolwiek normalizację stosunków w tym kraju. Ze względu na grozę niebezpieczeństwa niemieckiego, która nakazuje skupić wszystkie siły narodu na wschodnim odcinku, nie jest wskazanem puszczać się na powyższego typu ryzykowne eksperymenty. Dlatego chociaż książka p. Giertycha napisana została niewątpliwie z dobrą wiarą i szlachetną intencją służenia sprawie narodowej, to jednak tendencję jej trzeba uznać za szkodliwą, ponieważ podtrzymuje różne fałszywe, rozpowszechnione niestety w naszem społeczeństwie iluzje, które właśnie dla dobrze zrozumianego interesu państwowego należałoby wytępić.

Mieczysław Niwiński.

Ks. Edmund Nowak: Rys dziejów duszpasterstwa wojskowego w Polsce 968—1831. Warszawa 1932. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. Str. XVI+241,

Praca rozpada się na dwie zasadnicze części. W pierwszej omawia autor polskie duszpasterstwo wojskowe w swej pierwotnej formie, które trafnie nazwał nadwornem i obozowem; zwraca uwagę na podstawy prawne, na jakich ono się opierało. Barwnie naszkicowane sylwetki kapelanów ożywiają suche dociekania historyczno-prawne. Przedmiotem drugiej części jest duszpasterstwo etatowe czyli stałe, czynne tak podczas wojny, jak i pokoju. W dodatkach publikuje Autor pewne ciekawe materjały i kreśli krótkie życiorysy wybitniejszych kapelanów.

Styl pracy potoczysty i przystępny, rozkład materjału przejrzysty. Pod względem konstrukcyjnym praca stanowi zwartą i symetryczną całość.

Na tem miejscu pozwalamy sobie zwrócić Szanownemu Autorowi uwagę na pewne usterki. Ponieważ ideą przewodnią książki jest przedstawienie poszczególnych faz rozwoju duszpasterstwa wojskowego, dlatego konstrukcja pracy zyskałaby na zwartości, gdyby rozdział V części I, zatytułowany „Pierwsze etaty", znalazł się na początku części II, omawiającej właśnie duszpasterstwo etatowe. W rozdziale IV części I niepotrzebną wydaje się wiwisekcja kapelanów na okresy panowania poszczególnych królów, wskutek czego nazwiska tych samych kapelanów powtarzają się nieraz kilkakrotnie. Możnaby tu również wskazać na, nieliczne zresztą, niedokładności w odsyłaczach, (np. str. 41 przypis 4, str. 45 przypis 1), gdzie błędnie podane są strony dzieł, z których autor czerpał swe wiadomości. W korekcie rażą omyłki drukarskie, mnożące się pod koniec książki. Wszystko to jednak uważać należy za drobiazgi, notowane z obowiązku recenzenta.

Nie przedstawilibyśmy jednak książki ks. Nowaka we właściwem świetle, gdybyśmy nie zwrócili uwagi Czytelnika na jej niepoślednie i niezaprzeczalne wartości. Jest to najpierw pierwsze dzieło o duszpasterstwie wojskowem w Polsce. Autor nie miał w tym względzie wzoru w naszej literaturze historycznej, nie rozporządzał również drobniejszemi rozprawami przygotowawczemi na ten temat. Sam musiał gromadzić materjał i dobywać z kronik, pamiętników, publikacyj źródłowych a przedewszystkiem z wielu archiwów polskich publicznych i prywatnych. Materjał ten, skrzętnie i wyczerpująco zebrany oraz odpowiednio opracowany stanowi prawdziwe bogactwo książki, z którego obficie może czerpać, nietylko historyk wojskowości, ale i badacz dziejów Kościoła, kultury i stosunków politycznych, tem bardziej, że w odpowiednich rozdziałach znajdzie stosunkowo dużo tekstów źródłowych. Ogrom materjału nie rozsadza pracy, autor panuje nad nim całkowicie i umiejętnie nim operuje. Obok materjału historyczno-prawnego, wydobył autor z mroków zapomnienia mnó-

stwo „duchownych od serc żołnierskich", których wpływ na wojsko Rzeczypospolitej był ogromny. Orjentację w tekście ułatwiają liczne odsyłacze, praktycznie zestawiony wykaz źródeł i opracowań oraz skorowidz nazwisk. Pracę tę, wydaną w estetycznej szacie zewnętrznej, zdobną w udatne ilustracje, czyta się z zajęciem i wewnętrznem zadowoleniem.

Ze względu na niepowszednią wartość dzieła ks. Nowaka nasuwa się pragnienie, by znalazło się ono w rękach nietylko księży kapelanów wojskowych i historyków wojskowości, dla których przedewszystkiem jest przeznaczone, ale by zapoznał się z niem także ogół duchowieństwa polskiego i wszyscy badacze dziejów naszych.

Jan Poplatek.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Księgarni św. Wojciecha, Poznań.

Wład. Berkan: Ks. patron Wawrzyniak w moich wspomnieniach. Z przedmową Ks. J. Prądzyńskiego, str. 149.
Ks. Dr. Ferd. Machay: Zadania duszpasterskie świeckich. Książnica Akcji katolickiej Nr. 17. Str. 181.
M. M. Saeyeys: Elekta. Powieść mistyczna. Przekład K. Bobrowskiej. Str. 225.
O. M. Lekeux: Płomień ofiarny. Przekład J. Kozarzewskiej. Wyd. 2. Str. 227.
Jerzy Marlicz: Łowcy przygód. Powieść. Str. VIII+261.
A. B. Dobrowolski: Życie w krainach lodu. Z 21 rycinami. Str. 143.

Nakładem firmy Gebethner i Wolff.

Leon Chwistek: Zagadnienia kultury duchowej w Polsce. Warszawa 1933, str. 208.
Kazimierz Wierzyński: Granice świata. Opowiadania. 1933, str. 224.
Andrzej Strug: Żółty krzyż. Cz. II. Bogowie Germanji. Str. 349.

Książki dla młodzieży:

Kornel Makuszyński: Panna z mokrą głową. Powieść dla młodzieży. Str. 210 z ilust.
Zofja Urbanowska: Gucio zaczarowany. Powieść dla młodszych dzieci. Wyd. 5. Str. 147, z ilustr. kolor.
Zofja Rogoszówna: Dzieci pana majstra. Z 52 rycinami czarnemi i 3 kolorowemi. Str. 168 (duży format).
Lewis Carroll: Ala w krainie czarów. Tłum. z ang. Wyd. 2. Str. 156. z ilustr. czarnemi i kolor.
Wyprawa po skarby, ukryte wśród puszczy. Przygody podróżników w Australji. Tłum. z franc. Wyd. 2. Str. 160, z ilustr.
Cecylja Niewiadomska: Powiastki króciutkie dla małych dzieci. Wyd. 5. Str. 148, z ilustr.
Antoni Bogusławski: Mała Tereska. Str. 32 z ilustr. kolor.; karton (duży format).
Ewa Szelburg-Zarembina: Moje wierszyki. Str. 30, z ilustr. kolor.; karton (duży format).
K. Makuszyński — M. Walentynowicz: 120 przygód koziołka matołka. Str. 24, z licznemi ilustr. kolor.; karton (duży format).

Nakładem różnych.

Stanislaus Adamski, Bischof von Katowice: Der Christusmensch. Predigt. Katowice 1932, str. 15.

Ks. Emanuel Grim: Jasełka śląskie w 5 odsłonach. Wyd. 2 przejrzane i poprawione. Cieszyn 1932, nakł. „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra", str. 76.

Dr. Jan Galicz: Ks. Ignacy Świeży. Jego życie i działalność. Cieszyn 1932, nakł. „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra", str. 163.

Bol. Koreywo: Życie na bakier. Powieść, tom II. Bibljoteka *Dziennika Poznańskiego*. Str. 113—228.

Ks. Dr. L. Zalewski: Ze stosunków wyznaniowych w Lubelskiem. Z notatek w arch. Kurji biskupiej. Lublin 1931, str. 15.

Dr. Andrzej Mycielski: O przestrzennych granicach Państwa w świetle krytyki Kelsena. Kraków 1933, str. 21.

Albert Meyenberg: Albert der Grosse mit der grossen Seele. Wyd. Herdera, Freiburg 1933, str. 40.

Walter Gerhart: Um des Reiches Zukunft. Nationale Wiedergeburt oder politische Reaktion? Wyd. Herdera, Freiburg 1932, str. IX+211.

Textus et Documenta, wydawane przez Pap. Uniw. Gregorjański w Rzymie. Zeszyty: De principiis ethicae socialis documenta ultimorum R. Pont. — De quinque viis S. Thomae ad demonstrandam Dei existentiam. — Photius et Ecclesia Romana. — De Spiritu Sancto anima Corporis Mystici.

Augustin Jakubisiak: Sur le Fondement philosophique du Communisme. Paris, Gebethner et Wolff, 1932, p. 32.

O. Kaz. Gołębiewski: Idea misyjna św. Alfonsa Lig. i jego Zgromadzenia. Włocławek 1932, str. 21.

Biuletyn Polskiego Towarzystwa Językoznawczego. Kraków 1931. Zeszyt III. Str. 117.

Ks. Dr. Kazimierz Wais: Kosmologja szczegółowa. Część II. Gniezno 1932, str. 170.

Casimir Smogorzewski: La Poméranie polonaise. Paris, Gebethner i Wolff, 1932, p. XVI+462 z 40 mapami i 40 ilustr.

Juljan Przyboś: Wgłąb las. Poezje. Bibljotek A. R. tom 3. Cieszyn 1932, str. 48.

Dr. Jan Magiera: Wstęp do słowacko-polskiego Słownika różnicowego. Kraków, nakł. Towarzystwa Słowiańskiego, 1932, str. 16.

Inż. Karol Iwanicki: Kościoły i kaplice w Kijowie. Warszawa. Str. 88 z ilustr.

Tenże: Katedra w Kamieńcu. Warszawa. Str. 33 z ilustracjami.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Świąteczne życzenia i podarunek Ojca św. — Bolączki prasy katolickiej w Polsce.

Dorocznym zwyczajem zwrócił się Ojciec święty i w tym roku do całego Kościoła z przemówieniem z okazji świąt Bożego Narodzenia. W wigilję, 24 grudnia, w południe przyjmował w sali konsystorjalnej powinszowania od Kolegjum kardynałów, wypowiedziane ustami dziekana tego najdostojniejszego senatu, kardynała Granito Pignatelli di Belmonte. Mowca przechodził zkolei smutne wypadki, ale i radosne chwile ubiegłego roku i dzieła zapoczątkowane lub szczęśliwie dokonane w tym okresie przez Piusa XI, zakończył zaś swoje przemówienie życzeniem triumfu dla Kościoła świętego, dla narodów i rządów — pokoju, dla Ojca św. — pociech, życia długiego i pomyślnego.

Nawiązując do treści przemówienia kardynalskiego, Pius XI wygłosił dłuższe orędzie, skierowane nietylko do Świętego Kollegjum, lecz do całego świata. Wspomniał o prześladowaniu religijnem w Hiszpanji, Meksyku i Rosji, o wojnach między narodami i wojnach cywilnych, wreszcie o trwającem nadal przesileniu finansowem i gospodarczem, źródle nędzy klas biednych i pracujących. Tym smutkom towarzyszyły jednak i pociechy. Sprawiały je manifestacja wiary na kongresie eucharystycznym w Dublinie, rozwój dzieł misyjnych mimo wszystkich trudności, rozrost Akcji katolickiej, a nadewszystko heroiczna wierność i wytrwałość, jaką okazywali biskupi, kapłani i wierni w krajach, w których się sroży prześladowanie. Życzenia swoje, posługując się „przedziwnym przyrządem Marconiego", zwraca Ojciec św. nietylko do kardynałów, swych najbliższych pomocników, ale do wszystkich biskupów, kapłanów, zakonników i zakonnic, przedewszystkiem w krajach misyjnych pracujących, do

wszystkich wiernych, do neofitów, katechumenów i ich katechistów. Życzy wszystkim wszelkiej łaski i radości duchownej w Duchu Świętym, — radości i wytrwania w świętej służbie, — coraz obfitszych owoców apostolskiej pracy. Narodom wszystkim życzy pokoju, wzajemnego zaufania, przyjacielskich stosunków, dostatecznego i korzystnego zajęcia dla pracujących...

Po życzeniach ogłosił Pius XI coś, jakby duchowy podarunek światu, czego podobno nawet w najbliższem otoczeniu papieża nie spodziewano się i nie przewidywano. Oto na rok przyszły, 1933, począwszy od 2 kwietnia aż do 2 kwietnia roku następnego, co obejmie sobą dwie Wielkanoce, ogłasza jubileusz zbawienia rodzaju ludzkiego przez Chrystusa. Jeśli przyjąć, że śmierć Zbawiciela świata nastąpiła w r. 33 naszej ery, to rok najbliższy będzie XIX wiekową jej pamiątką. Sam Ojciec święty zaznacza brak pewności naukowej co do roku śmierci Jezusowej: zdania uczonych wahają się między latami 30—34. Rozstrzygnięcie tego sporu pozostawić można przyszłości, — może za lat sto wierni będą znali dokładną datę, kiedy się dokonało zbawienie. Narazie Ojciec św. pozostaje przy roku 33, jako wielce prawdopodobnym, ponieważ jednak pewne, choć małe prawdopodobieństwo przemawia także za rokiem 34, dlatego — i z powodów praktycznych także, by był czas na przygotowanie uroczystości jubileuszowych, — jubileusz rozpocznie się w kwietniu i obejmie także Wielkanoc 1934 roku. Bliższe zarządzenia mają być ogłoszone niebawem.

Myśl o obchodzie w roku przyszłym XIX wiekowego jubileuszu śmierci Jezusa Chrystusa była podniesiona przed kilku miesiącami przez niektórych publicystów, nie zyskała wszakże poparcia może z powodu chronologicznych skrupułów i niepewności. Ojciec św. przeszedł nad temi skrupułami do porządku dziennego. Nad niepewnością chronologji wzięła górę wielkość dobrodziejstw, jakie z dzieła Chrystusowego spłynęły na ludzkość i których przypomnienie i pełne wykorzystanie jest tak wskazane właśnie w naszych trudnych czasach. Właśnie teraz, kiedy świat o niczem innem nie mówi, jak o konfliktach i antagonizmach narodowościowych, o zaufaniu i braku zaufania, o zbrojeniu i rozbrojeniu, o szkodach i odszkodowaniach, długach i ich płaceniu, o zwłokach i niewypłacalnościach, o interesach gospodarczych i finansowych, o nędzy jednostek i społeczeństw — właśnie teraz należy zwrócić pilną uwagę na sprawy ducha, na wartość dusz ludzkich krwią Chrystusa odkupionych i łaską ubogaconych, na braterstwo wszystkich ludzi, na misję zbawczą Kościoła w ludzkości. Te właśnie myśli i uczucia przyjdą, kiedy przez cały rok ludzie będą rozpamiętywali zdarzenia,

jakich widownią była Jerozolima przed 1900 laty. Ten nadzwyczajny *anno santo,* który ma się rozpocząć za kilka miesięcy, w myśl Ojca św. ma się stać rokiem moralnego odrodzenia, niezbędnego nawet dla przezwyciężenia trudności materjalnych, pod jakiemi świat się ugina.

Jedną z spraw perjodycznie powracających na stół obrad naszych kół katolickich, jest sprawa prasy katolickiej. Ściślej powiedziawszy — sprawa dziennika katolickiego. Przypomnijmy sobie, że już w r. 1921 wzywano do tego na Zjeździe katolickim w Warszawie. Odczyt o potrzebie takiego dziennika wygłosił wtedy generał broni J. Haller. Podobno zebrane zostały jakieś na ten cel fundusze, które jednak topniały jak śnieg wraz z wartością ówczesnej marki polskiej. Zamiast dziennika powstał jakiś niewielki tygodniczek, który skończył swój żywot, zanim spostrzeżono w kraju jego narodzenie. Mamy dane do twierdzenia, że nie sam głód pieniężny był powodem jego śmierci...

Do projektu założenia wielkiego dziennika katolickiego odnosiłem się sceptycznie zaraz po warszawskim zjeździe. Nie odrzucając bynajmniej projektu z jakichś zasadniczych względów, owszem stawiając prasę prawdziwie katolicką — aż do dzienników włącznie, jako cel dążeń katolicyzmu w Polsce, wyrażałem obawy czy czas na tworzenie wielkiego katolickiego dziennika nadszedł. Pozwolę sobie przypomnieć co wtedy pisałem *(Przegl. Powsz.* październik 1921 r., str. 222):

Obawiamy się, że przy małem jeszcze zainteresowaniu dla spraw religji, przy małem zrozumieniu jej wartości dla publicznego życia, przy chorobliwem natomiast partyjnictwie i gonieniu za skandalem i sensacją, jakie cechują nieledwie cały ogół czytający, dziennik prawdziwie katolicki musiałby albo zniżyć się do poziomu wymagań publiczności, albo walczyć z obojętnością ogółu. Ważniejsza jeszcze trudność leży może w tem, że nie posiadamy dość publicystów, którzy z doskonałością dziennikarskiej techniki umieliby łączyć subtelność katolickiego czucia. Bez tego zaś rozpoczynać wielkie przedsięwzięcie znaczyłoby skazać jeszcze raz katolicką firmę na zawód i kompromitację.

W kilka lat po napisaniu tych słów, mały dzienniczek warszawski *Polak-Katolik* przekształcony został na dużą stosunkowo gazetę *Polskę,* mającą właśnie być owym oczekiwanym długo dziennikiem „prawdziwie katolickim". Szanse zapowiadały się dobrze, boć z *Polską* zlała się *Rzeczpospolita* Paderewskiego, a potem Korfantego. Wiemy, że *Polska* po paru latach walczenia z trudnościami przed rokiem została zawieszona. Czy nie działały tu przyczyny, jakie charakteryzowałem w r. 1921, zwłaszcza obojętność ogółu katolickiego?

W dwa tygodnie po zawieszeniu *Polski* obradował w Warszawie Zjazd pisarzy katolickich, na którym potrzeba dziennika katolickiego była znowu omawiana. Swoją drogą musiało to być nieprzyjemne dla kilkunastu, obecnych na zjeździe, prrzedstawicieli różnych dzienników partyjno-politycznych o różnem politycznem nastawieniu. Wszak skoro na ten zjazd przybyli, widać pisma, które reprezentowali lub których nawet byli naczelnymi redaktorami, uważali za katolickie ...i naraz dowiadują się o potrzebie katolickiego dziennika. Za cóż więc ich mają? Mniejsza o to, dość, że w ciągu tego roku o potrzebie katolickiego dziennika pisano niemało, wypowiadano się *pro i contra,* zwolennicy znowu dyskutowali nad typem, jaki tego rodzaju dziennik w Polsce mógłby mieć, czy miałby to być dziennik ponadpartyjny tylko, czy wogóle apolityczny, a w związku z tem poruszano (mniej śmiało) i zagadnienie politycznego stronnictwa katolickiego.

Mam wrażenie, że te interesujące rozstrząsania mają wciąż znaczenie czysto teoretyczne i zrealizowanie ich jest chyba pieśnią dalszej przyszłości. Nowy dziennik wymaga dużo pieniędzy, dużego sztabu wybitnych sił pisarskich, wreszcie pewnej i szerokiej klienteli. Jeśliby się pierwsze dwa warunki znalazły, obawiam się — podobnie jak obawiałem się w r. 1921 — że nie dopisze klientela, czytelnicy. Gazetę trudno ludziom narzucić taką lub inną — gazeta, chcąca mieć powodzenie, musi wyczuwać gusta publiczności, iść na ich spotkanie. Otóż obserwacja i porobione doświadczenia stwierdzają, iż masy naszej katolickiej czytającej publiczności, niestety, nie tęsknią za dziennikiem, któryby był bardziej katolickim, niż te, które czytają. W dzienniku szukają czego innego, nie światopoglądu katolickiego: szukają sensacji, politycznej walki, wreszcie zabawy modnej. Tę trochę „katolickości", jakiej oczekują od dziennika, trochę wiadomości kościelnych, artykuliku i ilustracji z okazji jakiegoś święta, wigilji czy „święconego" — dostarcza im każdy niemal dziennik. W pewnych dniach roku nawet socjalistyczne dzienniki przywdziewają szkaplerze. W naszych warunkach na powodzenie liczyć mogą i faktycznie powodzeniem się cieszą dzienniki typu „Kurjerków" i „Ekspresów". Czy poważny katolicki dziennik będzie umiał iść z niemi w zawody, albo, jeśli wytrzyma konkurencję, czy dużo zachowa ze swej katolickości?

Dlatego sprawa dziennikarstwa katolickiego przedstawia się u nas jeszcze fatalnie. Winien temu jest nietylko zbyt niski jeszcze poziom uświadomienia katolickiego w masach inteligencji i półinteligencji, ale i zbyt niski poziom przeciętny intelektualnej kultury tych sfer. Jest to problem

zresztą nie wyłącznie nasz, polski, aczkolwiek u nas najjaskrawiej on się przedstawia. Jeżeli się ktoś powołuje na katolików innych krajów, mających znakomicie prowadzone dziennikarstwo katolickie, to albo to są kraje, gdzie katolicy tworzą zwarte obozy polityczne, przeciwstawiające się partjom protestanckim, liberalnym lub socjalizmowi (w Niemczech, Holandji, Belgji), i tam ich prasa codzienna katolicka jest zarazem prasą polityczną, albo też katolicy trzymają swój katolicyzm poza nawiasem życia publicznego (jak we Francji), i tam ich prasa katolicka ogranicza się przeważnie do pielęgnowania światopoglądu chrześcijańskiego bez wyraźnego stosowania go do bieżącej polityki. Dzienniki tego typu, jak niedawno ktoś słusznie w dyskusji zaznaczył, utrzymują się tam dzięki temu, że abonentów katolickich stać na prenumerowanie, obok dziennika katolickiego, drugiego dziennika, politycznego, odpowiadającego ich politycznym sympatjom. U nas na takie uzupełnianie jednego dziennika przez drugi chyba niewielu czytelników się zdobędzie.

Wobec poruszonych tu trudności zrealizowania myśli o nowym dzienniku katolickim pozostaje chyba starać się usilnie, by istniejące dzienniki uczynić w większej mierze katolickiemi, niż są. Zrobić to mogą ich współpracownicy, pogłębiając swe wiadomości religijne, zapoznając się coraz lepiej z ideologją Kościoła; zrobić to może czytająca publiczność, ta już bardziej w katolicyzmie oświecona, porzucając te dzienniki, którym pod względem katolickości najwięcej można zarzucić, a popierając te, które katolicką myśl i sprawy religji i Kościoła więcej uwzględniają i popierają.

Możnaby tutaj jeszcze omówić sprawę tygodników i miesięczników, ale brak miejsca zniewala do odłożenia tego tematu na drugi raz.

Ks. Jan Urban T. J.

Kronika gospodarcza.

Interwencjonizm. Walka o walutę. Sztywne ceny. Budżet. Długi.

Poniżej postaramy się w bardzo zwięzłym skrócie przedstawić najważniejsze wydarzenia gospodarcze w ciągu ostatniego kwartału 1932 r. na terenie światowym ze szczególnem uwzględnieniem Polski.

Jeśli z kimkolwiek mówimy o zagadnieniach ekonomicznych, to przedewszystkiem spotyka nas pytanie, kiedy kryzys się skończy? Czy jesteśmy już na dnie przesilenia, czy idziemy ku poprawie, czy też będzie jeszcze gorzej? Podobne pytanie zadaje sobie zresztą ludność niemal całego świata. Wszyscy znękani

kryzysem oczekują niecierpliwie jego końca. Wielu uważa, że nie należy biernie oczekiwać lepszych czasów, ale iż niezbędnem jest wyjście im naprzeciw. Domagają się przyspieszenia konjunktury. Przyspieszenie to nastąpić może przedewszystkiem w drodze ożywienia gospodarczego na podłożu finansowo - kredytowym.

Tem tłumaczy się inflacyjne dążności w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, odstąpienie od parytetu Anglji, państw skandynawskich, oraz innych krajów, opierających się na funcie, program naprawy wysunięty w Niemczech przez rząd Papena a także plany wielkich inwestycyj publicznych we Włoszech i we Francji. W akcji przyspieszania konjunktury przodują Stany Z. A. P. Podjęty przez nich olbrzymi eksperyment finansowo-kredytowy trwa ciągle i nie czas narazie na osądzanie go. Nie ulega jednak wątpliwości, że gdyby nie on, położenie ekonomiczne byłoby zapewne katastrofalne. Nie zmienia to stanu rzeczy, że motywy sztucznego ożywienia gospodarczego w Stanach były również a może nawet w pierwszej mierze natury politycznej.

Jak wiadomo, niedawno Stany wybierały nowego prezydenta republiki. Dotychczasowy prezydent Hoover przy obejmowaniu władzy malował przed oczyma Amerykan obraz niezwykłej pomyślności, jaka ma nastąpić za jego rządów. Tymczasem u krańca swego urzędowania położenie w kraju nietylko nie zgadzało się z owemi wielkiemi przyrzeczeniami, ale staczało się szybko ku ruinie. Oczywiście nie mogło to pozostać bez wpływu na losy wyborów. Dlatego za wszelką cenę należało, chociażby nawet przejściowo na okres kampanji wyborczej, wywołać sztuczną konjunkturę, ożywić przemysł, zatrudnić większą ilość bezrobotnych i t. p. Jak wiadomo jednak, półśrodki te nie pomogły i prezydentem wybrany został Roosevelt.

Innym sposobem walki z kryzysem było odstąpienie od parytetu przez Anglję rok temu. Funt szterling, ustabilizowany następnie faktycznie na poziomie ponad 30 zł., ostatnio znowu zaczął spadać dochodząc do najniższego dotychczas punktu około 28 zł. Wślad za funtem poszły waluty innych krajów, opierających się na nim. Stworzyło to dla przemysłu tych państw premje eksportowe, gdyż były one w stanie sprzedawać taniej jako w pieniądzu zdepresjonowanym. Zarazem rynek wewnętrzny chroniony był przed importem z krajów o stałej a więc droższej walucie. Przebieg wypadków wskazuje, iż Anglja oraz państwa skandynawskie istotnie doczekały się pewnej poprawy konjunkturalnej.

Z wielkim planem przyspieszenia konjunktury wystąpił w Niemczech upadły już rząd Papena. Jest to, nawiasem mówiąc, plan opracowany przez prof. Wagemana, znanego statystyka i teoretyka konjunkturalnego w Niemczech. Plan ten przewiduje również wielką akcję kredytową, zwiększenie zatrudnienia bezrobotnych, emitowanie specjalnych bonów podatkowych i t. p.

Niewiadomo narazie, jak zamierzenia poprzedniego rządu uskuteczniane będą przez obecny gabinet generała Schleichera. W każdym razie urzeczywistnienie ich jest możliwe jedynie drogą inflacji, tak czy inaczej nazwanej, pod tą czy inną pokrywką.

Z podobną, aczkolwiek na znacznie skromniejszą miarę zakrojoną, polityką interwencyjną wystąpił rząd włoski, projektując wielkie inwestycje. Sądząc z jednej z niedawnych mów francuskiego premjera Herriota, również rząd francuski ma zamiar podjąć roboty publiczne na wielką skalę, uzyskawszy odpowiednie fundusze po przeprowadzeniu konwersji rent.

Widzieliśmy zatem dążenia ważniejszych krajów o przyspieszenie poprawy gospodarczej. Inne państwa nie wysilają się na wywołanie konjunktury drogą interwencjonizmu rządowego, lecz starają się przeprowadzić swoje gospodarstwa społeczne poprzez niszczący kryzys obecny z możliwie najmniejszemi szkodami, a w każdym razie z niezłamanym stosem pacierzowym. Starają się więc o utrzymanie stałości waluty oraz w miarę możności o zachowanie równowagi budżetowej. W tym celu ograniczają wydatki zarówno państwa jak i swoich obywateli do niezbędnego minimum, aby tylko przetrwać cało do lepszych czasów. W rzędzie tych krajów znajduje się i Polska. Rząd nasz za wszelką cenę stara się o utrzymanie nienaruszonej waluty i zrównoważonego budżetu.

Starania te nie są łatwe. Wymagają one wielu ofiar ze strony społeczeństwa, zmuszają do pociągnięć bardzo niepopularnych, jak np. kilkakrotne już obniżki uposażeń urzędniczych. Równocześnie niezbędnem było ograniczenie kredytów, ścieśnienie obrotów, a więc zmniejszenie się całego życia gospodarczego. W przeciwstawieniu bowiem do państw powyżej wymienionych, uprawiających politykę mniej lub więcej inflacyjną, my trwamy przy deflacji.

Ścieśnienia wspomniane były tem niezbędniejsze, że pokrycie złotego malało skutkiem zmniejszania się zapasów złota oraz pod wpływem odpływu dewiz i walut zaliczonych do pokrycia. Kiedy bowiem jeszcze na dzień 1 stycznia 1932 r. zapas złota i dewiz zaliczonych do pokrycia wynosił w Banku Polskim 688 mil. zł., to spadł on w odstępach kwartalnych na: 644 w dniu 31 marca 1932, 530 dnia 30 czerwca, 520 dnia 31 lipca a dopiero w ciągu ostatniego kwartału zaczął ponownie wzrastać dochodząc na dzień 30 listopada 1932 r. do kwoty 536 mil. zł. Oczywiście odpowiednio do zmniejszonego pokrycia kurczył się i obieg pieniężny. Obieg banknotów wynosił z początkiem 1932 r. 1.218 mil. zł., po kwartale już tylko 1.130, o kwartał później zaledwie 1.105, jeszcze o kwartał później 1.056, a z końcem listopada 1932 r. 997 mil. zł. Odpowiednio do tego ścieśnił się również portfel wekslowy. Spadł on z 670 mil. z początkiem 1932 r. stopniowo do 574 mil. zł. na ultimo listopada.

Wytężona i nieprzebierająca w ofiarach walka o stałość waluty, była coraz trudniejszą i niemal beznadziejną wobec stałego kurczenia się pokrycia obiegu w złocie i w walutach obcych. Nasuwało się pytanie, czy walka ta jest wogóle do wygrania i czy jest celowa. Czy może nie byłoby lepiej nie wydawać ostatniego grama złota, będącego jeszcze w piwnicach Banku Polskiego w Warszawie (nie mówiąc o złocie zagranicą). W tej dziedzinie rewelacyjnym był artykuł ogłoszony przez bezsprzecznie najwybitniejszego znawcę tych zagadnień i ekonomistę polskiego, prof. Dr. Adama Krzyżanowskiego, na łamach *Przeglądu Współczesnego*. Prof. Krzyżanowski wykazywał w nim niezbędność zastanowienia się już obecnie nad sposobami postępowania w razie mniej pomyślnego przebiegu wypadków. Widzi on dwie korzystne metody wyjścia z obecnego położenia. Pierwszą jest trwanie jak dotychczas przy nieograniczeniu wypłacalności Skarbu oraz Banku Polskiego. Sposobem drugim byłoby uruchomienie kursu złotego, dewaluacja nieznaczna i chwilowa bez inflacji, bez ograniczeń dewizowych.

Artykuł ten wywołał rekordową dyskusję, w której zabierali głos zarówno w przemówieniach jak i w artykułach niemal we wszystkich czasopismach Polski rozmaici znawcy. Po drugiej stronie frontu najwybitniejszym przedstawicielem był płk. I. Matuszewski, były minister skarbu. Z właściwem mu zacięciem polemicznem wystąpił przeciw projektowi prof. Krzyżanowskiego, opowiadając się za dalszem postępowaniem po dotychczas obranej trudniejszej drodze. Istotnie też, jak dotychczas, Polska trwa przy polityce deflacyjnej, złoty utrzymywany jest na parytecie, nie ogłoszono moratorjum, nie wprowadzono ograniczeń dewizowych i t. p.

A nawet, jak to powyżej już zaznaczyliśmy, wystąpiły pewne pomyślne objawy. Tak więc zahamowany został odpływ dewiz, a zwiększony zapas złota. Stało się to skutkiem wrócenia do obiegu obcych walut oraz złota kruszcowego, dotychczas tezauryzowanego. Jest to niewątpliwym sukcesem akcji antytezauryzacyjnej, prowadzonej bardzo energicznie przez Pocztową Kasę Oszczędności między innemi w formie udanego konkursu prasowego. Ze schowków wypłynęły nietylko dolary czy franki, nietylko złoto i srebro, które ostatecznie dostały się do Banku Polskiego, ale i złote w formie zwiększenia się wkładów oszczędnościowych w bankach, komunalnych kasach oszczędności i w P. K. O. Nastąpił głównie przyrost wkładów terminowych przy lekkiem obniżeniu się wkładek natychmiast płatnych. Jest to pomyślny objaw wzmożenia się zaufania, z chwilą kiedy wkłady nietylko się zwiększają, ale nawet wiążą się na pewien termin. Dotychczas bowiem albo wogóle nie wpływały, albo też płochliwie zastrzegały sobie płatność *a vista* nawet kosztem daleko mniejszego oprocentowania. Wzrost wkładów oszczędnościowych wystąpił

nietylko w bankach, dochodząc do kwoty 234 mil. zł. na dzień 1 listopada 1932 r., ale także w P. K. O. W ciągu listopada 1932 r. wkłady oszczędnościowe w P. K. O. powiększyły się o prawie 9 mil. zł., dochodząc na dzień 30 listopada do kwoty 386 mil. zł.; a łącznie z wkładami pochodzącemi z waloryzacji dawnych wkładów markowych nawet do 415 mil. zł., złożonych na 937 tysiącach książeczek oszczędnościowych.

Upłynnienie rynku umożliwiło obniżkę stopy procentowej, przeprowadzoną przez Bank Polski jako instytucję emisyjną, a także przez banki i kasy oszczędności, a to zarówno procentów udzielanych od wkładek oszczędnościowych jak i pobieranych od kredytów. Drogą potanienia kredytu dążono do złagodzenia sytuacji. Było to zarazem dostosowaniem się do ogólnej polityki gospodarczej. W związku z całokształtem polityki deflacyjnej było usiłowanie rządu (bardzo silne w omawianym kwartale) w kierunku obniżenia cen przemysłowych. Rząd pod naciskiem kół rolniczych wystąpił przeciwko t. zw. nożycom cen przemysłowych i rolniczych. Za punkt wyjścia przyjęto ceny w 1928 r. jako w roku przedkryzysowym. W porównaniu z tym rokiem ceny rolnicze w 1932 r. obniżyły się w niektórych działach niemal do $^1/_3$ części, podczas gdy ceny artykułów przemysłowych spadły bardzo nieznacznie, niektóre zaś nawet wzrosły. Najsilniej utrzymały się ceny artykułów skartelizowanych. Stąd atak rządu na te „sztywne" ceny. Kartele nie zostały dłużne rządowi odpowiedzi i oświadczyły, że bardzo chętnie obniżą swoje ceny, jeżeli tylko rząd zmniejszy obciążenie podatkowe, ciężary społeczne i da przykład obniżki cen drogą potanienia wyrobów monopolowych oraz obniżenia taryf kolejowych, pocztowych i tp. Po wspomnianej powyżej dyskusji na temat kursu złotego najgorętszą w ubiegłym kwartale była właśnie wymiana zdań co do sztywnych cen. W wyniku kampanji rząd doprowadził do obniżki niektórych cen (np. cukru oraz spirytusu).

Kwartał ubiegły przyniósł wniesienie przez rząd do Sejmu preliminarza budżetowego. W związku z tem minister skarbu wygłosił wielkie exposé budżetowe, uzasadniając złożony przez siebie preliminarz. Preliminarz ten jest obecnie przedmiotem studjów i dyskusji w Sejmie. Nie wiemy narazie, jaka będzie ostateczna kwota budżetu po stronie dochodu i rozchodu. Przewidziany jest niedobór w wysokości okrągło 360 milj. zł. Znalezienie pokrycia tego niedoboru będzie naczelnem zagadnieniem naszego parlamentu.

Budżet bowiem wynieść miałby 2.449 miljonów zł. po stronie wydatków, a tylko 2.089 milj. zł. dochodów. Wydatki przeto przeważają dochody o wspomnianą kwotę 360 miljonów zł, a to pomimo tego, iż zostały w preliminarzu zmniejszone niemal we wszystkich ministerstwach. Tak np. obcięto budżet Min. W. R. Ośw. Publ. o 23 milj., Min. Spraw Wewn. o 16 milj., Min. Spraw

Wojsk. o 10 milj. i t. d. Powiększyły się budżety jedynie Min. Przem. i Handlu o 3 milj. oraz Min. Skarbu o 2 miljony złotych.

Wszystkie wydatki, przewidziane w preliminarzu budżetowym, odnoszą się wyłącznie do konieczności państwowych przetrwania przesilenia. Jest to budżet wegetacyjny bez środków na inwestycje. Wydatki mogą okazać się jeszcze mniejsze, kiedy odpadłaby konieczność płacenia długów zagranicznych. Obecnie bowiem wstawiono do budżetu wszystkie przypadające płatności z tego tytułu w kwocie 130 milj. zł. W razie przeto moratorjum (o czem piszemy poniżej) niedobór budżetowy zmniejszyłby się do 230 milj. zł.

Dochody mają wpłynąć w kwocie 2.089 milj. zł., z czego 1.030 czyli okrągło połowę miałyby dać daniny państwowe, 661 milj. monopole państwowe, 259 milj. dochody administracyjne, 103 milj. przedsiębiorstwa państwowe oraz 16 milj. fundusze państwowe. Znamiennem jest, że udział danin publicznych, uchodzących za klasyczną podstawę budżetu, stale się zmniejsza. Jeszcze ubiegłego roku wynosił 52%. Wśród nich najwięcej ma przynieść podatek przemysłowy (mieści się w nim podatek obrotowy), a mianowicie 192 milj. Inne podatki mają przynieść w miljonach złotych: dochodowy 180, od cukru 105, gruntowy 54, od nieruchomości 60, 10% dodatek 79, a nadto cła 135 i opłaty stemplowe 130. Ogółem zarówno wpływy podatkowe jak i z monopoli oraz przedsiębiorstw przewidywane są w wysokości mniejszej aniżeli poprzedniego roku budżetowego.

Wspomnieliśmy, że urealnienie budżetu zależy w silnej mierze od sprawy płatności długów zagranicznych. Na pierwszy plan wysuwa się tutaj płatność raty grudniowej długu Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej. Wszystkie państwa dłużnicze jednomyślnie zwróciły się do Stanów o zawieszenie płatności przypadających z ich strony rat aż do czasu rozpatrzenia całego zagadnienia długów wojennych i do rewizji układów dłużniczych. Ustępujący rząd Hoovera broni się bezwzględnie przeciw tym ustępstwom, bojąc się zarzutu swoich obywateli, iż na odchodnem podarował Europie pieniądze, z takim trudem ściągane od własnych amerykańskich obywateli kosztem pogłębiania kryzysu i zwiększania bezrobocia. Nie spieszy się również do rozstrzygnięcia tej niesłychanie trudnej sprawy przyszły prezydent Roosevelt, zaproszony do tego przez obecnego prezydenta.

Sprawa długów wojennych Ameryce została w rzeczywistości pogrzebana już w lipcu 1931 r., kiedy Niemcy zaprzestały płacić reparacje. Państwa dłużnicze oświadczyły Stanom, iż nie otrzymując reparacyj od Niemiec, nie mogą uiszczać się ze swoich zobowiązań i domagają się rewizji układów dłużniczych. Związek między niemieckimi spłatami reperacyjnemi a długami byłych aljantów był szczególnie dobitnie podkreślany przez Francję, m. i. w oficjalnej deklaracji podczas pobytu w jesieni 1931 r.

premjera francuskiego Lavala w Stanach. Zasada ta utrzymana i wzmocniona została w lipcu 1932 r., kiedy układem lozańskim wierzyciele zwolnili Niemcy niemal zupełnie od płatności reparacyjnych, a sami zobowiązali się nie ratyfikować tego układu przed załatwieniem sprawy swoich długów wobec Stanów ZAP.

Załatwienie to odwlekało się z powodu wyborów amerykańskich na prezydenta. W związku z temi wyborami była także zwłoka w zwołaniu światowej konferencji gospodarczej do Londynu, na której problem długów amerykańskich miał być podobno postawiony mimo zastrzeżeń ze strony rządu Stanów. Tymczasem nadszedł termin płatności 15 grudnia 1932 r. Uprzednio już poszczególne państwa dłużnicze zwróciły się do Stanów z memorjałami, udowadniającemi niemożność zapłaty. Rząd amerykański twardo stanął na zasadzie płacenia i we wszystkich wypadkach odmówił prolongaty.

I tutaj rozbił się jednolity dotychczas front dłużniczy, istniejący w rzeczywistości, chociaż starannie unikano jego manifestacji. Anglja zgodziła się zapłacić i uregulowała dług w kruszcu złotym. Jednogłośnie oświadczyli wszyscy mowcy w parlamencie angielskim, iż niezapłacenie długu w terminie byłoby niezgodne z moralnością narodu angielskiego. Zapłaciła również Czechosłowacja. Natomiast inne kraje postanowiły nie płacić. Do rzędu tych, którzy nie zapłacili, należała przedewszystkiem Francja i Belgja, następnie Polska oraz państwa pomniejsze (np. Estonja).

Francja nie zapłaciła w okolicznościach dramatycznych. Na sprawie płatności przewrócił się rząd Herriota, który postawił konieczność płacenia jako warunek zaufania i upadł w głosowaniu, a żegnany był przez całą izbę hucznemi oklaskami, wyrażającemi mu uznanie i zaufanie mimo... uchwalenia votum niezaufania. Była to tylko demonstracja nazewnątrz.

Polska również nie zapłaciła. Formalnie tłumaczono to faktem nieotrzymania do dnia 15 grudnia 1932 r. odpowiedzi od rządu Stanów na pismo polskie z 9 tegoż miesiąca. W istocie jednak płatność ta przerastała nasze możności budżetowe i walutowe. Byłoby wprawdzie pięknym gestem zapłacenie narówni z Anglją mimo odmowy państw tak bogatych jak Francja i Belgja, ale na takie gesty nas nie było stać. Płatność Polski wynosiła prawie 30 miljonów złotych, podczas, gdy cały nasz zapas walut i dewiz zaliczonych do pokrycia wynosił w Banku Polskim na dzień 10 grudnia 1932 r. zaledwie 35 miljonów zł.! A więc pozostałoby nam 5 miljonów dewiz, co nawet przy minimalnym obecnie obiegu banknotów w Polsce, wynoszącym prawie miljard, stanowiłoby pokrycie zaledwie pół procent! Również płatność złotem wzorem Anglji była dla nas niemożliwa, gdyż cały nasz zapas złota łącznie ze złotem, znajdującem się już zagranicą, wynosi w Banku Polskim 500 miljonów złotych i utrzymuje nas tuż

nad granicą minimalnego pokrycia. Zapłacenie raty byłoby mogło mieć nieobliczalne następstwa.

Ze strony niektórych kół podnoszono w Polsce, iż nie możemy uznać naszych długów, określonych w układzie z 1924 r. a obliczonych za „dary" amerykańskie według wysokich bardzo cen amerykańskiej mąki, kakaa, smalcu i t. p., cen wyższych wielokrotnie od obecnych. Słusznie się jednak stało, iż mimo niezapłacenia skutkiem zupełnej niemożności, zasadniczo stanęliśmy na podstawie, że jednostronnie nie możemy przekreślać naszego zobowiązania, któreśmy podpisali. Jedyną dla nas możliwością było zapłacenie raty w towarze. Nie w złocie jak Anglicy, gdyż go nie posiadamy, lecz w innych towarach, jakie mamy w nadmiarze na eksport. Jednak i tego nie można było uczynić bez zgody drugiej strony, t. zn. wierzyciela.

Przebieg wypadków po niezapłaceniu rat przez państwa europejskie pójdzie zapewne w kierunku dalszego skurczenia się międzynarodowego życia gospodarczego i pogłębienia kryzysu.

Dr M. J. Ziomek.

Uroczystości ku czci Stanisława Wyspiańskiego.

(w 25-cio lecie śmierci poety)

Kraków, rodzinne miasto Stanisława Wyspiańskiego, uczcił najgodniej ze wszystkich miast polskich dwudziestopięciolecie zgonu wielkiego poety. Na czele komitetu obywatelskiego stanął b. premjer prof. Dr. Juljan Nowak przyjaciel Wyspiańskiego. Do prezydjum weszli również przyjaciele i koledzy artysty: Dr. Stanisław Estreicher, Tadeusz Stryjeński, Józef Mehoffer, brakowało tam jednak tego, który był najbliższym poety w ostatnich latach jego życia i który razem ze ś. p. Wilhelmem Feldmanem zamknął mu oczy na wieczny sen — brakowało w prezydjum komitetu Adama Chmiela.

Uroczystości trwały trzy dni. Zaczęły się pobożnem i nastrojowem misterjum w bazylice OO. Franciszkanów we czwartek dnia 24 listopada o g. 6 wieczorem. Cały kościół zciemniono jedynie z zewnątrz były oświetlone elektrycznemi reflektorami witraże Wyspiańskiego: Bóg Ojciec, św. Franciszek, św. Salomea. Chór „Echa" pod batutą B. Wallek-Walewskiego odśpiewał *Pogrzeb Kazimierza Wielkiego*, a dyrektor teatru im. Słowackiego, p. J. Osterwa wypowiedział z chóru kościelnego podniosłą modlitwę Konrada z *Wyzwolenia*. W następne dnie odbywały się ranne uroczyste nabożeństwa w kościele OO. Franciszkanów, N. P. Marji i na Skałce za spokój duszy poety.

Z programu uroczystości najsilniejsze wrażenie wywarło przedstawienie *Wesela* w teatrze miejskim. I dobrze się stało, że

teatr właśnie tym dramatem, pokazującym formę w sposób najśmielszy, najbardziej rewolucyjny i zarazem najprostszy — uczcił pamięć dramaturga, który na jego scenie wystąpił po raz pierwszy i jego scenie oddawał zawsze pierwszeństwo w wystawianiu swoich dzieł. *Wesele* było też tym dramatem, który w teatrze krakowskim odniósł największy sukces estetyczny: oczarował i zahipnotyzował widownię.

Nastrój i symbol — oto zasadnicze czynniki, na których spoczywa tajemnica *Wesela*. Dlatego dyrektor Osterwa, reżyserując ten dramat-zjawisko, miał jedynie to założenie: przez czar słowa i barwę wydobyć jak największą sumę nastroju z gry aktorów i zaakcentować jak najsilniej znaczenie symbolu. Najwięcej siły nastroju i najwięcej głębi symbolu leży w tem, co mówią osoby dramatu — widma drugiego aktu. Z wykonawców sobotniej uroczystości jeden tylko pan Grzegorz Senowski pamięta prapremjerę polską *Wesela* w teatrze krakowskim z przed 32 lat obecnie grał on tę samą, co wówczas, rolę: Hetmana. Dziś jest on już w teatrze krakowskim żywą tradycją reżyserji Wyspiańskiego. Po za nim najbliższymi ideału w środkach ekspresji byli pp.: Józef Karbowski (Stańczyk), W. Nowakowski (Wernyhora) i Woźnik (Upiór). Karbowski mówił wiersz Wyspiańskiego z trafnem i głębokiem zrozumieniem, myśli swoje i słowa ilustrował pomysłowo i szczęśliwie pozami z obrazów J. Matejki. To ułatwiało widowni zgłębienie symboliki Stańczyka. W. Nowakowski miał w głosie swym i w geście potęgę, o jakiej z pewnością marzył Wyspiański. Myśl poety w jego interpretacji wychodziła jasno. Upiór w przedstawieniu Woźnika, miał grozę a to już jest dosyć, aby ta postać była na scenie żywą i plastyczną. Wszystkie kreacje przypominały świetną tradycję premjery *Wesela*: Kamińskiego (Stańczyk), Jednowskiego (Wernyhora) i Puchalskiego (Upiór).

Natomiast pewne uwagi nasuwa gra pp. Hierowskiego (Widmo) i Zastrzeżyńskiego (Rycerz Czarny). Hierowski nie wyzyskał sytuacji nakreślonej tekstem. W momencie, kiedy widmo mówi do Marysi:

Czy pamiętasz jeszcze dzień,
jak nas gruszy cienił cień,
tu w tym sadzie, na zieleni...

i kiedy Marysia mu odpowiada:

hańśmy stali w dłoni dłoń...

w tym właśnie momencie sytuacja prosi aktora o zbliżenie się jego do okna — o spojrzenie w sad... Podobnie po słowach Widma: „— raz do koła..." tam właśnie, gdzie poeta cały wiersz wypełnił pauzami, tam właśnie Widmo powinno wykonać z Marysią smutny, aż do łez smutny i powolny obrót tańca. Tego wszystkiego w grze Hierowskiego nie było. Scena była przez to

unieruchomiona i niewyzyskana. Co do gry Zastrzeżyńskiego, to artysta, jako Czarny Rycerz, nie zdradzał potęgi, nie budził grozy: pochylał się za bardzo nad Poetą (który siedział) i mówił cicho. Wreszcie Chochoł p. Kondrat) powinien mieć głos niski i głęboki — demoniczny.

Z postaci realnych *Wesela* dużo godności i powagi miał Gospodarz w grze Z. Kułakowskiego, Pan Młody (Solarski) miał życie i pogodę, Poeta (Białkowski) prowadził z maestrją koronkowy dialog z Rachelą i Maryną, a L. Ruszkowski grał Czepca z rzetelną plastyką — siła w słowie i rubaszność w geście była zasadniczym akcentem jego gry. Jaśka grał Burnatowicz. Jego ostatnia scena po stracie Złotego Rogu była dramatyczna.

Drugim wyrazem hołdu teatru krakowskiego dla twórcy *Wesela* była uroczysta akademja w niedzielę dnia 27 (południe). Zagaił ją prezes Komitetu, prof. Juljan Nowak, w słowach pełnych serca dla wielkiego artysty, dla zmarłego przyjaciela swego. Były jeszcze dwa przemówienia, raczej odczyty: p. ministra W. R. i O. P. Jędrzejowicza i przedstawiciela literatów, J. Kaden-Bandrowskiego. Pan minister dał sylwetę Wyspiańskiego na tle doby dzisiejszej, a Kaden-Bandrowski — zawiódł oczekiwania licznie zebranego audytorjum. Miał on złożyć hołd poecie w imieniu wszystkich polskich literatów — prozaików i poetów — a tymczasem odczyt jego poszedł w kierunku zupełnie innym.

Najciekawszym punktem programu było wystawienie fragmentu sceny historycznej p. t. *Królowa Polskiej Korony*. Opuszczono z tej nastrojowej sceny sytuacje zbiorowe, usunięto nawet dekorację. Jedynie na tle czerwonych kotar oddeklamował p. J. Karbowski modlitwę i ślubowanie króla Jana Kazimierza. Deklamacja jego była głęboko przemyślana, wygłoszona z przejęciem. Głos artysty brzmiał potężnie i majestatycznie, wrażenie na widowni było silne.

Wreszcie w niedzielę wieczorem wystąpił teatr krakowski z *Wyzwoleniem* — z dyrektorem Osterwą w roli Konrada. Zasadniczemi podsłowami gry p. Osterwy były: jasne przemyślenie i zrozumienie tekstu Konrada, oraz prostota w wypowiedzeniu myśli. Z tem wszystkiem gra świetnego artysty była silnym kontrastem w stosunku do interpretacyj Konrada, jakie dotąd widzieliśmy u innych aktorów, interpretacyj polegających wówczas na patosie i deklamacji. P. Osterwa, daleki od tego rodzaju gry, zbliżył Konrada do dzisiejszego pokolenia o całą, nieprzejrzaną dotychczas, dal jego myśli...

W obecnem wznowieniu *Wyzwolenia* ważniejsze obsady stanowili pp.: Zofja Jaroszewska (Muza), Jentysówna (Harfiarka), Karbowski (Prymas), Woźnik (Samotnik), Białkowski (Reżyser), Ruszkowski (Karmazyn).

Jaroszewska mówiła wiersz Wyspiańskiego z wdziękiem. Zachowała w I. i III. akcie stylową postawę, stojąc nieruchomo

pod filarem katedry, grała jedynie spojrzeniem. Głos Jentysówny (Harfiarka) nie był tak śpiewny, jak tego wymagała zwiewna personifikacja liryzmu. Przy tem ruchy młodej artystki były za sztywne. Karbowski w roli Prymasa operował głosem głębokim i imperatywnym. Dobrymi też byli: Białkowski i Ruszkowski, mocno skandujący polonezową rytmikę wiersza Wyspiańskiego. Scena ze Samotnikiem, którego grał nastrojowo Woźnik, wypadłaby silniej, gdyby w tym momencie zciemniono nieco scenę.

Wyzwolenie w ten wieczór skrócono, i przez te daleko idące skróty dramat zyskał na wartości. Z drugiej jednak strony nie jestem za tem, aby wierszowane komentarze, przeznaczone dla reżyserji, dla czytelnika i jego teatru wyobraźni, mówić przed widownią, a więc w teatrze rzeczywistości. Co Wyspiański w *Wyzwoleniu* miał do powiedzenia widowni — powiedział przez usta aktorów.

Tak uczcił Wyspiańskiego teatr.

A literaci?

Właśnie w tym czasie odbył się w Krakowie Zjazd literatów z całej Polski. Zjazd nie był liczny, a i taki mógł zająć się wieloma sprawami aktualnemi, związanemi z ideą narodową i artystyczną Wyspiańskiego. Tymczasem zjazd zajmował się, zamiast sprawami ideowemi, kwestjami zawodowemi literatów polskich: różne problemy związane z finansami, wydawnictwami i... akademją literatury, którą tak uporczywie lansują warszawskie sfery, były jedynym przedmiotem obrad zjazdu.

Trwałym dziełem sekcji literackiej komitetu obchodowego, dziełem godnym wysiłku, było wydanie staraniem i kosztem tegoż komitetu książki Ludwika Skoczylasa o Wyspiańskim. I dobrze się stało, że książkę taką napisał właśnie Ludwik Skoczylas, jeden z najgłębszych, bo twórczych krytyków współczesnych, jasno wpatrzony w myśl i wizję poety, śledzący z logiką i konsekwencją pochód jego idei.

Skoczylas podzielił pracę swą na dwa działy. Pierwszy obejmuje dramaty Wyspiańskiego, pozostające pod wpływem symbolizmu (r. 1893—1900), a drugi: dramaty i poematy, dla których poeta znalazł we własnym narodzie „źródło siły" (1900—1907). Podział rodzaju twórczości jest nowy i bardzo szczęśliwy, dotąd przez analityków poezji Wyspiańskiego niespotykany. Aby lepiej i głębiej wejść w trud Wyspiańskiego, omówił Skoczylas nasamprzód życiorys poety, następnie podał treść każdego dzieła w ten sposób, że czytelnik równocześnie podaje osnowę utworu, tajemnicę jego sztuki i głębie myśli. Przytem autor wykazuje rozwój ideologji Wyspiańskiego, zastanawia się nad problemem życia, śmierci i miłości, nad znaczeniem siły sumienia, przeznaczenia, grozy i nad wartością etyki i wreszcie konsekwencją zbrodni — podstawą tragizmu, a przedewszystkiem analizuje on naj-

ważniejszy problem w poezji Wyspiańskiego: zagadnienie bytu narodu polskiego.

Analiza każdego dzieła jest przejrzysta, krytyczna (w znaczeniu objektywnego spojrzenia) i twórcza, to znaczy: odsłania szereg myśli nowych i kojarzy pojęcia napozór sobie obce i jakby nieprzystające do siebie. Do najciekawszych należy rozbiór *Wesela* i *Wyzwolenia.*

Książką swą o Wyspiańskim wyzał Skoczylas to, co jest rzadkością u dzisiejszych krytyków: zdolność twórczego wmyślenia się w dzieło poetyckie. A jeśli chodziło mu także o to, aby praca jego „przyczyniła się do rozszerzenia kultu naszego wielkiego tragika w wolnej i niepodległej Polsce", to ten cel napewno osiągnie: poetyckie oblicze Wyspiańskiego pokazał w świetle jasnem i przekonującem.

Częściowo zasługą teatru krakowskiego, a częściowo, literatów, jest obszerna publikacja, która ukazała się (nakładem teatru) w dniach uroczystości, pod tyt.: *Wyspiańskiemu — teatr.* Szereg artykułów (Estreichera, Solskiego, Nowaka, Sosnowskiego, Siemaszkowej i innych) oświetla postać poety od strony teatru. Ciekawym i ważnym materjałem do stosunków, jakie Wyspiańskiego łączyły z teatrem krakowskim, jest tu dokument, stwierdzający jego zabiegi o uzyskanie dyrekcji teatru i wykazujący jego plany i idee na stanowisku kierownika tą instytucją.

Zresztą cała prasa krakowska poświęciła w tych dniach szereg prac wybitnych autorów o twórczości poetyckiej i malarskiej Wyspiańskiego. Z pism większych należy wspomnieć: *Przegląd Współczesny*, *Przegląd Powszechny,* (Szczutowski: „Nad głębiami *Wesela*) i *Gazetę literacką.*

Ukazał się w tym czasie także przekład A. E. Balickiego, fragmentu sceny dramatycznej Wyspiańskiego p. t. *Weimar*, pisanego po niemiecku. Przekład dobry, wydaje się tylko zbyteczny. Jeśli Wyspiański napisał tę scenę z Goethem po niemiecku, to widocznie miało to jakiś sens artystyczny czy literacki, w przeciwnym razie napisałby ją po polsku. Nie trzeba więc jego sensu przeinaczać.

Scenę tę odegrali artyści teatru im. Słowackiego podczas uroczystego otwarcia wystawy dzieł Wyspiańskiego w Pałacu Sztuki przy pl. Szczepańskim. Otwarcie było uroczyste i publiczność wypełniła cały gmach. Według opinji ogółu, wystawa wykazała braki. Trudno było zgromadzić wszystkie najlepsze, największe (kompozycyjnie) i najcharakterystyczniejsze dzieła Wyspiańskiego, dziś znajdujące się w różnych stronach Polski, a nawet zagranicą. To było trudno. Ale łatwo było zakreślić szczuplejszy, ale zato bardziej jednolity charakter wystawy, naprzykład: dzieła dekoracyjne (witraż i polichromja), pejzaż i portret, czy też grafika i zdobnictwo i t. d. Taka wyczerpująca w treści, choć skromniejsza na ilość dzieł wystawa, dałaby zamkniętą syl-

wetę Wyspiańskiego, jako — dekoratora, grafika, czy portrecisty... To byłoby łatwiejsze i wdzięczniejsze tem bardziej, że wiele z wystawionych obrazów publiczność znała, z innych galeryj.

Taką szczupłą w rozmiarach, ale pełną w treści i jednolitą w charakterze, a więc dlatego prześliczną wystawę otwarło Towarzystwo Miłośników książki w gmachu Muzeum Przemysłowego. Była to wystawa książek St. Wyspiańskiego, wystawa pierwszych wydań (dziś już tak rzadkich!) jego dzieł, które mogą i powinny być w obecnych czasach zepsutego smaku w graficznym układzie i zdobieniu książki przykładem dla autorów i drukarzy. Wystawa pokazała też i dalsze wydawnictwa dzieł poety, czasopismo literackie *Życie,* w którem Wyspiański był kierownikiem artystycznym, dalej: bogatą bibljografję, odnoszącą się do dzieł jego i wreszcie inne książki i wydawnictwa współczesne lub dzisiejsze oparte o zewnętrzny wzór kslążki Wyspiańskiego.

Artyści-plastycy uczcili dwudziestopięciolecie zgonu największego, obok Malczewskiego, wizjonera doby przedostatniej — zjazdem i uroczystą akademją w gmachu Akademji Sztuk Pięknych. Zjazd ten, jak i zjazd literatów, przyczynił się w dużej mierze do pięknego, żywego obrazu, jakim był na ulicach miasta pochód artystów, literatów, aktorów, młodzieży szkolnej i publiczności, o zmroku z płonącemi pochodniami, do grobu poety na Skałkę. Tam delegacje składały wieńce na sarkofagu poety. Pochód odbywał się w milczeniu — miał być przypomnieniem pogrzebu...

Wreszcie w czasie uroczystości odsłonięto trzy tablice ku czci Wyspiańskiego. Pierwsza — to wielka i piękna tablica (wykonał ją Karol Hukan) z dobrą podobizną poety *en face* w kole, z napisem: „w domu, który stał na tem miejscu, pisał Stanisław Wyspiański „Wesele". Umieszczono ją na kamienicy pod l. 9. przy placu Marjackim. Dlaczego wmurowano ją właśnie przy placu Marjackim? Motywowano ten pomysł argumentem, że tam Wyspiański mieszkał, że tam pisał *Wesele,* że plac Marjacki — to najpiękniejszy architektonicznie zakątek Krakowa, odwiedzany przez wszystkie wycieczki... i t. d. i t. d... Dobrze, ale nie liczono się z jednem: tablica jest duża i piękna, wykonana w doskonałym i trwałym bronzie, na niej głowa Wyspiańskiego bardzo podobna — jest dziełem sztuki; pod głową napis *à propos*... wszystko, przypuśćmy, bez zarzutu, tylko za wiele tego dobrego, jak na cel tablicy pamiątkowej, a stanowczo za mało, jeśli chodzi o wielki obowiązek pokoleń wobec Wyspiańskiego. Oby kiedyś Kraków, i ten dzisiejszy i ten jutrzejszy, gdy go historja zapyta o pomnik dla Wyspiańskiego, nie odpowiedział sumieniu swemu, wskazując tablicę przy pl. Marjackim: *Salvavi animam meam...*

Tablica skromniejsza, naprz. na domu, gdzie Wyspiański

się urodził (ul. Krupnicza 26), spełniłaby ten sam godny cel, co tamta, ale nie zwolniłaby przyszłych pokoleń od obowiązku wzniesienia pomnika twórcy *Wesela*...

Komitetowi obywatelskiemu, który zaaranżował uroczystości ku czci poety, pozostaje teraz najbliższy obowiązek: utworzyć zaraz aktywny Komitet budowy pomnika w Krakowie dla Stanisława Wyspiańskiego!

Młodzież uniwersytecka i uczniowie gimnazjum im. Nowodworskiego, gdzie Wyspiański uczęszczał, wmurowali także w swoich gmachach tablice, jednak nie w odpowiednich miejscach: w Collegium novum umieszczono ją w zaciszu bocznego korytarza na parterze, a w gimnazjum — nad drzwiami portjerni!... Nieodpowiednio! W obu gmachach są przecież po temu widoczne miejsca na piętrach *vis à vis* schodów.

Udział społeczeństwa krakowskiego w tych uroczystościach był liczny, czasem nawet demonstracyjny. Zwłaszcza młodzież przeżywała owe dni z entuzjazmem, czego dowodem jej zainteresowanie wykładami popularnemi pod kierownictwem pp. L. Skoczylasa i A. E. Balickiego. Czy jednak ten udział był wyrazem bezpośredniego stosunku publiczności do trudu artystycznego poety, jej entuzjazmu idącego ze źródeł serca i duszy, czy też realizował się on tylko przez snobizm — — o tem powie nam dopiero dzień jutrzejszy, który powinien pokolenie przyszłe jeszcze bardziej do Wyspiańskiego zbliżyć.

Na zakończenie — przykra sprawa listów Wyspiańskiego. Nie jestem odosobniony w wołaniu na alarm; czas najwyższy wydać listy Wyspiańskiego, udostępnić je dla publiczności! Niech nareszcie po 25 latach zamknięcia w jednej, prywatnej tece, niedostępnej dla ogółu, ujrzą światłość druku i otworzą skarby piękna i myśli poety. Przecież wydawców na to znajdzie się w Polsce dosyć, a skomentować je potrafi sobie chyba każdy inteligentny czytelnik.

Antoni Waśkowski.

Kongres Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Nauczycieli Szkół Średnich.

Angielski komitet organizacyjny, udzielając gościny XIV-mu Międzynarodowemu Kongresowi Nauczania Średniego w swem stołecznem mieście Londynie, a ograniczając konferencje i sesje do pewnej tylko części programu, chciał niejako uczestników przekonać, że korzyści intelektualne kongresów są zazwyczaj niewielkie i łatwo się dają lekturą dopełnić, a to, co jest w takich razach bezcenne, to zetknięcie się na międzynarodowym gruncie najróżnorodniejszych narodowości świata, to arcycie-

kawa wymiana między niemi myśli na ogólno kulturalne i ogólno ludzkie tematy. Wrażenia optyczne należą bowiem do najbardziej trwałych i nieraz po latach, kiedy intelektualny dorobek Kongresu już zupełnie zniwelowany został falą innych, aktualniejszych i ciekawszych poglądów, one pozostają żywe, nie tracąc swej barwy, przesuwają się przed oczyma pasmem wspomnień, jak gdyby co dopiero przeżytych dni.

Tak mówił Lord Mayor Londynu w swem inauguracyjnem przemówieniu, to powtórzyć musi sprawozdawca wrażeń z kongresu, by zrzucić z siebie odpowiedzialność przed słuchaczami za konieczność poruszania innej, nie oficjalnej strony programu, — w imię pewno tej zasady Komitet organizacyjny położył taki nacisk na stronę artystyczną i towarzyską programu.

Kongres ten, który odbył się w ostatni tydzień lipca b. r. pod protektoratem królewskim, a w którym brało udział przeszło 250 delegatów 33 narodowości świata, nie przemęczał uczestników konferencjami i sesjami, ale tym konferencjom i recepcjom dał, zwyczajem anglika rozmiłowanego w swej przeszłości, średniowieczne mury Mescer's Hall, Haberdashers Hall za tło, a ciekawy ceremonjał tradycyjny za formę. Uczestnicy kongresu mieli sposobność zobaczyć jak wygląda typowe angielskie „garden party" w królewskiej rezydencji, jak piękny i rozległy rozciąga się widok z słynnego obserwatorjum w Greenwich, jak gościnnie witać umie stowarzyszenie kobiet z uniwersyteckiem wykształceniem w swej wspaniałej, historycznej tradycji pełnej, rezydencji, Crosby Hall na Chelsea, jak w bajecznie czarowną legendę zaklęło średniowiecze swe college'a w Oxford i Cambridge.

Jako główny temat konferencyj wysunął Kongres kwestję zajęć pozaszkolnych młodzieży i wybitnie wychowawczą rolę, jako one grają w szkolnictwie średniem.

Nim przystąpimy do zreasumowania treści wygłoszonych referatów, musimy przedewszystkiem ustalić znaczenie pojęcia: „zajęć pozaszkolnych" ucznia. Sięgając do kwestjonarjusza, rozesłanego przed Kongresem do instytucyj i międzynarodowych delegatów, dowiadujemy się, że pod pojęcie zajęć pozaszkolnych podciąga kwestjonarjusz nietylko a) kulturę fizyczną i gry na wolnem powietrzu, b) kulturę estetyczną i przedstawienia teatralne, c) roboty ręczne wszystkiej kategorji, d) zamiłowania osobiste uczucia, ale również i harcerstwo, samorząd z wszystkiemi jego formami autonomicznemi i instytucję prefektów, związki rodziców, związki byłych uczniów, stowarzyszenia społeczne młodzieży, pisemka szkolne i t. d.

Konferencje, na których rozstrzygane były powyższe problemy, odbywały się w rannych i popołudniowych godzinach, wolnych od wycieczek i zwiedzań, Sala Ratuszu londyńskiego, Guidhall, jednego z najpiękniejszych zabytków świeckich

Anglji, służyła za ramy dla uroczystości otwarcia Kongresu. Poprzez kolorowe witraże jej wąskich, gotyckich okien, wpadało delikatne, prawie mroczne światło dnia i nadawało dziwnie miły nastrój chwili. — Najmniejsze nawet odgłosy wielkomiejskiego życia nie dostawały się poza mury hall'u, a kolorowe flagi wszystkich narodowości, których delegaci brali udział w kongresie, zwieszały się zwyczajem angielskim u rzeźbionego pułapu. Na otwarciu Kongresu Lord Mayor Londynu, otoczony świtą, w swoim fantastycznie dawnowiecznym stroju, witał przybyłych ze świata gości; przedstawiciele poszczególnych stowarzyszeń i rządów wygłaszali w alfabetycznym porządku swe oficjalne mowy, i przystąpiono do referatów, których treść w szczupłych ramach streszczenia, tak się mniej więcej przedstawia:

Gry i zabawy na wolnem powietrzu coraz wyraźniejsze zakreślają kontury w programach wychowawczych szkoły nowoczesnej, zauważyć już nawet można głosy sygnalizujące obawę przesady i skrzywienia idei. Zachowanie bowiem miary w grach i sportach młodzieży jest koniecznością. O ile bowiem gry zbiorowe wzmacniają instynkt społeczny, o tyle korzyść dla charakteru, zdobyta przy indywidualnych zwycięstwach sportowców, jest więcej niż wątpliwa, prowadzi bowiem do bałwochwalczego kultu atletyzmu. I w niej to ma źródło pogląd na sprawę do tego stopnia fałszywy, że — jak twierdził jeden z mowców — do niedawna trudno było przekonać publiczność w Anglji, iż zwycięzca partji cricketowej nie jest równie znaczną osobistością, co prezes Rady Ministrów.

Najcenniejsze z gier, stwierdzono, są te, które prócz indywidualnej zręczności, odwagi i zmysłu kombinacyjnego, wymagają pewnego zaparcia się siebie na korzyść koleżeństwa, na korzyść szkoły, jako całości i, rzecz na pozór absurdalna, kryją w sobie możliwość fizycznego niebezpieczeństwa i bólu. Gry i zabawy na wolnem powietrzu nie są bowiem celem w sobie, ale tylko środkiem do wyrobienia tężyzny fizycznej młodzieży i do kształcenia ich charakterów i zalet obywatelskich. Jest jeszcze cel poboczny, nigdy dość silnie przez wychowawców nie podkreślony, to wyrobienie w uczniach umiejętności używania i radowania się wolnym od nauki czasem. I tu spotykamy się z owem nieprzebranem źródłem zajęć pozaszkolnych ucznia kółek dyskusyjnych, dramatycznych, muzycznych, naukowych i innych zajęć, o których mówiliśmy na początku.

Ojczyzną dużej części tak gier, (jak football, golf, tennis, cricket), jak i zajęć pozalekcyjnych młodzieży była Anglja. — Skautyzm, który się tam narodził, wzbudził podziw i uznanie wszystkich krajów i stał się dziś międzynarodowym. Takąż też rolę na międzynarodowym terenie grają wycieczki szkolne. W wielu krajach np. w Niemczech, jeden dzień w miesiącu stale poświęcony jest na ten cel. W Anglji „School Journey Associa-

tion", „The Officers Training Corps", „The Cadet Corps" bardzo gorąco współpracuje w tym kierunku. Ściśle z kwestją wycieczek łączy się sprawa schronisk dla młodzieży (youth hostels) coraz bardziej wysuwająca się na plan pierwszy dla swej bezpośredniej aktualności. W Niemczech w 1931 r. było 2,114 turystycznych gospod dla młodzieży, a 4,300.000 noclegów.

Poruszono też sprawę osiedli szkolnych „school country homes", których celem jest zastąpić choć w części szkoły internatowe (boarding schools) tak bardzo rozpowszechnione w Anglji. Lietz, twórca Landeserziehungheim'ów w Niemczech, wzorował się, jak zaznacza Dr. Dawes, na szkołach angielskich w Abbotsholme, Bedales. 115 szkół średnich, a 45 powszechnych w Niemczech posiada swe własne osiedla.

Snując dalej wątek treści referatów, dowiadujemy się, że zagadnienie teatru szkolnego staje się coraz bardziej aktualne. Są kraje, w których każda prawie szkoła ma własny zespół teatralny, np. w Anglji. W Niemczech wprowadzane są podobno bardzo orginalne formy sceniczne. Każdy prawie budynek szkolny w Ameryce posiada odpowiednią scenę. Najświeższą nowością to wycieczki zagraniczne danych zespołów teatralnych szkolnych. Pamiętamy, że tak niedawno zjechało do Polski Heyleybury College z Szekspirowskiemi dramatami.

Dużą też część czasu poświęcił Kongres stowarzyszeniom i związkom uczniów na terenie szkolnym jako środkom uspołeczniania młodzieży. Sekcja Czerwonego i Białego Krzyża, Dorcas Societies znane są wszędzie na międzynarodowym terenie. — Dowiadujemy się, że w Anglji wiele szkół bierze czynny udział w niesieniu pomocy szpitalom lub w innych zajęciach, czysto charytatywnych, czy też opartych o ideologję religijną, tak np. są szkoły, które mają swoje osiedla dla biednych dzieci „settlements missions", nad któremi opieka, wymagająca wielkiego zaparcia się siebie i poświęcenia, powierzana jest uczniom szkoły.

Stowarzyszenia rodzicielsko szkolne, nasze komitety rodzicielskie, tak bardzo czynne i ruchliwe, w innych krajach rozwijają się dość opieszale. Wzamian za to niema szkoły np. w Anglji, przy którejby nie było związków byłych uczni. Prac i zajęć tych związków nie można, rzecz prosta, ujednostajniać. Jedne ograniczają swą działalność do uroczystego wspólnego lunch'u raz do roku, inne wiążą się w sekcje dramatyczne, społeczne, filantropijne, inne jeszcze, o ile ta szkoła obejmuje sferę chłopców zamożniejszych, zbierają składki na ufundowanie stypendjów i bogacenie laboratorjów lub placów do gier swej dawnej szkoły. Mało jest, stwierdził Dr. Dawes, generalny sprawozdawca Kongresu, szkół takich w Anglji, do których rozwoju nie przyczyniliby się z wdzięczności dawni jej uczniowie.

Poruszono też sprawę pisemek szkolnych. Zyskują one również na międzynarodowym terenie coraz liczniejszych zwo-

lenników. Uczniowie są najczęściej sami odpowiedzialni za wydawnictwo, choć nauczyciel ma prawie zawsze prawo veta i z tem związanego pewnego rodzaju wpływu.

Bardzo ciekawy problem systemu wychowawczego w szkołach, t. zw. systemu „domów", poruszyła przedstawicielka stowarzyszenia dyrektorek szkół średnich w Anglji.

Ma on na celu stworzenia ducha całości „esprit de corps" w szkołach średnich nieinternatowych, przedewszystkiem w tych szkołach, w których liczba dzieci jest często tak duża, jak np. w Londynie, że staje się wprost niemożliwością dla nauczyciela zainteresować się pracą i psychiką indywidualnego ucznia, a chłopcy, żyjąc daleko od szkoły, często spotykają się ze sobą tylko przy pracy. W tych warunkach szkoła staje się luźnym zespołem indywiduów, a nie całością. Aby wzmocnić to wspólne życie uczni, koniecznem jest stworzyć mniejszą „komórkę" i w niej przedewszystkiem rozwinąć lokalny patrjotyzm, który zlewa się następnie w jedno głębokie uczucie przywiązania do szkoły, jako całości.

Dla tej przyczyny chłopcy podzieleni są na kilka domów. Każdy z wstępujących uczni przydzielony zostaje do jednego z takich „domów" na wszystkie lata swego pobytu w szkole. Każdą taką grupą uczni, t. j. takim „domem", zajmuje się nauczyciel, który nietylko śledzić ma postępy uczni, ale ich zainteresowania pozaszkolne, służyć im za kierownika, doradcę i przyjaciela. Jemu do pomocy przydawani są „prefekci domów", wybierani z pośród starszych chłopców.

Domy współzawodniczą ze sobą w grach, zabawach, meczach i t. d. Tą drogą, stwierdzono, wytwarza się poczucie koleżeństwa kształci się umiejętność współżycia i współpracy.

W dyskusji, która wywiązała się na powyższe tematy, zabierał głos długi szereg mowców najrozmaitszych narodowości, nie wnosząc zasadniczo nic do kwestji nowego, ale rzucając światło na działalność poszczególnych państw. Między innemi przemawiała p. Rarincesco z Bukaresztu, informując zebranych o ogromnej roli, jaką w zajęciach pozaszkolnych odgrywa w Rumunji ruch skautowy. M. Rodrigues z Francji akcentował konieczność posługiwania się takiemi metodami przy ćwiczeniach fizycznych, któreby wykluczały brutalność. Polski delegat T. N. S. W. prof. Tarnawski ze Lwowa wystąpił przeciw nadużywaniu sportów i gier. Dr. Heidrich objaśniał, że w Niemczech wycieczki uważane są za b. ważną część wychowania, dają przedewszystkiem młodzieży możność poznania kraju rodzinnego a również grają ogromną rolę w zbliżeniu się nauczycieli z uczniami.

Zwrócono również uwagę na niebezpieczeństwo płynące z przesadnego obserwowania czasu, tak nauczyciela jak ucznia zajęciami pozalekcyjnemi, które nieraz, wyłączając inne zainteresowania, przedstawia groźbę mjopji, tak bardzo w dziedzinie intelektualnej moralnej dla nich obu szkodliwej.

W rezolucji poniżej przytoczonej wyrażono uznanie dla wartości zajęć pozaszkolnych, jako koniecznego dopełnienia kulturalnej strony wychowania średniego.

Rezolucja w dosłownem brzmieniu przedstawia się następująco:

Międzynarodowy kongres średniego nauczania będąc zdania, że:

1) głównym celem wychowania średniego jest kompletny rozwój osobowości dziecka t. j. jego intelektualna, moralna i fizyczna kultura, której podporządkować należy pozaszkolne zajęcia ucznia; że:

2) czas wolny w przeciwieństwie do pracy zawiera ideę swobody a nie przymusu, więc należy dzieciom zostawić wolny wybór tych zajęć; że:

3) zwłaszcza ćwiczenia fizyczne mogą być cenną pomocą w tej ogólnej kulturze dziecka, pod warunkiem, że dają tym, którzy je praktykują, bez najmniejszego uszczerbku dla rodzinnych węzłów, poczucie społecznej solidarności w połączeniu z niepodległością charakteru i samokontrolę, będącą rezultatem osobistej dobrowolnie przyjętej dyscypliny, przeto Kongres ten oświadcza, że:

a) szkolne zajęcia ucznia, wchodzące w zakres następujący: wychowanie fizyczne, zabawy, teatr, muzyka, sztuki piękne, roboty ręczne, udział w pracach społecznych, wycieczki i podróże, wszystkie te czynności przyczyniają się do rozwoju osobowości ucznia,

b) władze szkolne powinny pomagać do rozwoju tych zajęć przez jaknajdalej idące ułatwienia, powinny zachęcać nauczycieli do interesowania się czasem wolnym uczni; również powinny one ocenić i uznać pracę jaką to zadanie za sobą pociąga.

c) Stowarzyszenia uczniowskie powinny być o ile możności jak najbardziej niepodległe, chociaż pozostawać pod dyskretnym kierownictwem nauczyciela.

d) Należy zachęcać uczni do wydawania szkolnych czasopism, które pomagają do rozwoju ich artystycznych i literackich zdolności.

Niektóre pisma angielskie zarzuciły rezolucji bezbarwność, którą tłómaczyli koniecznością uzyskania zgody pewnej liczby tych delegatów, dla których wiele z pozaszkolnych zajęć było zupełnie nieznanych i którzyby może wahali się przyjąć inną formę, o bardziej silnie zakreślonych ramach.

Jeżeliby zkolei przejść do nieoficjalnej części programu Kongresu, to tylko poto, by zaznaczyć jej wielką rozmaitość, niezwykłą serdeczność przyjęć i ogromną gościnność gospodarzy. Program był bardzo bogaty i przedstawiał możność wyboru. Zwiedzanie licznych szkół średnich przeplatane było wycieczkami do Oxford i Cambridge, do doków i portu londyńskiego, do

obserwatorjum w Greenwich, katedry w Winchester i licznemi recepcjami do Mercers'Hall, Hompton Court i Crosby Hall.

Przyjęcie urządzone przez kanclerza i senat Uniwersytetu Londyńskiego w Salach Królewskiego Instytutu przy Kensington Street przedstawiało dla oka niezwykle miły obraz. Większa część uczestników, według wskazówek umieszczonych na zaproszeniach przybrana była w bajecznie różnobarwne togi uniwersyteckie, różniące się między sobą kolorem obszyć i krojem, stosownie do przynależności i zwyczajów uniwersyteckich. Gospodarz rautu, Earl of Athlone, kanclerz Uniwersytetu Londyńskiego, z odpowiednim ceremonjałem witał przybyłych gości. W dwóch bocznych salach bibljotecznych urządzona była z racji Kongresu niezwykle ciekawa wystawa książek. Może zajmie bibljofilów parę szczegółów, dotyczących wystawy. Podzieloną była na parę działów. Jeden z nich obejmował kolekcję opraw, opatrzonych herbami z XV, XVI i XVII wieku. Między innemi było weneckie wydanie „de animalibus" Alberta Wielkiego z 1495 r. oprawione dla Henryka II francuskiego, rzadkie wydanie Ptolomeusza „Theatrum geographiae veteris" z 1618 r. z herbami Karola I i „De Astronomica" z 1749 r. z herbami cesarzowej Marji Teresy.

Inny dział tworzyły pierwsze wydania sławnych pisarzy Szekspira, Bacona, „Faerie queene" Spensera z 1596 r., pierwsza biblja w języku angielskim Coverdale'a, (Zurich 1535 r.) i t. d.

Niezwykle ciekawą była kolekcja książek pedagogicznych; odbijała wśród nich książka, będąca protestem przeciw karze cielesnej. Nie była widocznie bardzo poczytną, kiedy wpływu nie wywarła. Zwyczaj kar cielesnych bowiem do dziś w całej pełni w Anglji jest sankcjonowany, z metodą wychowawczą szkół internatowych, t. z. Boarding schools spojony. Autor tej książki p. t. „Brainbreakers breaker" Thomas Grantham (1644) obiecuje nauczyć chłopców w dwa miesiące łaciny i greki oraz języka hebrajskiego, bez użycia trzciny i laski. Z innego zabytku z 1673 r. dowiedzieć się można było o niezwykle urozmaiconych programach szkolnych dla panien z szlacheckich domów, „An essay, to revive ancient education of gentlle women", zawiera informacje, dotyczące szkoły arystokratycznej w Tottenham High Cross, prowadzonej pod kierownictwem autorki, wychowawczyni córek Karola I. Warto się przyjrzeć, jak szerokie kręgi zakreślał w nowym czasie program szkolny dla dziewcząt. Obejmował on i taniec, muzykę, malarstwo, śpiew, pisanie, języki, historję, arytmetykę, astronomję, geografję, buchalterję, umiejętność posługiwania się ziołami, robienie konserw, gotowanie, co ciekawsze za wszystko razem opłata wynosiła 20 funtów rocznie!

Były w dziale muzycznym takie białe kruki, jak pierwsze traktaty muzyczne Gafuriusa z 1480 r. i jedne z najpierwszych znanych druków muzyki świeckiej z 1480 r.

Prince of Wales użyczył łaskawie pięknego manuskryptu z XIV w., zawierającego francuską wierszowaną kronikę na temat życia i czynów Edwarda „Czarnego księcia" (The Black Prince). Jest to historja stuletniej wojny i źródło prawie wszystkich wiadomości historycznych z tej epoki.

Na zakończenie tego sprawozdania dodać sobie pozwolę, że Międzyn. Federacja Stowarzyszeń Nauczycieli Szkół Średnich, organizatorka omawianego Kongresu, obejmuje obecnie 26 poszczególnych stowarzyszeń, mających przeszło 110.000 nauczycieli, a prócz tego pewną liczbę stowarzyszeń dodatkowych, zajmujących się kwestjami pedagogicznemi jako „associate members".

Na Londyńskim Kongresie nastąpiła afiljacja Faszystowskiego Stowarzyszenia Nauczycieli Włoskich, oraz Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Wyznaniowych Średnich w Holandji.

Na zaproszenie Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Średnich w Łotwie, popartego przez rząd łotewski, następny kongres międzynarodowy odbędzie się w Rydze w 1933 r. i będzie miał za temat kształcenie nauczycieli szkół średnich.

Dr. H. Kownacka.

ORIENS

W tygodniach najbliższych ukaże się pierwszy zeszyt nowego czasopisma, poświęconego sprawom wyznaniowym Wschodu.

ORIENS będzie omawiał sprawy Kościołów wschodnich i obrządków wschodnich, tak zjednoczonych z Rzymem jak i dysydenckich, ze szczególnem uwzględnieniem akcji unijnej na wschodnich połaciach Polski.

ORIENS wychodzić będzie co 2 miesiące, w rozmiarach dwóch arkuszy druku, in 8⁰ maiori; zdobić go będą ilustracje na osobnych kartkach.

Redagować pismo będzie Ks. J. Urban T. J. *Adres Redakcji i Administracji:* Kraków, ul. Kopernika 26.

Prenumerata zostanie ustalona z dniem ukazania się pierwszego zeszytu; przypuszczalnie wynosić będzie od 6—8 złotych *rocznie.*

Tymczasem pragnący otrzymywać nowe pismo raczą się zgłosić kartką pocztową pod adresem wyżej wskazanym. Przedpłatę uiszczą po otrzymaniu zeszytu i czeku P. K. O.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 31 grudnia 1932.

Poszukiwanie ideałów w powieściach współczesnych.

Ostatnia wojna światowa prócz ofiar w ludziach, prócz strat materjalnych, zachwiania lub zdruzgotania wielu państw, pogłębiła zamęt i niewiarę w sferze ducha, podważając autorytet uznanych za niewzruszalne ideje. Bankructwo ustalonych, tradycyjnych zasad ujawnia w całej pełni powieść powojenna z ostatniego lat dziesiątka niemal wszystkich narodów, które brały udział w wojnie światowej. Za naczelne jej hasło można poczytywać ideę pacyfistyczną, wołanie o pokój, potępienie odstraszających okrucieństw wojny. Stwierdzenie jednak grozy wojny w tak nawskroś tragicznych powieściach, jak Remarque'a *Na zachodzie bez zmian*, Frey'a: *Apteczka polowa*, Sheriffa: *Kres wędrówki*, czy Rebreanu: *Las wisielców* nie wystarcza. Scena, jaką przedstawił Frey w „Apteczce polowej", gdy sanitarjusz Funk próbuje odsłonić czapkę z twarzy rannego Marokańczyka, by przekonać się, czy żołnierz jeszcze żyje, a Marokańczyk natychmiast zasuwa czapkę, jakby chciał się odgrodzić od Europy, która mu zgotowała tę niedorzeczną śmierć — jest wymownem potępieniem tego, co się stało.

Z chwilą ustalenia upragnionego pokoju wyłoniła się znowu cała masa zagadnień i pytań, które domagały się natychmiastowej odpowiedzi. Nie wystarczyło potępić jednogłośnie dzieło zniszczenia, w którem przez lat cztery brało się czynny udział, i wołać w nerwowym paroksyźmie, jak kapral ósmej kompanji tragarzy chorych Funk: „Nie biorę w tem dłużej udziału. Ani jako zdrowy, ani jako chory. Chcę, chcę powiedzieć prawdę, wojsko i wojna to najpo-

dlejsza, najbezwstydniejsza i najgłupsza brutalność na świecie". Po skończonej wojnie otworzyło się daleko cięższe zadanie, niż przedstawić jej grozę i okrucieństwo, bo należało wątpiącym w dobro, piękno i w celowość życia, wrócić dawną wiarę, należało tych, co wrócili pokrzepić na siłach i zaprząc do pracy pokoju. „Po wspólnej przyjemności niszczenia, którą sobie wzajemnie sprawili prowadzący wojnę, musi przecież nastąpić wspólna radość odbudowy" — rozumuje bohater „Apteczki polowej". Poszukiwanie drogi powrotnej, wyjaśnienie powstałych wskutek wojny konfliktów moralnych, społecznych i materjalnych jest niewyczerpanym tematem współczesnej powieści. Przemawiają zarówno zwycięzcy, jak i zwyciężeni, jedni i drudzy usiłują dokonać bilansu między teraźniejszością a przyszłością, powiązać i uzgodnić całokształt zagadnień umysłowych, moralnych, państwowych, społecznych, przed i powojennych. Najżywiej wypowiadają się na ten temat powieściopisarze niemieccy i nie poczuwając się do win własnego narodu, szukają sprawców wojny. Zupełnie nieoczekiwana klęska napoiła ich goryczą, która bije z każdej karty powieści Remarque'a, Frey'a, Frensena, Rotha.

Najsilniejszym głosem przemówił Remarque (pseudonim Kramera) stawiając przed oczyma czytelnika tragiczne typy pokolenia, które z ławy szkolnej wypchnięto do rowów strzeleckich. Powieść Remarque'a *Droga powrotna* jest nietylko potępieniem wojny, ale próbą zdania sprawy z jej skutków. Dla trzydziestupięciu żołnierzy z książki Remarque'a nie było już drogi powrotnej, ani do dawnych zajęć, ani do wygasłych uczuć, ani do ideałów, które umarły i straciły swoją władczą siłę.

Na powitalną mowę dyrektora seminarjum, gromadka chłopców odzianych jeszcze w żołnierskie mundury, odpowiada tylko śmiechem ironji i krzykiem oburzenia, uważając za obelgę szereg aksamitnych, wyświechtanych frazesów o patrjotyźmie, o poświęceniu dla ojczyzny, o bohaterstwie. Imieniem kolegów zabiera głos porucznik Breyer, a w jego słowach mieści się cały tragizm i gorycz tej młodzieży, która miała znowu wrócić do dawnych zajęć szkolnych, pracować pod okiem tych, którzy, jak dyrektor seminarjum,

widzieli swą wyobraźnią wojnę „z rozwianemi sztandarami, z entuzjazmem, z muzyką wygrywającą marsze", i nic dziwnego, bo wzrok ich sięgał tylko dworca kolejowego, z którego ruszyła młodzież w drogę. „Nie chcemy pana ganić za to, — mówił Breyer — my wszyscy przecież myśleliśmy tak samo, jak pan. Ale tymczasem poznaliśmy odwrotną stronę tej sprawy. Patos roku 1914 rychło rozsypał się w gruzy. A przecież przetrzymaliśmy wszystko, bo spajało nas coś mocniejszego, coś co zrodziło się dopiero tam w polu — odpowiedzialność, o której pan nic nie wie i o której niepodobna mówić... Wyruszyliśmy pełni entuzjazmu, z wyrazem ojczyzna na ustach, powróciliśmy cisi, z pojęciem ojczyzny w sercu".

Zdawałoby się, że „mając pojęcie ojczyzny w sercu" młodzież ta powinna wziąć się do pracy, właśnie dla tej ojczyzny, a jednak tak nie jest. Bohaterowie książki Remarque'a są wykolejeńcami, którzy wszystko poczytują za złudę i kłamstwo, i oskarżają społeczeństwo — zarzuty czynią zarówno wychowawcom, jak i przedstawicielom prawa, drwią ze wszystkich, którzy według ich mniemania „w wyraz patrjotyzm wpychali stek swoich frazesów, swój głód sławy, swoją żądzę panowania, swoją zakłamaną romantyczność", którzy nie uczynili nic, żeby podać dłoń przyjazną i ratować w drodze powrotnej zbłąkane i bezradne dusze młodzieży. „Ze wszystkich kazalnic powinniście byli dać nam to na drogę i raz za razem powinniście byli powtarzać: Wszyscy zbłądziliśmy straszliwie! Chcemy wspólnie szukać drogi powrotnej! Nie traćcie odwagi! Wasz los jest najcięższy, gdyż nic nie zostawiliście za sobą, coby was mogło potrzymać i dodać wam sił" — mówi do sędziów jeden z kolegów Alberta Trosske, oskarżonego o zabójstwo bankiera.

Czy wszystkie te zarzuty czynione przedstawicielom starszego społeczeństwa są istotnie słuszne? Przecież — jak przedstawia Remarque, ci młodzieńcy z okopów sami odgradzali się murem nieufności i przeżytych wrażeń, nawet od swoich najbliższych, po czterech latach nieobecności domy rodzinne, ojciec, matka, rodzeństwo — stali się dla nich o wiele dalsi, niż koledzy z okopów. Wielu z nich patrząc na uliczki rodzinnego miasta, na podwórza swoich

domostw, pytało, jak Ernest: „Czyż owe lata w polu spaliły most łączący nas z przeszłością?"

Po powrocie w progi mieszkań myśl ich ulatuje do towarzyszy broni, kroki bezwolnie kierują do koszar, a mundur wprost bezwiednie przyciąga ich oczy. Najstraszniejszem rozczarowaniem dla wielu staje się świadomość, że to co było spójnią i mocą okopów, równość i koleżeństwo, ginie w otchłani jednostkowych interesów i rozpada w pył pod obuchem teraźniejszości. Po czterech latach, od chwili zawarcia pokoju i od dnia pożegnania na rozstajnych drogach, uświadomili sobie podczas pierwszego zebrania pułkowego wzajemną obcość, „straciliśmy wszystko w tej wojnie, prócz wiary w koleżeństwo, a oto teraz widzimy, że czego śmierć nie zdołała dokonać, tego dokona życie i rozdzieli nas". Pokolenie żołnierzy straciło nawet i tę ostatnią nić wiążącą z życiem, poczucie solidarności, wiarę w trwałość przyjaźni.

Autor pozostawił bohatera swej tragicznej książki bez najmniejszego oparcia, bez wiary w Boga, w dobro, w prawdę, piękno, sprawiedliwość. Najgłębsze i najwartościowsze jednostki z tej garstki niedobitków wróciły tylko poto, by jak Ludwik Breyer — niedouczony filozof, skończyć samobójstwem, by jak Albert Trosske odsiadywać karę w więzieniu, jak Jerzy Rahe wrócić zpowrotem do szeregów i znowu je opuścić, nie mogąc odnaleźć dawnego koleżeństwa, jak Gerhart Giesecke tkwić za murami szpitala obłąkanych i ciągle trwać w mniemaniu, że wojna się nie skończyła, wreszcie, jak Ernest trwać w apatji, lub „maszerować przed siebie, wszystko jedno dokąd", bo przecież — nie widzą ci straceńcy żadnego celu, nie mają żadnego ukochania, żadnych ideałów. Piętrzy się przed nimi tysiące pytań, na które nie mogą znaleźć odpowiedzi.

Pozostawiając swych bohaterów w mrokach niewiary i absolutnej negacji tradycyjnego porządku, kończy Remarque swą powieść, która wywarła niewątpliwy wpływ na literaturę i znalazła naśladowców. Sprawa drogi powrotnej, odbudowy, nowego życia stała się kwestją aktualną, poszukiwanie ideałów, głód jakiejś nowej prawdy, nowego objawienia, znamionuje szereg powieści wyrosłych, jak Remarque'a *Droga powrotna*, z zawieruchy wojennej.

Te same zagadnienia próbuje rozwiązać Artur Prędski w niedawno wydanej, pod bardzo znamiennym tytułem powieści *Ciąg dalszy*. Autor wyraźnie, już tytułem wskazuje na łączność ideową swej powieści z utworem Remarque'a, a przedstawiając tragedję powrotu Berta Poppera, dochodzi również do wniosku, że nie istnieje droga powrotna. „Spójrz, jak wygląda powrót", — mówi Anton Placzik, przyjaciel Berta — „tysiące, setki tysięcy głodnych, a z każdym rokiem będzie gorzej, i to nietylko u nas, w państwach zwyciężonych, lecz i u zwycięzców. Ale nie chodzi tylko o chleb, lecz przedewszystkiem o moralne stanowisko człowieka pracującego, o jego święte prawo do tych wszystkich dóbr i bogactw, gdzie mogłoby dać życie, gdyby je odpowiednio zorganizować". Dla Berta słowa przyjaciela stają się objawieniem, wydaje mu się, że nareszcie znalazł cel życia — obronę klas pracujących — staje się komunistą, współpracownikiem „Czerwonego żołnierza", pisze artykuły i wygłasza referaty dla bezrobotnych, byłych żołnierzy i inwalidów, aż wreszcie biorąc udział w manifestacyjnym pochodzie, ginie od kuli policyjnej, i konając nie może skończyć zdania, które za niego dopowiada nieznajomy inwalida, towarzysz przygodny, spotkany w parku, że „wojna nie jest skończona", walka trwa nadal o chleb, o pracę, a przedewszystkiem o ideały.

Tragedją Berta jest brak ideowego oparcia. Zupełnie zrozumiałe, że tego dwudziestoletniego młodzieńca, który kazał gospodyni usunąć z pokoju statuetkę Matki Boskiej, bo przecież w nic nie wierzył, dręczyło jutro zamglone i niepewne. „Czuł się wobec tego jutra ze znakiem zapytania, bezsilny, jak dziecko, które zgubiło drogę... Droga jego, to będzie właściwie to, co zostawia za sobą jutro i w następnych dniach, będzie kręta i zawiła i kto wie, czy wogóle doprowadzi do jakiegoś celu".

Mimo wszystko Bert chciałby użyć młodości, chciałby zająć gdzieś stanowisko w życiu, o czem świadczy jego wysiłek nad uzupełnieniem wykształcenia gimnazjalnego. Autor nie pozbawił Berta wyższych aspiracyj, wyposażył go nawet w dużą energję, obdarzył przedsiębiorczością w walce o byt, to też *Ciąg dalszy*, mimo całego tragizmu, nie jest

tak beznadziejny, jak dwie powieści Józefa Rotha, również naśladowcy Remarque'a.

Zipper i jego ojciec, oraz *Ucieczka bez kresu*, stanowią nowe ogniwa w łańcuchu beletrystyki malującej tragizm stosunków współczesnych. Roth, podobnie jak Remarque, również wystąpił z oskarżeniem tych, „co oddali na żelazo swe dewizki i obrączki", którzy politykowali po kasynach, a potem urabiali opinję i tworzyli traktaty pokojowe, lub ubiegali się o posady, nie dbając o młodzież, powracającą z frontu. A zresztą, czyż można było dopomóc wykolejeńcom? Przecież stary Zipper wyrabia swemu synowi Arnoldowi posadę, ale Arnold nie potrafi nagiąć się do systematycznego zajęcia, nie umie znieść przycinków swych kolegów, za ciasno mu i za duszno w ścianach biurowego pokoiku, w ramach uregulowanego zegarkiem dnia. On stwierdza, jak bohater powieści Bourgeta zatytułowanej *Tancerz z profesji*, że niemożliwością jest powrócić do przeciętnego życia mieszczańskiego, tylko, że gdy były żołnierz, odznaczony krzyżem zasługi Piotr Beurtin, czuje się nawet szczęśliwy występując jako tancerz zawodowy w hotelowych dancingach, to Arnold Zipper patrzy na wszystko obojętnie. Z równym spokojem obserwuje swe powodzenia, jak i straty, na nic nie potrafi się zdecydować, niczego nie pragnie, nie ma żadnych ambicyj. Autor uczynił Arnolda przedstawicielem pokolenia, które pozostało przy życiu chyba przez omyłkę, a wracając świadomie zbłądziło.

A jednak czy tylko wojna wpłynęła na tego rodzaju psychikę bohatera, jak tego chce autor powieści? Przecież Arnold niezbyt daleko odbiegł pod względem właściwości charakteru od swego ojca, ta tylko była różnica, że stary Zipper umiał się zapalać, umiał cieszyć i bawić drobiazgami, wreszcie wierzył w siebie, bo zresztą, jak Arnold żył bez określonego celu ni zajęcia. Do systematycznej pracy, do walki z przeciwnościami był, podobnie jak Arnold, niezdolny, lubił tylko snuć marzenia o karjerze syna, którego fotografjami pozawieszał całe mieszkanie, a skoro wszystkie te marzenia prysły, jak bańka mydlana, umiera złamany i rozgoryczony.

Arnold, ofiara nietylko wojny, ale raz jeszcze należy

to podkreślić, bezplanowego i bezideowego wychowania, znajduje zajęcie w variété jako muzykant-clown, który dwoma pociągnięciami smyczka wyczarowuje niebiańską melodję, przerwaną brutalnie przez innego błazna, błazna z ambicjami. Owa scena w variété ma być symbolem współczesnego pokolenia, „któremu nie wolno odegrać roli w życiu, w akcji, czy też kawałka na skrzypcach". A przecież nawet ta nieskończona, przerwana gra ma swoją wartość, tylko napozór wydaje się daremną, mówi Roth, „gdzieś bowiem, istnieją takie regjony, w których zapisany zostały ślady naszej gry, nieczytelne, lecz w jakiś dziwny sposób działające, a jeśli nie teraz, to po latach, a jak nie po latach, to po tysiącach lat". To wyznanie, że wysiłek współczesnego pokolenia, nie pójdzie jednak zupełnie na marne, tłumi nieco pesymizm, jest nikłym promykiem rozjaśniającym tragiczną rzeczywistość, ale nie wystarcza, by ogrzać, zapalić i obudzić z odrętwienia złamane moralnie i psychicznie jednostki.

Roth, podobnie jak Remarque, nie znajduje jednak ratunku, ani lekarstwa, któreby mogły uzdrowić chorą duszę współczesnego człowieka. Widać to jeszcze lepiej w drugiej jego powieści zatytułowanej *Ucieczka bez kresu*. Franciszek Tunda, to jakby dalszy etap Arnolda, człowiek jeszcze bardziej niepotrzebny, apatyczny, który „żył zapachem zgnilizny, żywił się rozkładem, oddychał kurzem walących się domów". Był jeszcze młody i zdrów, „pełen najrozmaitszych talentów", a jednak nie wiedział co począć, „żadnego nie miał zawodu, żednej miłości, żadnej nadzieji, żadnej ambicji. Nie miał nawet egoizmu".

Czyż jednak podobne typy, jak Arnold Zipper i Franciszek Tunda, ludzie o tak słabej organizacji psychicznej, o wybitnej skłonności do neurastenji, — żyjąc nawet w normalnych warunkach, zdobyłyby się na pracę twórczą, w to należy poważnie wątpić. Konkretny program życiowy, który wymagałby realizacji, jest im najzupełniej obcy, chwilowo pod wpływem zewnętrznej presji zdolni są do wysiłku, ale samodzielności i inicjatywy są najzupełniej pozbawieni. Wojna do reszty rozprzęgła i zniszczyła ich dusze, wyzwalając utajone zalążki pesymizmu i zniechęcenia, ukazując

niejako w świetle dziennem pustkę i bezideowość ich osobowości.

Inaczej niż Remarque i Roth ujął kwestję przyszłości pokolenia powojennego pisarz angielski Philip Gibbs, który w powieści *Na rozdrożu* ex-majora Bertrama Pollarda czyni apostołem idei powszechnego pokoju.

Bertram, młody i silny czuje się również z początku życiowym rozbitkiem, człowiekiem niepotrzebnym, bez znaczenia i stanowiska, zależnym jedynie od kaprysów swej małżonki, arystokratki Joyce. W ojczyźnie nie widzi dla siebie miejsca, napróżno kołacze, jak wielu bezrobotnych do biura pośrednictwa pracy, jedyny zawód, w jakim może wykazać swą umiejętność, to wojsko. Mógłby się zaciągnąć w szeregi Czarno-Brunatnych i przyczynić do stłumienia powstania Irlandczyków, ale przeciw temu buntuje się już nietylko jego pół-irlandzka dusza, ale wrodzony wstręt do przelewu krwi. Na zawsze chciałby zapomnieć o wojnie, zrazić do niej wszystkich ludzi, po wszystkie czasy. W tym celu rozpoczyna pisać książkę, która ma zobrazować tragedję miljonów serc, zarówno tych, co już bić przestały, jak i tych, które w czasie pokoju zamierały powoli, wyzute z ideałów, dręczone głodem i nędzą codziennego życia.

Nie chciał jednak autor przedstawić Bertrama jako teoretyka pokoju, marzyciela-pacyfisty, lecz jako czynnego apostoła, który nieustannie trzyma napięty wzrok na tętnie współczesnego życia, który sam siebie musi przerobić i uszlachetnić zanim rozpocznie pracę dla Pokoju. Tragedje osobiste spowodowane rozstaniem się z Joyce, ból na wiadomość o śmierci najmłodszego brata Digbby, poległego z rąk Irlandczyków i jednoczesne rozstrzelanie szwagra, powstańca O'Briena, przez Anglików są próbami dla woli i serca Bertrama. Podróż przez niedawne pobojowisko, badanie nastrojów powojennych u Francuzów i Niemców, wreszcie obrazy skrajnej nędzy moralnej i materjalnej, rozpaczy i bezprawia w głębi bolszewickiej Rosji, mają dopomóc bohaterowi powieści w rozeznaniu prawdy, by tem skuteczniej mógł znaleźć słowa ostrzeżenia i pojednania. Chcąc wydobyć z ogólnego chaosu ziarenka prawdy i utwierdzić się myśli, że właśnie pokój jest zbawczą ideą dla ludz-

kości, musi Bertram iść nieraz drogą kompromisów, odtrącić koncepcję kastowego i konserwatywnego ustroju świata, reprezentowanego przez obóz Joyce, a jednocześnie strzec się zbytniego liberalizmu.

Nieraz przychodzą na Bertrama chwile niepewności i wahań, głęboko przeżywa konflikt między przywiązaniem do tradycji a tęsknotą do nowych ideałów. Często nawiedza go zwątpienie, czy pokój nie jest bardziej okrutny niż wojna, bo przecież i podczas pokoju „szerzy się głód i panują choroby, i wtedy jedni postępują okrutnie wobec drugich". Ostatecznie dochodzi Bertram do wniosku, że życie jest wogóle okrutne w złych, a nawet i dobrych momentach. Jedyne co jest do zrobienia, to „zdobycie się na trochę odwagi, niezatracenie poczucia humoru, a nadewszystko zachowanie źdźbła miłosierdzia i odnajdywanie dobrych stron w złej sprawie, a jeśli się komuś szczególnie poszczęści stworzenie sobie małego, osobistego raju". Powyższe rozumowanie prowadzi więc Bartrama do obowiązku strzeżenia indywidualnego dobra jednostek. Wielkoduszne idee humanitarne, powszechny pokój mogą zrealizować tylko ludzie, którym życie przynosi osobiste zadowolenie. Im więcej będzie ludzi szczęśliwych, im częściej zgoda będzie panować w rodzinach, tem szybciej zrealizuje się miłość i pokój wśród narodów — oto teza Gibbsa. Dlatego też bohater jego powieści nie ginie od tyfoidalnej gorączki, zawleczonej z Rosji, a modlitwa szlachetnej Janette Welford zostaje wysłuchana. Bertram powraca do zdrowia, by rozpocząć nowe, radosne życie przy boku skruszonej i żałującej swych błędów Joyce.

W możliwość odrodzenia współczesnego pokolenia wierzy również niemiecki pisarz Gustaw Frensen. Druga część jego powieści *Sługa Boży*, zatytułowana *Wojna*, to jakby uzupełnienie tragicznego bilansu moralnych wykolejeń, już nie bezpośrednich uczestników służby frontowej, ale mieszkańców cichej wioski fryzyjskiej, do której tylko dolatywał zgiełk wojny. I tutaj widać załamania psychiczne, rozbrat z tradycją, niewiarą i bezwład. Stary pastor, bohater powieści Frensena, ileż musiał podjąć „trudu i mordęgi, by coraz bardziej rozpaczającym ludziom tak pięknie wyczaro-

wać przed oczyma jasne światło wiecznego Boga, by nie utknęło zupełnie w ciemności".

W miarę przeciągania się wojny zaczęła tracić grunt dawna ideologja, „zaczęła krzewić się u mnóstwa nawet porządnych ludzi ciemna, zataczająca coraz szersze kręgi myśl, że wszystko jest jakieś fałszywe, niejasne, nierzetelne i niedorzeczne..." Teraźniejszość tak różniła się od przeszłości, że coraz częściej dochodzono do przekonania, że wszystko było błędem i trzeba na nowo zbudować od dołu, zbudować „na ubóstwie, naturalności i prawdzie". Chcąc tego dokazać, trzeba, jak twierdzi pastor Adam Berfood, odzyskać wiarę w sens życia. Frensen, podobnie jak Gibbs, prowadząc bohatera swej powieści, sługę Bożego, przez piekło mąk i udręczeń, niepokojów, zawodów osobistych i zmagań się ze światem, nie pozwala mu zejść na marne, lecz przez cierpienie czyni go silniejszym i bardziej powołanym, by wlać otuchę w zwątpiałe serca.

Mimo wojny, mimo niedoli i śmierci swoich najbliższych, pastor Adam szuka odpowiedzi na tysiące pytań związanych z chwilą obecną, pragnie znaleźć słowa, któreby przebiły mur obojętności i zwątpienia, któreby wyrwały ludzi z zamętu i niepewności, ukazując możność odrodzenia i rozpoczęcia życia na nowo.

Ratunek widzi w miłości i czci dla społeczeństwa, ale dla człowieczeństwa idealnego, żyjącego według Bożych przykazań, udoskonalonego przez ogień męki dziejowych doświadczeń. „Po tych dniach, gdy minie dwadzieścia i pięćdziesiąt lat, powstanie z tej straszliwej niedoli, z całego tego duchowego szukania i udręczenia nowe, wyższe społeczeństwo — woła, jakby w proroczem natchnieniu, pastor Adam — Rozbłyśnie wyższa, szlachetniejsza pobożność i wzrośnie wyższa, szlachetniejsza ludzkość. Religja, ludzkie poczucie świata, które ze stulecia w stulecie wznosiły się zwolna w moralnym pochodzie, osiągną nowy, wolniejszy, szlachetniejszy szczebel". Chcąc żyć na nowo, trzeba zpowrotem uwierzyć, że światem rządzi dobry Bóg, a nie zło, że istnieje słońce, a nietylko ciemność, trzeba przerodzić człowieka, wyzwolić go z pychy, ze zbytniej ufności w siebie samego, natchnąć pokorą, uszlachetnić przez cierpie-

nie — oto teza Frensena, którą przeprowadza bardzo konsekwentnie, chociaż nie wszędzie znajduje właściwe rozwiązanie dla problemów współczesnego życia. Zwłaszcza zagadnienia etyczne w powieści Frensena uległy wykrzywieniu, wiele posunięć pastora Adama stoi w sprzeczności z zasadami moralnemi, co autor tłumaczy niemożliwością zachowania uświęconych tradycją pojęć, bo przecież czyż po wojnie ta ułomna, kulawa córka pastora Abel, dobiegająca trzydziestki, mogła marzyć, że znajdzie męża, czyż mogła czekać?

Hasła nowoczesnego człowieka „chwytać życie oburącz, wyciągając maximum przyjemności", które wytknął znakomity pisarz angielski John Galsworthy w *Nowoczesnej komedji* (z cyklu *Forsytów*), w powieści Frensena, jest zlekka zaznaczone. Trzeba przyznać, że Frensen jest bardzo liberalny i uważa, że należy znacznie rozszerzyć granice zakazów moralnych, zmniejszając odpowiedzialność człowieka przed Bogiem i społeczeństwem. Pod tym względem Galsworthy jest nieubłagany.

W powieści *Srebrna łyżka* z cyklu *Saga Forsytów*, stawia pod pręgierz sędziowski dzisiejszą niemoralność. Sprawa sądowa między bohaterką powieści Fleur Mont a Marjorie Ferrar, ma o wiele głębsze znaczenie, niż rozstrzygnięcie sporu między damami z towarzystwa. Przez usta przedstawicieli prawa stwierdza autor, że moralność w życiu nowoczesnem faktycznie nie istnieje, gdyż granice jej są bardzo elastyczne. Dzisiejszy człowiek liczy się tylko z okolicznościami, z temperamentem, wreszcie z otoczeniem, a właściwie postępuje jak mu wygodniej.

Jakie zasady moralne mają nowoczesne kobiety, daje autor wymowną odpowiedź, charakteryzując Marjorie Ferrar, która obrażała się, gdy ją nazwano „osobą pozbawioną zasad moralnych". Przecież w rzeczywistości miała tylko dwie, czy trzy historje miłosne, raz jeden paliła opjum, kokainy wąchała tylko tyle, żeby wiedzieć jak smakuje, grała zupełnie powściągliwie i przeważnie na wyścigach, piła umiarkowanie, zachowując zawsze tęgą głowę. Paliła oczywiście, ale tylko najlepsze papierosy... jeżeli nawet tańczyła pewne ryzykowne tańce, to tańczyła je raz jeden tylko, będąc w specjalnym nastroju,... a chcąc być *au courant* nowości, czytała

wszystko, zresztą czytając najohydniejsze rzeczy, broniła się tem, że nic jej nie zgorszy, że sztuka powinna być bez obsłonek, bo w rezultacie niema wpływu na życie.

Wobec tego zniekształcenia, a nawet zaniku pojęć moralnych, wobec katastrofalnego rozwoju industrjalizmu, powiększających się z dnia na dzień rzesz bezrobotnych, powszechnej nędzy materjalnej, bohater powieści Galsworthy'ego, parlamentarzysta Michał Mont czuje się zupełnie bezradny i pyta z trwogą: „Dokąd ja idę? Dokąd idą wszystkie Boże dziatki?" Galsworthy, analizując zawiłe objawy współczesnego życia, dochodzi do podobnego wniosku co Frensen, że jedynym ratunkiem dla skołatanej dzisiejszości byłaby „zmiana duszy, t. j. odrodzenie tej wiary, że życie warte jest chwili i dostępnem jest dla wszystkich lepsze życie". Odkrywszy jednak tę prawdę, czyni autor przez usta Michała Monta sceptyczno-ironiczną uwagę, że „wiara w lepsze życie jest przywilejem duchownym". Ludzkość zaś musi sama zająć się swem zbawieniem, a zbawić się, czyż nie jest to ostatecznie tyleż, „co mieć wolę do życia" — rozumuje Michał Mont. Czy jednak w ludzkości istnieje ta wola, na to nie odpowiedział, bo musiałby przeczyć jak przeczyli bohaterowie powieści Remarque'a i Rotha, którzy nie wiedzieli poco się żyje i umiera, jaki cel miały ich cierpienia i wysiłki. Jasną i wyraźną odpowiedź dają dopiero ci pisarze, którzy zdołali wyjść z kręgu beznadziejności i pesymizmu, gdyż sięgnęli w dziedzinę ideałów religijnych.

W czasie, kiedy miljony ludzi szukało właśnie owego sensu śmierci, i z większą może niż kiedykolwiek uwagą śledziło sens bolesnych przeżyć, w roku 1915 Paweł Bourget napisał i wydał swą niesłychanie głęboką powieść p. t. *Sens śmierci*, słusznie przewidując „w jakich mękach te biedne dusze dręczone dziś niepokojem poszukiwać będą prawdy, która była przy nich całkiem prosta i łatwa do zdobycia". Za prawdę tę uważa religję, która jest dźwignią życia i nadzieją przyszłości.

W zakończeniu powieści dobitnie zaznacza swe stanowisko zestawiając wywody amerykańskiego filozofa Williama Jamesa ze słowami *Credo*. „Wierzę w to, że przez obcowanie z ideałem wstępuje w świat nowa energja i daje począ-

tek nowym zupełnie zjawiskom" twierdzi James, mając na myśli pod słowem ideał jakąś siłę, któraby była rozumem, miłością i energją, czemś, co działa na wszechświat z zewnątrz i może jednocześnie naszej psychice przychodzić z pomocą. Ksiądz Courmont, kapelan szpitalny, z powieści Bourgeta, porównując teksty Jamesa ze słowami „Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego"... wyraźnie wskazuje „ową siłę", która może naszej psychice przychodzić z pomocą, która zstępuje z niebios na ludzi — siłą tą jest wiara. Dopiero w świetle religji jasnem się staje powołanie, obowiązki i cel człowieka.

Bourget w *Sensie śmierci*, na tle okropnej tragedji, wojennej tragedji miljonów, przedstawił tragedję jednostek i walkę dwu poglądów na świat między genjalnym chirurgiem Ortegue i skromnym porucznikiem Le Gallic'em. Pierwszy z nich, sceptyk i racjonalista, usilnie występuje przeciwko istnieniu pozamaterjalnych zjawisk, nie uznaje boskich pierwiastków w wszechświecie i człowieku, jest wrogiem dogmatyzmu i „problemów religijnych" — jak drwiąco nazywa wszelkie zagadnienia z dziedziny życia pozagrobowego, istnienie duszy i t. p. Le Gallic, to człowiek głęboko wierzący, przywiązany całem sercem do Kościoła katolickiego. Obaj bohaterowie powieści skazani są na śmierć. Sławny chirurg trawiony chorobą raka, liczy dnie do swego zgonu, z tajoną trwogą śledzi rozkład swego organizmu, natomiast ranny oficer spokojnie wyczekuje śmierci. Ortegue tylko napozór wydaje się opanowany, w istocie nie potrafi znosić bólu i stara się go zagłuszyć zastrzykami morfiny. Le Gallic, któremu kula tkwiąca w podstawie czaszki sprawia niewysłowione męki, nie chce się narkotyzować, bo swoje cierpienia traktuje, jako ofiarę za grzechy, własne i bliźnich. Ortegue, pełen sceptycyzmu, nie wierzy w życie pozagrobowe, gotów skrócić swe cierpienia, ale nie może pogodzić się z myślą, że na świecie pozostanie jego żona Katarzyna, że może będzie szczęśliwa, gdy on stanie się nicością, to też żąda od niej ofiary, zgody na samobójstwo we dwoje. Le Gallic kochając szlachetną miłością Katarzynę, towarzyszkę zabaw lat dziecinnych — uważa jej samobójcze postanowienie za zbrodnię, a żądanie Ortegue'a za szczyt

egoizmu. Według niego Katarzyna musi żyć i pracować, nieść pomoc w strasznych czasach bliźnim i Francji, i być szczęśliwą. Umierając młody porucznik nie czuje lęku, śmierć jest dla niego tylko przejściem do lepszego życia. Jego poświęcenie i ofiara jeśli nie dały natychmiastowego wyniku, to i tak nie zginą, bo „musi być ktoś, ktoby wobec niewystarczalności ludzkich świadków, każdą ofiarę mógł przyjąć", a tym kimś jest Bóg, Bóg, którego Ortegue nie uznaje. Dlatego śmierć dla Ortegue'a jest katastrofą, przeciwko której „rozum jego uginał się w całej swej niemocy, wynikającej z braku nadziei".

Niepokój na myśl o śmierci i lęk przed cierpieniem tak znamienny dla współczesnego człowieka, kształtującego swój światopogląd jedynie na obserwacji życia zewnętrznego, przedstawił w sposób równie głęboki rodak Bourgeta, Jerzy Bernanos, w powieści *Pod słońcem szatana.* Ileż to ludzi szamoce się dziś w poszukiwaniu prawdy i podobnie jak Mouchette, zbrodnicza dziewczyna z książki Bernanosa, pragnie zapomnieć o duszy, żyje nie lepiej od zwierząt, odgrywa wobec siebie komedję obłędu, byle zamaskować niepokój swego sumienia i uciec przed troską o przyszłość.

Debjut literacki Bernanosa, który w swoim czasie wywołał wrzenie wśród krytyków i recenzentów, jest straszliwym sądem nad współczesnością, a jednocześnie wysunięciem na widownię pierwiastka religijnego. Bernanos „z namiętną odwagą obnaża bez wzdragania się w rzeczywistość", wyraził się Calvet w swem dziełku „O twórczości i krytyce katolickiej", i słusznie. To, co inni powieściopisarze starali się złagodzić, nazywając zbrodnię — występkiem, upadek moralny — słabością, to, co starali się usprawiedliwić wykolejeniem powojennego pokolenia lub złożyć na karb słabości charakteru — Bernanos nazywa poprostu grzechem, dziełem szatana.

Podobnie, jak filozof rosyjski Mikołaj Berdiajew, który w swej ciekawej rozprawie *O nowem średniowieczu* twierdzi, że „Religji Boga żywego przeciwstawia się inna religja, religja szatana, oko w oko z religją Chrystusa staje religja Antychrysta", tak Bernanos widzi świat współczesny oświecony słońcem szatana.

Współczesność występną i grzeszną reprezentuje w książce Bernanosa córka piwowara, zbrodniarka Mouchette Malorthy, symbolizująca nowoczesne ubóstwo intelektualne i pogoń za zmysłową rozkoszą, a dopełnieniem tej symboliki jest typ Saint-Morina, wyraźnie szkicowany według psychiki Anatola France'a.

Saint-Marin, był to człowiek obdarzony wymową, dowcipem i ironją „patrjota nicości", który „nawet w swych chwilach najlepszych... nigdy nie wznosił się ponad liryczny niesmak do życia, ponad rozpieszczony nihilizm", w którego wykrętnych ustach „słowa najpewniejsze stają się dwuznaczne i nawet prawda jest przedajna". Bohater powieści Bernanosa ks. Donissan, święty z Lumbres, jest powołany do walki z szatanem, do walki wytrwałej, nieustannej i roztropnej, bo uwodziciel jest chytry ze swoim złotym językiem. „Na jego wargach słowa najbliższe nabierają innego znaczenia i najpiękniejsze zwodzą najbardziej", jak zresztą ma sposobność stwierdzić na samym sobie, świątobliwy ks. Donissan, bo oto w chwili, gdy jest przekonany, że nawrócił Mouchette dowiaduje się o jej samobójstwie, gdy chce wskrzesić zmarłe dziecię i pewien jest cudu, łaska zawodzi, triumfuje szatan, którego podszepty wziął proboszcz z Lumbres za głos Boży.

Mimo wszystko ks. Donissan czuje, że praca jego nie poszła na marne i chociaż umiera ten spowiednik grzeszników, sam niewyspowiadany, w konfesjonale, to niememi wargami, całą swą postacią wyraża wiarę, że „po nim przyjdzie kto inny, a potem jeszcze inny i z pokolenia na pokolenie wzniesie ten krzyk, trzymając się krzyża — *Non serviam!*"

Zadaniem człowieka jest według Bernanosa walka ze złem, walka w obronie religji, mogącej zapewnić prawdziwe szczęście. Jakby idąc za myślą rosyjskiego filozofa, że „do gigantycznych zapasów między zwolennikami Boga i djabła, Chrystusa i Antychrysta trzeba gromadzić potęgę i siłę w ascetyźmie", każe Bernanos bohaterowi swej powieści prowadzić twardy żywot, używać dyscypliny i włosiennicy, ale nie na tem koniec; prócz udręczeń ciała, ks. Donissan przeżywa stokroć gorsze męki ducha, kuszenia szatana, upokorzenia i rozterkę wewnętrzną, którą uśmierza jednak

głęboka, prosta wiara, wprost namiętne przywiązanie do Boga. Ks. Donissan zdaje sobie sprawę ze swego odpowiedzialnego zadania i ciężkich obowiązków i gotów jest „wystawić na niebezpieczeństwo swój spokój, swoją godność kapłańską, a nawet zbawienie", byle wytrwać do końca w walce z szatanem, byle jak najwięcej dusz ludzkich wyzwolić z pod wpływu demona.

Idea walki z szatanem, który sieje spustoszenie w świecie współczesnym, tak wybitnie zaakcentowana przez Bernanosa, znalazła również oddźwięk w powieści polskiej. Między książką *Pod słońcem szatana*, a *Zwid złego ducha* Edwarda Ligockiego związek jest zupełnie wyraźny. Ligocki, podobnie jak Bernanos, przyjmuje wpływ szatana na duszę współczesnego człowieka, tylko podczas, gdy u Bernanosa demonologja przygniata elementy ducha chrześcijańskiego i stanowi główny zrąb osnowy, u Ligockiego, jest jednym z czynników ubocznie działających.

Walkę z szatanem prowadzi weteran wielkiej wojny, Władysław Szturm, który będąc na cmentarzu w Rostowie nad Donem, obciął scyzorykiem szarfy z wieńców leżących na grobie bolszewickim i pragnął je zawiesić w muzeum w Warszawie. Wstążki w niewytłumaczony sposób znikły, ale co dziwniejsze, od chwili zetknięcia się z mogiłą bolszewicką do duszy Szturma wtargnął dziwny niepokój, zdawało się, że coś z tego grobu wdarło się w jego serce, coś z gruntu wstrętnego, obcego, niesamowitego, z czego narazie nie umiał sobie zdać sprawy, dopiero później doszedł do wniosku, że duszę jego opanował szatan.

Chcąc należycie zrozumieć, dlaczego Ligocki skojarzył wpływ szatana na duszę Szturma z mogiłą bolszewicką, trzeba znowu sięgnąć do Berdiajewa, który uważa, że komunizm usiłuje wszystkie objawy życia, a więc i religję podporządkować religji djabła. Bohater powieści Ligockiego obcina szarfy z wieńców złożonych w hołdzie komunistom, więc czcicielom szatana, a przez to wchodzi w bezpośredni kontakt z samym szatanem, który nie myśli opuścić swej ofiary. Za namową niewyraźnego indywiduum, niejakiego Pilsky'ego Szturm przystępuje do loży Pod kielnią Hirama, łudząc się, że bierze udział w związku ludzi, którzy ślubo-

wali braterstwo czystych rąk i czystych dusz. Również za sprawą szatana, sprzeniewierza się Szturm swej narzeczonej Wandzie i całą swą miłość przelewa na jej siostrę Dziunię, którą czci nawet umarłą z jakiemś bałwochwalczem przywiązaniem.

Szturm zdaje sobie jednak sprawę ze swych błędnych poczynań, jego energiczna i żywotna natura czuje głód prawdy, jego rozbudzony samokrytycyzm każe mu rozdrapywać sumienie i pozwala stwierdzić, że „żyje człowiek jak pies, użera się o kawałek chleba, wychodzi cało z największych opałów... i co tu gadać, bolszewiczeje i basta". Tragedją Szturma jest wyziębienie tych elementów duszy i serca, które nazywa „troską o nieśmiertelność", ale jego szczęściem, że dokładnie zdaje sobie sprawę z przyczyn, które spowodowały jego upadek i moralny niepokój. Narazie niema jednak odwagi, żeby swoje smutne, puste i chaotyczne życie uporządkować i rozjaśnić, dopiero przy pomocy swego przyjaciela Jana Herburta i jego wuja księdza dziekana Mościckiego, Szturm znajduje odpowiedź na dręczące go wątpliwości.

Dzięki pojednaniu się z Kościołem potrafi nawet znieść bolesny cios, jakim jest śmierć kochającej Wandy. Chociaż jego zamiary założenia ogniska rodzinnego spełzły na niczem, Szturm nie jest człowiekiem niepotrzebnym, jak Bert Popper, czy Arnold Zipper, na niego czeka wielkie zadanie: obrona religji, krzewienie wiary w Boga wśród współczesnego pokolenia, bo przecież, jak mówi w powieści Ligockiego Dominikanin O. d'Arsonval: „przyjdzie czas, kiedy my wszyscy, świeccy, duchowni, księża i zakonnicy, rzucimy się do walki o samo imię Boże na ziemi, o samo prawo nazywania świętem co święte, czystem co czyste, niepokalanem co jeszcze żadna moc Antychrysta nie zdołała zatruć i skazić..."

Rzecz bardzo znamienna, w powieści współczesnej, w której silnie został zaakcentowany tragizm wojenny, rozbrzmiewają hasła radykalnej zmiany tylko, że pewna grupa pisarzy w poszukiwaniu wyjścia z błędnego koła stosunków współczesnych wypowiada walkę rzekomo przeżytym prawom i ideom, żąda zerwania wszelkich nici z tradycją,

przebudowy ustroju społecznego i gospodarczego, zmiany gruntownej charakterów ludzkich, nie umiejąc jednak definitywnie określić podstaw, na jakich ma się oprzeć ową przyszłość świata.

Dla jednych ideą zdolną odrodzić ludzkość jest powszechny pokój, inni domagają się zrównania praw i obowiązków wszystkich ludzi, jeszcze inni widzą ratunek w jak najbardziej rozwiniętej idei demokratyzmu. Życie jednak zadaje kłam pustym frazesom powszechnego braterstwa czy wszechświatowego pokoju, kryzys gospodarski jest smutnym wynikiem nowoczesnego industrjalizmu. W świetle rzeczywistości bankrutują idee tych koryfeuszów współczesnej powieści, którzy człowieka chcą zbawić przez człowieka, odrzucając współdziałania siły nadprzyrodzonej. Altruistycznym i humanitarnym hasłem powieści współczesnej przeciwstawia inna grupa pisarzy zwartą, jasną i konsekwentną ideologję, dając wyraźną odpowiedź na dręczące pytanie zarówno o sens życia, jak i śmierci. O tem, że religja stanie się siłą promieniującą i oświecającą całokształt życia, że zrozumienie woli Bożej i prawdy Bożej jest sprawą nietylko jednostkową, lecz ogólno-ludzką, wierzy nietylko Mikołaj Berdiajew, ale ci wszyscy pisarze, którzy odczuli, że serce ludzkie w czasach dzisiejszych bardziej niż kiedykolwiek tęskni za równowagą wewnętrzną, szukając prawdy i szczęścia. Głębokie przekonanie, że katolicyzm jest siłą żywotną, zdolną wyprowadzić z manowców współczesnego człowieka, wyrażają nietylko ludzie, których twórczość jest organicznie związana z zasadami religji katolickiej, którzy na tych zasadach wykształcili swój światopogląd, ale nawet ci, którzy byli wyraźnymi wrogami Kościoła. Powieściopisarz angielski Herbert Wells, który w powieściach *Wojna przyszłości*, w *Niewidzialnych* i *Ludzie jak bogowie* drwił sobie z papieża, ośmieszał Kościół katolicki i z bezgranicznem lekceważeniem wyrażał się o religji, w książce *Świat Williama Chissold* twierdził, że dziś „jedynie chrześcijański, rzymsko-katolicki Kościół silny i karny potrafi uchronić niezliczoną ilość dusz przed wpływami modernistycznych złudzeń".

Irena Turowska-Barowa.

O życie nienarodzonych.

Prawnicza strona zagadnienia.

Obok lekarskiej i etycznej, o których mówiliśmy niedawno,[1]) posiada zagadnienie sztucznych poronień również niemniej ważną prawniczą stronę. Owszem ta ostatnia zdobyła największy rozgłos. Kiedy bowiem rzeczowe dyskusje lekarzy, socjologów i moralistów odbywają się wyłącznie prawie na łamach prasy fachowej, to w kwestji prawniczej zabierają dziś głos wszyscy — w prasie, w odczytach i na zebraniach, niekiedy nawet w teatrze i w kinie.

Punktem zaczepienia jest stale karalność sztucznych poronień.[2]) Dotychczasowe ustawodawstwa traktowały je bowiem jako przestępstwo i wyznaczały surowe kary na winnych. Różne okoliczności składały się jednak na to, że kary te istniały raczej na papierze. Niezupełnie szczęśliwe ujęcie zagadnienia w ramach przepisów prawnych i jeszcze bardziej wadliwe ich wykonywanie nie zapobiegały nigdy należycie złemu. Owszem po wojnie światowej, wskutek ogólnego obniżenia poziomu obyczajowego i spotęgowania kryzysu gospodarczego, zastosowanie rygoru prawa stało się wogóle niemożliwem z powodu niebywałego wzrostu liczby sztucznych poronień. Sytuację pogorszyła jeszcze wzmaga-

[1]) *Przegląd Powszechny*, listopad i grudzień 1932 r.

[2]) P. T. Czytelnikom przypominamy, że trzymamy się tu ściśle określonej terminologji; „przerwanie ciąży" jest zabiegiem dokonanym przez lekarza i na podstawie uznanych wskazań; „spędzenie płodu" zachodzi w braku któregokolwiek z powyższych warunków; „sztuczne poronienie" jest wspólną nazwą dla obu kategoryj zabiegów.

jąca się w kołach lekarskich tendencja do mnożenia wskazań do przerywania ciąży, oraz domaganie się legalizacji zabiegu w prawodawstwie. A kiedy, zamiast położenia tamy tym żądaniom, sprzecznym z etyką i nie idącym w parze z postępami wiedzy i sztuki lekarskiej, poczęto nadto oświadczać się za rozciągnięciem legalizacji także na wskazania społeczne, prawne i eugeniczne, wówczas naprężenie doszło do szczytu i reforma kodeksu karnego na punkcie sztucznych poronień stała się koniecznością.

Sprawa okazała się jednak niezwykle trudną. Była nią zresztą zawsze. „Od czasów najdawniejszych — pisze Stefan Glaser, prof. prawa karnego na uniw. w Wilnie — kiedy na widowni dziejowej zjawiać się zaczynają organizacje społeczne i państwowe i kiedy norma prawa poczyna urządzać i w ramy ujmować poszczególne przejawy życia ludzkiego dla powszechnego dobra — aż do chwili obecnej — staje ustawodawca tutaj przed problemem, którego prawne rozwiązanie napotyka nieprzezwyciężone ... przeszkody". [1])

Do przeszkód tych, obok wspomnianych powyżej okoliczności oraz trudności samej rzeczy, należy także duża rozbieżność poglądów wśród prawników. Wszyscy wprawdzie uznają potrzebę pewnych zmian w dotychczasowych przepisach prawnych, uczynienia ich więcej elastycznemi i zastosowalnemi do warunków życiowych. Ale kiedy przyjdzie do realizowania tego postulatu, zdania rozchodzą się, od konserwatywnych aż do najbardziej skrajnych (głównie komuniści), domagających się nieograniczonej swobody sztucznych poronień, przynajmniej dla lekarza i matki. Poza tą zasadniczą różnicą co do rozpiętości prawa zaznaczają się nadto liczne inne, co do warunków i zastrzeżeń w poszczególnych punktach, co do motywów karalności i t. d.

Miarą i zarazem dobrą ilustracją trudności, z jakiemi borykają się tu prawnicy przy kodyfikacji prawa karnego, jest zagadnienie motywów karalności. Oto ustawodawstwa krajów cywilizowanych uznają oddawna sztuczne poronienia za przestępstwo, a tymczasem do dziś dnia nierozstrzygnię-

[1]) Stefan Glaser: K i l k a u w a g o s p ę d z e n i u p ł o d u z e s t a n o w i s k a p r a w a k a r n e g o. *Rocznik Prawniczy Wileński.* Rok II Wilno 1928, str. 81 (1). — Artykuł ten ukazał się też w osobnej odbitce.

tem pozostaje przez prawników pytanie: w czem tkwi istota karygodności tego czynu? Jakie są właściwe motywy karalności, czyli te okoliczności, które ze stanowiska obowiązujących lub możliwych ustaw karnych mogłyby uzasadniać kwalifikację kryminalno-prawną sztucznego poronienia? Motywów bowiem różnych, na które powołuje się lub w każdym razie może się powoływać prawo w tej rzeczy jest sporo; prof. S. Glaser dzieli je na trzy grupy: [1])

1) Na czoło wysuwają się motywy, mające na widoku interes płodu, jako istoty żyjącej. Spędzenie płodu traktuje się wtedy jako przestępstwo, które dokonane na człowieku już narodzonym nosi miano zabójstwa. — Przeciw takiemu poglądowi, dziś ogólnie prawie przyjmowanemu, wytaczają jednak inni szereg zastrzeżeń (płód jest częścią matki, nie jest samodzielnym bytem, niewiadomo, czy przyjdzie żywy na świat), streszczających się ostatecznie w tem twierdzeniu, że ze stanowiska prawa nie można zabicia płodu oceniać tak samo, jak zabicia człowieka już urodzonego.

2) Podstawą karalności może być również interes państwa, a to ze względu na politykę ludnościową (państwo ma prawo do płodu, jako przyszłego swego członka, którego powinno więc zawczasu chronić), albo ze względu na zdrowie obywateli (które nie powinno ucierpieć ani przed urodzeniem), lub ze względów moralnych i religijnych, które nie pozwalają zabijać płodu. — Z wymienionych jednak racyj pierwsza jest przez wielu odrzucana, zarówno z powodu jej założeń, jak konsekwencyj, do jakich prowadzi. Druga mogłaby uzasadniać karalność sztucznych poronień jedynie w wypadkach, kiedy płód jest już dostatecznie rozwinięty. Trzeci tylko motyw, moralny względnie religijno-moralny — choć przez wielu również odrzucany, jako „zbyt nieokreślony“ — możnaby, zdaniem prof. Glasera, uznać za przekonywujący. „Wydaje się, powiada on, rzeczą usprawiedliwioną, by ustawa karna, która ma za zadanie nietylko działać odstraszająco od popełnienia przestępstw, ale jednocześnie wywierać na społeczeństwo wpływ wychowawczy i umoralniający, uznawała spędzenie za czyn karygodny“.

[1]) Kilka uwag o spędzeniu płodu, j. w., str. 110 (30) — 128 (48).

3) Ostatnią kategorję stanowią motywy, mające na widoku interes osób trzecich: matki (szkoda na zdrowiu i niebezpieczeństwo życia), ojca (naruszenie jego prawa do potomstwa, wzgl. pozbawienia tegoż), osoby uprawnionej do dziedziczenia. — W świetle istniejących pojęć i przepisów prawnych trudno jest wszakże upatrywać w którejkolwiek z powyższych okoliczności właściwą podstawę karalności. Najmniej odpowiada tej roli ostatni wypadek. Interes ojca, decydujący niegdyś w prawie starorzymskiem, budzi dziś różne zastrzeżenia i mógłby prowadzić do niedopuszczalnych ze stanowiska moralnego konsekwencyj. Największe widoki miałby jeszcze interes matki, lecz i on, zdaniem prawników, może stanowić podstawę karalności tylko dla pewnej ograniczonej liczby wypadków, mianowicie o ile sztuczne poronienie nie zostało dokonane przez samą kobietę ciężarną lub za jej zgodą.

Kwestja motywów karalności pozostaje więc otwartą nadal — inna rzecz, czy słusznie — każde prawie rozwiązanie, podane przez jednych, spotyka się z krytycznem przyjęciem u drugich. A jednak, powiada prof. Glaser, zagadnienie, w czem tkwi istota karygodności, „staje się dzidzisiaj tem aktualniejsze, że coraz częściej dają się słyszeć głosy, wyrażające powątpiewanie a nawet wręcz negujące, jakoby taka podstawa wogóle faktycznie istniała. Coraz wyraźniej, a zarazem stanowczo broni się tezy, że karalność spędzenia płodu jest już dzisiaj przeżytkiem, pozostałością poglądów z czasów nam odległych, myślą nie dającą się usprawiedliwić ani z punktu widzenia interesów społeczeństwa, ani też polityki prawnej państwa". [1])

I rzeczywiście pewna liczba prawników, oraz lekarzy i socjologów, pyta dziś otwarcie: czy wogóle sztuczne poronienia mają być karane? — I nad tem zasadniczem, pytaniem wypadnie nam się teraz zastanowić.

Sprawa to jednak trudniejsza, niż się ją pospolicie zwykło przedstawiać. Że każde sztuczne poronienie jest czynem (przynajmniej przedmiotowo) moralnie złym, wyka-

---

[1]) Kilka uwag o spędzeniu płodu j. w. str. 112 (32).

zaliśmy już poprzednio.[1]) Jako takie nie może więc być przez prawo dozwolone i gdyby nawet niem było, nie zdejmie to z niego piętna zbrodni. Czy jednak na tej właśnie podstawie powinno też być przez prawo karane?

Sama ze stanowiska moralnego ujemna kwalifikacja do tego nie wystarczy. Nie każdy bowiem moralnie zły czyn powinien i może być karany przez państwo. Zadaniem państwa jest publiczno-prawna ochrona obywateli i zabezpieczenie tego wszystkiego, czego wymaga dobro ogółu; toteż karać winno te wykroczenia, które dobru i bezpieczeństwu ogólnemu rzeczywiście zagrażają. Czyn moralnie ujemny, ale nie należący do powyższej kategorji występków, nie będzie więc podpadał pod prawo państwowe karne, pozostanie „niekaralnym". Etyka i państwowe prawo karne traktują bowiem ten sam postępek z odmiennego punktu widzenia. Etyka bada jego zgodność z porządkiem moralnym, prawo zwraca uwagę, czy postępek ów sprzeciwia się dobru ogólnemu i czy dla zabezpieczenia tegoż powinien być karanym. Tak więc pola etyki i prawa karnego pokrywają się tylko częściowo wzajemnie — może być czyn moralnie nawet bardzo ujemny, a nie karany wcale przez prawo, podobnie jak z tego, że jakiś czyn jest „niekaralny", nie wynika bynajmniej, iż jest on „dozwolony", a tem mniej, że jest moralnie dobry.

Uwzględnienie powyższych uwag jest koniecznem do należytego rozwiązania kwestji karalności sztucznych poronień.[2]) Z samego faktu, że są one zawsze, także w wypadkach wskazań lekarskich, czynem moralnie złym, nie wypływa jeszcze, że państwo jest obowiązane je karać. Rozstrzygnięcie będzie tu zależało od tego, czy wzgląd na dobro ogólne wymaga od państwa takiej interwencji.

---

[1]) *Przegląd Powszechny*, grudzień 1932 r., str. 303 i n.

[2]) Ze strony katolickiej do wybitnych znawców tego zagadnienia, którzy w ostatnich latach zabierali głos w różnych poważnych czasopismach i z których prac tu korzystamy, należy — obok ks. Alberta Schmitt'a, prof. uniw. w Innsbruck (*Theologisch-praktische Quartalschrift*, Linz, r. 1931 str. 536, 698) — prof. ks. Franz Hürth T. J. (*Stimmen der Zeit*, Freiburg im Breisgau, r. 1929 t. 116 str. 33; *Scholastik*, Bonn, w rocznikach od r. 1929—1932.

I oto ważne racje wskazują, że potrzeba taka zachodzi rzeczywiście.

Do dóbr, dla człowieka najcenniejszych i których zabezpieczenie jest niezbędnem dla spokojnego współżycia obywateli i dla dobra ogółu, zaliczają wszyscy życie. Ochrona jego należy więc do ścisłych obowiązków państwa i jest też przewidziana pod surowemi sankcjami w kodeksach prawnych wszystkich państw cywilizowanych. Nie można zatem tej ochrony odmówić płodowi w łonie matki, który, choć niedostatecznie jeszcze rozwinięty, jest przecież istotą ludzką i jako taki ma naturalne prawo do życia i jego skutecznej obrony. Obie zaś okoliczności, i ta, że jest on zupełnie niewinnym i druga, że jest słaby i sam się bronić nie może, a tak często na zgładzenie bywa narażony, nie pomniejszają lecz wzmagają jeszcze ów obowiązek prawnej ochrony. Toteż targnięcie się na życie płodu powinno zasadniczo być karane i to skutecznie karane.

Ta istotna racja, wykazująca dostatecznie potrzebę karalności sztucznych poronień, znajduje silne poparcie w innych nadto powodach, dość blisko z nią związanych. Prawo pozbawienia życia, poza wypadkami bezpośredniej koniecznej obrony, posiada jedynie władza publiczna i to wyłącznie wobec przestępców, których usunięcia wymaga dobro publiczne. Tymczasem zniesienie karalności sztucznych poronień byłoby równoznaczne z oddaniem prawa rozporządzania życiem drugich, i to niewinnych, w ręce osób prywatnych, a wiadomo dobrze, z jaką lekkomyślnością i często z niskich pobudek przywłaszczają one sobie takie prawo. Taka rzecz jest jednak niedopuszczalna i powinna być surowo przez prawo zabroniona i karana. Życie dziecka w łonie matki powinno być nietykalne i prawo winno stanowczo występować przeciw wszystkim, którzy tej nietykalności nie szanują. Byłoby to naprawdę dowodem głębokiego upadku naszej cywilizacji, gdyby prawo karało biedaka za kradzież bochenka chleba, a bezkarnie przepuszczało zabicie niewinnego!

Z powyższych słów wynika dość jasno, jaki charakter ma mieć karalność sztucznych poronień. Nie chodzi tu o zadośćuczynienie, o pomszczenie winy popełnionej, lecz

o skuteczne ograniczenie złego przez odstraszenie od popełniania go. Kara ma więc przedewszystkiem charakter zapobiegawczy, groźba jej winna działać hamująco na jakiekolwiek niedobre zamiary w tym względzie ze strony matki czy innych osób, stać się zwłaszcza silną zaporą przeciw nadużyciom. [1])

Dodatkowym wreszcie, ale wcale poważnym momentem, przemawiającym za karalnością sztucznych poronień, jest fakt, stwierdzony nawet w najbardziej cywilizowanych krajach, że niekaralność w tym wypadku rodzi stale fałszywą opinję, jakoby zabieg ów był dozwolony. Szerokie sfery społeczeństwa nie wnikają w subtelną dość różnicę pomiędzy stanowiskiem etyki a prawa karnego. Ich rozumowanie obraca się przeciętnie w kategorjach: co nie jest karane przez prawo, to jest dozwolone, a co jest dozwolone, to nie jest moralnie złem. Następstwem takiego błędnego pojmowania rzeczy jest powstawanie błędnego poglądu na moralną stronę czynu i powolny zanik poczucia niegodziwości tegoż. Że zaś takie zamieszanie w zbiorowem sumieniu społeczeństwa na punkcie nietykalności życia nienarodzonych musi pod każdym względem być brzemiennem w złowrogie dla ogółu następstwa, tego nikt myślący nie może zaprzeczyć.

Obawy powyższe nie są zresztą tylko przewidywaniem rzeczy możliwych, lecz stwierdzeniem faktów. Olbrzymia i rosnąca jeszcze liczba sztucznych poronień, wyszukiwanie coraz nowych „wskazań" do nich, namiętna i publiczna agitacja za niekaralnością, owszem swobodą w tej mierze, są chyba wymownym dowodem, jak bardzo podupadło w społeczeństwach cywilizowanych poszanowanie życia i po-

[1]) Zasadnicza karalność sztucznych poronień nie wyklucza bynajmniej uniewinniania w poszczególnych wypadkach. Rozróżnić bowiem należy pomiędzy zagrożeniem karą a jej wykonaniem. „Z tego — pisze prof. ks. W. Cathrein T. J. o prawie karnem — że naogół wyznaczenie i zagrożenie pewną karą jest koniecznem, nie wynika bynajmniej, jakoby faktyczne jej wykonanie w każdym bez wyjątku wypadku musiało nastąpić; lecz wynika tylko, że powinna przynajmniej o tyle być wykonywaną, o ile to jest potrzebnem do utrzymania skuteczności zagrożenia karą" (Moralphilosophie, Freiburg im Breisgau, wyd. 5. t. 2, str. 672.

czucie jego nietykalności. Wina tego smutnego stanu rzeczy spada wprawdzie na różne czynniki, lecz w gronie ich także na prawo państwowe i jego wykonawców, którzy nie umieli stanąć skutecznie w obronie życia nienarodzonych.

Istnieje więc dostateczna liczba powodów, dla których karalność sztucznych poronień powinna być utrzymana. Toteż nawet przeciwnicy, uważający ją za bezowocną i „szkodliwą", są jednak za zachowaniem karalności w pewnych granicach, przynajmniej w celu ograniczenia rozmiarów złego.

Zdanie o potrzebie karalności sztucznych poronień podtrzymuje dlatego i Kościół katolicki. Przy całej wyrozumiałości w stosunku do winnych, nie pozwala on się wciągnąć w żadne kompromisy, gdy chodzi o zasady i o obronę życia niewinnych i słabych, lecz żąda jej bezwzględnie od państwa, grożąc mu w przeciwnym razie surową odpowiedzialnością przed Bogiem. Encyklika z r. 1930 o małżeństwie chrześcijańskiem nie pozostawia w tej mierze żadnych wątpliwości. Papież Pius XI z głębokiem zrozumieniem i odczuciem uwzględnia trudności, płynące z dzisiejszych stosunków gospodarczych, społecznych i rodzinnych, ale każe rozwiązania ich szukać na drodze właściwych reform, a nie płacić za ich niedomagania krwią i życiem ludzkiem. Życiu temu, także ukrytemu w łonie matki, ma państwo udzielić wydatnej ochrony prawnej i zabezpieczyć sankcjami karnemi wszelki, bez zastrzeżeń, na nie zamach.

„Nie powinny — mówi Pius XI — rządy i ciała ustawodawcze o tem zapominać, że to ich obowiązek stanąć zapomocą odpowiednich ustaw i kar w obronie życia niewinnych. Obowiązek ten jest tem pilniejszy, im mniejsza możliwość samoobrony u tych, których życie jest zagrożone i zwalczane. Do nich zaliczyć należy przedewszystkiem dzieci w łonie matki. Jeśli zatem władze państwowe owych maleństw nietylko nie bronią, lecz ustawodawstwem swojem i zarządzeniami na te zabiegi się godzą i maleństwa owe w ten sposób wydają w ręce lekarzy i innych osób na śmierć pewną, niech pamiętają o tem, że Bóg jest sędzią i mścicielem krwi niewinnej, wołającej z ziemi do nieba". [1])

[1]) Encyklika o małżeństwie chrześc.; Kraków, Wydawnictwo Ks. Jezuitów, str. 37.

Co jednak pomoże — odpowiada strona przeciwna — żądać karalności sztucznych poronień i wyznaczać tu prawu szczytną misję wychowawczą i zapobiegawczą, kiedy ono tej roli nie spełnia. Dotychczasowe kodeksy karne hołdowały wszystkie zasadzie karalności, a tymczasem liczba dochodzeń sądowych i wyroków skazujących malała, a w ostatnich dziesiątkach lat była wprost znikoma w stosunku do ilości sztucznych poronień.

Zarzut powyższy jest słuszny i nikt go nie będzie kwestjonował. Wystarczy przerzucić garść statystyk, by się przekonać o jego prawdziwości. W Niemczech cyfra poronień wynosi rocznie kilkaset tysięcy, a tymczasem wyroków skazujących było w r. 1912 — 1318, r. 1915 — 936, r. 1916 — 1405 (Lewin). We Francji, gdzie liczba poronień jest podobna, było wyroków skazujących w r. 1912 — 39, r. 1913 — 94; „ w r. 1913 — pisze P. Bureau, prof. socjologji i nauk politycznych w Paryżu — na 300 poronień sztucznych wytaczano dochodzenie tylko co do jednego, a na trzy dochodzenia jedno tylko kończyło się skazaniem". [1]) W Belgji podług dra Keiffer'a, prof. ginek. na uniw. w Brukseli, w latach 1919—1923 było łącznie około 750.000 do miljona sztucznych poronień, a tymczasem dochodzenia sądowe wdrożono tylko w 3323 wypadkach, z pośród których zaledwie 283 zakończyło się wyrokiem skazującym.

Oczywiście następstwem takiego postępowania musi być lekceważenie prawa przez osoby, przeciw którym jest skierowane, lekceważenie może tem większe, im surowiej brzmi litera prawa. Toteż o Francji, gdzie właśnie zachodzi ten wypadek, pisał prof. Bureau, że wobec niekarania sztucznych poronień przez sądy, zarówno kobiety ciężarne jak osoby ciągnące zyski z tego procederu rozumują, że ustawą „niema powodu się krępować. Toteż nikt dziś nie myśli o żadnem krępowaniu się". [2])

Że prawo istniejące a nie wykonywane jest rzeczywiście bezużytecznem, „martwą literą" i może w umysłach wielu budzić poważne wątpliwości co do swej racji bytu,

[1]) P. Bureau: Rozprzężenie obyczajów. Studjum socjologiczne. Kraków 1929, str. 36.

[2]) Tamże, str. 37.

jest rzeczą zrozumiałą. Czy jednak z tego wynika, że w danym wypadku należy zarzucić je wogóle i znieść zupełnie karalność sztucznych poronień, jak tego chcą wszyscy, którzy biorą udział w propagandzie na rzecz niekaralności zabiegu? — Może to byłby wniosek zbyt pośpieszny i rozumowanie zanadto uproszczone?

Zagadnienie sztucznych poronień jest dość skomplikowanem i sam kodeks karny nie jest powołanym do rozwiązania go. Różne inne czynniki muszą współdziałać do tego celu, a prawo karne jest tylko jednem z pośród nich i ma swe wcale ściśle określone zadanie, jak wyłuszczyliśmy powyżej. Trzeba więc dość grubego niezrozumienia rzeczy, żeby wysoki stan poronień łączyć związkiem przyczynowym z kodeksem karnym w ten sposób, by z dzisiejszego ich wzrostu wyprowadzać ogólny wniosek o bezużyteczności prawa. Popularna propaganda, rozwijana u nas i w innych krajach za niekaralnością zabiegu, obliczona jest więc na naiwność jednych i ignorancję drugich; lecz właśnie dlatego należy się, dla dobra sprawy, przeciwstawić się jej ze względów rzeczowych.

Rozumowanie zwolenników niekaralności jest płytkie. Jeżeli, jak widzieliśmy, sprawa sztucznych poronień wymaga stanowczo interwencji prawa ze względu na ochronę życia słabych i niewinnych, a obecny kodeks karny tego zadania nie spełnia, to jedynym uzasadnionym wnioskiem, jaki stąd można wyciągnąć, jest konieczność r e f o r m y odnośnych przepisów prawnych, a nie zupełne usunięcie całego zagadnienia z kodeksu. Reforma ta powinna iść w kierunku trafniejszego ujęcia samej rzeczy, przystosować prawo do życia, zapewnić ściślejsze jego wykonanie, zwłaszcza wobec głównych winowajców, przy przewidzianem zgóry złagodzeniu rygoru w poszczególnych wypadkach.

Dotychczasowe ustawodawstwo różnych krajów wykazywało w tej mierze poważne braki, zwłaszcza pod względem wykonania. Nie dosięgało największych winowajców: wydawców i sprzedawców literatury propagandowej, dzienniki i czasopisma przyjmujące tego rodzaju reklamy, podejrzane instytuty, poradnie i t. p.; za mało zwracało uwagę na osoby, które z wykonania tych zabiegów stworzyły sobie pokaźne

źródło dochodów. Sprawa zabiegów, dokonywanych przez lekarzy, była również w ustawodawstwie źle postawiona i jeszcze gorzej przeprowadzana w praktyce. Przerywanie ciąży dla wskazań lekarskich nie było uznawane przez kodeksy, faktycznie jednak nie pociągano prawie nigdy lekarzy do odpowiedzialności sądowej, jakby nie wiedziano nic o tem, że są między nimi także ludzie niesumienni, którzy nie cofali się nawet przed grubemi nadużyciami. Następstwem tolerowania tego był jednak fakt — i tu Boy-Żeleński miał słuszność — że ustawa karna o poronieniach skierowana była tylko przeciw biednym robotnicom, podczas gdy każda bogatsza pani mogła znaleźć doktora i wszystko jej uchodziło bezkarnie. A że wobec tak rażącej niesprawiedliwości sędziowie nie mieli sumienia karać biedne kobiety, trudno się dziwić. I tak, dzięki tym i innym przyczynom, zło rosło a prawo stawało się coraz bardziej „martwą literą".

Tak więc potrzebną była reforma prawa, a nie wyeliminowanie całkowite kwestji sztucznych poronień z kodeksu karnego. Zwolennicy tego ostatniego poglądu usiłują wprawdzie wmówić, że ich rozwiązanie oczyściłoby atmosferę, gdyż dzięki zniesieniu karalności zabiegu ustanie demoralizacja, płynąca dziś z bezkarnego przekraczania prawa, oraz zmniejszy się wybitnie liczba wypadków spędzania płodu, ponieważ kobiety nie będą się wtedy obawiały udawać w każdej potrzebie do fachowego lekarza. Lecz twierdzenie to stoi w sprzeczności z faktami. Eksperyment przeszło 100-miljonowego kraju Sowjetów, gdzie uznano legalność przerywania ciąży, wykazał, że mimo dozwolenia tego zabiegu liczba spędzeń płodu rosła dalej. Dr. Henryk Kłuszyński, naczelny lekarz Ogólno-Państwowego Związku Kas Chorych w Polsce, który szczegółowo badał stan tego zagadnienia w Rosji dzisiejszej, przyznaje też, że zniesienie zakazu przerywania ciąży „nie rozwiązuje jednak w zupełności zagadnienia". [1])

Żaden kraj cywilizowany nie posunął się też tak daleko, jak Rosja sow., i najnowsze kodeksy, względnie projekty

[1]) Dr. H. Kłuszyński: Regulacja urodzeń. Rzecz o świadomem macierzyństwie. Warszawa 1932. Str. 25. — Błędne są jednak metody, jakie dla uzupełnienia autor poleca.

kodeksów karnych różnych państw starają się znaleźć jakieś pośrednie wyjście pomiędzy utrzymaniem zasadniczej karalności sztucznych poronień a uwzględnieniem dopuszczalności zabiegu w razie określonych wskazań. Tego jednak połowicznego załatwienia sprawy nie można uznać za zadawalające, gdyż takie kompromisowe rozwiązanie zgóry udaremnia w dużej mierze pożądany skutek prawa. Zabicie tej samej niewinnej i bezbronnej istoty ludzkiej zostaje przez nie zakwalifikowane raz jako zbrodnia, dość czasem surowo karana, kiedyindziej jako czyn, nie noszący wogóle cechy przestępstwa i nie podlegający żadnej karze. Prawo nie idzie tu więc po linji zasad moralnych, które potępiają każde bezwzględnie sztuczne poronienie jako zbrodnię, lecz uprawia jakąś podwójną etykę, która jednym pozwala na gładzenie życia, a drugim zabrania. Tem samem jednak nie spełnia ono swego właściwego zadania — skutecznej ochrony życia wszystkich, owszem przez wyłom, jaki samo robi, przyczynia się pośrednio do wzrostu zarówno przerywań ciąży jak spędzeń płodu.

Przy tej okazji niepodobna nam jednak przemilczeć, że spora część tej winy spada na świat lekarski, który, mimo postępów medycyny i wbrew wymogom etyki, nietylko toleruje przerywanie ciąży, ale zgadza się, a w każdym razie nie przeciwstawia się stanowczo rozszerzaniu wskazań do niego. To jego stanowisko nietylko ułatwia jednostkom niesumiennym dopuszczanie się nadużyć, oraz przyczynia się do skrzywienia pojęć i poczucia moralnego wśród społeczeństwa, ale zaciążyło także bez żadnej wątpliwości na kodyfikacji prawa karnego. Słuszności tego twierdzenia chyba nikt nie zaprzeczy, a niektórzy lekarze sami otwarcie to przyznają.

„Nie da się zaprzeczyć — mówi dr. med. Georges Surbled — że lekarze współcześni, nauczając i praktykując poronienia... byli inicjatorami i złymi nauczycielami wszystkich winowajców; świat poszedł za ich naukami i za ich przykładem". [1]) W tym samym duchu pisze dr. med. G. Clé-

[1]) Georges Surbled: La Morale dans ses rapports avec la Médecine et l'Hygiène. Paris. Wyd. II, t. 2 str. 195.

ment: „Łatwość, z jaką niektórzy lekarze wykonywali poronienia na podstawie „wskazań lekarskich", a nawet, trzeba to przyznać, na podstawie prostego „pretekstu" lekarskiego, nie mogła nie wywrzeć zgubnego wpływu na spaczenie opinji publicznej, na zmniejszenie się poszanowania i troski o kiełkujące życie, o istotę żyjącą, będącą w drodze rozwoju; a dowodem tego spaczenia jest nieustanne zwiększanie się liczby poronień. Bo i jakże rozmaite klasy ludności — zarówno ludzie prości o zwyczajnym zdrowym rozsądku, jak myśląca inteligencja — mogłyby uważać dalej za „zbrodnię" to, co ludzie, cieszący się zaufaniem i szacunkiem ogólnym, praktykują nietylko bezkarnie, ale często dla powodów, które nawet profan może słusznie uważać za wcale nie naglące i bynajmniej nie konieczne, dla niedomagań więcej lub mniej poważnych, dla niebezpieczeństw mniej lub bardziej problematycznych". [1])

Oczywiście w dzisiejszym stanie rzeczy, kiedy zło przybrało rozmiary olbrzymie i wżarło się w społeczeństwo, kiedy liczba spędzeń płodu idzie w miljony, a przerywanie ciąży na podstawie wskazań lekarskich zdobywa sobie prawo obywatelstwa — trudno jest naprawić rzecz odrazu, trudno zwłaszcza przeciwdziałać złemu drogą sankcyj karnych. Tu dopomóc może skutecznie tylko szeroko zakrojona akcja wszystkich powołanych czynników. Póki zaś to nie nastąpi i jak długo ogólne stosunki będą anormalne, musimy narazie przyjąć z zadowoleniem każdą innowację, która pozwoli w praktyce przynajmniej o g r a n i c z y ć epidemję sztucznych poronień przez ścieśnienie swobody „wskazań", zapobieżenie lekkomyślnemu ich szafowaniu i nadużyciom.

Jedną z najlepszych może takich innowacyj jest ustanowienie specjalnych K o m i s y j, bez których uprzedniego upoważnienia nie wolno lekarzowi przerywać ciąży. Komisja taka ma się składać z lekarzy, o ile chodzi o wskazania lekarskie (i eugeniczne), a z prawników i osób, zajmujących się opieką społeczną, przy wskazaniach pozostałych. Przerwanie ciąży, dokonane bez jej zgody, będzie karane. Tak

[1]) G. Clément: L e D r o i t d e l'E n f a n t a n a î t r e. Bruges, wyd. II str. 119.

pojęta instytucja zmusza więc do większej rozwagi, chroni przed powierzchowną i zbyt pośpieszną decyzją, staje się silnym hamulcem dla lekkomyślności i nadużyć, a przez to ułatwia niemało pracę lekarzom sumiennym, zabezpiecza do pewnego stopnia ich i kobiety ciężarne.

Toteż komisje powyższe spotkały się z życzliwem naogół przyjęciem w świecie prawniczym i lekarskim, owszem przez wielu są stanowczo żądane. Tak naprz. prof. higjeny społecznej, dr. Alfred Grotjahn (Berlin), chociaż zasadniczo jest za uznaniem wskazań lekarskich do przerywania ciąży, jednakże wobec niejednolitości postępowania lekarzy i lekkomyślności niektórych z pośród nich żąda, żeby poszczególni lekarze nie mieli „prawa ostatecznego rozstrzygania o konieczności tego zabiegu", lecz aby wykonywano go „w zakładzie publicznym po uprzedniem otrzymaniu zezwolenia urzędu lekarskiego". [1])

Tą drogą poszło również ustawodawstwo polskie. Nawiasem mówiąc, pośpieszyliśmy się z niem. Podczas kiedy w innych krajach europejskich projekty prawa karnego ogłoszono wcześniej (naprz. w Niemczech w r. 1927) a dyskusja nad niemi dotychczas nie została zakończona, u nas zamknięto ją w krótkim terminie i Kodeks Karny z dnia 11 lipca 1932 r. wprowadzono w życie z dniem 1 września tego roku.

Otóż polski Kodeks Karny uważa spędzenie płodu za przestępstwo i przewiduje karę aresztu do lat 3 na matkę, „która płód swój spędza lub pozwala na spędzenie go przez inną osobę" (art. 231), oraz karę więzienia do lat 5 na tego, „kto za zgodą kobiety ciężarnej płód jej spędza lub jej przytem udziela pomocy" (art. 232). Natomiast podług art. 233 „niema przestępstwa z art. 231 i 232, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przytem: *a)* był konieczny ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, albo *b)* ciąża była wynikiem przestępstwa, określonego w art. 203, 204, 205 lub 206". [2])

---

[1]) A. Grotjahn: Higjena ludzkiego rozrodu. Warszawa 1930, str. 281.

[2]) Art. 233 b mówi o ciąży, wynikłej z przestępstwa — czynu nierządnego względem osób poniżej lat 15 albo osoby „zupełnie lub częściowo pozbawionej zdolności rozpoznania znaczenia czynu lub kierowa-

Surowej wreszcie karze, więzienia do lat 10, podlega, „kto bez zgody kobiety ciężarnej płód jej spędza" (art. 234); przepis ten, w swem ogólnem brzmieniu odnosi się więc nietylko do właściwego spędzenia płodu, ale także do przerwania ciąży, wykonanego przez lekarza „bez zgody" matki.

Polski Kodeks Karny nie stanął więc bezwzględnie w obronie życia nienarodzonych, lecz czyni wyjątki na rzecz wskazań lekarskich (art. 233 a), prawnych (art. 233 b) i eugenicznych, o ile chodzi o stosunki kazirodcze.[1]) Nie uznaje natomiast wskazań społecznych i gospodarczych, które, jak pisaliśmy przedtem, równają się w praktyce zupełnej bezkarności i swobodzie sztucznych poronień. Moment ten zasługuje o tyle na podniesienie, że jest dużą zmianą na lepsze w porównaniu z pierwotnym Projektem, który w art. 231 pozostawiał bezkarnym zabieg, dokonany przez lekarza ze względu na „jej (kobiety ciężarne) ciężkie położenie materjalne, dobro rodziny lub ważny interes społeczny".[2])

Odrzucenie wskazań społecznych i gospodarczych nie zapobiega naturalnie nadużyciom, a to, między innemi, z powodu stylizacji art. 233 a, który uznaje za bezkarne przerywanie ciąży „konieczne ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej". Nietylko nie musi więc zachodzić niebezpieczeństwo życia, ale owa szkoda na zdrowiu jest dostatecznie określona i dlatego pozwala mniej sumiennym jednostkom na bardzo szeroką interpretację. Cennem dlatego uzupełnieniem w tym wypadku jest Rozporządzenie Prezydenta Rzplitej z dn. 25 września 1932 r., o wykonywaniu praktyki lekarskiej (*Dziennik Ustaw R. P.* r. 1932 nr. 81 poz. 712). Jego art. 12 (n. 2.3) — nawiązując do art. 233 Kodeksu Karnego — zastrzega, że jeśli zabieg przerwania ciąży jest „konieczny ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej", to le-

nia swem postępowaniem" (art. 203); czynu nierządnego, wymuszonego na innej osobie „przemocą, groźbą bezprawną albo podstępem" (art. 204) lub też „przez nadużycie stosunku zależności lub wyzyskanie krytycznego położenia" (art. 205); spółkowania „z krewnym w linji prostej, bratem lub siostrą" (art. 206).

[1]) Tak pojmuje charakter przestępstwa z art. 206 prof. Juljusz Makarewicz (Kodeks Karny z komentarzem. Lwów 1932, str. 253 n.).

[2]) Przeciw temu to Projektowi skierowana była odezwa Episkopatu Polski z dn. 10 listopada 1931 r.

karz może go dokonać dopiero „po uprzedniem złożeniu mu zaświadczenia dwóch lekarzy, stwierdzających powyższą okoliczność". Na podstawie zaś wskazań prawnych i eugenicznych — t. j. w wypadkach nadmienionych w art. 233 b Kodeksu Karnego — może lekarz wykonać zabieg „dopiero po uprzedniem złożeniu mu zaświadczenia prokuratora, stwierdzającego uzasadnione podejrzenie, że ciąża powstała wskutek przestępstwa z art. 203, 204, 205 lub 206 Kod. Kar."

Zastrzeżenia powyższe nie usuwają wprawdzie możliwości nadużyć, bo — jak pisał jeden lekarz — i do owej komisji „dwóch" można sobie dobrać odpowiednich lekarzy, ale ogranicza je, a w każdym razie pozostawia im cechę „przestępstwa", co już jest momentem niemałej wagi. Niestety materjalne korzyści, jakie ta kategorja zabiegów przynosi, jest tak nęcąca, że będzie zawsze źródłem nadużyć; i dlatego niektórzy lekarze proponują, jako jedyny sposób wyjścia, żeby przerywanie ciąży było wykonywane w zakładach publicznych i to bezpłatnie.

Streszczając dotychczasowe uwagi, musimy raz jeszcze, dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień, podkreślić, że stanowiska, jakie zajmują dziś nowe kodeksy, względnie projekty prawa karnego — uchylające cechę przestępstwa przy sztucznych poronieniach, wykonanych przez lekarza na podstawie określonych wskazań — nie można uznać za poprawne. Nie można zaś dlatego, że prawo takie nie spełnia swego właściwego zadania, nie strzeże należycie dobra ogólnego: nie chroni bowiem skutecznie życia i to życia istot niewinnych a bezbronnych, pozwala decydować o niem osobom prywatnym, nieraz bez rozciągnięcia nad niemi dostatecznej kontroli, a przytem przez odjęcie cechy przestępstwa pewnej kategorji zabiegów przyczynia się do rozpowszechnienia wśród szerokich sfer błędnej opinji, jakoby zabieg taki nie był moralnie złym, ani społecznie zgubnym.

Z drugiej wszakże strony, musimy wziąć pod uwagę zarówno okoliczność, że prawo karne nie jest powołane do rozwiązywania zagadnienia sztucznych poronień, jak fakt, że sytuacja dzisiejsza jest wyjątkowa, a karanie wszystkich wykroczeń w tej dziedzinie jest niemożliwem z powodu ogromnej liczby wypadków, z powodu stanowiska świata

lekarskiego, oraz ogólnej atmosfery anormalnej pod względem moralnym, społecznym i gospodarczym. Dopóki więc okoliczności powyższe trwają i skoro zdaniem ogólnem o zapobieżeniu epidemji poronień drogą prawa mowy być nie może, wypada czasowo przyjąć za wystarczające, jeśli kodeks karny uznaje zasadniczo przestępczość i karalność sztucznych poronień, a przerywaniu ciąży, stawia poważne utrudnienia, by tą drogą ograniczyć częstość zabiegów.

W każdym zaś razie — kończymy z prof. ks. Hürth'em, który omawia tę samą sprawę w Projekcie niemieckiego kodeksu karnego (*Germania,* Berlin r. 1929 nr. 385) — „trzeba publicznie i prywatnie z całą jasnością głosić, że prawno-karne uregulowanie tej rzeczy nie rozstrzyga wcale o etycznej jej ocenie i że prawo moralne, w katolickiem pojęciu, nie dopuszcza żadnego celowo zamierzonego sztucznego poronienia, nawet w wypadku rzeczywistej potrzeby i przy lekarskiem wskazaniu. Katolicka moralność i w tym wypadku bezwarunkowo potępia świadome niszczenie życia nienarodzonych; a jeśli prawo państwowe uzna je za dopuszczalne i wolne od kary, to jednak w obrębie sumienia taki ulegalizowany czyn nie będzie dla niej objektywnie niczem innem, jak ulegalizowanem morderstwem".

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Literatura piękna w Rosji Sowieckiej.

Od czasu gdy Stalinowska generalna linja partji odniosła ostateczny triumf i niedobitki wszelkiego rodzaju jej przeciwników pod nazwami prawicowców, lewicowców, szowinistów narodowych, ugodowców i szkodników wypełniły więzienia i miejsca zesłania, lub w najlepszym razie zostały wyrzucone poza nawias życia państwowego, Związek Sowiecki przeistoczył się jakby w jeden wielki zakład wychowawczy. W surowym tym zakładzie, przypominającym czasy średniowiecza, tak ze względu na dogmatyczny program, jak i ze względu na stosowane metody wychowania, kierownikiem jest partja komunistyczna, a wychowankami — cała ludność państwa, z wyjątkiem parjasów-liszeńców, pozbawionych praw obywatelskich i pozostawionych własnemu losowi.

Proces wychowawczy odbywa się według ściśle ustalonego programu, bez żadnych odchyleń i wątpliwości. Wola jednostki rozpływa się w woli kolektywu i prawo do egzystencji i rozwoju mają tylko te objawy twórczego ducha ludzkiego, które idą w kierunku wskazanym przez partję i przynoszą pożytek jej zamierzeniom i planom. Stworzenie jednolitej, bezklasowej społeczności — to cel, wytężenie wszystkich zbiorowych sił dla jego osiągnięcia — to obowiązek, wszelka wolnomyślność, wszelki indywidualizm — to występek. Albowiem wola partji jest dogmatem, a odchylenia od niej są herezją.

Warunki życiowe zmuszają do pracy i męża i żonę, brak produktów uniemożliwia prowadzenie gospodarstwa domowego, brak mieszkań powoduje rozwój systemu quasi

hotelowego, szkoła i związki młodzieży odrywają dzieci od rodziców i wdrażają je do nowego życia socjalistycznego. Wszystko to sprawia, że każda jednostka, volens-nolens znajduje zaspokojenie swoich minimalnych potrzeb tylko w kolektywie i w nim zatraca swoją indywidualność. Lokatorowie domów, pracownicy biurowi, robotnicy fabryczni, profesorowie, nauczyciele, lekarze, młodzież szkolna, wojsko, gospodarze wiejscy, subjekci sklepowi, słowem wszystkie fachy i rodzaje pracy, tworzą związki, posiadające swoje kluby, czytelnie, bibljoteki, jadłodajnie, kooperatywy i nawet prasę w postaci „gazet ściennych", skrzętnie notujących wszelkie nieprawomyślne postępki swoich członków. Ponadto w każdym związku znajduje się „jaczejka" komunistyczna, która uczy, kieruje i śledzi...

Szara masa chłopska, t. zw. jednostkowcy, którzy dotąd zachowali małe gospodarstwa własne, w części nie dała się jeszcze ująć w ścisłe ramy wychowawcze i ze względów taktycznych pozwolono jej narazie żyć swojem życiem, ale z każdym rokiem propaganda partyjna robi wciąż nowe wyłomy w tem biernem środowisku i o ile nie zajdzie coś nieprzewidzianego, ostateczna jej kapitulacja jest tylko kwestją czasu.

Aparat partyjny wychowawczy, słusznie wychodząc z założenia, że najpierwszem zadaniem w akcji tworzenia nowej ludzkości jest odpowiednie jej nastawienie duchowe, zwraca drobiazgową uwagę przedewszystkiem na akcję propagandową, starając się, żeby przenikała ona do świadomości społeczeństwa wszelkiemi możliwemi drogami.

Wielką przyjemnością, przechodzącą w potrzebę, jest dla człowieka współczesnego, prasa codzienna. Partja więc odrazu oceniła należycie ogromną propagandową rolę prasy. Gazety Sowieckie wychodzą w miljonach egzemplarzy i rozpatrywane jako podręczniki wychowawcze, są wprost idealne. Kilka wielkich gazet wydawanych w stolicy stanowi źródło, z którego czerpią tysiące gazet prowincjonalnych i zagadnienia, poruszane przez prasę stołeczną, przez dłuższy czas bywają w różnych językach szczegółowo i w dostępnej formie omawiane na łamach reszty pism Związku. Prasa Sowiecka rozmaitością materjału pochlubić się nie może.

Sprawozdania z prac na fabrykach, lub na roli w związku z wykonaniem pięciolatki, zaznaczenie dobrych wyników, osiągniętych przez poszczególne miasta, rejony, a nawet rady wiejskie, napiętnowanie wyników niedostatecznych, rewelacyjne szczegóły walki z „kułakami" na wsi i ze „szkodnikami" po fabrykach, artykuły wyjaśniające i uzasadniające zarządzenia władz i wreszcie surowa krytyka z powoływaniem się na autorytet „wodzów", wszelkich odchyleń od tego, co nazywają generalną linją partji. Dział polityki i informacji zagranicznej, szeroko postawiony w prasie stołecznej i konspektowo w prowincjalnej, zawiera artykuły odsądzające od czci i wiary którekolwiek z państw starego świata (dawniej najczęściej Polskę, ostatnio Japonję w związku ze sprawą Mandżurską) oraz szereg tendencyjnych informacyj o strajkach i zaburzeniach robotniczych zagranicą, jak również o rozmaitych gwałtach, dokonanych na osobach robotników przez władze państw kapitalistycznych.

Czytelnik, szczególnie młody i nieznający życia zagranicą, chociażby był niezadowolony z rzeczywistości sowieckiej, po dłuższem czytaniu tych gazet mimowoli odnosi wrażenie, że tam — za rubieżą — jest jednak jeszcze gorzej. Każdy więc numer takiej gazety jest nowym zastrzykiem limfy komunistycznej, która jeżeli nawet nie. zaraża organizmów odpornych, to wywołuje stan przygnębienia i poddania się losowi. Stosuje się to do resztek inteligencji pozostałych w Rosji oraz wogóle do ludności miast. Jak się do takiej prasy mogą odnosić chłopi, trudno powiedzieć. Prawdopodobnie rozpatrują ją, jako rzecz niepodlegającą dyskusji, gdyż pochodzącą od władzy zwierzchniej. Poza tem ciągłe nawoływania do rozpowszechniania gazety po wsiach wskazują, że do głębokich warstw ludowych prasa nie dochodzi w takiej ilości, jakiejby sobie życzyła partja.

Drugiem potężnem narzędziem propagandy jest radjo. Czynione są wszelkie starania, aby dotarło ono do najbardziej odległych, t. zw. „niedźwiedzich" zakątków olbrzymiego kraju, aby stało się chlebem powszednim dla najszerszych mas ludności. Program radjowy, obok kwestyj poruszanych w prasie, obejmuje cały szereg odczytów propagandowych

i popularno-naukowych z najrozmaitszych dziedzin. W szczególności każde wydarzenie polityki zagranicznej znajduje w niem natychmiastowe i odpowiednie oświetlenie. W miastach, na placach i w ogrodach publicznych niezmiennie wyją głośniki, narazie bardzo nieszczególne i nie zwracające żadnej uwagi przechodzącej ludności. Pomimo to każde sprawozdanie rządu w CIK'u zawiera ubolewania, że rozwój radjo-techniki ze względu na brak środków nie posuwa się w tak szybkiem tempie, jakby należało. Można więc przypuszczać, że lata najbliższe będą świadkami nowych poważnych osiągnięć w tej dziedzinie.

Wieczory świąteczne, lub wogóle wolne od zebrań i odczytów klubowych, obywatel sowiecki może spędzić w teatrze lub w kinie. O teatrze rosyjskim z jego świetnym zespołem aktorskim niema dwuch zdań. Ale rewolucja, a obecnie generalna linja partji nałożyły swoją ciężką rękę i na teatry i coraz rzadziej można znaleźć sztukę, któraby równocześnie nie zawierała motywów propagandowych. Jeżeli w samej sztuce niema wyraźnych momentów dyskredytujących życie burżuazyjne i ustrój kapitalistyczny, reżyser sowiecki wprowadza aktora-komentatora, który stając w rogu sceny wyjaśnia i podkreśla miejsca wątpliwe. Nawet balety wystawiają przeważnie takie, które zawierają elementy propagandowe, jak np. „Krasnyj Mak", gdzie występują uciemiężeni kulisi chińscy i wyzyskiwacze-anglicy. Były również próby wystawiania propagandowych oper w rodzaju Złotego Kogucika — Rimskija-Korsakowa, przyczem w Mińsku bohater, car Dodon, był ucharakteryzowany za Mikołaja II.

Jedno z pierwszych miejsc w akcji propagandowej zajmuje i kino. Filmy wyświetlane w Rosji Sowieckiej odnoszą się albo do okresu wojny domowej, rewolucji, gdzie sfery burżuazyjne i wojska białe, lub cudzoziemskie, a zwłaszcza przedstawiciele innych kierunków socjalistycznych, występują w barwach najczarniejszych, albo rozwijają zagadnienia budownictwa socjalistycznego, i opisują walki włościan i robotników z kułakami, duchowieństwem i szkodnikami. Dopuszczane są i filmy cudzoziemskie, ale, nie licząc komicz-

nych, tylko takie, które wykazują zepsucie świata kapitalistycznego, lub ucisk klasy robotniczej.

Wszystko powyższe dowodzi, że nawet i nieliczne rozrywki w tym fenomenalnym kraju zostały przez troskliwą władzę wychowawczą skonstruowane w ten sposób, żeby myśl obywatela, skierowana w czasie pracy w określonym kierunku, nie zmieniała go i w chwilach odpoczynku.

A jednak poza pracą biurową, czy fabryczną, poza udziałem w posiedzeniach związków i gazetą, poza działalnością polityczno-społeczną i radjo, poza teatrem i kino — pozostają od czasu do czasu chwile wolne, które można zużytkować na lekką lekturę, przenoszącą myśl w sferę ciekawych i porywających zagadnień. Literatura piękna porewolucyjna z natury rzeczy znalazła się w położeniu poniekąd uprzywilejowanem, chociażby dlatego, że nie można jej było, za przykładem prasy, radjo, teatru i kina, upaństwowić. W okresie rewolucji i wojny domowej zamarła ona prawie zupełnie, gdyż pisarze w znacznej części uciekli zagranicę, w części poginęli z głodu (Błok i Sołohub) i od kul czerezwyczajki (Gumilow), a pozostałe resztki pędziły smutny żywot w walce ze skrajnym niedostatkiem. Zresztą najzdolniejszy pisarz nie będzie w stanie tworzyć obok krateru działającego wulkanu. Dopiero kiedy w kraju nastąpił spokój i rozpoczął się okres systematycznego wychowania nowej ludzkości, zaczęła się rozwijać i literatura. Stosownie do obowiązujących przepisów pisarze połączyli się w związki, ale miało to raczej znaczenie formalne, a ponadto ułatwiało drukowanie utworów, twórczość zaś literacka rozwijała się w atmosferze stosunkowo wolnej od kontroli, zwłaszcza ze strony sfer niepowołanych, co pochodziło stąd, że władza sowiecka prawdopodobnie miała zbyt wiele innych, ważniejszych zadań do wykonania, ażeby zwrócić należytą uwagę na młodą literaturę, mającą narazie bardzo ograniczony zasięg działalności.

Z tych więc, czy innych powodów tworzyła się ona mniej więcej samorzutnie i młodzi pisarze starali się przewidzieć i opanować nowe życie. Mówię — młodzi, gdyż była to przeważnie młodzież wysunięta przez rewolucję i wojny domowe, a z pisarzy przedrewolucyjnych wznowili swoją

działalność tylko nieliczni, w tej liczbie Serafinowicz, Wieresajew i Aleksy Tołstoj, który dobrowolnie powrócił z emigracji i wziął gorący udział w odradzającej się literaturze.

Łuna dopiero co przeżytej największej w świecie rewolucji rzucała czerwony odblask na kraj, przystępujący do nowego, zagadkowego w swoich szczegółach nietylko dla uczniów, ale poniekąd i dla nauczycieli, życia socjalistycznego, bohaterski okres walk źle odzianego i źle uzbrojonego proletarjatu z wojskami białych i interwentów, również stwarzał niewyczerpane źródło tematów literackich. Zaczęto więc poruszać zagadnienia nowej miłości i rodziny, nowego wychowania dzieci, współpracy z niedobitkami inteligencji, problemy życia wsi i fabryki oraz nowych prądów, niszczących dawny układ i obyczaje. Ukazuje się szereg powieści i pamiętników, odtwarzających wydarzenia i przeżycia z okresu rewolucji i wojny domowej, znaleźli się wreszcie szperacze w kronikach i materjałach historycznych i powstała sowiecka powieść historyczna.

Równocześnie instytucje państwowe zajęły się selekcją dzieł klasyków rosyjskich i cudzoziemskich, które umiejętnie zaopatrzone w komentarze mogły przynieść pożytek akcji wychowawczej. Ukazały się więc piękne wydania dzieł Tołstoja i Dostojewskiego, Puszkina, Lermontowa i Niekrasowa oraz wybrane dzieła innych pisarzy (Turgiekiewa, Czechowa etc.), a Akademja Umiejętności dotąd wydaje piękną serję arcydzieł literatury w przekładach, jak również ciekawe dzieła rosyjskie z czasów dawnych i obecnych. Ponadto w tanich wydaniach rozchodzą się w ogromnej ilości te z dzieł pisarzy cudzoziemskich, które wyraźnie dyskredytują dotychczasowy układ życia starego świata.

Pojemność rynku księgarskiego w Związku Sowieckim jest bardzo wielka. Kilkutysięczne wydawnictwa w ciągu niespełna tygodnia wsiąkają do bibljotek klubowych i prywatnych, których liczba rośnie z zawrotną szybkością. Służy to wymownym dowodem do jakiego stopnia łakną pięknego słowa żywego te niezliczone rzesze sowieckiego zakładu wychowawczego i jak im nie wystarcza szkolnej lektury o piatiletce, fabrykach, zasiewach i wrogach klasowych.

Wśród współczesnych pisarzy sowieckich niema nara-

zie talentów, które mogłyby mieć pretensje do zdobycia laurów wszechświatowych, ale jest spora grupa subtelnych obserwatorów i prawdziwych artystów słowa. Oprócz bardziej znanych zagranicą Romanowa i Pilniaka należy wymienić Ławrieniewa, świetnego stylistę i porywającego narratora, Szołochowa, autora pięknej powieści-kroniki o rodzinie kozackiej p. t. *Cichy Don*; Gładkowa, autora powieści *Cement*, w której bodaj że pierwszy, starał się o rozwiązanie problemu człowieka nowej formacji; Tymianowa, ciekawego i sumiennego pisarza historycznego z dużym talentem; Kawerina, barwnego pisarza typu amerykańskiego z dozą sensacji i wreszcie Olgę Forsz, autorkę szeregu ciekawych i oryginalnych utworów. Wyliczenie to możnaby znacznie przedłużyć, ale ponieważ tematem szkicu niniejszego jest nie krytyka poszczególnych pisarzy, a pobieżny przegląd literatury, jako obserwatorki i wyrazicielki życia Rosji Sowieckiej, poprzestaniemy więc na tych tylko imionach, cytując inne przy sposobności poniżej.

Podwalinami dawnego, obecnie zwalczanego, układu życia są religja i rodzina, więc i w powieści sowieckiej grają one wybitną rolę. Powieści specjalnie antyreligijnej nie zdarzyło mi się czytać i wątpię czy tego typu powieści wogóle w Rosji istnieją. Związek bowiem bezbożników operuje przeważnie wśród ciemnych mas i walczy zapomocą prasy, odczytów, broszur, ulotek i pochodów, ośmieszających święta i obrządki religijne. Trafiają się i książki pseudo-naukowe krytykujące biblję. Powieści zaś, jako narzędzia propagandy antyreligijnej nie miałyby wśród mas żadnego powodzenia, chociażby dlatego, że niktby ich nie czytał. Przygodnie jednak religja bywa atakowana prawie w każdej powieści, szczególnie z życia wsi i najczęściej służy powodem konfliktu pomiędzy starszem, a młodszem pokoleniem. Najniewinniejszą kategorję ludzi religijnych, traktowaną z ironiczną pobłażliwością, stanowią stare kobiety-matki i babki. Następną stanowią dziewczęta, które bądź z własnej inicjatywy bądź za namową rodziców wymagają od narzeczonych ślubu w kościele. W stosunku do nich daje się wyczuwać pewne rozdrażnienie i małżeństwa takie, o ile dochodzą do skutku, autor czyni nieszczęśliwemi. W najczarniejszych zaś barwach

występuje trzecia kategorja wierzących, — „kułaki" i duchowieństwo, których zazwyczaj, po popełnieniu całego szeregu występków, dosięga sprawiedliwa kara.

Co się tyczy rodziny, to wbrew niemal powszechnie ustalonemu mniemaniu, literatura sowiecka gorąco broni nierozerwalności związków małżeńskich, o ile chodzi o małżonków komunistów. Jeżeli jednak jedno z małżeństwa należy do burżuazji i z nią nie zrywa, obowiązkiem drugiego jest takiego towarzysza (względnie towarzyszkę) opuścić. Małżeństwa proletarjuszów z kobietami ze sfer burżuazyjnych niezmiennie kończą się dramatem i skruszony mąż znajduje pociechę, jeżeli nie w pracy, to u towarzyszki, proletarki, albo nawet niekiedy u pierwszej, dawno porzuconej żony, która gdzieś na wsi cierpliwie na jego powrót czekała.

Rodzina czysto burżuazyjna występuje w powieści sowieckiej jako szczegół podrzędny i traktowany pogardliwie, lub jako ciemne przeciwstawienie jasnej rodzinie komunistycznej. W najlepszym razie są to ludzie niezaradni i nieszczęśliwi, w najgorszym — występni, obłudni i nienawidzący władzy sowieckiej. Dzieci zazwyczaj takich rodziców opuszczają i wierną służbą proletarjatowi starają się okupić swoje pochodzenie burżuazyjne. Kobiety naogół traktowane są łagodniej i pobłażliwiej od mężczyzn, więcej im się wybacza i mniej się od nich żąda. Pochodzenie, stanowiące dla mężczyzny niemal nieprzepartą przeszkodę do nowego życia, dla kobiety tak ważnej roli nie gra.

W znanej powieści Nikiforowa p. t. *Kobieta* występuje młoda dziewczyna, córka inżyniera „speca", która stopniowo rozczarowuje się w ojcu i jego otoczeniu, którym autor przeciwstawia sfery robotnicze i partyjne, wyrzeka się życia dotychczasowego i znajduje szczęście w pracy i w miłości wybitnego komunisty. W trakcie poszukiwania swojej „prawdy życiowej" znajduje ona pomoc i życzliwy stosunek ze strony robotników.

Młody mężczyzna, nawet komunista, ma przed sobą drogę życiową znacznie trudniejszą. Czyhają na niego liczne pokusy, w postaci alkoholu, łatwych triumfów miłosnych, odchyleń ideowych, które niezmiennie prowadzą go do kastrofy. W decydującej jednak chwili występuje partja,

albo w osobie starszego towarzysza, albo kochającej kobiety komunistki i winowajca odzyskuje równowagę duchową podczas ciężkiej pracy gdzieś na krańcach państwa, dokąd go wysyłają na pokutę.

Sporo uwagi udziela literatura młodzieży. W swoim czasie ogromną sensację wywołała powieść Małaszkina p. t. *Księżyc z prawej strony*, w której autor w jaskrawych barwach opisał puste i niemoralne życie podrastającego pokolenia. Zaczęła się ostra polemika w prasie, a Komsomoł wystosował ostry protest. Było to w roku 1924 i od tego czasu warunki życia młodzieży uległy znacznej zmianie. Równocześnie z całym aparatem partyjnym wzmogła się dyscyplina i w komsomole i członkowie jego zostali ujęci w surowe kluby kontroli. Moralność komunistyczna znacznie rożni się od naszej i przelotne związki pomiędzy młodzieżą, aczkolwiek nie zalecone, nie są uważane za rzecz zdrożną, o ile nie przeszkadzają pełnieniu obowiązków. O żadnych jednak ligach wolnej miłości mowy niema.

W roku 1930 ukazała się książka Brażnina p. t. *Skok* (Pryżok), w której autor daje ciekawy obrazek życia komsomolców w Leningradzie. Bohater powieści nietylko proletarjusz, a nawet znajda-podrzutek, odpowiedzialny pracownik w „jaczejce" komsomolskiej przy fabryce, oczarowany siostrą swojego kolegi, zaślubia ją pomimo perswazji przyjaciół. Młoda żona odrazu zaczyna zdradzać tendencje burżuazyjno-mieszczańskie. Komsomolec miał kąt przy fabryce, a tu powstaje kwestja mieszkania, w mieszkaniu zjawiają się ładne mebelki, serwetki, poduszeczki — „burżuaznyj ujut". Przychodzą goście, żona występuje wciąż w nowej sukni, a biedny mąż nie może spojrzeć w oczy przyjaciołom. A przecież tuż obok żyją inne stadła komsomolskie w zupełnej harmonji i wspólnie pracują. Zagadka wyjaśnia się w ten sposób, że żona jest córką byłego wysokiego urzędnika z czasów carskich i razem z bratem nielegalnie dostała się do komsomołu. Zupełnie więc naturalnie, że instynkt burżuazyjny w niej przemówił. Mąż przezwycięża swoją miłość i wyjeżdża do Turkiestanu, pozostawiając żonę jej własnemu losowi, a czytelnik widzi jasno, że pochodzenie jest kalectwem nieuleczalnem. Małżeństwo nowych ludzi, to koleżeński

stosunek dwojga pracujących na zasadzie zupełnego równouprawnienia.

Współpraca z inteligencją również znalazła swoje oświetlenie w szeregu powieści. Obecnie po znanym rozkazie Stalina o specach w kwestji tej prawdopodobnie niema dwuch zdań, ale przedtem były wyraźnie dwa prądy, jeden ze współpracą, drugi, przeciw. Autor *Cementu* Gładnow dał ciekawy dodatni wizerunek starego „speca", fanatycznie przywiązanego do swojej fabryki. Tichonow w powieści *Pod Latarnią* (U Fonaria) wyprowadza typ młodego oficera i właściciela majątku, który pód cudzem nazwiskiem dostał się do partji, ale porwany wielkością otwierającej się przed nim perspektywy pracy, całkowicie przejął się nowem życiem i z oddaniem wypełniał swoje obowiązki. Partja to oceniła i przebaczyła mu pochodzenie i oszustwo, a ukochana kobieta po wyroku sądu partyjnego również udzieliła mu rozgrzeszenia.

Z drugiej strony ciekawy typ mądrego i przebiegłego szkodnika-inteligenta wysuwa Woinowa w powieści *Samocwiet*. Osobnik ten popełnia cały szereg postępków, niezupełnie zrozumiałych dla bezstronnego czytelnika, a mających na celu pozyskanie względów robotnika-dyrektora trustu i wkońcu zostaje zdemaskowany i osądzony. Barwne postacie inteligentów-szkodników dają również pisarze Pilniak i Romanow, może nie bez ukrytego celu własnej rehabilitacji w związku z pewnemi grzechami w dziedzinie herezji literackiej.

Zaznaczyć należy jeszcze jedną cechę sowieckiej powieści obyczajowej, podkreślającą, że się tak wyrażę, jej „prawomyślność". Mianowicie oprócz bohatera i bohaterki oraz „czarnych charakterów" występuje jako osoba drugorzędna jakiś odpowiedzialny komunista, sekretarz jaczejki, czy nawet członek GPU, który wyjaśnia wszelkie wątpliwości, w razie potrzeby interwenjuje, potępia błędy popełnione przez bohatera i wskazuje mu drogę do poprawy. Autor przedstawia go bardzo ogólnikowo. Jest to człowiek spokojny, zrównoważony, pewny siebie, bardzo skromny w życiu osobistem i zawsze bardzo zajęty. Postać ta przy pierwszem zetknięciu się z nią interesuje, ale spotykana w każ-

dej powieści powszednieje do znudzenia. Czytelnik zgóry wie co ten człowiek zrobi i powie w każdym wypadku.

Powieści z życia wsi, pomimo ultra tendencyjnego oświetlenia, dają bogaty materjał do poznania tworzącego się nowego społeczeństwa chłopskiego. Bohaterem najczęściej bywa albo żołnierz armji czerwonej, wracający ze służby czynnej i walczący z zacofanemi poglądami swoich współziomków, albo chłopiec, intuicyjnie poznający różnicę pomiędzy dobrem — nowem życiem i złem — starem. Do kategorji pierwszej należą np. *Piąta Miłość* Karpowa i *Łapcie* Zamejskiego, do drugiej — *Łoszewod* (Amator koni) Gromowa.

Naogół wizerunek nowego człowieka przedstawia się w powieści obyczajowej mętnie i chwiejnie. Jest to narazie uczeń, który popełnia szereg błędów, prostowanych przez wychowawców, człowiek okresu przejściowego dopiero formujący się i na pytanie jakim on będzie — literatura stanowczej odpowiedzi nie daje. Wychowawcy zaś, którzy mogliby służyć za wzór dla tej nowej ludzkości, opisani są dosyć niewyraźnie. Są to jakieś istoty wyższe, nieomylne nie sami przez się, a przez partję, ale tajemnic tej partji literatura nie odsłania i w jej ujęciu przypominają mi pod pewnym względem „dobrych rodziców" z książek dziecinnych.

Literatura traktująca o rewolucji i wojnie domowej zawiera sporo dzieł wyższego poziomu literackiego, barwnych i porywających (Ławrieniew: *Siódmy Satelita, Wicher, Czterdziesty Pierwszy* i *Powieść o prostej rzeczy*, Fadiejew: *Pogrom*, Małyszkin: *Sewastopol*, Minajew *Pugaczowcy*) ale stokroć więcej makulatury przypominającej „wiernopoddańczą" literaturę carską. Ciekawe nietyle pod względem literackim, co historycznym są powieści niedawno zmarłego młodego pisarza, a zarazem komisarza politycznego wojsk walczących w Turkiestanie, Furmanowa: *Bunt, Pożar* i *Czapajew*. Denerwująca, jakby „krwią serca" pisaną jest książka Babela *Konarmja*, zbiór luźnych szkiców i obrazków z wojny polsko-sowieckiej.

Powieści historycznych jest niewiele i narazie bogaty okres kilku stuleci historji carskiej pozostaje niewyzyskany. Należy jednak oddać sprawiedliwość autorom sowieckim,

że w powieściach ich znać sumienne przestudjowanie materjału i nie robią one wrażenia paszkwili na przeszłość, czego możnaby było spodziewać się. Bohaterem oczywiście bywa rdzenny proletarjusz i wygłaszane przez niego sentencje nie zawsze zdają się odpowiadać historycznej prawdzie opisywanego okresu, samo jednak tło historyczne przedstawia się wspaniale. Największe zainteresowanie budzą postacie Piotra Wielkiego oraz Pawła I, przedstawiającego najbogatszy materjał dyskredytujący autokrację carską. Natomiast Mikołaj I jest dotąd stosunkowo mało wykorzystany. Czołowe miejsce w szeregu pisarzy historycznych zajmuje bezspornie Tynianow. Powieści jego *Śmierć Wazyr-Muchtara* (Tragedja śmierci poety i dyplomaty Gribojedowa w Persji), *Kiuchla* (życie poety Küchelbekera, przyjaciela Puszkina) i *Persona z Wosku* (śmierć Piotra W. i wstąpienie na tron Katarzyny I t. zw. „sołdackiej żonki") mają prawo do zajęcia poczesnego miejsca w literaturze światowej. Następnie wymienić można Aleksego Tołstoja, który debiutował w świetnej powieści z życia Piotra W. *(Piotr I.)* i Szapowalenkę, którego powieść *Paweł I* daje możność zrobienia ciekawego porównania z powieściami współczesnych pisarzy emigracyjnych z tegoż okresu (Ałdanow: *Spisek* i Łukasz: *Pożar Moskwy*). Powieści Ałtajewa *Wzburzona Ruś* i *Buntownicy* są już znacznie słabsze pod każdym względem, a Sztorma *Powieść o Iwanie Bołotnikowym* z okresu „smuty" Moskiewskiej, po *Złotej wolności* Kossak-Szczuckiej głębszego wrażenia nie wywiera.

Tak się przedstawia literatura sowiecka w stanie obecnym. Zaznaczając wyżej, że rozwijała się ona samorzutnie, nie mieliśmy zamiaru twierdzić, że puszczono ją zupełnie samopas, tego bowiem w zakładzie wychowawczym, jakim są Sowiety, być nie mogło. Chodziło więc tylko o to, że brak odpowiedniego aparatu uniemożliwił narazie wzięcie jej w odpowiednie kluby. Z każdym jednak rokiem, w miarę wzmacniania się aparatu partyjnego, zacieśniał się i pierścień kontroli dookoła wolnej twórczości literackiej. Na scenę wystąpiła marksistowska krytyka, gromiąc dzieła niepotrzebne, wadliwe z punktu widzenia partji i jej celów, zawierające w sobie odchylenia lub złą interpretację generalnej linji par-

tyjnej. Krytyka nie ograniczyła się do twierdzenia „jak pisać należy", ale wysunęła postulaty „o czem pisać". Następstwem tego były w ostatnich latach rezolucje licznych zjazdów literackich i powołanie do literatury „robotników od warsztatu".

Partji bowiem w chwili obecnej nie chodzi o mieszaną inteligentną, czy wpółinteligentną ludność państwa, nie chodzi więc i o literaturę dla tych sfer odpowiednią. Jej chodzi o niezliczone masy chłopskie, o wielkie zastępy robotnicze, jeszcze niedostatecznie ujęte w kluby partyjne, nie rozumiejące doniosłości uznanych i załamujące się w procesie ciężkiej gorączkowej pracy. Chodzi o stworzenie literatury dla nich dostępnej, któraby ich zagrzewała do pracy i wyjaśniała potrzebę tych, czy innych ofiar. Taka literatura, uwzględniająca i szczegółowo omawiająca wszystkie szczegóły życia tych mas chłopsko-robotniczych musi wyjść z ich łona i dlatego to powołanie do literatury „od warsztatu". Oni stworzą literaturę potrzebną, a dotychczasowi pisarze, elita umysłowa, byli dotąd tylko t. zw. „poputczykami", czyli „idącymi obok". Pisarzom powiedziano wprost: piszcie o tem, co jest na porządku dziennym. Chcesz pisać powieść, pisz o kolektywie rolnym; chcesz pisać poemat, oto masz traktor. W tym celu odbywa się reorganizacja związków literackich i „oko, które nigdy nie drzemie", będzie śledziło, żeby sztuka przekształciła się w rzemiosło. Albowiem rzeczy bezcelowych, sztuki dla sztuki, partja nie uznaje. Nie ma ona na to czasu.

Społeczeństwo obecne, uważające siebie za socjalistyczne, jest nawpół jeszcze burżuazyjnem i dosyć najmniejszego osłabienia ciążącej ręki wychowawczej, aby przeklęty indywidualizm i połączone z nim grzeszne intencje opanowały je nanowo. Jest zaś ono przeznaczone na wymarcie, na mierzwę, na której wyrosną piękne i obfite zasiewy komuny. Nowe zastępy ludzkości wyjdą z pól i fabryk i wszystko co się robi ma na celu ich wychowanie.

Literatura dotychczasowa, pomimo swojej prawomyślności, jest w znacznej części szkodliwą. Naprzykład powieść historyczna grzeszy zbytniem przywiązaniem do prawdy. W powieści Tynianowa *Persona z Wosku* ostatnie chwile

Piotra opisane są w sposób nie pozostawiający u czytelnika wątpliwości, że umiera człowiek niezwykły, a postać tegoż cesarza u Aleksego Tołstoja robi wrażenie raczej dodatnie. W tem niewątpliwie tkwi zaczątek kontr-rewolucji i krytyka marksistowska ostro piętnuje powieści. Historycznej prawdy nie trzeba, trzeba prawdy partyjnej, bo cel uświęca środki. A i w powieściach obyczajowych pełno herezji. Bohaterowie są w ciągłych wątpliwościach, upadają pod ciężarem nierozwiązalnych zagadnień. A poco to? Chłop i robotnik w państwie chłopsko-robotniczem nie mają i nie powinni mieć żadnych wątpliwości i zagadnień. Wola partji, to dogmat, praca i walka klasowa, to środki, a przyszłe szczęście nowej ludzkości w nowych warunkach życia, to cel.

Jak z wytworzonej sytuacji wybrnie literatura sowiecka — niewiadomo, ale z naszego punktu widzenia ostatnie zarządzenia partyjne są ciosem skierowanym wprost w jej serce. Albowiem twórczość, jak niektóre ptaki, może istnieć i rozwijać się tylko na wolności. Prawdopodobnie więc nietylko prawdziwi twórcy umilkną i zostaną sami grafomani, ale i cały poziom literatury znacznie obniży się na dłuższy przeciąg czasu.

Pierwsze oznaki tego zbliżającego się nowego okresu ukazywały się już w ciągu ostatnich kilku lat. Umilkli i przeszli do publicystyki niewątpliwie zdolni pisarze Szołochow i Babel, skończyli samobójstwem poeci Jesienin i Majakowski. Kurs polityczny w stosunku do literatury zmienia się tak szybko, że to, co chwalono przed rokiem, obecnie uważane jest za szkodliwe i niesłuszne i coraz więcej zdolnych pisarzy otrzymuje imię „poputczyków". Kiedy zaś zażądałem w księgarni autora proletarjackiego w całem znaczeniu tego słowa, dano mi dwie powieści Stawskiego *Stanica* i *Rozbieg*, bardzo miernie opisujące rządowe zakupy zboża, walki z kułakami i duchowieństwem i głęboki rozdźwięk między starem i nowem włościaństwem, kończący się zwycięstwem nowego. Utwory zupełnie tuzinkowe, a jednak widać utrafiające w sedno zainteresowań dnia dzisiejszego.

W tem oświetleniu są zupełnie zrozumiałe zjazdy literackie, produkujące i reklamujące miernotę często w rodzaju wypracowań szkolnych, bo właśnie ta szkolna litera-

tura jest potrzebna miljonom dużych dzieci. Inna przyjdzie w swoim czasie, po skończeniu nauk.

O ile to, co się dzieje obecnie w Rosji Sowieckiej na froncie literackim, ma być rozpatrywane pod kątem widzenia wielkich ogólnych zadań i celów komunizmu, jako sposobu przyszłego uszczęśliwienia ludzkości, wydaje się ono tylko szczegółem, może smutnym, ale drobnym. Ale dla ludzi odnoszących się tak do celu, jak i do środków naogół sceptycznie, szczegół ten rozrasta się do rozmiarów wielkiej katastrofy kulturalnej i wywołuje w nich uczucie prawdziwego żalu i głębokiego oburzenia.

Konstanty Symonolewicz.

U dna zagadnień ekonomicznych.

(Dokończenie).

Obok tych dwóch haseł rozbrzmiewa jeszcze trzecie: „kapitalizm się przeżył", a pojmowane jest to w sposób trojaki. Jednym się zdaje, że należy go ratować drogą zmiany charakteru kapitału, drugim, że należy go wyjąć z rąk jednostek i zmonopolizować w rękach zbiorowości (państwa), trzecim wreszcie, że należy go znieść. A we wszystkich tych poglądach ujawnia się zawsze ta sama dufność w siebie naszego intelektu, któremu się wydaje, że to on wszystko stworzył; a jeśli nie stworzył, to przynajmniej, że potrafi dowolnie zmienić to, co już stworzone zastał.

Tymczasem człowiek nic nie stworzył i nie stwarza, a tylko przetwarza to, co zastał. Dzięki intelektowi, którym go Bóg obdarzył, korzysta tylko ze stworzonej przyrody. I nawet idei swych człowiek nie stwarza, bo podobnie jak dzieła dotykalne z materjałów przyrody, tak idee swe z jej zjawisk, sił i praw wydobywa. Więc i haseł rewolucji francuskiej, których komunizm ma być jakoby dalszym rozwojem, człowiek nie stworzył. Hasła wolności i równości znalazł w instynktach swego gatunku, które w nim zaszczepiła natura, jako jedną ze swych sił, a hasło braterstwa dał mu Chrystus. Zresztą w imię tego braterstwa, które było tylko kokardą na sztandarze rewolucji, człowiek odrąbał dziesięć tysięcy głów na gilotynie; a hasło równości, pojęte komunistycznie, jest spekulacyjnem komentowaniem uczuć rzeczywistych. Człowiek bowiem bynajmniej nie tej równości pożąda, którąby wynikała ze strychulca i przymusowo czyniła go kopią drugiego, a równości rozumianej jako równe prawo

i równą dla wszystkich możność rozwijania swego instynktu autonomiczności.

I takie równe prawo teoretycznie istnieje. A dlatego tylko teoretycznie, że nie istnieje równa możność. Jeśli kiedyś istniała, wtedy naprzykład, gdy panował stan pierwotny naturalnego komunizmu, to zniweczył ją kapitał. On więc jest przyczyną, dla której ów komunistyczny stan bytowania nie mógł trwać, rozwinąć się i przejść w społeczny ustrój. Więc wołają ludzie, że trzeba kapitał znieść. Trzeba i można, bo co jak co, ale kapitał nie jest już chyba dziełem przyrody, a w całości wytworem i pomysłem ludzkim.

Otóż w tem rzecz, że nawet kapitału człowiek nie stworzył. On jest w naturze; a przynajmniej jest wyrazem jednego z jej praw. Oczywiście nie o tym wąsko pojętym kapitale tu mowa, który przyroda przedstawia dla dzisiejszego człowieka, jako teren eksploatacji jej dóbr materjalnych, ale o samej zasadzie kapitalizmu, która tkwi w prawach przyrody. I tu właśnie jest nowy przykład jak pomijaną bywa w zagadnieniach ekonomicznych ich strona przyrodnicza. W szeregu bowiem określeń, jakie ekonomiści dają kapitałowi i w poszukiwaniu źródeł jego powstania sięgano tylko do początków okresu historycznego, a wszak to tylko okruch egzystencji człowieka na ziemi. Zapomniano, że istnieje on pięćdziesiąt razy dawniej i, że w epokach, do których sięga historja i archeologja, kapitał już istniał jako czynnik ustroju społecznego. Więc dla określenia czem on jest w swej istocie, należy sięgnąć głębiej i szukać źródeł jego powstania, a że dokumentów tu brak, wypada więc uciec się do wyobraźni. To nie znaczy oczywiście: do marzycielstwa, malującego obrazy fantastyczne, ale do odtworzenia zaginionej przeszłości na podstawie obserwacji i logicznego myślenia. Bo tylko przy pomocy takiej wyobraźni można na podstawie paleontologicznych i geologicznych badań odtworzyć obraz człowieka pierwotnego i jego rozwoju i szukać, czy przypadkiem nie znajdziemy już tam pierwszych zjawisk kapitalizmu.

Potrzeby naszego protoplasty z przed trzystu pięćdziesięciu tysięcy lat, aczkolwiek jakościowo jednakie u wszystkich ludzkich jednostek (bo tylko nasycenie głodu i po-

pędu płciowego), to jednak ilościowo jednakowe być nie mogły. Niewątpliwie też niejednakowe bywały siły i uzdolnienia niezbędne do zadowolenia potrzeb, zwłaszcza, gdy w miarę rozwoju i zmiany warunków potrzeby rozszerzyły się na zdobycie skór dla ochrony od chłodu, na wytworzenie narzędzi kamiennych do polowania i obrony, a także do przepływania wód i budowania schronisk. Wystawmy sobie jakieś dwie ówczesne jednostki ludzkie, z których jedna zręczniejsza jest od drugiej do ciosania strzał kamiennych, sprytniejsza od tamtej do polowania, a mająca ponadto to ślepe szczęście, że naprzykład częściej od innych natrafia na małe i kształtne odłamki krzemienia, których ociosanie jest szybsze i łatwiejsze. Suma tych warunków stwarza dla owej jednostki środki znacznie przewyższające jej potrzeby, zwłaszcza jeśli się tak zdarzy, że jej organizm mniej od innych wymaga pożywienia, zaczem i potrzeby jej są małe. Natomiast natura uposażyła ją w znacznie słabsze mięśnie, niż tę drugą jednostkę, która jednak tamtych warunków na swoją potrzebę wyżywienia posiada za mało. Ciężkich pni nadźwigać i schronisko z nich postawić potrafi, i to jak jeszcze, bieda tylko z tym brakiem skór i głodowaniem. Ot może jakiś praszczur mazurskiego chłopa, a tamten może Vanderbildta, może Rotszylda? Następuje tedy między praszczurami propozycja wzajemnej wymiany usług i staje układ. Ale z tem pierwszem zjawiskiem podziału pracy i handlu wymiennego łączy się moment poprzedni. Chodzi bowiem nietylko o wymianę zdobytych i wytworzonych dóbr, ale o stosunek sumy dóbr wytworzonych do sumy potrzeb. Jeśli zdolności danej jednostki i sprzyjające przypadki pozwalają jej na wytworzenie sumy dóbr przewyższającej sumę potrzeb, to nadejdzie moment, od którego będzie ona mogła drogą wymiany nagromadzonych zapasów egzystować, nie produkując.

Zapasy te powstały dzięki różnicy, zachodzącej między potrzebami danej jednostki, a środkami do ich zaspokojenia, w jakie uposażyła ją natura i ślepy przypadek. Nie należy zaś zapominać, że i on jest czynnikiem naturalnym w układzie stosunków społeczno-gospodarczych. Jeśli wspomniany tu stosunek środków do potrzeb wyraża się bilan-

sowo zerem, to warunkiem egzystencji jednostki jest stała równomierna jej praca wytwórcza. Jeśli minusem, to jednostka jest skazana na zagładę. Jeśli plusem, to stosunek wytwarzający ów plus jest już kapitałem w znaczeniu potencjalnem. W pierwszych fazach rozwoju ów przewyżkowy stosunek wyrażał się zapasem skór, zdartych z upolowanych zwierząt, czy zapasem kamiennych strzał i toporków. Ale w fazie późniejszej, gdy człowiek zaczął uprawiać rolę, a wspomniany stosunek sprawił, że zdołał uprawić i zabezpieczyć obszar ziemi, rodzący więcej niż mógł spożyć, to kapitał ten, chociaż wyraził się on tu już nie w martwym zapasie zmaterjalizowanej pracy, ale w objekcie twórczym, jakim jest gleba, był też tylko przewyżką środków nad potrzebami. W ostatecznym więc rozbiorze kapitałem jest naturalna przewyżka środków, jakiemi nie każda jednostka rozporządza w stosunku do swych potrzeb. Jeśli tedy kapitał w różnych swych postaciach, zwłaszcza późniejszych, nie jest wytworem przyrody bezpośrednim, to w każdym razie sama zasada kapitalizmu jest wyrazem jej praw, z któremi, jak to już powiedziano, walka byłaby beznadziejna.

W zasadach kapitalizmu i w gatunkowym instynkcie autonomiczności nie wyrażają się jeszcze te wszystkie siły przyrody, które należy mieć na uwadze w zagadnieniach społeczno-ekonomicznych. Toteż wspominaliśmy i o instynkcie stadowym, kładąc jednak na niego mniejszy nacisk z tej racji, że jest on dla gatunku ludzkiego mniej od tamtego charakterystyczny, jako spotykany i u niektórych innych gatunków żyjących. Że go człowiek posiada, to niewątpliwe, bo inaczej nie tworzyłby gromad i społeczeństw od najdawniejszych czasów. Ale gdy instynkt autonomiczności pozostaje u nas w stanie niemal stałego napięcia, to stadowy istnieje raczej w stanie potencjalnym i tylko sporadycznie przechodzi w stan dynamiczny. I właśnie dzięki temu oba te instynkty, choć wręcz sprzecznej natury, mogą w nas istnieć jednocześnie. Jest to zresztą jednem z praw życia, a bodaj że i wszystkich zjawisk w przyrodzie, że wszelkie funkcje rządzone są z dwóch biegunów i pozostają pod władzą dwóch prądów przeciwnych. Skurczami serca rządzą

głównie dwa ośrodki nerwowe, z których jeden jego bicie popędza, a drugi hamuje. Tętno jest równe, spokojne, prawidłowe, gdy między obu centrami panuje równowaga napięcia. Na tych samych zasadach działają i inne organy, a nad harmonijnem działaniem wszystkich razem panują ośrodki wyższe, których rządy są również na biegunowej zasadzie oparte. Analogiczne zasady rządzą też życiem organizmów zbiorowych i życiem całej przyrody, w której panuje harmonja dzięki temu, że wszystko ze sobą się wiąże i jest wzajemnie od siebie zależne. Niezależny w przyrodzie jest tylko jeden intelekt ludzki. I w tem leży zarówno potęga, jak i tragedja człowieka.

Gdyby jego intelekt niezależnym nie był, to rodzaj ludzki byłby jednym ze zwierzęcych, pędzonym wyłącznie siłami przyrody; że jednak ma tę niezależność, więc nie zawsze szczęśliwie wtrąca swoje trzy grosze w naturalny rozwój życia społeczeństw. Gdyby chodziło o grosze, to dla społeczeństwa polskiego byłoby jeszcze pół biedy. Gorzej jest, że wtrąca nie grosze, a kopiejki i to w dodatku pożyczone od żyda na wysoki procent. A wszak w sakiewce myśli polskiej są grosze, któreśmy już potrafili wydobyć w epoce rewolucji francuskiej w postaci hasła głębszego i treściwszego, niż ona: „Wolność jednych niema być niewolą drugich". Wielka i głęboka mądrość tej myśli, wypowiedzianej w Konstytucji 3 Maja, polega na tem, że hasło to idzie po linji prawa przyrody, i to tego właśnie, które wśród innych zajmuje miejsce naczelne i jest ich syntezą: prawo równowagi i harmonji, które rządzi życiem. Ono godzi instynkt autonomiczności z instynktem społecznym (stadowym) i zasady kapitalizmu z równością tak pojętą, jak to już powiedziano wyżej.

Idąc za tem hasłem, należy szukać wyjścia z katastrofy nie w obalaniu istniejącego ustroju, który z praw przyrody wyrósł i obalony znów wyrósłby tak samo, ale w znalezieniu i usunięciu przyczyn, które w tym ustroju powodują brak równowagi, lub raczej ją naruszyły. Jeśli bowiem sam ustrój wyrósł z praw przyrody, to i równowaga, będąca jej prawem głównem, panować w nim kiedyś musiała, a naruszenie jej wywołać mógł tylko jakiś czynnik prawom tym obcy, który

zaszczepiony w organizmie naturalnym spowodował jego chorzenie. Obcy, to znaczy taki, który nie drogą naturalnego rozwoju powstał, ale przez intelekt został wprowadzony sztucznie.

W tem miejscu wypada skorygować co było powiedziane, że człowiek nic nie stworzył, i przeprosić za to niedocenienie jego roli. Jest bowiem w ustroju społeczno-ekonomicznym czynnik, będący w całości wyłącznie dziełem naszego intelektu. Ale właśnie dlatego, że nie leży on wcale w naturze i nie z niej został wydobyty, więc w organizmie społecznym działa jak szkodliwy pokarm, który z biegiem czasu sprowadza hipertrofję wątroby. Kapitalizm, jakeśmy się przekonali, nie jest tym czynnikiem sztucznym, ale jest nim finansizm, o ile taki neologizm jest dopuszczalny dla określenia nim jednocześnie kredytu i jego funkcji.

Handel, jako bezpośrednia wymiana zdobytych i wytworzonych dóbr, ma, jakeśmy to widzieli, źródło swe w naturze. Wprowadzenie pieniądza było już tylko ułatwieniem tej wymiany przez znalezienie dla niej wspólnego mianownika. Wprowadzając go działał intelekt ludzki po linji naturalnego rozwoju stosunków. Dalszym jego krokiem jest handel samoistny, oddzielony od wytwórczości, a więc pośrednictwo w wymianie. Ale do pewnych granic jest on, podobnie jak pieniądz, jej ułatwieniem. Natomiast oprocentowany kredyt jest już konstrukcją intelektu wyłącznie spekulacyjną, a moment spekulacji bynajmniej w naturze nie istnieje. Jeśli człowiek odkuwa podkowę z żelaza, to wartość jego podnosi o włożoną w to myśl i pracę. Jasnem więc jest i naturalnem, że nie pożycza żelaza tego drugiemu za darmo, aby nie pozbawić się materjału, w którym może wartość swej pracy sprzedać, a także by nie stworzyć sobie konkurenta. Jeśli natomiast posiada pieniądze, za które sam żelaza nie nabywa i wogóle nic nie produkuje, to pożyczenie ich drugiemu za darmo, nie naraża go ani na stratę (byle zwrot sobie zabezpieczył), ani na konkurencję. A szukanie w tem zysku drogą oprocentowania jest wytworem intelektu zgoła nie związanym z prawami przyrody. Zysk bowiem po linji tych praw zdobywany powstawać może tylko drogą bezpośredniego połączenia materjału z pracą.

Kredyt oprocentowany jest więc pogwałceniem praw przyrody przez ludzkość, na której ono prędzej czy później zemścić się musiało, i to tem gwałtowniej, im bardziej wzrastała spekulacyjność kredytu, tworząc finansizm. Wiąże się z tem również zagadnienie podaży i popytu, mające wprawdzie podstawy naturalne, ale stanowiące pożywkę, na której spekulacja finansowa żeruje. Nie kapitalizm więc, ale te dwie dziedziny winny być rewizji ekonomistów poddane.

Programy w tym kierunku wybiegałyby już poza ramy podjętej tu analizy i należą do specjalistów. Niespecjalistom i ludziom ze ścisłą ekonomją nieobeznanym mogłaby jedynie przyjść na myśl taka oto refleksja. Człowiek, który za własne pieniądze zakłada przedsiębiorstwo wytwórcze, wystawia tem samem swój kapitał na mniejsze lub większe ryzyko. Ale to ryzyko wypływa z naturalnego instynktu autonomiczności i popędu do tworzenia. Natomiast człowiek, który swe pieniądze cudzemu przedsiębiorstwu pożycza, a tem bardziej taki, który mu pożycza pieniądze cudze (bankierstwo) i udzieloną pożyczkę wraz z jej oprocentowaniem całkowicie na przedsiębiorstwie zabezpiecza, nic zgoła nie ryzykuje. Na tem, że nic nie robi i nic nie ryzykuje, zarabia pewniej, i przeważnie więcej, niż ten, co ponosi ryzyko i coś robi.

Prawda, że już w samej przyrodzie leży owa nierówność możności ludzkich do wytworzenia kapitału. Powstającym stąd różnicom społecznym można jednak przeciwdziałać; i nie będzie to próbą beznadziejnej walki z przyrodą, ale tylko wtedy, jeśli zamiast szukać sztucznego stychulca w komunizmie i zbliżonych do niego pomysłach, intelekt nasz zwróci swój wysiłek w kierunku rozwoju instynktu społecznego. Z tego źródła naturalnego może intelekt wydobyć pożądane walory i przywrócić zachwianą równowagę. Ale drogi wiodące do tego celu odnajdzie ludzkość chyba tylko po drogowskazach myśli katolickiej, i daremne byłoby szukanie poza nią sposobu wyrównania różnic, jakie natura stwarza między ludźmi.

Rozpiętość tych różnic została stopniowo coraz bardziej wyciągnięta ponad miarę naturalną czynnikiem sztucznym, jakim jest finansizm. Gdyby go nie było, nie powstałby

nadmiar przedsiębiorstw hipertrofijnych; natomiast byłoby znacznie więcej mniejszych, znacznie więcej ludzi pracujących „na swojem" i znacznie więcej zatrudnionych rąk; a niewątpliwie i stosunek podaży do popytu układałby się naturalniej. Jeśli organizm społeczny rozwinął się w tym kierunku chorobliwie, to tylko dlatego, że w postaci finansizmu tkwi w nim i jątrzy jego tkanki ciało sztuczne i obce, powodujące hipertrofję poszczególnych organów.

Takim właśnie organem jest dzisiejszy wielki przemysł, który skutkiem przerostu zwyrodniał. Ta bowiem funkcja, która była jego założeniem i racją, t. j. wytwórczość, stała się uboczną, gdy natomiast wtórna, t. j. handel, stała się główną, i w dalszym rozwoju chorobliwego procesu przerodziła się w bankierstwo i spekulację. Jakieś więc wielkie lub skartelizowane zakłady przemysłowe stwarzają swój dom handlowy, swój bank, i z biegiem czasu wytwórczość własnych fabryk przestaje tym dwom instytucjom wystarczać. Rozszerzają więc pole swych operacyj i zatrudniając w stosunku do swych obrotów personel minimalny w porównaniu z rzeszą zatrudnioną w zakładach wytwórczych macierzystych, a oparte w porównaniu z niemi na inwestycjach równych niemal zeru, decydują o bycie swej macierzy i zatrudnionych w niej rzesz. Jedna nieudana spekulacja, jedno niefortunne pociągnięcie bankierskie, i następuje katastrofa, rujnująca setki istnień.

Hipertrofja przedsiębiorstw, koncentrująca daną gałąź wytwórczości w jednych rękach i w jednem miejscu doprowadziła do takich absurdów gospodarczych, że gdy na jednym punkcie globu tysiące ludzi ginie z głodu, to na drugim (Kanada, Brazylja) rzuca się całe pociągi zboża i kawy na pastwę płomieni lub w morze dla zrównoważenia rzekomej nadprodukcji. Oczywiście tylko rzekomej, bo rzeczywistej nadprodukcji niema w żadnej gałęzi wytwórczości, i zapas gotowego obuwia jest znacznie mniejszy, niż liczba bosych nóg, a zapas gotowego sukna — niż liczba nieokrytych pleców. Że przyczyną hipertrofji poszczególnych przedsiębiorstw wytwórczych, degenerujących w spekulacyjne, jest finansizm, to widać z tego, że hipertrofja ta jest największa w tych krajach, gdzie operacje finansowo-kredy-

towe rozwinęły się najszerzej, poprzedzając rozwój przemysłowy (Stany Ziednoczone A. P. i W. Brytanja). Ważnym i doniosłym czynnikiem w naturalnym rozwoju każdego organizmu jest czas. Rozwój sztucznie przyspieszony kończy się zawsze zjawiskami chorobowemi; a kredyt jest właśnie tym środkiem, który naturalny rozwój wytwórczości przyśpiesza sztucznie i sprowadza wkońcu zwyrodnienie przemysłu w handel spekulacyjny. Typowym przykładem przerostu tkanki handlowej nad tkankę wytwórczą w organizmie przemysłowym był koncern kreugerowski, gdzie przedsiębiorstwo w założeniu swem wytwórcze zwyrodniało w bankiersko-spekulacyjne. Odpowiada to chorobliwym procesom zachodzącym w organizmie ludzkim, gdy mięśniowa tkanka serca skutkiem hipertrofji przekształca się w tłuszczową i następuje jego zwyrodnienie, lub gdy przerost tkanki skórnej w jakim organie nad jego tkankę swoistą staje się rakiem.

Aby się przekonać, czy jaka bądź zasada, którą w życiu stosujemy, jest racjonalna lub błędna, to znaczy zgodna z układem naturalnym lub sztuczna, należy przyjrzeć się jej przez szkło powiększające. Aby to zrobić z zasadą oprocentowanego kredytu, t. j. finansową, wystawmy sobie, że w dniu koronacji Bolesława Chrobrego złożono na procent w stosunku 6 od sta rocznie jeden złoty obecnej wartości. Przy takiem oprocentowaniu kapitał podwaja się w ciągu lat 14-tu, i powstała tą drogą kwota wyniosłaby po dziś dzień 665.901.354.473.290.995.712 złotych, czyli okrągło 666 kwintyljonów. Równolegle z tem obliczeniem przeprowadźmy drugie, przyjmując, że ludność Polski za Bolesława Chrobrego wynosiła dwa miljony głów. Że zaś wynosi ona dziś 30 miljonów, zatem przez całe 1000 lat stałe zaludnienie Polski w każdym momencie wyrażałoby się średnią cyfrą 16-tu miljonów. Ponieważ pokolenia odnawiają się co 25 lat, mielibyśmy więc dotąd 40 pokoleń po 16.000.000 głów. To znaczy, że od Bolesława Chrobrego do chwili obecnej żyło 640.000.000 Polaków. Wystawmy sobie, że każdy ż tych ludzi posiadał własny warsztat wytwórczy rolny lub przemysłowy, na którym dorobił się w ciągu swego życia aż miljona złotych przy takiejże wartości warsztatu. Powstałby tą drogą ogólny majątek narodowy, wynoszący 640 tryljonów

złotych, a naród składałby się z samych miljonerów. Ten absolutnie fantastyczny stan bogactwa, powstały z wytwórczości, byłby jednak, jak widzimy, jeszcze miljon razy mniejszy od tego, jakiby w tym samym okresie czasu powstał z jednej złotówki w oprocentowanym kredycie.

Zbytecznem byłoby dowodzić, że podstawowem źródłem wszelkich zysków, a więc i tych, jakie ciągnie finansista z udzielonego kredytu, jest jedynie tylko wytwórczość, pod którą to nazwą rozumiemy budowę powstałą z trzech czynników naturalnych: myśli, pracy i kapitału. Z budowy tej ciągnie wytwórca zysk bezpośredni, a finansista — pośredni. Wzajemny stosunek wysokości tych dwóch zysków jest absurdalny, ale absurd wtedy dopiero wyłania się jaskrawo, gdy go się widzi przez użyte tu szkło powiększające. Pomimo bowiem, że w wytwórczość zaangażowano 16 tryljonów złotych, a w oprocentowaną pożyczkę tylko jedną złotówkę, to według ustalonych zasad ekonomicznych pożyczka ta powinna była przynieść finansiście miljon razy większy zysk, niż go wogóle w sumie być mogło! Ten absurd leży więc w samej zasadzie oprocentowanego kredytu, w samej zasadzie finansowej — sztucznej, przeciwnej układowi naturalnemu i prostej logice. Jasnem jest bowiem, że bankructwo wytwórczości (a na niej polega cała egzystencja społeczna) jest nieuniknione, jeśli kredyt wyciąga z niej zyski większe niż ona przynosi. Wprawdzie zjawisko to nie sprawdza się przy ograniczeniu czasu i pola obserwacji, ale przychodzi moment, w którym wybucha nagle, ponieważ z wzrostem czasu i pola rozwija się ono w stosunku geometrycznym.

Toteż w rzeczywistości nastąpiło to, do czego nieodzownie doprowadzić musiała droga, której absurdalny kierunek ujrzeliśmy w soczewkowem wyolbrzymieniu: zyski świata finansowego, udzielającego kredytu światowi wytwórczemu, rosły w stosunku geometrycznym, gdy zyski świata wytwórczego — tylko w arytmetycznym, i finansista połknął wkońcu wytwórcę. Bo nietylko powrócił do jego rąk pożyczony pieniądz, ale koncentrowały się w nich stopniowo wszelkie kapitały i majątki wytwórcze od chwili, gdy zysk z wytwórczości przestał wystarczać na pokrycie nierównie szybciej

rosnących zysków finansowych, Ten przelew kapitału powstałego z wytwórczości drogą naturalną do rąk finansowych wyrosłych drogą sztuczną, odbywał się początkowo powolnie, potem coraz szybciej, aż wojna światowa i jej następstwa stały się momentem, wyzwalającym absurd finansizmu. Stan obecny w państwach, które komuniści określają mianem burżuazyjnych, czy kapitalistycznych, tak się przedstawia, że wszyscy rolnicy, rzemieślnicy i przemysłowcy (z wyjątkiem nielicznej garstki niedobitków) są już tylko tytularnymi posiadaczami swych warsztatów wytwórczych. Właścicielem ich rzeczywistym, i niemal jedynym właścicielem pieniędzy, jest świat finansowy, a zwłaszcza jego górne piętra. Tworzą one organizację (mniejsza o to czy programowo, czy samorzutnie) względnie nielicznych jednostek, która jako jedyny istotny właściciel wszelkich dóbr, siłą rzeczy rządzi wszechświatową gospodarką. W ujęciu stosunków do dna, panuje więc dziś w całym świecie państw „burżuazyjnych" ten sam *regime,* co w sowieckiej Rosji: tu i tam zarówno władza gospodarcza, jak i wszelka własność wytwórcza, pozostaje w rękach małej grupki rządzącej, a czy jej na imię Lenin, Stalin, Rotszyld, Vanderbildt lub Mendelsohn, to jest już obojętne. Niema zatem potrzeby wzdychać do ustroju komunistycznego, skoro go już posiadamy, nie wyłączając instytucji „liszenców", do której należy cały wielki ogół poza jakąś uprzywilejowaną grupką niezbędną władcom istotnym jako wykonawcy.

Jakiegoś odrodzenia, jakiejś „nowej idei", słowem wydobycia się z katastrofy i naprawy stosunków społeczno-gospodarczych należy szukać nie w walce z kapitalizmem, która byłaby beznadziejnem przeciwstawianiem się prawom przyrody, ale w walce z finansizmem, którego rozwój naruszył równowagę społeczną. A opracowanie i wprowadzenie odpowiednich reform w tym zakresie nie jest chyba niemożliwością.

Tworzenie na swojem, dla siebie, po swojemu i związany z tem kapitalizm jest, jak już stwierdziliśmy, bezpośrednim wyrazem ludzkich instynktów. Więc też ta dziedzina najmniej znosi ograniczeń sztucznych. Podział pracy i handel bezpośredni, początkowo wymienny, a potem oparty na

pieniądzu, są zjawiskami wtórnemi wydobytemi z instynktów przez intelekt. Ale jako pierwsze w kolejności zjawisk społeczno-ekonomicznych są one jeszcze tak blisko związane z bezpośredniemi przejawami instynktów, że i na tem polu jakieś programowe ograniczenia nie mogą sięgać za daleko. Pojawienie się handlu pośredniczego jest już zjawiskiem trzeciorzędowem, dalej od instynktów stojącem, więc i bardziej nadającem się do odpowiednich ograniczeń w niektórych gałęziach. Wreszcie najodleglejszem w tym szeregu zjawisk ekonomicznych i ogniwem zgoła sztucznie przyczepionym do ich łańcucha, jest pojawienie się kredytu, bankierstwa i spekulacji, słowem finansizm. Nie wyrósł on z natury ludzkiej, a tylko szkodliwie w nią wrósł, i nie jest tak, jak niekrępowana wytwórczość, potrzebą, a nałogiem. Opanowanie go nie byłoby więc pogwałceniem instynktów gatunkowych, a tylko ujarzmieniem szkodliwych dla zbiorowości popędów jednostek, czy grup. Popędy zaś niosące szkodę zbiorowości są zboczeniem naturalnego rozwoju i natura je zwalcza, skazując na zagładę to, co zboczone. To leży w jej logice. W tym więc kierunku programowy udział intelektu nie napotka w prawach przyrody owej tamy, o którą rozbiłby się niechybnie, walcząc z instynktami swoistemi własnego gatunku.

Jan Wortman.

W pierwszej części niniejszego artykułu (*Przegl. Powsz.* styczeń 1933) wkradły się błędy drukarskie:

Str. 14, w 8 wierszu od dołu, winno być: „...wyszkolonej jednostki *wystarczy,* by zabezpieczyć..."

Str. 31, w 1 wierszu od góry, winno być: „...swych zdobyczy. *A każda jednostka, szukając nowych zdobyczy,* ulepszeń, poprawy..."

Turcja wobec elekcji Walezego.

(Dokończenie).

IV.

Mimo to wszakże zimą 1572/3 była chwila, kiedy wydawało się, że Turcja pójdzie swej francuskiej sojuszniczce na rękę i przedsięweźmie pewne kroki celem poparcia zabiegów o wybór Henryka na króla polskiego.

Porta od dłuższego już czasu obawiała się zbliżenia między Paryżem a Madrytem, załagodzenia punktów tarcia między dwiema sąsiedniemi monarchjami i w konsekwencji przystąpienia Francji do ligi antytureckiej. Zwłaszcza, gdy do Stambułu doszła wieść o wypadkach nocy św. Bartłomieja, sądzono, że Francja zmienia od podstaw swą politykę zagraniczną.[1]) Mimo że kredyt francuski został w Konstantynopolu mocno podkopany i liczono się z Francją bez porównania mniej niż poprzednio, Turcja nie chciała i nie mogła dopuścić do utraty sojusznika. Jednym z środków przeciwdziałania odwróceniu przymierzy było stworzenie czy też uwydatnienie punktów spornych między cesarzem a Francją, co oczywiście nie mogło pozostać bez wpływu na stosunki hiszpańsko-francuskie.

Jednym z takich właśnie punktów spornych była rywalizacja obu dworów o koronę polską. Tę właśnie okoliczność pragnął wyzyskać Mohammed Sokolli i wbrew stanowisku zajętemu przez Portę na jesieni, że tylko wybór Piasta będzie sułtanowi miły, poparł, w sposób coprawda

[1]) Noailles do Henryka, Charrière, str. 366—367 przyp.

bardzo ostrożny kandydata francuskiego. 7-go stycznia wysłano ze Stambułu list do panów polskich z zaleceniem wyboru Henryka, gdyby elekcja Piasta okazała się niemożliwą.[1]) Wkrótce potem Iwonia, nowy hospodar wołoski, będący wtedy jeszcze w wielkich łaskach w Stambule, otrzymał polecenie delikatnego wmieszania się w sprawy polskie. Hospodar wysłał do Polski bojarzyna dla wybadania sytuacji oraz list do senatorów, w którym zawiadamiał ich, że sułtan życzy sobie, aby Polacy królem swym wybrali „jeśliby mogło być z panów przyrodzonych, tedy dobrze, a jeśli z postronnych, tedy nie innego kromia brata francuskiego króla.[2])

W Stambule słusznie sądzono, że tego rodzaju interwencja turecka na rzecz kandydata francuskiego nie może pozostać bez wpływu na stosunki między Wiedniem a Paryżem.

Ale sytuacja już wkrótce znowuż się zmieniła. Przez trzy miesiące w największej tajemnicy rokowali między sobą wielki wezyr Mohammed Sokolli i bailo wenecki Marcantonio Barbaro, aż wreszcie 7 marca 1573 r. pokój stanął między republiką św. Marka a Wysoką Portą Ottomańską. Ale jaki pokój! Wenecja wyrzekała się zdobyczy swoich na wybrzeżu albańskiem i Cypru, obowiązywała się zapłacić w przeciągu trzech lat 300 tys. dukatów kosztów wojennych sułtanowi, a 50 tys. Sokollemu. Współcześni o pokoju tym mawiali, że „wydało się, iż to Turcy wygrali bitwę pod Lepanto".[3])

W tym stanie rzeczy, na tydzień przed podpisaniem traktatu z Wenecją, stanął nad Bosforem ambasador francuski z misją zjednania poparcia Porty dla kandydatury Andegaweńczyka do tronu polskiego.

---

[1]) List ten znam jedynie z wzmianki w listach Noailles'a do Karola IX, 28 marca, Charrière, str. 369—375 i do Katarzyny, 21 kwietnia, *ibidem*, str. 375—382.

[2]) Iwonia do panów polskich, 10 lutego, Jassy. *Skarbiec Historji Polskiej* przez Karola Sienkiewicza. Paryż, 1840, t. II, str. 302—303. Hurmuzaki, t. I suplementul II, Nr. 142, str. 274—275.

[3]) Charrière, str. 361, przyp. 1. O ogólnem znaczeniu odrębnego pokoju między Turcją a Wenecją, por. Pastor, t. IX, str. 242—246.

V.

Karol IX zapalił się niesłychanie do myśli pozbycia się z Francji znienawidzonego brata przez pozyskanie dla niego korony dalekiej Polski. Za jeden z najważniejszych środków w akcji na rzecz wyboru Henryka uważał król zjednanie Porty dla tej sprawy. Toteż już w połowie września zawiadomił swego posła stambulskiego, że „biskupi i panowie" polscy, którzy wkrótce mają się zebrać na elekcję, są jaknajlepiej usposobieni dla myśli wyboru księcia Anjou. Nie tając zupełnie, jak bardzo mu osobiście zależało na wyborze Henryka, prosił biskupa, aby rozwinął wszystkie swe talenta i środki celem pozyskania wielkiego wezyra dla kandydatury królewicza francuskiego. Działalność Noailles'a w Konstantynopolu powinna doprowadzić do tego, aby sułtan położył na szalę „cały autorytet, kredyt i środki, któremi może się posługiwać wobec magnatów tego kraju". Król życzy sobie, aby do Polski udał się poseł turecki, człowiek znaczny, do którego Polacy mogliby mieć całkowite zaufanie, i aby rozwinął agitację na rzecz Henryka. Wzamian za to Porta może być pewna przyjaźni, z jaką w stosunku do niej odnosić się będzie Henryk, jako król polski. [1])

Ale Francja, jak sądził Karol IX, znajdowała się w tem położeniu, że jej przedstawiciel mógł nietylko prosić, ale także grozić. Rolę straszaka wobec Porty miały odgrywać kierowane pod adresem Francji propozycje przyłączenia się jej do ligi antytureckiej. Nowy papież Grzegorz XIII z zapałem podjął dzieło wielkiego poprzednika i wytężał wszystkie swe siły, aby nie dopuścić do rozbicia ligi. Mianowany 1 lipca 1572 r. nuncjuszem w Paryżu Antonio Maria Salviatti miał pracować nad załagodzeniem naprężonych stosunków między Hiszpanją a Francją i skłonić tę ostatnią do przystąpienia do ligi. Wkrótce potem udał się w tej samej misji na dwór francuski kardynał Orsini. Projekt zbliżenia hiszpańskich Habsburgów z Walezjuszami przez nowy związek małżeński miał ułatwić pracę dyplomacji papieskiej.

[1]) Karol IX do Noailles'a, 17 września, Paryż. Charrière, str. 303—309.

Usiłowania te spełzły wszakże na niczem; stosunek Francji do Turcji z jednej, a do Hiszpanji z drugiej strony nie mógł ulec tak radykalnej zmianie. [1])

Ale Karol IX zapragnął wykorzystać zabiegi Salviattego i Orsiniego dla podniesienia w Turcji kredytu francuskiego i tem łatwiejszego zjednania sobie pomocy Porty w swej polityce polskiej. Noailles otrzymał polecenie przedstawienia w Stambule, jak to gorąco nakłaniano króla francuskiego, aby związał się z wrogami sułtana. Ale ponieważ „w potrzebie poznaje się przyjaciela", król nietylko, że odrzucił propozycje, z jakiemi się do niego zwracano, ale postanowił popierać sułtana w czem tylko będzie mógł. Gdy biskup przedstawi w ten sposób zasługi, jakie król położył wobec Porty, niech zażąda pomocy sułtana w sprawie, którą król teraz „mocno ma na sercu". Nie wystarczy już obecnie, jak tego żądano początkowo, wysłanie posła tureckiego do Polski z zaleceniem wyboru Henryka. Teraz Noailles miał się domagać, aby sułtan oświadczył, iż jeśliby Polacy wybrali swym królem nie Henryka, lecz kogoś innego, to król taki będzie zawsze przez Portę uważany za wroga. Karol IX spodziewał się, że takie wystąpienie sułtana uniemożliwi zupełnie kandydaturę austrjacką, a zapewni łatwy wybór Henryka. W takim razie Polska poprowadziłaby wobec ligi i wobec Turcji tę samą politykę, co i Francja. [2])

Tymczasem wkrótce nowe decyzje zapadły na dworze francuskim. Do Paryża przybył sekretarz Montluca z wiadomościami o jego agitacji za Henrykiem w Polsce i zarazem z radami, jakby należało wykorzystać dobre stosunki z Portą dla pozyskania szlachty dla kandydatury Andegaweńczyka. Montluc donosił więc Karolowi IX, że wszelki ostry nacisk ze strony Turcji i wszelkie wystąpienia gwałtowniejsze mogłyby tylko wywrzeć skutek wręcz przeciwny zamierzonemu, a mianowicie zniechęcić szlachtę polską do kandydatury francuskiej. Należy zatem postarać się, żeby poselstwo tureckie, które pod pozorem złożenia kondolencji ma przybyć do Polski, zakomunikowało senatorom, iż sułtan

[1]) Pastor, t. IX, str, 239—240.

[2]) Karol IX do Noailles'a, 30 listopada. Charrière, str. 339—348.

pragnie, aby królem polskim był wybrany książę, który byłby dobrym sąsiadem Turcji, a pod tym względem niepodobna znaleźć odpowiedniejszego kandydata od królewicza francuskiego z racji „dobrej, doskonałej i szczerej przyjaźni", która łączy dom francuski z Wysoką Portą. Posłowie tureccy powinni wszakże działać bardzo powściągliwie, ostrożnie i dyplomatycznie, a nadewszystko powinni się wstrzymać od wszelkich kroków, mogących wywołać wrażenie, iż sułtan chce Polaków zmusić do wyboru Henryka.

Montluc niestrudzenie agitując w Polsce i sypiąc na prawo i na lewo obietnicami, których Francja nie mogłaby, ani nie chciałaby wykonać, przypomniał sobie w pewnej chwili o rozmowach, jakie to przed trzema zgórą laty prowadził wielki wezyr Mohammed Sokolli z posłem francuskim Grantrie de Grandchamp. Jeżeli — kombinował sobie sprytny dyplomata-agitator — Porta obiecywała w 1569 r. odstąpić Mołdawję i Wołoszczyznę księciu siedmiogrodzkiemu, byleby mu tylko umożliwić otrzymanie ręki królewny francuskiej, to czemużby sułtan nie miał obiecać teraz zwierzchności lennej nad księstwami naddunajskiemi królewiczowi francuskiemu, byleby mu umożliwić otrzymanie korony polskiej? Nie chodzi przecież o realne ustępstwo, a tylko o obietnicę. Myśli te wydały się Montlucowi tak trafne, iż, zgodnie zresztą ze swemi instrukcjami, zaczął opowiadać Polakom, że sułtan zgodził się, aby prawo mianowania hospodarów wołoskich należało nie do niego, jak obecnie, lecz do Henryka w razie wyboru jego na króla polskiego.

Montluc widział wszakże, że niektóre przynajmniej obietnice, jakiemi tak szczodrze obdzielał Polaków, należałoby poprzeć jakiemiś konkretnemi dowodami. Poradził więc Karolowi IX wszczęcie w Stambule odpowiednich kroków w sprawie zwierzchności lennej księstw naddunajskich. Oczywiście ani król ani jego poseł nie łudził się nadzieją, aby Porta wyrzekła się dla pięknych widoków Henryka praw swoich w ziemiach wołoskich. Pragnęli tylko, aby sułtan dopomógł im wziąć Polaków na kawał. Noailles otrzymał więc polecenie odpowiedniego przedstawienia całej sprawy w Stambule; w szczególności należało wytłumaczyć Porcie,

iż Henrykowi chodzi nie o rzecz samą, a tylko o jej pozory. Henryk bowiem nigdy nie osadziłby nad Dunajem żadnego hospodara, jeśliby nie był przekonany o jego zupełnej wierności wobec Turcji. Hospodarowie ci płaciliby sułtanowi taki sam haracz, jak obecnie, dochody jego nie byłyby więc w żadnej mierze uszczuplone.[1])

VI.

Biskup de Noailles był właśnie w Raguzie i gotował się już do odpłynięcia do Wenecji, gdy sekretarz królewski Massiot przywiózł mu z Paryża rozkaz powrotu do Stambułu. Biskup zawrócił więc natychmiast na Wschód, a wkrótce potem już 20 stycznia dogonił go dworzanin królewski de Germigny i wręczył mu instrukcje z 30 listopada w sprawie zabiegów o poparcie Porty dla kandydatury Henryka. Ambasador postanowił odrazu oblać zimną wodą dworskie koła paryskie zbyt pewne wpływu swego w Turcji.

Natychmiast więc po otrzymaniu instrukcyj królewskich 20 stycznia napisał do księcia Anjou, iż jest bardzo słaba nadzieja zjednania Porty dla jego kandydatury. Noailles znał Turcję lepiej i trafniej oceniał jej politykę niż Karol IX w Paryżu, a Montluc w Polsce, ale obok tego niewątpliwie pragnął wyolbrzymić trudności, aby zgóry już usprawiedliwić ewentualne niepowodzenie, lub przesadnie uwydatnić własne zasługi.

Pospieszył więc ksiądz biskup poprzez bałkany „pośród zimy najsurowszej, jaką kiedykolwiek widziano w tym kraju", aż w jednem z miasteczek na granicy Bułgarji i Macedonji goniec wręczył mu drugą serję instrukcyj królewskich z 17 grudnia. Depeszę tę Noailles odesłał natychmiast agentowi francuskiemu w Stambule de Presault z poleceniem, aby bezzwłocznie postarał się o wysłanie czausza tureckiego do Polski i listów sułtańskich do senatu.

Wezyr tłumaczył Presault'owi, że nie leży to w zwyczaju, aby sułtan korespondował ze stanami lub wysyłał posłów do obcego państwa podczas bezkrólewia. Na dal-

---

[1]) Instrukcja Noailles'a z 17 grudnia, Noailles, t. III, *Documents et pièces justificatives*, str. 323—325.

sze wszakże nalegania Presault'a wezyr obiecał, że we własnem imieniu wystosuje list do senatu.

28-go lutego 1573 r. w końcowem stadjum rokowań turecko-weneckich ambasador francuski „bardzo zmęczony, ale zdrów" stanął nad Bosforem i natychmiast przystąpił do działania. Między 2-gim a 12-tym marca czterokrotnie był przyjęty na audjencji: a mianowicie raz u sułtana, raz wobec całego wielkiego dywanu na uroczystym bankiecie i dwa razy u Sokollego. Za każdym razem biskupowi towarzyszyli dworzanin królewski de Germigny, zastępca posła de Presault oraz sekretarze Marillac i Massiot.

Żywego poparcia udzielał ambasadorowi potomek znakomitej żydowskiej rodziny „uczonych w piśmie" Salomon Askenazy, lekarz nadworny niegdyś królowej Bony i Zygmunta Augusta, a od 1561 r. sułtana. Askenazy, o którym w kilka lat później de Germigny raportować będzie do Paryża, iż jest on „ulubieńcem wszystkich baszów", oddał swe stosunki na usługi biskupa.[1]) Ale, jak zobaczymy, nawet pomoc tak wpływowego człowieka okazała się bezskuteczną.

Nadaremnie również usiłował Noailles wykorzystać obecność w Stambule Krzysztofa Dzierżka, młodego szlachcica polskiego, który wysłany został do Turcji dla nauki języka. „Zobligował" go względem siebie, ale niczego nie uzyskał za jego pośrednictwem. Dzierżek oświadczył Sokollemu, że Polacy, wybierając Henryka, kierują się tem, iż jest to najdawniejszy i najpewniejszy przyjaciel sułtana. Wezyr odparł na to, że sułtan nie chce widzieć królem polskim Henryka tak samo, jak nie chce wyboru Moskala.[2])

Zaraz na wstępie w rozmowie z Sokollim poruszył Noailles sprawę zwierzchnictwa lennego nad księstwami naddunajskiemi. Ale basza na wszelkie nalegania biskupa odpowiadał odmownie, chociaż nie zabrakło ambasadorowi argumentów. Przypomniał więc najpierw pomoc, którą

---

[1]) W liście z 18 lutego 1580 r. Askenazy domagał się wypłaty honorarjum za usługi wyświadczone przed wyborem Henryka na króla polskiego; podpisał się „rabbi Nathan Salomon Aschanasi". Charrière, str. 883, przyp. 1. De Germigny do Henryka o wpływach Askenazego, 3 marca 1580 r. ibidem.

[2]) Cyt. wyż. list Noailles'a do Katarzyny. 21 kwietnia.

w ostatnich dwóch latach Francja okazała Porcie „w jej największej potrzebie". Aby wspomóc „swego najlepszego przyjaciela" króla francuskiego, sułtan nie powinien wahać się, przyrzec Polakom wszystko, czego tylko chcą; a przecież może się później nie czuć skrępowanym swemi obietnicami. Następnie bardzo zręcznie żonglował ambasador argumentem, że albo Henryk będzie obrany królem polskim, albo też kandydatura jego upadnie. W tym drugim wypadku oczywiście Porta nic nie traci, gdyż ustępstwa jej będą nieaktualne, jako udzielone osobiście Henrykowi. Jeśli zaś Henryk królem zostanie, to do niego, a nie do panów polskich, należeć będzie wykonywanie uzyskanych nad Dunajem prerogatyw. Ale, rozumie się, jest nieprawdopodobne, aby Henryk miał działać na szkodę sułtana, jeśli „przez jego dobrodziejstwo" zdobędzie koronę — zwłaszcza, że przecież pragnie on dla siebie królestwa polskiego, a nie województw wołoskich. Ale najcelniejsze argumenty ambasadora padały w próżnię, gdyż Turcy na żadne absolutnie ustępstwa nie chcieli się zgodzić. „Nie są to ludzie dostatecznie subtelni — skarżył się Noailles — aby ukryć przed nami swą obawę, aby to (t. j. wybór Henryka) nie nastąpiło".

Stanowisko Porty było zupełnie zrozumiałe i logiczne. Gdyby Turkom na wyborze Henryka zależało, mogliby przynajmniej na temat ustępstw wołoskich podyskutować, choć i w takim wypadku musieliby sobie powiedzieć, że ich ustępstwa, aczkolwiek tylko pozorne, przyczynią się jednak do obniżenia autorytetu sułtana. Wiadomo, że w kwestjach prestiżu ustępstwa pozorne grają częstokroć nie mniejszą rolę niż zasadnicze. Wobec tego zaś, że Porta wyborowi Andegaweńczyka była przeciwna, Noailles tracił tylko czas, dyskutując w tej sprawie z Sokollim, i dziwić się należy, że się tak bardzo przy swych „wołoskich" postulatach upierał!

Wreszcie w połowie marca doszedł biskup do przekonania, że jedynym rezultatem działalności jego w Konstantynopolu może być tylko dostarczenie Montlucowi nowych argumentów dla agitacji w Polsce.

Jeżeli Polacy — pisał do Montluca — zechcą przypomnieć sobie wszystkie szkody i krzywdy, jakich doznali od

Turków i Tatarów, ich poddanych, nie będą mogli dokonać elekcji bardziej dla Turcji niepożądanej, jak elekcja Henryka, a to nietylko dla jego wielkich zalet osobistych, które zrobiły go zwycięzcą pod Montcontour i pod Jarnac, ale i dlatego, że jest on członkiem dynastji, która jest jedynym prawdziwym postrachem dla Porty. I odwrotnie, jeśli Polacy chcą zachować pokój z Turcją, nie mają prostszej drogi do tego nad wybór Henryka, gdyż z pośród całego chrześcijaństwa największy respekt czują Turcy dla domu Walezjuszów i dla osoby księcia Andegaweńskiego. Natomiast cesarz nie ma w oczach Turków tego uroku, gdyż przyzwyczaili się go wielokrotnie zwyciężać. Polacy zatem, wybierając cesarza lub któregoś z arcyksiążąt, nie zyskują w niczem na sile i autorytecie. Obarczają się zaś wszystkiemi troskami domu rakuskiego. Jeśli zaś królem wybrany będzie któryś z panów polskich — to przecież sułtan tego tylko pragnie, aby Polskę osłabić i tem łatwiej ją zwyciężyć. A do wojny na północy jest Porta w tej chwili świetnie przygotowana, po zawarciu bowiem najkorzystniejszego, jaki tylko można było, pokoju z Wenecją może się nie obawiać ataku ani na morzu, ani na lądzie. [1])

Oczywiście te wynurzenia Noailles'a nie mogą być uważane za wyraz jego poglądów. Chodziło mu tylko o dostarczenie Montlucowi argumentów, któreby szlachta polska mogła uważać za oparte na wielkiej znajomości polityki tureckiej i doświadczeniu dyplomatycznem ambasadora francuskiego w Turcji. Że Montluc argumentami temi umiał świetnie operować — wiemy to dobrze. Wiemy również, że w obozie francuskim znalazły się najsprzeczniejsze żywioły — szlachta ziem południowych, za wszelką cenę pragnąca pokoju z muzułmańskim sąsiadem, a przekonana, że dopiero po wyborze Henryka nastaną czasy niewątpliwej pomyślności i spokoju. A razem z nią butny, zmienny, ambitny i nieokiełzany wojewoda sieradzki Olbracht Łaski, który już od dłuższego czasu całą siłą parł do wojny tureckiej, aby za-

[1]) Por. Charrière, listy Noailles'a do Henryka z 20 stycznia, str. 340—351 i z początku marca, str. 366—367, do Katarzyny, 6 marca, str. 355—361 i z 12 marca, str. 368 przyp. do Karola IX, 8 marca, str. 361—369 i do Montluca 13 marca, str. 369—373.

spokoić wielką ambicję swego życia — zdobyć hospodarski tron wołoski. [1])

VII.

Natarczywe zabiegi Noailles'a o poparcie tureckie dla kandydatury Henryka i o zgodę na objęcie przez niego zwierzchnictwa lennego nad księstwami naddunajskiemi zbiegło się z zawarciem traktatu z Wenecją. Toteż działalność biskupa wywarła skutek wręcz przeciwny zamierzonemu! Turcy nie obawiali się już ani ligi, ani ataku ze strony państw chrześcijańskich; „wołoskie" zaś postulaty Francji mogły wzbudzić w nich podejrzenie, oczywiście niesłuszne, że Henryk w razie swego wyboru zwróci główną uwagę na południową ścianę Rzeczypospolitej. Toteż wielki wezyr nietylko że nie uwzględnił żądań ambasadora francuskiego, ale wręcz sobie z niego zakpił. Oświadczył mu mianowicie, że i sułtan i on sam wystosowali już listy do Polaków, wzywając ich do wyboru Henryka, jeśli nie będą mogli zgodzić się na elekcję jednego z magnatów polskich. Listów tych nie chciano wszakże posłowi pokazać, a nawet nie pozwolono, aby ktoś z poselstwa francuskiego towarzyszył wysłanemu do Polski czauszowi z obawy — według przypuszczenia biskupa — aby drogą przekupstwa nie udało się wydobyć od owego czausza tajnych instrukcyj, mających na celu pokrzyżowanie działalności agitatorów francuskich. [2])

Podejrzenia posła fracuskiego były najzupełniej uzasadnione. 23 marca wyjechał ze Stambułu czausz turecki, wioząc sporą paczkę listów do Polski. Nietylko bowiem do senatu polskiego, [3]) jak o tem powiadomiono biskupa, wy-

[1]) Zakrzewski, str. 68—70.

[2]) Cyt. wyż. listy Noailles'a do Karola IX z 28 marca i do Katarzyny z 21 kwietnia.

[3]) Sułtan do stanów polskich, 18 marca. *Zbiór Pamiętników do Dziejów Polskich* wydał Włodzimierz Stanisław hr. de Broel-Plater. Warszawa, 1858, t. III, str. 201—204. *Annales Ecclesiastici,* quos post... Baronium, Od. Raynoldum ac Iacobum Laderchium... ab a MDLXXII ad nostra usque tempora continuat Augustinus Theiner, Romae, 1856, t. I, str. 139—140 i Hurmuzaki, t. II, cz. I, nr. 633, str. 661—662. Wezyr do stanów polskich z tejże daty. Theiner, t. I, str. 138—139 i Hurmuzaki, t. II, cz. I, Nr. 630, str. 657—658.

stosowali pisma sułtan i wielki wezyr; listy od Sokollego, datowane 18 marca otrzymali również Jerzy Jazłowiecki, [1]) wojewoda ruski, książę Wasyl Ostrogski, [2]) wojewoda kijowski oraz wielu innych panów. [3])

Porta cofała się ze stanowiska zajętego w styczniu i powracała do polityki, prowadzonej jesienią 1572 r. Ani sułtan, ani jego wezyr nie wspominali już o wyborze Henryka, lecz przeciwnie zastrzegali się przeciwko wyborowi cudzoziemca, obcy książęta bowiem dążą do uzyskania korony polskiej — pisał sułtan — „w tym tylko celu, aby mogli najechać królestwa nasze ziemiom polskim najbliższe i wspólnemi granicami zakończone". Tę samą myśl wypowiadał i Sokolli. „Cudzoziemca zrobić królem — pisał — będzie to dla państwa Jego Cesarskiej Mości, a mianowicie dla Mołdawji, Siedmiogrodu i innych (prowincji) bardzo niebezpieczne". Jeśli zaś Polacy zastosują się do życzenia sułtańskiego, mogą być pewni jaknajdalej idącego poparcia Turcji. Tym razem nie ograniczała się Porta do ogólnikowego wysuwania kandydatury Piasta, lecz nazwiska kandydatów, najbardziej miłych sułtanowi, wyraźnie zostały wymienione. „Jakóba Uchańskiego — pisał Selim II — męża znakomitego zdolnościami i wielką roztropnością ozdobionego, albo Jana Firleja, albo Jazłowieckiego, wojennemi czynami wsławionego, albo wreszcie kogo będzie się Wam z synów Królestwa podobało, do godności królewskiej wynieść powinniście".

Zarazem ukazywała Porta rąbek gronostajowego płaszcza bezpośrednio niektórym magnatom polskim, chcąc podsycić ich ambicje i zachęcić ich do czynnego wystąpienia w roli kandydatów.

Jazłowiecki dowiedział się z listu Sokollego, że już w czasie jego poselstwa w Turcji w 1564 r. obecnie panujący sułtan Selim osądził go za godnego rządów królestwa. „Gdy z pośród wszystkich mieszkańców Polski i jej magnatów Ty do rządzenia królestwem jesteś najgodniejszy —

[1]) Hurmuzaki, t. II, cz. I, nr. 631, str. 658—659.

[2]) Ibidem, nr. 632, str. 660—661.

[3]) Wyraźnie wspomina o tem Sokolli w piśmie do Ostrogskiego; listów tych jednak nie znamy.

pisał wielki wezyr do księcia Wasyla Ostrogskiego — czemuż miałbyś się wahać z przyjęciem godności królewskiej?"

Czausz turecki, który przywiózł wszystkie te pisma do Polski, obok wymienionych w liście sułtańskim kandydatów Uchańskiego, Firleja i Jazłowieckiego; zalecał jeszcze ustnie kandydaturę wojewody podolskiego Mikołaja Mieleckiego. Gdyby zaś Polacy chcieli koniecznie cudzoziemca obrać królem, niech powołają na tron takiego księcia, z którym Turcja najłatwiej mogłaby zachować przyjaźń i sojusz. [1])

Zastanawia tu zestawienie nazwisk sułtańskich kandydatów do tronu polskiego. Arcybiskup Uchański znany był nad Bosforem przedewszystkiem zapewne jako interrex; podobnież marszałek wielki koronny Jan Firlej dostał się na listę kandydatów sułtańskich jako jeden z najpierwszych dygnitarzy państwa, o godność i władzę interrexa z prymasem wiodący spór zacięty. Tylko trzeci kandydat wojewoda ruski Jerzy Jazłowiecki lepiej był znany w Turcji; przedewszystkiem z poselstwa, które imieniem Rzeczypospolitej w 1564 r. nad Bosforem odprawił, a także z energicznego wystąpienia w ostatnich miesiącach życia Zygmunta Augusta, kiedy to poskromił swawolników na południowych rubieżach państwa. [2])

Bardzo być może zresztą, że Porcie chodziło nietyle o wysunięcie nowych kandydatów do tronu polskiego, ile o zjednanie sobie wpływowych osobistości i pozyskanie zwolenników w różnych obozach i dzielnicach państwa. A pod tym względem charakterystyczne byłoby, że usiłowano tu pozyskać sobie i katolików i protestantów, Wielkopolskę i Małopolskę i wreszcie ziemie ruskie. Prawdopodobnie wiadomości o stosunkach wewnętrznych polskich miał Sokolli od Taranowskiego.

Senatorowie odpowiedzieli Wysokiej Porcie pismem zapewniającem, iż nie chcą się przeciwstawiać woli sułtańskiej i, jeśli nie będą mogli porozumieć się co do elekcji

[1]) Theiner, t. I, str. 139. Porówn. list Noailles'a do Karola IX z 4 czerwca Charrière, str. 387—398.

[2]) Niedatowany list Sokollego do króla. Archiwum Główne w Warszawie, Turcica. Nr. 159 (według inwentarza z 1730 r.) i odpowiedź króla z 20 lutego 1572 r. Hurmuzaki. t. II, cz. I, Nr. 596, str. 616.

Polaka, oddadzą koronę temu, kto najlepiej będzie umiał utrzymać dotychczasowe przyjazne stosunki z Portą.[1])

VIII.

W końcu marca nadeszły do Stambułu wieści, które istny popłoch wywołały w dywanie. Oto hospodar wołoski zawiadomił Portę, że według posiadanych przez niego informacyj wielki książę moskiewski wkroczył na Litwę, zajął znaczną połać kraju wraz z Wilnem i wszędzie jest entuzjastycznie przyjmowany; istnieją poważne obawy, że i Polacy, widząc jego sukcesy, oddadzą mu koronę. Iwonia otrzymał polecenie wysłania do Polski szpiegów dla dokładnego zbadania sytuacji,[2]) a Sokolli postanowił przedsięwziąć nowe kroki celem poparcia elekcji miłego Turcji kandydata. Zdaje się, że liczył się on nawet z możliwością wypowiedzenia wojny Rzeczypospolitej na wypadek elekcji cesarza lub wielkiego księcia, a w każdym razie pragnął w ten sposób nastraszyć dyplomację cesarską.[3])

Wybór Iwana lub cesarza był dla Turków najgorszą ewentualnością, której musieli rzeczywiście usilnie przeciwdziałać. Toteż zrozumiałe jest zupełnie, że woleli już, aby

---

[1]) Pismo to znam tylko ze wzmianki w cyt. wyż. liście Noailles'a do Karola IX z 4 czerwca. Oczywiście senatorowie nie mogli wymienić imienia Henryka (jak o tem pisze Noailles może, aby podnieść własne zasługi) wspomnieli zapewne tylko ogólnikowo o przyjacielu Porty.

[2]) Niedatowany list Noailles'a z końca marca do Henryka, Charrière, str. 374—375 przyp. Refik przytacza na str. 90 list Sokollego do Iwoni, potwierdzający wiadomości Noailles'a. Dokument ten datowany jest wszakże 6 Muharrem 980 roku hedziry, co odpowiada dacie 19 maja 1572 r. naszej ery. Uczony turecki nie zwrócił uwagi, że jeśli dokument ten ma się odnosić do wypadków bezkrólewia po Zygmuncie Auguście, to jest on błędnie datowany, król bowiem zmarł dopiero 7 lipca 1572 r. Błędna datacja zdarza się w dokumentach tureckich dość często, dlatego też można, zdaje się, przyjąć, że list ten napisany został w końcu marca lub w początku kwietnia 1573 r. Porówn. relację posła weneckiego Marcantonia Barbaro o stosunku Turcji do elekcji Henryka. *Relazioni degli Ambasciatori Veneti* al Senato, raccolte, annotate e publicate da Eugenio Alberi. Serja III, t. I, Firenze, 1840, str. 334—335.

[3]) Karol Rym do cesarza, 24 kwietnia, Hurmuzaki, t. II, cz. 1. Nr. 636, str. 664.

na tronie Jagiellonów zasiadł Andegaweńczyk zwłaszcza, że stosunki ich z Francją dawały im jednak pewne gwarancje.

Wkrótce więc po wyjeździe czausza z listami do senatu i do wielu panów polskich z zaleceniem wyboru Uchańskiego, Firleja lub Jazłowieckiego udał się do Rzeczypospolitej inny czausz, nowe wiozący listy do senatu.

Wielki wezyr zawiadamiał senatorów, „iż póki panowie z Polski w dobrej jedności będą się starać o zachowanie swych poddanych, ugaszając ogień rozdziału, nie dopuszczając ani rozumiejąc być słusznego, aby nieprzyjaciele J. C. M. przyszli do ich ziemi, w każdej ich potrzebie wysoka łaska J. C. M. nie będzie im zabroniona". Zarówno tureccy sandżakowie pograniczni, jak chan tatarski, jak wreszcie hospodarowie wołoscy otrzymali rozkaz zachowywania zupełnego spokoju i nie najeżdżania na ziemie polskie. Sułtan wie, iż przyjechali do Rzeczypospolitej posłowie różnych książąt, ubiegających się o koronę polską, „przeto jeśli tak jest wiecie, iż przerzeczony król francuski z starodawna przeciwko szczęśliwej Porcie J. C. M. z doskonałą i starą miłością stanął na drodze uprzejmej i czystej przyjaźni, jak też i brat i inszy jemu posłuszny, zawsze przeciwko szczęśliwej Porcie zupełną uprzejmość pokazował, i wedle zwyczaju i wiary waszej, ich naród królewski jako jest godny do królowania, iż wam jest wiadomo, niepotrzeba powiadać. Jednak będąc wy z starodawna uprzejmi i prawdziwi przyjaciele najszczęśliwszego i najmocniejszego cesarza z cesarzów tego świata, radsi niźliby obrać jednego z tych upornych nieprzyjaciół jego i przywieść go do królestwa waszego, daleko lepiej obrać jednego z siebie, nacji swej. Jednak nie byłaby to rzecz podobna — brata J. K. Mci Francuskiego starego i doskonałego przyjaciela z Wysoką Portą, aby był królem w królestwie waszem, z nami być zadosyćuczynicie, i przestanie na tem J. C. M. Która rzecz, gdy tak będzie, rozumiemy, że będzie z wielkim pożytkiem królestwa waszego, gdyż on jest synem dawnego przyjaciela; i podoba-li się to Panu Bogu, jako jedno weźmiecie ten przyjacielski nasz list, uczyńcie to jako przedtem zwykło bywać, z waszą dobrą jednością, nie wykraczając z drogi prawdziwej przyjaźni. Jeśli nie jest podobna, abyście obrali między wami króla

nacji waszej, będziecie się starać, abyście nie obrali między wami za króla jednego z nieprzyjaciół J. C. M. i od Porty szczęśliwej nie będzie się ściągało przeciwko wam jedno to co dobre". [1])

Pospieszył więc Achmet czausz do Polski, ale czy to zbyt późno wybrał się w tak długą drogę, czy też zbyt dużo czasu stracił na granicy, [2]) dość, że dopiero 13 maja w dwa dni po proklamowaniu Henryka królem przez prymasa stanął w Warszawie. 18 sług i 26 koni tworzyło orszak tureckiego posła. Z ramienia władz polskich przydzielony był do jego osoby Wincenty Koniszewski, dworzanin podskarbiego koronnego. Przez 8 dni, od 13 do 21 maja, pozostawał Achmet czausz w Warszawie, a przez ten czas wydano ze skarbu koronnego na utrzymanie posła i jego otoczenia 195 florenów, 15 groszy i 9 denarów. Tytułem podarunku od senatorów otrzymał poseł 500 florenów gotówką, a tłumacz jego łaciński Grzegorz Hastman 50 florenów. [3])

20-go maja [4]) wręczone zostały Achmetowi odpowiedzi senatu na pisma sułtana i wezyra. Panowie polscy dziękowali sułtanowi za udzielone im rady i okazaną życzliwość, ale stwierdzali, że elekcja dokonana została przed przybyciem czausza. Królem wybrany został Henryk — potomek rodu, który zawsze umiał zachować przyjaźń i pokój z sułtanem i jego przodkami. Również, jako król polski, Henryk ściśle będzie przyjaźni i pokoju z Portą przestrzegać; królowie polscy bowiem nie mogą nic działać „wbrew ustawom i radom senatorów", Polacy zaś dołożą wszelkich starań, aby dobre stosunki z Turcją niczem nie zostały zamącone.

---

[1]) Znam tylko list wezyra, którego tłumaczenie z tureckiego bez podania daty ani źródła wydał Sienkiewicz w swoim *Skarbcu Historji Polskiej*, t. II, str. 302—307. List ten prawdopodobnie pisany był w początku kwietnia. Sułtan oczywiście pisał także, gdyż senatorowie mu odpowiadali. Por. depeszę ambasadora weneckiego w Wiedniu do doży, 29 kwietnia, Wiedeń, Hurmuzaki, t. VIII. Nr. 251, str. 174.

[2]) Giles de Noailles (brat biskupa) do posła fransuskiego w Wenecji du Ferrier, 23 maja. Warszawa. Charrière. str. 391—392.

[3]) Archiwum Główne w Warszawie. Rachunki królewskie, ks. 241, fol. 102—103.

[4]) Orzelski Świętosław, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro*. Wyd. dr. Kuntze. Scriptores Rerum Polonicarum. t. XXII. 1917, str. 132—133.

Nie zastosowali się do rad sułtana i nie oddali Polakowi korony, gdyż wymarli już wszyscy męscy członkowie dynastji Jagiellonów, a wynosić do godności królewskiej człowieka prywatnego nie wydało im się rzeczą bezpieczną. [1])

Otrzymawszy wiadomość o wyborze Henryka udawali dygnitarze Porty Ottomańskiej wielką radość, która może i była w pewnym stopniu szczerą, o tyle mianowicie, że korony Jagiellonów nie posiadł ani cesarz ani wielki książę moskiewski. Toż ze strony tureckiej wysunięto nawet projekt, aby Henryk nie przez Niemcy, lecz przez Turcję udał się do Polski. Machmut, agent turecki w Wenecji, tłumaczył ambasadorowi francuskiemu du Ferrier, że najkorzystniej byłoby dla Henryka, gdyby morzem udał się z Marsylji do Stambułu; sułtan wyśle naprzeciwko niego wszystkie swoje galery, urządzi mu takie przyjęcie, jakiego nie doznał jeszcze żaden książę chrześcijański; ze Stambułu zaś po czternastu dniach drogi nowy król polski stanie w granicach swego państwa. Du Ferrier odradzał wszakże tę podróż z uwagi na marny charakter Selima II, w którym nie można pokładać zaufania. [2])

IX.

Widzimy więc, że stanowisko Porty wobec kandydatury Andegaweńczyka było zasadniczo niechętne, wobec sprawy elekcji w Polsce — raczej wyczekujące. Zbytnie wzmocnienie francuskiego sojusznika, co wydawało się być prostą konsekwencją powołania na tron polski księcia z domu Walezjuszów, nie leżało w interesach Turcji. Z drugiej zaś strony wielki wezyr liczył, że żaden z magnatów polskich, wyniesiony do godności królewskiej, nie będzie miał dość autorytetu ani wobec własnych poddanych ani wobec obcych dworów, aby móc poprowadzić aktywną politykę zagraniczną i stawić Turcji czoło.

Taką była zasadnicza linja polityki tureckiej, ale widzimy, że ilekroć interesy tureckie były na jakimś odcinku

---

[1]) Rkps Bibljoteki Narodowej różnojęzyczny. Z. 3. O. 11. N. 11. fol. 87.

[2]) Du Ferrier do Katarzyny. Charrière, str. 394—395 przyp.

zagrożone, Porta zbliżała się do Francji i skłaniała się do poparcia jej postulatów. Najpierw za życia jeszcze Zygmunta Augusta, wielki wezyr ostrożnie podsuwa Francuzom myśl ubiegania się o koronę polską dla Andegaweńczyka, na czem później dwór paryski opierał swe nadzieje pomocy tureckiej. Manewr ten dyplomatyczny był jednym z środków walki z cesarzem. Później, w styczniu 1573 r. Porta doradzać będzie Polakom, aby wezwali na tron Henryka, jeśli wybór Piasta okaże się niemożliwy. Było to posunięcie taktyczne, mające przeciwdziałać przyłączeniu się Francji do ligi antytureckiej. Ostatnie wreszcie, warunkowe również, wystąpienie Turcji z poparciem Henryka wywołane było obawą wyboru Iwana. Widzimy więc, że względne poparcie, jakie Turcja udzielała Henrykowi, znajdowało swe źródło w jej stosunku do Habsburgów i do Moskwy.

Słusznie stwierdza historyk francuski,[1]) że Karol IX przeceniał wpływ swój w Turcji, a wpływ turecki w Polsce. Że Porta mało się w tej sprawie liczyła z Francją, dowodzi tego sposób, w jaki odpowiedziała na zabiegi biskupa de Noailles w pierwszej połowie marca 1573 r. Odpowiedzią tą były listy sułtana i wezyra z 18 marca do senatu Rzplitej bez wzmianki nawet o kandydaturze Henryka.

Wpływ Turcji na elekcję 1573 r. był najzupełniej bierny, t. zn. że wrogie stanowisko Porty wobec cesarza i wobec Moskwy zmniejszało wydatnie rzesze zwolenników kandydatury austrjackiej i moskiewskiej pośród szlachty, obawiającej się Turcji i pragnącej zachowania z nią pokoju. Działała tu jednak groza potęgi ottomańskiej, zabiegi zaś dyplomacji tureckiej miały niewątpliwie całkiem drugorzędne znaczenie. W każdym razie do osławionych elekcyj w XVIII w., dokonywanych pod dyktandem obcych ambasadorów i pod naciskiem obcych bagnetów było jeszcze bardzo daleko!

[1]) Noailles, t. II, str. 247.

Dr. Janusz Pajewski.

Orlando di Lasso.

W 400-ną rocznicę urodzin.

Z niebios spływały promienne odblaski, a ponad powiewną mgłą, pełzającą tajemniczo wzdłuż bawarskiej Izary, unosiło się świeże, orzeźwiające powietrze letniego poranku. Tutaj to Stwórca wolą swoją przystroił świat ten w najcudniejsze uroki natury. Już same tło pejzażu jakie dumne i groźne. Butnie piętrzą się pod obłoki skaliste Alpy, nosząc na swem czole krzewem i zielem porosłe ruiny dawnych zamków i grodów. Wśród bujnych zaś lasów, łanów, haftowanych w ogrody i łąki, płynie krystalicznemi falami Izara, piękna rusałka alpejska, rozrzucając snopy iskier diamentowych w powodzi światła i słońca. Im bardziej zbliża się ku grodowi Wittelsbachów, tem zalotniej rozwiewą swe przepyszne sploty, tem piękniejszą chce być u wrót pięknego miasta.

U podnóża jednego z posągów, zdobiących most Maksymiljana, stała postać wpatrzona w dal, upojona rzeczywistością. Przy pomocy szkieł starała się objąć wzrokiem pasmo gór, otulone kolorytem eterycznym, dygoczącym w światłach lekkich i przejrzystych. U stóp zaś gmachu „Maximilianeum", skąpane w blaskach słonecznych, rozkładało się malownicze Monachjum. Pochłonięte całe przez zieleń skwerów i ogrodów, upiększone niebotycznemi wieżycami, zdawało się nawoływać ku sobie, ku skarbom i cudom sztuki, nagromadzonym w swych gmachach.

Z trudem oderwał turysta wzrok od przepięknej panoramy i postanowił pójść zwiedzać w dalszym ciągu zabytki starego miasta. Wspomnienia wieczorów ostatnich, spędzonych w operze, w Prinzregententheater, towarzyszyły mu przez cały czas długiej

drogi do placu Odeona. Poszczególne fragmenty usłyszanych oper, dramatów muzycznych, powracały tchnieniem dźwięków widmowych i napełniały duszę nowym dreszczem zachwytu. Organowe tony „Parcivala" chwytały w niewolę, przynosząc ze sobą lecące w nieskończoność promienie dalekiego, legendarnego świata.

Na placu opery turysta objął wzrokiem roztaczające się majestatycznie kształty świątyni muzyki, odwrócił głowę i spojrzał wprost w twarz życiem pulsującego miasta. W powietrzu unosił się zapach kwiatów, sprzedawanych na wszystkich rogach ulic, a wśród przepysznych wzorów architektury greckiej roiło się od przechodniów, często cudzoziemców, z dalekich krańców świata przybyłych.

Przesiąknięte najwznioślejszą sztuką we wszystkich swych odcieniach, Monachjum zarzuca sieć czarownie tkaną na dusze swych mieszkańców, a uwielbienie dla sztuki i zrozumienie jej utajone jest w każdem spojrzeniu. „Die Kunst" uśmiecha się ze wszystkich gmachów, z rozełkanej fontanny, z łańcuchów rozkwitłych róż — płynie środkiem ulicy, unosząc każdego w swój upojny wir. „Tu prawdziwa świątynia sztuki" pomyślał turysta i szedł oszołomiony rozbrzmiewającą zewsząd melodją.

Zatrzymał się dopiero przed schodami, prowadzącemi do bibljoteki królewskiej. Poznał był już przedtem jej skarby bezcenne, dzień dzisiejszy natomiast chciał poświęcić jedynie muzykowi, który w wieku XVI, obok Palestriny, był największym twórczym genjuszem. Najpotężniejsze utwory Orlanda di Lasso, a wśród nich 7 psalmów pokutnych Dawida, wspaniale minjaturami opatrzony manuskrypt, tworzą prawdziwą ozdobę bibljoteki monachijskiej.

I łaknącemu poznać mistrza z przed blisko lat czterystu, danem było spojrzeć poza zasłony, otulające jego przeszłość.

* * *

Wśród hałaśliwego gwaru i turkotu małego Mons w Hennegau, unosił się z wieżyczki ustronnego kościółka skromny ton dzwonu, wzywający na pacierz wieczorny. Słońca już nie było na niebiańskim błękicie, lekkie purpurowe obłoczki, tchnące żarem zachodu, oświetlały mury świątyni. W rubinowych odblaskach płynęła falą wspaniałą powódź tonów o przeciągłem, głębokiem zabarwieniu. Zmrok wieczorny czaił się po wzgórzach, gromadził

w dolinach, ku oknom domów się skradał. Prace ogólne ustawały, po gorącym dniu roboczym następował wypoczynek.

Ze wszystkich stron ciągnęły gromadki ludzi, jednych w cichem skupieniu, innych wesoło rozmawiających; dzieci biegały dookoła w niekrępowanej radości. A dźwięki dzwonu wiejskiego wciąż rozlegały się w przestworzach, kojąc w sercach ból i tęsknotę, wzniecając swą muzyką z zaświatów nastrój świąteczny i wzniosły.

Modły skończone. Garstka ludzi opuszcza wrota świątyni. Spokój w duszach, rzewne rozmodlenie. W górze zaś, na wieży kościelnej brzmią teraz inne tony, brzmią pełne akordy, dźwięczą uroczyście i z taką przedziwną siłą i potęgą, jakgdyby nieprzeliczona ilość innych dzwonów łączyła się do wspólnego śpiewu radości! A tłum stanął i słucha. Tylko chwilami padają słowa trwogi i zaniepokojenia. „Czy demon pożaru grozi naszej wiosce? Czy może wojna? A może głód śmiertelny"? Starsi zaś pytali: „Azali nowa epoka ludzkości nastaje? Duch mocarny rodzi się wśród nas"?...

Działo się to w roku 1532.

Minęło lat kilka. Mały Orlando, chłopak o cudnych oczach, był ulubieńcem nietylko całego Mons, ale już i poza Hennegau rozchodziły się wieści o jego wyjątkowych zdolnościach muzycznych. Obdarzony przepięknym głosem był podporą chóru kościelnego i od 8-go roku życia wzbudzał podziw i zainteresowanie. Wśród niezwykłych okoliczności, przez ludzi zupełnie nieznanych trzy razy z domu swojego uprowadzony, dwa razy zdołał powrócić do rodzinnego Mons. Za trzecim pozostał w St. Didié u księcia Ferdynanda Gonzagi. Znakomity wojownik cesarza Karola V, był zarazem człowiekiem przepojonym miłością do sztuk pięknych, a w szczególności muzyka wywierała nań zawsze wielkie wrażenie. Gdy po całodziennej żmudnej pracy wypoczywał wieczorami w swej zacisznej komnacie, nadworny chór w ukryciu uderzał w rzewne tony, a młody Orlando di Lasso wskrzeszał dzieje poległych bohaterów! Gonzaga marzył i śnił, podczas gdy przed oczyma jego przesuwały się czyny Wielkiego Karola, Rolanda smutne dzieje, złotowłosa Brunhilda, śmierć Hagena z Tronje.

I oto dla dwunastoletniego chłopaka rozpoczyna się żywot

tułaczy. Z dworem księcia przyjeżdża do Palermo. Jest zima. Wicher pędzi tumany śniegu z wyciem i pasją obłąkaną. Wkoło bezdenne zaspy, morze iskrzących się brylantów, gdzieś w dali huk walącej się w przepaść lawiny. Tabor Gonzagi z trudem tylko posuwa się naprzód. Kroczy w ślad za młodym lutnistą, co pieśnią swą im serca rozgrzewa, co ich prowadzi ku słońcu Italji. — On zaś na białym koniu, z włosem rozwianym, wchłania w siebie całe piękno otaczającej go natury i rozegzaltowana dusza młodego marzyciela pojmuje bezbrzeżną nicość człowieka. Wszak tylko na rozkaz Boga ta rozszalała natura się uciszy, ustanie wicher, który porywa masy spiętrzonego śniegu i pędzi, łamiąc, niszcząc i burząc dokoła!

Wśród zawiei i zgrozy uderzył w lutnię czarodziejską i śpiew jego wzniósł się do tronu Najwyższego!...

Przybyli potem do Medjolanu i młody Orlando z całym zapałem poświęcił się studjom muzycznym. Tu, a następnie w Neapolu, coraz bardziej wnika w piękności muzyki greckiej, zachwycając jej homofonją, wyłącznie melodyjnem pojęciem.

Grecy, u których muzyka pozostawała w jak najściślejszym związku z poezją, zajmowali się także jej teorją, t. j. badaniem wzajemnego stosunku dźwięków, oraz sposobem łączenia ich w utwory muzyczne. Osiągnęli oni w tym kierunku dość wysoki poziom artystyczny. Wzorowana zrazu na muzyce greckiej, pierwotna muzyka kościelna, odznaczała się również brakiem harmonji. Z biegiem czasu zaginęły w niej wpływy pogańskie, utrzymały się natomiast z hebrajskiej synagogi tony psalmów, na tle których rozwijał się śpiew kościelny, w zachodnim i wschodnim Kościele zupełnie odrębnie. Około rozwoju muzyki położył wielkie zasługi biskup medjolański św. Ambroży, przejmując ze Wschodu naukę tonacyj, oraz pozostawiając przepiękne kompozycje w formie hymnów. Później, w wieku VI, papież Grzegorz I, Wielkim nazwany, ujął wszystkie dotychczasowe formy liturgji oraz śpiewów kościelnych w ściślejsze normy, i *Ordo Romanus* stał się wzorem i przepisem dla całego świata katolickiego. Od owej reformy gregorjańskiej zaznacza się przewaga Rzymu w rozwoju muzyki kościelnej.

Orlando di Lasso, posiadając duszę o najsubtelniejszych odcieniach uczuciowych, z niewymownym entuzjazmem wchłaniał w siebie piękno muzyki epoki monodycznej, która w melodjach

kościelnych osiągała pod względem wyrazu i formy prawdziwe wyżyny doskonałości. Podziwiał psalmy ze swemi tendencjami moralizującemi, hymny ówczesne sławiące majestat Boga, kantyczki, opiewające czyny boskie na ziemi. W myślach późniejszego twórcy „Psalmów Dawida" wzrastał i dojrzewał kult sztuki kościelnej i już wtenczas fantazja jego tkała przędziwo ku przyszłym genjalnym arcydziełom muzycznym.

W Rzymie zapoznaje się Orlando z pierwszemi próbami wielogłosowości i studjuje dalszy przebieg polifonji; odrzuca suche formy kontrapunktyczne, natomiast rozwija ich artystyczne dążności. Ówczesne starcia romantyzmu średniowiecza z odżyłym pod wpływami humanistów klasycyzmem, jak również drobiazgowość techniczna muzyków niderlandzkich, wywoływały w umyśle Lassa niemały rozdźwięk i zamieszanie. Mimo prądów tych, grożących zatamowaniem intelektualnego rozwoju kompozytora, z tej walki duchowej, zaledwie 18-to letni Orlando wychodzi zwycięsko. Nominacja na kapelmistrza przy Lateranie wzmacnia w nim tylko raz obraną drogę twórczą.

Następnie podróżuje po Francji z Juljuszem Cezarem Brancaccio, zwiedza Anglję, zachwycając się królującemi tam w tej epoce malarzami.

W roku 1554 osiedla się na przebieg 2 lat w Antwerpji i wydaje na świat swe pierwsze większe kompozycje — Madrygały. W Madrygałach tych, w najwspanialszej formie polifonji wokalnej w epoce renesansu, pozostawia Orlando di Lasso prawdziwe arcydzieła pod względem nieprzemijającej siły wyrazu muzycznego.

Stworzone również w czasach tych przez niego motety i msze kilkogłosowe, oraz pieśni o niebywałej plastyce i efektach rytmiczno-dźwiękowych, tak dalece odbiegały od ówczesnego ogólnego szablonu, że imię kompozytora zaczęło wsławiać się we wszystkich środowiskach muzycznych Europy.

Dzięki mecenasowi sztuki, Fuggerowi, dostaje się potem do Monachjum, gdzie później od roku 1562, jako nadworny kapelmistrz i kompozytor Albrechta V bawarskiego rozwija swój talent genjalny do najwspanialszego rozkwitu. Bawarja stała się też dla Orlanda drugą ojczyzną, tam zdobył w świecie muzycznym największy rozgłos i sławę, tam również czekały na niego zaszczyty i tytuły.

Nadworna kapela monachijska była największą w Europie, posiadała mianowicie 12 najwspanialszych basów, 15 tenorów, 13 altów, 16 chłopców o przepięknie brzmiącym sopranie, 6 innych głosów dziecięcych i wzwyż 30 instrumentalistów. Nie dziw zatem, że stojąc na czele tak obszernego zespołu, Orlando rozwijał swe niezwykłe zdolności kapelmistrzowskie w szybkiem tempie, ustalając sławę zarówno swoją, jak i kapeli monachijskiej.

Jako Niderlandczyk, kształcony we Włoszech, przepojony chorałem gregorjańskim i całym skarbcem muzyki religijnej i kościelnej, łączy w sobie Orlandus Lassus przymioty owych dwóch prądów muzycznych. W przeciwstawieniu do wybujałego stylu polifonicznego Niderlandczyków, była Szkoła Rzymska wyrazicielką prostoty o pięknem brzmieniu linji melodyjnej. Wrażliwa dusza „Człowieka Północy" potrafiła wpleść w utwory jego i jasność i uczucia południowca, jak również w ekspresji muzycznej w najgłębsze uderzyć tony. Przez wszystkie dzieła jego o zabarwieniu religijnem, przebija chęć tworzenia ku czci Wszechmogącego. Muzykę uważał jako sztukę najwięcej zbliżoną duchowi chrześcijaństwa, tonami swemi chciał w ciemnych sercach ludzkich rozbudzać uczucia wdzięczności, by wspólnie z nim śpiewały hymny do Boga. Pogłębił się w sobie, śledził rozwój ducha własnego i odtąd przenosił w frazy muzyczne drgania swego świata wewnętrznego.

I dlatego razem z jutrznią talentu Orlanda pojawiły się tony uduchownione, idealizujące. Dzieje najdalej idącej fantazji, myśli, radości i trwogi mieniły się w kompozycjach jego barwą właściwą, płynęły falą melodji o najsubtelniejszych odcieniach.

Ale i w dziedzinach czysto świeckich święcił tryumfy niebywałe. Na przyjęciach dworskich, pośród zabawy i oszałamiającej wesołości, w śmiałych pociągnięciach muzycznych skreślał to, co stanowi sekret ludzkich twarzy, w kilkunastu tonach dawał syntezę duszy. To nie były bajeczne epopeje, lecz skróty przeżyć na ucztach, lub zwięzła opowieść o charakterach.

Głosi anegdota z owych czasów, że wkrótce po przybyciu do Monachjum otrzymał Orlando di Lasso anonimowo mały wizerunek, przedstawiający młodego Dawida, grającego na harfie znużonemu królowi. Zrazu lata dziecinne stanęły mu przed oczyma — śpiew, dźwięki lutni, namiot Gonzagi pośród zawiei i wichru. — Im dłużej jednak wpatrywał się w przepiękne dzieło,

tem silniej zaczynał oddziaływać nań czar, ukrytej w niem myśli przewodniej. Wszak to ten sam Dawid, potężny król Izraela, który u schyłku swego życia wznosił modły do Najwyższego i wołał w największej pokorze: „Domine exaudi“.... I oto drgnęły wszystkie struny duszy kompozytora i genjusze sztuki uniosły go w zaświaty.... Mistrz wygrywał nieśmiertelne akordy „Psalmów Dawida“....

U schyłku wieku XIV papież Grzegorz XI zezwolił na wprowadzenie polifonji do muzyki kościelnej. Zczasem jednak styl kontrapunktyczny w swych eksperymentach i przejaskrawieniach dochodził do tego, że melodje zawadjackich piosenek używano za tematy do kompozycyj kantat lub mszy. Wtedy to w czasie obrad Soboru Trydenckiego Kościół wystąpił przeciw temu stanowi rzeczy i ustalił punkta, dotyczące reformy śpiewu kościelnego.

W tym samym czasie, kiedy Pierluigi Palestrina swą wytworną sztuką ratował muzykę od usunięcia jej z kościoła, kardynałowie Boromeusz i Vitelli zażądali od księcia bawarskiego w odpisach utworów Orlanda di Lassa. Po dokładnem przejrzeniu, kongregacja kardynałów w Rzymie wypowiedziała słowa najwyższego uznania dla twórczości wielkiego Niderlandczyka, nie znalazłszy niczego, coby nie godziło się z zapowiedzianemi zmianami.

Orlando di Lasso jest wyrazicielem nietylko własnego przeogromnego talentu. Jest on, podobnie jak Palestrina w południowej Europie, na tle dalekiej północy największym genjuszem w dziale muzyki religijnej. Jest on także najdoskonalszym muzykiem całej epoki, długo trwającej i długo przygotowywanej.

Pozostawił po sobie zadziwiającą ilość utworów pierwszorzędnej wartości. 2000 dzieł nikt przed nim nie skomponował, po nim natomiast jedyni Mozart i Schubert zdołali sumę tę częściowo osiągnąć. Msze, a było ich 50, osnuwał na przepięknych motywach, zaczerpniętych ze skarbca fantazji własnej, łącząc wszystkie poszczególne ich części we wspaniałe, imponujące całości. 1250 motetów na podłożu Pisma Świętego, 100 Magnifikat, Oficja, pasja według św. Mateusza.

W niezliczonej ilości Madrygałów przewija się w sposób bardzo interesujący bujność życia renesansowego, w „Chansons françaises“ rozwinął cudowną, iście italską lekkość frazy muzycznej, przeplataną wdziękiem i dowcipem francuskim. Vilanelle

jego o zabarwieniu humorystyczno-komicznem i charakterystyczne pieśni niemieckie swoją niezrównaną bezpośredniością podbijają po dziś dzień odrazu serca słuchaczy.

Najpotężniejszym jednak utworem Orlanda di Lasso jest „7 Psalmów pokutnych Dawida" (skomponowanych około 1560 r.), któremi podobny pomnik wzniósł sobie po wszystkie wieki, jak Palestrina swoją mszą „Papae Marcelli". Przepiękna muzyczna architektura kompozycji jest nawskróś przepojona wzniosłym tonem biblijnym; rzewny, oskarżający się głos króla Dawida potrafi rozpalić do głębi serca ludzkie, a na wstrząsające „Miserere mei Deus" zadrży natura, jakby na głos archanioła, budzącego z grobów w dzień sądu!

Orlando di Lasso, podobnie jak później Mozart, był uniwersalnym. Żaden ze współcześnie mu żyjących mistrzów nie posiadał do tego stopnia rozwiniętego znawstwa ekspresji i obrazowości muzycznej. Nagromadzone pracą wieków zdobycze polifonji łączył z cichą, wzniosłą kontemplacją kultu religijnego, będąc równie wielkim w dziale muzyki świeckiej. Wszelkie ówczesne prądy, nurtujące po całej Europie, znajdowały oddźwięk w genjuszu Orlanda i zlewały się jak najharmonijniej.

Umarł w głębokiej melancholji, spowodowanej zbyt wielkiem przemęczeniem umysłu, dnia 14 czerwca 1594.

Za życia cieszył się znaczeniem ogromnem w całym świecie kulturalnym. Cesarz Maksymiljan II nadał mu w r. 1570 szlachectwo i w herbie znaki muzyczne. Papież Grzegorz XIII mianował go rycerzem Złotej Ostrogi. Król francuski Karol IX obsypał go wielkiemi kosztownościami, żona zaś królewska wzniosła pomnik ukochanemu mistrzowi.

Czczonym był i opłakiwanym przez wielkich i małych, słowa zaś, o nim kiedyś wypowiedziane: *Hic ille est Lassus, lassum qui recreat orbem*, ilustrują najlepiej znaczenie i rolę jego w świecie.

I podczas gdy śmiertelne szczątki mistrza chowano na cmentarzu franciszkańskim w Monachjum, to, co nieśmiertelne, unosić się zaczęło falą najcudowniejszych melodyj i łączyć z harmonją niebiańskich akordów.

..... Gdzieś w dali dzwon małego kościółka tym razem płakał rzewnem brzmieniem....

Janina Strzemboszówna.

Przegląd piśmiennictwa.

Ks. Dr. Ferdynand Machay: Zadania duszpasterskie świeckich. Księgarnia św. Wojciecha, str. 180, mała 8°.

Do pokaźnej już „Książnicy Akcji Katolickiej" przybyło ważne dzieło. Ponieważ Akcja Katolicka jest właściwie i przedewszystkiem zorganizowanem apostolstwem ludzi świeckich, Ks. F. Machay wziął sobie za zadanie pouczyć, czem to apostolstwo zasadniczo jest, jak się organizuje w zależności od hierarchji, jakie ma przed sobą główne pola pracy. Z tak pojętego zadania wywiązał się wogóle dobrze. Książka jego jest pełna katolickiego ducha i kościelnego usposobienia; znać w niej dość duże oczytanie, znać i poważną pracę myślową w celu przetrawienia i ugrupowania należącego do rzeczy materjału. Sądzimy też, że dziełko jego odda niemałe usługi sprawie katolickiej i że będzie dla wielu świeckich i potężną pobudką do pracy i dobrym na drogach tej pracy przewodnikiem. Na zasadnicze tezy, które autor rozwija i uzasadnia z pewnością każdy się zgodzi.

Nie chcemy jednak w tej recenzji ograniczyć się tylko do pochwał, których Ks. Machayowi już inne pisma nie szczędziły. Licząc na znaną nam szlachetną jego wolę służenia dobru i prawdzie, chcemy mu wytknąć pewne braki, które i dziełku jego i całej sprawie, której dziełko chce służyć, poważne wyrządzić mogą szkody. A braki te polegają nietylko na tem, że można się spierać, czy wypada mówić *tout court* o „duszpasterstwie" świeckich, że można mieć zastrzeżenia co do teologicznego pogłębienia powyższego pojęcia, że np. da się spostrzec dużą pobieżność i niedokładność w zarysie dziejowym apostolstwa świeckich i t. p. i t. p. To co mamy głównie do zarzucenia omawianej książce jest brakiem głębszym i ogólniejszym. Musimy niestety jej wytknąć jednostronność a skutkiem tego niesprawiedliwość.

Postawmy kwestję jasno. Niema i nie może być wątpliwości, że kośćcem całej Akcji Katolickiej musi być zasadniczo organizacja kościelna: diecezje, dekanaty, parafje. Dlatego też niema wątpliwości, że kierownictwo tego wielkiego dzieła musi

należeć do Episkopatu i tych, co są z urzędu pomocnikami Biskupów, t. j. do świeckich — Kard. Mercier nie lubił tego słowa i wolał mówić: „diecezjalnych" - kapłanów. Czy jednak stąd wynika, że na pracę tej innej olbrzymiej części katolickiego kleru, którą jest duchowieństwo zakonne trzeba cień rzucać, że tę pracę trzeba ignorować lub pozytywnie lekceważyć? Czy przez to dobrze się służy sprawie katolickiej, że w imię jakiejś pięknej, teoretycznej unifikacji, w porównaniu z tem, co przecież dopiero ma być, pomiata się tem, co już jest i wydaje się o tem lekkomyślne i mało uzasadnione sądy?

Otóż niebezpieczeństwu tych poglądów nie umiał Ks. M. w dostatecznej mierze zejść z drogi. Wedle niego, dopiero z Akcją Katolicką prowadzoną przez świeckich kapłanów, zaczyna się, czy może zacznie — niewiadomo czy tu użyć przyszłego czy teraźniejszego czasu — nieomal wszystko dobre. Z nią zakwitnie prawdziwe chrześcijaństwo, ona stworzy w sercach prawdziwą cnotę, ona napełni dusze ogniem czynnego apostolstwa, ona jednem słowem będzie taka, że *venient cum illa omnia bona et innumerabilis honestas per manus illius.* Zresztą nic dziwnego, że tak jest, bo tylko to, co należy do Akcji Katolickiej jest katolickie. Na str. 57 pisze Autor bez zająknienia — daremnie szukałem poprawki do tego ustępu w Erratach: — Kardynał Prymas uznał w swych archidiecezjach za „katolickie" następujące stowarzyszenia (tu wyliczonych ośm) z których więc składa się Akcja Katolicka. Czyż więc wszystkie inne są niekatolickie? Czy wystarczy pociecha dodana przez Autora, że może kiedyś będzie uznane za katolickie ośmdziesiąt?

Cóż więc dotychczasowa praca zakonów? Cóż tych zakonów dzieła i stowarzyszenia? Cóż te olbrzymie wysiłki misyjne i ascetyczne i naukowe, któremi możnaby nieomal pół historji Kościoła wypełnić, jak wypełniły się w ogromnej większości karty rzymskiego martyrologium?

To wszystko dla Ks. M. nietylko że prawie nie istnieje. Dla niego wobec wschodzącego słońca Akcji Katolickiej, prowadzonej przez kapłanów świeckich, to wszystko jest nietylko nikłe i wzmianki nie warte. Ks. M. wie i pisze to wyraźnie, że owoce tej pracy są liche i raczej szkodliwe niż pożyteczne dla prawdziwego chrześcijaństwa. Nietylko bowiem, że (może zanadto *ex tripode*) udziela admonicji kierownikom bractw, sodalicyj i trzecich zakonów — ta trójka figuruje zawsze razem — „Niechże kierownicy tych zrzeszeń uważają, aby z przywilejów i odpustów, jakiemi je Stolica Apostolska obdarzyła, nie wyrosła pustka duchowa i nędza wewnętrzna, jak to niestety bywa" (str. 75) ale nieco dalej: „Faktem jest — powiada — że bractwa, trzecie zakony i sodalicje są raczej ogniskami dewocji niż szkołami czynnego apostolstwa..... Wielka część tych zrzeszeń swemi odrębnemi nabożeństwami, wstążkami, medalikami, ryn-

grafami przyćmiewa i osłabia znaczenie mszy św." i t. d., a nawet podkopuje cnotę chrześcijańską, bo „któż z duszpasterzy polskich nie zna ludzi obwieszonych szkaplerzami i koronkami, a mimo to pijących grzechy jak wodę?" Dopiero więc „Akcja Katolicka jest powrotem do życia pierwszych chrześcijan" i t. d. i t. d. (str. 75. 76. 83.).

Otóż niech mi Autor daruje, to nie jest ani poważne, ani naukowe, ani sprawiedliwe. Gdzie Ks. M. ten „fakt" studjował, że sodalicje są ogniskami dewocji, a nie czynnego apostolstwa, i to dewocji, jak daje do poznania, fałszywej, która medalikami i ryngrafami zaćmiewa istotne części katolickiej pobożności? Czy sobie zadał pracę przypatrzeć się bliżej sodalicyjnej robocie? Czy przejrzał choćby spisy nazwisk działaczy pracujących wszędzie na czele Akcji Katolickiej, by zdać sobie sprawę, ilu tam jest sodalisów i sodalisek, kształconych na owej rzekomo dewocyjnej ascezie?

Piszący te słowa od 25 lat stoi nieomal w centrum polskiej sodalicyjnej pracy. Przypatrywał się zbliska nietylko sodalicjom, ale całym ich związkom, prowadzonych i przez zakonnych i przez świeckich kapłanów, we wszystkich nieomal stanach i wiekach. A zawsze na nowo był zdumiony ogromem dobra, które się przez sodalicję dokonywa i nigdzie nie widział, by medale i ryngrafy (rzeczy bynajmniej nieistotne) tłumiły czy zasłaniały zasadnicze praktyki pobożności chrześcijańskiej. Jestem przekonany, że to samo dałoby się powiedzieć i udowodnić o całym mnóstwie grup trzecich zakonów. Co się tyczy bractw — te z istoty swojej służą *ad incrementum publici cultus* i stąd mają z natury bardziej dewocyjny charakter, ale i tu — śmiało powiem — istnieją prawie tylko w imaginacji Autora owe postacie „ludzi obwieszonych szkaplerzami i koronkami a mimo to pijących grzechy jak wodę".

I podobnież dlaczego Ks. M. tendencyjnie unika wzmianki o jakiemkolwiek dobru przez zakony zdziałanem? Mówi już np. ipsissimis verbis (str. 95 i nn.) o „apostolstwie modlitwy" jako polu działania Akcji Katolickiej! Czy nie wie, czy też rozmyślnie przemilcza, że pod tem właśnie nazwiskiem istnieje w Kościele olbrzymie, błogosławione, dziesiątki miljonów liczące stowarzyszenie ludzi świeckich, wydające swe pismo w pięćdziesięciu blisko językach? Ale o tem zupełnie cicho. Pewnie że i to nie należy do „katolickich związków" i dlatego wspomnienia nie warte!

I dałoby się jeszcze dużo w tym kierunku powiedzieć, ale raczej postąpmy do źródeł tych niedomagań. A źródeł tych widzę dwa.

Kto umie patrzeć, pierwsze z tych źródeł znajdzie w przypiskach. Figuruje tam raz po raz Biskup Prohaszka i Biskup Prohaszka. A wiadomo dobrze, że ten pisarz i Książę Kościoła,

mimo całej szlachetności, bystrości, wymowy, gorącości ducha i innych przeróżnych zalet, które mu zapewniają nieśmiertelność, hołdował pewnemu lekkiemu liberalizmowi katolickiemu, który swego czasu budził w Rzymie poważne niepokoje, a polegał na tem, że skłonny był wielki Biskup lekko traktować pewne formy i praktyki uświęcone kościelnym zwyczajem, na korzyść pewnych poglądów, odczuć, działań, rzekomo dużo lepiej odpowiadających nowym czasom. Na Ks. M. znać odrobinę tego wpływu, który zresztą dość szeroko już się rozszedł.

Ale powtóre znać tu wpływ innej tendencji bezporównania szerszej, która pod pozorem unifikacji i ustroju i pracy Kościoła stara się wszystko złączyć z istotną kościelną organizacją: diecezjalną i prafjalną, a usunąć od wszelkiego niemal wpływu i działania nie wchodzące w tę organizację zakony. Na str. 50 wyrywa się Ks. M. z samej głębi serca westchnienie: „Z dzisiejszego stosunku zakonu do Biskupa diecezjalnego trudnoby nieraz wywnioskować, że były i są powoływane do pomocy duszpasterskiej wolą biskupów, tak władza biskupia, jest w stosunku do zakonów osłabiona".

Otóż nie! Zakony nie były i nie są powoływane do pomocy duszpasterskiej wolą biskupów. Biskupi o ile chcą, przyjmują je w swych diecezjach i dają im potrzebne władze, ale powołuje zakony, co dziesiątki razy stwierdzili papieże, najpierw Bóg, dający natchnienie wybranym sługom, potem Stolica Apostolska, do której zatwierdzenie zakonów należy. I taż Stolica Apostolska z mądrych powodów, wyjmuje w wielu punktach zakony z pod jurysdykcji Ordynarjuszów, upatrując w tem większe dobro ogólnej kościelnej pracy. I w rzeczy samej dałoby się jasno jak słońce wykazać, że w ogromnej mierze dzięki właśnie tej egzempcji dokonały zakony tych olbrzymich dzieł, jakie we wszystkich wiekach zapisała historja. Jakkolwiek bowiem — żeby wrócić do wyżej użytego porównania — zwykła hierarchja w mistycznem ciele Chrystusa jest z pewnością kośćcem, to przecież nie jest wszystkiem. Jak w ciele, prócz kości, są całe systemy centralne nerwów, żył i t. d., które zjednoczone w głowie, składają się na całość organizmu, tak w Kościele prócz kośćca zwyczajnej hierarchji są inne centralne systemy, podporządkowane głowie chrześcijaństwa, a do nich należą w pierwszym rzędzie zakony. I dobro Akcji Katolickiej nie może polegać na tem, by pracę tych zakonów lekceważyć, niesprawiedliwej krytyce poddawać albo wszelkiemi siłami ograniczać, ale owszem na tem, żeby tę pracę wyzyskać i delikatnie a rozumnie zharmonizować z pracą hierarchji ściśle wziętej. *Dummodo Christus praedicetur!* A doprawdy czasy są chyba zbyt poważne, żeby ludziom chcącym szczerze Chrystusa ogłaszać, w imię pięknych, jeszcze nawet nie urzeczywistnionych teoryj, owej pracy bronić!

Ufam, że Ks. M. nie pogniewa się o te szczere uwagi, a jeżeli wydają mu się niesprawiedliwe, niżej podpisany jest gotów, wykazane sobie błędy sprostować.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Ks. Paweł Siwek T. J. Prof. Psych. na uniw. Greg. w Rzymie: Metoda badań zjawisk nadprzyrodzonych. Problem Konnersreuth. Str. 118 in 8°, 1933, Wydawn. Księży Jezuitów.

Niniejsza rozprawa jest, naszem zdaniem, bardzo na czasie. Wytworzyło się bowiem i zagranicą i u nas około Teresy Neuman z Konnersreuth całe grono przesadnych wielbicieli, którzy czyto żywem słowem, czy w popularnych lub popularyzujących broszurach, uprzedzając wyrok Kościoła, starają się urobić opinję publiczną na korzyść głośnej stygmatyczki i wizjonerki. Ocenę zjawisk Konnersreuth na ściśle naukowych podstawach podał Ks. Siwek w poprzedniej swej pracy „Konnersreuth w świetle nauki i religji". Praca ta, przyjęta ogólnie z wielkim uznaniem, spotkała się jednak z krytyką z bardzo dostojnej strony. J. E. Ks. Arcybiskup Teodorowicz w kilku artykułach, napisanych o tej kwestji w *Ateneum Kapłańskiem,* znalazł, że autor na niekorzyść nadprzyrodzonych, zanadto wyolbrzymia przyrodzone kryterja i czynniki i że dla oceny czyto cudownych zdarzeń, czy mistycznych przeżyć, stawia takie zasady, które mogłyby obedrzeć z chwały nadprzyrodzoności niejeden fakt uznany w Kościele za cudowny, albo niejedną postać kanonizowanych Świętych.

Zarzut był zbyt poważny, żeby pominąć go milczeniem, zwłaszcza, że owa krytyka dała okazję do pomawiania o „racjonalizm" czyto samego Ks. Siwka, czy nawet naukę zakonu, którego on jest członkiem. Postanowił więc zaczepiony autor odpowiedzieć, a zrobił to bardzo spokojnie i rzeczowo w niniejszej rozprawie.

Przedewszystkiem rozbiera on jedne po drugich, a ciągle w świetle przepisów danych przez Benedykta XIV w głośnem dziele *De canonizatione Sanctorum,* rzekomo cudowne uzdrowienia Teresy. Sądzimy, że nieuprzedzony czytelnik przyzna, że rozbiera je zwycięsko, to znaczy, że w pełni uzasadnia jedyne twierdzenie, o którego uzasadnienie chodziło: *De miraculo non constat.* Przechodząc potem do rzekomo mistycznych zjawisk, najpierw określa i ustala samo pojęcie mistyki, nieraz zacieśnianej do somatycznych, zewnętrznych zjawisk, potem delikatną analizą roztrząsa metodę, jaką posługiwać się należy w myśl największych mistrzów duchownego życia w ocenie tych zjawisk, zanim się je uzna za wyraźne i przewyższające zwykłe drogi Opatrzności, działanie Boże. W zastosowaniu tych zasad do Teresy, dochodzi znowu do przekonania, że podawanie faktów z jej życia za nadprzyrodzone i mistyczne byłoby przedwczesne.

Całą rozprawę cechuje wielkie umiarkowanie, trzeźwość, zupełna bezstronność, obok ogromnego oczytania w odnośnej literaturze, nietylko psychologicznej, ale i teologicznej i ascetycznej, co pozwala autorowi przyjrzeć się zagadnieniu z niejednej strony. Sądzimy, że na przestudjowaniu tej pracy każdy zyska i że sam problem Konnersreuth na niej tylko skorzystać może.

Niestety z innej strony ma praca pewne braki. Wyraźnie już odbija się na języku polskim autora długi pobyt zagranicą. Nieraz spotykamy już niepolskie sposoby mówienia, nie dość jasności i przejrzystości. Nadto utrudniają czytanie, a często wprost rażą, ustawiczne niemal wtrącania zdań w nawiasie, nawet tam, gdzie żadnej potemu racji dopatrzeć się nie można.

Nie wątpimy jednak, że mimo tych usterek, ogromna większość czytelników zamknie broszurę z szczerą dla autora wdzięcznością, nietylko za wyświetlenie jednego aktualnego problemu, ale za jasne postawienie zasad, których w podobnych dociekaniach trzymać się trzeba.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Juljusz Słowacki: D z i e ł a w s z y s t k i e, pod redakcją Juljusza Kleinera. Dział pierwszy. Utwory wydane za życia poety, tomów 7. (I.—VII całości); Dział drugi. Utwory wydane ze spuścizny rękopiśmiennej, tomów dwa (IX—X całości). Lwów, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, 1924—1931.

Mamy przed sobą dzieło imponujące. Wydawane w różnych latach od roku 1924 „Dzieła wszystkie" Juljusza Słowackiego objęły już dziewięć tomów na przewidzianych szesnaście. Mimo trudnej sytuacji na rynku wydawniczym Zakład Narodowy im. Ossolińskich, ta placówka tak niezmiernie zasłużona dla polskości, nie ustaje w wysiłkach i nie przerywa rozpoczętego monumentalnego wydawnictwa. Nawet ostatnie lata, szczególnie ciężkie dla wydawców, przyniosły kilka nowych tomów „Dzieł" Słowackiego.

W myśl założenia wydawnictwa Zakładu Ossolińskich i redaktora „Dzieł", profesora Juljusza Kleinera, ma to być wydanie pomnikowe, a zarazem zupełne i krytyczne, ma służyć na szeregi lat, słowem ma być „editio ne varietur". Takiem też to wydanie jest. Każdy utwór opracowany metodą nowoczesnej krytyki tekstu drukowany jest w możliwie najbardziej autentycznej postaci i opracowany najwszechstronniej. Wstępy, poprzedzające każde z dzieł, są dwojakie: jeden jest historyczno-literacki, drugi filologiczny, dający historję tekstu i opis rękopisu. Wstęp krytyczny uzupełniają po każdym utworze: odmiany tekstu i objaśnienia wydawcy. Dla pełniejszego obrazu historji dzieła i dla pełniejszego zrozumienia zamierzeń poety, wydawcy niejednokrotnie drukują łącznie z danem dziełem dokumenty, mogące wprowadzić w lepsze zrozumienie tekstu, I tak np. w tomie III po „Anhellim" znajdują się urywki z listów Słowackiego, zawierające

objaśnienie symbolicznych scen i postaci, w tym samym tomie po „Trzech Poematach" i „Poemie Piasta Dantyszka" — artykuł krytyczny Ropelewskiego o tych dziełach i odpowiedź Słowackiego. A tego rodzaju dodatki są wszędzie tam, gdzie można było je wprowadzić.

W drukowaniu odmian tekstu przyjęto za zasadę wyodrębnienie ich zawsze od tekstu głównego. Wydawca stara się zawsze naprzód zrekonstruować tekst główny, a potem dopiero podać warjanty, również ułożone, o ile się da, w większej całości, jako rzuty pierwotne i odmienne redakcje. W ten sposób dopiero może czytelnik ocenić w pełni zamiary poety i zdać sobie sprawę z wartości i piękności wielu zarzuconych pomysłów. Metoda ta pozwoliła na wyodrębnienie wielu fragmentów i planów, które dotychczas tonęły niezauważone w chaosie rękopiśmiennych bruljonów; pozwoliła na nadanie odmiennej postaci wielu dawniejszym utworom i niejednokrotnie znane i dawniej fragmenty podała w postaci dopiero obecnie zrozumiałej. Jak wiele trudu, pracowitości, pomysłowości i intuicji wymagała ta praca, może ocenić ten, kto wie, jak wyglądają rękopisy Słowackiego. Kierując się intuicją z jednej strony, logicznem rozumowaniem z drugiej, wydawcy wprowadzają nieraz układ inny, niż w bruljonach poety, zachowują na dawnych miejscach strofy przekreślone, przesuwają inne, które poeta zapomniał przekreślić. Metoda filologiczna nie jest więc stosowana mechanicznie i bezmyślnie, ale dąży do wniknięcia w najistotniejsze intencje twórcy. Rezultaty wydała dodatnie.

Na końcu każdego z tomów znajduje się staranna i bardzo cenna bibljografja, odnosząca się do każdego z utworów zosobna i oświetlająca każdy z nich w sposób wszechstronny. Obejmuje ona bowiem nietylko wydania dzieł, ale i przekłady na obce języki, nietylko opracowania dzieł nowsze, ale i sądy i krytyki współczesne, nietylko wpływ danego dzieła na literaturę, ale i na inne sztuki piękne, jak malarstwo, muzyka, a przy dziełach dramatycznych zestawia pracowicie wiadomości o ich wystawieniu na scenie nietylko w teatrach większych miast, ale i w dziurach prowincjonalnych i na scenach amatorskich. Mówiąc o opracowaniach nie ogranicza się autor Bibljografji, prof. Wiktor Hahn, do prac wydanych osobno, ale uwzględnia również artykuły czasopism i odpowiednie strony dzieł ogólnych o twórczości poety.

Jak widać z samego zestawienia różnego typu opracowań, jest wydawnictwo „Dzieł wszystkich" niezbędną podstawą dla wszelkiej dalszej pracy naukowej nad życiem i twórczością Słowackiego. Wydawnictwo ma przynieść badaczom „oprócz autentycznego tekstu pogląd na całość wiedzy o Słowackim". Zwykłemu czytelnikowi zaś wydanie to „ma umożliwić — jak pisze

we wstępie Juljusz Kleiner — zrozumienie i pełne przeżywanie utworów, nie zmącone przez trudności, których niefachowiec przezwyciężyć nie potrafi, ma stwierdzić związki między różnemi dziełami poety, udostępnić istotne zdobycze badań i o ile możności zdobycze te wzbogacić; z czytelnikami też liczy się w sposobie podawania warjantów, dążąc do tego, by ogół zdołał z nich wydobyć jak najwięcej wartości".

Zwykłego czytelnika mają zbliżać do dzieła przedewszystkiem wstępy historyczno-literackie i objaśnienia. Wyszły one z pod pióra kilku autorów: samego prof. J. Kleinera, J. Ujejskiego, W. Hahna, J. Czubka. W opracowaniu „Wstępów" widać indywidualne różnice poszczególnych pracowników dość wyraźnie. Trudno je tu zestawiać. Ogólnie jednak można stwierdzić, że mimo tych różnic, duch naczelnego redaktora wydawnictwa panuje w całem dziele: raz dlatego, że on jest autorem większej części opracowań, powtóre dlatego, że inni pracownicy niejednokrotnie powołują się na dzieło Kleinera o Słowackim i bardzo wiele zagadnień oświetlają tak, jak oświetla je Kleiner. Opracowania nie wszystkie są równe, nawet te, które wyszły z pod jednego pióra. Do najlepszych zaliczyłabym opracowanie „Anhellego", wierszy drobnych z lat 1830—1840, „Króla-Ducha". Brak miejsca nie pozwala niestety na scharakteryzowanie wielu nadzwyczaj świetnych błysków myśli, wielu sformułowań o wielkiej wadze zarówno historycznej, jak artystycznej, jak i etycznej.

Objaśnienia są bardzo obfite, powiedziałabym niekiedy nawet za obfite, gdyż obejmujące zakresy zbyt dalekie od właściwego tekstu, ale zawsze interesujące i — z nielicznemi wyjątkami — trafne. W wielu miejscach stanowią szczegółowe uzupełpełnienia ogólnych twierdzeń Wstępów.

Nakoniec należy osobno wymienić obszerny Wstęp wydawcy (prof. J. Kleinera) do całości, zawarty w pierwszym tomie. Objaśniając i uzasadniając metody, przyjęte przez siebie, daje on w nim znakomitą rozprawę o metodach wydawniczych wogóle, pełną konsekwentnej myśli.

„Dzieła wszystkie" Juljusza Słowackiego — to wydawnictwo, bez którego nie może obejść się żadna poważniejsza bibljoteka; w kulturalnych domach prywatnych wydaje się też niezbędnem. Posiadanie go stanie się źródłem wielorakiej rozkoszy estetycznej: płynącej z przeżywania wielkiej poezji nadewszystko, ale także z podziwu, jaki rodzi wszelkie dzieło, wykonane w sposób przemyślany, konsekwentny i pełen „ładu"; „ładu" w tem pierwotnem znaczeniu, skojarzonem z wyrazem harmonji. Ten „ład" panuje również w zewnętrznej stronie wydawnictwa, jako źródło trzeciej, nie najmniejszej rozkoszy estetycznej.

Z. Ciechanowska.

Bogdan Suchodolski: Ideały kultury a prądy społeczne. Nakładem „Naszej Księgarni". Warszawa 1931, str. 525 in 8° z 16 portretami.

Do niniejszej książki przystępował recenzent z niemałem uprzedzeniem. Nie wystawiał sobie bowiem, żeby można dać jakiekolwiek pojęcie o myślicielach polskich ostatniej doby przez szczupłe, z konieczności, wyjątki z ich pism i żeby udało się te wypisy, ideowo tak niesłychanie rozbieżne, związać w jakąkolwiek całość. W miarę jednak zagłębiania się w tę pracę, uprzedzenie ustępowało przekonaniu, że P. B. Suchodolski bardzo dobrze wywiązał się z trudnego zadania i dokonał dzieła niemałej zasługi.

Jego punktem wyjścia jest zupełnie słuszna uwaga, że bezporównania więcej robi się u nas dla utrwalenia w pamięci narodu i udostępnienia dzieł literatury pięknej, niż dla płodów spekulatywnej myśli. Utwory poetów i powieściopisarzy polskich są wszystkim znane i w niezliczonych wydaniach dostępne; prace myślicieli są bardzo mało czytane i do odnalezienia przeważnie bardzo trudne.

Żeby temu smutnemu niedomaganiu choć w pewnej mierze zaradzić, podjął się P. S. ogromnej pracy, wydobycia i zestawienia w jednej książce, typowych dla twórczości swych autorów, wyjątków z dzieł pisarzy, którzy w ciągu ostatnich stu lat zajmowali się u nas zagadnieniami najszerzej pojętego kulturalnego życia. Wyjątki te grupuje Wydawca wedle pewnego schematu, którego główne rozdziały noszą napisy: Co jest kultura?; Czynniki rozwoju i sposoby organizowania życia zbiorowego; Konserwatyzm i radykalizm, Katolicyzm, Nacjonalizm, Socjalizm, Elementy ideologji ludowej.

Że w te ramy, jakkolwiek szerokie, cytowane urywki nie wchodzą całkiem dokładnie — to rzecz łatwo zrozumiała. Raczej dziwić się można, że mimo ogromnych trudności udało się jednak Wydawcy wcale niezłą całość zbudować.

Wyjątki w ogromnej większości dobrane są doskonale. Choć z konieczności ograniczają się do kilku lub najwyżej kilkunastu stron, dają jednak prawie zawsze pojęcie nietylko o stylu i psychice, ale o systemie myślowym autora. I owszem wyjątki te same przez się są nieraz bardzo interesującą odpowiedzią na jeden jakiś określony problem. Z tego względu mogą dopomóc nietylko do orjentacji w dziejach myśli polskiej i poznaniu pisarzy, ale i w samej naturze zagadnień.

Rzecz zupełnie zrozumiała, że w tego rodzaju wypisach nie można było brać w rachubę meritum, t. zn. uzasadnienia i objektywnej prawdy cytowanych ustępów. Stąd spotykają się obok siebie diametralnie przeciwne poglądy i to nietylko w sprawach podległych dyskusji, ale w rzeczach, o których poważna, a tem bardziej katolicka nauka ma zupełnie wyrobione zdanie. Z takich ustępów bezwzględnie i wysoce fałszywych wystarczy wymienić

np. wyjątki z pism Erazma Majewskiego, S. Goszczyńskiego, R. Dmowskiego i szereg innych. Są zato inne liczniejsze ustępy, ideowo zupełnie nienaganne a rzeczowo bardzo ciekawe. W wyborze tytułów i autorów dał wogóle pan S. dowód wielkiego objektywizmu i spokojnego sądu.

Co jednak przedewszystkiem podnieść trzeba, to wielką staranność opracowania i wydania. Jest to rzeczywista przyjemność widzieć jak Wydawca szanuje swą pracę i Czytelnika. Wyborne wstępy, doskonałe bibljograficzne notatki, starannie zrobione i dobrze dobrane portrety, liczne i bardzo sumienne przypiski. Jeśli te ostatnie wydają się niekiedy zbyt drobiazgowe, trzeba pamiętać, że dzieło ma na oku i szkołę. Jednem słowem znać w całej pracy wielkie przyłożenie, do którego Spółka wydawnicza „Nasza Księgarnia" dostosowała poziom, zewszechmiar udatnej zewnętrznej szaty książki. Podnieść to trzeba tem bardziej, że w obecnych warunkach wydanie większego dzieła jest aktem prawdziwej odwagi.

Podobno od rozejścia się tego tomu zależeć ma ukazanie się 2-go, który ma pod wielu względami pierwszy ten tom uzupełnić. Jeśli tak jest, życzymy serdecznie, by pierwszy ten tom znalazł jak najliczniejszych nabywców, bo całość tego dzieła odda wielkie usługi nauce polskiej.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Józef Starzewski: Ze wspomnień o Michale Starzewskim Kraków, 1932, Nakładem rodziny.

Każdy z nas żałuje dzisiaj, że za młodu nie słuchał uważniej opowiadań jakiegoś stryja czy babki, którzy, mało się już interesując otaczającem ich życiem, lubili gwarzyć o tem, „jak to bywało dawniej", jakie były zwyczaje i zabawy, jakie troski, jak we współczesnych umysłach odbijały się wypadki, które dziś dla nas są już tylko mniej lub więcej martwemi faktami historycznemi, jak naprawdę żyli, kochali, kłócili się i walczyli ci wszyscy uroczyści panowie ze sztychów i portretów. Dziś zdajemy sobie sprawę jaką cenę mogły mieć te drobne szczegóły i szczególiki, te scenki rodzajowe i anegdoty, jak mogły nam charakterystycznym rysem ożywić ludzi i epoki powlekające się coraz bardziej martwotą drukarskiego czernidła. A ileż ciekawych pełnych wdzięku listów i zapisków poszło do pieca lub pod placki po różnych polskich domach, po różnych dworach i dworkach, nie mówiąc już o tych wszystkich dokumentach i zabytkach, które zginęły w wojennych zawieruchach! Toteż, gdy ktoś z tego dawnego polskiego życia z jego obyczaju, rozmachu, dowcipu i anegdoty, a tem bardziej z jego tradycji, wdzięku i szlachetnej romantyczności uratuje i umiejętnie wyzyska, ma on wobec historji i kultury prawdziwą zasługę. Tak właśnie uczynił

Józef Starzewski, pisząc i wydając wspomnienia o swoim dziadku Michale Starzewskim.

Michał Starzewski — jak to pisze autor w przedmowie — jest to „żywy, niezwykle ciekawy typ romantyka z początku dziewiętnastego wieku, trochę muzyk, trochę malarz, trochę poeta, z krwi i kości żołnierz, tkwiący bezpośrednio w końcowym okresie epopeji napoleońskiej, a jednak przecie dziecko saskiego baroku", Michał Starzewski, jako już przeszło 80 letni staruszek, uczył władać szablą Kazimierza Tetmajera. W przerwach opowiadał mu przygody swego bujnego i burzliwego życia, a Tetmajer, patrząc na tę charakterystyczną postać, powziął myśl do napisania swej głośnej noweli „Ksiądz Piotr".

Józef Starzewski pisał swe wspomnienia o dziadku na podstawie zachowanych listów, ale jeszcze bardziej na podstawie wspomnień osobistych i żywo w rodzinie zachowanej tradycji. Zastrzega się w przedmowie, że nie jest pisarzem, ale prosty jego i barwny styl, żywość opisów, pełne humoru i zacięcia odtwarzanie scen charakterystycznych i zabawnych anegdot zadają kłam temu twierdzeniu, a pełna wdzięku postać starego żołnierza i fechtmistrza wychodzi jak żywa z pod — jeśli już nie fachowego — to w każdym razie zawsze żywego i inteligentnego pióra jego wnuka. Zwłaszcza rozdziały ostatnie, gdzie autor opowiada to, co sam pamięta, świadczą już niewątpliwie o jego literackim talencie. Obrazki z życia rodzinnego, gdzie staruszek już prawie 90-letni przyjeżdża na lato do syna i żywo zajmuje się wychowaniem wnuków, starając się w nich wpoić całą żołnierską tężyznę i cały patrjotyczny romantyzm swej młodości, są poprostu doskonałe. I choć te wspomnienia rodzinne nie przynoszą napewno żadnych historycznych rewelacyj, zachowują jednak zawsze wartość autentycznego dokumentu. Obok wielkich płócien historycznych, pozostaną barwną i pełną wdzięku miniaturą, minjaturą robioną udatnie i „z życia", a może staną się zachętą i dla innych, do utrwalenia w zdjęciach migawkowych tego, co w pamięciach i zakurzonych papierach drzemie jeszcze z dawnego polskiego obyczaju i ducha.

Zofja Starowieyska - Morstinowa.

Irena Gałęzowska: Ferment snobizmu. Studjum krytyczne. Wydawnictwo Ludwika Fiszera, Warszawa-Łódź-Katowice 1932. str. 101.

Książka panny Ireny Gałęzowskiej o snobizmie jest jedną z tych książek, które u czytelnika wywołują chęć dyskusji. Już to samo jest dowodem, że książka jest ciekawa, że jest pisana żywo i zajmująco i że należy do rzędu dzieł, które pobudzają myśli i otwierają przed nią szerokie pole do spekulacji. Autorka zastanawia się nad etymologją słowa snobizm, wylicza różne gatunki snobizmu, zajmuje się rozważaniami biologicznemi na temat dziedziczności, przechodzi różne urządzenia kastowe i klasowe

u ludów wschodnich, a w zakończeniu streszcza w krótkich jasnych słowach wszystkie swoje poglądy na tę sprawę.

O przyrodniczej części książki trudno mi dyskutować z powodu braku fachowego wykształcenia, jednakowoż wydaje mi się ona nieco tendencyjna, bo o ile mi wiadomo nauka doby ostatniej bynajmniej teorji dziedziczności nie osłabiła, przeciwnie, Mendelizm na nowe pchnął ją tory, a twierdzenie, że dziedziczy się wyłącznie cechy zewnętrzne, a nie psychiczne i umysłowe, wydaje mi się dość sztuczne, choćby z powodu ścisłej współzależności, jaka zachodzi między cechami fizycznemi a duchowemi człowieka. O tej tajemniczej współzależności wiedział już św. Tomasz, a dzisiejsza biologja coraz bardziej ją potwierdza. P. Gałęzowska w wierze w dziedziczność upatruje podstawę różnych rodowych zarozumiałości i ekskluzywności. Nie zdaje mi się, żeby miała rację. Wzgląd na zdrowie i ewentualne dziedziczne dobre lub złe obciążenia mających się narodzić dzieci przy zawieraniu małżeństw nie jest snobizmem, a przeciwnie, często snobizm w braniu pod uwagę tych względów przeszkadza. Snobizm jest przekładaniem wartości fikcyjnych i konwenansowych nad wartości istotne, a nie stwierdzeniem czy uznaniem faktu, że w jednej rodzinie powtarzają się często talenty malarskie a w drugiej pisarskie.

Drugi punkt, co do którego możnaby z autorką dyskutować dotyczy już nie interpretacji istoty snobizmu, ale jego rozpowszechnienia. Naprzód nie wydaje mi się, aby to była wada specjalnie polska (nie można znowu wszystkich wad unaradawiać). O ile wiem snobizm, ten typowy towarzysko-arystokratyczny jest w takiej Anglji czy Niemczech o wiele powszechniejszy i głębszy i to co się słyszy o różnych towarzyskich i rodowych ekskluzywnościach zagranicy wydaje nam się poprostu śmieszne. Autorka miała jakiegoś specjalnego pecha, że spotykała ludzi, którzy uważali, że panny z t. zw. dobrych domów nie mogą pracować i zarabiać, że Paderewski to „nie żadna rodzina" i t. d. Przyznam szczerze, że myślałam, iż takie typy istnieją już tylko w powieściach Mniszchównej... Wojna i kryzys przyczyniły się niezmiernie do uproszczenia i ułatwienia życia towarzyskiego. Ludzie stanęli wobec zbyt poważnych zagadnień, zbyt ciężka jest walka o byt, żeby mieli czas, czy ochotę zajmowania się takiemi kwestjami i sprawami jak segregowanie drugich według jakiejś snobistycznej hierarchji, i muszę powiedzieć, że z przyjemnością konstatuję, że z roku na rok ta kategorja myślenia zanika i dziś już się jej prawie dopatrzeć nie można. A jeżeli taki rozbrajająco-naiwny snobizm, jakiego przykłady p. Gałęzowska cytuje, istnieje jeszcze naprawdę, to nie zasługuje chyba na nic innego, jak na uśmiech i wzruszenie ramionami.

Jakkolwiek różnię się z p. Gałęzowską w interpretacji snobizmu a zwłaszcza w ocenie jego dzisiejszej rozciągłości, to go-

dzę się całem sercem w jego potępieniu. Wątpię, żeby ktokolwiek mógł p. Gałęzowskiej zarzucić radykalizm czy socjalizm, jak się tego obawia, przeciwnie szlachetność jej zapatrywań i ich głęboka a mądra religijność musi każdego sympatycznie do autorki usposobić.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Skarby przyrody i ich ochrona. Praca zbiorowa pod redakcją Władysława Szafera. Nakładem Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Warszawa 1932, str. 63.

Z radością trzeba powitać tę książkę, stanowiącą jakby encyklopedję i podręcznik ochrony przyrody, dotąd bowiem zapoznanie się głębsze i wszechstronniejsze z ogromem zagadnień, związanych i z samą ideą i z jej realizacją, nie było rzeczą łatwą. Dostępnem było to poznanie dla tych, co posiadając pewne wykształcenie przyrodnicze, mogli studjować czy to cenne pod względem naukowym roczniki Ochrony Przyrody, wydawane przez P. R. O. P. od r. 1921, czy też ukazujące się z tegoż źródła opracowania monograficzne. Okolicznościowe artykuły i notatki w czasopismach perjodycznych, jakkolwiek coraz częstsze, nie mogły naturalnie dać całokształtu zagadnienia.

Trudności powyższe znikają z chwilą wydania tej książki, opracowanej przez najlepszych nietylko znawców, ale wyznawców, bojowników, a nieraz i bezkrwawych męczenników idei ochrony przyrody, co torują jej drogę coraz jaśniejszą poprzez ciernie niezrozumienia przez część społeczeństwa, wśród wielkich trudności materjalnych, poprzez wszystkie walki z wandalizmem i krótkowzroczną, chciwą gospodarką ludzką, co niszczy bezpowrotnie wartości przyrody, których w imię samegoż dobra i pożytku ludzkiego niszczyć nie wolno.

Książka daje przegląd zagadnień, naprz. z historji ruchu ochrony przyrody dowiadujemy się, że już od Piastów i Jagiellonów Polska posiadała pewne ustawy z tego zakresu, że nawet w ciężkich warunkach pod zaborami zdobyliśmy na sejmie krajowym we Lwowie w r. 1868 pierwszą na całą Europę ustawę, chroniącą faunę Tatr z pobudek naukowych. Bardzo ciekawe są też dzieje pracy na tem polu w niepodległej już Polsce.

Fachowo i wielostronnie, ze znajomością zarówno idealnych jak i materjalnych potrzeb człowieka oraz wymogów techniki i cywilizacji omawiane są zagadnienia ochrony roślin, zwierząt, przyrody martwej, zagadnienie zachowania piękna i zasobów zdrowotnych, jakie w pełni dać może tylko prawdziwa, nie „imitowana" przyroda.

Rozdziały o organizacji ochrony przyrody u nas i zagranicą, o tem, cośmy już zdobyli czyta się z pewną słuszną dumą, gdyż zarówno statystyka, jak i liczne fotografje z naszych Parków Narodowych i rezerwatów, mówią wiele. Temu, kto zapoznał się

z treścią książki narzuca się zachęta nietylko do ukochania, ale i do głoszenia idei oraz głębokie przekonanie, że „Ochrona Przyrody nietylko uszlachetnia oblicze ziemi, ale — przez pewną postawę psychiczną, jaką, chroniąc przyrodę, przyjmujemy — uszlachetnia ona także człowieka".

S. Ch.

T. Mańkowski: Galerja Stanisława Augusta. Lwów 1932. Wydawnictwo Zakładu Nar. im. Ossolińskich, str. 528, tabl. 155.

Cały szereg wydawnictw Ossolineum, jakie w ostatnich latach się ukazały, noszą cechę monumentalności, a to tak co do rozmiarów, jak i bogactwa ilustracji, przewyższa je wszystkie dzieło zacytowane. Napisane przy współudziale Z. Batowskiego, K. Brokla i M. Morelowskiego, dzieli się wyraźnie na 3 części: a) historję Galerji Królewskiej, b) katalog obrazów i c) ilustracje.

Monografja dziejów galerji stworzonej i tak bardzo umiłowanej przez ostatniego króla naszego jest bardzo szczegółowo opracowana i opiera się na materjałach archiwalnych, jakich dostarczyły Muzeum Czartoryskich w Krakowie, Ossolineum we Lwowie, Archiwum Główne, Bibljoteka Krasińskich, Uniwersytecka i Zbiory państwowe w Warszawie, a przedewszystkiem zbiory hr. Potockich w Jabłonnie. Autor zaczyna od młodych lat Stan. Augusta, podkreśla jego wychowanie artystyczne i zmysł do sztuki, kontakt z życiem artystycznem Paryża i jego wielkie zamiary rozbudzenia takiegoż życia w Polsce po uzyskaniu przezeń tronu.

Niezwykle zajmująco opisuje autor samo tworzenie się galerji królewskiej, z małych początków powstałej, bo z pozostałości z czasów saskich i z zbiorku prywatnego króla. Widzimy jak gorliwie pomagał królowi Baciarelli, jak wykonywali zlecenia artystyczne króla jego zastępcy dyplomatyczni zagranicą oraz jego specjalni agenci, po obrazy wysyłani. Takimi byli van Aalst i Iver w Holandji, Deseujaus w Londynie, M. Geoffrin i Schmidt w Paryżu, Antici w Rzymie. Poza tem król kupował od przyjeżdżających do Warszawy antykwarzy, nabywał przez korespondencję lub otrzymywał w podarunku. Na jego polecenie szereg artystów, jak Tokarski, Wojniakowski, Wall, Scisło, kopjowało w kraju i zagranicą obrazy wybitnych mistrzów dla galerji królewskiej.

W ten sposób stworzył król olbrzymią galerję, przeszło 2000 płócien liczącą i porozmieszczał je w swoich rezydencjach, jak w Zamku warszawskim, pałacu pod Blachą, w Łazienkach, Ujazdowie, Belwederze i Kozienicach. Jednakże przyszły rozbiory kraju i całym ogromem przygniotły właśnie majątek królewski. Prędka śmierć króla 1798 r. dopełniła zamieszania, w czasie którego wiele obrazów rozkradziono. Pałac w Kozienicach zrabowali Austrjacy, z Warszawy wywieźli wiele Rosjanie i Prusacy.

Zwłaszcza rząd pruski miał ochotę całą galerję zabrać w swoje ręce, usiłując udowodnić, że to mienie państwowe, a nie prywatne. Trzeba było znacznych wysiłków ze strony różnych czynników, by *gros* galerji uratować dla spadkobierców królewskich, specjalnie dla ks. Józefa Poniatowskiego. Była to już galerja mocno uszczuplona przez kradzieże, a także przez samego króla, który, wyjechawszy po abdykacji z kraju, zrezygnował z boleścią w sercu ze swoich artystycznych planów i dużo obrazów rozdarował.

Groźną sprawą dla ks. Józefa i odziedziczonej przezeń galerji były długi królewskie i pretensje wierzycieli. Aby jej częściowo zaradzić, sprzedał w 1809 r. wszystkie obrazy i ruchomości w Zamku warszawskim się znajdujące Fryderykowi Augustowi saskiemu za 54 000 talarów. Poza tem sprzedał wiele ordynatowi Zamoyskiemu, Michałowi ks. Radziwiłłowi i J. Ossolińskiemu. Gdy zginął pod Lipskiem 1813 r., spadkobierczynią jego zbiorów i resztek galerji została jego siostra Teresa z Poniatowskich Tyszkiewiczowa, która w dalszym ciągu sprzedawała obrazy królewskie, zarówno z wolnej ręki, jak i przez licytacje. W latach 1815—19 zebrano z tego tytułu 1515 dukatów i 134.151 złp. Resztki galerji sprzedano w 1821 r. Antoniemu Juziemu za ryczałtową sumę 135 000 złp.

Jeżeli powyższej historycznej części dzieła nie mamy nic do zarzucenia, to inaczej jest z drugą częścią tej książki, z katalogiem galerji. Za podstawę do wydania tego katalogu służył autorowi rękopis z 1795 r., który naturalnie nie odpowiada pod żadnym względem dzisiejszym wymogom inwentaryzacyjnym. Autor zaopatrzył go w własne uwagi, przepełnione jednak cyframi i skróceniami do tego stopnia, że niezmiernie trudno jest się w nim zorjentować. Dochodzi do tego brak jakiegokolwiek porządku alfabetycznego, pomieszanie wszystkich szkół malarskich i epok i zupełnie niedostateczne opisanie obrazów. Pewnym jaśniejszym momentem są notatki przy każdym obrazie, mówiące co się z nim stało i w jakie poszedł ręce, ale tu pokazuje się, że autor nie badał osobiście wszystkiego i polegał na relacjach nieraz błędnych lub niedokładnych. Tak przy słynnej elekcji królewskiej, malowanej przez Canaletta, należało koniecznie zaznaczyć, że tak obraz znajdujący się dziś w Muzeum Wielkop. w Poznaniu, jak i jego replika w pałacu Raczyńskich w Warszawie, są oryginałem Canaletta, natomiast trzeci obraz w zamku warszawskim jest kopją robioną przez Paderewskiego. Tak samo sprostować należy, że pastel Marteau'a z portretem ks. Andrzeja Poniatowskiego znajduje się nie w Muzeum Wielkopolskiem w Poznaniu, lecz w Muzeum Narodowem w Warszawie, etc.

Mimo tego chaosu i usterek w objaśnieniach, daje ten katalog przynajmniej ogólne wyobrażenie o ogromie królewskich zbiorów. Podaje bowiem 2289 obrazów, 247 minjatur, 120 rysunków oprawnych, oraz 38 gwaszów. Dodane w 3 części repro-

dukcje celniejszych obrazów na 155 tablicach światłodrukowych nie noszą niestety podpisów, poza tem jednak nie zostawiają nic do życzenia.

M. Gumowski.

Ks. Bol. Makowski: Sztuka na Pomorzu, jej dzieje i zabytki, Toruń 1932, Wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego tom IX, stron 250. tablic 20 i ilustracje.

Ruchliwy Instytut Bałtycki w Toruniu poświęcił IX tom swoich „Pamiętników" wydawnictwu z zakresu historji sztuki, jakie oddawna mocno było potrzebne. Pod względem bowiem zabytkowym było polskie Pomorze przez naukę naszą silnie zaniedbane, a przy rozprawach ogólniejszych prawie że nie brane w rachubę. Powodem była pewnie świadomość, że sztuka średniowieczna na Pomorzu, to sztuka obca, krzyżacka i że z czasów przedkrzyżackich żadnych zabytków tam niema. Zapomina się jednak o tem, że w epoce późniejszej, XVI—XVIII wiek, prowincja ta uległa bardzo szybko kulturze i sztuce polskiej i była klasycznym terenem polskiej ekspansji.

Nie mogli tego nie widzieć badacze niemieccy, jak Heise, Steinbrecht, Heuer, Ehrenberg, ale jakby zmówieni trzymali się jednej taktyki: zamykali oczy na zabytki sztuki i kultury polskiej, z okresu zwłaszcza baroku i rokoka, a podkreślali jedynie zabytki kultury niemieckiej z czasów krzyżackich. Co więcej, w czasach porozbiorowych tylko te otaczano opieką, natomiast zabytkom polskim pozwalano niejednokrotnie niszczeć.

Dopiero w najnowszych czasach dwie prace, więcej informacyjne niż naukowo artystyczne, otworzyły oczy na szereg licznych polskich zabytków na Pomorzu, a to przewodnik Orłowicza i „Diecezja chełmska" wydana pod kierunkiem bisk. Okoniewskiego. Pierwszą zaś fachową pracą na ten temat to zacytowana w nagłówku rozprawa ks. Makowskiego.

Rzecz ujęta jest chronologicznie z wzorem monografji o Krakowie lub Poznaniu i przechodzi wszystkie zabytki epokami według stylów: romańskiego, gotyckiego, renesansu etc. Omawia naprzód zabytki architektury, potem rzeźby, malarstwa, przemysłu artystycznego etc. Style te panowały na Pomorzu w tych samych okresach czasu co i gdzieindziej, ale początki ich były zwykle spóźnione o parę lat dziesiątków. Tak np. sztuka renesansu zapanowała tu dopiero w połowie XVI wieku, barok dopiero w ostatnich latach Zygmunta III, rokoko przy końcu panowania Augusta III, wszystko zatem znacznie później niż w południowych prowincjach Polski.

Zabytki sztuki pomorskiej wykazują w swej większości silne wpływy dwóch przedewszystkiem centrów kulturalnych, a to w średnich wiekach wpływy przeważnie gdańskie, a w czasach nowszych krakowskie. Gdańsk wywierał na całe Pomorze bardzo

silny wpływ zarówno ekonomiczny jak i kulturalny i to we wszystkich epokach. Artyści gdańscy, zwłaszcza malarze i złotnicy, rozsiewają dzieła swej sztuki po wszystkich miastach i kościołach pomorskich. Ale, od XVI wieku począwszy, przychodzą obok nich do głosu i artyści krakowscy i inni z Polski powoływani, zwłaszcza rzeźbiarze i architekci, którzy na zamówienie szlachty pomorskiej wznoszą liczne kościoły, pomniki i epitafia.

Pierwiastek krajowy, pomorski występuje tu bardzo słabo. Wybija się nieco malarz chełmiński XVII wieku Jan Krüger, architekt E. Schroeger z Torunia, malarz Stan. Cichoniowski z Chełmna, O. Szteyner z Grudziądza w XVIII wieku i paru złotników toruńskich z tego wieku, z których zresztą jeden urodził się w Wieliczce, drugi we Lwowie, trzeci w Nieszewie i t. d.

Nie wiemy, dlaczego autor kończy swoją rozprawę na początkach XIX wieku i pomija prawie zupełnie wiek ostatni. W każdym razie daje bardzo pouczające zestawienie i zgrupowanie zabytków pomorskich, a przedewszystkiem pierwszą u nas syntezę dziejów artystycznych Pomorza, za co mu się prawdziwa wdzięczność należy.

M. Gumowski.

M. Gumowski: Pieczęcie i herby miast wielkopolskich. Poznań 1932, stron 406 z ilustr. Odbitka z *Ruchu Samorządowego*. 1930—32.

Początek tej pracy sięga jeszcze czasów Ministerstwa b. dzielnicy pruskiej, które w tym celu nawet ankietę między miastami rozpisało. Zebrane wtedy materjały uzupełnił autor własnemi badaniami po rozmaitych archiwach i muzeach krajowych, przyczem z natury rzeczy najwięcej dostarczyło Archiwum państwowe w Poznaniu i to zarówno pieczęci na dokumentach, jako też i oryginalnych tłoków pieczętnych.

W ten sposób powstała rzecz, której potrzeba oddawna dawała się odczuwać. Mimo że województwo poznańskie zachowało w dużej mierze dawne tradycje i pamiątki, przecież nie należy do rzadkości, że dane miasto zapomniało zupełnie o swem godle, inne znów wolało się pieczętować herbem państwowym czyli orłem polskim, a inne znów umieściło wprawdzie na dzisiejszej pieczęci herb własny, ale w tak sfałszowanej formie lub z takiemi dodatkami, że zmieniło zupełnie pierwotną jego heraldyczną linję i znaczenie. Temu wszystkiemu stara się autor zaradzić, dając przy każdem mieście przegląd wszystkich jego pieczęci, jakie tylko odnaleźć się dały i rysując jego herb, który jest niejako syntezą jego badań.

Autorowi udało się odnaleźć blisko 160 miejscowości herbowych w dzisiejszem wojew. poznańskiem i to nietylko miast i osad, które niegdyś miastami były, ale i szeregu wsi wielkopolskich. Tem samem obala dawne i powszechne mniemanie,

jakoby wsie nie miały własnych herbów. Tymczasem herby wiejskie weszły w użycie z chwilą otrzymania samorządu przez gromadę wiejską, co działo się w dawnej Polsce na podstawie prawa niemieckiego lub holenderskiego (stąd nazwa wsi Holendry), a w czasie zaborów na podstawie ordynacji gminnej. Herby wiejskie sięgają też u nas XVII wieku, przeważnie jednak pochodzą z 2 połowy wieku XVIII. Poza tem jest rzeczą jasną, że miasto, jeżeli spadło do rzędu wsi, herb dawniejszy zatrzymuje i nadal.

Daleko starsze są herby miejskie, gdyż z reguły sięgają czasów założenia miasta na prawie magdeburskim. Zakładanie także miast czyli lokacja odbywało się w Wielkopolsce od XIII aż do XVIII wieku, przyczem do najstarszych należą Gniezno, Powidz, Inowrocław i Poznań, do najmłodszych zaś Rawicz, Mieszków, Radolin etc. Utworzenie się ich herbu zależało od rozmaitych okoliczności i było przeważnie samorzutne. Nader mały jest procent herbów zgóry nadanych. Zwykle obierało sobie miasto samo swoje godło, dając w niem symbol swoich murów, swojego patrona lub właściciela, albo przedmiot wskazujący na nazwę miasta. Ze zmianą właścicieli zmieniał się często i herb miasta, do nich się odnoszący.

Przy każdym herbie stara się autor podać i jego barwy heraldyczne, opierając się w bardzo niewielu wypadkach na autentycznych danych, przeważnie zaś kierując się tylko ogólnemi regułami, jako jedyną wskazówką.

Życzyćby należało, by praca o herbach wielkopolskich, tak pożyteczna w dzisiejszych czasach, była pierwszym tomem Wydawnictwa, obejmującego wszystkie województwa polskie pokolei.

M. G.

Karol Iwanicki, inż. arch.: Kościoły i kaplice w Kijowie. Warszawa. Str. 88.
Tenże: Katedra w Kamieńcu. Str. 33.

Dwie te prace, pięknie wydane in 4^0, z licznemi ilustracjami planów miast i kościołów, wyszły z pod pióra wielkiego miłośnika zabytków polskiej kultury na wschodnich rubieżach dawnej Rzeczpospolitej, kultury obecnie owładniętej i niszczonej przez bolszewizm. Autor zajął się katedrą w Kamieńcu i kościołami w Kijowie, przyczem nie ogranicza się do ich opisu i ilustrowania, ale sięga do historji ich powstawania na tle dziejów politycznych i kultury. Miłośnicy rzeczy ojczystych chętnie umieszczą w swoich bibljotekach te wspomnienia o rzeczach, które — przynajmniej do czasu — wyrwane zostały z żywego ciała kultury katolicko-polskiej. Ale trzeba tu zauważyć, że historyczna część książek Iwanickiego nie stoi na poziomie równym z szatą estetyczną i częścią techniczną. Może autor nie miał możności prowadzenia dokładniejszych studjów nad przeszłością Rusi, — dosyć, że zbyt

serjo traktuje legendy, które nauka rozwiała (naprz. o pracach apostolskich św. Andrzeja na Rusi), zbyt dowolnie ulega pewnym hipotezom. Także słownictwo jego, zwłaszcza kiedy oskarża rząd rosyjski, oburza się na nacjonalizm obcy i t. p., nie jest wolne od wyrażeń popularnej publicystycznej gwary, której należy unikać w poważnych publikacjach.

J. U.

Karl Freckmann: Kirchenbau. Ratschläge und Beispiele. Herder. 1931, str. VIII, 152 i 132 rycin.

Książka Freckmanna ma cel wyłącznie praktyczny, przeznaczona dla architektów i duchowieństwa, przynosi praktyczne wskazówki o budowaniu kościołów, zaczynając od wyboru miejsca, a kończąc na ogrzewaniu. Autor podaje nawet kalkulację cen, przedstawionych jako przykład kościołów, i umożliwia w ten sposób zupełnie dokładne poinformowanie się zainteresowanym. Tak praktycznie i celowo ujęta książka odda napewno dobre usługi duchowieństwu i architektom. Jest jedna rzecz w książce Freckmanna, która szczególnie uderza. Oto autor świadomie abstrahuje od strony artystycznej współczesnej niemieckiej architektury kościelnej i nie wypowiada się, poza kilku ogólnikami, w tej tak ważnej i dyskutowanej sprawie. Tego stanowiska nie mógłby już utrzymać dzisiaj, po ostatnich bardzo ostrych i krytycznych wypowiedzeniach się Ojca św. Wśród licznych reprodukcyj nowych niemieckich kościołów ostatnich lat, nie spotykamy ani jednego dzieła poważniejszego; są to prawie wyłącznie, poza kilku kościołami wzniesionemi w zmodernizowanym lekko baroku, same fabryki, hale maszyn, stodoły lub piwnice, a więc fomy sprzeczne zarówno z tradycją sztuki kościelnej jak i z duchem katolicyzmu i jego liturgji. Jest to jeden jeszcze dowód bardzo wielkiego upadku sztuki, a zwłaszcza architektury niemieckiej, niestety tak ślepo naśladowanej przez wielu polskich budowniczych.

S. B.

Ks. Biskup Bougaud: Credo. Dogmaty. Wyd. 2. Nakł. Księgarni św. Wojciecha, str. VII + 376.

Dzieło pięciotomowe francuskiego teologa i apologety Bougaud'a: „Chrystjanizm i czasy obecne" cieszyło się w Polsce już przed wojną niemałą poczytnością, dzięki swemu lekkiemu stylowi i interesującemu przedstawieniu przedmiotu. Księgarni św. Wojciecha zasługę będzie stanowiło nowe polskie wydanie całego tego dzieła. Właśnie opuścił prasę tom trzeci: Credo, omawiający poszczególne dogmaty chrześcijańskie. Życzyć należy, by rozszedł się szeroko po rękach czytających katolików i spełniał swe zadanie budzenia w umysłach zainteresowania dla chrześci-

jaństwa, które, niestety tak często i u wielu, jest beztreściową pustą formułką.

Ale trzeba zrobić jedno zastrzeżenie. Ks. Bougaud nie pisał dla fachowych teologów i ci o tem wiedzą i u niego zdobyczy naukowych szukać nie będą. Co więcej, nauka od czasów napisania tego dzieła postąpiła znacznie i teologja dziś jest dużo ostrożniejsza w swoich twierdzeniach, niż dawniej, zwłaszcza w rzeczach stojących na pograniczu prawd wiary a nauk przyrodniczych i historycznych. Dziś nie będzie teolog w tłumaczeniu hexaemeronu trzymał się ściśle konkordyzmu, ani za autora *Quicumque* podawał św. Atanazego. Nawet w zagadnieniach ściśle teologicznych, jak np. w rozumieniu istoty grzechu pierworodnego, nie każdy pójdzie za zdaniem biskupa Bougaud'a, będącego echem przesadnego augustynizmu. Dlatego szkoda, że przy wydaniu polskiem nie postarano się o pewne rozgraniczenie, zapomocą przypisków lub ogólnego wstępu, tego, co w dziele ks. Bougaud'a jest niewątpliwie nauką Kościoła, od tego, co było opinją ks. Bougaud'a lub współczesnych z nim i jego szkoły teologów. Dla fachowego teologa takie rozgraniczenie jest zbędne, ale dla czytelników, na jakich książka jest obliczona, jest prawie konieczne. Konieczne, by nie uważali wszystkiego za naukę Kościoła, za dogmat, co ks. Bougaud mówi.

Ks. J. Urban.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków.

Władysław Kuraszkiewicz: Studja nad polskiemi samogłoskami nosowemi. Str. 144.

Bronisław Pawłowski: Dziennik historyczny i korespondencja polowa generała M. Sokolnickiego 1809 r. Str. 135.

Tadeusz Kowalski: Les Turcs et la langue turque de la Bulgarie du Nord-Est. Str. 28.

Alexander Turin: De Codicibus Pindaricis. Str. 90.

Prace Komisji Historji sztuki. Tom V, zesz. II. (St. Tomkiewicz: Obraz Matki B. Częstoch,; Wł. Tatarkiewicz; Trzy dwory podlaskie; Sprawozdania z posiedzeń). Z ilustracjami.

Przegląd Historji Sztuki. Rocznik II, zeszyt 3—4.

Sprawozdania z czynności i posiedzeń P. A. U. Czerwiec 1932, lipiec — wrzesień 1932, październik 1932.

Bulletin International de l' A. P. des Sciences et des Lettres-Classe de Philologie; classe d'Histoire et de Philosophie. Janvier-mars 1932.

Nakładem różnych.

Kaźmira Berkanówna: Ty i ludzie. Poznań 1933, str. 88. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha.

Ks. Dr. Stan. Trzeciak: Zyd jako obrońca ślubów cywilnych i rozwodów dla katolików. Warszawa 1932, str. 95.

Jalu Kurek: Śpiewy o Rzeczypospolitej. Poezje. Kraków 1932. Str. 45.

M. Pacoszyński: Kto jest obowiązany do prowadzenia ksiąg handlowych według przepisów nowego Kodeksu Karnego etc. Grudziądz 1933, str. 29.

L. S. J. L. O. P. P. do Polskiego Duchowieństwa Katolickiego. Ze słowem wstępnem Ks. Prymasa. Warszawa, str. 40.

Skrócony Przewodnik Tow. św. Wincentego a Paulo. Poznań 1932, str. 145. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha.

Leon Halban: Zanik supremacji państwa nad Kościołem w Niemczech. (Z Pamiętnika Historyczno-Prawnego), Lwów 1933, str. 57.

Jan Mosdorf: Czy Comte był pozytywistą? Warszawa 1932, str. 22.

Wiktor Piotrowicz: Unja i dyzunja kościelna w Polsce. Wilno 1933, str. 129.

Harold Auten: Statki-pułapki. Przełożył z ang. M. Stankiewicz. Warszawa, Główna Księgarnia Wojskowa, 1932, str. IV+210, z ilustr.

Kajetan Czarkowski-Golejewski: SP—AEU. 13 dni lotu nad Azją. Warszawa, Główna Księgarnia Wojskowa, 1932, str. 121, ilustr.

Jarosław Iwaszkiewicz: Panny z Wilka. Powieść. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1933, str. 212.

Wincenty Rzymowski: W walce i burzy. Tadeusz Hołówko na tle epoki. Nakł. autora, skład główny: Książnica-Atlas, str. 448.

Ernest Barker: Charakter narodowy i kształtujące go czynniki. Z ang. przełożyła I. Pannenkowa. Nakł. „Naszej Księgarni" Związku Naucz. polskiego, Warszawa 1933, str. 460.

Kazimierz Zienkiewicz: Wspomnienia powstańca 1863 r. Warszawa 1932, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, str. XXI+340.

Dr. Wilh. Reinhard: Katolik świecki w nadprzyrodzonym organiźmie Kościoła. Tłum. z niem. Ks. J. Korzonkiewicz. Poznań 1933, nakł. Instytutu Akcji kat., str. 24.

Rocznik Tatarski. Czasopismo naukowe, literackie i społeczne, poświęcone historji, kulturze i życiu Tatarów w Polsce. Tom I. Wyd. Rady Centralnej Związku Kulturalno-oświatowego Tatarów Rzpltej Polskiej. Wilno 1932. Str. XX+366 i 21 ilustracyj.

Gustaw Morcinek: Chleb na kamieniu. Cieszyn, Księg. „Dziedzictwo". Str. 205.

Cypryana Norwida poezye wybrane z całej odszukanej po dziś puścizny poety. Ułożył i przypisami opatrzył Miriam. Warszawa 1933, Wydawnictwo J. Mortkowicza. Str. 646. 2 podobizny autora i autografów.

Kalendarz Pogotowia Ratunkowego na r. 1933. Poznań 1932. Str. 100.

Michał Choromański: Zazdrość i medycyna. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. 324,

P. de Régis S. I.: La „Nouvelle Union" et ses méthodes. Cher les Jésutes du Rite Gréco-Slave. Lyon 1932, str. 19.

Kardinal Franz Ehrle: Die Scholastik und ihre Aufgaben in unserer Zeit. II Aufl. Freiburg im Br. 1933. Herder & Co. Str. X+99.

Ks. Marjusz Skibniewski S. I.: Stosunek etyki do historji w nauczaniu. Odbitka z Kwart. Pedag. Zesz. 2—3., Warszawa 1932. Nakładem Stow. Ch.—N. N. S. P. str. 13.

Wacław Berent: Próchno. Powieść, tom I str. 203, t. II str. 223. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Na marginesie mowy ministra Jędrzejewicza w komisji budżetowej sejmu. — List Papieża do polskich Kardynałów.

Posiedzenie komisji budżetowej Sejmu w dniu 23 b. m. i jej obrady nad preliminarzem Ministerstwa W. R. O. P. zawierają parę momentów, nieobojętnych dla spraw stosunków między państwem a Kościołem. P. minister Janusz Jędrzejewicz, polemizując ostro ze zwartym atakiem opozycji, usiłował równocześnie obronić tak dotychczasowe swe zarządzenia, jak i program zamierzonych reform.

Rozważając dział wyznaniowy, p. minister stwierdził przedewszystkiem coraz wyraźniejsze oznaki „odrodzenia poczucia religijnego w całej ludzkości". Spostrzeżenie to jest całkiem trafne, nie potrzebujemy go uzasadniać, gdyż nawet ostre kampanje antyreligijne, jakie prowadzą rządy Sowietów, Hiszpanji i Meksyku, fakt ten stawiają tylko w tem jaśniejszem świetle. Oznak religijnego odrodzenia narodów dopatrujemy się nietyle w cyfrach i ilości, ile raczej w jakości tworzącej się coraz wyraźniej elity. Z tego faktu religijnego odrodzenia, które i w naszem społeczeństwie ma swoje poważne pozycje, wyciąga p. minister całkiem konsekwentny wniosek. Oto za przesłanki, które mają regulować działalność ministerstwa wyznań, uznaje: „jak największe poszanowanie dla uczuć i wierzeń religijnych oraz docenianie ich roli w rozwoju ludzkości". Nie mamy powodu przypuszczać, iż słowa te są tylko krasomówczym zwrotem, i wierzymy, iż p. minister wypowiedział je w pełni przekonania i w poczuciu całej zawartej w nich treści. To urzędowe oświadczenie przyjmie katolicka opinja z głębokiem zadowoleniem, wyrażając równocześnie nadzieję, iż programowemu hasłu odpowiedzą w całej rozciągłości czyny.

„Ustosunkowanie się ministerstwa do poszczególnych Kościołów i wyznaniowych związków jest regulowane — zapewnia p. minister — jedynie względami sprawiedliwości, poszanowania istniejących ustaw, dbałością o religijny spokój, dobrem państwa i wymaganiami polskiej racji stanu". Powyższe zasady trzeba oczywiście uznać. Kościół katolicki, któremu konstytucja w art. 114 przyznaje, iż jest „religją przeważającej większości narodu" i że „zajmuje w państwie naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań", stoi i stać pragnie właśnie na straży sprawiedliwości, nie pożąda bynajmniej religijnej wojny, a wszystkim swoim wyznawcom usiłuje wpoić jak najgłębszą, bo na sumieniu opartą, troskę o dobro i rozwój państwa. Broniąc jednak sprawiedliwości, tem słuszniej domagać się jej może i dla siebie, w imię tej sprawiedliwości może i musi apelować, by ustawy, których zachowanie ma polecać swym wiernym i to pod grozą nieziemskich sankcyj, były zgodne z sumieniem, by nie raziły w niczem uczuć i przekonań religijnych „przeważającej większości narodu". Jeżeli p. minister oświadcza publicznie, iż docenia doniosłość religijnych wierzeń i uczuć w rozwoju ludzkości, to, mając na oku już nie ludzkość całą ale naszą polską rzeczywistość, musi uznać przedewszystkiem doniosłość katolicyzmu dla rozwoju naszego narodu i państwa. Jak z sympatją stwierdza coraz widoczniejsze oznaki odrodzenia religijnego w całej ludzkości, tak tem bardziej powinny mu być sympatyczne wszelkie oznaki odrodzenia poczucia katolickiego, pogłębiającego się i organizującego w naszem społeczeństwie.

Konstytucja zagwarantowała Kościołowi katolickiemu, iż stosunek swój do niego oprze na specjalnym układzie ze Stolicą Apostolską. Konkordat ten jest obecnie prawem, to też p. minister zapewnia, iż „rząd dokłada starań, aby konkordat nietylko był wykonany z całą sumiennością, lecz aby jego zasady coraz bardziej przenikały do świadomości prawnej społeczeństwa. W sprawach, przekazanych przez konkordat późniejszym układom, delegaci rządu odbyli z komisją papieską w r. 1932 szereg posiedzeń. Drugim pozytywnym aktem jest uruchomienie komisji mieszanej, złożonej z przedstawicieli rządu i Kościoła, a prowadzącej układy w sprawie budynków, których Kościół został pozbawiony przez rządy zaborcze. Dotychczas rozpatrzono już sprawę 250 gmachów".

Zapewnienia i sprawozdanie p. ministra przyjmie katolicka opinja z uznaniem.

W przykry zato sposób zaniepokoić ją musi oświadczenie, iż „na dążenia rządu do harmonijnej współpracy z Kościołem rzucają pewien cień wystąpienia niektórych

jednostek, stojących nieraz niestety na wysokich i odpowiedzialnych stopniach hierarchji kościelnej, — wystąpienia, godzące wprost w nienaruszalny autorytet rządu i organów państwa". Tego anonimowego a tak poważnego zarzutu, skierowanego pod adresem pewnych i to wpływowych członków hierarchji, nie uzasadnił bliżej p. minister. Anonim ów usiłował odkryć, jakkolwiek nie autorytatywnie, poseł Polakiewicz (B. B. W. R.), twierdząc, iż i jemu nie podobają się księża biskupi kielecki i łomżyński. Domysłów tych jednak p. minister nie potwierdził. Nad upodobaniami i antypatjami p. posła można przejść spokojnie do porządku dziennego, podobnie jak i on nie troszczył się naprz. o znane wypadki łomżyńskie, które głośnem odbiły się echem po kraju. Zato nie obojętnym jest zarzut p. ministra, sformułowany przejrzyście, w treści swej bardzo poważny a wygłoszony w publicznem i oficjalnem przemówieniu. Jesteśmy przekonani, iż jest rzeczą niemożliwą, by nawet „jednostki", ale zato, „stojące na wysokich i odpowiedzialnych stopniach hierarchji" katolickieji godziły swemi wystąpieniami w autorytet rządu. Może za „godzenie" w autorytet poczytano zwalczanie pewnego projektu komisji kodyfikacyjnej, lub piętnowanie zadaleko posuniętej niekiedy tolerancji pewnych organów administracyjnych? Nie każda bowiem krytyka, nawet surowa byle objektywna, musi zaraz uchodzić za „godzenie w autorytet". Nie chcemy zresztą snuć przypuszczeń, gdyż jesteśmy pewni, iż najwyższe czynniki hierarchji katolickiej zarzut wspomniany rozpatrzą i o jego treść się upomną.

Druga część mowy p. ministra Jędrzejewicza, utrzymana w tonie polemicznym, skierowana przeciw sejmowej opozycji, była poświęcona ideologji wychowania państwowego i ingerencji rządu w organizacji szkolnictwa.

P. minister oświadczył, iż „metodą jego myślenia i sprawdzianem decyzyj jest interes państwowy, a jedynym czynnikiem powołanym do ustalania, co jest zgodne z interesem państwowym a co nie, jest rząd, odpowiedzialny wobec prezydenta Rzeczypospolitej i wobec sejmu. Naczelnem dobrem społeczeństwa jest państwo, rzeczą najwyższą jest interes państwowy, i wszystkie inne muszą mu się podporządkować. Organem, który tych interesów państwowych pilnuje... jest rząd, który musi być obdarzony znaczną władzą i znacznym autorytetem... Tę a nie inną myśl propagują rządy pomajowe. To, co się nazywa obecnym systemem rządzenia, pragnie te prawdy jak najistotniej wcielić w życie państwowe."

Wszyscy zgodzą się na to, że państwo stanowi dla społeczeństwa dobro pierwszorzędne w zakresie dóbr doczesnych. W ideologji jednak katolickiej państwo nie będzie

nigdy dobrem naczelnem *tout court,* interes państwowy nie będzie nigdy tą rzeczą najwyższą, której wszystko musi się podporządkować. Literalne brzmienie wyżej sformułowanych twierdzeń tchnie duchem pogańskim, przypomina żywo germańską ideologję Hegla, a w każdym razie jest jakby dosłownem powtórzeniem haseł skrajnego nacjonalizmu, z tą tylko różnicą, iż zamiast słowa „Naród" słyszymy słowo „Państwo".

Niemniej musi razić zastosowanie tejże ideologji w wielkiem dziele wychowania szkolnego. P. minister zapewnia, iż „chce wprowadzić w szkołach wszystkich typów i stopni szczery, głęboki, na uczuciu i wiedzy oparty kult państwowości polskiej, cześć i miłość młodzieży dla wielkich postaci-twórców tej państwowości, oraz szacunek i posłuch dla władzy urzędowej, bo przecież na tem polega wychowanie państwowe". Posłanka Jaworska (B. B. W. R.) uzupełniła w swoisty sposób tę ideologję twierdząc, już bez żadnych zastrzeżeń, iż poprostu „rząd dusz młodzieży musi należeć do ministra, który ją pragnie wychowywać w kulcie dla państwa".

To już jakby formalna religja państwowości. Cześć, co więcej, kult i to nie jakikolwiek, ale szczery, głęboki, absorbujący i wolę i intelekt, — formalnie nowe wyznanie religijne, którego głową widomą i duchowym zwierzchnikiem ma być, zdaniem posł. Jaworskiej, minister O. P. — Ideologja mocna, bez kompromisu, oparta niedwuznacznie na faszystowskich wzorach. P. minister jest zdecydowany przeprowadzić swój program za wszelką cenę, bo widzi w nim interes państwowy, któremu wszystko podporządkować się musi.

Mimo tych ostro, prawie że jaskrawo rysujących się słów, sądzimy, iż trzeba pod nie podsunąć katolicką treść. Wszak sam p. minister oświadczył, że pragnie, by konkordat nietylko był wykonany z całą sumiennością, ale także, by jego zasady coraz bardziej przenikały do świadomości społeczeństwa. Tymczasem litera konkordatu, a tem więcej jego duch, zastrzegają religji silny wpływ na wychowanie szkolne. Episkopatowi przysługuje prawo nadzoru nad nauczaniem religji i ustalonemi praktykami religijnemi. Nauczycielami tej religji w szkołach są w olbrzymim procencie kapłani, którzy z obowiązku sumienia muszą pouczać młodzież, iż ponad państwem jest Bóg, nad prawami państwowemi prawo Boże, iż interesowi państwowemu nie wolno podporządkować sumienia, iż kult należy się Bogu, a państwu wierność, przywiązanie, patrjotyczna miłość, zdolna do poświęceń. Rząd dusz katolickiej młodzieży musi należeć do Kościoła, a on daje wszelkie gwarancje państwu, iż władzy swej nie nad-

użyje, wychowa pokolenie wierne dla państwa i miłujące je z poświęceniem. Okres narodowej niewoli przemawia aż nazbyt wymownie, jak Kościół pojmuje swą misję. Pobudką do tego poświęcenia dla państwa będzie, pod wpływem nauki Kościoła, nie teror ani interes, ale ideał najwyższy i najszlachetniejszy, bo religijny: wypełnienie woli Bożej. Papież Pius XI, w swej encyklice o wychowaniu, nakreślił szczegółowo katolicki program wieczny i niezniszczalny, bo na istotnych oparty walorach, ten właśnie program wychował i wychowuje wielkich państwowców, świetlane i bohaterskie postacie, które zasługują istotnie na głęboką cześć młodzieży.

Z takiemi zastrzeżeniami i w takiem znaczeniu należy rozumieć „wychowanie państwowe", jeśli pragniemy, by między pierwszą a drugą częścią mowy p. ministra nie było logicznego rozdźwięku. Ale zato nie taimy obawy, by niektóre czynniki podległe p. ministrowi nie zrozumiały opacznie słów swojego szefa i by na swój, laicyzmem zarażony, sposób nie zaczęły realizować programu tej nowej religji państwowości, z pominięciem lub ograniczeniem elementów religijnych, które, jak p. minister oświadczył, „mają swoją rolę w rozwoju ludzkości". Że naszych obaw nie formułujemy bezpodstawnie, potwierdzają liczne fakty. Wiew laicyzmu nie oszczędza naszych szkół, a wielu wychowawców i nauczycieli wyzyskuje hasła wychowania państwowego przeciw wychowaniu religijnemu. Takie stawianie kwestji, przy większem nasileniu, musiałoby skompromitować w opinji katolickiej samą ideologję wychowania państwowego. Wierzymy, iż p. minister poczyni odpowiednie kroki, by laicyzujące zapędy podległych sobie organów powściągnąć i dołoży energicznych starań, by „zasady konkordatu przenikały coraz bardziej do świadomości prawnej" także całego personelu nauczycielskiego. Taki jest już bowiem przesąd, iż winy, zwłaszcza uchodzące bezkarnie, czynników podwładnych przypisuje się zbyt pochopnie szefom. Nie uczynił tego ks. prof. Szydelski, który skarżąc się na posiedzeniu komisji, iż księża katecheci są usuwani często bez podania motywów, co wywołuje rozgoryczenie, — zastrzegł się, iż nie są temu winne władze centralne, lecz urzędy podwładne. Ale wobec mnożących się a samowolnych posunięć owych właśnie urzędów czy urzędników podwładnych może łatwo powstać wśród katolickiego ogółu rozgoryczenie na władzę centralną. Może p. ministrowi nie chodzić o „rozgrzeszenie" ze strony opozycji, ale zależećby mu powinno na rozgrzeszeniu ze strony ogółu katolików, tej „przeważającej większości narodu".

W swem *exposé* o sprawach wyznaniowych wspomniał p. minister także i o kwestji unijnej, oświadczając, iż „usiłowaniom przywrócenia jedności kościołów wschodnich z Kościołem zachodnim poświęca rząd pilną uwagę, zwłaszcza na odcinku polskim".

Skorzystał z tej pobieżnej wzmianki teolog socjalistycznego obozu, pos. Czapiński, by zaatakować rząd, iż pracy unijnej na Kresach Wschodnich dotychczas nie zlikwidował. Pos. Czapiński jest zdania, iż wszystkie stronnictwa polskie zachowują się negatywnie w stosunku do obrządku wschodniego. Mowca sięgnął nawet do arsenału wyświechtanych zarzutów o rusyfikacji naszych Kresów. Zarzuty te są stare, niejednokrotnie już i gruntownie obalone, ale zawsze dla pewnych osób i dla pewnych stronnictw aktualne. Pos. Czapiński poprzestał na sarkastycznej uwadze, iż widocznie „objektywne warunki zmuszają dyktaturę do pewnego sojuszu z klerem".

Istotnie istnieją „objektywne warunki", które nie pozwalają na zlikwidowanie wysiłków, zdążających do zjednoczenia na odcinku polskim prawosławia z katolicyzmem. Wysiłki te przyniosły już pozytywne wyniki, — to jeden z „objektywnych warunków". Warunek drugi to Konstytucja i konkordat, rękojmie wolności sumienia i rządzenia się „własnemi prawami". Warunkiem trzecim jest wola i wyraźne życzenie Ojca chrześcijaństwa, by Polska w swem posłannictwie dziejowem nie zbaczała z drogi niesienia kultury i wiary na Wschód.

Kiedy p. Łubieński ośmielił się rzymskiemu programowi przeciwstawić swe zapatrywania, książka jego spotkała się ze słusznem potępieniem. Rzym potępienia nietylko nie uchylił, ale wyrok warszawskiej Kurji w całej pełni swą powagą podtrzymał i wzmocnił.

Świeżo, bo 6 b. m. wystosował znowu Papież Pius XI apostolski list do Ks. Ks. Kard. Kakowskiego i Hlonda, w którym gorąco pochwala decyzję polskiego Episkopatu, by uroczyście był obchodzony tydzień, poświęcony zjednoczeniu ze Stolicą Piotrową oderwanych od jedności z Kościołem chrześcijan. „Wszystkie bowiem sposoby i usiłowania ludzi dobrej woli, które do tego celu zmierzają, ten przedewszystkiem będą miały skutek, że z jednej strony katolicy polscy jaśniej i głębiej zrozumieją swój specjalny obowiązek do współdziałania, każdy według własnych sił, w zjednoczeniu jak największej liczby braci, z drugiej strony — sami bracia błądzący odczują, jak usilnie jest pożądany przez katolików ich powrót do jednej owczarni, z jaką radością będą przyjęci, jeżeli do miłującej Matki Kościoła powrócą..."

Wszystkie więc poczynania, które mają się przyczynić do zjednania zbłąkanych braci prawosławnych, spotykają się z ojcowskiem poparciem i błogosławieństwem Ojca św. Te słowa najwyższego uznania staną się dla misjonarzy unijnych nowym bodźcem do pracy, a równocześnie puklerzem przed atakami różnych panów Czapińskich oraz ich stronnictw.

Ojcowskie słowa popiera ojcowski gest. Oto na ręce Kardynałów polskich przesłał Ojciec św. znaczniejszą sumę pieniężną, by mogli przyjść z pomocą uchodźcom ze Wschodu, pozostającym często w skrajnej nędzy. Papież nie życzy sobie, by w podziale tej jałmużny miano wzgląd na narodowość czy wyznanie, oraz żałuje, iż wysokość zapomogi nie może dorównać jego pragnieniom. Wyraża przytem nadzieję, iż tak „biskupi jak i zacny lud wierny, wszyscy w miarę możności, zechcą przyjść szczodrobliwie z pomocą“ biednym wygnańcom ze Wschodu.

Nowy dowód ojcowskiego serca i nowa dla wszystkich zachęta, jeśli nie wprost do unijnej pracy na Kresach, to przynajmniej do jej głębszego zrozumienia i poszanowania.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

W obronie wolności szkół akademickich.

Taki tytuł nosi księga, wydana przez profesorów uniwersytetów, zawierająca 30 artykułów, krytykujących projekt nowej ustawy uniwersyteckiej, wniesiony do Sejmu, mimo zgodnego i stanowczego sprzeciwu całej opinji publicznej. W stosunkach dyplomatycznych, z okazji zatargów strony wydają czasem zbiory dokumentów, zwane księgami białemi, czy też podobnie. Naszą księgę możnaby nazwać z ł o t ą. Stanowi ona pierwszorzędnej wartości dokument w wielkim zatargu między molochem nowoczesnego państwa a światem ducha.

Większość zawartych w księdze artykułów była już drukowaną po dziennikach i czasopismach, ponieważ jednak niewielu z Czytelników *Przeglądu* ma do dyspozycji całą prasę polską, dlatego pożyteczną rzeczą będzie przedstawić główne myśli i poglądy tamże zawarte. Głos zabrała naprawdę elita nauki polskiej; nazwiska same za siebie mówią; bije od nich blaskiem wielkiej, o europejskim nawet rozgłosie wiedzy i jeszcze wspanialszym blaskiem czynnego patrjotyzmu. Słowa jednego z największych stały się już dzisiaj testamentem, zostawionym narodowi. Mamy na myśli ś. p. prof. Balzera, którego szlachetną, dostojną duszę projekt ministerjalny przejął trwogą o przyszłość nauki i kultury polskiej. „Samorząd uniwersytecki — pisał w tem swojem ostat-

niem posłaniu do społeczeństwa nestor prawników i historyków polskich, — to nie instytucja stworzona dla wygody profesorów, to rzecz związana najściślej z pomyślnym rozwojem samej nauki, z rozwojem i rozkwitem cywilizacji i kultury narodowej, związana z niemi do tego stopnia, że można ją nazwać koniecznym tego rozwoju warunkiem. Podważenie czy usunięcie owej jego podstawy musiałoby wywołać skutki zgubne, najfatalniejsze dla całego narodu: podważyłoby skarb jego najcenniejszy, jego kulturę. Takim sposobem „słowo" projektu, gdyby miało stać się „ciałem", zaciężyłoby po wsze czasy na historji naszej kultury, jako najciemniejsza plama, za którą przyszłoby nam rumienić się przed całym światem cywilizowanym. I trudno byłoby tu oprzeć się uczuciu największego bólu, że stało się to w kilkanaście zaledwie lat po odzyskaniu niepodległości, w czasie, w którym mieliśmy pełną możność samodzielnego stanowienia o tych rzeczach, za naszą własną sprawą. W takim związku myślowym uchwalenie Projektu należałoby nazwać wprost zamachem samobójczym; gdyby zaś nawet udało się odratować desperata, musiałaby mu pozostać, jeżeli nie na trwałe, to przynajmniej na dłuższy czas, poważna niedomoga umysłowości. Musiałyby mu przypomnieć się — czasy saskie" (str. 21 i 22)... Ludzie stojący nad grobem miewają jasnowidzenia!

W jednogłośnym zespole 30 uczonych został przedewszystkiem bardzo silnie podkreślony duch, z którego się odrodził ministerjalny projekt. Jest to duch nawskroś pogańskiej wszechmocy i wszechmądrości państwa, duch „scentralizowanej biurokracji" (Piniński: str. 33) i to w wydaniu jej wschodniem. „W zmąconych zaiste wyścigach zmąconego ducha ludzkiego, Rosja sowiecka zwycięża o wiele końskich długości, przekuwając całą naukę na proletarjackim kowadle... Polska nie występowała dotychczas czynnie w tych wyścigach, ale próżna jak zwykle, a porwana zapałem sportowym, postanowiła teraz zgłosić swój udział" przez nową ustawę uniwersytecką. „Celem jej jest trzymanie nauki, a raczej uczonych na powrozie, co zresztą na jedno wychodzi, no a także i młodzieży akademickiej. I dla każdego jest jasnem, że w tej policyjnej ustawie o to właśnie chodzi, a nie o dobro nauki. Nie posądzam nikogo o złą wolę; a nawet myślę, że prawdziwej, świadomej złej woli jest bardzo mało na Bożym świecie. Ale cóż nam przyjdzie z dobrej woli ludzi, którzy żyją w przekonaniu, że spłynął na nich zdrój wiadomości i znajomości rzeczy, pozwalający im rozumieć wszystko... Ale cóż będzie, jeżeli jednak Minister się pomyli i za wcielenie owej wszechwiedzy weźmie naprzykład którego z członków Rady Oświecenia?... Jeżeli za nieomylną powagę uzna p. Kadena Bandrowskiego, który głosi, że Homer, Dante i t. d. to trupy, a życie tkwi tylko we współczesnych utworach? Potworne jakieś zaślepienie! Bo i cóż zostanie ludziom, którzy zapierają się i odrzucają całą długą, cudną

i straszną spuściznę swoich ludzkich przodków? Chyba tylko jedno ciemne Nic" (J. M. Rozwadowski str. 42).

Nie innego zdania są trzej najbardziej kompetentni w ocenie kierunku, w którym wiatr wieje uczeni: ks. prof. biskup Godlewski, profesorzy Zieliński i Zdziechowski. Pierwszy rzuca słowa *sint, ut sunt, aut non sint,* stanowiące tytuł krótkiego, ale mocnego artykułu. Prof. Zieliński wyznaje, że w stosunku do walki o wolność uniwersytetów polskich jego stanowisko jest wyjątkowe. „Wyjątkowość zawiera się w tem, że ta walka, która prawie dla wszystkich uczestników jest premjerą, dla mnie jest arcystarą... komedją. Nie, raczej tragedją i to bardzo smutną. A ponieważ widzę, że uczestnicy unikają wzmianek o tej tragedji, to znaczy o cudzej ogromnej szkodzie, uważam za mój obowiązek podać do ich wiadomości odpowiednie materjały. Niech z niemi czynią, co im każe sumienie, ale niech ich nie ignorują".

Materjały te — to dzieje uniwersytetu petersburskiego z okresu profesury autora na nim. Ukazują nam one i dowodzą, aż nazbyt wyraźnie do czego prowadzą podobne biurokratyczno - policyjne ustawy. Osiągają zawsze skutek wprost przeciwny, paraliżują naukową pracę, a wywołują zaburzenia, rozruchy i sprawiają, że zarówno profesorzy, jak młodzież przechodzi w szeregi opozycji rewolucyjnej, a nawet staje się jej przewódcą. Rektorzy, narzuceni przez ministra, zdobywają sobie nienawiść młodzieży, niechęć kolegów; nie mogąc znieść stanu, jaki się wytworzył, łamią się i albo sami odchodzą albo nawet umierają. Prof. Zdziechowski z bólem zaznacza, iż mu nigdy przez myśl nie przyszło, że przyjdzie chwila, w której będzie musiał bronić nauki i kultury naszej nie przeciw polityce rosyjskiej, nie przeciw jej wykonawcom, zaciekłym rusyfikatorom z nad Newy, lecz przeciw swoim (str. 167).

Z historycznego ogólnego, a nietylko rosyjskiego punktu widzenia sprawę wolności uniwersytetów rozważają profesorzy Chrzanowski (porównanie projektu z Ustawami Komisji Edukacyjnej), Tokarz i przedewszystkiem Kot. Ten ostatni przedstawił dzieje samorządów uniwersyteckich w Europie, we Francji zwłaszcza, w Niemczech i w Polsce. Między przytaczanymi przez autora przykładami różnych sławnych czy raczej osławionych, a zakończonych zawsze klęską rządu reform, a projektem polskim zachodzi tak wielkie podobieństwo, że niepodobna się oprzeć stawianiu bardzo pesymistycznych horoskopów. Jakżeż np. wymowne są słowa tak wybitnego znawcy dziejów uniwersytów, Paulsena, cytowane przez prof. Kota, że każdy rząd p e w n y s w e j s i ł y, szanuje niezależność uniwersytecką, że miarą poczucia pewności siebie danego rządu jest jego stosunek do uniwersytetów. *Historia est magistra vitae*; naukę, jaką ona przynosi w naszej sprawie, można bez naciągania uważać za pewnik histo-

ryczny; najświeższym tego dowodem i przykładem jest Rosja i Hiszpanja. Poważne *memento* dla projektodawców! Prof. Romer przypomina nam dziwne, surowe słowa założyciela Krakowskiej Akademji, który w swym przywileju tak pisał: „Gdyby zaś kto z Następców naszych lub innych którychkolwiek Przywilej ten założenia Szkoły Powszechnej (Studium Universale) i nadania jej swobód zgwałcić i złamać się ważył, niech wie, że gniewowi mściwego, surowego Sędziego, nędznej nieszczęśliwości a okropnemu i niespodziewanemu losowi popadnie..."

Druga grupa artykułów, zamieszczonych w omawianej księdze, przynosi nam krytyczną analizę samego projektu. W jego ocenie wszyscy autorzy są jednomyślni. Najwięcej zastrzeżeń budzą artykuły, odnoszące się do wyboru rektora, nominacji profesorów, prawa ministra znoszenia, przenoszenia wydziałów, instytutów i katedr, ograniczenie kompetencyj senatów i poddanie zupełne młodzieży akademickiej pod administracyjno - policyjną zależność od rządu. Na podstawie doświadczenia innych narodów i na podstawie rozumowania wykazują autorzy, że rząd nie osiągnie celu praktycznego, dla którego nową ustawę chce przeprowadzić, ideowych organizacyj akademickich, będących ekspozyturami opozycyjnych partyj politycznych, nie zdusi, awanturom akademickim nie przeszkodzi, z profesorów nie zrobi entuzjastów obecnego regimu, wprost przeciwnie rozpęta walkę, która musi się skończyć przegraną rządu, z ogromną, może nawet niepowetowaną szkodą nauki i kultury polskiej.

Walkę, jaka się rozpoczęła u nas między światem ducha a wszechmocnym i nieomylnym we własnem przekonaniu molochem dzisiejszego biurokratyczno - policyjnego państwa, ze szczególnem zainteresowaniem powinna śledzić przedewszystkiem uświadomiona opinja katolicka. *Nostra res agitur.* Podobnie jak nauka, tak i Kościół potrzebuje do rozwoju atmosfery wolności. Autokratyzm państwowy pragnie i z Kościoła uczynić powolne sobie narzędzie, pragnie Kościół jak najbardziej od siebie uzależnić, a równocześnie bez teoretycznie ogłoszonego, ale wedle praktycznie wykonywanego programu powoli, nieznacznie przeprowadza coraz większą laicyzację życia państwowego i społecznego, sięga po szkolnictwo prywatne, po stowarzyszenia młodzieży. Dlatego też zwycięstwo uniwersytetów będzie równoczesne dla państwa naszego korzystnem osłabieniem autokratycznych zapędów, a przegrana (oczywiście tylko pozorna i chwilowa) uniwersytetów pobudzi prawdopodobnie do podobnych prób na innych polach. Trzebaby się obawiać, by nie chciano rozciągnąć ich na dziedzinę religijną z uszczerbkiem dla wolności Kościoła katolickiego.

Ks. St. Bednarski T. J.

Polonja Brazylijska.

Rzut oka na obecny stan gospodarczy i kulturalny.

Powszechny kryzys ekonomiczny, dający się we znaki niemal całej ludzkości, nie ominął i tak bogato przez naturę obdarzonej Ziemi św. Krzyża czyli Brazylji. Upadek handlu eksportowego wywołał na rynkach wewnętrznych gwałtowną zniżkę cen kawy, herwy [1]) i innych produktów krajowych, co znowu spowodowało częściową dewaluację milrejsa brazylijskiego.

A że jedno nieszczęście rzadko przychodzi samo, więc też na domiar złego wzmogła się jeszcze w ostatnim czasie, i tak już przysłowiowa dla krajów ibero-amerykańskich, gorączka rewolucyjna, która w połowie r. 1932 spowodowała w Brazylji nową wojnę domową, zakończoną na szczęście zwycięstwem rządu, [2]) chociaż drogo okupionem.

Ten podwójny kryzys, ekonomiczny i polityczny, odbił się, oczywiście, jak najfatalniej na tutejszej Polonji, składającej się głównie z drobnych kolonistów, zależnych prawie zupełnie, zwłaszcza zdala od większych miast, od t. zw. wendziarzy, t. j. handlarzy, sklepikarzy i karczmarzy w jednej osobie. Ci zaś po największej części uważają swych klientów za przedmiot nieograniczonego wyzysku, hamowanego jedynie przez wzajemną konkurencję.

Prawdziwych kupców-Polaków na palcach policzyć można. Reszta to przygodni kramarze, wśród których nie brak spekulantów z pod ciemnej gwiazdy. Nie dziw przeto, że nasz kolonista z nieufnością odnosi się do kupca-rodaka, zanim się nie przekona o jego uczciwości, co naturalnie nie przyczynia się do rozwoju handlu i przemysłu polskiego w Brazylji. Dotychczas wszelkie próby założenia lub rozwinięcia istniejących już, a właściwie wegetujących, polskich spółek kolonizacyjnych, handlowo-przemysłowych, bankowych i t. p. — kończyły się prędzej czy później fiaskiem.

W ostatnim czasie powstały w Kurytybie [3]) dwie nowe spółki

[1]) *Herva maté* (ilex paraguaiensis), t. zw. herbata paragwajska.

[2]) Od października 1930 r. rządzi Brazylją dyktator *Getulio Vargas*, który przywrócił w szkołach publicznych naukę religji i dąży do naprawy rzeczypospolitej brazylijskiej.

[3]) Stolica stanu Paraná, liczy przeszło 100.000 mieszkańców. Jest głównem centrem Polonji brazylijskiej (Konsulat Gen. R. P.; 2 kościoły polskie: św. Stanisława bpa, werbistów i św. Wincentego a Paulo, misjonarzy; zakład SS. Rodziny Marji i budujący się zakład SS. Miłosierdzia; szkoła średnia im. H. Sienkiewicza i 3 szkoły elementarne: dwie katolickie, jedna ateistyczna; ochronka polska; bursy dla kształcących się chłopców, Ks. Misjonarzy, i dziewcząt, świecka; drukarnie polskie i wydawnictwa: „Lud", „Przyjaciel Rodziny", „Gazeta Polska w Brazylji", „Prawda Polska w Brazylji" i inne; liczne stowarzyszenia: Związek Polski, Tow. im. T. Kościuszki — Łączność i Zgoda, Tow. „Szkoły Ludowej", i inne).

kolonizacyjne i handlowe. Przyszłość pokaże, czy będą szczęśliwsze od swych poprzedniczek. Aby przełamać ten mur uprzedzeń i nieufności, potrzeba będzie niezmiernego wysiłku i... czystych rąk. A tymczasem brak zaufania wzrasta, o czem przekonał się niedawno pewien bankowiec warszawski, który przez kilka miesięcy bawił w Paranie celem powołania do życia polskiej instytucji bankowej, lecz wkońcu wyjechał z... niczem. Tu jedynie mógłby coś zrobić jakiś poważny bank krajowy, zakładając w Kurytybie osobny oddział [1]).

Nawet do spółdzielni nasz kolonista mało ma zaufania. Tu i ówdzie powstały już kooperatywy, dzięki wytrwałej a rozumnej agitacji niektórych księży, nauczycieli i światlejszych rzemieślników i gospodarzy. Naogół jednak liczba ich niewielka. Może dotkliwy spadek cen herwy i innych produktów, które dotąd przedstawiały główne źródła dochodu, zmusi kolonje polskie do założenia kooperatyw, celem wspólnego zwalczania i uniezależnienia się od spekulacyj wendziarskich.

Największą przeszkodą ku urzeczywistnieniu tej akcji jest, niestety, straszna ciemnota, analfabetyzm i prymitywizm naszego ludu. Walka z tem zacofaniem jest nader trudna i wymaga silnych nerwów i wielkiego poświęcenia, nadto znajomości rzeczy, gdyż do obniżenia poziomu kulturalnego przyczyniły się niemało warunki miejscowe. Przeniósłszy się bowiem z środowisk podówczas pod względem kultury nie bardzo wysoko stojących, jak np. wsie lubelskie albo wschodnio-galicyjskie, za morze, chłop polski, z domu już mało oświecony i przyzwyczajony do najprostszych warunków życiowych, zastał na nowej osadzie kulturę jeszcze niższą, wprost prymitywną, i do niej przeważnie się dostosował. Od kaboklów [2]), swych brazylijskich sąsiadów, przejął sposób uprawy roli, sporo narzędzi, potraw, zwyczajów, zabobonów i t. p. objawów tutejszej kultury leśnej.

Jeden rys charakteru był jednak korzystny, mianowicie przysłowiowy u naszego ludu... głód ziemi. Swoboda wymarzona i sposobność nasycenia tego głodu wywołały ciekawy objaw. Oto przeciętny kolonista, zaoszczędziwszy potrzebną sumę, kupuje natychmiast nowy szmat ziemi, której tu jeszcze pod dostatkiem. Zczasem w ręku polskiem znalazły się wielkie połacie kraju. W samej Paranie obliczają własność polską na około $1^1/_2$ miljona hektarów, co przedstawia nielada kapitał.

Ale ten głód ziemi i prymitywizm jej uprawy mają też swoje ujemne strony. Hamują bowiem, a często uniemożliwiają zupełnie wszelkie życie organizacyjne. Skoro uprawa na jakimś

---

[1]) Własne filje, dobrze prosperujące, posiadają w Kurytybie banki anglo-amerykańskie, francusko-włoskie, niemieckie.

[2]) *Kabokle* (caboclos), potomkowie starych osadników brazylijskich, żyjących po lasach.

kawałku ziemi się nie opłaca, a raczej wymaga rozumnej, nowoczesnej gospodarki, wtedy chłop nasz sprzedaje swój szakier, [1]) nieraz za bezcen, osadnikowi niemieckiemu lub włoskiemu, sam zaś wędruje dalej na zachód w poszukiwaniu ziem nietkniętych, więc łatwiejszych jego zdaniem do uprawy.

To przenoszenie się z miejsca na miejsce odbija się fatalnie na organizacjach społecznych, szczególnie parafjach i towarzystwach szkolnych. Niejedna kolonja, na początku czysto polska, traci wskutek tej migracji swój charakter narodowy i przechodzi pod obcy zarząd. Wtenczas do polskiej szkoły wprowadza się obcy nauczyciel, a w polskiej kaplicy rozbrzmiewa obce słowo. Narazie podobne wypadki należą jeszcze do wyjątków, ale niebezpieczeństwo jest wielkie.

Inteligentniejsza część Polonji tutejszej usiłuje ratować zagrożone placówki przez zrzeszanie poszczególnych towarzystw i stowarzyszeń w centralnych organizacjach. Ruch ten przybrał właściwe rozmiary dopiero po odrodzeniu Polski. Wtedy to powstały dwa związki, które zarazem stały się ogniskami dwu odrębnych obozów, mianowicie: Związek „Kultura", szerzący hasła wolnomyślicielskie i dążący do laicyzacji szkół, oraz Związek „Oświata", kierowany w duchu religijnym i pracujący nad podniesieniem poziomu kulturalnego wychodźtwa przez zjazdy i wydawnictwa katolickie, bibljoteki wędrowne i t. p. Ponieważ oba wymienione związki mają swoje siedziby w Kurytybie i obejmują swą działalnością głównie Paranę i sąsiedni stan św. Katarzyny, przeto w odległym stanie Rio Grande do Sul powstał niedawno osobny Związek Zrzeszeń Polskich z siedzibą w Porto Alegre.

Niezależnie od tych idei nurtowała od lat przedwojennych myśl założenia wspólnej dla całej Polonji brazylijskiej organizacji, która w r. 1931 przybrała wreszcie postać realną w Centralnym Związku Polaków w Brazylji. Siedzibą C. Z. P. jest Kurytyba, nadająca się bezsprzecznie najwięcej na ognisko podobnej organizacji. Znaczenie stolicy parańskiej jako centrum Polonji brazylijskiej uznał także rząd polski, podnosząc w r. 1932 konsulat kurytybski do rzędu konsulatów generalnych. Zresztą większość Polaków, zamieszkałych w Brazylji, znajduje się w Paranie. Ścisłą liczbę podać trudno, gdyż obliczenia poszczególnych autorów wahają się od 120.000 do przeszło 200.000 głów! W każdym bądź razie na czele stanów brazylijskich, kolonizowanych przez wychodźców polskich, stoi Paraná. Następują: Rio Grande do Sul, Santa Catarina, Sao Paulo, Espirito Santo, Rio de Janeiro i pozostałe części olbrzymiego państwa brazylijskiego.

---

[1]) *Szakier,* dział ziemi, kolonja.

Emigracja polska dotąd składała się przeważnie z chłopów mało- lub bezrolnych. I oni też po dzień dzisiejszy stanowią *gros* tutejszej Polonji. Rzemieślników, przemysłowców i przedstawicieli podobnych zawodów stosunkowo niewielu się znajdzie, a właściwej inteligencji jest bardzo mało. Natomiast t. zw. półinteligencji napłynęło po wojnie światowej sporo, aczkolwiek element to nie zawsze pożądany, a nawet często dla sprawy polskiej wręcz szkodliwy.

Brazylja jest krajem przyszłości i rozwija się pod każdym niemal względem powoli, stąd emigracja miejska rzadko natrafia na warunki odpowiednie i znajduje odrazu pracę i chleb. Przybyszami polskimi opiekują się Patronaty Polskie, czynne w Rio de Janeiro, Porto Alegre i innych centrach, oraz Wydział Opieki Społecznej przy C. Z. P. w Kurytybie. Także kolonje mimo kryzysu starają się pomóc nowym wychodźcom, lecz emigracja powojenna, przyzwyczajona w Europie do rozmaitych wygód i instytucyj społecznych, najczęściej bywa rozczarowana i tęskni zpowrotem. Kto jednak nie jest wybredny i wymagający, umie się dostosować do nowych warunków bytu, jest uczciwy i naprawdę szuka pracy, ten napewno ją znajdzie. Trzeba tylko wzbudzić zaufanie!

Oprócz Wydziału Opieki Społecznej zdążył już C. Z. P. zorganizować szereg innych wydziałów, jak np. oświatowy, sportowy, rolniczy, przemysłowo-handlowy, prasowy i t. d., które mogą się poszczycić wcale poważnemi rezultatami. Planowany jest też Wydział Opieki Duchownej, lecz wskutek walk i tarć wewnętrznych do otwarcia tego tak potrzebnego wydziału dotąd nie doszło.

Ponieważ do C. Z. P. należą osoby o najrozmaitszych przekonaniach i poglądach, przeto ścierania się z sobą poszczególnych partyj są wprost nieuniknione. Tak np. grupka wolnomyślicieli, ateuszów, sekciarzy i podobnych „postępowców" z pod znaku „Kultury" chce koniecznie ująć ster organizacji w swoje ręce. Na to jednak pod żadnym warunkiem nie może pozwolić obóz członków, grupujący się około związku „Oświata" i wydawnictwa „Lud". I ten obóz na ostatnim walnym zjeździe C. Z. P., w maju 1932 r., zwyciężył w wyborach do zarządu, przeprowadzając niemal wyłącznie swoich kandydatów, z powodu czego o mało nie przyszło do rozłamu, gdyż obóz „postępowy", pieniąc się ze złości, zapowiedział ostrą reakcję. Tymczasem jednak C. Z. P. jest w dobrych rękach i może w nich pozostanie [1]).

---

[1]) Prezesem Centr. Związku Polaków w Brazylji jest dr. Jan Grabski, adwokat kurytybski, sekretarzem generalnym — ks. Jan Pałka C. M., redaktor „Ludu".

Następne walne zebranie odbędzie się dopiero z początkiem roku 1934.

Pod względem religijnym opiekują się tutejszą Polonją najwięcej krakowscy księża Misjonarze (w liczbie około 30), następnie księża Werbiści (naogół zniemczeni), Salezjanie, Franciszkanie (z małemi wyjątkami narodowości niemieckiej), oraz szereg księży świeckich. Arcybiskup kurytybski lubi się otaczać księżmi polskiego pochodzenia. Powołania do stanu duchownego wśród Polaków brazylijskich nie są tak liczne jak w starej ojczyźnie. Mimo to procent kleryków polskich w niektórych seminarjach parańskich jest znaczny. Ale do otrzymania święceń kapłańskich jest daleka droga i nie każdy trwa w postanowieniu do końca, stąd liczba kapłanów-rodaków, urodzonych na Ziemi św. Krzyża, wzrasta bardzo powoli.

Wiele kolonij polskich nie ma stałego kapłana. Dojeżdża do nich proboszcz lub wikary z sąsiednich centr, raz na kilka tygodni, albo i miesięcy. Niektóre osiedla rzadko oglądają księdza polskiego. Fatalną jest rzeczą, że sprawy administracyjne po diecezjach i parafjach, w licznych wypadkach nie są dostatecznie uregulowane, co wywołuje nieporozumienia, a nawet zatargi parafjan z władzami kościelnemi. Podobne okazje usiłują wykorzystać dla swych niecnych celów różni niepowołani „opiekunowie" Kolonji Polskiej w Brazylji. Podczas ostatniego zjazdu C. Z. P. pojawił się na gruncie kurytybskim wysłaniec kościoła starokatolickiego w Polsce i próbował w zamąconej wodzie ryby łowić, co mu się jednak nie udało, choć znalazł poparcie u niedowiarków! Obecnie sekciarz buntuje liczną kolonję w Ponta Grossa [1]). Do tego stopnia zaś posunął swą bezczelność, iż w swej agitacji powołał się na rzekome polecenie przedstawicielstwa R. P. w Rio de Janeiro, przeciwko czemu wystąpił energicznie poseł polski w Brazylji.

Poza tem szerzy się spirytyzm. Natomiast masonerja, acz w Brazylji bardzo rozpowszechniona, mniej znajduje adeptów i tylko po miastach i miasteczkach, gdzie się skupia t. zw. inteligencja i półinteligencja, która znowu nie jest tak liczna. Ci z Polaków, o których wiadomo, że należą do masonów, nie cieszą się najlepszą opinją, a są to przeważnie lekarze, aptekarze, miernicy, nauczyciele, kupcy, literaci i przedstawiciele podobnych zawodów. Najniebezpieczniejsze jest sekciarstwo północno-amerykańskie, rozrzucające darmo krocie swoich wydawnictw. O zabobonach lepiej nie wspominać. W każdym bądź razie brak kapłanów-Polaków daje się odczuwać wszędzie, szczególnie w stanach: S. Paulo, Sta Catarina i Rio Grande do Sul.

---

[1]) Drugie co do wielkości miasto w Paranie, licznie zamieszkałe przez Polaków.

Nieco lepiej od sprawy religijnej jest postawiona sprawa oświatowa, dzięki dwunastoletniej już pomocy moralnej i materjalnej rządu polskiego. A i wysiłek kolonij po zmartwychwstaniu starej ojczyzny przybrał większe rozmiary. Obecnie szkolnictwo polskie w Brazylji, w niektórych zwłaszcza okręgach, podupada wskutek nieszczęsnego kryzysu, mimo to całokształt przedstawia się nie najgorzej. Wszak w ostatnich dziesięciu latach liczba szkół, uczniów i nauczycieli nieomal się podwoiła. W roku 1931 naliczono mniej więcej 230 szkół, 275 nauczycieli i 9.400 uczni. Jest to dorobek wcale poważny!

Nauczycielstwo zorganizowane jest w Zrzeszeniu Nauczycielstwa Szkół Polskich w Brazylji, które powstało z połączenia się (w r. 1928) dwu bratnich organizacyj. Zrzeszenie przy poparciu i pomocy referenta oświatowego przy Kons. Gen. R. P. w Kurytybie i podległych mu instruktorów okręgowych urządza zjazdy i zebrania informacyjne, kursy praktyczne, lekcje poglądowe i t. p. Nadto posiada bibljotekę, składnicę podręczników i pomocy szkolnych, a i samo wydaje rozmaite książki oraz dwa miesięczniki p. t. „Nasza Szkoła“ i „Nasza Szkółka“ (dla młodzieży).

Obok sił świeckich w tutejszem szkolnictwie polskiem są czynne dwa zgromadzenia żeńskie, mianowicie Siostry Miłosierdzia i Siostry Rodziny Marji. Pierwsze posiadają liczne szkoły elementarne, gospodarcze dla dziewcząt, ochronki, kolegja i szpitaliki. Drugie utrzymują głównie szkoły początkowe oraz nowicjat w Kurytybie. SS. Miłosierdzia także otwarły nowicjat w Abranches [1]), a budują obszerny zakład w stolicy parańskiej naprzeciw nowowzniesionego kościoła ks. ks. Misjonarzy.

Oświata pozaszkolna słabo się rozwija, tak dla braku zrozumienia i poparcia ze strony kolonistów, jak i dla braku odpowiednich pracowników. Gdzieniegdzie spotyka się amatorskie kółka teatralne [2]) lub kółka młodzieży, a przy parafjach większych sodalicje męskie i stowarzyszenia Dzieci Marji; naogół jednak ruch umysłowy i towarzyski, na kolonjach zwłaszcza, jest ledwo dostrzegalny. Obchody narodowe, o ile nie są połączone z zabawą taneczną, nie wzbudzą zainteresowania. Czasem tylko występy jakiegoś chóru [3]) lub teatru amatorskiego potrafią ściągnąć większą liczbę widzów. Ale to są wyjątki!

Nie lepiej przedstawia się czytelnictwo. Bibljoteki są bardzo rzadkie. Jedyną bibljotekę wędrowną posiada Związek „Oświata“, który pod tym względem zasłużył się dobrze sprawie oświatowej. W Kurytybie otwarto 3 listopada 1932 r. pierwszą

[1]) Kolonja podkurytybska, jedno z najstarszych osiedli polskich w Paranie.

[2]) Najruchliwszym jest Związek Amatorów Sceny (Z. A. S.) w Kurytybie, który wystawia sztuki głośnych autorów polskich i obcych.

[3]) Świetny chór polski zorganizował w ostatnich latach ks. A. Orszulik, misjonarz, czynny w parafji Prudentopolis (Parana).

w Brazylji czytelnię polską, zaopatrzoną obficie w najrozmaitsze pisma krajowe i zagraniczne. Wysiłek to godny uznania, szkoda tylko, że nie może z niego korzystać cała Polonja brazylijska. Prawdę mówiąc, wychodźtwo tutejsze mało popiera prasę polską, bądź z ciemnoty, bądź ze skąpstwa, stąd wydawnictwa perjodyczne stale walczą z deficytem. Rzadko które pismo zdoła związać koniec z końcem.

Na czoło gazeciarstwa polskiego w Brazylji wysunęła się w ostatnich latach redakcja „Ludu". Jest to jedyne pismo, ukazujące się kilka razy w tygodniu. Reszta to same tygodniki i miesięczniki! Większa część wychodzi w Kurytybie, po kilka w S. Paulo i Porto Alegre. Najulubieńszą lekturą kolonisty jest kalendarz. I tu wydawnictwo „Ludu" zdobyło zasłużoną popularność. Pokupem cieszy się też „Kalendarz Riograndeński". Na osobną wzmiankę zasługuje jeszcze miesięcznik „Przyjaciel Rodziny", redagowany w duchu religijnym przez ks. ks. Misjonarzy.

Poza tem ukazuje się od czasu do czasu jakiś nowy podręcznik szkolny, jakaś broszura treści religijnej, naukowo-popularnej lub polemicznej, jakiś tomik poezyj, nowel albo szkiców, wreszcie jakaś odbitka statutów tego lub owego towarzystwa, i to już cały ruch wydawniczy. Przy C. Z. P. istnieje coprawda wydział prasowy, lecz dotychczas działalność jego nie wydała spodziewanych owoców.

Szerszego rozmachu poczyna nabierać wychowanie fizyczne młodzieży polskiej w Brazylji. Stowarzyszenia sportowe, kierowane przez osobnego instruktora, posiadają wspólną, centralną organizację i własny organ p. t. „Junak". Poszczególne grupy i oddziały „Junaka" występowały już często publicznie i zdobyły nawet kilka nagród pierwszorzędnych, jak np. na zawodach międzynarodowościowych w Kurytybie, co dla propagandy polskiej nie jest bez znaczenia.

Ruchliwym propagatorem kultury polskiej na Ziemi św. Krzyża stało się niedawno założone Tow. Polsko-Brazylijskie im. T. Kościuszki w Rio de Janeiro. Stowarzyszenie to liczy już sporo członków z pośród najlepszych sfer miejscowych. Wydaje miesięcznik „Brasil - Polonia", umiejętnie redagowany, urządza wystawy i występy artystów polskich, niestety, rzadko odwiedzających gościnne progi Brazylji [1]), — i marzy o wzniesieniu w stolicy kraju pomnika nieśmiertelnemu genjuszowi muzyki polskiej, Fr. Chopinowi, niezmiernie ulubionemu przez inteligencję brazylijską. [2])

[1]) Od kilku lat przebywa w Brazylji znany malarz polski Brunon Lechowski, którego wystawy cieszą się rosnącem powodzeniem.

[2]) Znakomity pisarz *Aloysio de Castro,* członek brazyl. akademji literatury, ogłosił drukiem w r. 1927 osobną rozprawę, poświęconą muzyce chopinowskiej. Książka, gustownie wydana, nosi tytuł; *„A expressao sentimental na musica de Chopin"* (Rio de Janeiro, 1927).

Prasa brazylijska naogół życzliwie odnosi się do spraw polskich. Natomiast tutejsze pisma niemieckie, z nielicznemi wyjątkami, starają się, co numer niemal, zohydzić Polskę i jej obywateli [1]). Sekundują im niektóre pisma włoskie, ruskie i inne. Polonja brazylijska kilkakrotnie protestowała przeciw tej kampanji polakożerczej.

Mimo swej liczebności Polacy tutejsi nie wywierają żadnego prawie wpływu na rządy stanowe, a po municypjach zwykle mniej poważni przedstawiciele narodowości polskiej ubiegają się o władzę. Także wśród urzędników liczba Polaków jest znikoma. Może w przyszłości to się zmieni, bo na wyższych uczelniach słuchaczy pochodzenia polskiego z roku na rok przybywa. W Kurytybie istnieje nawet stowarzyszenie studentów „Sarmacja", które usiłuje wydawać własne pisemko p. t. „Sarmata" i skrzętnie zbiera fundusze na budowę przyszłego domu — siedziby towarzystwa.

Aczkolwiek czasy obecne nie sprzyjają wcale rozwojowi ekonomicznemu i kulturalnemu Polonji brazylijskiej, przeciwnie, w pewnych dziedzinach nastąpiło poniekąd cofnięcie się wstecz, to jednak, ogólnie biorąc, sytuacja nie przedstawia się jeszcze rozpaczliwie i jest nadzieja, że przy pomocy starej ojczyzny i jej przedstawicielstw da się przynajmniej utrzymać dorobek dotychczasowy, dopóki poprawa warunków nie pozwoli rodakom tutejszym na lepsze zebranie sił i rozpoczęcie żywotniejszej działalności. Wspomaganie kolonij zamorskich leży w własnym interesie Polski, dlatego dobrze postąpił rząd warszawski, wykupując talony pożyczek dawnych po cenie ówczesnej wartości wpłacanego pieniądza. Zwrot pożyczek polskich przyczynił się walnie do poratowania materjalnego licznych kolonistów i podniósł w ich oczach znacznie autorytet kraju ojczystego. Nie przeceniając zbytnio ważności tutejszych placówek narodowych, śmiało można powiedzieć, że w przyszłości przydadzą się one jeszcze naszej Rzeczypospolitej, gdy po czekających ją niewątpliwie trudnościach zewnętrznych i wewnętrznych zajmie wreszcie należne jej stanowisko mocarstwowe wśród narodów tego świata. Wtedy i Polonja Brazylijska odegra zaszczytniejszą rolę...

Józef Stańczewski.

Rio Azul, Paraná, w listopadzie 1932 r.

W sprawie walki z handlem kobietami i dziećmi.

W styczniowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* z r. 1931 (str. 53 i n.) zamieściliśmy obszerniejszy artykuł o jednej z tych

[1]) Najwięcej nienawidzi wszystko co polskie *„Der Urwaldsbote"*, wychodzący w Blumenau (Sta Catarina).

bolesnych plag ludzkości, której nie zdołały dotychczas usunąć ani postęp kultury, ani czynna i międzynarodowo zorganizowana akcja. Materjału do niego dostarczyły nam przedewszystkiem źródłowe opracowania Ligi Narodów, a okazją stał się odbyty w Warszawie w październiku 1930 r. VIII Międzynarodowy Kongres walki z handlem kobietami i dziećmi. Dzięki uprzejmości Polskiego Komitetu Walki z handlem kobietami i dziećmi otrzymaliśmy niedawno, wydane w Londynie szczegółowe sprawozdanie z tego zjazdu, ułożone, jak poprzednie, w czterech językach, między niemi, z racji miejsca odbycia Kongresu, także w języku polskim. [1]) Zawiera ono wszystkie szczegóły osób, zebrań i obrad, wraz z referatami i dyskusją.

Obok powyższego nadesłano nam również krótki komunikat z obrad Konferencji Przygotowawczej, odbytej w Stockholmie w dn. 29/VIII—1/IX 1932 r., która przy udziale delegatów z różnych krajów, między nimi z Polski, ustaliła porządek następnego IX Międzynarodowego Kongresu, jaki odbędzie się w Berlinie w dn. od 13—16 czerwca b. r. Z pośród 27 tematów, zgłoszonych przez Komitety krajowe, wybrano 7 następujących: 1) Metody pracy opiekuńczo - poprawczej nad prostytutkami; 2) sposoby wzmożenia akcji społecznej w krajach reglamentacyjnych w kierunku zniesienia tego systemu i domów publicznych; 3) wpływ kryzysu ekonomicznego na wzrost prostytucji; 4) zwalczanie pornografji; 5) sprawy repatrjacji prostytutek; 6) dyskusja nad raportem Komitetu Ekspertów z ich podróży na Wschód; 7) sprawozdanie Komisji do spraw filmowych.

Podając powyższe wiadomości pragniemy przypomnieć społeczeństwu polskiemu, zwłaszcza sferom bardziej interesowanym i mogącym pośpieszyć z pomocą — organizacjom kobiecym, opieki społecznej, duchowieństwu — ten ważny dział pracy, dziś niestety więcej jeszcze aktualny. Kryzys gospodarczy, pozbawiając dziewczęta i kobiety zarobku, sprowadza je łatwiej na drogę nierządu i wydaje na łup handlarzy żywym towarem. P. Halina Siemieńska, która na ten ostatni temat zamieściła artykuł w *Warszawskiem Czasopiśmie Lekarskiem* (r. 1932 zesz. 45 str. 1044), powołuje się również na ostatnie dane policji z Łodzi, wykazujące wzrost liczby prostytutek z ukończoną szkołą powszechną, a nawet z maturą gimnazjalną. Toteż okres obecny powinien zaznaczyć się spotęgowaniem czujności nad niegodziwym procederem handlarzy, oraz energiczniejszą akcją nad zabezpieczeniem możliwych jego ofiar. Praca to piękna, prawdziwie społeczna i chrześcijańska, a ułatwiona u nas dzięki temu, że posiadamy

---

[1]) Report of the Eigth International Congress for the Suppression of Traffic in Women and Children in Warsaw, from october 7th to 10th 1930. London. Str. XVI+320.

przecież i odpowiednie prawodawstwo i, obok kilku organizacyj pomocniczych, działający sprawnie już od dłuższego czasu „Polski Komitet Walki z handlem kobietami i dziećmi" (Warszawa, ul. Chocimska nr. 24 m. 3), który służy potrzebnemi publikacjami i informacjami.

Ks. St. Podoleński T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 30 stycznia 1933.

Technika a modlitwa.

W oczach niewierzących wszystkich czasów niema bardziej niepożytecznego i bezcelowego zajęcia, jak modlitwa. Zwłaszcza kiedy chodzi o skutki przedmiotowe, zależne od żelaznych praw przyrody. Modlić się o dobre urodzaje, o deszcz lub pogodę jest, według Tyndalla, tak samo próżnym wysiłkiem, jakgdyby się chciało modlitwą zapobiec zaćmieniu słońca lub zawrócić wodospad Niagary do rzeki św. Wawrzyńca. Kiedy chodzi o zdrowie, to być może, że w pewnych chorobowych stanach, w funkcjonalnych zaburzeniach nerwów, psychicznych depresjach, modlitwa wierzącego wywrze pewien wpływ leczniczy. Wejdzie tu w grę sugestja, działanie psychiki na biologiczne procesy, w których tylko nieświadomość naukowa wierzącego dopatrzy się interwencji Boga. Ale nawet najżarliwsza modlitwa nie zabije bakterji, nie zestawi zwichniętego członka. Niedawno jeden z warszawskich wolnomyślicieli zapytywał czemu to w Lourdes żadnemu inwalidzie wojennemu nie została przywrócona utracona noga albo ręka. Lecz i owe subjektywne skutki modlitwy, jakie wierząca prostota zdobywa, są niedostępne dla człowieka oświeconego a niewierzącego, bo u niego niema miejsca na ową „wiarę, która uzdrawia", a bez takiej wiary niema możliwości pomodlenia się.

Jednakowoż, może ze względu na owe możliwe, czysto subjektywne, dobroczynne skutki modlitwy „wierzących prostaczków", niejeden z oświeconych niedowiarków zawahał się przed tem, by wprost burzyć w umysłach tłumów wiarę w Boga i w modlitwę. Miał politowanie dla umysłowego stanu ludzi tkwiących w „zabobonie" religijnym, ale z dru-

giej strony uczucie ludzkości nie pozwalało mu wołać: ludzie, przestańcie wierzyć i modlić się! Z pewną melancholijną pobłażliwością patrzał na procesje, obchodzące pola z święconą wodą, i nie chwytał za kołnierz spieszących do zakrystji, by dać na mszę świętą o wyzdrowienie chorego. Patrząc tylko przez swoje okulary w przyszłość, miał za pewne, że z biegiem czasu postęp oświaty zburzy ostatecznie wierzenia religijne, a wtedy wyschną źródła, skąd tryskały modlitwy ku pustemu niebu.

Z taką pobłażliwością względem modlitwy i wierzeń religijnych zrywają radykalnie bezbożnicy komunistyczni. Nazywają ją wolnomyślicielstwem burżuazyjnem, które rewolucyjny proletarjat musi uważać za szkodliwe dla swoich celów. Wolnomyślicielstwo komunistyczne musi być agresywne, wojownicze, wobec wszystkiego, co nie pomaga wprost i pozytywnie do budownictwa socjalistycznego ustroju. A taką niepożyteczną dlań rzeczą jest modlitwa i religja, — owszem, nietylko niepożyteczną, ale wręcz szkodliwą, bo ona przenosi myśl w zaświaty i uczy rezygnacji wobec zła, jakie tutaj na ziemi trapi klasy uciemiężone. Dlatego komunizm nie poprzestaje na oczekiwaniu, iż zczasem religja z serc ludzkich sama się ulotni i modlitwy zamilkną. On używa wszystkich środków, w danym czasie i kraju dla siebie dostępnych, by religję z umysłów wyplenić i modlitwę z ust spędzić.

Pomimo swej niechęci i lekceważenia, jakie żywi dla nauk humanistycznych, dla historji (oprócz historji walk klasowych) komunizm zapuszcza się w dziedzinę badań religjoznawczych, popularyzując ewolucjonistyczne teorje zachodnich pisarzy o pochodzeniu religji, powtarzając radykalne hipotezy co do początków chrześcijaństwa, wyszukując i podkreślając ujemne momenty z historji Kościoła. Ale, jak przystało na konsekwentnych materjalistów, z upodobaniem uciekają się komuniści do dowodów doświadczalnych nieużyteczności, owszem szkodliwości religji i modlitwy.

Dowody te są przerażająco proste. Czytałem w książce jakiegoś podróżnika po Rosji bolszewickiej jak małym dzieciakom w pewnym rządowym przytułku wykazywano nieużyteczność modlitwy. Kiedy się dowiedziano, że dzieciak wyniósł z domu rodzicielskiego zwyczaj odmawiania pacie-

rza z jego „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj", pozbawiono go jedzenia i kazano mu próbować, czy modlitwa taka, powtarzana wytrwale, poskutkuje i Bóg chleb przyszle. Wreszcie zgłodniałemu i płaczącemu dziecku poradzono, aby o to samo poprosił wychowawcę. Ten oczywiście obdarował „zmądrzałego" malca nietylko chlebem, ale frykasami... Albo inny przykład. Podczas wycieczki szkolnej na wieś pokazuje się uczniakom gospodarstwo chłopa pobożnego, modlącego się w cerkwi i domu, zapraszającego kapłana, by mu poświęcił pole, lecz gospodarującego po staremu, orzącego może sochą, nie mającego pojęcia o nawozach dobrych ani drenowaniu — a obok gospodarstwo postępowe „kołchozu" czy „sowchozu", kierowane przez jawnego bezbożnika, obrabiane przez ludzi, którzy już cerkiew na klub zamienili i obrazy popalili publicznie, ale gospodarstwo to jest prowadzone postępowo, przy użyciu maszyn, nawozów, obsiane dobrem ziarnem. Uczniacy mają już sami rozwiązać zadanie, czy religja, cerkiew, modlitwa wpływają coś na wydajność roli?

W programie niemieckiej organizacji bezbożników, przytoczonym przez ks. Konrada Algermissena,[1]) znajdujemy szczegółowy wykaz tematów, które ma się omawiać w walce z religją, począwszy od pierwszego roku szkoły. Zaczyna się od pouczenia, że całowanie przedmiotów świętych, krzyżów, obrazów, jest szkodliwe, bo może być rozsadnikiem chorób zaraźliwych. Posty są szkodliwe. Modlitwa niepożyteczna. Umarłych nie potrzeba się bać. Niema żadnych czarodziejów, czarownic, djabłów ani aniołów. Zamiast modlitwy trzeba używać pracy kolektywnej. Chorób nie leczy się modlitwą. Oto punkty katechizmu ateistycznego w najniższych dwóch klasach. Potem dopiero wykłada się jak świat powstał (oczywiście bez Stwórcy), kto i poco wymyślił religję i komu ona służy (oczywiście kapitalistom i „popom"), skąd się wzięła nazwa chrześcijan (bo Chrystusa wcale nie było) i t. d. Znajdujemy takich i tym podobnych tematów dla szkoły ludowej aż czterdzieści dwa!

[1]) K. Algermissen, Die Gottlosenbewegung der Gegenwart und ihre Überwindung. Verlag Joseph Giesel, Hannover 1933.

Zrozumiemy chyba, że taką nauką, odpowiednio *ad captum* dzieciaka spreparowaną, łatwo wychować ateusza, który przytem na swoich wierzących i modlących się rówieśników patrzeć będzie zgóry, w poczuciu swojej wyższości nad nimi, owszem wyrobić w nim zapał do walki z „otumanieniem religijnem".

W kraju, w którym wolno takie rzeczy drukować i takiego katechizmu nauczać, ale przynajmniej wolno także religji bronić żywem słowem i piórem, pozostaje jeszcze nadzieja, że niejednego tak wychowanego ateistę przekona się i nawróci, a przynajmniej jego tępą pewność siebie nieco osłabi; ale co będzie z bezbożnikami, wychowywanymi w kraju — jak olbrzymia Rosja — w którym szkoły innej, jak ateistyczna, niema, nauczanie religji młodzieży, nawet prywatne, jest uważane za czyn antyrewolucyjny ze wszystkiemi skutkami takiej kwalifikacji, w którym wreszcie niema żadnej możności wydrukowania czegoś na obronę religji ani sprowadzenia podobnych pism czy książek z zagranicy?

Zdaje mi się, żeśmy się nie dość wmyślili w tę szatańską walkę z religją, jaką podjęli bezbożnicy bolszewiccy, w jej rozmach, powszechność, konsekwencję i nieubłaganą bezwzględność. Zdaje mi się, że zbyt optymistycznie pocieszamy się, że przecież i w Rosji są jeszcze cerkwie i kościoły, że przecież religja zniknąć nie może, że wreszcie to się dzieje nie u nas, tylko w owej „barbarzyńskiej" Rosji. Zamało uświadamiamy sobie, że my z naszem obowiązkowem nauczaniem religji w szkołach, z naszym kodeksem karnym, bądź co bądź ścigającym przynajmniej jaskrawe występy przeciwko religji, jesteśmy wtłoczeni pomiędzy dwa kraje, z których w jednym, w Rosji, ateizm stał się już urzędowym światopoglądem, nie cierpiącym obok siebie innego światopoglądu, a w drugim, w Niemczech, liczy już około miljona zorganizowanych bezbożników, którzy zerwali z wszelką religją, z modlitwą i wprawiają się do podobnie nieubłaganej walki z religją, jak w Rosji. Czy takie sąsiedztwo z dwóch stron nie stanowi samo przez się groźby dla naszej religijności? „Sowiety tworzą nowego człowieka", nietylko człowieka-kolektywistę, człowieka-maszynę, ale przedewszystkiem człowieka-ateusza, który fanatycznie wal-

czy z religją. Inne kraje w znacznej mierze są do takiej „twórczości" przygotowane: czy nasz kraj, wśród nich, jest dosyć przed bezbożnością zabezpieczony, czy u nas dosyć jest do obrony swych wierzeń przygotowany człowiek „stary"?

W obronie religji przeciwko bezbożnictwu odgrywają bezwątpienia niemałą rolę ochronne ustawy danego kraju. Ustaw takich, jak zapewniająca nauczanie religijne w szkole, jak karząca zakłócenia funkcyj religijnych lub bluźnierstwo przeciw Bogu, nie można nie doceniać i społeczeństwa, którym chodzi o religijność swoich członków, nie będą dążyły do osłabienia podobnych ustaw choćby dla poszanowania przekonań inaczej myślących. Rzecz w tem, że ci „inaczej myślący" nie kryją się z tem, iż równe prawa dla niewiary jak dla wiary uważają jedynie za stadjum przejściowe, przygotowujące do monopolu bezbożnictwa. Doświadczyły tego Niemcy w latach powojennych ze swą szeroką tolerancyjnością dla niewiary: takie występy komunistycznych bezbożników, jak profanowanie świątyń, publiczne ośmieszanie religji, bluźnierstwa i formalne gwałty zmusiły rząd niemiecki w maju 1932 do wydania, w postaci dekretu prezydenta Rzeszy, ustawy ukrócającej tę nadmierną „wolność" ateizmu. Ale z drugiej strony wielkiem niebezpieczeństwem dla religji byłoby zbytnie poleganie na podobnych ustawach ochronnych i czynienie sobie z nich szałasu, w którym możnaby spać spokojnie. Ostatecznie nietylko wykonywanie ustaw, ale sama ich egzystencja zależne są od tego: jacy ludzie dochodzą do głosu w sprawach publicznych i jaką swój głos potrafią poprzeć siłą, a na jaki opór natrafią. Przypomnijmy sobie, że w Rosji zakaz nauczania religji młodzieży nastąpił w kilka miesięcy po uchyleniu prawa o obowiązkowości tegoż nauczania, a palenie kościołów wśród białego dnia odbywało się w kraju, który na kilka tygodni przedtem uchodził za stuprocentowo katolicki i posiadał „katolickie" ustawy. Czy nie dlatego stało się to możliwem, że religje — w jednym wypadku prawosławna, a w drugim katolicka — za wiele licząc na ochronę państwa, za mało przygotowały swoje wewnętrzne siły do walki z przygotowywaną długo bezbożnością?

Tutaj, w zastosowaniu do naszego kraju, pragnąłbym

zwrócić uwagę na jedną stronę naszej religijności, która wymagałaby pogłębienia i opancerzenia wobec ataków bezbożnictwa. Jak łatwo się domyśleć z tytułu artykułu i przytoczonych na początku jego przykładów, chodzi mi o stosunek naszej religijności do kultury materjalnej, do tego, co zamknąłem w słowie „technika". Jaki jest stosunek człowieka wierzącego do techniki w wytwórczości dóbr materjalnych, do „techniki" w dziedzinie zdrowotności, do techniki w rozmaitych ułatwieniach i rozrywkach życiowych? Czy, aby pozostać religijnym, wierzącym, trzeba się plecami obracać do zdobyczy ludzkiego ducha na polu wszelakiego rodzaju techniki, do materjalnego postępu, upatrywać w nich zasadniczo niebezpieczeństwo dla duszy, w rezultacie lekceważyć je, albo przyswajać sobie dopiero wślad za innymi, jako nieuchronną konieczność życiową? Znaczyłoby to żądać od ludzi wierzących, aby w pochodzie kulturalnego postępu szli, jak ciury, w ostatnich szeregach, korzystając z odpadków pozostawianych przez innych. A jeżeli wierzących zachęcimy, by śmiało w owym pochodzie wysuwali się na czoło, czy pozostanie w ich duszach miejsce dla religji i dla modlitwy, w której religja się wypowiada? Czy religja i modlitwa dadzą się pojąć jako dźwignie materjalnej kultury?

Oto pytania, domagające się jasnej odpowiedzi wobec naporu ateistycznej tezy, że technika i modlitwa nawzajem się wykluczają.

Odpowiedź zaczniemy od końca.

Że religja i modlitwa nie przeszkadzały postępowi materjalnej kultury, owszem dzielnie mu pomagały, możnaby udowadniać faktami historycznemi. Wielokrotnie powtarzano to, że religja, zwłaszcza chrześcijaństwo uczyło ludzi pracować, a praca przecież tworzy materjalny dobrobyt i postęp. Wskazywano na znaczenie zakonów katolickich dla kultury całych krajów, w których tworzyły wzorowe gospodarstwa rolne, zakładały rękodzielnictwo. A czy Kościół nie błogosławi każdemu pożytecznemu wynalazkowi, włączając do swego rytuału obrzędy poświęcania różnych maszyn? Przeciwko temu dowodowi wszakże bywa wytaczany zarzut, że zasługi chrześcijaństwa dla materjalnej kultury, dla techniki, o ile były rzeczywiste, wynikły kosztem sprzeniewierzenia

się ludzi wierzących duchowi religji, która przecież zasadniczo odrywa ludzi od ziemi i kieruje ich wzrok ku niebu. Zakony stawały się ogniskami kultury, ale działo się to wtedy, kiedy przygasał ich pierwotny ideał ascetyczny, gdy nad religijną kontemplacją brała górę chęć dobrobytu i wygodnego życia. Błogosławienie nowożytnym wynalazkom i maszynom jest tylko interesowną grzecznością Kościoła wobec potężnego nurtu materjalistycznego, który tym sposobem chce się przychylniej usposobić dla religji. Czy nareszcie nie jest wymowny fakt, że w postępie materjalnej kultury, w technice, maszynizacji wysunęły się na czoło kraje, które więcej niż inne oddaliły się od religji, przeważnie kraje protestanckie, w których religja wcześniej, niż w katolickich, utraciła swe wpływy na zewnętrzne czyny człowieka? Dlatego trzeba raczej *a priori* dowieść, że pozytywne ustosunkowanie się do materjalnego postępu, do technicznych zdobyczy wypływa z istoty religji, jeżeli nie każdej, to przynajmniej z istoty chrześcijaństwa. Czy taki dowód jest możliwy? Sądzę, że tak.

Były i są religje, które do postępu materjalnego musiały z zasady odnosić się wrogo. Takim był parsyzm Zoroastra, w którym materja była uważana za pierwiastek zły, zasadniczo duchowi wrogi, za dzieło Arymana. Takim jest buddyzm z jego pesymistycznem zapatrywaniem na egzystencję jako zło, od którego trzeba się wyzwalać przez dążenie do nirwany. Ale nie jest taką religja chrześcijańska. Ona wszystko, co istnieje, uważa za dzieło mądrości i wszechmocy Boga-Stwórcy, który o każdem swem dziele mógł powiedzieć, „iż było dobre". Dobrą jest także materja, dobre są wszystkie jej siły i rządzące nią prawa. I jeżeli św. Paweł zaznacza pewien dualizm i przeciwstawność między „duchem„ a „ciałem", które wzajemnie przeciwko sobie „pożądają", to dualizm ten nie zachodzi pomiędzy duchem a materją, lecz pomiędzy rozbieżnemi dążeniami samegoż ducha ludzkiego, niezawsze umiejącego wciągnąć to, co materjalne i cielesne, do służby Bogu, która się od całego człowieka należy.

Nadto owa materja, którą Bóg stworzył dobrą, ma być dalej doskonaloną, ulepszaną i coraz bardziej służyć duchowym zadaniom istot rozumnych. Z chaosu do kosmosu do-

prowadził materję sam Stwórca mocą włożonych w nią sił, fizycznych, chemicznych, pierwiastka życiowego; na kosmosie jednak, na tej przynajmniej jego kruszynie, którą zamieszkują stworzenia rozumne, chce aby powstała i rozwijała się kultura, to jest dalsze porządkowanie i niejako uduchowianie natury. Osiąga to Bóg już zapomocą sił innych, mianowicie intelektu, którym owe stworzenia obdarzył. Zaraz też pierwsi ludzie otrzymali polecenie „sprawowania ziemi" i „czynienia jej sobie poddaną".

I właśnie ludzie spełniają to polecenie, tworząc materjalną kulturę. Niekiedy, mianowicie kiedy swoje umysły odwracają od swego początku i końca, to jest od Boga, tworzą w tej kulturze rzeczy nierozumne i zgubne dla samych siebie. Takiemi są wszelkie wieże Babel, tworzone przez pychę i wszelkie narzędzia wzajemnego niszczenia się, tworzone przez nienawiść. Ale czyż i w samej naturze nie trafiają się twory chybione, monstra? Z powodu zboczeń i nadużyć materjalnej kultury nie potępiajmy jej samej.

Człowiek zaszczepia kulturę na naturze materjalnej swoim intelektem i swojemi mięśniami. Stąd podwójna praca, jednakowo potrzebna i cenna i posiadająca religijną wartość i znaczenie.[1]) Ale w samym stosunku między temi dwoma rodzajami pracy zachodzić ma ustawiczne przesuwanie się punktu ciężkości z mięśni na intelekt. Człowiek uduchownia nietylko materję poza nim istniejącą, ale także własną swoją pracę, i w tem zawiera się także postęp kulturalny. Dzieje się zaś to przez technikę.

Na drogę techniki wstąpił człowiek, kiedy po raz pierwszy użył drąga jako dźwigni do poruszenia jakiejś zawady, której rękami poruszyć nie mógł. Każdy nowy pomysł i wynalazek w zakresie mechaniki stanowił krok naprzód na tej drodze uduchowiania i ułatwiania sobie pracy. Wprzągnięcie sił przyrody, wiatru, wody, pary, potem elektryczności do pracy ludzkiej wieńczyło zwycięstwo rozumu nad materją, poddawało materję coraz pilniej i doskonalej służbie człowieka i jego celom duchowym. Czy można powie-

[1]) Pisałem o tem w art. „Pracy dostojność i organizacja", *Przegl. Powsz.* luty 1924; por. także książkę „Na tematy współczesne".

dzieć, że ludzkość sprzeniewierzała się tym sposobem swojej naturze i swojemu powołaniu, albo że osiągnęła już kres w owem opanowywaniu ziemi i poddawaniu jej sobie, jakie jej Stwórca niegdyś zlecił?

W naszych czasach wskazuje się na technikę, jako na jedną z przyczyn gospodarczego przesilenia i spowodowanej niem nędzy mas. Maszyna, coraz bardziej skomplikowana, coraz więcej obchodzi się bez rąk ludzkich, wskutek tego masy pozostają bez pracy, a jako bezrobotni nie mają za co kupować wytworów maszyny, która tym sposobem traci swoją wartość. Czy jednak jest to wina postępu techniki, jako takiego, czy też niezrozumienia komu i w jaki sposób ten postęp ma służyć? Wszak od pierwszej owej dźwigni ludzkość stale dążyła do tego, by wytwarzać coraz większą ilość materjalnych dóbr, zużywając coraz mniej czasu i siły mięśni ludzkich. Czy dzisiejsza technika nie jest dalszym krokiem na tej samej drodze i w tym samym kierunku?

Nie w maszynach więc tkwi przyczyna kryzysu, ale w tem, że pracę przy niej źle się na ludzi rozkłada i w tem, że się z niej chciało uczynić narzędzie nie zaspokojenia potrzeb szerokich mas, ale zysku przedsiębiorczego kapitału. Możnaby także jeszcze zapytać, czy nawet ten bezrobotny naszych czasów, dzięki kulturalnym urządzeniom i zdobyczom, nie ma się lepiej, niż człowiek pierwotny w początku swej kulturalnej drogi?

Pewna religijna wartość materjalnego postępu, objawiającego się w doskonalącej się ustawicznie technice, płynie więc stąd, że to jest pewne udoskonalanie cząstki kosmosu, stworzonego przez Boga, zapomocą intelektu ludzkiego, który od tegoż Boga pochodzi. Ważniejszem jest to, że przy tem ukulturalnianiu natury sam intelekt ludzki postępuje i doskonali się. Winą ludzi jest, jeśli ten postęp jest jednostronny, jeśli nie towarzyszy mu w duszach wzrost moralnych wartości; winą ludzi jest to także, że jest on zacieśniony do zbyt małej garstki uczonych i specjalistów, podczas gdy wielkie masy spycha się zanadto do roli bezmyślnych obsługiwaczy maszyny, czyniąc ich także jakby kółkiem w maszynie. Sam wszakże wzrost intelektu nie-

tylko u wynalazcy i inżyniera, ale nawet u inteligentnego robotnika przy maszynie czy na postępowem gospodarstwie jest czemś dodatniem, jest jakąś wartością, która człowieka czyni podobniejszym do Boga, a więc pod tym względem do niego go zbliża. Kalectwo nowoczesnego technika-ateisty nie na tem polega, że on góruje swym rozumem praktycznym nad pobożnym prostakiem, albowiem pod tym względem jest on bliższym Bożej mądrości, niż prostak, ale na tem, że nie zdaje sobie sprawy, iż zarówno swój intelekt, jak i te siły przyrody, które nim opanowuje, zawdzięcza nie sobie jedynie i nie innym ludziom, ale przedewszystkiem Stwórcy i prawzorowi wszystkiego, co rozumne — Bogu.

Znaleźliśmy religijne zrozumienie i usprawiedliwienie dla techniki materjalnej i materjalnej kultury. Widzimy, że z pomiędzy religij przynajmniej religja chrześcijańska nie mieści w sobie nic takiego, coby jej wyznawcy wzbraniało i przeszkadzało brać czynny udział w usiłowaniach nad dalszem doskonaleniem techniki i kroczyć bodaj na czele postępu materjalnego. Religja chrześcijańska żąda jedynie, by ani z techniki ani z kultury materjalnej nie czyniono dobra najwyższego, ale by podporządkowywano je duchowym i moralnym dobrom ludzkości. W szczególności chrześcijaństwo żąda, by zdobycze ducha w dziedzinie materji przeniknęła religijna cześć dla Stwórcy tejże materji; żąda także, aby ich pobudką nie był egoizm, pycha i nienawiść, ale dążenie do osiągnięcia większej sprawiedliwości społecznej i powszechnej miłości. Jeśli raj na ziemi będzie zawsze utopją, to jednak trzeba doceniać praktyczną wartość utopji: winna ona nadawać kierunek działalności ludzkiej, winna być tą gwiazdą, ku której żegluje ludzkość. Pracowanie nad przybliżeniem się do Królestwa Bożego nie jest wysiłkiem zmarnowanym, chociaż ideał takiego Królestwa nie da się na ziemi urzeczywistnić w całej pełni.

Z tego, co się powiedziało, wynika, że ten, ktoby przeciwko postępowi w technice i kulturze materjalnej czynił jakieś zasadnicze zastrzeżenia imieniem religji, oddawałby religji nie najlepszą usługę, dostarczałby bowiem jej wrogom dowodu, że w kulturalnym pochodzie ludzkości jest ona raczej siłą ujemną i hamującą, niż dodatnią i twórczą. Otóż

zdaje mi się, że do zadań chrześcijaństwa, a w szczególności katolicyzmu w naszej epoce walki z bezbożnością należy także zadawanie kłamu powyższemu zarzutowi nie słowami jednak, ale twórczemi czynami. Jeśli w przeszłości były dopuszczone pod tym względem jakieś zaniedbania, płynące z jakichś skrupułów religijnych, to czasy obecne wymagają odrobienia takich zaniedbań i odrzucenia skrupułów. Oczywiście katolicyzm, okazując się czynnikiem twórczym w dziedzinie materjalnej, nie może zaniedbać kultury strony duchowej człowieka. Owszem, im tamta stanie wyżej, tem większych potrzeba będzie wysiłków, by pomiędzy kulturą materjalną a duchową nie została zachwiana równowaga, ani utracona harmonja. Ale to jest inny temat, nie wchodzący w zadanie dzisiejszego artykułu.

Pozostaje nam dać odpowiedź na pytanie: czy postęp techniki i materjalnej kultury nie czyni zbędną modlitwy. Że można przy nim wierzyć w Boga, Stwórcę i prawodawcę przyrody, że można oddawać mu cześć wewnętrzną, to już widzieliśmy, ale czy można się m o d l i ć w pospolitem znaczeniu tego słowa, to jest prosić Boga o rzeczy, których osiągnięcie zależy przecież od biegu natury i od wysiłków kulturalnej pracy człowieka nad nią?

Pod tym względem może dużo trzebaby zmienić w umysłowości wierzących ludzi.

Najpierw może wielu ludzi, zwłaszcza w niższych warstwach, religję traktuje zbyt interesownie, uciekając się do modlitwy przeważnie jako do środka otrzymania darów doczesnych lub odwrócenia nieszczęść. Stosunek do Boga opiera się wtedy na formule sprawiedliwości zamiennej: *do ut des*. Bezinteresowna adoracja Boga i miłość ku niemu zepchnięte są wtedy w najdalszy kąt duszy lub wogóle nieznane. Zwłaszcza u ludu prostego najświętsze praktyki religijne schodzą do poziomu praktyk magicznych, mających skłonić bóstwo do dania tego, o co je się prosi, albo odwrócić jego gniew. Z resztkami tego prymitywizmu religijnego należałoby walczyć wytrwale, gdyż taka religijność pod działaniem ateistycznej oświaty najprędzej się załamie.

Następnie modlitwa o rzeczy doczesne nie powinna zastępować uciekania się do środków naturalnych, od któ-

rych zależy ich osiągnięcie. Na chleb trzeba pracować, w chorobach trzeba się leczyć, a nietylko modlić się. Skoro Bóg opatrzył człowieka rozumem, a przyrodę powiązał w całość stałemi prawami, to na to, byśmy temi ostatniemi posługiwali się w naszych potrzebach, a nie na to, byśmy modlitwą żądali ciągłych cudów, ustawicznego wkraczania wszechmocy Bożej dla łamania lub zawieszania ustanowionych przez Boga praw. Oczywiście dla wierzącego człowieka jest rzeczą niewątpliwą, że Bóg cuda czynić może, ale liczenie na cud na każdym kroku, wtedy, kiedy jeszcze naturalne środki leżą przed nami niewyzyskane, nazwane zostało przez Chrystusa „kuszeniem Boga". Dlatego poprzestawanie na wodzie święconej w celu zapewnienia plonów z ziemi, kiedy się zaniedbuje racjonalnej na niej gospodarki, lub zaniedbywanie możliwej higjeny w czasie zarazy w nadziei na Opatrzność Bożą może narazić pobożnych w ten sposób na dotkliwy zawód. A gdyby się taką religijność popierało lub, co gorsza, eksploatowało, przygotowywałoby się łatwy grunt pod zasiew bezbożnickiej propagandy. Liczyć na cud wolno tylko wtedy, kiedy się wyczerpało wszystkie dostępne naturalne środki. I takie cuda niewątpliwie się dzieją — dowodem fakty stwierdzane w Lourdes — są one wszakże niezmiernie rzadkie, pono tylko tyle ich dzieje się, ile potrzeba, by nie znikła do szczętu w zmaterjalizowanym świecie wiara w panowanie Boga nad widzialnym światem.

Jakież tedy znaczenie może mieć modlitwa w tych wszystkich razach, kiedy jednocześnie używamy środków naturalnych dla osiągnięcia tego, o co prosimy? Ma ona i wtedy znaczenie wielkie, bo w niej wypowiadamy nasze przekonanie, zgodne z filozofją teistyczną, iż Bóg, jako Stwórca i prawodawca natury, jest ostatecznym dawcą wszelkich darów dobrych, które ż przyrody pracą i kulturą wyciągamy. W kawałku, własnemi rękami zapracowanego, chleba widzieć możemy i powinniśmy dobroć Bożą, która tej cząstce materji nadała pożyteczne dla nas właściwości. Zaiste głęboką prawdę wypowiada wierzący, kiedy przed spożyciem pokarmu prosi Boga o błogosławieństwo dla siebie i dla darów, które „z jego szczodrobliwości" ma pożywać.

Ale modlitwa, nawet ta błagalna, o której tu mowa,

ma jeszcze głębsze znaczenie. Jakkolwiek nie sprowadza ona cudu, nie zmienia ustanowionej przyczynowości natury, nie jest wszakże pozbawiona rzeczywistego wpływu na otrzymanie tego, co jest jej przedmiotem. Tę prawdę ustaliła myśl chrześcijańska już dawno. Św. Tomasz z Akwinu pisał: „My modlimy się nie w tym celu, by zmienić to, co Bóg uczynić zamierzył, ale aby otrzymać to, czego spełnienie uzależnione jest w planach Bożych od naszej modlitwy". Do Boga, u którego niema przyszłości i przeszłości tylko wiekuiście trwająca teraźniejszość, nasze modlitwy dochodzą nie dopiero w tym momencie czasu, kiedy je zanosimy; one są od wieków przytomne uszom Bożym i sercu Bożemu. I Bóg te z nich, które w swej mądrości i dobroci chce wysłuchać, wziął w rachubę, jako przyczyny moralne, i stworzonym przez siebie pierwiastkom materjalnym taki nadał układ początkowy, aby z niego, mocą stałych praw przyrody, w danym momencie czasu taki wynikał skutek, o jaki rozumne stworzenie się modli. Nasze modlitwy w takim razie są może czemś więcej, niż przyczyną cudu, są bowiem czynnikiem współtwórczym w samem dziele stworzenia.

Wierzącego a światłego chrześcijanina nie powstrzyma od modlitwy błagalnej nawet ten fakt niewątpliwy, a złośliwie przytaczany przez ateuszów, że użycie środków naturalnych, rozum, technika, dają także niewierzącemu i nie modlącemu się człowiekowi te same widoczne rezultaty, co temu, który się modli. Wierzący chrześcijanin pamięta na słowa Chrystusa o Ojcu niebieskim, „który czyni, że słońce jego wschodzi na dobrych i złych i spuszcza deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych". Powiedziano to nie dlatego, by postawić na jednej linji dobro i zło, sprawiedliwość i niegodziwość i wszystko objąć jednem wartościowaniem, ale żeby podkreślić właśnie dobroć Ojca niebieskiego, której nie potrafią przekreślić nawet niegodziwości ludzkie. Dlatego powodzenie doczesne bezbożnika nie zdoła zachwiać wiary w dobrego Boga. Powodzenie jego jest rezultatem użytych przez niego rozumnych środków, techniki naturalnej, ale zawdzięcza się także wyrozumiałej i wszechogarniającej dobroci Bożej, zaś analogiczne powodzenie człowieka, również jak on kulturalnego, ale przytem wierzącego i modlącego się,

będzie rezultatem i użytych środków naturalnych i modlitwy. Który z tych dwóch ludzi postępuje bardziej rozumnie, tego nie rozstrzygną żadne lekcje poglądowe w rodzaju tych, jakie stosują bolszewiccy bezbożnicy, to bowiem zależy od przekonania o istnieniu Boga - Stworzyciela i Ojca, przekonania zdobywanego przez człowieka inną drogą, niż eksperymentem zewnętrznym.

Ora et labora — tak wzywano ludzi oddawna do modlitwy i pracy. Modlitwa i praca, dwa czynniki ludzkiego postępu — nietylko duchowego ale i materjalnego — nie przeszkadzają sobie wzajemnie, ani też jeden drugiego nie zastępuje, lecz oba winny się kojarzyć. Św. Ignacy Loyola wypowiedział tę prawdę w następującej praktycznej maksymie: „Tak się módl, jakby nic od ciebie nie zależało, tylko wszystko od Boga, a tak pracuj, jakby nic od Boga, tylko wszystko od ciebie zależało". W dziedzinie materjalnej maksyma ta doskonale streszcza stosunek wzajemny techniki i modlitwy. *Homo oeconomicus* i *homo religiosus* nie muszą stać na przeciwległych biegunach życia ludzkiego. Z nich powinien się złożyć człowiek całkowity, normalny mieszkaniec tej ziemi, oczy ducha mający podniesione w niebo, ale z rękami zanurzonemi w materji, którą ma uszlachetniać i czynić narzędziem celów duchowych. Jest to ideał katolika zwłaszcza na nasze czasy.

Ks. Jan Urban T. J.

Katolicyzm a nauka.[1])

Kult Najświętszej Marji Panny nigdy w Polsce nie potrzebował propagandy: był zdawna samorzutnym i żywiołowym objawem świadomości religijnej, a był specyficzną cechą katolicyzmu polskiego dlatego, że jako symbol najlepiej i najpiękniej wyrażał rycerskość narodu, wyrobioną w wielowiekowej obronie cywilizacji chrześcijańskiej. Matka Boska była Królową Korony Polskiej, długo zanim ją uroczyście tą królową ogłosił Jan Kazimierz, i pozostała nią zawsze, nawet wtedy, gdy tę koronę samą „ukradł i skrwawił" postronny nieprzyjaciel.

Jeżeli więc młodzież sodalicyjna najstarszego Uniwersytetu w Polsce, zrzeszona pod hasłem tego odwiecznego Najświętszej Panny nad naszym narodem królowania, obchodzi ze szczególną uroczystością doroczne święto swej Królowej i Patronki, to okazuje tylko swą solidarność z wielką tradycją narodową i niezłomne przywiązanie swe do tej tradycji zaznacza.

Ale hołd, składany temu co jest najpiękniejsze i najpoetyczniejsze w ideologji katolickiej, przez młodzież uniwersytecką, ma swoje osobliwe znaczenie i nasuwa pewne określone refleksje.

Refleksje te dotyczą stosunku katolicyzmu jako systemu myśli religijnej do myślenia naukowego i do kultury umysłowej, a więc do tej sfery działań ludzkich, w której akademik swe lata studenckie spędza. Refleksje na temat sto-

[1]) Przemówienie na Akademji Marjańskiej, urządzonej przez Sodalicję Akademicką w Domu Katolickim w Krakowie dnia 2 lutego r. 1933.

sunku katolicyzmu do świata myśli naukowej wydają się być szczególnie na czasie i na miejscu w Polsce dzisiejszej: w tej bowiem dziedzinie właśnie wielu z nas widzi pewną słabość katolicyzmu polskiego. Był on przez wieki sprawą zbrojnego pogotowia i orężnego czynu obronnego, był zawsze i pozostał sprawą serdecznych uczuć całego narodu, a zamało był i jest sprawą myśli, organiczną częścią całej naszej kultury intelektualnej. Szczególnie tego, kto poznał społeczeństwa anglosaskie i obserwował panującą u nich żywą wymianę myśli między nauką świecką a światem religji, razić musi bezsprzecznie fakt, że u nas nazbyt często jeszcze gorliwi działacze katoliccy odnoszą się obojętnie lub nawet podejrzliwie do świeckiej kultury naukowej, a znowuż pracownicy naukowi nie interesują się życiem duchowem w Kościele katolickim. W tym względzie wyprzedziły nas narody zachodnie, nawet takie narody katolickie jak francuski, u których katolicyzm nie jest dziś tak głęboko i powszechnie zakorzeniony w świadomości narodowej jak u nas. Jak się to stało, że na Zachodzie rozwój poszedł w ostatnich czasach w tym właśnie kierunku zbliżenia między nauką świecką a myślą religijną, nad tem warto się dziś nieco zastanowić historycznie, by sobie dokładnie uświadomić, jakie zaległości kulturalne w tym względzie ruch katolicki wśród społeczeństwa polskiego ma do odrobienia.

I.

Podziwiamy dziś z perspektywy historycznej imponującą jedność duchową świata średniowiecznego, w którym Kościół i kultura były pojęciami ściśle skojarzonemi. Strażnicami i skarbnicami wiedzy naukowej i tradycji literackiej były klasztory i szkoły kapitulne; z renesansu życia zakonnego w XIII wieku, którego najszczytniejszym wyrazem jest franciszkanizm, wyrosły największe Uniwersytety Europy (jak Oxford i Cambridge w Anglji), zastępy nauczycieli w tych i innych Uniwersytetach — także w naszym — tworzyli przez długi czas wyłącznie duchowni; jako korona całej, znajdującej się pod opieką Kościoła, wiedzy o świecie, wyrosła na fundamentach starożytnej nauki arystotelesow-

skiej, strzelista, wspaniała filozoficzna budowa *Summy Teologji* św. Tomasza z Akwinu. I z religijnej koncepcji świata także wyrosło największe arcydzieło poezji średniowiecznej, boski poemat Dantego.

Nadeszły inne czasy w stuleciu humanizmu i reformacji. Z jednej strony według doktryn protestantyzmu sumienie jednostki miało stać się najwyższym trybunałem moralnym; z drugiej za sprawą humanistów odsłaniały się ogromne obszary myśli i twórczości starożytnej, nie objęte średniowiecznym poglądem na świat, i zachęcona tym przykładem nauka nowoczesna w swych spostrzeżeniach i doświadczeniach również śmiało poza granice owego poglądu wychodzić poczęła. Dokonało się wielkie zeświecczenie nauki, literatury i życia państwowego, — usiłowano dokonać zeświecczenia filozofji i moralności: filozofja miała wziąć rozbrat z teologją, a moralność — z nakazami religji objawionej i autorytetu kościelnego.

Te dążności w dalszym swym rozwoju doprowadziły konsekwentnie do racjonalizmu ery Oświecenia. W szlachetnej, ale obłąkanej zarozumialstwem postaci deizmu racjonalizm ten usiłuje skonstruować Boga, wyłaniającego się z głębi samodzielnych rozumować ludzkich, a więc niejako stworzonego przez człowieka; w innych przejawach dochodzi pod koniec XVIII wieku, w erze Jana Jakóba Rousseau, do ubóstwienia człowieka samego, do bałwochwalczego entuzjazmu dla wolności, która owemu absolutowi dobroci daje pełną możność zbawczego działania.

Mimo rozczarowań, jakich ta wiara w zasadniczą dobroć człowieka doznała przez okropności rewolucji francuskiej, wiek XIX przejął od XVIII-go w spadku jego uwielbienie dla twórczej siły rozumu ludzkiego. Nie brakło wprawdzie wielkich duchów, co umiały odczuć i potężnie przedstawić nieuchronny tragizm poczynań człowieka, dążącego poza granice wytknięte jego naturze. Załamuje się Faust w wielkim poemacie Goethego w dążeniu do wszechwiedzy i do wyczerpania pełni przeżyć; załamuje się u Byrona Kain w zapamiętałym buncie przeciw autorytetowi zaświatowemu; załamuje się u Mickiewicza Konrad na zuchwałem wyzwaniu, rzuconem wszechwładzy Boskiej przez dumę

genjuszu. Ale optymizm — ten sam co w erze racjonalizmu — nadal ożywia w XIX w. myślicieli naukowych, a nadewszystko badaczy przyrodniczych: ku coraz nowym i niewątpliwie zdumiewającym zdobyczom wiedzie ich wiara w nieskończoną i nieograniczoną zdolność poznawczą ducha ludzkiego. Wiara ta staje się dogmatem nietoleranckim, rodzajem tyranji umysłowej, w erze różnych epigonów Darwina. Z arogancją, już noszącą wszelkie cechy zaślepienia, głoszą nietylko absolutną pewność i moc poznanych rzekomo praw przyrody, ale obojętność wobec wszystkich dziedzin życia duchowego, leżących poza granicami rozumowego poznania. Ta obojętność, znana w Anglji pod wytworną filozoficzną nazwą „agnostycyzmu", przeradza się u zapalczywszych natur, szczególnie na kontynencie europejskim, w postawę wrogą, mianowicie wobec religji. Dziesięciolecia trwają zażarte walki między nauką przyrodniczą a dogmatem religijnym; wytwarza się wśród inteligencji europejskiej moda kulturalna na materjalizm i niewiarę, — moda, której odbiciem był u nas pozytywizm warszawski. Zapanowały nastroje, których gorzką, ale przenikliwą diagnozę stawia Norwid w przypisku do jednego ze swych poematów, powiadając: „Są ludzie, którzy wszystko co jest n a d rozum, za p r z e c i w r o z u m n e biorą. Tym sposobem, nazwawszy mistycyzmem wszystko, czego się zgłębić nie chce (bo to praca), ani przyjąć (bo to pokora), są już na szczycie doskonałości". [1])

II.

Moda na materjalizm dawno minęła, walki między nauką przyrodniczą a dogmatem religijnym dawno przebrzmiały. Naprzeciw zarozumiałości proroków materjalizmu i determinizmu stanęła bowiem jeszcze w samem ich XIX-em stuleciu głęboka i szlachetna pokora największych uczonych epoki, takich jak wielki fizyk lord Kelvin w Szkocji, co w dzień swego jubileuszu naukowego wyznał, że o istocie elektryczności i magnetyzmu nie wie więcej niż w pierwszy

[1]) *Poezje wybrane*, wyd. Miriam, Warszawa, J. Mortkowicz, 1933, str. 86.

dzień swych badań, — jak genjalny Pasteur we Francji, co z pobożnością prawdziwie bretońską wyznawał małość człowieka wobec wielkich tajników życia w przyrodzie. Dzisiaj ani biologowie nie są bynajmniej pewni, że uchwycili poznawczo istotę życia i zgłębili jej prawa, ani fizycy, że ujęli w określenia tajemnicę budowy materji i siły w niej działające. Coraz częściej ze strony najwnikliwszych badaczy naukowych dają się słyszeć powątpiewania, czy bogactwo zjawisk świata i utajony ich związek dadzą się wogóle ująć w ściśle rozumowe i wszechobowiązujące formuły, coraz też wyraźniej dochodzą znowu do uprawnienia i uznania momenty pozarozumowe w naukowym obrazie świata. Już w zaraniu XX wieku Henri Bergson w samym rdzeniu powszechnego zjawiska ewolucji stwierdził działanie czynnika nieobliczalnego, twórczego — w swem pomnikowem dziele *L'Évolution Créatrice*; dziś po długim okresie skupionego milczenia w najnowszej swej pracy *Les deux sources de la morale et de la religion* mówi do świata o religji jako o realnym i powszechnym fakcie życia duchowego ludzkości. Niewątpliwie był w zgodzie z najwznioślejszą myślą filozoficzno-przyrodniczą naszych dni profesor Władysław Natanson, gdy nad trumną swego znakomitego kolegi Marjana Smoluchowskiego zawołał: „Jest-że myśl ludzka prostą czytelniczką ustanowienia dzieł Stwórcy? Czy śni tylko ogromy, w których nie znajduje dna ani kresu? Czemże jesteśmy i czy wogóle jesteśmy, zgubieni wśród bezmiaru pozorów? Czujemy się echem Przedwiecznej Twórczej Potęgi, Mocy Bożej". [1])

Jeżeli nauka w ten sposób na nowo się zbliża do religji, to przyczynił się do tego niemało jeden potężny prąd kulturalny, którego zarodki przekazał wiekowi XIX-mu wiek XVIII-y razem ze swą spuścizną racjonalizmu, ale jako siłę przeciwdziałającą wszechwładzy tego racjonalizmu. Prądem tym był r o m a n t y z m. Protestując przeciw oschłym uogólnieniom racjonalizmu, romantyzm walczył o równouprawnienie uczucia i wyobraźni z ubóstwianym jednostronnie rozu-

[1]) Wł. N a t a n s o n, *Oblicze Natury*, Kraków, Spółka Wydawnicza, 1924, str. 153.

mem; buntując się przeciw wyłącznemu uprzywilejowaniu wzorów starożytnych, wydobywał z zapomnienia wielkie dzieła katolickiego średniowiecza; powstając przeciw niwelującemu internacjonalizmowi kultury wieku Oświecenia, domagał się uznania dla wartości narodowych, a przejęty hasłami demokratycznemi, wsłuchiwał się w pieśń i powieść gminną i w uczuciach i wierze ludu znajdywał skarby niemniej cenne od tych, które odkrywało „mędrca szkiełko i oko". Wreszcie rzucał romantyzm światło genjalnej nieraz intuicji swych wieszczów na te spowite w cień dziedziny życia duszy, w których nie panuje rozum, lecz panują czynniki irracjonalne. *Die Nachtseite des Lebens* pięknie nazywali te rozległe dziedziny romantycy niemieccy, — „zjawiskami podświadomości" zwie je psychologja nowoczesna, zajmująca się niemi w coraz szerszym zakresie, i coraz większe przypisująca im znaczenie.

III.

Trzeba bowiem stwierdzić ten ważny fakt historyczny, że owe tak doniosłe pierwiastki doktryny romantycznej przetrwały w swej żywotności nietylko samą erę romantyczną w literaturze, ale przetrwały także okres największego nasilenia racjonalizmu naukowego w XIX wieku. Z ich nieprzerwanego, choć czasowo przytłumionego działania wyrasta już pod koniec XIX stulecia ów renesans religijności katolickiej, który w samych latach triumfu polityki anty-kościelnej wydaje tak piękne kwiaty życia religijnego i słowa religijnego we Francji, który odzywa się w Anglji wskrzeszonem odczuciem dla mistycyzmu u nowszych poetów i myślicieli, który wreszcie i u nas rozszerza widnokrąg umysłów prawdziwie filozoficznych na całe olbrzymie obszary zjawisk duchowych, nie dających się ująć w karby rozumu. Gdy trzeźwo i logicznie rozumujący prawnik, jak śp. Wł. L. Jaworski, zdumiewa współczesnych swą głęboko odczutą afirmacją mistycyzmu w poezji i filozofji, to wobec tego i innych podobnych przykładów zaczynamy pojmować, że klasycyzm i romantyzm, to nietylko kategorje czysto literackie, że te dwa pierwiastki nietylko są stałemi i wiekuiście się uzupełniającemi składni-

kami wszelkiego życia literackiego, ale że ta sama biegunowość panuje w całem pojmowaniu i przeżywaniu świata przez człowieka.

Niemiecki laureat Nobla, szlachetny i śmiały Tomasz Mann, tej właśnie biegunowości daje nam obraz, gdy przez cały prawie przeciąg swej znakomitej powieści *Der Zauberberg* każe zapalonemu racjonaliście i zapalonemu mistykowi zmagać się ze sobą w nieskończonych dyskusjach w obliczu straszliwej a codziennej tajemnicy śmierci, w wielkiem sanatorjum gruźliczem w Szwajcarji. Mann sam, a z nim niejeden inny z najlepszych synów Europy, w naszych dniach szuka nadziei i pociechy wobec tragicznego chaosu powojennego świata w mocnej wierze w ostateczną przewagę twórczego ducha ludzkiego nad żywiołem. I my w sąsiedztwie Rosji sowieckiej, gdzie zapanował najgrubszy materjalizm, a co dla nas ważniejsze, wśród fermentu i rozterki własnego naszego, tak trudnego życia polskiego, tą samą wiarą w twórczą siłę i zwycięską przyszłość ducha ludzkiego żyć musimy. Ale drogą do jej umocnienia z pewnością nie będzie ponowne zacieśnienie i zamknięcie się w granicach działania samego tylko rozumu. Dokonane przez romantyzm ponowne odkrycie wielkich królestw uczucia, wyobraźni, wiary i mistycznego natchnienia jest procesem nieodwracalnym: bezcennych bogactw wielkich wieków religijnych wyrzec się już nie możemy.

IV.

Na szczęście bogactw tych duchowych, przekazanych nam przez przeszłość, wyrzekać się też nie potrzebujemy. Istnieje bowiem myśl, godząca wiarę w człowieka z pokorą wobec majestatu Boga, naukowy sposób patrzenia na świat z religijnym.

Myśl to nie nowa, głosili ją najwięksi z poetów i filozofów właśnie w momentach swych najszczytniejszych uniesień. Wtedy mianowicie najdoskonalej uświadamiali sobie, że duch ludzki, żarzący się twórczą zdolnością opanowania bezwładnego żywiołu, jest cząstką wielkiego płomienia, iskrą z tego wielkiego ogniska, jakiem jest przenikający świat

i działający w nim duch Boży. Do tej zbawczej wiary drogę najlepszą, dla wszystkich najdostępniejszą, wskazuje nam od wieków chrześcijaństwo, stawiając nam przed oczy jako najdoskonalszy wzór dla nas wszystkich postać Boga-Człowieka. Jeżeli we wszystkich językach świata w hymnach wielkanocnych z zachwytem śpiewamy, że Zmartwychwstanie Chrystusa jest obrazem i rękojmią nieśmiertelności nas wszystkich, toć tak samo wcielenie i życie ziemskie Jego, Syna Bożego, jest najwyższym symbolem faktu, że także w każdym z nas żyje tchnienie Boże, i że co największego duch ludzki zdziałał i zdziała, to zdziałał i zdziała przez nie.

Gdy tak postać Chrystusa prawdziwie króluje nad ludzkością i dziejami jej duchowych wysiłków jako najwyższy wyraz łączności człowieczeństwa z Bóstwem, gdy pod Jego znakiem kojarzyć możemy kulturę, tworzoną przez człowieka z religją, natchnioną przez Boga, jakże nie mamy się zwracać dziś także z głębszą niż kiedykolwiek czcią ku przeczystej i przepięknej postaci Matki Chrystusowej, którą czcić nas nauczył katolicyzm? Wszakże jak w Jej Boskim Synu widzimy najwyższy ideał człowieczeństwa, tak w Niej wielbimy najdostojniejszy symbol świętego faktu macierzyństwa, tego powszechnego a tajemniczego źródła życia, i zarazem najwznioślejsze idealne uosobienie cnót kobiecych, bez których cała cywilizacja ludzka już stokrotnie byłaby padła pastwą zwierzęcego rozpasania i barbarzyńskiego zniszczenia. Czcimy w Marji nietylko ową niebiańską „serdeczną matkę, opiekunkę ludzi", o której śpiewa nasza piękna pieśń kościelna, ale czcimy w Niej także naczelny przykład tego wszystkiego, czem kobieta była i być może dla udoskonalenia i prawdziwego dobra ludzkości w tem naszem rzeczywistem życiu ziemskiem. Czcimy pod jej obrazem pamięć wszystkich zacnych i ofiarnych matek, wszystkich czystych i szlachetnych niewiast. Temu dostojeństwu Matki Boga-Człowieka, dostojeństwu zaiste wszechobejmującemu w swym wielkim symboliźmie, składamy dziś w dniu Jej święta głęboki hołd. Niech nam go Jej złożyć pomogą natchnione słowa znakomitego poety, a gorącego Jej czciciela, wspomnia-

nego już dziś Cyprjana Norwida, wyjęte z jego wierszowanej parafrazy Litanji Loretańskiej:

Modlitwom bliska przez swą osobistość
Niebieską — bliska pobłażaniom prawie
Przez Macierzyństwo, i bliska przez czystość
Wszelkiej tęsknocie ludzkiej, wszelkiej sprawie
Udatna — niby dobra białogłowa,
Z góry, a jednak patrzająca łzawie,
Można — a jednak w prostocie zupełnej
Przędząca wiele z barankowej wełny,
I bardzo cicha, a przeto niemniejsza,
Współ pracująca z wszystkiemi cnotami,
Kończąca wszystko... M a t k o N a j m i l e j s z a,
Módl się za nami!

Roman Dyboski.

Z rozważań prawnika nad pokojem i wojną.

Zapewne niema zagadnienia o większej doniosłości praktycznej dla losów ludzkości nad zagadnienie pokoju i wojny. Przed zagadnieniem tem, w najgłębszej swej istocie zagadnieniem moralnem, muszą ustąpić wszelkie zagadnienia techniczne i ekonomiczne. Wszystkie bowiem olśniewające wynalazki techniki i wszystkie nagromadzone bogactwa mogą być użyte albo na wyniszczenia wzajemne narodów w przyszłej wojnie, albo na podniesienie i uszlachetnienie rodu ludzkiego. Rozwój zatem techniki jest sam przez się dla postępu ludzkiego rzeczą obojętną. Czy stanie się on dla ludzkości błogosławieństwem czy przekleństwem nie zależy to już od żadnych choćby najbardziej świetnych wynalazków technicznych, ale od wynalazków w zupełnie innej dziedzinie — w dziedzinie moralności.

A raczej nawet nie od wynalazków. Nie można bowiem mówić, aby w zakresie moralności można było zrobić tak zadziwiające odkrycia, jak te, których obecnie dokonują nauki przyrodnicze a które potem technika do ludzkich potrzeb przystosowuje. Wszystko bowiem, do czego w zakresie moralności możemy dojść, przedstawia nam się jedynie jako pewna zdolność do doznawania pewnych przeżyć, emocyj, czy też sugestyj, to znaczy do odczuwania i przeżywania pewnych zjawisk w pewien określony sposób. Podobna zupełnie rzecz zachodzi również przy przeżyciach estetycznych. Są ludzie, którzy są zupełnie niezdolni do odczuwania piękna przyrody lub pewnych form sztuki. Niemniej jednak pewna zdolność do odczuwania przeżyć estetycznych istnieje

zdaje się wszędzie i wydaje się być wrodzona rodowi ludzkiemu. U najdzikszych ludów spotykamy wytwory, które możnaby już nazwać w pewnem znaczeniu dziełami sztuki, a w jaskiniach naszych pra-przodków znaleźliśmy kreślone w skale obrazy, które dziś jeszcze wzbudzają nasz podziw. Rozwój uczuć estetycznych polega zdaje się na uświadomieniu sobie i wysubtelnieniu owego wrodzonego w pewnym stopniu rodzajowi ludzkiemu poczucia piękna i harmonji. Podobnie ma się rzecz i z uczuciami moralnemi. Mogą one być głęboko uśpione i niejako drzemać na dnie nieuświadomionych pokładów duszy ludzkiej. Gdy jednak raz zdołają się przebić przez opokę namiętności i przesądów, które je pokrywają, wtedy wybuchają silnym strumieniem, a sądy na nich oparte stają się jasne i oczywiste.

Zbadać zatem należy, jak głębokie pokłady zaślepienia i nienawiści trzeba przebić, ażeby cała paradoksalność moralna zjawiska, które nazywamy wojną, zajaśniała tak silnie i wzbudziła tak wielką grozę w umysłach ludzkich, żeby zjawisko to stało się w przyszłości rzeczą moralnie niemożliwą i żeby dyspozycje psychiczne, których wypływem jest wojna i wszystko to, co do wojny prowadzi, znikły, a na ich miejsce rozwinęły się w duszach ludzkich inne dyspozycje, które ludziom i narodom umożliwiłyby współzawodnictwo w sposób niekrwawy, niebarbarzyński i nie tak moralnie okropny. Czy to jest rzeczą możliwą? Czy możliwem jest zmienić tak do dna, do samej głębi naturę ludzką? Czy jest możliwą rzeczą wyrwać z niej wszystkie dzikie instynkty, które ujście swoje znajdują w rozlewie krwi wszelkiego rodzaju, w wojnach, rewolucjach i rzeziach? Sceptycy odpowiedzą, że nie. Będą oni utrzymywać, że wojna jest wyrazem odwiecznych i żelaznych praw, rządzących światem, a znajdą się nawet entuzjaści wojny, którzy będą twierdzić, że tylko wojna jest zdolna wykuwać z duszy ludzkiej najwyższy heroizm i naprawdę uszlachetniać człowieka i że bez wojny ludzkość zmarniałaby w gnuśności i w lenistwie.

Wbrew jednak głosom sceptyków i wbrew głosom entuzjastów wojny, jakiś potężny głos dobywa się z dusz wielkiej ilości ludzi, który zwraca się przeciw wszystkim ludziom małego ducha, którzy twierdzą, że wojna jest koniecz-

nością natury i przeciw tym wszystkim, którzy twierdzą, że przez wzajemne mordowanie ludzkość może się uszlachetnić. Głos ten rozlega się coraz donośniej wśród wzbierających się złowrogo fal nienawiści i pychy i nawołuje do pokoju na ziemi i do braterstwa ludów. Czy głos ten zamilknie wkońcu, przytłumiony przez fale nienawiści?

Niewiadomo. Ale znowu jakiś potężny i mocny instynkt każe wierzyć, że nie. Głosowi temu musimy zaufać, choć tak, jak dziś rzeczy stoją na kuli ziemskiej, wydaje się rzeczą bardzo prawdopodobną, że ostatnia wielka wojna nie była ostatnią i że po niej mogą przyjść wojny jeszcze groźniejsze, przewroty jeszcze krwawsze, o skutkach dla ludzkości nieobliczalnych.

Mimo bowiem zapewnień dyplomatów, którzy zawsze twierdzą, że państwa, które oni reprezentują, dążą ze wszystkich swoich sił do utrzymania pokoju, wszystkie te państwa zbroją się z niesłychanym wysiłkiem. Mózgi najlepszych badaczy pracują bezustannie nad wymyślaniem coraz to nowych środków zabijania ludzi. W cichych laboratorjach są przygotowane gazy trujące, mające wytruć nieubłaganie i nieodwołalnie zastępy wrogich armij. Myśli wszystkich niemal rządów globu ziemskiego są zwrócone na to, aby ze społeczeństw wyciągnąć maksimum wysiłku dla przygotowania się do nowej wojny. Równocześnie działają w tym samym kierunku rozmaite odłamy prasy i wiele systemów wychowawczych, które z jednej strony starają się wzbudzić nienawiść i pogardę do sąsiednich narodów, a przyszłych wrogów i które wojnę starają się otoczyć czarem romantyzmu a wysiłek wojenny przedstawić jako najwyższy szczyt moralności. Jednostka ludzka musi pod wpływem tych sił coraz bardziej ulegać wojennej psychozie, oswajając się powoli z tem, że wojna jest czemś nieuniknionem, co musi prędzej czy później przyjść z nieubłaganą koniecznością i na co trzeba się już teraz przygotować. Coraz bardziej pod wpływem tych czynników zatruwa się ona jadem nienawiści i szowinizmu, które każą jej w obcych narodach widzieć jedynie samych wrogów i łotrów.

A jednak, jednak... Mimo wszystkich prognostyków, które wykazują niemal zdaje się z matematyczną ścisłością,

że wojna musi przyjść i że jest ona kataklizmem nieodzownym, nie milknie ów potężny głos wołający, że wojna jest złem, które za wszelką cenę musi być zniweczone. Głos ten jest głosem wielkich serc, głosem wielkich papieży, wielkich uczonych i wielkich artystów. Głos ten jest zarazem głosem wiary, nadziei i miłości. Głosem wiary, która góry obala, nadziei, która każe *sperare contra spem* i tej miłości, bez której cały świat byłby jako miedź brząkająca i jako cymbał brzmiący.

Aby jednak móc zwalczać wojnę, nie wystarcza jedynie wygłaszać rozmaite pacyfistyczne frazesy, które mają to do siebie, że obala je wniwecz pierwszy podmuch namiętności wojennych. Musimy w tym celu wniknąć w istotę tych potężnych namiętności, które niby groźne trzęsienia ziemi wstrząsają dziejami ludzkości. Po poznaniu ich istoty, warunków, wśród których rodzą się i rozwijają, można będzie może im skuteczniej przeciwdziałać. Propagowanie powszechnego rozbrojenia i niechęci do obrony wtedy, kiedy ktoś znajduje się w otoczeniu bandytów, czyhających na jego życie, może się równać nawoływaniu do samobójstwa. Można jednak się starać, ażeby dyspozycje psychiczne, których wyrazem jest międzynarodowy bandytyzm, zamarły jak najprędzej. Dusza ludzka jest instrumentem złożonym, lecz przy pomocy pewnych metod postępowania, można na niej wygrać rozmaite melodje. Chodzi o to, żeby ludzie, w których ręku złożone są nieraz losy miljonów dusz ludzkich, zechcieli wygrywać na nich, zamiast dzikich melodyj wojennych, melodję międzynarodowego braterstwa, miłości dla Prawa i Pokoju.

Na pierwszy rzut oka sytuacja wydaje się, jak już zaznaczono, niemal tragicznie. Jeśli bowiem przyjmie się za rzecz niemożliwą natychmiastowe powszechne rozbrojenie, to musimy zdać sobie sprawę, że tem samem tworzy się nową wojnę. Bo jeżeli muszą być utrzymywane wielotysięczne wojska, to musi być tem samem utrzymywane również całe przygotowanie bojowe i cały ów trening moralny, pod wpływem którego jednostka w pewnej chwili zaczyna uznawać zorganizowane zabijanie się za coś szlachetnego i wzniosłego. W dalszej konsekwencji całe wychowanie musi być

obliczone na to, aby w młodych duszach wzbudzić podziw dla czynów wojennych, względnie chęć odznaczenia się na tem polu. Wszystkie te momenty wpływają na wytworzenie się owej specjalnej psychozy wojennej, pod której wpływem dochodzi się do tego, że w przedstawicielach danego obcego narodu widzi się *a priori* samych wrogów, pod której wpływem w dalszym ciągu wyolbrzymia się do niebywałych rozmiarów wady i złe postępki przeciwnika, a zatraca się zrozumienie dla jego zalet. Pod wpływem tych wszystkich czynników, pod wpływem wzajemnego niezrozumienia i wzajemnej ciągle przez prasę i inne czynniki podsycanej nienawiści, może przyjść chwila, w której poprostu same armaty zaczną strzelać.

Powód może być jakikolwiek. Może być nim najczęściej jakaś bójka graniczna czy też awantury z powodu wywieszenia czy też niewywieszenia jakiegoś sztandaru czy jakiejś innej odznaki. Powód jest obojętny. Gdy rozognione namiętności wezmą górę, znajdzie się on prędko. A najsmutniejsze jest zwykle to, że nigdy prawie nie można ustalić, która strona jest zaczepiającą i która ponosi wyłączną winę. Zwykle bowiem obydwie strony dopuszczają się względem siebie całego szeregu napadów i gwałtów, obrzucając przytem siebie najrozmaitszemi oszczerstwami. Każda strona stara się przytem przedstawić swoją zaczepkę za usprawiedliwiony odwet za rzekomą, czy też rzeczywistą krzywdę, wyrządzoną jej przez stronę przeciwną. Oczywiście w tej powodzi wzajemnych zniewag i inwektyw, trudno a czasem wręcz niepodobnem jest ustalić, komu należy przypisać winę. W wielu wypadkach wina jest podzielona i rozkłada się mniej więcej na obydwie walczące strony.

Utrzymywanie zatem wojska, choć początkowo zasadniczo wyłącznie dla celów obronnych, przyczynić się może bardzo łatwo do powstania nastrojów i sugestyj wojennych, które nową wojnę bardzo łatwo mogą rozpalić.

Z drugiej strony należy jednak jeszcze raz zaznaczyć, że natychmiastowe ogólne rozbrojenie państw europejskich przedstawia się przynajmniej obecnie jako nierealna utopja, a wołania o nie są częstokroć obłudnemi maskami, służącemi do zakrycia rozmaitych militarnych zapędów. Gdy są

wokoło wilki, trudno jest przypuścić, żeby pomiędzy niemi mogły żyć bezbronne owce. Można wprawdzie twierdzić, wraz z Tołstojem i Gandhim, że „niesprzeciwianie się złu" jest najgroźniejszą bronią dla przeciwnika i można starać się udowodnić, że najzupełniejszy bojkot wszelkich zarządzeń najeźdzcy może rychlej doprowadzić do uwolnienia się z pod jego jarzma, niż zbrojny opór. Można powołać się na przykład pierwszych chrześcijan, którzy bez cienia oporu dawali się zabijać za Chrystusa, lub nie dawali się wyzwalać swym panom z niewoli, uważając, że im ktoś więcej znosi cierpień, tem bardziej hartuje się jego wiara. Można powiedzieć, że dzięki tym cichym heroizmom nauka Chrystusa odniosła zwycięstwo, któregoby napewno nie odniosła, gdyby jej wyznawcy od samego początku wojowali mieczem. Dla dusz o bogatem i naprawdę głębokiem życiu religijnem, każda wojna będzie się naogół przedstawiała jako niezrozumiałe szaleństwo. Kto bowiem żywi tak głęboką miłość dla wszechstworzenia, jak św. Franciszek z Asyżu, ten nie może być wielbicielem mordu i rzezi.

Możliwą jest jednak i inna, również religijna, postawa wobec powyższych zagadnień. Można twierdzić, że zbrojna walka ze złem jest najwyższem zadaniem ludzi, któremu powinni poświęcić całe swoje życie, wszystkie swoje starania. Światopogląd ten głoszą wszystkie religje walczące, jak islam i chrześcijaństwo, epoki wypraw krzyżowych. Światopogląd ten opiera się na przeświadczeniu, że zła nie można zwalczyć samem niesprzeciwianiem się mu, samym biernym oporem, lecz że trzeba je dusić i tępić. I jeżeli historja dostarcza nam sowicie przykładów zwyciężania zła heroizmem ofiary i cierpienia, to również ta sama historja może nam dostarczyć obficie przykładów zupełnej zagłady ludów pokojowych i łagodnych, które zostały w zupełności wytępione okrucieństwem i przemocą najeźdźców.

Dwa te heroizmy: heroizm walki i heroizm ofiary, są wynikiem głębokich antynomij, tkwiących w naturze ludzkiej. Stajemy tu wobec stanowisk, które słusznie nazwał Jaspers w swojem dziele *Psychologie der Weltanschauungen* sytuacjami granicznemi (Grenzsituationen), gdyż stajemy tu na granicach wszelkiego wartościowania i wszelkiego oce-

niania zjawisk moralnych. Od zajęcia tego czy innego stanowiska zależy cały nasz światopogląd, zapatrywanie na życie, jego cel i dążności. Czy jest jakaś istotna, nieprzekraczalna granica między bohaterem a mordercą? Kimże właściwie był Napoleon: czy wielkim mordercą, który dla zaspokojenia swojej ambicji posyłał tysiące ludzi na śmierć, czy też wielkim herosem, który naród swój nieśmiertelną okrył sławą? Odpowiedź na to pytanie zależy właśnie od zajęcia jednego z dwóch powyżej opisanych stanowisk.

Problem powyższy możnaby słusznie nazwać problemem Raskolnikowa. Tego rodzaju bowiem rozważania pchnęły biednego studenta do zamordowania dwóch słabych, bezbronnych istot. Dostojewski opisując w *Zbrodni i karze* straszliwe tragedje jego duszy, nie daje nam jednak rozwiązania tego zagadnienia. Nadaremnie szukaliśmy jego rozwiązania w rozmaitych grubych kompendjach etyki, które dają nam często rozmaite wielce uczone opisy i teorje, ale nie zawierają odpowiedzi na najbardziej krwawiące, najbardziej groźne dla ludzkości pytania.

Najbardziej szczerze, najbardziej poprostu odpowiada na to pytanie Remarque. Kiedy niemiecki uczeń gimnazjalny, przedzierżgnięty w żołnierza, po długiej walce w ostatnim wysiłku zakłuwa żołnierza francuskiego, spostrzega nagle wypadnięte z kieszeni jego munduru listy. Z listów tych dowiaduje się, że zamordowany przez niego Francuz takim samym był człowiekiem, jak i on, takie same stęsknione, jak i on, pisywał do swojej rodziny listy i z taką samą tęsknotą oczekiwała go jego rodzina. I mimowoli musi się rodzić pytanie, jaka to potworna jest władza, która każe ludziom, którzy mogli być przyjaciółmi, mordować się w sposób systematyczny, okrutny i wyrafinowany? Jakaż zatem jest różnica, pomiędzy mordem zwykłym a mordem na wojnie? Remarque zdaje się być zapatrywania, że niema tu żadnej istotnej różnicy, a nawet mord zwykły może być w niektórych wypadkach moralnie lepszy od mordu wojennego. Jeden z jego bohaterów po powrocie z wojny, uniesiony bólem i rozpaczą, zabija swego rywala, który mu wyrządził straszną krzywdę, zabierając mu kobietę, nad życie ukochaną. Gdy za ten czyn zostaje skazany na kilka lat

więzienia, z ust jego przyjaciół dobywa się okrzyk przerażenia. „Jak to, ten człowiek przez kilka lat mordował ludzi, którzy nic względem niego nie zawinili i zato zbierał odznaczenia i pochwały, a teraz zabił swego wroga, który wyrządził mu straszliwą krzywdę i za to tak ciężka spotyka go kara!“ I dlatego książki Remarque'a są tak przejmujące, że na zupełnie prostych, niemal naiwnych, przykładach, dają nam odczuć całą straszliwą paradoksalność wojny i cały niedorozwój naszych uczuć moralnych. Z jednej bowiem strony karze się surowo człowieka, który pod wpływem łatwo zrozumiałego uczucia mści swoją krzywdę i zabija swego wroga, z drugiej zaś strony wielbi się jako bohaterów ludzi, którzy zabijają drugich masowo i systematycznie. I mimowoli musi się rodzić pytanie, gdzie zaczyna się bohaterstwo, a gdzie kończy się zbrodnia?

Można tu dawać rozmaite kryterja, jednak wszystkie one nie są ścisłe i zawodzą. Można np. powiedzieć, że żołnierz, zabijając drugich, naraża również na śmierć i samego siebie, że wojna jest pewnego rodzaju krwawym sportem, w którym szanse dla wszystkich są równe, podczas gdy pospolity morderca zabija zwykle bezbronną ofiarę. Kryterjum to jednakże zawodzi, gdyż często na wojnie zabija się również znienacka, gdy się siedzi samemu w bezpiecznej kryjówce i właśnie największy spryt w prowadzeniu wojny polega na tem, by zabijać niespostrzeżenie, a samemu się nie narażać. A cóż dopiero powiedzieć o potwornościach wojny, prowadzonej zapomocą łodzi podwodnych i trucizn wszelkiego rodzaju? Również zdarza się czasem, że i pospolity morderca zabija przeciwnika, który jest świadomy niebezpieczeństwa i potrafi się bronić. Dużo poważniejsze jest drugie kryterjum. Można powiedzieć, że istotna różnica pomiędzy morderstwem pospolitem a morderstwem na wojnie polega na tem, że na wojnie zabija się nie dla zadowolenia samego siebie, względnie dla swej osobistej korzyści, lecz zabija się dla jakiejś idei, najczęściej dla dobra i chwały swojej ojczyzny i narodu. I to kryterjum jest jednakże zawodne. Jeżeli bowiem zastanowimy się nad historją wielkich zdobywców, to doprawdy niewiadomo, czy prowadzili oni wojny i kazali mordować tysiące ludzi, kierując się wyłącz-

nie dobrem ojczyzny, czy też dla uzyskania większej osobistej mocy i potęgi.

Należy bowiem zauważyć, że bardzo często to, co nazywamy ogólnikowo dobrem Ojczyzny, okazuje się jedynie maską, mającą zakryć dążenia pewnych jednostek do uzyskania większej potęgi czy też bogactwa. Najjaskrawszym tego przykładem jest wspomaganie przez fabrykantów amunicji i armat prasy nacjonalistycznej, nawołującej do zbrojeń, celem zdobycia jak największych zysków ze sprzedaży swoich wytworów. Bardzo często zdarza się wobec tego, że to, co nazywamy misją jakiegoś narodu, okazuje się przy bliższem rozpatrzeniu jedynie egoistycznym interesem pewnych jednostek czy też ugrupowań. I niewiadomo doprawdy, co jest więcej zbliżonem do prawdy, czy to, że np. w duszy Napoleona była dominującą chęć przyniesienia Francji jak najwięcej dobra i szczęścia, czy też chęć uzyskania dla siebie i dla swego rodu jak największej potęgi i sławy? Prawdopodobnie te dwie dążności splatają się w umysłach wielu przywódców w jedną nierozerwalną całość. Jedna przenika drugą, gdyż natura władcza i zdobywcza utożsamia zwykle sławę i dobro własne ze sławą i dobrem państwa, na czele którego stoi.

Ale dążności jednostek, choćby nawet bardzo genjalnych, do zdobycia sławy i bogactwa kosztem wojen i morderstw nie potrafiłyby przecież wzbudzić u podwładnych zapału wojennego, gdyby nie drzemał w nich pewien instynkt wojenny, pewna dążność do walki. Jak słusznie bowiem zauważa Bergson w swojem najnowszem dziele p. t. *Deux sources de la morale et de la religion,* instynkt wojowniczy jest wrodzonym naturze ludzkiej i jest tak silnym, że wybucha często natychmiast, jak tylko przetrze się nieco powłoka cywilizacji, pokrywająca nasze dusze. Bardzo często zdarza się wobec tego, że wojnę prowadzi się nietylko o rzeczy poważne, konieczne dla zapewnienia danemu społeczeństwu najniezbędniejszych warunków życia, ale o rzeczy wprost błahe i jałowe. Stwierdzić zatem należy, że wojna daje ujście pewnym potężnym instynktom, drzemiącym w naturze ludzkiej. W wojnie dalej odczuwa członek, że łączy się on z większą od niego całością, t. j. ze społeczeństwem, w obro-

nie którego staje. Wojna zatem jest również wyrazem instynktów gromadnych człowieka, które sprawiają, że człowiek chętnie poddaje się wpływom swego otoczenia, chętnie czuje i pragnie razem z otaczającem go społeczeństwem. W życiu pokojowem ta wola społeczna objawia się człowiekowi o wiele słabiej, z dużo mniejszą presją działa na niego, niż w czasie wojny, kiedy duszę człowieka porywa nieraz istny huragan uczuć społecznych, które każą mu czuć i działać razem ze społeczeństwem.

Tak więc wojna jest wypływem instynktów społeczno-gromadnych, oraz instynktów wojennych. Instynkty te łączą się ściśle z uczuciem dumy, wypływającej z poczucia przynależności do pewnej grupy społecznej, której przypisuje się wyższe doskonałości. Poniżając przeciwnika, często nawet nieznanego, stara się często wywyższyć wartość i znaczenie grupy społecznej, do której się należy. Dlatego im bardziej obserwuje się życie narodów i ludzi, tem więcej doprawdy musi się uznawać, jak głęboką prawdę zawierają słowa Chrystusa, że widzi się źdźbło w oku swego bliźniego, a nie widzi się belki w oku własnem.

Instynkt wojenny ma również swoje źródło jeszcze w innych stronach psychiki ludzkiej. Życie codzienne pokojowe jest życiem naogół szarem i monotonnem. Bez wszelkiej odmiany ciągną się dni jedne za drugiemi. Życie to jednak nabiera nowego blasku i patosu, jeżeli się je uważa jedynie za okres przygotowawczy do wojny, jeżeli jednostkę tak kształci się i wychowuje, żeby przygotować ją do rzucenia kiedyś całego swego życia w krwawej walce w ofierze dla narodu. Każdy prawie człowiek spragniony jest silnych wzruszeń, w każdym niemal człowieku drzemie ukryta chęć oszołomienia się ryzykiem i walką. Wszystkie te siły pchają również człowieka nieubłaganie do wojny.

Bergson, na którego trafne i wnikliwe uwagi musimy się znowu powołać, mówi, że w duszy ludzkiej istnieją jakby specjalne mechanizmy, służące do zapomnienia okropności wojennych. I doprawdy, jeżeli się widzi te roje młodzieży, wychowywane we wszystkich niemal państwach w duchu wojennym, w które wpaja się od najwcześniejszych lat przekonanie, że walka i zabijanie się jest czemś niezwykle pięk-

nem i szlachetnem, musi się przyznać słuszność myślicielowi francuskiemu.

Wszystkie te zatem instynkty, których wyrazem jest wojna, a których korzenie tkwią niejako na samem dnie natury ludzkiej, sprawiają, że do ludzi, którzy zabijają nieprzyjaciół na wojnie, przykłada społeczeństwo zupełnie inną miarę moralną niż do pospolitych morderców. Ludzi tych czci się jako bohaterów i stawia im się pomniki. I rzeczywiście nie można na nich w żaden sposób wydawać wyroków potępienia. Największy pacyfista powinien uchylić czoła przed bohaterstwem ludzi, którzy dla obrony ideału, wypełniającego ich duszę, zadawali śmierć, cierpieli i ginęli. Niemniej jednak należy stwierdzić, że granica pomiędzy bohaterstwem a zbrodnią jest nieuchwytna i że te same czyny, rozważane z różnych punktów widzenia, mogą być rozmaicie oceniane. Również należy stwierdzić, że bohaterstwo i poświęcenie niekoniecznie muszą być związane z krwawem barbarzyństwem wojny, lecz że mogą i powinny zabłysnąć również pięknie w niekrwawych walkach i w niekrwawy sposób. Na miejsce bohaterskiego poświęcenia życia na wojnie, powinno zabłysnąć bohaterskie poświęcenie się dla nauki i dobra społecznego. Życie codzienne, z jego wszystkiemi ogromnemi nędzami i z całą jego biedą, nastręcza aż nadto zadań dla dusz żądnych ofiarnego poświęcenia.

Do tego jednak, aby to się stało, potrzebny jest ogromny wysiłek i zupełna przebudowa duszy ludzkiej.

W normalnych, pokojowych czasach społeczeństwo zapomocą sądów karze tych wszystkich, którzy dopuszczają się zamachu na cudze życie. Instynkty zatem wojownicze i niszczycielskie są niejako trzymane na uwięzi i muszą poszukiwać sobie jakiegoś ujścia. Ujściem dla tych instynktów jest wojna. W czasie wojny może sobie człowiek dowoli pozwolić na rozwinięcie swoich krwiożerczych popędów, gdyż prawie wszystko, czego się pod ich wpływem dopuszcza, uchodzi jako działania dla dobra ojczyzny. W czasie wojny znane było przysłowie: „Der Krieg ist Krieg", a zdanie to, jak słusznie zauważa Meyerson, nie jest zwykłą tautologją, ale zawiera twierdzenie, że jeżeli uznaje się wojnę za ko-

nieczną, to musi wraz z nią uznać za konieczne wszystkie okrucieństwa, które wojna niesie.

Otóż każda wojna z jej koniecznemi okrucieństwami jest wyładowaniem tych drzemiących wojowniczych instynktów, które tkwią w najgłębszych pokładach duszy ludzkiej a w czasach pokojowych nie mogą się rozwinąć. Społeczeństwo bowiem nie może w żaden sposób dopuścić do tego, ażeby te instynkty mogły się wyładować w życiu codziennem, gdyż w takim razie wydałoby wyrok śmierci na samo siebie. Wszelkie więzy społeczne musiałyby upaść i nastałby czas, który Hobbes określa jako *bellum omnium contra omnes*. Społeczeństwo jednak, które w życiu codziennem powściąga gorliwie i konsekwentnie wszelkie akty wypływające z instynktów wojennych, musi dbać o to, ażeby tym instynktom otworzyć jakieś ujście, gdyż inaczej groziłoby to, że instynkty te, nagromadzone w znacznej ilości, przerwą wkońcu tamy, jakie dla nich stanowi prawo i obawa przed karą. Tą klapą bezpieczeństwa jest właśnie wojna. Społeczeństwo zatem musi stworzyć takie instytucje, w których te instynkty mogłyby się wyżyć i wślad za tem musi skierować je w inne łożysko dla niego nietylko nie niebezpieczne, ale przynoszące mu korzyść. Instytucją taką właśnie jest wojsko wraz z całym jego systemem tresury moralnej. Tresura ta polega na skierowaniu instynktów wojowniczych przeciwko przedstawicielom obcego narodu i na przygotowaniu się do jak najbardziej celowego i systematycznego zabijania przeciwnika dla dobra ojczyzny i kraju. Przez to osiąga się nietylko to, że instynkty wojownicze skierowują się przeciwko przedstawicielom innego narodu, ale także przez to spaja się członków danego społeczeństwa w bardziej jednolitą i zwartą całość przez podporządkowanie ich pewnej dyscyplinie i wskazanie im najwyższego celu, jakim jest służba z bronią dla ojczyzny. Postępując w ten sposób idzie społeczeństwo jedynie po naturalnej linji socjologicznego rozwoju, który począwszy od pierwotnej hordy aż do dzisiejszych wielkich państw, narodów cywilizowanych, zmierza do wytworzenia pewnych zwartych, zamkniętych w sobie grup, w obrębie których obowiązuje pewna moralność, ujawniająca się w pewnych ustalonych nakazach i zaka-

zach, którym jednostka musi bezwzględnie podlegać, na co również zwrócił uwagę Bergson w swojem wyżej cytowanem dziele.

Tak, jak zatem obecnie rzeczy stoją, obowiązują w dzisiejszych narodach cywilizowanych dwa systemy moralności. Jeden pokojowy, w którym obowiązują mniej więcej u wszystkich narodów i państw te same zasady. Za jedną z głównych cech tego systemu możemy uważać naogół bezwzględne potępienie zabijania ludzi, z pewnemi wyjątkami, jak np. zabicie we własnej obronie lub na mocy wyroku sądowego, jako kara za niektóre przestępstwa. Drugi system moralny jest systemem wojennym, w którym zasada „nie zabijaj" nie odnosi się do przedstawicieli walczących armij, a nawet wręcz przeciwnie odnośnie do nich obowiązuje zasada „zabijaj". Ludzie, którzy nie chcą do tej zasady się stosować i odmawiają np. obowiązku strzelania w wojsku, są uznawani za przestępców i zamyka się ich do więzień. Istnienie takich dwóch logicznie ze sobą sprzecznych systemów nie może w żaden sposób zadowolić. Zwolennicy wojny, chcąc bronić równouprawnienia tych dwóch systemów etycznych, muszą się uciekać do rozmaitych karkołomnych argumentów. Stwarza się w tym celu jakoby pewną metafizykę czy to narodowości (nacjonalizm), czy też pewnej teorji społecznej (komunizm), według której istnieje jakaś nieprzeparta różnica pomiędzy członkami pewnych narodowości czy też grup społecznych. Przyjmuje się też, że istnienie pewnych narodowości czy też klas społecznych leży jakby w najgłębszej istocie bytu, że człowiek w swej najgłębszej istocie jest jedynie reprezentantem pewnej narodowości czy też grupy społecznej. Zarówno nacjonalizm, jak i komunizm uważają, że przynależności człowieka do danej grupy narodowej czy też społecznej determinuje w sposób zupełnie zdecydowany cały jego sposób myślenia, cały jego świat uczuciowy, słowem — całą jego osobowość. W powyższych światopoglądach wojna, względnie rewolucja, są zupełnie uzasadnione czynnikami rozwoju, gdyż pomiędzy poszczególnemi grupami narodowemi czy też społecznemi istnieje, według nich, — na mocy praw rozwojowych — walka i w tej walce wyraża się najgłębszy sens istnienia ludzkości.

Światopoglądy owe należy bezwzględnie odrzucić. Opierają się one bowiem nie na danych doświadczalnych, ale na pewnych apriorycznych, nie udowodnionych założeniach, które istniejącym rzeczywiście różnicom pomiędzy poszczególnemi narodami czy też warstwami społecznemi pragną nadawać absolutny i niezmienny charakter. Z tego, co powyżej zaznaczono wydaje się rzeczą bardzo prawdopodobną, że owe teorje służą często do zamaskowania instynktów wojennych, które pod osłoną takich idealnych haseł, jak nacjonalizm i komunizm, mogą niespostrzeżenie się rozwijać.

Najprostsza obserwacja jednak objawów życia udowadnia nam, że niema żadnych nieprzekraczalnych różnic pomiędzy członkami poszczególnych narodów czy też warstw społecznych. Wielkie dziedziny ducha ludzkiego, w których genjusz ludzki niepodzielnie się wyraża, jak nauka i sztuka, powstały dzięki wysiłkom wszystkich narodów i wszystkich warstw. Dzieła prawdziwej sztuki, noszące na sobie niezatarte piętno narodowości ich twórców, niemniej jednak są wytworem długiego rozwoju duchowego całej ludzkości i nie mogłyby powstać bez wpływu ogólnoludzkiej kultury. Cóż jest bardziej polskiego, jak nasza wielka poezja romantyczna i muzyka Chopina? Lecz czy te dzieła sztuki mogłyby powstać, gdyby nie twórczość minionych pokoleń ludzkości, począwszy od dzieł Hellenów i Rzymian aż do twórczości XIX wieku narodów europejskich? Na każde prawdziwe dzieło sztuki złożyła się praca duchowa całej ludzkości i niepodobna oddzielić, co jest w niem ściśle narodowego, a co jest ogólno-ludzkie. Żaden naród nie może zatem nic stworzyć w zupełnem odosobnieniu psychicznem i każda choćby najbardziej narodowa twórczość jest wyrazem pewnych ogólno-ludzkich dążności.

I w samej rzeczy jesteśmy ciągle świadkami, jak na rozmaitych zjazdach naukowych czy też wyprawach na szczyty wysokich gór czy też w morza podbiegunowych lodów, pomiędzy przedstawicielami najrozmaitszych narodowości rodzą się w przeciągu krótkiego czasu więzy mocnej przyjaźni, tem mocniejszej, że wynikłej z ukochania pewnych wspólnych ideałów. Ta wspólność ogólno-ludzka nie powoduje zupełnie zatarcia wszelkich różnic narodowych

i nie sprzyja zupełnie wytworzeniu się jakiegoś banalnego, zesztandaryzowanego typu ogólno-ludzkiego. Znakomity filozof niemiecki, Hans Driesch, w swej pięknej książce p. t. *Die sittliche Tat* zauważa trafnie, że ideały ogólno-ludzkie powinny rozwijać w społeczeństwach ludzkich nietylko pewne specyficznie narodowe cechy, ale powinny dążyć do jak największej indywidualizacji poszczególnych grup regjonalnych. Tylko bowiem ludy o bujnej indywidualności mogą pracować z pożytkiem dla rozwoju ogólno-ludzkich ideałów. Te różnice jednak w indywidualnościach poszczególnych narodów nie powinny być źródłem wojennej nienawiści, lecz źródłem chęci jak najlepszego poznania się wzajemnego i wniknięcia w odrębne a tak różnolite i ciekawe światy psychiki poszczególnych narodów. Różnice narodowe, zamiast stawać się zarzewiem wojen i przelewu krwi, powinny stać się źródłem twórczej współpracy na wszystkich kulturalnych polach i zdrowego, honorowego w tej współpracy współzawodnictwa. Przez niszczenie się wzajemne w czasie wojen, narody niszczą najważniejszy, największy i jedynie twórczy kapitał, jakim jest ludzki organizm. I jak słusznie mówi nam Driesch, barbarzyństwo wojny jest tem większe, że nigdy nie wiemy, czy na wojnie nie zabije się przyszłego Newtona czy Descartesa. Ale nie potrzeba zupełnie przypuszczać możliwości zabicia w czasie wojny przyszłego Descartesa czy Newtona, by ją potępić. Każdy człowiek jest tworem o nieograniczonych możliwościach, każdy człowiek jest związany z drugimi niezliczonemi węzłami, zabicie każdego człowieka to krzywda wyrządzona ludzkości.

A do tego dołącza się również i inny moment. Cechą charakterystyczną głębokiego przeżycia moralnego jest to, że człowiek odczuwa je jako coś najbardziej osobowego, wypływającego niejako z najgłębszego wnętrza swojego „ja". We wszystkiem innem może być zawisłym od wpływów otoczenia, może im ulegać, może stawać się poniekąd automatem, w przeżyciach etycznych jak również estetycznych, człowiek czuje się zupełnie wolnym, niepodległym nikomu, a jedynie tylko Bogu. Tymczasem wojna zadaje brutalny cios tym najwyższym i najszlachetniejszym uczuciom ludzkości.

Jeden nieraz człowiek, a czasem niewielka garstka lu-

dzi często ograniczonych i zaślepionych decyduje o tem, czy miljony ludzi mają siebie zabijać, z pomiędzy których wielu mogłoby być przyjaciółmi i z których wielu mogłoby stać się chlubą i ozdobą rodu ludzkiego. Dość przypomnieć sobie nazwiska przedwojennych dyplomatów, owych Berchtoldów, Izwolskich, Bethmanów-Hollwegów, aby zrozumieć, jaki straszny paradoks tkwi w tem, że mogli oni o tem decydować, czy dobrą jest rzeczą, aby ludzie wzajemnie się mordowali.

Tak więc, jak obecnie rzeczy stoją, położenie ludzkości przedstawia się rozpaczliwie. Po ostatniej wojnie stoi ona w przededniu wojny nowej. W obawie tej nowej wojny narody zbroją się nieustannie, a ten, który nie jest dostatecznie uzbrojony, słusznie może żywić obawę, że zostanie zupełnie zgruchotany. Dopóki święcą triumfy hitleryzm i komunizm, żądanie powszechnego rozbrojenia musimy zaliczyć do utopji. Pacyfizm, według którego niemoralną rzeczą jest pełnić służbę wojskową i którym przesiąknięci młodzi ludzie starają się uchylić od służby wojskowej, może być nieraz maską tchórzostwa i małości moralnej, które chcą uchylić się od pewnych ciężarów nie biorąc wzamian na siebie żadnych obowiązków. Z drugiej strony jednak należy stwierdzić, że obłędny szowinizm i nacjonalizm, którym ożywieni ludzie widzą *a priori* wogóle wrogów w przedstawicielach obcych narodowości, jest złem strasznem i potwornem.

Jeżeli te złe siły zwyciężą, nowy kataklizm społeczny może spowodować rzeczywiście „upadek cywilizacji zachodniej". Ale Spengler nie ma słuszności, kiedy twierdzi, że cywilizacje, jak organizmy, przechodzą z nieuchronną koniecznością cykle rozwojowe od narodzin aż do śmierci i że dla tego cywilizacja zachodnio-europejska, przeszedłszy swój okres rozwojowy, zbliża się nieuchronnie do śmierci. Cywilizacje bowiem są wytworem ducha ludzkiego, który może osłabnąć, ale który może na nowo wzbić się na wyżyny. Tylko od nas samych, od naszych wysiłków i trudów, od wychowania wreszcie młodego pokolenia zależy przyszłość zachodnio-europejskiej cywilizacji. Jest jedna wielka poza religją siła, która może temu upadkowi zapobiec. Siłą tą jest p r a w o. Wojna jest aktem bezprawia, jest gwałtem,

który może mieć miejsce, kiedy brak jej prawa. W dawniejszych czasach, gdy brak było trwalszego porządku prawnego, ten stan bezprawia pomiędzy państwami, który nazywamy wojną, był niemal stanem normalnym, w którym żyły społeczeństwa. Już jednak bardzo wcześnie ów powszechny stan stałego bezprawia, w którym jedynym prawem jest prawo silniejszego, ustępuje miejsca pewnemu porządkowi prawnemu. Z badań Malinowskiego nad prawem ludów pierwotnych wiemy, że w społeczeństwach, które dziś uważamy za pierwotne, mamy już do czynienia ze stosunkowo dosyć rozwiniętym porządkiem prawnym. O ile jednak w obrębie społeczeństw pierwotnych spotykamy się już z pewnym ustalonym i dość zwykle ściśle zwyczajowo unormowanym porządkiem prawnym, to o tyle pomiędzy poszczególnemi pierwotnemi społeczeństwami istnieje zwykle stan zupełnego bezprawia. Wojna jest stanem niemal normalnym a prowadzi się ją zwykle aż do zupełnego wytępienia przeciwnika. Stan ten mimo rozwoju cywilizacji trwa nadal. Jeszcze Rzymianie mordowali często bez litości ludność miast zdobywanych. Kościół katolicki musiał używać nieraz całego swego wpływu, ażeby położyć kres podobnemu stanowi rzeczy (św. Ambroży i cesarz Teodozjusz).

Mimo jednak starań Kościoła wojny prowadzą się aż po dziś dzień z niebywałem okrucieństwem. Coprawda obecnie nie morduje się już z reguły bezbronnej ludności cywilnej, niemniej jednak dość przeczytać kilka pamiętników z epoki wielkiej wojny lub posłuchać opowiadania jej uczestników, ażeby przekonać się, że nieraz niebardzo daleko posunęliśmy od czasów dawno odległych. Niemniej jednakże należy stwierdzić, że przeciwko temu stanowi rzeczy budzi się żywy odruch. Gdy dawniej mordowanie jeńców, o ile z nich nie można było odnieść żadnej korzyści, uchodziło za rzecz zupełnie normalną, na którą nikt się nie oburzał, dziś okrucieństwa wojen piętnuje się jako czyny niegodne rodzaju ludzkiego. Wojna przestaje być coraz bardziej rzeczą codzienną i naturalną, lecz staje się kataklizmem, którego jeszcze nie można wprawdzie odwrócić, ale którego groza i bezsens zaczyna się już coraz bardziej odczuwać. Jeszcze w XVI wieku uchodziło za rzecz zupełnie zwyczajną, że

dwa sąsiadujące z sobą miasta włoskie prowadziły ze sobą zażarte i krwawe wojny. Dziś jednak absurdem wydaje się przypuścić możliwość walki przypuśćmy pomiędzy Poznaniem a Krakowem. Czyż nie może zatem przyjść za kilkaset lat (okres w dziejach ludzkości bardzo krótki!), do tego, że ludzie będą uważać możliwość wszelkiej wojny wogóle za absurd?

Wszystko zależy od tego, jakie dyspozycje psychiczne rozwiną się w ludzkości. Jeżeli dyspozycje, których wyrazem jest porządek prawny, będą się rozwijały, wtedy jest nadzieja, że ludzkość będzie mogła unikać katastrofalnych skutków nowej wojny. Jeżeli jednak dyspozycje anarchji i gwałtu będą wzrastać, w takim razie katastrofa jest nieuniknioną.

Rozumie się, że jeżeli tu mówimy o porządku prawnym, to mamy na myśli nie pewne konkretne prawo, które właśnie może być wyrazem gwałtu i dążenia do pozbawienia kogoś jego praw (prawa zaborców względem narodu polskiego), ale prawo w znaczeniu idealnem, które może zapewnić narodom, społeczeństwom i jednostkom ich pełny i niczem nieskrępowany rozwój. Czy takie prawo istnieje? Względnie czy jest rzeczą możliwą, żeby takie prawo mogło zaistnieć? Już w pismach starożytnych stoików spotykamy pierwsze myśli o prawie rozumu, obowiązującem wszystkich ludzi. Myśli te rozwijają się nader bujnie w średniowieczu i znajdują swój najdoskonalszy wyraz w pismach św. Tomasza z Akwinu. Podług św. Tomasza cały ród ludzki należy uważać jakby za jedno mistyczne ciało — *quasi unum corvus quod vocatur mysticum,* — którego głową jest sam Chrystus. Całym światem rządzi odwieczne, boskie prawo a źródła tego prawa są w Bogu (*legem ipsam in Deo esse*). To ogólne prawo świata przenika wszelkie stworzenie, jedynie jednak człowiek jako istota rozumna je sobie uświadamia. Św. Tomasz z Akwinu daje po raz pierwszy jasne określenie prawa natury, którem jest według niego wnikanie prawa wiecznego w wszelkie rozumne stworzenie — *participatio legis aeternae in rationali creatura.* To prawo natury ma za zadanie kierować ludzkiemi popędami, afektami i pasjami i prowadzić człowieka do jedynego rozumnego celu, jakim

jest jego zbawienie. W myśl tego prawa każdy naród, każdy stan i każdy człowiek ma pewne określone zadanie w ogólnym planie stworzenia. Prawa zatem ludzkie, o ile nie są zgodne z prawem natury, są moralnie złe i jest obowiązkiem moralnym dążyć do ich obalenia.

Myśli św. Tomasza wywarły potężny wpływ na rozwój ludzkości, a w dzisiejszych czasach jesteśmy świadkami coraz potężniejszego renesansu jego nauk. Jednym z pierwszych w czasach nowożytnych, który z całą siłą przekonania usiłował podobnież udowodnić istnienie takiego prawa, był, jak wiadomo, Hugo Grocjusz. Zdaniem Grocjusza istnieje trwałe i niezmienne prawo natury, tak silne, że nikt nie może go zmienić. To prawo jest wynikiem pewnych niezmiennych cech natury człowieka, a w szczególności jego popędu społecznego, przywiązania się do społeczeństwa, wśród którego żyje i jego zdolności do stanowienia pewnych ogólnych zasad i postępowania według nich. Prawo natury określa zatem Grocjusz jako pewien nakaz rozumu, który wskazuje nam, że pewne działanie, na skutek tego, że zgadza się lub nie zgadza z rozumną naturą, jest moralnie złe albo moralnie koniecznie, zależnie od czego Bóg jako twórca tej rozumnej natury albo je zabronił, albo je nakazał.

Ta próba wyprowadzenia pewnych ogólnych reguł prawnych z pewnych cech natury ludzkiej, a zatem, by użyć dzisiejszej terminologji, próba oparcia prawa na psychologji, wywarła niezwykle doniosły wpływ i jest jedną z pierwszych tego rodzaju. Drugą wielką zasługą Grocjusza jest to, że on jeden z pierwszych starał się zbudować taki system prawa, w którym jednostka i państwo miałyby pewne raz na zawsze zagwarantowane prawa, któreby im dawały możność swobodnego rozwoju. Grocjusz bowiem starając się wyprowadzić prawo z pewnych cech natury ludzkiej, musi starać się zapewnić tej naturze swobodę rozwoju. Dlatego nie potępiając zasadniczo wojen, stara się — idąc w tem także za średniowiecznymi myślicielami — rozróżnić dozwoloną wojnę sprawiedliwą od niedozwolonej i niesprawiedliwej. Stara się położyć pewne szranki samowoli władców i zapewnić prawa poddanym. Z zasady naczelnej, że właściwością natury ludz-

kiej jest kierowanie się pewnemi ustalonemi regułami, wypływa według niego zasada dotrzymywania układów i umów.

Mimo jednak, że dzieło Grocjusza wywarło wielki wpływ na naukę i stworzyło osobną szkołę prawa natury, wpływ jego na praktykę życia na kontynencie był stosunkowo niewielki. Wojny szerzyły się coraz z większą bezwzględnością, a czasy po Grocjuszu to najwyższy rozkwit absulutyzmu, bezwzględnego tępienia wszelkiej swobodnej myśli. Jedynie tylko w Anglji kwitła myśl wolnościowa, a dzieła angielskich myślicieli wywarły wielki wpływ na Montesquieu'go, którego dzieła były zaczątkiem tego duchowego fermentu, z którego zrodziła się wielka rewolucja francuska.

Bezpośredni następcy Grocjusza w Niemczech nie posunęli jego dzieła naprzód. Przyczyniła się do tego i ta okoliczność, że mimo, że dzieło Grocjusza wyprowadza prawo z psychicznych właściwości natury ludzkiej, to jeszcze z drugiej strony tkwi bardzo głęboko swemi korzeniami w średniowieczu. Zamiast argumentów rozumowych, powołuje się on często na autorytet tego czy innego pisarza, w czem objawia niepospolitą erudycję. Na następców Grocjusza ta jego erudycja i powoływanie się na autorytet wywarły prawdopodobnie wpływ tak przemożny, że brakło im polotu myśli i odwagi, by rozwijać dalej to, co w jego dziele było najbardziej twórcze i istotne.

Dlatego też wielka w swoim czasie i potężna, stworzona przez Grocjusza szkoła prawa natury zniknęła już w wieku XIX niemal w zupełności pod wpływem coraz bardziej krzewiącej się historycznej szkoły prawa. Historyczna szkoła prawa, założona jak wiadomo przez Savigny'ego [1]), pod widocznym wpływem Hegla i jego metody dialektycznej, zwraca się ostro przeciw wszelkim kodyfikacjom, twierdząc, że przerywają one jedynie prawidłowy rozwój prawa drogą organiczną. W ten sposób dochodzi się do legalizowania wszelkiego *status quo*. Dlatego też filozofja Hegla była przez długi czas urzędową filozofją pruskiego absolutyzmu, co od-

[1]) Znakomitą ocenę znaczenia Savigny'ego daje Stanisław Wróblewski w *Zarysie Wykładu Prawa Rzymskiego* str. 209.

biło się wyraźnie na wszystkich kierunkach myślowych, które pod wpływem jej powstawały. Przez głoszenie twierdzenia, że „wszystko, co istnieje, jest rozumne" (Hegel) i przez podkreślanie, że prawo jest wynikiem organicznego historycznego rozwoju, zapomniano o tem, że o ile prawdą jest bezwątpienia, iż prawo jest wynikiem rozwoju, to z drugiej strony jednakże jest tego rozwoju twórcą. Pewne ideały ludzkie, skrystalizowane w prawach, działają bowiem ze swej strony na rozwój historji i w pewien sposób go determinują. Dlatego też szkoła historyczna prawa położyła wprawdzie ogromne zasługi na polu badań prawa historycznego, ale w dziedzinie tak zwanej polityki prawa nie dokonała niemal niczego. W praktyce prawo doszło pod wpływem historycznej szkoły prawa do ustawicznego patrzenia wstecz, oglądania się na autorytet poprzedników lub też doktryny t. zw. „ważenia interesów" (Ihering). Co więcej, przez związanie nierozerwalne prawa z przeszłością, przez uczynienie z prawa martwego produktu historji, przez niepodzielne oddanie go pod władzę autorytetu, oderwano prawo od związku z wszelką wolną i śmiałą myślą ludzką, której najwyższą emanacją są nauki filozoficzne. Między prawem a filozofją nastał zupełny rozbrat, a czasy Grocjusza i Montesquieu'go, zdawało się bezpowrotnie minęły. Dlatego też w okresie dzisiejszych śmiertelnych zmagań się rozmaitych narodów i klas społecznych ze sobą, nie odezwał się ze strony uczonych w prawie żaden głos, któryby, jak ongiś głos Grocjusza i Montesquieu'go, przed ludzkością nowe szlaki otworzył.

Zaczynają się jednakże pokazywać już znaki lepszej przyszłości. Nauka polska może być dumną, że wydała dwóch myślicieli, którzy przez najściślejsze związanie prawa z filozofją i psychologją, potrafili ożywić jego naukę prawdziwie wielkiemi i ożywczemi ideałami.

Nie tu miejsce, aby zastanawiać się dłużej nad dziełami Jaworskiego i Petrażyckiego. Myśli ich chodziły odmiennemi torami i w dziełach swoich nie zajmowali się bezpośrednio zagadnieniami pokoju i wojny. Jeżeli jednak rozwój prawa i kultury prawnej i przejęcie się nią zarówno przez przedstawicieli rządów i jak i przez szerokie warstwy ludności może odwrócić niebezpieczeństwo wojny, to należy

uznać, że zarówno Jaworski jak i Petrażycki jako przedstawiciele wysokiej kultury prawnej, nawiązując do wielkich tradycyj Grocjusza i Montesquieu'go położyli na tem polu wielkie zasługi. Starają się oni bowiem, każdy z nich w zupełnie odmienny sposób, dotrzeć do tego, co jest istotą prawa i do zrozumienia jego kierowniczej roli w życiu narodów i społeczeństw. Jaworski opiera prawo o moralność absolutną chrześcijańską i upatruje jego cel i zadanie w harmonizowaniu sprzecznych interesów jednostek, klas społecznych i narodów. Rozumie się, że jeżeli tak pojmiemy prawo, jeżeli przyjmiemy za najwyższe jego zadanie oparcie się o prawdę absolutną i wytworzenie harmonji pomiędzy interesami jednostek i rozmaitych ugrupowań społecznych i narodowych, to tem samem musimy potępić wszelkie doktryny, które opierają prawo jedynie na sile i na tem, co w danej chwili istnieje, jak również doktryny, według których celem prawa jest „ważenie" indywidualnych interesów i sankcjonowanie interesów silniejszego. Prawo zatem w tem ujęciu staje w przeciwieństwie do siły i gwałtu i stara się urzeczywistnić taki stan społeczny, któryby stwarzał ze społeczeństw i narodów pewną harmonijną całość. Jaworski bowiem jest uniwersalistą i stara się określić cel i znaczenie jednostki przez związek jej z pewną całością społeczną, a istnienie i sens tej całości społecznej przez związek jej ze źródłem wszechrzeczy, z Bogiem.

Myśl Petrażyckiego,[1]) innemi — jak zauważyłem — idzie torami, ale również odznacza się niepospolitym idealizmem. W przeciwieństwie do Jaworskiego, jest on relatywistą i ewolucjonistą, ale podobnie jak on dopatruje się końcowego punktu, do którego zmierza ewolucja ludzkości, w zapanowaniu czynnej miłości między ludźmi. Zdaniem Petrażyckiego prawo jest czynnikiem psychicznym życia społecznego i działa psychicznie. Działanie jego polega na wychowywaniu psychiki zbiorowej w kierunku odpowiadającym charakterowi i treści obowiązujących norm prawnych. Obo-

[1]) Piękne i zwięzłe przestawienie głównych zasad nauk Petrażyckiego dał Jerzy Lande w pracy p. t. *Leon Petrażycki* (XXXV Rocznik *Przeglądu Filozoficznego*).

wiązujący w każdym danym czasie system norm prawnych stanowi — zdaniem Petrażyckiego — stadjum przejściowe wychowania społecznego i powinien być w miarę wypełniania swej funkcji wychowawczej zastąpiony przez inny system oddziaływania prawnego, motywacyjnego i wychowawczego, przystosowanego do osiągniętego już poziomu psychiki prawnej. Ideałem jest osiągnięcie charakteru doskonale uspołecznionego całkowite zapanowanie czynnej miłości wśród ludzi. W myśl tych założeń Petrażycki stara się zbudować nową naukę t. zw. politykę prawa, któraby opierała się na psychologji i poznaniu praw, rządzących naturą ludzką, a której posłannictwem byłoby świadome prowadzenie ludzkości w tym samym kierunku, w jakim posuwała się ona dotąd drogą nieświadomego przystosowania empirycznego oraz odpowiedniego przyspieszenia i prostowania dążenia ku wielkim, świetlanym ideałom przyszłości.

Dzieła zatem Jaworskiego i Petrażyckiego, lubo wychodzące z zupełnie innych założeń, mogą uchodzić za odrodzenie prawa natury. Przeciwstawiają się one nader ostro ogromnemu autorytetowi niemieckiej szkoły prawa, która na skutek dziwnego paradoksu, wyszedłszy z wolnościowych i idealistycznych nauk Kanta, skończyła na ubóstwianiu siły.

Zarówno Petrażycki jak i Jaworski byli cywilistami i tezy swoje wyciągają ze swych głębokich i wnikliwych badań cywilno-prawnych. W ostatnich latach swego życia przeszedł Jaworski do badań nad konstytucją. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby podobnym duchem owiać również badania prawa narodów. Jak wyżej bowiem zaznaczono, niema pomiędzy narodami nieprzepartych różnic, a teorje nacjonalistyczne, które głoszą, że taka różnica istnieje, opierają się na pewnych apriorycznych, niesprawdzalnych założeniach. Jeżeli jednak wszystkie narody i państwa stanowią w pewnym sensie jedną całość, to ideał zapanowania między niemi czynnej miłości przestanie być złudną chimerą.

Liga narodów, aczkolwiek jest tworem bardzo niedoskonałym, z tego powodu jest jednakże ważną, że istnienie jej, to w pewnym stopniu pierwsza niejako konstytucja narodów.

W obecnym stanie rzeczy stają naprzeciw siebie dwie

doktryny, dwa światopoglądy. Jedne z nich uważają, że prawo jest wynikiem siły i gwałtu, i powinno służyć jedynie tym, co tę władzę przy pomocy gwałtu chcą osiągnąć. Drugie z tych doktryn nie wywodzą prawa z gwałtu i z siły, lecz przeciwnie, widzą sens prawa i jego zadanie w służbie jego ideałów, harmonijnego współżycia ze sobą poszczególnych ludzi i ugrupowań ludzkich w duchu czynnej miłości. Od tego, która z tych doktryn zwycięży w umysłach ludzkich, zależy, czy ludzkość pogrąży się w odmętach wojny i rewolucji, czy też obecne trudności potrafi pokonać drogą pokojowej ewolucji, która ją doprowadzi do jasnej przyszłości.

Na jedną rzecz trzeba wkońcu zwrócić uwagę. Jeżeli pacyfizm chce wywalczyć tę przyszłość, to nie może się cofnąć przed żadną ofiarą. Nie może się wyrzekać lekkomyślnie lub tchórzowsko obowiązków wobec państwa, a żadnego ciężaru na siebie nie brać. Musi odznaczać się heroizmem nie mniejszym od tego, który opromienia żołnierza ginącego dla idei na polu walki. Tylko bowiem heroizmem wywalcza się rzeczy wielkie.

Dr. Adam Sławarski.

Logika swastyki.

Czytelnicy *Przeglądu* otrzymali (w październiku 1932) dwa artykuły dowodzące niezbicie, że ideologja hitleryzmu jest w istocie swej nawskróś materjalistyczną, godzącą w istotne założenia chrześcijaństwa, a wraz z tem w elementarne formy humanitarnego współżycia. Niżej podpisanemu pozostaje uzupełnić tamte sprawozdania paru innemi charakterystycznemi szczegółami, ale przedewszystkiem eksplikować straszliwą — dla nas przedewszystkiem — logikę tych tam dążeń, a ponadto, przy okazji, wyrazić parę zastrzeżeń przeciwko niepożądanym sugestjom, jakie swastyka może wywoływać poza granicami Niemiec.

Jeśli się mówi o „hitleryźmie", to ma się na myśli dwie rzeczy: raz, Niemiecką Narodowo-Socjalistyczną Partję Robotniczą *(Naz. Soz. Deutsche Arb. Part.)*, kierowaną przez Adolfa Hitlera, — dzisiaj już kanclerza Niemiec — ale drugi raz miana „hitleryzmu" używa się jako *partem pro toto*, albowiem NSDAP. jest tylko jedną, acz najobfitszą falą olbrzymiego ruchu. Kiedy przeglądam obfitą i instruktywną antologję i bibljografję tego ruchu, [1]) widzę, że piśmiennictwo to, prócz pewnej ilości poważnych i grubych tomów, obfituje w moc broszurek, częstokroć drukowanych w jakichś obskurnych drukarenkach małomiasteczkowych, pisanych przez rozmaitych prowincjonalnych zbawców narodu, co wszystko wskazuje na masowość tego ruchu, ale także znamiennem jest dla jego przeciętnego umysłowego poziomu.

[1]) Por. *Berichte z. Kultur- u. Zeitgeschichte*, ed. Mikołaj Hovorka, Wiedeń, (I) *Göttер u. Germanen*, sierpień 1931, (II) *Zwischenspiel Hitler*, luty 1932.

Raz po raz odzywają się jacyś prowincjonalni zbawcy narodu, a naturalnie, w tej atmosferze rozgorączkowanej też i rozmaici manjacy i paranoicy znajdują z łatwością sposobność „wypowiedzenia się": Wysłuchiwane bowiem jest wszystko co tylko zieje nienawiścią do całego świata, co się według nich, spiknął na zgubę Niemiec, nie wyłączając tych wszystkich, co ocalili Niemcy pod koniec wojny od ostatecznego rozgromu!... Ruch rozlewa się rozlicznemi odnogami i prądami, które nieraz są ostro między sobą skłócone, czasami na tle osobistem. Raz hitlerowcy wysyłają p. Ludendorffa do szpitala warjatów, a znów raz po raz sam „piękny Adolf" od jakiegoś malkontenta dostaje cięgi za swą nierasowość, parwenjuszowskie maniery, postawę „berlińskiej paniusi" (kiedy np. podczas odbierania defilady, założy ręce na brzuchu), przyczem wskazuje mu się model innego „wielkiego parwenjusza", jakim jest Benito; wyrzucają mu zarozumiałość i oportunizm i t. p.

Ale to wszystko są kłótnie w rodzinie: łączą ich wspólne myśli, wspólne nienawiści, wspólne szały. Ruch neohakacki rozlewa się na całym szerokim froncie od monarchizmu począwszy, aż gdzieś w pobliżu komunizmu; ale wszystkie te różnice programu ustrojowego giną wobec wspólnoty dążeń naczelnych.

Należy do nich m. i., co wiadomo, wrogi stosunek do demokracji oraz gloryfikacja rasowości. Ale, co szczególne i napozór przynajmniej, paradoksalne: ten „rasowy" i „antydemokratyczny" ruch, ma jednak, jak się właśnie rzekło, wszelkie znamiona masowości, jest typowym ruchem od nizin; wystarczy tylko oglądnąć sobie podobizny pp. Goebbelsów i innych figur hitlerowskiego sztabu: jakże daleko jesteśmy tu od tego, co się nazywa „rasowością" w typie twarzy. W jakąż sferę grubjańską wchodzimy z temi grubemi prawdziwie „powojennemi" fizjognomjami! Ale może nie ich pochodzenie decydujące jest w wyrazie twarzy tych ludzi: decydującym jest psychiczny dobór; wszak każdy ruch społeczny ma swoją specyficzną atmosferę, która przesiewa twarze jak przez sito... I dlatego śmiesznem zaiste i doprawdy zadziwiającem jest, jeśli zdarza się, iż ludzie o wyniosłem usposobieniu, czerpiący chlubę ze swych arystokratycznych

koligacyj, i konserwatywni, objawiają jakiś feblik dla ruchu o fizjognomji tak wulgarnej, jak hitleryzm. Byłoby naturalnie nienaukowem zacietrzewieniem nie domyślać się, iż ruch masowy, tak potężny, musi mieć jakieś swoje głębokie przyczyny, i że może nieść na swej rozhukanej fali jakieś idee słuszne i zdrowe. Idzie tu jednak o ostateczne jego praktyczne konsekwencje i możliwości.

Przechodząc do przedstawienia rzeczy bardziej szczegółowego, nie chciałbym powtarzać wypowiedzi Czytelnikowi już znanych, aczkolwiek te konieczne ominięcia osłabią nieco obraz tu skreślony; i dlatego pewne powtórzenia rzeczy już w tem piśmie omówionych, okażą się jednak niezbędne.

Ani program oficjalny partji NSDAP. (punkt 24), ani sam Hitler nie chcą mieć nic wspólnego z reformatorstwem religijnem, ale o istotnych intencjach zbiorowiska świadczy zawsze na co sobie można pozwolić mówić; i tak reprezentatywny filozof partji Alfred Rosenberg, szlachcic kurlandzki, autor wielu dzieł m. in. „O micie 20 w." (*Der Mythus des 20 Jahrh.*, 1930), tworzy pasującą do teutońskich snów o potędze „nową niemiecką wiarę" — a jest nią „mit krwi", który ma być rzekomo oparty na ścisłej nauce, a mianowicie, „krew nordycka [jasnoocy germańscy blondyni] jest tem misterjum, które przezwycięży i zastąpi stare sakramenty". Słowem, krew niemiecka jest jedynym sakramentem. Na zasadzie „krwi" ukształtowana jest niemiecka religja i moralność. Takie idee jak grzech, łaska, miłosierdzie, pokora i „najgorsze ze wszystkiego, bezkrwista miłość ludzi" są naleciałościami Wschodu, „syryjskiemi". Zwłaszcza razi ich kazanie na górze; p. Kremers otwarcie głosi „odrzucenie Kazania na Górze" *(Ablehnung der Bergpredigt)* razem z całą moralnością miłosierdzia i równem szacowaniem ludzi. A p. Schott, autor popularnej książki o Hitlerze *(Volksbuch vom Hitler)*, zarzuca swemu bohaterowi, że jest zbyt słaby w stosunku do katolicyzmu, nie wątpi przecież, że i on pojmie, „że do monstrancji włazi djabeł" — *(sic: dass der Teufel in die Monstranz kriecht)*.[1]) Tak się wyrażają

[1]) Por. Hovorka, II, 514.

stosunkowo najbardziej z pośród kierunków neohakackich umiarkowani w stosunku do katolicyzmu hitlerowcy; może katolikom to wystarczy?! Ale inne kierunki, np. małżeństwo Ludendorff, zarzucają hitlerowcom słabość wobec „żydowsko-rzymskiego Kościoła" *(jüdisch-römische Kirche)*. Tak zwany Niebieski Front *(Jungdeutscher Orden)* jawnie już przyznaje się do bogów starogermańskich. Pojawiają się publikacje o tytułach wiele mówiących: „Wszechojciec Wotan czy Jehowa? Niemiecka wiara", albo „Wotan i Jezus", „Czy Edda może być naszą księgą świętą?", przyczem odpowiedź wypada twierdząco, wreszcie mówi się o „odpoganieniu" w tym sensie, że „dopiero tam, gdzie wygasa chrześcijaństwo, zaczyna się prawdziwa religijność niemieckiego człowieka". [1])

Dodać trzeba, że Rosenberg chce usunąć z dróg wiejskich Męki Pańskie, znak ukrzyżowania, „niegodny niemieckiej religijności"; wspomnijmy też, że krzewi się obfite piśmiennictwo mitologiczne, interpretujące np. bajki dziecinne z Grimma w sensie symbolicznym, a stwierdzimy, że odbywa się tu masowe odrywanie wyobraźni narodu od wyobrażeń chrześcijańskich, które mają być zastąpione przez k u l t s i ł p r z y r o d y przybranych w szatę mitologiczną. [2])

Wszystko to niecałkiem nowe, tylko z nową niesłychaną otwartością i naciskiem wyrażane. Odwoływanie się do germańskiej mitologji, i to w najściślejszym związku z samouwielbieniem rasy, od wieku przeszło idzie tam w parze z nasileniem polityczno-narodowej fermentacji. Wszak w warunkach częściowo ze współczesnemi analogicznych, w r. 1807,

---

[1]) Riemann: *Allvater Wodan oder Jehowa? Das deutsche Glaubenstum* Bode: *Wodan u. Jesus.* Konrad: *Kann uns Edda Religionsbuch werden?* Nikisch: *Entheidung* („Erst wo das Christentum auflöst, beginnt die echte Religiosität des deutschen Menschen").

[2]) Można przy okazji wspomnieć o przygodzie dość uciesznej, której ofiarą padł *Angriff*, główny dziennik partji hitlerowskiej, pod red. Goebbelsa; ktoś, pod pseudonimem przysłał im wierszyk Heinego (Żyda) z r. 1848, w którym mowa o nowych Niemczech, o nowem s ł o ń c u i t. p. Redakcja zamieszczając wierszyk, zaopatrzyła go entuzjastycznym przypiskiem, że „rodzi się nowa, r a s o w o - n i e m i e c k a poezja..." Nazajutrz całe oświecone Niemcy pękały ze śmiechu. Ale redakcja nie tracąc rezonu, wyjaśniła, że „podstęp ten świadczy dobitnie do jakich nikczemnych sposobów zdolni są nasi wrogowie..."

po jenajskiej klęsce, kiedy to po Niemczech stały francuskie garnizony, J. B. Fichte w swoich mowach do narodu niemieckiego dowodził rodakom, że Niemcy są „pranarodem" *(Urvolk)*, który jakoby jedyny zachował swą pierwotną z czasów Stworzenia czystość i dostojność i tem o całe niebo góruje na Francuzami, narodem rasowo mieszanym. Naturalnie taki „pranaród" ma dane sobie jakieś specjalne „objawienie"; trzeba je tylko umieć odcyfrować z rasowych instynktów i tradycyj. Wobec tego wszystko co od zewnątrz napłynęło do narodowej kultury odrzucić należy jako obce, a przeto deprawujące. Później, jak się zbliżamy do połowy wieku, kiedy już w powietrzu niemieckiem snują się idee narodowego wspólnego państwa, przychodzi znowuż ruch mitologiczny, ogłaszają swe dzieła naukowe i swe zbiory baśni bracia Grimm, w r. 1843 ludoznawca J. W. Wolff zakłada czasopismo *Wotan*, a potem, inny etnograf, Schönbach, tak ocenia narodowe znaczenie tego ruchu: „Na długo przedtem, nim zaświtała glorja nowego niemieckiego państwa [ma na myśli nowe cesarstwo niemieckie] nasze narodowe samopoczucie, nasza duma, wzmocniły się nadzwyczajnie przez posięście tego nowoodkrytego skarbca pamiątek po starogermańskich olbrzymach...". [1])

Nie ulega żadnej wątpliwości, że wraz z tą „nową religijnością" jesteśmy w świecie romantycznym, poetycznym, niepomiernie wyższym od obmierzłego, płaskiego bezbożnictwa bolszewickiego. Trzeba też przyznać, że te romantyczne tęsknoty i nawroty do starych i zamierzchłych wyobrażeń, wcale znamienne są dziś nietylko dla niemieckiej kultury, są one przecież ważnym czynnikiem szerokiego, też i u nas znanego ruchu tzw. kultury ludowej; są one znakiem zdrowym, bo znakiem reakcji na zalew niwelującego wszystko i wszystkich materjalizmu. Ale, — w każdym razie tak jest u nas w Polsce — ten nawrót do tradycyj ludowych wcale nie potrzebuje wyłączać wyobrażeń chrześcijańskich, owszem właśnie je ożywia: czemże byłyby nasze wiejskie drogi bez tradycyjnego Pana Jezusa Frasobliwego? Niema

[1]) O Schönbachu i Wolffie wedł. K a i n d l a.

też żadnego powodu wiązać „kulturę ludową" z rasową megalomanją.

Ale, co ważniejsze tu: Ta mitologja jest w gruncie rzeczy też zamaskowanym materjalizmem, tylko innego, nadobniejszego pokroju, a w każdym razie jest skrajnym acz owianym fantastyczną mgiełką naturalizmem i jako taka jest wyrazem fundamentalnej laicyzacji ducha; przez co rozumiem, że się załamuje tu i przepada sama najistotniejsza chrześcijańska tęsknota, najznamienniejszy gest *animae naturaliter christianae,* która właśnie z pośrodka swych naturalnych ograniczeń i więzów, wyrywa się ponad przyrodę i w tym tragicznym swoim geście stwierdza o sobie, iż sama z siebie nie da sobie rady... W tej psychice i w tym geście zawarte już jest w zalążku wszystko istotne, co należy do chrystjanizmu.

Toteż, bynajmniej temu nie przecząc, że apelacja do „rasowych" instynktów duchowych i tradycyj, ma swoje głębokie racje i walory wychowawcze, oraz że stosunek estetyczny do przyrody wzbogaca się w świetle takiej „mitologicznej" symboliki, przyznając wreszcie, że najbliższą nam i przeto najcenniejszą częścią przyrody jest nasza „rasa", krew, co jedną wielką powodzią niesie się poprzez wieki i jest żywem podłożem biologicznem wiekuistej jedności narodu — trzeba jednak, wraz z jednym teologiem protestanckim, stwierdzić, że „religja krwi to demoniczna pokusa samoubóstwienia się człowieka", i że wobec takiej rasowej autodeifikacji, stajemy przed koniecznością niechybnego wyboru: „Religja krwi świętej czy religja ducha świętego?".

W tem miejscu pozwalam sobie na pewną dygresję. Wobec takich jak przytoczone tu i w artykułach z nr. październikowego, a także z szeregu innych jeszcze enucjacyj hitlerowców o chrześcijaństwie, a katolicyźmie w szczególności, zastanowiła mię pewna wypowiedź publicysty katolickiego i nawskróś konserwatywnego, jakim jest p. K. M. Morawski. Mianowicie w artykule p. t. „Hitleryzm a katolicyzm" [1]) przypuszczając, na tle ówczesnej sytuacji politycznej w Niemczech, że Papen będzie współpracować z Hitle-

[1]) *Myśl Narodowa* 34/932.

rem, wygłasza optatywną pod adresem Centrum myśl, by ono, do wyboru mając „między Brünnigiem [który jak wiadomo wolał współpracować z demokracją] a Papenem" — poszło za tym ostatnim, a motywuje tę swoją radę nadzieją, że katolicy w hitlerowsko-papenowskim rządzie potrafią być „strojem w rozstroju, ostoją w zamęcie rozumów", aż wkońcu — tę właśnie żywi p. Morawski nadzieję — ponad *hackenkreuzem* „krzyż się wzniesie", i Niemcy nie będą wydane „na lep i łup niskich instynktów polakożerczych"... Interesującą jest motywacja tej nadziei: Raz w Monachjum p. Hitler zażądał, ażeby z jakiejś wystawy usunięto bluźnierczy krucyfiks, a znowu raz we Frankfurcie *nazi* (tego pieszczotliwego skrótu niemieckiego na hitlerowców używa Szanowny Autor artykułu o hitleryźmie i katolicyźmie) wymogli usunięcie jakiegoś bezbożnego pochodu. Cóż więcej? Więcej nic. Fundament nadziei tak strzelistej, przyznać trzeba, wcale wąski.

Jeżli na wyżynach umysłowych są one — (te pobłażania) — bądź co bądź dość dyskretne, to schodząc niżej napotykamy już wprost wyrazy sympatji otwartej i frywolnej. I tak w pewnem popularnem pisemku antyżydowskiem [1]) w art. p. t. *Pyrrhusowe zwycięstwo* (po wyborze Hindenburga, kiedy jeszcze niewiadomo było, że H. obróci się przeciw swoim demokratycznym wyborcom) głoszą: „Hindenburg zwyciężył poparty żydowskim kapitałem i głosami II i III Międzynarodówki, zmobilizowanej przez żydowstwo przeciw zapowiadającemu klęskę żydowstwa Hitlerowi". I zaraz: „Chwilowa klęska Hitlera odwleka na krótki czas załatwienie sprawy żydowskiej w Niemczech" (zapomniał doszczętnie, że wyborcom Hitlera, w co najmniej równej mierze idzie o „załatwienie" sprawy p o l s k i e j!). Na innej szpalcie tego samego pisma czytamy entuzjastyczną zapowiedź, że już niebawem „sztandar panaryjski zaszumi nad światem", a na nim widnieje „symbol walki z żydowstwem krzyż" (widocznie swastykę utożsamia z krzyżem i nic mu niewiadomo o prawdziwym stosunku „krzyża z hakami" do Krzyża!).

---

[1]) *Hasło Podwawelskie*, 17, 18/932.

Z takich i podobnych cytat, któreby można pomnożyć, okazuje się, że w tych pobłażliwościach, a nawet na pewnym niższym umysłowo poziomie, wprost sympatjach, działa jako *tertium comparationis,* antysemityzm. Nastąpiło tu szczególne przegrupowanie w łonie narodowego instynktu samozachowawczego: Kto chce na żydowstwo leczyć się u zwycięskiej hakaty, ten po lekarstwo na świerzb wybiera się do wilka.

Nie jest zamiarem niżej podpisanego rozbierać tu kwestję żydowską. Ale korzystam ze sposobności aby wypowiedzieć przekonanie, że drogi, na które wkracza antysemityzm polski są nieodpowiednie. A to ze względów tak chrześcijańskich i poprostu ludzkich oraz obyczajowych (jest przecież jakaś logika, jakieś *noblesse oblige* kultury!), jak i wychowawczych (wychowanie w łatwiźnie jakiejkolwiek zawsze jest zgubne), tak narodowo-politycznych (jeszcze raz pretekst do nagonki na ordynarną Polskę), jak i ze względu na samą czujność społeczeństwa wobec niebezpieczeństwa żydowskiego: Dzieją się rzeczy okropne i straszliwe: np. na ziemiach wschodnich dziesiątki tysięcy morgów przechodzi w ręce żydowskie, a tu wybryki antysemickie osiągają skutek przeciwny zamierzonemu; nasze społeczeństwo bywa dość martwe, ale bądź co bądź nie ma skłonności brutalnych i na antysemityzm wulgarny reaguje raczej współczuciem dla jego ofiar, zniechęca się do obozu antysemickiego. A nie wolno mi już na tem miejscu, w piśmie apolitycznem dotykać tej sprawy z punktu widzenia polityki aktualnej, z punktu widzenia pewnego doniosłego postulatu, na którym przecież młodzieży akademickiej powinno zależeć, i t. d.!.. Niech mi tylko wolno będzie, wyrazić polityczne zdziwienie... I właśnie jako narodowiec czuję się zobowiązany i uprawniony zaznaczyć to.

Każdemu w Polsce, kto dostrzega i uznaje jawną rzeczywistość żydowskich niebezpieczeństw wolno domagać się od antysemityzmu polskiego, ażeby od form, nagannych, a nieskutecznych lub wprost szkodliwych, przeszedł do treści, do ściśle rzeczowej propagandy i organizacji opinji i samopomocy, któraby utrwaliła nam naszą własność w naszych rękach i naszą ziemię pod naszemi stopami. Dlatego obóz

„antysemicki" jest niezbędny. Ale uliczna łatwizna swastyckich i zgoła rumuńskich sugestyj i modelów nie na wiele tu się przyda. Trzeba przecież cały problemat traktować na tle ogólnego kryzysu kultury, przemyśleć do jakich ostateczności prowadzi nacjonalizm *à l'allemande*, pomyśleć, jakich się form trzymać, ażeby wielkie konieczności narodowe uzgodnić z konserwatyzmem kultury, tej naszej kultury chrześcijańsko-humanitarnej w założeniach swoich, a tak katastrofalnie ze wszech stron zagrożonej.

Z „religją krwi" łączy się to, co najlepiej nazwać r a s o w y m m a n i c h e i z m e m. Jeźli jedna rasa jest specjalnie wybraną, jedyną (jakżeż podobni do znienawidzonych śmiertelnie Żydów są ci antysemici!), to z takiego samopoczucia wyniknąć musi, że cały świat, wedle nich, dzieli się na dobrych, którymi są oni właśnie i na złych, którymi są wszyscy inni. Przekonanie o swej jedyności rasowej (jako rzekomo jedyni czyści rasowo Arjowie, a Arjowie mają być rasą najwyższą), odziedziczyli Niemcy po w. XIX (w każdym razie nie po Nietzschem!); gdy jednak wtedy, przekonanie to miało przeważnie wyraz twierdzenia naukowego, dziś owinęło się ono w jakąś metafizyczną mgłę; doskonale to ujmuje pewien pisarz francuski: „Mistyka niemieckiej rodzimości i energji tchnie w Niemców bezwzględne przeświadczenie o wyjątkowych darach swej rasy, czyniąc z nich (w ich świadomości) narzędzie Bóstwa, a z ich przeciwników narzędzie szatana". [1])

Oto przykład: Według Hansa Hauptmanna (*Ein Heldenleben*, 1931) „dla Jezusa pewnem było, że tylko aryjski człowiek jest stworzony na wzór boski, że on, według woli Stwórcy, jest jedynie uprawnionym panem ziemi". Według tej samej teologji przez „grzech przeciw Duchowi Świętemu"

---

[1]) Viénnot *Incertitudes allemandes* V. mówi o *mystique de l'originalité* etc. *Originalité* — tyle co *Urvolk* — oznacza tu właśnie owo czyste pochodzenie wprost od p r a - c z ł o w i e k a, przechowanie w sobie najczystszego typu człowieka, jak przetłumaczyć ten wyraz? Romantykom naszym znane było to pojęcie; kiedy chcieli przetłumaczyć *Urvolk* mówili o narodzie p i e r w o t w o r n y m albo r o d z i m y m (nb. w zastosowaniu do Polaków...); — Użyłem tego drugiego wyrażenia, jako prostot-

Chrystus nic innego nie rozumiał, jak tylko „przeklęte poniżanie się rasy wyższej przez mieszanie się z niższą"...

A jeśliby ktoś z innych „Aryjczyków" chciał się „pocieszać", że cała ta pogarda odnosi się tylko do Żydów, niechaj sobie przypomni z zeszytu październikowego *Przeglądu*, co Hitler myśli o germanizacji Słowian i niech wspomni taki fakcik, że zamordowanego w Bytomiu Piecucha prasa hitlerowska mianowała „podczłowiekiem" *(Untermensch)* z dwóch racji, że był komunistą i że był Polakiem. Takiego „untermenscha" zlikwidować (jak się to dzisiaj technicznie wyraża), niewielki grzech. Coprawda jakoś nie zauważyli, że nazwiska jego pra-germańskich morderców były też polskie. Tu wychodzi na jaw jeszcze jedno znamię tego ruchu: jego z a k ł a m a n i e. Bo też wogóle nie może nie być głęboko zakłamanym ruch, który wojując teorją rasowego elityzmu, staje się ruchem masowym, ruchem nizin.

„Elityzm" Hitlera wyraża się w takiem np. twierdzeniu: „Szeroka masa robotnicza nie chce nic prócz chleba i zabawy. Nie mają oni zrozumienia dla jakichkolwiek ideałów i nie możemy liczyć na to, by pozyskać robotników w większej liczbie. Dlatego chcemy dobrać nową warstwę pańską *(Herrenschicht)*, którąby się nie kierowała żadną moralnością współczucia, lecz jasno zdawałaby sobie sprawę z tego, iż ma prawo do władztwa nad masami i któraby władztwo to podtrzymywała z całą bezwzględnością".

Skąd ta nowa „warstwa pańska", ci wybrańcy rasowi? Też z warstw t. zw. „świeżych", bo w inteligencję p. Hitler nie wierzy. Na jakiejże podstawie ma się dokonywać ów dobór? Na podstawie czysto antropologicznej. Założyli u siebie w partji księgi rodowe *(Stammbuch)*, dla blondynowatych niebieskookich stadeł, mających dawać z siebie nową szlachtę narodu niemieckiego.

Z pewnością jest coś słusznego w zracjonalizowanym doborze płciowym, ale łatwo pojąć pewną, w dosłownem znaczeniu, nieludzkość i płaskość, płytkość tej „eugeniki",

niejszego. (Cytata z V. według studjum O. Delbos'a, dominikanina, p. t. *Dynamisme allemand et statisme français*, w zbiorze *Documents de la vie intellectuelle*, X, 3/932.

która za podstawę doboru biorąc cechy fizyczne, stawia hodowlę człowieka na jednym poziomie z hodowlą zwierząt domowych. Tutaj też widzimy jak dalece hitleryzm jest prądem typowo „powojennym". Przecież cała ta prostolinijna eugenika (pominąwszy postulat niby to naczelny, nordyckości, od którego będą zmuszeni w praktyce odstępować) w której *corpus sanum* pochłonęło bez reszty *mentem sanam*, to wymarzona filozofja życiowa herosów boiskowych i ich wielbicieli.

Z tą „nordyckością" mają trochę kłopotu, bo jak jeden z nich, dr. Rudolf, oblicza boleśnie, w Niemczech jest wszystkiego 4—6% nordyjczyków czystych; pociesza się przecież nadzieją, że naród poweźmie ochotę do „znordyczenia się" *(Wille zur Aufnordung)*, poza tem liczy na nowe prawo: widocznie ci ładni blondyni będą uprzywilejowani. Sam Hitler też obiecuje nowe prawo małżeńskie.

Coprawda jest obawa, czyby on sam, przy takiem nowem prawie, otrzymał *heirats-erlass?* Wszak pewien eugenista, dr. v. Gunther, oglądnąwszy go sobie, wydał takie orzeczenie: „Twarz i głowa: zła rasa. Mieszaniec. Niskie pochyłe czoło, szpetny nos, szerokie kości jarzmowe (policzki), małe oczy, uwłosienie ciemne... Wyraz twarzy nie wskazuje na władcze opanowanie siebie, lecz na chorobliwe podniecenie *(wahnwitzig erregt)*". Podobne są opinje o wicehitlerze Goebbelsie. Taka „rasa" przywódców dobitnie świadczy, powtórzmy to raz jeszcze, o ich „rasowem" zakłamaniu (jakiemu zresztą ulec musi każda grupa o pretensjach do „elityzmu" a wywodząca się z żywiołów dobranych na podstawie wspólności bardzo niewybrednych gustów moralnych)!...

Ale żeby to należycie scharakteryzować, muszę jeszcze powtórzyć, rzecz Czytelnikowi już znaną: snując więc swój ideał „nowego państwa" przyszłości, dopuszcza Hitler wraz ze swymi kompanami, takie możliwości jak obowiązkowe samobójstwo kalek, chorych, z nieuleczalnymi inwalidami włącznie, (dlaczegóżby jeszcze jak gdzieś na oceanie nie kazać starcom wyłazić na drzewa, trząść niemi i czekać który spadnie?), a wreszcie taką regulację urodzin: „Wartość narodu nie zależy od liczby zaludnienia, tylko od ja-

kości jednostek. Gdyby Niemcy na miljon noworodków rocznie usunęły 700—800 tysięcy słabszych, to w rezultacie ostatecznym zyskałyby przyrost sił. Najbardziej niebezpiecznem jest to, że my sami zaprzepaszczamy proces doboru i sami się obrabowujemy z możliwości uzyskania należytych ludzi. Najprawdziwsze państwo rasowe przeszłości, Sparta, przeprowadziło prawa rasowe tego rodzaju w sposób planowy". Punkt. *Damit ist alles gesagt!*

Tak mówił Hitler na zebraniu partyjnem w Norymberdze, 7 sierpnia 1929.[1]) I nietyle zajmującemi są piękne marzenia tego, niezwykłego zresztą, samouczka, co zrobił karjerę naprawdę bajeczną, ile to, że jest środowisko, środowisko mające swoich inteligentów i uczonych, środowisko, które jest potęgą w swym narodzie, a które słucha takich rzeczy i w którem można je na serjo mówić. Dystyngowani konserwatyści pobłażliwi dla tych *nazi* powinni przecież raz sobie zdać sprawę, że jesteśmy tu w gęstem, najgęstszem powietrzu psychicznego motłochu.

Tu znowuż nasuwa mi się nieodparcie jedna niedyskrecja: Czy wobec takich i tym podobnych egzemplów neohakackiej etyki, można jeszcze, wraz z p. Stanisławem Pieńkowskim, stwierdzać, iż „we wszystkich krajach" ludzie rasowi, twórcy, ludzie „typu prometejskiego", słowem urodzeni przeciwnicy „chamstwa", przeciwko któremu Stanisław Pieńkowski znajduje niejednokrotnie tak wymowne słowa — znajdują się „w orbicie obozu narodowego"?[2]) W Niemczech jądrem „obozu narodowego" jest niewątpliwie hitleryzm. Otóż pytam, czy w obozie hitlerowskim skupili się urodzeni, rasowi przeciwnicy „chamstwa"?! Należałoby rzecz tę jakoś wyklarować.

Naturalnie takie zjawiska psychomoralne, jakie obserwujemy w hitleryźmie nie są bynajmniej właściwością jedynie Niemiec ani też obozu nacjonalistycznego; w Niemczech są tylko specyficzne warunki do szczególnych w tym kierunku manifestacyj; ale i gdzieindziej raz po raz przecież rozmawiamy z osobnikami, którzy na początku rozmowy okazują

[1]) Hovorka II, 455 według: J. Nötges S. J. *Nationalsozialismus u. Katholizismus* 1931.

[2]) S. Pieńkowski, „Miara miar", Myśl. Nar., 32/932.

się gorącymi zwolennikami nie „nacjonalizmu", ale rękoczynnego szowinizmu, aliści w ciągu rozmowy okażą się sympatykami bolszewizmu, a znów niebawem zwolennikami jakiegoś innego bicia! I tu właśnie, w tem ostatniem słówku, znajdujemy klucz sezamu tej „skomplikowanej" psychiki i „ideologji": Wiekuisty typ, który chce bić, bić kogokolwiek, w powojennej atmosferze mniej się żenuje niż dawniej, nawet wtedy, gdy jest inteligentem.

Tu jest coś, co powinno być bardzo zastanawiającem dla ludzi ducha konserwatywnego, kiedy odczuwają w sobie jakieś largicje dla takich chorobliwych przerostów nacjonalizmu jak zjawiska typu hakackiego.[1]) Ale idźmyż dalej w tej rewji próbek.

Nowa rzeczowość nie chce znać żadnej obyczajowości formalnej czyli żadnych form moralnych, któreby same przez się były cennemi i zachowania godnemi — przeciwnie chce znać tylko i wyłącznie cele — a przeto już wszelkie środki uznaje za dobre i dozwolone, byle były skuteczne. Dookoła nas odbywa się, do fundamentów kultury sięgająca, rewolucja w dziedzinie etyki. Wszelkie pomiarkowanie, wszelka delikatność, wydają się, — jak trafnie stwierdziła Grossek-Korycka — czemś śmiesznem, czego należy się wstydzić.

Oto, prócz owej przesławnej eugeniki p. Hitlera, jeszcze parę przykładów z jego obozu:

„Przeciwnicy zawsze kłamią". Tę zasadę wpaja w Czytelników *Angriffu*, jego redaktor, dr. praw Goebbels: „Oni kłamią! kłamią! Niemieckie Niemcy muszą wbić sobie w głowę: Nie wierzyć w nic co powiada przeciwnik. Zgóry być przekonanym, że jest on mistrzem kłamstwa!" Oczywiście, jeśli atmosfera społeczna przyjdzie do stanu takiego napięcia, iż wszyscy o wszystkich są przekonani, że tamci łgają — to jesteśmy na moment przed ogólną rzezią. Już nie ma żadnej wspólnej rzeczywistości, nie mówiąc już o etyce chrześcijańskiej. Ostateczną emanacją zasady ewangelicznej

---

[1]) Naturalnie, najmniejszych tu pretensyj nie żywię, ni zamyślam żywić, np. do p. red. Mackiewicza!... *Sapienti sat.*

o miłości nieprzyjaciół, niedosięgłej dla ludzi, którzy nie są świętymi, i dla zbiorowości, jest obyczaj jakiejś przynajmniej lojalności wobec przeciwnika i nawet wroga. *Der Fememörder Heines spricht* („przemawia morderca kapturowy Heines"), tak zapraszająco brzmiał afisz pewnego zebrania hitlerowskiego. Heines opowiadał w Dreźnie o swych morderstwach przy „entuzjastycznych nie kończących się oklaskach" („stürmischer, nicht endender Beifall" — jak głosiło oficjalne sprawozdanie partyjne). W hitlerowskiem piśmie *Völkischer Beobachter*, w r. 1931 pojawiło się ogłoszenie: „Bezrobotny morderca kapturowy, na skutek polityki odszkodowań wojennych i planu Younga pozbawiony pracy, poszukuje posady w narodowo usposobionym domu". Wziął go jakiś generał na lokaja; ale dowiedziawszy się, że ten nikogo nie zabił, i że ogłoszenie było oszukańcze, wystąpił przeciw niemu ze skargą sądową. Sąd jednak skargę „poszkodowanego" oddalił.

Niedotrzymywanie układów w razie potrzeby ma być też jedną z właściwości, któremi się chlubi „nordycki człowiek".[1]) Śp. Bethmann, który za „świstek" uznał stary układ o neutralności Belgji, widocznie był czystym nordyjczykiem.

Miłosierdzie, ale tylko dla swoich, głosi p. Riemann w książce *Allvater Wodan oder Jehowa. Das deutsche Glaubensfum*. Tak widocznie przykazuje Wotan, naturalnie bezmiernie wyższy od Jehowy; mam jednak pewną obawę, czy, przynajmiej na tym punkcie, Jehowa nie jest bardziej „wszechojcowski" od Wotana, przypominam sobie bowiem: „Jako jeden z waszych, w domu zrodzonych, będzie przychodzień, który jest u was gościem, i miłować go będziesz, jako sam siebie, boście i wy przychodniami byli w ziemi egipskiej" (Lewit. 19, 34); kontekst (ibid. 33) świadczy, iż mowa tu o miłosierdziu względem cudzoziemca.

Parę szczegółów z filozofji neohakackiej przyczyni się do lepszego naświetlenia tych intencyj. A więc, niema ludzkości: „Pojęcie wszechludzkości jest abstrakcją, z którą w praktyce niema co począć. Wszystkie wytwory narodu są z natury swojej uwarunkowane narodowo. Kul-

[1]) Dr. Rudolf, *Nationalsozialismus u. Rasse*, 1931.

tura międzynarodowa jest sprzeczna sama w sobie. Tak kulturę jak i zewnętrzną strukturę narodu wyjaśnia się na podstawie rasy". [1]) Na to można odpowiedzieć, że wiele rzeczy słusznych pomieszano tu z kłamstwem. Że kultury biorą wyraz od ras i narodów, to prawda. Lecz kłamstwem jest, że niema ludzkości jako faktu, z tego prostego powodu, iż niema żadnej wyższej kultury, któraby wzrosła i trwała na uboczu, w izolacji od świata. Ale przedewszystkiem o to idzie, czy ma być ludzkość, czy nie? Neohakata, ma powód, a zobaczymy zaraz jaki, na kwestję tę odpowiadać, przecząco.

Naturalnie i postępu niema. Otto Strasser dowodzi, że życie dziejowe ludzkości nie jest linją, tylko kołem, a skoro tak, to wszystko może i ma prawo wrócić się... I tu znowuż setną rację trzeba mu przyznać w tem, że wszystko jeszcze może się wrócić. [2]) Ale odrazu trzeba zastrzec: Może, ale nie musi. Może, jeśli idea postępu, jako czegoś co powinno być — zostanie wyjęta z pod opieki opinji publicznej. Nie można też, jeśli się ocenia dzieje ludzkie rozsądnie — negować różnych faktów, które wskazują na postęp niezaprzeczony. Ale właśnie trzeba zdać sobie sprawę, że postęp ten nie jest konieczny, tylko jest przez dobrą wolę wymuszony na złej woli; dezorjentacja lub osłabienie dobrej woli mogą każdej chwili sprawić, że osiągnięty już postęp zostanie zlikwidowany.

Przy rozważaniu tem, należy ponadto pod uwagę wziąć i psychikę niemiecką, którą, jak to niejednokrotnie, nawet pomiędzy Niemcami, stwierdzano, cechuje kult faktu: Co jest, ma prawo być! Skoro umysłowość tego typu raz stwierdziła fakt, iż historja nieraz nawraca, to już prawo dziejowych nawrotów, staje się dla niej tem samem czemś co powinno być. [3])

Nie może się oczywiście, w takiej filozofji obyć i bez

---

[1]) Pidder-Lung: *Nationalsozialismus* 1931.

[2]) Niechaj wolno będzie podpisanemu wspomnieć, iż zupełnie niezależnie od tych Niemców, niejednokrotnie w publicystyce swej używał tego motywu.

[3]) Jest to ów przesadny „historycyzm", który, tak słusznie, w jednym ze swych artykułów, zakwestjonował p. B. Suchodolski.

specyficznego „irracjonalizmu": „Najmłodsza generacja odwołuje się do potęg irracjonalnych, które, łamiąc wszelkie prawa racjonalne domają się od nas pięknego, dobrego, heroizmu czynu. Nadzieją naszą swobodna twórczość bojowników natchnionych mitami i władza dzierżona przez heroiczny pesymizm". [1])

„Heroiczny pesymizm": wzniosłe słowo. Ale ten „irracjonalizm, łamiący wszelkie prawa racjonalne" — to wcale nie irracjonalizm w sensie filozoficznym, tylko irracjonalistyczne nadużycie — wymarzona filozofja dla wszelakich dyktatorskich bojówek!

Jeśli ludzie o takiej mentalności zaczną marzyć politycznie, jeśli co najważniejsza, zaczną skupiać przy sobie bardzo znaczną część swego — potężnego i wielkiego narodu, to marzenia takie zasługują na najgłębszą uwagę całego świata, ale przedewszystkiem sąsiadów. Jest ścisły system w tych snach na jawie; sprowadza się on do dwóch podstawowych pytań: Kto należy do niemieckiej ojczyzny? Jaki jest rozmiar niemieckiej ojczyzny?

Goebbels formułuje w imieniu całego ruchu: Kryterjum narodowości stanowi tylko i wyłącznie rasa: „dokonać musimy jaknajdokładniejszego rozdziału pomiędzy Niemcami a nie-niemcami jedynie ze względu na rasę, a nie ze względu na jakąkolwiek udaną narodowość, lub zgoła wyznanie" [2]) Tylko rasa stanowi o uczestnictwie w „niemieckiej wspólnocie dziejowej" *(deutsche Schicksalsgemeinschaft)*.

Ale zarazem w tym systemie przynależność narodowa jest jedynym warunkiem przynależności państwowej; powszechnie obowiązującą jest formułka O. Strassera: „Obywatelem może być tylko członek narodu" (*Volksgenosse*, t. j. Niemiec rodowity).

Tenże Strasser formułuje w swych „14 tezach Czarnego Frontu": „Wielkoniemieckie państwo obejmie wszystkich Niemców środkowo-europejskich" *(wird alle mitteleuro-*

[1]) Dr. H. Heller: *Europa u. Faschismus*. 1929.

[2]) „Reinliche Scheidung zwischen Deutschen u. Nichtdeutschen allein nach den Rücksichten der Rasse u. nicht einer vorgetäuschter Nazionalität oder gar Konfession" (Hovorka. II 460).

päischen Deutschen umfassen); podkreślam, że w tem zdaniu idzie nie o ziemię, tylko o populacje. Te idee są powszechną własnością całego szerszego kręgu neohakaty; cały szeroki front grzmi hasłem: *Randstaaten zerstören!* („rozbić państwa pograniczne"). I nawet jeden z nielicznych katolickich duchownych hitlerowców, ks. dr. Stark formułuje: „Jak długo istnieje Polska, tak długo zagrażać będzie Niemcom". [1]) Oczywiście ta pozornie tylko defensywna postawa nie jest szczerą. Idzie przecież o wchłonięcie naszych szerokich ziem na wschodzie, dla niemieckiej kolonizacji rolnej, co jest jak wiadomo, fundamentalnym punktem programu Hitlera.

Spróbujmy wkońcu wszystkie te intencje uporządkować systematycznie; oto ich logika:

1) gdziekolwiek jest jeden Niemiec, tam jest niemiecka ojczyzna;

2) zdobyć nowe kraje dla niemieckiej kolonizacji;

3) gdziekolwiek zaś Niemiec stąpnie, tam, automatycznie, staje się niemiecka ojczyzna; — (tak może iść dalej, prawem lawiny);

4) gdziekolwiek stanie się niemiecka ojczyzna, tam zaczyna działać niemieckie prawo;

5) według niemieckiego prawa tylko rodowity Niemiec może być obywatelem niemieckiej ojczyzny;

6) przeto wszyscy podbici tubylcy automatycznie tracą prawo obywatelstwa, tracą je wraz ze swemi pokoleniami;

7) niemieckie prawo czuwa nad tem, ażeby niemiecka krew najezdnicza nie „kalała się" mieszaniną z krwią tubylców; zapanowałby system kast;

8) niemieckie prawo głosi, iż niema środków któreby odrzucenia były godne, jeśli idzie o interes państwa i rasy;

9) tubylcy zostaną masowo wywłaszczeni, bez odpłaty, przedewszystkiem z ziemi, ale w razie potrzeby z wszelakiej innej własności; naturalnie możliwe są, jak w średniowieczu, masowe przesiedlania, wysiedlania i t. p. — („nowa rzeczowość" zapoczątkowana przez Wilhelmów, Bismarków, Bülo-

[1]) *Nationale Erziehung*, 1931.

wów, stosowana później podczas wojny, toczy się naprzód ciężarem konsekwencji);

10) skoro dozwolonem jest przymusowe regulowanie przyrostu rasy pańskiej, to tem bardziej dopuszczalnem to musi być, wedle niemieckiego prawa, wobec podbitych; — nowa rzeczowość nie cofnęłaby się przed sposobami spartańskiemi;

11) ludzie raz „niższych", tubylcy, odstawieni byliby od jakichkolwiek zawodów lukratywnych, umysłowych, kierowniczych; — (nastąpiłaby ostateczna proletaryzacja narodów zwyciężonych, całe pokolenia szłyby na motłoch, mężczyźni na ostatnich służalców, kobiety na dziewki);

12) filozofja „wiecznych nawrotów" nauczana oficjalnie, pokazująca barbarzyńskie formy społeczne jako wzór do naśladowania, wyzwalałaby sumienia z resztek skrupułów wobec nowej rzeczowości;

13) chrystjanizm w tych warunkach, okazałby się „czynnikiem destruktywnym", niepokojąc sumienia; jako taki, byłby w jakiejkolwiek postaci kultu czy etyki, tępiony równie bezlitośnie jak w Bolszewji.

Taka jest niechybna logika swastyki.

W porównaniu z temi stosunkami — nawet w ich fazie niedokończonej! — w narodach, któreby zostały przez Niemców zwyciężone, w tem potwornem poniżeniu rasowem, marzeniem stałby się komunizm, w którym niema rasowego ucisku. Tak więc swastyka i czerwona gwiazda w równej mierze pracują nad katastrofą cywilizacji i zgubą Krzyża.

Jeśliby ktoś w powątpiewanie podawał możliwość zrealizowania się tej logiki, na wypadek, gdyby się Niemcom udało urzeczywistnić swe sny o „Trzeciem Państwie" (*Driftes Reich*), w określonych granicach, — to ten, albo pojęcia nie ma o wnioskowaniu, albo omotaną ma głowę w przesąd o „konieczności" postępu, albo nie ma krzty wyobraźni historycznej. Jak się zaczną wszelkie formy w cywilizacji obowiązujące załamywać, jak jest siła, sposobna proces ten prowadzić śmiało naprzód, to wszystko i zawsze może się powtórzyć.

Hitler doszedł do władzy. Nie jest to jednak decydującem, bo władzę tę może utracić. Bardziej niepokojącem

to jest, że psychika hitleryzmu ogarnia większość Niemców. Dopóki Niemcy są w swoich granicach, może się ona objawiać tylko intencjami; w razie przelania się rasy niemieckiej poprzez bulwary państw sąsiedzkich, psychika ta wykazałaby się w działaniu; byłoby to nietylko katastrofą polityczno-państwową ale rewolucją ustrojowo-cywilizacyjną. Wspomnijmy zaś, że jest logika rewolucji, która jest logiką szału. W atmosferze krwawego zwycięstwa, kierunki stosunkowo umiarkowane bywają luzowane przez coraz skrajniejsze, póki się nie dojdzie aż do dna terroru, aż do wyczerpania się namiętności. Ale skutki takich terrorów mogą skostnieć i trwać wieki.

Zdawszy sobie sprawę z grozy cywilizacyjnej i dziejowej ziejącej od prądów neohakackich, należałoby wysnuć stąd wnioski dla nas: Kto zaniedbuje lub osłabia naszą obronę przed Niemcami, ten bierze najstraszliwszą odpowiedzialność za prosty ludzki los naszych pokoleń! Niema też myśli haniebniejszej nad tą, że w naszem ewentualnem starciu się z Niemcami moglibyśmy nie wydobyć ze siebie najwyższej sumy męstwa i sprawności. Kto tego nie pojmie, ten odpaść musi od naszego organizmu narodowego, jak śmiertelny bakcyl. Naszem kryterjum uczestnictwa narodowego musi być duchowe i praktyczne uczestnictwo w obronie narodowej.

W naszej tutaj pozycji pomiędzy bolszewizmem a gotującym się do skoku neohakatyzmem niemieckim, dźwigamy na sobie los kultury chrześcijańskiej i humanitarnej. Wojsko polskie broni tutaj ludzkiego bytu nietylko naszych polskich pokoleń, lecz i innych narodów w tej części Europy. Dlatego mamy bezwzględnie objektywne prawo nie roztkliwiać się nad uczestnikami złośliwych i złowrogich poczynań przeciwko bezpieczeństwu naszemu knowanych. Trudno też wyobrazić sobie, aby raz wreszcie w naszej słowiańskiej mniejszości narodowej nie pomnożyły się żywioły rozważne, dalej widzące, zdolne do opanowania moralnego własnego społeczeństwa, i zwracające się do nas z warunkami ugody, na podstawie tego wstępnego kardynalnego uznania, iż Polska jest potrzebną, nietylko dla nas, lecz i dla nich. Win-

niśmy to samo przeświadczenie podtrzymać i rozwijać u innych narodów słowiańskich. Obowiązkiem i prawem Polski jest stać się osią nowego systemu politycznego tej części Europy.

W stosunku do spraw europejskich naszą jest rzeczą podtrzymywać ideologję Wielkiej Wojny, jako ideologję nietylko polityczną, lecz i cywilizacyjno-ustrojową (obrony kultury zachodniej i demokratycznej), tak znienawidzoną z jednej strony przez kierunki w Europie dyktatorskie, z drugiej przez Rollandów, Margueritów, Blumów, Barbusse'ów, przez cały ten libertyńsko-bolszewizancki pseudo-pacyfizm i pseudo-humanitaryzm, nikczemnie płaski i głupi, bo nikczemnie krótkowidzący, święcący istne orgje defetyzmu!

Radykalny nacjonalizm niemiecki dobrze zdaje sobie z tego sprawę, że oni są osią obozu antydemokratycznego w Europie. „Dyktatury współczesne wywodzą się z ducha germańskiego; najsilniej dowodzi tego dyktatura włoska. Odrodzenie germanizmu w Europie, oznacza dla Niemiec obowiązek objąć kierownictwo innych po faszystowsku rządzonych krajów, i samemu system faszystowski wydoskonalić jako prawdziwy socjalizm państwowy... My, Niemcy mamy wielki obowiązek do spełnienia, a mianowicie założyć państwo światowe... Jesteśmy najświeższym i najmłodszym narodem Europy i mamy obowiązek założyć [przynajmniej] państwo europejskie". [1]) Ideały moralno-polityczne przyświecające marzeniom o tem państwie znamy: taki jest ostateczny dosiąg kierunków politycznych podkopujących cywilizację, której jednym z elementów jest właśnie ustrój demokratyczny. Wobec tego, wobec alternatywy wyboru pomiędzy dwoma światami, demokratycznym i antydemokratycznym, niema wątpliwości co do roztropnej odpowiedzi na pytanie: Który to świat, z pomiędzy tych dwóch, jest nam potrzebny, a my jemu? Dolegliwości demokracji są dla nas mniej niebezpieczne, niż ewentualne katastrofalne załamanie się demokracji w Europie. Tem powinniśmy się kierować w ocenie ustroju „demoliberalnego".

Naturalnie, nikomu nie może zależeć na dogmatycznem

[1]) Holleben: *Kleineuropa*, 1929.

trzymaniu się jego, wraz z całą jego patologją. Przecież nowe myśli ustrojowe, myśli o ładzie gospodarczym i sprawiedliwości społecznej, wymagają Rządu. Powszechnie uznawane są niedomagania parlamentaryzmu, wreszcie powszechnie uznaną jest potrzeba, t. zw. „silnej ręki", zwłaszcza w państwie takiem jak Polska, która jest twierdzą. Ale idzie nie o zniszczenie, lecz o naprawę demokracji. Właśnie w obozie demokratycznym musi się rozwinąć rzeczowa i pozytywna samokrytyka. Zaś naprawa demokracji nie dojdzie do skutku przez doprowadzenie jej do ostatecznej deprawacji i zohydzenia, lecz przez podniesienie się poziomu moralności politycznej. Raz wreszcie powinien zostać zdemaskowany frazes o zasadniczem przeciwieństwie pomiędzy współczesnym „elityzmem" — czyli zasadami fachowego kierownictwa oraz przodownictwa kulturalnego warstwy oświeconej — a demokracją. Właśnie demokracja — jak słusznie raz zauważył wybitny publicysta [1]) — jest osłoną dla inteligencji przed starciem jej przez warstwy niższe i właśnie ideologje antydemokratyczne umieją odwoływać się do brutalnych instynktów, wystąpień, pierwotnej obyczajowości mobu.

W kwestji ustroju „demoliberalnego" najważniejszą jest zresztą nie sama formalna jego strona, lecz treść, a tą jest fakt, iż w przekonaniu powszechnem ten właśnie ustrój stosunkowo najwięcej gwarantuje bezpieczeństwa jednostce. Gdy jednak stwierdzamy, iż zarazem nie daje on ludności należytego bezpieczeństwa gospodarczego — to sprawa sprowadza się właściwie do kwestji ustroju humanitarnego, i można snadnie powiedzieć, że ludzie tem łatwiej zrzekną się demokracji (rozumiejąc przez nią współczesny parlamentaryzm), im lepiej będzie zagwarantowany przez inne instytucje i opinję publiczną humanitaryzm — a przezeń rozumiemy dbałość o bezpieczeństwo, godność, swobodę człowieka.

Ale skomplikowane *viae mediae*, szlaki pomiarkowania, są trudne, niezmiernie trudniejsze, niźli barbarzyńska prostota radykalnych z prawa i z lewa rozwiązań, uosobionych w bolszewizmie, tak komunistycznym jak i neohakackim.

---

[1]) J. Matyasik.

Wogóle, jest jedna, naczelna, najtrudniejsza kwestja, od której zależy wszystko: Cywilizacja nasza wytworzyła pewien arystokratyczny, „delikatniejszy", psychicznie skomplikowany, ideał człowieka; a także wielkie skomplikowanie życia społecznego w cywilizacji wymaga znacznie subtelniejszej umysłowości, niżli umysłowość z jednej strony przewrotowców socjalnych, z drugiej dotychczasowych „demoliberalnych" i kapitalistycznych prowodyrów. Ale typy skomplikowane i delikatniejsze uchodzą za mniej tęgie. A więc cała rzecz w tem: Jak pogodzić komplikację z siłą, jak uzbroić kulturę humanitarną, nie obniżając jej i nie brutalizując, jak wychować człowieka subtelnego w mocnej okrywie, jaką dać mu twarz — a rozumiem to w sensie literalnym —, jakim sposobem w inteligencką „analitykę" tchnąć zdolność czynu, a energję czynu uszlachetnić prudencją? Jakie więc podać wychowaniu narodowemu hasło? W przekonaniu niżej podpisanego typ życia i człowieka o który idzie, jest zupełnie realny i możliwy, a streszcza się w słowach: władztwo, władca. Twarz władcza, mężna a roztropna, to byłaby nowa twarz, wzorowa, piękna. Wychowanie do tej twarzy i postawy będzie wychowaniem trudnem, wychowaniem zarówno uczuć, jak woli i myśli.

Ale to już inne rzeczy; dość, że uświadomiwszy sobie zgubne dla nas tendencje wstrząsające potężnym i wielkim narodem sąsiedzkim, wspomniawszy systematycznie podniecany rozpęd nowego, ale niebywale brutalnego a śmiertelnie nudnego, życia za naszym wschodnim kordonem, musimy my z naszej strony, wyrabiać własną i konkretnie obmyślaną postawę cywilizacyjną, któraby nas i w dziedzinie myśli uczyniła samodzielnymi współtwórcami życia odrodzonego, na którem nam zależeć musi więcej niż komukolwiek.

Wolno tuszyć sobie, że przy takiej postawie ducha i takiem wychowaniu ogółu — Polak poczuje siebie, nietylko za los polskich pokoleń odpowiedzialnym aż do samego dna czuć swoich, lecz także uniwersalnie ważnym: bo potrzebnym światu i Bogu; ponadto w wyrazie twarzy swojej obaczy się głęboko odmiennym od swoich nieprzyjaciół; a to wszystko może tylko, w razie potrzeby, przy-

dawać energji bojowej, może tchnąć nadzieją sprostania temu piekielnemu okolisku naporów. Na tej przestronnej równinie żyć, z taką w sercu myślą tragiczną, żyć pod niebem polskiem, tak wysokiem i rostworzystem, tak surowem i chmurnem — to znaczy żyć życiem jedynem, straszliwie wzniosłem.

Karol Ludwik Koniński.

Pierwsza podróż dookoła świata.

Dnia 20 września 1519 roku mała flotylla pięciu statków opuszczała południowo hiszpański port Sanlucar. Flotyllę stanowiło nast. pięć żaglowców: St. Antonio 120 ton dowodzony przez Juana de Cartagena, Conception 90 ton pod Gasparem de Quesada, Victoria 85 ton pod Luis de Mendoza, Santiago 75 ton pod Joao Serrao, wreszcie Trinidat 110 ton okręt komandorski flotylli pod Fernando Magellanem. Razem załoga statków liczyła 275 ludzi i była zaopatrzona na dwuletnią podróż. Duszą i inicjatorem wyprawy był młody, lecz już doświadczony portugalski żeglarz Magellan, protektorem król hiszpański Karol V, celem odkrycie nowych lądów i dróg morskich, przedewszystkiem przejścia bliższego do Indji Wschodnich. Koniec piętnastego i początek szesnastego wieku był okresem wielkich morskich odkryć Diaza, Kolumba i Vasco de Gama. Wyprawa Magellana miała cele podobne, była ona jednakże największa i ukoronowała poprzednie podróże, opłynęła wokoło Amerykę Południową, odkryła koło Ziemi Ognistej cieśninę swego imienia, przepłynęła Ocean Spokojny, przemknęła się pomiędzy Azją i Australją na ocean Indyjski, okrążyła Afrykę koło przylądka Dobrej Nadziei i znalazłszy się na jej atlantyckim brzegu znowu powróciła do Hiszpanji. W ten sposób dokonano pierwszej podróży dookoła świata. Niestety samemu Magellanowi nie było dane powrócić z tej podróży, zginął on w bitwie z dzikimi na Filipinach.

Historję wyprawy Magellana znamy dokładniej niż inne dzięki okoliczności, że uczestniczył w niej niejaki Pigafetta, ciekawy i naiwny wesołek, trochę podszyty tchórzem, który samorzutnie odegrał rolę kronikarza ekspedycji prowadząc sumienny i dokładny dziennik o wszelkich wydarzeniach. „Wybrałem się

na tę wyprawę, pisze o sobie, gdyż dowiedziałem się z książek i słyszałem od wielu starszych ludzi o wielkich i okropnych zdarzeniach na oceanach. Postanowiłem zaryzykować i popłynąć, aby ujrzeć je własnemi oczyma".

Flotylla Magellana osiągnęła w sześć dni wyspy Kanaryjskie gdzie nabrała wody i innych zapasów i popłynęła dalej na południe i południo-zachód. Dwa tygodnie pięknej pogody, trzy spokojnych i pomyślnych wiatrów, potem miesiąc bardzo silnych burz, które groziły ciągle obaleniem masztów. Podróż przedłużała się i trzeba było ograniczać racje żywnościowe; pomiędzy załogą rozpoczęły się spiski i szemrania, które rozdmuchiwał komendant St. Antonio Cartagena, ambitna jednostka i przeciwnik Magellana od pierwszej chwili podróży. Pewnego razu Cartagena zaczął czynić zarzuty Magellanowi i otwarcie krytykować jego zarządzenia. Wówczas Magellan położył rękę na jego ramieniu i oświadczył krótko „aresztuję pana". Cartagena wezwał spiskowców na pomoc, lecz ci nie śmieli przystąpić do otwartego buntu. Komendę St. Antonio objął de Coca.

Wreszcie na początku grudnia ujrzeli żeglarze brzegi południowej Ameryki i płynąc dalej wzdłuż brzegów zawinęli do dzisiejszego portu Rio de Janeiro w zatoce nazwanej przez Magellana Zatoką św. Łucji (13 grudzień). Wymęczona podróżą załoga nabierała tam sił polując i korzystając z południowych owoców i płodów, których chętnie w handlu wymiennym dostarczała dobroduszna miejscowa ludność. Pigafetta opisał, jak za obrazek dostał sześć gęsi. Po świętach Bożego Narodzenia pożeglowała flota dalej na południe, trzymając się przeważnie brzegów, chociaż burze często zapędzały ją głęboko w ocean. Tak dopłynęli do przylądka St. Maria, tam gdzie dzisiaj w zatoce La Plata powstały potężne miasta Buenos Aires i Montevideo. W umyśle Magellana wyłoniło się pytanie, czy ta głęboko w ląd sięgająca zatoka nie będzie drogą poszukiwaną na wschód? Krążył więc długo po zatoce, dopóki nie natknął się na prąd świeżej i słodkiej wody, co go upewniło, że znajduje się u ujścia jakiejś rzeki. W zatoce tej był już przed nim kpt. Juan de Solis, którego, jak opisał Pigafetta, „dzicy tubylcy zwani Kanibalami pożarli wraz z sześcioma ludźmi zaraz po wylądowaniu".

Żeglując dalej na południe odkryli podróżnicy nasi zatokę św. Mateusza i przeszukując ją natknęli się na „dziwne gęsi" jak

nazwali pingwiny i „wilki morskie“ czyli foki. Ponieważ nie mogli wrócić na statek ze względu na burzliwe morze, spędzili noc na skałach, drżąc przed temi stworzeniami, aby ich nie rozszarpały. W tej długiej i uciążliwej żegludze, przeszukując wszystkie zatoki i ujścia rzek, wobec zbliżającej się południowej zimy, znużona, schorowana i tęskniąca do swej słonecznej ojczyzny załoga, czuła się bardzo źle. Nie było końca w tej wędrówce i w poszukiwaniu przejścia, które, być może wcale nie istniało. Zapowiadała się ciężka zima, Magellan ograniczał racje i wówczas rozpoczęła się znowu ostra opozycja. Trzech kapitanów zażądało nawrotu na północ i bezwzględnego powrotu do kraju. Magellan równie ostro sprzeciwił się i tak rozpoczęła się rebelja na czele której stanął kpt. Quesada i która opanowała trzy statki, St. Antonio, Conception i Victoria. Przy Magellanie pozostał jego statek komandorski Trinidat oraz mały Santiago, dwa wierne przeciw trzem zbuntowanym. Nie mogły one ani atakować, ani same kontynuować poszukiwań. Magellan postanowił nie ustąpić i działać energicznie. Wezwał listownie kpt. Mendozę z Victorji do przybycia na pokład Trinidatu. Gdy kpt. Mendoza po przeczytaniu listu odmówił, wysłannik Magellana Espinoza przebił go sztyletem a równocześnie majtkowie Trinidatu opanowali statek, przeciw czemu załoga, przerażona śmiercią dowódcy, nie stawiała oporu. Teraz trzy wierne Magellanowi statki zablokowały wyjście na morze. Gdy kpt. Quesada na St. Antonio podniósł kotwice i próbował ujść, został ostrzelany i zahaczony przez Trinidat, którego załoga wdarła się na pokład zbuntowanych. Ci, pomimo nawoływań komendanta poddawali się masowo i Quesada został uwięziony. W ten sposób opanowano czwarty statek, piąty i ostatni poddał się niebawem także. Zwołany sąd morski skazał 40 na śmierć, lecz Magellan ułaskawił wszystkich prócz trzech dowódców. Dwóch stracono, jeden został wysadzony na ląd i pozostawiony swojemu losowi. Potem, pomimo wielkich udręk i niebezpieczeństw, wola i autorytet Magellana nigdy już nie były kwestjonowane.

Magellan nigdy nie ryzykował całej flotylli, lecz zawsze wysyłał jeden lub dwa statki na poszukiwania w nieznane strony. Pewnego razu wysłał on kpt. Serrao na Santiago z 37 ludźmi daleko na południe dla przeszukiwania brzegów. Dotarli oni do ujścia wielkiej rzeki, którą nazwali Santa Cruz i krążyli po niej łowiąc ryby, gdy nagły wicher patagoński złamał ster i rzucił

mały statek na skały przybrzeżne. Załoga uratowała się na wybrzeżu ale była daleko od pozostałych statków i oddzielona od nich szeroką rzeką. Rozbity Santiago spłynął do morza. Rozbitkowie po tygodniu sklecili tratwę na której dwóch nieznanych nam z imienia bohaterów przeprawiło się na drugi brzeg St. Cruz i powędrowało szukać innych statków i pomocy. Wędrowali oni jedenaście dni, żywiąc się liśćmi i korzonkami, dopóki nie odszukali Magellana i towarzyszy. Z powodu burzliwego morza obawiano się wysłać na ratunek statek, poszła więc wyprawa piesza złożona z 24 ludzi i dobrze zaopatrzona, która odszukała rozbitków nawpół żywych i doprowadziła zpowrotem na statki. W ten sposób ubył flotylli jeden statek, kapitan Serrao objął dowództwo Conception, wierny Magellanowi Mesquita dowodził teraz St. Antonio, szwagier Magellana Barbosa Victorią.

Po tych przygodach Magellan doprowadził całą flotę do zatoki St. Cruz, gdzie postanowiono przepędzić całą zimę. Tam nawiązano stosunki z krajowcami, zupełnie dzikimi. Magellan nazwał ich ze względu na wysoki wzrost Pata-gones, co oznacza długonodzy, nazwa która dotychczas zachowała się dla tego kraju i jego mieszkańców. Z nadejściem pierwszych podmuchów wiosny, w środku października, Magellan ponownie zaczął wysyłać pojedyncze statki na południe dla badań brzegów i poszukiwania przejścia. Pewnego razu, po wielodniowem błąkaniu się pomiędzy skałami, dostrzeżono „otwór prowadzący do zatoki", który potem, przy dalszem badaniu, okazał się długo poszukiwanem przejściem na drugi ocean.

Było to 21 października w dzień św. Urszuli, Magellan nazwał tę miejscowość przylądkiem 11 tys. dziewic, potomność zaś, odkrytą drogę, cieśniną Magellana. Jeszcze tegoż wieczora, mimo nadchodzących ciemności i wielkiej fali, dwa statki wpłynęły do cieśniny, a dwa pozostałe oczekiwały w zatoce na wieści. Oczekiwanie trwało dłuższy czas, Magellan był skłonny przypuścić, że wysłane statki spotkało nieszczęście, gdy nagle pewnego dnia ujrzano oba wracające pod pełnemi żaglami i radośnie powiewającemi wszystkimi flagami. Powitano je salwami a załoga „cała tańczyła po pokładzie z radości". Kapitanowie wysłanych statków donieśli, że odkryta cieśnina jest bardzo głęboka a prąd w niej tak silny, że bezwątpienia musi istnieć odpływ, czyli droga jest otwarta. Po naradzie postanowiono, aby cała flota wpłynęła do

kanału. Jedynie pilot z St. Antonio Gomez sprzeciwiał się energicznie, powołując się na brak żywności; żądał on powrotu do Hiszpanji i ponownego przybycia ze świeżą i silniejszą flotą w celu dalszych poszukiwań w nieznanym świecie. Magellan załatwił sprawę krótko: „popłyniemy dalej choćbyśmy mieli jeść rzemienie z olinowania", zagroziwszy karą śmierci za wszelki sprzeciw.

Kanał badany rozszerzył się dalej znacznie i wykazywał różne rozgałęzienia, które trzeba było badać. Statki podzieliły się znowu dla dalszych poszukiwań, głównym kanałem popłynęły Trinidat i Victoria, jedną z głębokich zatok badały Conception i St. Antonio. Kiedy po czterech dniach statki miały się spotkać, brakowało St. Antonio, którego towarzysząca mu Conception straciła z oczu. Zarządzono poszukiwania zagubionego statku, lecz bez wyników, St. Antonio zginął bez wieści, lub zdezerterował. Była to bardzo dotkliwa strata wielkiego żaglowca, który wiózł największą część zapasów, flotylla zmniejszyła się do trzech jednostek. Magellan zostawił objaśniające napisy na skałach i popłynął dalej. Dnia 28 listopada 1520 roku po raz pierwszy w historji trzy statki wpłynęły ze wschodu na nowy ocean.

Flota trzymała się długo brzegów dla nabrania żywności i wypoczynku, potem pożeglowała na północny zachód. Pełne dwa miesiące żeglowano nie widząc śladów lądu, ale ocean tak był cichy w porównaniu z burzliwym południowym Atlantykiem, że Magellan nazwał go „Pacific", Spokojny. Dnia 24 stycznia 1521 r. statki przepłynęły około niezamieszkałej wyspy, którą nazwano wyspą św. Pawła; dzisiejsza jej nazwa nie jest piękna, Pucapuca, albo Psia wyspa z grupy Tuamotu. W jedenaście dni później mijano wyspę bez ludności, wody i roślinności. Stan załogi stawał się coraz gorszy, Pigafetta pisze „nasze suchary przedstawiały proszek pełen robaków, a woda którą piliśmy cuchnęła tak, że pijąc zatykaliśmy nosy". Przepowiednia Magellana o rzemieniach z olinowania sprawdziła się całkowicie, gotowano na nich zupę, załoga żuła trociny, a za upolowanego szczura okrętowego płacono talara. Daremnie żeglarze wytężali wzrok wpatrując się w pustkę oceanu, lądu nie było. Dzisiaj wydaje się nam to dziwne, bo Magellan mijał po drodze wyspy, na których mógł się zaopatrzyć w żywność i wodę, niestety nie dostrzegł żadnej. Dopiero po 98 dniach głodowej żeglugi ukazały się liczne wyspy, a przy wyspie Guam zarzuciła kotwice udręczona załoga.

Żwawi tubylcy otoczyli statki, weszli na pokłady, drapali się jak małpy po masztach i kradli wszystko co nie było umocowane. Rozgniewany Magellan kazał oczyścić pokłady z tubylców co nie obeszło się bez użycia broni i zabicia kilku. Ten archipelag został nazwany przez Magellana „Ladrones" co oznacza złodziejski, nazwa czasem dzisiaj jeszcze używana dla archipelagu Marianas. Nazajutrz wylądował Magellan na czele 15 ludzi, zaopatrzył się w żywność i wodę, poczem popłynął dalej.

Po siedmiu dniach żeglugi wyprawa przybyła na Filipiny i zatrzymała się najpierw koło Saluanu. Krajowcy byli tutaj bardzo nieufni i ostrożni, zbliżyli się do statków dopiero na trzeci dzień. Nastąpiło małe zbliżenie i wymiana podarków. Potem pożeglował Magellan do Limasawy. Tubylcy byli również i tutaj nieufni i nie zbliżali się do statków, Magellan umieścił podarki na desce i skierował ją ku pirogom dzikich. Po kilku dniach nastąpiło pewne porozumienie i po wielu ceremonjach miejscowy król przybył na brzeg i został przez żeglarzy obficie obdarowany. Ostatecznie przyjaźń została zawarta. Król i Magellan kosztowali wzajemnie własnej krwi, nastąpiły igrzyska wojenne a król był oczarowany bronią białych przybyszów. Dwóch oficerów wysiadło na ląd, jako goście królewscy, jednym z nich był Pigafetta, który dokładnie opisał w swoim dzienniku co jadł i pił na królewskiej uczcie, dopóki „towarzysz mój, który zadużo wypił, nie usnął".

Wkrótce nastąpiły święta Wielkanocne, które cała załoga obchodziła uroczyście, a królowie Limasawy i Saluanu uczestniczyli w nabożeństwie zachowując się z godnością, poczem obiecali umieścić krzyż na najwyższem wzgórzu wyspy. Stosunki układały się jak najlepiej, cała załoga była dumna z poczynionych odkryć i cieszyła się z widoków korzystnego handlu z krajowcami. Gdy Magellan zażądał pilota do dalszych wysp, król Limasawy ofiarował się płynąć do Cebu, centrum życia handlowego Filipin. Tutaj stosunki z królem ułożyły się również dobrze. W tym czasie Magellan, dzięki swej żelaznej wytrwałości, osiągnął szczyt triumfów, gdy po zawarciu przyjaźni i umowy wiecznego pokoju w imieniu króla Hiszpanji z królem Cebu, ten wyraził życzenie przyjęcia chrześcijaństwa. Niebawem nastąpiły uroczyste chrzciny, krzyż ustawiono w pośrodku miasta. Hiszpanie zbudowali w rynku sklep i rozpoczęli handel z krajowcami, sprzedając wyroby z bronzu i żelaza, ubrania, paciorki i lusterka, szczotki, grzebienie i t. p.

specjalnie w tym celu przywiezione towary. Tubylcy dawali złoto, w ilościach, że każdy marynarz gotów był sprzedać wszystko, co posiadał. Od rana do nocy miasteczko było pełne handlu a po przyjęciu chrześcijaństwa przez króla i królową, ochrzciło się tysiące krajowców.

Magellan po odniesieniu tylu sukcesów i po zawarciu przymierza z królem Cebu i jego ludnością, postanowił rozszerzyć protektorat hiszpański również i na pozostałe wyspy archipelagu. Namowami i groźbami osiągnął uległość prawie wszędzie. Z pierwszym oporem spotkał się na wyspie Mactan i wysłał tam ekspedycję karną, która spaliła jedno miasteczko i na jego popiołach zatknęła krzyż. Nie przestraszyło to jednak opornych. Przez przysłanie obraźliwego podarku wywołali gniew Magellana, który postanowił sam ukarać śmiałków. Daremnie król Cebu i kpt. Serrao odradzali, Magellan popłynął w trzy łodzie z uzbrojonymi marynarzami na wyspę Mactan dla ukarania zuchwalców. Król Cebu towarzyszył mu z 30 łodziami krajowych wojowników i ofiarował się rozpocząć atak i lądowanie swemi ludźmi, jako lepiej znającymi miejscowe warunki. Ale Magellan nie chciał o tem słyszeć, rozkazał krajowcom pozostać na pełnem morzu i zdaleka przyglądać się, jak walczą Hiszpanie.

Do wylądowania należało przebyć w bród wąski pas przybrzeżnej, płytkiej wody pełnej raf koralowych. W tej wodzie, jak podają niektórzy 1500, inni 6000 krajowców zaatakowało 49 Europejczyków włóczniami, oszczepami, strzałami i kamieniami. Magellan kazał dawać ognia, wszedł na ląd, podpalił wieś, ale dzicy nie ustępowali, lecz wpadli w jeszcze większą wściekłość. Nie mogąc dosięgnąć białych chronionych przez pancerze i hełmy razili ich po odkrytych nogach. Po parugodzinnej walce Magellan ranny w nogę nakazał odwrót, który niebawem zamienił się w ucieczkę. Otoczony przez 6—8 ludzi cofał się wódz przed atakującą tłuszczą ku swym czółnom. Ponownie ranny w głowę i ręce, po otrzymaniu ciosu dzidą padł i otoczony przez dzikich został jeszcze wielokrotnie przeszyty włóczniami.

Ciała jego nawet nie odnaleźli zasmuceni towarzysze. Dzisiaj pomnik zdobi miejsce, gdzie przypuszczalnie padł Magellan.

Po śmierci wodza ustanowiono podwójną komendę Barbosy i J. Serrao, ale tylko na krótko. Niebawem bowiem król Cebu zdradził białych i po wywabieniu na ląd urządził masakrę w któ-

rej obaj zginęli. Po tej rzezi już tylko 115 ludzi liczyła załoga. Conception był nie do użycia i został porzucony a dwa statki pozostałe pod dowództwem Corvalho opuściły wyspy, które widziały największy triumf i tragedję wyprawy.

Po okrążeniu wyspy Borneo w listopadzie 1521 roku zarzucono kotwicę przy wyspie Tidora w Moluccach. Teraz wyprawa osiągnęła cel, który wytknął sobie Kolumb i Vasco da Gama, znalazła nową drogę do Indji Wschodnich. Biali byli już tam dobrze znani, król Tidory przyjął żeglarzy gościnnie, obdarzył bogato i handel wymienny zakwitł na nowo. W połowie grudnia oba statki, dobrze załadowane miały wyruszać, gdy okazało się, że stary Trinidat jest uszkodzony i pomimo nsjwiększych wysiłków żeglarzy i pomocy tubylców, nie może być naprawiony. I tak jedyna Victoria popłynęła w dalszą powrotną drogę, przez ocean Indyjski, wokoło Afryki i przylądka Dobrej Nadziei, pod wodzą kapitana del Cano, ongiś wroga i buntownika przeciw Magellanowi, dziś komendanta ostatniego okrętu flotylli i 47 marynarzy, jacy pozostali z pierwotnych 275. Niszczona przez burze i czas nieliczna załoga małej Victorji walczyła z oceanem, przeciwnemi wiatrami, głodem i chorobami. Pigafetta pisze: „ludzie umierali nam jak muchy, gdy chowaliśmy chrześcijanina zawsze padał w morze twarzą do góry, indjanin ku dołowi".

Del Cano unikał spotkania z Portugalczykami, a gdy konieczność zmusiła go zarzucić kotwicę przy wyspach Zielonego Przylądka, najsurowiej zakazał załodze mówienia skąd wracają. Gdy jednak marynarze zaczęli sprzedawać przywiezione towary, Portugalczycy odgadli, aresztowali tych co byli na brzegu i postanowili zdobyć i obrabować Victorię. Del Cano jednakże spostrzegł się i szybko podniósłszy kotwicę uszedł przed napaścią. Na pokładzie pozostało już tylko 18 Europejczyków i 4 Indjan.

Na końcu drogi powrotnej dostrzegła załoga dziwne zjawisko. Na wyspach Zielonego Przylądka kalendarz wskazywał 10 lipca a kalendarz okrętowy 9 lipca. Najwięcej dziwił się Pigafetta, który przecież skrzętnie prowadził codzienną kronikę i żadnego dnia opuścił. On też po powrocie do Hiszpanji zanotował w swym dzienniku: „Zwrócono mi uwagę, że nie zrobiłem omyłki, ale skoro żeglowaliśmy stale na zachód dążąc wraz ze słońcem musieliśmy wygrać jeden dzień".

Dnia 8 września 1522 roku szkielet Victorji dobijał do

portu Sewilli. Pierwszy statek, który opłynął dookoła ziemię! Brakowało równe 12 dni do pełnych trzech lat, gdy dumna flotylla pięciu żaglowców odpłynęła od brzegów Hiszpanji. Żegnał ich król wówczas i tłumy ludności. W dzień powrotu garstka bosych obszarpańców poszła do kościoła dziękować Bogu za powrót na ziemię ojczystą, przez nikogo nie witana i nie poznana. W międzyczasie zmarła żona Magellana, zmarło ich dziecko, zginął daleko on sam. Pozostało tylko nieśmiertelne jego imię.

S. M.

Franciszek Ksawery Szalda.

Esseista czeski i krytyk F. K. Szalda (ur. 22 grudnia 1867 r.) budzi do siebie duże zainteresowanie nietylko czeskiego, lecz i polskiego czytelnika. Zakres jego twórczości jest bardzo rozległy, jego idee w dosłownem znaczeniu tego słowa nadały treść współczesnej literaturze czeskiej; był on nietylko krytykiem, lecz i filozofem. Jako myśliciel-filozof Szalda urósł ponad granice swojego kraju: na czeskim Parnasie krytyki jest on jedyny; wszyscy inni krytycy czescy są albo jego naśladowcami, albo zniekształceniem, jak małpa jest zniekształceniem człowieka. Szalda w ciągu wielu lat dostarczał każdemu puhar kultury — pił z niego każdy spragniony, przeto obecnie każde pismo codzienne ma własnego małego Szaldę *pour les pauvres,* uproszczonego i pozbawionego rzeczy najgłówniejszej: temperamentu oraz talentu. Tu się zawiera przekleństwo: Szaldzie nie wypadło w udziale spotkać równego sobie ducha, żaden z jego uczni nie przerósł swego nauczyciela, samotny zaś mistrz krytyki czeskiej nie ma komu przekazać swojej pochodni: epigoni poprzestają na poszczególnych iskierkach albo łuczywie.

Ciekawe jest u Szaldy jego credo krytyczne i kulturalne: on zawsze jest gotów przekształcić swe życie w eksperyment, w poszukiwanie nowego, mocnego, prawdziwie głębokiego piękna. Szalda nie czyni różnicy między beletrystyką a poezją. Jego zdaniem, tam, gdzie się kończy poezja, brak iście wartościowej prozy. On nie stosuje ogólnie używanych metod rzemiosła krytycyzmu: nie wnika do prywatnego życia poety, nie mierzy i nie waży jego epitetów, nie docieka jego „ideologji", często niewartej skorupy zjedzonego jajka. Szalda intuicyjnie zgłębia główną istotę twórczości tego lub owego pisarza, jednoczy się z nim, wibruje

i tętni wraz z wibracją i tętnem jego rytmu, temperamentu i charakteru. Jego krytyka — to pewne jednoczenie się dusz. Potem, po chwili jedności, następuje chwila odosobnienia: Szalda z czytelnika znowu staje się krytykiem i sądzi. Faktycznie on sądzi samego siebie, bo w chwili jedności i zespolenia on tworzył z autorem jedną zupełną całość, więc jego krytyka jest zarazem krytyką własnej przeszłości. Zdaniem Szaldy krytyk walczy o szczerość artystycznego i twórczego życia, przeto brzydzi się fałszem, nieprawdą, powtarzaniem cudzych myśli, zapożyczaniem, epigonizmem. Krytyk przedewszystkiem ocenia życie wszystkich zmysłów autora, jego wzrok, dotyk, słuch, jego umiejętność tworzenia plastycznych żywych obrazów, rytmiczny strumień jego prozy, prawo organizacji wewnętrznej jego utworów. Innemi słowy Szalda szuka w książkach prawdziwego życia, nie zaś tylko jego odbicia w mętnem zwierciadle farbą drukarską zadrukowanego papieru. Krytyk i autor — obaj gwałciciele swojego snu: autor przekształca życie na swój sposób, narzuca potężny obraz przedmiotów tak, jak je widzi, dużo wykreśla, dużo paczy lub przeocza. Krytyk przekształca księgę — widzenie autora — na swój sposób. W ten sposób dzięki ich wysiłkom powstają dwie wizje, dwojakie zrozumienie rzeczy, dwa oświetlenia tejże prawdy.

„Do krytyki — powiada Szalda — ma prawo tylko ten człowiek, który się urodził poto, by wielbić i cenić, a w tych uczuciach doznał zawodu". Więc podług niego, krytyka jest tragedją wewnętrzną. W takiem pojęciu tkwi błąd ukryty: krytyka oczywiście, wynika z bólu, powstającego na widok rozbieżności ideału z empirją. Nasze pojęcia ideału są wciąż zupełniejsze, lepsze i bardziej wyraźne, niźli ich ziemska realizacja. Lecz to nie znaczy, że krytyka ma być córą smutku. W swym planie najwyższym krytyka winna się łączyć z apologją. Krytyka to tylko brak apologji, jej nieobecność i spaczenie. Lub raczej jest to odwrotna strona apologji — obrona prawdy. Przeto krytyka może i powinna nieznacznie stawać się glosatorstwem, komentatorstwem, kazaniem, słowem teologją. Teologja jest matką i ostatecznym owocem krytyki. Więc i sama krytyka co do swej istoty wewnętrznej nie może być tragiczną. U Szaldy zaś jest ona tragedją. Świadczy to, że jego pogląd religijny ma w sobie wadę — nie jest on katolickim, więc nie doznaje radości, a czuje samą tęsknotę i udręczenie ducha. Jest to tragedja nie krytyki, lecz samego Szaldy.

Sam on przyznaje: „Nie miałem w życiu większego pragnienia, jak tylko siedzieć u stóp mistrza, godnego tej nazwy, nie moja zaś wina, żem tego nie znalazł". Że mu nie wypadło znaleźć ostateczną, zupełną prawdę chrześcijańską, było naprawdę winą nie jego, lecz specyficznych warunków czeskich. Czechy, ten kraj katolicki o protestanckich zasadach religijnych, nie miały dotąd wielkiego ducha katolickiego. Katoliccy pisarze Deml i Durych są młodsi od Szaldy, nie on się uczył od nich, lecz oni od niego. Szalda — to genjalne „dziecko bez opieki", które samo się wychowało; nie dziw, że jego kultura duchowa ma białe plamy: on nawskroś uduchowiony, choć to jeszcze nie jest katolicyzmem. Szalda — *anima naturaliter christiana*. On poczuwa się do odpowiedzialności i czeka sądu: w przedmowie do księgi *Walki o jutro* pisze: „Tę książkę... dla jutra, lub raczej dla tego kogoś, kto po nas idzie, czyj przyciszony krok słyszę często, gdy się wsłuchuję w mrok poza sobą. Ta książka jest dramatem metafizycznej nadziei, jej zaś bohaterem — młodość, młodość uczciwa, bohaterska, czysta... Wiem, że ona nie przyjdzie poto, by do nas się przyłączyć, lecz poto, by nas sądzić... Ona przekroczy przez nas, przeze mnie, lecz tylko poto, by iść dalej, niż ja, wyżej ode mnie, lecz w moim kierunku: w kierunku mojej tęsknoty, mego intelektu, mej intuicji..."

Szalda przyznaje, że on jest tylko zwiastunem, tylko prorokiem starozakonnym, nowy zaś mesjasz przewyższy jego starą głowę, Szalda jednakże wychwala jego spodziewane przyjście. Szalda przypuszczał, że pokolenie powojenne pisarzy czeskich będzie właśnie tym mesjaszem: na tej nadziei, jak zresztą na wielu innych, wypadło mu się zawieść. Ci „poeci rewolucyjni", których rewolucyjność prysłaby przy pierwszej próbie oceny ich z punktu widzenia prawowiernej marksowskiej krytyki literackiej, nie mogli oczywiście spełnić nadziei Szaldy. Dostarczyli oni dużo utworów wierszem i prozą, pod względem formy stali dość wysoko, lecz grzebali się w tanim erotyzmie i kąpali się w wannie obcych nabranych i źle przywłaszczonych myśli. Nie wnieśli nic nowego, własnego, prawdziwie głębokiego. Nie do nich należy sądzić Szaldę — wszak nie zdołali od niego wszystkiego się nauczyć.

Szalda wciąż zwalczał tak zwaną w Czechach „sztukę narodową": płytkość tematów, żarty karczemne, tani humor, patrjotyzm dzwonnicy miejscowej, słowem to wszystko, co dotąd wciąż

jeszcze przeszkadza literaturze czeskiej stać się naprawdę ciekawą dla ludzi obcych. Szalda roztwierał okna do Europy, okazywał lepsze wzory, w wyniku czego zarzucono mu „internacjonalizm". Szalda nie jest internacjonalistą, ale jest powszechny, dobrze wiedząc o prawdzie wieczystej, że duch *flat ubi vult* i że więc nie można się wyrzekać mocnego tchnienia tego świata.

Dorobek życiowy Szaldy tworzy szereg książek. Wymienimy tu kilka z nich. Przedewszystkiem należy wymienić *Życie ironiczne*, zbiór opowiadań, dowodzących rozbieżności ideału z rzeczywistością. Tu się maluje osobista tragedja Szaldy: człowieka, który szukał prawdy, a znajdował tylko nieznaczne jej błyski, mrok nieprzebyty. W książce *Dusza a czyn* Szalda maluje portrety szeregu pisarzy: Rousseau, Macha, Niemcowej, Vrchlickiego, Sovy, Ibsena, Zoli, Huysmansa, Flauberta. Przepiękne jego *Boji o zítřek (Walki o jutro)* — to zbiór utworów, wyrażających jego credo krytyczne i kulturalne — dużo z nich zasługuje na przełożenie, zwłaszcza *Eksperyment, Pisarz, artysta, poeta, Problem narodowości w sztuce* oraz *Krytyka patosu i natchnienia*. Również tragedję widać w jego *Marjonetkach i pracownikach Bożych,* dramatach *Tłumy* i *Dziecię*. Ponadto wydał książki: *Juvenilie, Postać poetycka Dantego, O tak zwanej nieśmiertelności twórczości poetyckiej* oraz przegląd współczesnego piśmiennictwa czeskiego. Ostatnia książka, choć ma dużo w sobie wartości, stoi wszakże na niższym poziomie od jego *Dusz i czynów* — Szalda najbardziej jaśnieje nie wówczas, gdy daje dynamikę rozwoju myśli, lecz gdy maluje te myśli w stanie statycznym — to właśnie jest zrozumiałe u „krytyka patosu i intuicyj", wczuwającego się w osobę każdego poety.

Taki jest oto ten czeski krytyk, zasługujący na postawienie go obok Stendhalla, Sainte-Beuve'a, Rozanowa i Owsianiko-Kulikowskiego, człowiek o tragedji wewnętrznej, człowiek wielkich oczekiwań i wielkich nadziei, pełen patosu i chęci ofiary. Nie przyjąć tej ofiary, oraz wypełnić jego nadziei nie może nikt ze współczesnych czeskich pisarzy. Godzien ją przyjąć jest tylko przyszły czeski poeta, który poto winien się urodzić, by piśmiennictwu czeskiemu dać uroczysty akord końcowy i oddzielić przeszłość od teraźniejszości. Ten poeta musiałby być szczerym katolikiem o zharmonizowanym światopoglądzie,

zdolnym wznieść się nad wszystkie bagna i moczary czeskiego życia i piśmiennictwa. Narazie go niema. Starozakonny zaś prorok, Szalda, nie ma komu przekazać swego dziedzictwa, nie ma nikogo, ktoby mógł mu dostarczyć prawdziwego radosnego patosu, któryby zwolnił jego krytykę od tragicznych i mrocznych odcieni...

Dr. W. Wiliński.

Przegląd piśmiennictwa.

Ks. Dr. Remigjusz Dąbrowski: Tradycja według nauki prawosławnych teologów rosyjskich, Warszawa 1932, str. 144.
Tenże: Rozwój dogmatów według prawosławnych teologów rosyjskich, Włocławek 1932, str. 32;
Ks. Dr. Henryk Hlebowicz: Jedność Kościoła Chrystusowego według św. Jana Chryzostoma. Wilno 1932, str. XII i 203;
Ks. Dr. Antoni Słomkowski: Pierwotny stan człowieka według nauki św. Augustyna, Lwów 1933, str. 179;
Ks. Dr. Leon Puciata: Grzech pierworodny w teologji św. Anzelma, Wilno 1932, str. 240;
Ks. Józef Zdanowicz: Sarbiewski na tle kontrowersyj teologicznych swojego wieku, Wilno 1932.

Od niedawna zaznacza się w naszym kraju wzmożony ruch pisarski w dziedzinie teologji, idący w kierunku specjalizacji, jak to widać choćby z tego krótkiego przeglądu nowszych publikacyj. Trzy pierwsze prace należą do teologji porównawczej, następne do historji dogmatów, te zaś wchodzą w skład zbiorowych wydawnictw danych Wydziałów teologicznych, co niewątpliwie nastręcza duże korzyści.

Ks. Dr. Dąbrowski, znany już ze swych studjów porównawczych w *Ateneum*, daje sumienne i wyczerpujące zestawienie nauki prawosławnej (rosyjskiej) o tradycji z katolicką. Książka ta zaradza powszechnie odczuwanemu brakowi podręczników w języku ojczystym z zakresu teologji porównawczej. Zrozumiałą jest rzeczą, że nieprędko zdobędziemy się na dzieło w rodzaju Jugie'go, uzupełniające nadto pewne jego braki w bliższej nam teologji rosyjskiej, wdzięczność zatem należy się za opracowanie takich odcinków jak obecny. Jest to swojego rodzaju praca unijna w duchu porozumienia i pojednania ze zwaśnionymi. Że autor zna swój przedmiot, o tem świadczy bogata, wyzyskana bibljografja, obejmująca bezmała setkę autorów rosyjskich. Nie zapuszczając się w zbytnie subtelności, daje nam jasny przegląd powikłanych nieraz i sprzecznych ze sobą teoryj w łonie prawosławia, przyczem, bardzo słusznie, osobno potraktował sympatyka protestantyzmu Teofana Prokopowicza i jego szkołę.

Uzupełnieniem poprzedniej jest mniejsza rozprawa o ewolucji dogmatów (odbitka z *Ateneum*), gdzie autor przedstawia naukę prawosławnych teologów i ocenia ją krytycznie w świetle dawnych dokumentów chrześcijańskich. W tej dziedzinie naogół za mało zwraca się uwagi na klasyczny tekst św. Grzegorza Nazjańskiego (*or. theol.* V. 25 sq; MG 36, 160 sq). W obu rozprawach spolszczono pisownię rosyjską w wykazach i przytoczeniach, za co wdzięczni będą mniej obeznani z tym językiem. Na szczególne uwydatnienie zasługują wzorowe przekłady z łacińskiego. Wyrażamy życzenie, aby autor zechciał nas obdarzyć innemi jeszcze rozprawami w dziedzinie teologji porównawczej, bo ma wszelkie po temu dane i odda przez to wielką usługę naszym zakładom teologicznym.

Ks. Prof. Hlebowicz zatytułował swą poważną monografję patrystyczną „studjum porównawcze nauki św. Jana Chryzostoma z współczesną nauką teologji katolickiej i prawosławnej". Myśl szczęśliwa i na czasie, w duchu Apologji Newmana, mutatis mutandis. Przedstawiwszy, dla orjentacji, obecną naukę katolicką i prawosławną o jedności Kościoła, oraz jej stan przed św. Janem Chryzostomem, omawia w trzech częściach poglądy tego Ojca na jedność we wierze, społeczną i mistyczną. Najwięcej uwagi poświęcił autor jedności społecznej, z wyszczególnieniem zagadnienia o władzy kościelnej, przyczem na podstawie skrzętnej i sumiennej egzegezy odnośnych tekstów wykazuje niezbicie pierwszeństwo i wyższość Piotra nad innych Apostołów, w myśl św. Doktora. Zwłaszcza ustęp o stosunku św. Pawła do Piotra ma dużo siły dowodowej (str. 131—139). W sprawie prymatu papieskiego autor słusznie rezygnuje ze zbyt może dogodnego tekstu *De Sacerd.* II 1 i opiera się raczej na listach i apelacjach św. Jana do Innocentego I czyli na materjale faktycznym wraz z osądem historycznym na tle ówczesnych stosunków. Piękna i wzniosła nauka św. Doktora o jedności mistycznej, indywidualnej i społecznej, przedstawiona jest zwięźle, lecz wyczerpująco, a trafny dobór tekstów ilustruje wszechstronnie jego myśli o tajemniczej budowie Ciała Chrystusowego. Syntetyczny pogląd porównawczy zestawia wkońcu wyniki rozprawy, pozbawionej zupełnie akcentu polemicznego, mającej służyć jedynie wzajemnemu porozumieniu i wyświetleniu prawdy. W tym też duchu pojednawczym autor prostuje w przypiskach błędną lub jednostronną egzegezę teologów prawosławnych oraz prof. M. E. Michaud'a.

Na str. 178 przydałoby się wycieniowanie różnicy między St. i N. Zakonem odnośnie do ducha Chrystusowego. — Błąd na str. 82. w 2. z d. „Marka" zamiast Łukasza (cf. Tert. *adv. Marc.* IV 2; Iren, *adv. haer.* I 9; Epif. *haer.* 42, 9) przypisujemy dittografji (Marcjonici). Ze względów technicznych zaleca się nie punktować liter w skrótach przyjętych (MG CB etc.), co też ułatwia czytanie.

Ks. Prof. Słomkowski był dobrze przygotowany do swej pracy, która rozpoczyna dział teolog. w „Studia Gnesnensia" (zeszyt V), — o rajskim stanie wedle św. Augustyna poprzednią swą dysertacją — o nauce odnośnej poprzednich Ojców. Mimo nieprzejrzaną literaturę augustyńską, rozprawa wypełnia pewną lukę w rzędzie nowszych i łatwiej dostępnych monografij, ujmując systematycznie naukę Doktora łaski o pierwotnym stanie człowieka. W tym celu autor rozbiera pokolei przymioty fizyczne i moralne pierwszego człowieka, a najdłużej zatrzymuje się przy pojęciu łaski nadprzyrodzonej, analizując jej istotę i stosunek do natury, zagadnienia zaiste niełatwe do rozwikłania dla tych, co z gotowym systemem przystępują do teologji św. Augustyna. Autor też pilnie wystrzega się oktrojowania mu jakichś kategoryj, uwzględnia ewolucję jego poglądów, wskazuje kiedy po raz pierwszy występuje jakaś nowa koncepcja, co jest, nawiasem mówiąc, bardzo przydatnem nawet dla ustalenia chronologji niektórych pism (np. *Enarr. in Ps*), wstrzymuje się od wydania sądu tam, gdzie i najwybitniejsi znawcy Augustyna nie mogą dojść do porozumienia, choć i wtedy z własnego oczytania i refleksji nieco światła dorzuca, jak np. w sprawie „adiutorium sine quo non", w zbliżeniu tekstów *De Gen. ad litt.* i *De civ. Dei* do klasycznego w tej mierze *De corr. et gratia*. Do zalet tych dołącza się jasny wykład, dobry podział, wzorowe wykazy. Sądzimy, że książka ta odda rzeczywiste usługi naszym uczelniom teologicznym, radzibyśmy też doczekali się innych publikacyj autora, który sam z takim pietyzmem notuje polską literaturę augustyńską, w myśl „de Augustino numquam satis".

Ks. Prof. Puciata zainaugurował swą monografją o św. Anzelmie „Studja Teologiczne Wileńskie", których zeszyt II stanowi dysertacja Ks. Zdanowicza. Ponieważ to dzieło było już omówione w dziale recenzyjnym *Przegl. Powsz.* (por. grudzień 1932), ograniczamy się tu do podniesienia jego niepowszednich, zwłaszcza na nasze warunki, walorów. Przedewszystkiem sprawdza się tu zasada *nonum prematur in annum*. Ile cierpliwej pracy źródłowej kryje się w tym tomie, o tem świadczy choćby sam wstęp oraz skromny przypisek do str. 145, ustalający definitywnie na rozległej podstawie rękopiśmiennej z XII i XIII w. tekst *De concordia* qu. 3, r. 2 (ML 158, 522). Jest to rzetelny dorobek naukowy, który zarazem służy autorowi jako dowód, dotąd niewyzyskany, istotnej różnicy między porządkiem naturalnym a nadprzyrodzonym, wedle św. Anzelma. Wogóle dowód tej naczelnej tezy udał się autorowi, a cały r. 7. poświęcony obronie tradycyjnego wykładu pierwszego scholastyka, zasługuje na przekład francuski lub niemiecki celem rozpowszechnienia. Z równem prawem pomawianoby „twórcę teologji o grzechu pierworodnym" o poglądy zbliżone do jansenizmu, co jego mistrza, Augustyna (por. co o tem pisze Merlin: *S. Augustin et les dogmes du péché ori-*

ginel et de la grâce, w r. 7.). Natomiast zdaje się nie ulegać wątpliwości, że teologja nowszej szkoły augustyńskiej (zwłaszcza Berti), stanowiąca względną konieczność sprawiedliwości pierwotnej „ex decentia Creatoris", dobrze odpowiada myśli anzelmjańskiej, co też autor stwierdza str. 161. Spodziewamy się, że szanowny autor obdarzy nas jeszcze innemi studjami z zakresu swych badań anzelmjańskich.

Dysertacja Ks. Zdanowicza zapoznaje nas z nowoodkrytym rękopisem wileńskim, zawierającym komentarz Sarbiewskiego do I części Sumy teolog. św. Tomasza. Pożądane są zawsze przyczynki do przyszłej (może) historji teologji polskiej. Rozprawa spełnia to zadanie w granicach sobie wytkniętych. Po wstępnych informacjach bibljograficznych i uwagach o treści rękopisu, autor szkicuje zagadnienia sporne, poruszane w traktatach Sarbiewskiego i omawia jego względem nich stanowisko, które charakteryzuje naogół jako „późniejszy molinizm". Problemy te dotyczą głównie poznania Bożego. Sąd o metodzie Sarbiewskiego streszcza autor słowy: „Omówione w pracy niniejszej zagadnienia sporne Sarbiewskiego porusza z erudycją teologa, stojącego na poziomie ówczesnego rozwoju reprezentowanej przezeń gałęzi wiedzy, wykazuje całkowitą orjentację co do ścierających się ze sobą w jego epoce kierunków, opinij i szkół teologicznych, opanowanie i przemyślenie materjału, oraz znajomość najnowszej literatury naukowej... Podkreślić również należy charakterystyczny dla naszego teologa daleko idący spokój i umiar, jaki... zachowuje w stosunku do swych przeciwników... Stwierdzić możemy, że traktat teolog. Sarbiewskiego... przynosi zaszczyt wileńskiej uczelni teologicznej, służąc za dowód, że wykłady teologji dogmatycznej w pierwszej połowie w. XVII stały w niej na bardzo wysokim poziomie, w niczem nie ustępując pod względem głębokości ujęcia wykładom w innych akademjach Europy zachodniej".

Ks. M. Morawski.

Dr. Ignacy Bocheński O. P.: Die Lehre vom Ding an sich bei Straszewski.

Ks. Dr. Kazimierz Kowalski: Zagadnienie piękna. „Studia Gnesnensia III" Lwów 1932, Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu. Str. 106 i 96.

W tym trzecim tomie „Studia Gnesnensia" pomieścił ich wydawca, ks. prof. Dr. Kazimierz Kowalski, swoją rozprawę o pięknie, oraz studjum ks. Bocheńskiego O. P. o Straszewskim. Studjum to pisane po niemiecku, gdyż autor opracowywał je na Uniwersytecie we Fryburgu szwajcarskim pod kierunkiem O. de Munnyncka, a pragnął nadto uprzystępnić zagranicznym filozofom postać wybitnego naszego a tak współczesnego filozofa. Po przytoczeniu przebiegu życia i zestawienia pism Straszewskiego, przystępuje O. Bocheński do właściwego tematu, mianowicie do zba-

dania zapatrywań Straszewskiego na „rzecz samą w sobie". Problem niezwykle zajmujący, gdyż Straszewski przyjmował założenia pozytywizmu idealistycznego a jednak bronił możliwości metafizyki przy pomocy „życia" (r. I). Następnie stara się autor wykazać wpływy, jakim uległa twórczość Straszewskiego (r. II). Poczem w r. III poddaje krytyce stanowisko Straszewskiego co do „rzeczy samej w sobie", przyjętej nie bez wewnętrznej sprzeczności w systemie. — Praca przedstawia się bardzo poważnie. Odnośniki źródłowe pozwalają zaraz skontrolować przytaczane ustępy w pismach Straszewskiego, uwaga o wpływie katolicyzmu na obronę poznawalności rzeczy samej w sobie, mimo przyjętego idealizmu i pozytywizmu, bardzo słuszna i charakterystyczna dla naszej polskiej filozofji. Życzyć trzeba autorowi, by ta praca stała mu się rzeczywiście wstępną do dania nam monografji o Straszewskim.

Druga praca, mianowicie ks. prof. Kowalskiego: „Zagadnienie piękna" nie jest całkiem obca w literaturze filozoficznej. Jest ona bowiem rozprowadzeniem skrótu, ogłoszonego już w „Zarysie filozofji" t. II, Lublin 1930. Zawiera dwie części: Rzut oka na rozwój historyczny nauki o pięknie i Zarys estetyki spekulatywnej. Skrót lubelski uwzględnił przedewszystkiem pierwszy i drugi rozdział Zarysu filozofji sztuki, praca ogłoszona obecnie daje pożyteczny, zwięzły pogląd historyczny oraz metafizykę piękna, połączoną z obroną jego transcendentalności. Przytoczona literatura najnowsza jest dowodem oczytania autora w omawianym przedmiocie, którego choć powierzchowna znajomość przyda się każdemu inteligentowi. *Ks. Fr. Kwiatkowski.*

Ks. Dr. Kazimierz Wais: Kosmologja szczegółowa. Część II. O ciałach nieorganicznych. Dokończył ks. Dr. Jan Stepa. Nakładem „Studia Gnesnensia" IV, Gniezno 1932. Skład główny w Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. Str. 169.

Traktatem o ciałach nieorganicznych zamyka ks. prof. Wais imponującą całość swych rozważań kosmologicznych. W Kosmologji ogólnej (Warszawa 1907) omówił zagadnienia, dotyczące wszechświata materjalnego jako całości, w pierwszej części Kosmologji szczegółowej (Gniezno 1931, „Studia Gnesnensia" II) zajął się światem organicznym z wyjątkiem człowieka, więc światem roślinnym i zwierzęcym, w drugiej części rozpatruje problemy, związane z ciałami nieorganicznemi. Zaczyna od własności ciał (rozdział I), by przejść do badania ich istoty (rozdział II). Rozróżnia własności ilościowe i jakościowe, stąd rozprawy o rozciągłości i o siłach. Przy omawianiu przedmiotowości jakości zmysłowych oświadcza się za realizmem bezpośrednim, przyznającym tym jakościom przedmiotowość formalną poza naszemi władzami poznawczemi.

Zagłębiając się w rozważaniach istoty ciał nieorganicznych

rozprawia się z atomizmem i dynamizmem w ich różnych postaciach, a broni hilemorfizmu jako najlepiej odpowiadającego faktom doświadczalnym, znanym także z najnowszej chemji, fizyki i krystalografji i to hilemorfizmu w postaci tomistycznej, t. j. przyjmującego jedną tylko formę substancjalną w każdym atomie czy związku. Trudności, mogące się rodzić przeciw temu stanowisku z teorji elektronicznej budowy materji, stara się rozwiązać w dodanym przez siebie paragrafie uczeń i następca ks. Prof. Waisa na katedrze lwowskiej, ks. Dr. Jan Stepa.

Wszystkie przymioty pióra Ks. Prof. Waisa, znane z innych jego książek filozoficznych, znajdujemy i w tem opracowaniu przymiotów i natury ciał nieorganicznych, mianowicie jasność, piękność wyrażeń, przystępność wykładu, znajomość współczesnych teoryj naukowych i filozoficznych. Jest to najlepszy, owszem jedyny, traktat o ciałach nieorganicznych, jaki posiada nasza literatura filozoficzna.

Ks. Fr. Kwiatkowski.

Dr. Joseph Bernhart: Sinn der Geschichte.
Dr. Hugo Obermaier, prof. an. der Univ. in Madrid: Urgeschichte der Menschheit. Mit 14 Bildern und 6 Tafeln. Herder. Freiburg im B. 1931. 8⁰, str. 347.

Niniejsze dwie prace tworzą pierwszy tom zaprojektowanej przez Herdera kolekcji p. t.: *Geschichte der führenden Völker.* Trudno dzisiaj marzyć jednemu uczonemu o napisaniu historji świata w dawniejszem tego słowa znaczeniu. Rozwój historycznych badań, rozszerzenie się granic cywilizacji, przy równoczesnem skomplikowaniu naukowego aparatu, wszystkie te momenty wykluczają możliwość tak potężnej i naukowo przez jeden umysł opanowanej syntezy. Siłą więc faktu na pierwszy plan wybijają się dzisiaj monografje, opracowane przez fachowe siły. Właśnie serję takich monografij, poświęconych czołowym narodom, a więc wpływającym wybitnie na duchowy i polityczny ustrój współczesnego świata — zapowiada Herder.

Dzieło takie wymaga oczywiście podbudowy, ideowego i historycznego wstępu. Nic więc dziwnego, iż Dr. Bernhart pierwszą połowę niniejszego tomu poświęca rozważaniom historjozoficznym. W sposób gruntowny a oryginalny usiłuje sprecyzować pojęcie historycznego bytu, rozpatruje jego tragiczny charakter, by dotrzeć do najgłębszego sensu, jaki posiada dla ludzkości historja. Siłą rzeczy musiał więc autor zaczepić o zagadnienie „ponadhistorji", o objawienie i ingerencję nadprzyrodzoną, Bożą w dziejach ludzkości. Ujęcie nowe, przekonywujące, wzbudzi duże zainteresowanie, bezwątpienia i sprzeciwy.

Cywilizację i jej dzieje poprzedził długi okres kolejnego tworzenia się kulturalnych elementów; fundamentem historji jest prehistorja, nic więc dziwnego, iż właściwą treść zapowiedzianej

kolekcji historycznej oparto także na syntetycznem sprawozdaniu z przedhistorycznych dziejów ludzkości. Z zadania tego wywiązał się wybitny prehistoryk, prof. H. Obermaier w sposób znakomity. Trzeba naprawdę być długoletnim specjalistą, by w niewielkim tomie podać szerszemu ogółowi inteligencji przejrzystą syntezę zdobyczy nowoczesnej paleontologji i paleoantropologji.

Autor nie pomija ani jednej ważniejszej kwestji, choć oczywiście wszystkie traktuje w silnym skrócie, nie zapuszczając się w labirynt domysłów i sprzecznych hipotez. Dzieje człowieka przedhistorycznego umieszcza w ramach czwartorzędu; twierdzenia bowiem o istnieniu człowieka w trzeciorzędzie uważa słusznie li tylko za hipotezę, niepopartą dotychczas naukowemi dowodami. W świetle dotychczasowych wykopalisk, należy umieścić narodziny człowieka w okresie lodowcowych zalewów, ściślej w przedostatniej fazie międzylodowcowej. Obliczając okres epoki lodowej na 500 do 600 tysięcy lat, autor przyjmuje za de Geer'em, iż ostatni zalew lodowcowy nastąpił przed 25 do 30 tysiącami lat. Cyfra ta określałaby zatem minimalną granicę wieku ludzkości.

Kolejno, a z uwzględnieniem geologicznych i atmosferycznych warunków, omawia autor dzieje jaskiniowego człowieka w starym i młodszym paleolicie, umieszcza go na tle ówczesnej flory i fauny, określa nietylko stopień jego kultury materjalnej i anatomicznego wyglądu, ale usiłuje nawet zaglądnąć do tajników jego ducha i psychiki. W okresie przedszeleńskim, szeleńskim a nawet i musteryjskim ta ostatnia próba jest dość ryzykowna. Daleko więcej elementów do odcyfrowania umysłowości pierwotnego człowieka znajduje autor w paleolicie młodszym; jaskiniowa sztuka oraz charakter pierwotnych grobów wysuwają się oczywiście na plan pierwszy. Może jednak za śmiało interpretuje autor jaskiniowe malatury w funkcji myśli religijnej, choćby tą religją była tylko magja łowiecka. Z drugiej jednak strony musimy przyznać, iż prof. Obermaier należy bezsprzecznie do najwybitniejszych znawców jaskiniowej sztuki, zwłaszcza tej, która zachowała się w grotach hiszpańskich.

Zmierzch paleolitu (kultura azylijska i tardenuazyjska) rozpina autor na okresie pięciu tysięcy lat (10.000 do 5.000 przed Chr.). Neolit trwał, jego zdaniem, na obszarach Europy od 5.000 do 2.000 lat przed Chr.; kulturę kamienia gładzonego zastąpił okres bronzu, trwający do roku mniej więcej 1000 przed Chr., wreszcie kulturę bronzu likwiduje kultura żelaza, trwająca do początków czasów rzymskich. Tym dwom perjodom kulturalnym poświęca autor dwa obszerne rozdziały.

Ze specjalnem uznaniem trzeba podkreślić, iż prof. Obermaier, opisując dzieje paleolitu nie ograniczył się tylko do Europy. W doskonałym skrócie informuje czytelnika o wynikach badań paleontologicznych i paleoantropologicznych, przeprowadzonych także w innych częściach świata. — Wszystkie zaś rozdziały swej

pracy zaopatruje w spis doborowej literatury, na podstanie której każdy może się gruntowniej zapoznać z poruszonemi tematami.

Dzieło prof. H. Obermaiera o prehistorji uważam za najlepsze i najgruntowniejsze w zakresie naukowej popularyzacji. W tak ciasnych ramach nie można było lepiej wywiązać się z tak trudnego zadania.

Ks. E. Kosibowicz.

Nauka Polska. T. XVI. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego, str. 100 i 84.

Nowy tom „Nauki Polskiej" ma dwie części. Pierwsza zawiera, jak zwykle, artykuły i dział sprawozdawczy, druga stanowi Pamiętnik Obchodu 50-lecia Kasy im. Mianowskiego.

Na uroczystem posiedzeniu, urządzonem z powodu tego obchodu, ideowy, zarówno głęboki jak i szeroki w ujęciu referat wygłosił prof. Białobrzeski p. t. „Nowe drogi współczesnego przyrodoznawstwa". Autor jest u nas przedstawicielem tej grupy przyrodników i filozofów przyrody, którzy odrzuciwszy ściśle atomistyczno - mechanistyczne pojmowanie przyrody, tem samem, może nawet nieświadomie, zbliżają się do scholastycznego poglądu. Do takiej rewizji poglądów, uchodzących do niedawna za dogmat wiedzy przyrodniczej, skłaniają tych przyrodników-filozofów przedewszystkiem odkrycia i doświadczenia z dziedziny promieniotwórczości. Zdają się one wskazywać, że atomy nie są tylko zespołem ich części składowych, ale jednością wyższego rzędu, nie są również tylko maszyną, którą doskonale rozumiemy, zbadawszy wszystkie tej maszyny kółka i części. Autor zastrzega się, że taka jedność wyższego rzędu, nie będąca mechanizmem raz na zawsze zdeterminowanym, lecz posiadająca swoje czynności, które tylko z prawdopodobieństwem dadzą się przewidzieć i obliczyć, nie jest tem samem bytem zbliżonym do organizmu żyjącego. Indeterminizm atomu jest niższego rzędu, niż indeterminizm organizmu żyjącego; przyjęcie jednak tego indeterminizmu i określenie atomu, jako jednostki wyższego rzędu, wedle opinji najwybitniejszych przedstawicieli tych poglądów (Bohr, Dirac), „może spowodować pojawienie się zagadnienia życia na porządku dziennym dociekań filozoficznych fizyków". Jeżeli się raz przyjmie, że atom nie jest tylko zespołem części, ale jednostką wyższego rzędu, to niema już żadnych przeszkód w przyjęciu takich jednostek w odniesieniu do organizmów żyjących i wtedy zniknie jedna z największych przeszkód, jakie oddzielały nauki przyrodnicze od filozofji i metafizyki. Referat prof. Białobrzeskiego wywołał bardzo żywą dyskusję; omawiany tom „Nauki" przynosi jej streszczenie, niezmiernie interesujące i cenne dla orjentacji w poglądach dwu obozów naszych współczesnych przyrodników. Jednego przedstawicielem jest autor referatu, a drugi stanowią zwolennicy starej szkoły, przyjmujący skrajnie mechanistyczne pojęcie

przyrody i zupełny rozdział między nauką a filozofją. Dla tej szkoły samo słowo: metafizyka jest upiorem, wstręt budzącym, gdy przeciwnie zwolennicy nowych poglądów śmiało stają wobec możliwości, jak się dowcipnie wyraził prof. Jakubanis, „wywleczenia z lamusa filozoficznego, ku zgorszeniu naukowców, któregoś tradycyjnego upiora metafizycznego" (str. 95).

St. Vrtel-Wierczyński w artykule: „Zagadnienie czasopism w naszych bibljotekach uniwersyteckich" przedstawia rozpaczliwą sytuację bibljotek uniwersyteckich, pozbawionych przez obcięcie dotacyj najpotrzebniejszych nieraz czasopism. Stan pod tym względem jest wprost katastrofalny. Z 390 czasopism, abonowanych przez Biblj. Jagiellońską przed wojną, na początku 1932 r. zaabonowano tylko 124, Bibljoteka Uniw. Poznańskiego z 649 zeszła do 152. W poszczególnych zakładach uniwersyteckich sytuacja jest jeszcze gorsza, ponieważ wobec zupełnego cofnięcia dotacyj lub ich ograniczenia do śmiesznego minimum musiano przerwać zupełnie prenumeratę czasopism fachowych. Wobec takiego stanu rzeczy autor proponuje współpracę bibljotek w prenumerowaniu czasopism, zaprowadzenie celowej i programowej polityki bibljotecznej.

W przeszłość naszej kultury sięga artykuł A. Knota, przedstawiający dzieje mecenatu i ofiarności Podola, Wołynia i Ukrainy na cele oświaty w dobie Polski Niepodległej.

Jakiś polski filolog, podpisany literami I. O. opowiada nam swoją autobiografję naukową. Szkice autobiograficzne uczonych polskich należą zawsze do najbardziej interesujących rozdziałów tomów „Nauki polskiej". Ostatni budzi mniejsze zainteresowanie, jest najpierw za rozwlekły, przeładowany drobiazgami nieistotnemi, które nie przyczyniają się do ukazania nam naukowego oblicza autora. Uderza nas również pewien brak samokrytyki, a żywy sprzeciw budzą niektóre dość osobliwe poglądy. Dla autora w pracy naukowej decydującem jest zawsze p i e r w s z e w r a ż e n i e, jakiego doznaje wobec różnych teoryj, zagadnień czy faktów naukowych. To pierwsze wrażenie nigdy go nie myli, logicznem rozumowaniem posługuje się tylko wtedy, kiedy opracowuje hipotezę, w głównym zrębie gotową, by ją podać do wiadomości publicznej. Rozumię doskonale doniosłość t. zw. intuicji naukowej, ale ona nie jest żadną miarą pierwszem wrażeniem p. I. O. Właśnie pierwsze wrażenie w nauce bardzo często myli, dopiero logiczne rozumowanie, ścisłe, nieraz jakże mozolne, ukazuje prawdę lub prowadzi do hypotezy. Takie nieomylne wrażenie byłoby naprawdę cudowną, niestety zwykle niespotykaną zdolnością. A jej istnienie i zastosowanie w dziedzinie wiedzy tak pozytywnej, jak filologia i gramatyka, wydaje się być mocno wątpliwe. Zdumiewa również inny pogląd autora, że badaczem w zakresie językoznawstwa trzeba się u r o d z i ć! Z zaciekawieniem szukałem w wywodach autora określenia tych wrodzonych zdolności, jakie

trzeba posiadać, by być filologiem, nie znalazłem ich jednak, poza kilku ogólnikami, które nie mówią nic więcej, jak tylko to, że by być uczonym, trzeba mieć zdolności naukowe. Autor sam nawet wyznaje, że niema jasnego pojęcia, jaką rolę u językoznawcy odgrywa pamięć, więc poco używać wyrażeń, nie będących niczem innem, jak frazesem bez treści, w niczem nie przyczyniającym się do wyjaśnienia twórczości naukowej. — Resztę pierwszej części omawianego tomu „Nauki Polskiej" zajmuje Kronika krajowa i zagraniczna; ta ostatnia jest szczególnie interesująca, ponieważ pokazuje nam, jak w państwach zachodnich, nie zarażonych jeszcze duchem barbarzyńskiego wschodu, ceni i szanuje się naukę, jak mimo kryzysu dotacje na naukę przeznaczane skreśla się lub obniża nie na pierwszem, lecz na ostatniem miejscu! W żadnem z państw zachodnich prasa rządowa nie szkaluje swoich uniwersytetów i uczonych!

Druga część omawianego tomu „Nauki polskiej" podaje sprawozdanie z jubileuszowego obchodu Kasy im. Mianowskiego, przemówienia wygłoszone i otrzymane gratulacje.

St. Bednarski.

Henryk Tennenbaum: Struktura gospodarstwa polskiego: Tom I. Formy produkcji i zbytu, Warszawa 1932, Skład główny. Instytut wydawniczy „Bibljoteka Polska" stron 641.

Niewątpliwie najwybitniejszą publikacją z polskiej literatury ekonomicznej ostatnich czasów jest potężne dzieło H. Tennenbauma. Autor dał się poznać jako wybitny publicysta gospodarczy w charakterze naczelnego redaktora *Przeglądu Gospodarczego,* którym był przez szereg lat.

Już na wstępie przy czytaniu spisu treści uderza nas wielka oryginalność układu rozprawy. Autor dzieli tom I, traktujący o formach produkcji i zbytu, na sześć części. Część pierwsza obejmuje grupę użyteczności publicznej, część druga grupę spożycia skoncentrowanego i przymusowego, część trzecia grupę merkantylistyczną, część czwarta przedsiębiorstwa uprzywilejowane, część piąta grupę wolnokapitalistyczną oraz wreszcie część szósta zakończenie.

W grupie użyteczności publicznej znajdujemy monopole: spirytusowy, solny, tytoniowy i zapałczany; przemysły: cukrowniczy, węglowy, naftowy, żelazny, bawełniany, soli potasowej i drożdżowniczy oraz uwagi ogólne o kartelach i grupie użyteczności publicznej. Ta część dzieła jest najciekawsza i najcharakterystyczniejsza, a zwłaszcza rozdziały o monopolu spirytusowym i zapałczanym, oraz o przemyśle cukrowniczym, żelaznym i naftowym.

Część druga omawia gałęzie przemysłu pracujące nie dla rynku ale dla jednego nabywcy. Nabywcą tym jest przedewszystkiem rząd czy to w formie Ministerstwa Komunikacji (kupując np. wagony i lokomotywy) czy też Ministerstwa Spraw Wojsko-

wych (przedmioty uzbrojenia). W części tej zamieścił też autor uwagi ogólne o popycie skoncentrowanym i o przymusie spożycia.

Grupa merkantylistyczna obejmuje uwagi o cłach organizacyjnych, o kontyngentowaniu obrotów z zagranicą i to zarówno wywozu (produktów rolnych) jak i przywozu (wytworów przemysłowych). Tutaj też omawia autor stosunki z Gdańskiem i wysuwa najważniejsze postulaty polityki eksportowej.

W części czwartej ujęte są przedsiębiorstwa uprzywilejowane łącznie z motywami, jakie spowodowały nadanie im tego charakteru uprzywilejowanego. Tutaj znajdują się też m. i. przedsiębiorstwa państwowe. Ponadto autor daje uwagi o przedsiębiorstwach w Rosji Sowieckiej i o planowaniu liberalnem a socjalistycznem.

Wreszcie następuje grupa wolnokapitalistyczna. Poruszane są zagadnienia koncentracji przemysłu, sprawy organizacji handlu oraz rolnictwa.

W zakończeniu tłumaczy autor, dlaczego podzielił gospodarstwo na powyższe grupy. Poddaje ocenie politykę gospodarczą państwa i poszczególnych gałęzi życia gospodarczego, zajmując się specjalnie kwestją kosztów i cen. Kończy swoje uwagi twierdzeniem, że „przeżywany kryzys jest raczej kryzysem pojęć i ocen, któremi się kierujemy, aniżeli kryzysem czysto gospodarczym. Operujemy kategorjami myślowemi, nieprzystosowanemi do nowoczesnej rzeczywistości gospodarczej. W szczególności ma to miejsce w dziedzinie kredytowej i finansowej".

Jak się można domyślać, ostatnie to zdanie autora jest nawiązaniem do przypuszczalnego tomu drugiego, który zawierałby zapewne opis form kredytowo-finansowych. Na tom ten wszyscy z zaciekawieniem i niecierpliwością oczekujemy, spodziewając się, iż przyniesie on nie mniej ciekawego i rewelacyjnego materjału aniżeli tom omawiany. Już dzisiaj bowiem nie można pisać ni mówić o jakiemkolwiek zagadnieniu gospodarczem w Polsce bez przestudjowania książki p. Tennenbauma, o ile nie chce się narazić na zarzut nieznajomości istotnego stanu rzeczy.

Omawianie w stosunkowo szczupłych ramach przeglądu piśmienniczego książki tak zasadniczej i obszernej jest dla sprawozdawcy zadaniem bardzo trudnem. Niesposób oczywiście cytować wszystkich kapitalnych określeń, któreby się pragnęło przytoczyć. Tem bardziej nie można się kusić na dyskutowanie z autorem. Z konieczności przeto ograniczymy się do wskazania najciekawszych ustępów z pierwszego, zasadniczego rozdziału tego dzieła. Zapoznanie się zaś z całością pozostawiamy Czytelnikom, którzy niewątpliwie nie pożałują lektury tej interesującej, pouczającej, a lekko i z humorem napisanej książki.

Jak już zaznaczyliśmy, właściwością książki jest oryginalność ujęcia. Najwięcej uderza zaliczenie monopoli i szeregu przemysłów do grupy użyteczności publicznych. Autor tłumaczy to obo-

wiązkiem obsługi wszystkich odbiorców na warunkach godziwych, jednakowych i powszechnych, jakim muszą być obłożone przedsiębiorstwa monopolu ustawowego czy też umownego. Skutkiem tego nasuwa się niezbędność poddania tych przedsiębiorstw normom użyteczności publicznej i zmuszenia ich do obsłużenia wszystkich osób na określonych powszechnych warunkach. Przedsiębiorca ma oczywiście prawo do ceny stałe i zawsze, lecz skromnie, opłacalnej. Cena ta nie musi być sztywną niezależnie od konjunktury, lecz przedsiębiorstwa użyteczności publicznej mogłyby być zmuszone pod kontrolą organów państwowych do redukowania jej w okresie złej konjunktury a do podnoszenia w okresie dobrej. Ponadto przedsiębiorstwom użyteczności publicznej nie wolno stosować cen ulgowych przy zaopatrywaniu i obsłudze odbiorców, znajdujących się w jednakowych warunkach. Za ulgę uważa autor ustępstwo czynione pewnej jednostce, o ile inne jednostki z tej samej grupy z niego nie korzystają. Natomiast możliwe są taryfy różniczkowe dostępne wszystkim członkom pewnej grupy, którzy odpowiadają określonym warunkom. Te taryfy różniczkowe (np. kolejowe) przyznawane być mogą pod wpływem motywu dzielnicowego, aby dana dzielnica mogła opłacalnie zbyć swe produkty, motywu surowcowego (przeróbka własnego surowca), względnie motywu eksportowego dla stworzenia warunków opłacalności wywozu danego towaru. Oprócz tego przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, jako zależne silnie od organów publicznych, mają narzucane inne motywa, jak np. bezpieczeństwa publicznego, popierania wytwórczości krajowej, zabezpieczenia w czasie konfliktu zbrojnego i t. d. Do przedsiębiorstw użyteczności publicznej zalicza autor także organizacje sprzedażne albo wytwórcze, będące pod względem prawnym przedsiębiorstwami użyteczności publicznej (syndykaty, kartele i konwencje sprzedażne), ponieważ one drogą posiadania faktycznego przywileju wyłącznej sprzedaży nabierają cech przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, zobowiązanego do obsługi rynku krajowego na określonych warunkach.

Wstępne zasadnicze uwagi swoje kończy autor następującem stwierdzeniem, mogącem uchodzić poniekąd za jego credo w polityce gospodarczej: „Światopogląd liberalny był wyrazem tendencji do rozbicia średniowiecznych, ureglamentowanych rynków municypalnych. Po pewnym przeciągu czasu okazało się, że rynki narodowe, a nawet rynki międzynarodowe zaczęły przybierać formę reglamentowaną, pod wpływem odwiecznej tendencji ludzkiej do porządkowania i stabilizowania. Wolny rynek nie jest więc postulatem pozytywnym. Był on tylko wyrazem tendencji do rozbicia lokalnego średniowiecznego rynku reglamentowanego. Ta tendencja przeciwstawia postulatowi reglamentacji średniowiecznego rynku lokalnego postulat rynku wolnego. Ten postulat w rzeczywistości okazuje się pozornym, gdyż kapitalizm w dalszym prze-

biegu swego rozwoju coraz częściej dąży do organizowania, reglamentowania i stabilizowania rynków narodowych. System gospodarstwa narodowego polega na przemyślanem wiązaniu życia gospodarczego możliwie wszechstronnie z danym obszarem państwowym".

Dr. M. J. Ziomek.

Pamiętniki bezrobotnych, Warszawa 1933, nakładem Instytutu Gospodarstwa Społecznego. Wstęp prof. Ludwika Krzywickiego, stron XXXVIII+606.

Henryk Tennenbaum, autor powyżej omówionej rozprawy, odpowiedział w urządzonej ostatnio ankiecie pisma A. B. C. (Warszawa), że najciekawszą książką, jaką przeczytał w 1932 r., są *Pamiętniki bezrobotnych*. I słusznie. Jeśli napisaliśmy powyżej, że dzieło p. Tennenbauma jest najwybitniejszą publikacją z polskiej literatury ekonomicznej ostatnich czasów, to mieliśmy je na myśli jako zobrazowanie produkcji i zbytu, czyli tych działów ekonomiki, które dotychczas wysuwane są na czoło, a spychają w cień zapomnienia części inne jak zwłaszcza rozdział dochodu społecznego i spożycie. Natomiast *Pamiętniki bezrobotnych* obrazują nam położenie, warunki życia i nastroje tych olbrzymich rzesz ludzkich, które odpadły z procesów produkcyjnych, znalazły się w zupełności poza wytwarzaniem a także niemal zupełnie nie liczą się w dziedzinie spożycia.

Mimo wzmagającego się przesilenia i rosnącego skutkiem tego bezrobocia nie docenia się znaczenia istnienia ogromnych ilości ludzi bezrobotnych. Do olbrzymiej liczby pozbawionych pracy, i to pozbawionych zdaje się na stałe, społeczeństwo, mające pracę, już przywykło, nie lubi nawet, gdy mu się przypomina o ludziach, nie mających zatrudnienia i środków do życia. A jednak fakt istnienia na świecie przypuszczalnie ponad 30 miljonów zdrowych i chętnych do pracy ludzi, a łącznie z ich rodzinami nawet ponad 100 mil. ludzi pozbawionych środków do życia, nie może być bez wpływu na całokształt stosunków politycznych i gospodarczych świata. Z tego należy sobie dość wcześnie zdawać sprawę, aby nie było zapóźno.

Pamiętniki bezrobotnych są wynikiem konkursu, rozpisanego przez Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie. Na konkurs wpłynęło 774 pamiętników. W omawianem wydawnictwie ogłoszono z nich narazie tylko 57. Pochodzą one z obszaru całej Polski, od ludzi najrozmaitszych zawodów. Pamiętniki te odtwarzają w barwach naturalnych i szczerych nastroje panujące wśród bezrobotnych, ich przeżycia i zmiany światopoglądów, wyjaśniają nam na co ci ludzie czekają, czegoby pragnęli i do czego są zdolni. Każdy człowiek, o ile nie chce żyć w ułudnej

rzeczywistości, każdy kto pragnie zdawać sobie sprawę z istotnych nastrojów, aby nie być kiedyś zaskoczonym nieprzewidzianym zbiegiem wydarzeń, musi księgę tę przestudjować dokładnie i namyśleć się nad nią.

Z ogromu żalów, z niezliczonej ilości potwornych swoją zgrozą opisów, przytoczymy poniżej kilka wyrywków, bynajmniej zresztą nie najistotniejszych i nie najdosadniejszych (zachowując wiernie tekst pamiętników):

„Dostałem pracę. Odczułem lżej na sercu. Myślałem, żem się na świat narodził z tej radości. Żona i dzieci odczuli straszną radość w domu, jak zobaczyli, że idę do pracy. Pierwszy tydzień pracowałem o jednej zupie kartoflanej, zapalonej mąką, o chlebie nie było mowy, bo człowiek musiał pozostawić dzieciom. Dopiero po tygodniu tom oddychnął zlekka, a poprzednio tom mdlał na rusztowaniu" (murarz w Warszawie).

„Zaczęła mnie opanowywać jakaś ohydna myśl zemsty za wyrządzoną mi krzywdę, tembardziej, że krzywda dosięgła mnie z ręki państwa, gdyż fabryka była państwowa. Nasuwają się przed oczy obrazy, w których człowiek stawał oko w oko z potwornemi paszczami armat, lub przed drżącem od naporu ognia karabinem maszynowym. I była odwaga. Ani cienia bojaźni nikt nie dostrzegł na mojej prawie dziecinnej twarzy, bo wówczas miałem zaledwie 18 lat, nie było bojaźni, bo skąd miała być, przecież tu chodziło o Polskę, o której tak ludzie marzyli. A dziś? To przecież ta Polska, za którą nie szczędziłem oddać swego młodego życia. To ta Polska swego syna i to może nienajgorszego spycha mnie w bagno nędzy i podłości, pozbawia mnie ulubionego warsztatu pracy, wydziera mi ukochane narzędzie z rozpalonych dłoni i pozbawia mnie wszystkich myśli i czynów. I cóż chce zemnie uczynić?" (cieśla w Warszawie).

„Jako człowiek głodny przedewszystkiem myślę tylko o jedzeniu i narazie żadnych wyższych aspiracyj nie mam. A jeżeli znajdzie się ktoś co mi weźmie za złe to ciągłe myślenie o żołądku, temu mogę dać jedną radę, niech w ciągu dajmy nato 5 dni, pije rano, na obiad i na kolację tylko herbatę, z maleńkim kawałkiem chleba i wówczas niech wypowie swoje zdanie o głodzie. I wtedy ono będzie jeszcze niezupełne, ponieważ on będzie pewien, że tylko te 5 dni ma głodować, ale zato później może jeść do syta" (pracownik imający się wszelkich robót w Warszawie).

„Źle w Polsce! Utraciliśmy, a raczej ojcowie nasi, wolność i niepodległość z takich samych przyczyn, jakie dzisiaj toczą Ojczyznę ku przepaści. Prywata „śmietany" górą! Masy niech giną! Dzisiaj idą jeszcze na ulice i nastawiają się na pałki gumowe i sikawki. Przekonają się, że to nadaremno. Bo co mnie biednemu deptanemu do tego, że „panu" pałac goreje; zgorze i postawi pan sobie nowy. Ja nie będę ni gasił ani też nowego budował, jeśli mnie nie zawezwie i roboty nie zapłaci. A jak mnie zmusi do „odrobienia pańszczyzny" to rąk sobie nie wyrwę! Dzisiaj jeszcze lud idzie na ulicę krzyczeć — a to lepsze dla Ojczyzny od głuchej obojętności narodu na potrzeby krajowe, jako nieswoje" (górnik na Górnym Śląsku).

„Chleb i ciepła woda kartoflana, wodzianka — to me środki do życia od kilku miesięcy. Czyż na to wartało się rodzić i chodzić do szkół, aby dzisiaj marnieć i nie mieć nadziei lepszego jutra? Ogarnia mnie taki szał, że nie znoszę otoczenia ludzi, że nie mogę po nocach sypiać — rozstrój nerwowy, mdłości żołądkowe. Żołądek jest tak skurczony, że nie przyjmuje już żadnych pokarmów" (bona wychowawczyni w Krakowie).

Dr. M. J. Ziomek.

Carl Steuermann: Koniec kapitalizmu. Kurs na kapitalizm państwowy, Warszawa 1933. Wydawnictwo Nowoczesne. Autoryzowany przekład z niemieckiego M. F. Sieniawskiego. Stron 257.

Struktura gospodarstwa społecznego (przedstawiona w pracy p. Tennenbauma) oraz niespotykana klęska bezrobocia (uwydatniona w *Pamiętnikach bezrobotnych*) skłania ludzi do poszukiwania nowych form ustrojowo-gospodarczych i do zniesienia bezrobocia. Ciekawym przyczynkiem w tej mierze jest cytowana książka Steuermanna. Wprawdzie posiada ona przydługi wstęp techniczny i nadmierny balast opisywania stosunków niemieckich, jednak zasługuje na przeczytanie i przemyślenie jako dowód poglądów znacznej części społeczeństwa niemieckiego, a niewątpliwie też polskiego i innych. Autor przedstawia rozkwit techniki współczesnej, powodującej zaistnienie bezrobocia i zniżkę płac. Równocześnie dąży się do zmniejszenia ilości sił roboczych i do obniżania zarobków, skutkiem czego kurczy się siła nabywcza ludności i maleje zbyt towarów. Powoduje to kryzys gospodarczy, tłumaczony przez autora nadmiernemi zyskami monopolowemi. W dalszym ciągu książki zastanawia się Steuermann nad polityką subwencyjną, rozpatruje zasady gospodarki planowej, a zwłaszcza państwowej gospodarki planowej Rosji Sowieckiej, będącej, jak twierdzi, „jedyną gospodarką planową, która nie pozostała tylko teorją i papierową konstrukcją, lecz przemieniła się w konkretną rzeczywistość".

W wyniku rozważań autor opowiada się za kapitalizmem państwowym, gdyż uważa, że rozwój gospodarki kapitalistycznej zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych doszedł do tego stanu, że wypowiedzenie się za albo przeciw gospodarce planowej i kapitalizmowi państwowemu wyrasta do zasadniczego rozstrzygnięcia, niecierpiącego zwłoki. „Pozostaje tylko jedna rada: niech kapitalizm zlikwiduje wolną gospodarkę prywatną, wstąpi na drogę gospodarki planowej, ugruntuje się jako kapitalizm państwowy". Według autora do kapitalizmu państwowego wiodą trzy drogi. Na piewszą wkroczyła Rosja. Nie uważa jej za odpowiednią dla stopnia rozwojowego Niemiec i Europy zachodniej. Druga polega na przejęciu przez państwo gospodarki prywatnej. Wreszcie trzecia droga to naodwrót: państwo zostaje przejęte przez kapitał prywatny. *Dr. M. J. Ziomek.*

Urke-Nachalnik: Życiorys własny przestępcy. Przedmowę napisał Dr. Stefan Błachowski, prof. Uniw. Pozn. Opracował Stanisław Kowalski, Mg. Fil. Nakł. Tow. Opieki nad więźniami: „Patronat", oddział Rawicz. Poznań 1933, str. 382.

„Czytelniku, wiem to i rozumiem, że, czytając moje pismo, mimowoli zapytasz, jak ten człowiek mógł być tak bezwstydny, nawet podły, by tak bez ogródek pochwalić się i opowiadać swoje zbrodnie?... Odpowiem: — Chcę opisać i przedstawić tu

z całą nagością prawdę, by wykazać, jak podobni ludzie żyją i umierają, jak kochają i nienawidzą" (Str. 168). Istotnie pytanie takie nasuwa się wielokrotnie przy czytaniu tej smutnej książki. Syn zamożnej rodziny żydowskiej, przeznaczony przez matkę na rabina, kształcony nawet w tym kierunku przez szereg lat, stacza się już w wczesnej młodości w bagno występku. Od mniejszych kradzieży posuwa się do coraz większych, aż wreszcie zostaje zawodowym włamywaczem. Schemat tego pamiętnika przedstawia się zatem bardzo prosto, obejmuje bowiem, poza wspomnieniami z młodości, cyklicznie powracające trzy etapy: kradzieże i włamania, potem lekkomyślne puszczanie pieniędzy w towarzystwie społecznych mętów lub osób z półświatka, wreszcie aresztowanie i pobyt w więzieniu. Po opuszczeniu więziennych murów rozpoczyna się znowu poprzednia historja. Schemat zostaje, zmieniają się szczegóły i dekoracja. Wszystko opisane „bez ogródek"; prawda, przedstawiona „z całą nagością" życiowej pornografji.

Dla psychjatry diagnoza niezbyt trudna, poprostu: *moral insanity*. Psycholog może wgłębiać się w problem bezprzykładnej słabości woli u tego degenerata, który ciągle postanawia poprawę i ciągle wraca do zbrodni a rozgrzesza się dość łatwo twierdzeniem, iż całem przekleństwem jego życia są kobiety. Literata uderzyć musi nie dający się zaprzeczyć talent żywego i obrazowego opisu. Ponieważ zaś „życiorys przestępcy" jest zgóry przeznaczony dla publiczności, a nie pisany spontanicznie i dla siebie jako pamiętnik, przeto „literackości" jest chwilami zawiele, może nawet z uszczerbkiem wiarogodności. Książka ta specjalnie może zainteresować socjologa i prawnika.

„Życiorys własny przestępcy" jest jednem z dalszych ogniw ludowej serji życiorysów, które dzisiaj wchodzą w modę. O ile jednak takie „Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych", Jana Słomki, czy „Żywot chłopa i działacza", Franciszka Magrysia... mają swą wartość społeczną, uszlachetniającą i kształcącą, o tyle autobiografje tego rodzaju jak: „Życiorys własny robotnika", Jakóba Wojciechowskiego, a w wyższym jeszcze stopniu: „Życiorys własny przestępcy", Nachalnika — uważamy za zjawisko społecznie i pedagogicznie wysoce szkodliwe.

„Życiorys własny przestępcy" nie posiada żadnych pozytywnych wartości etycznych, społecznych czy pedagogicznych. Jak prof. Błachowski słusznie we wstępie zaznacza, „nie jest to lektura budująca i uszlachetniająca. Tłem przeżyć autora jest bagnisty teren melin złodziejskich, szynków i domów publicznych, w których grzęźnie słaby charakter, i ciemna ponura cela więzień rosyjskich i pruskich, będąca — jak sam pisze — matką zbrodni". Co więcej, jest to lektura społecznie i pedagogicznie bardzo szkodliwa; pomijając bowiem nawet brutalne i naturalistyczne opisy, które książce dają pornograficzne zabarwienie — opisywanie techniki dokonywania rozmaitych zbrodni i cały na-

strój łatwego złodziejskiego zarobku i życia, za którem zbrodniarz-recydywista, Urke-Nachalnik, mimo wszystko tęskni i do którego stale wraca, a nawet po napisaniu tej książki najprawdopodobniej powróci — wszystko to sprowadza ów życiorys do poziomu sensacyjno-kryminalistycznej literatury, nie różniącej się wiele od „Tajnego Detektywa" i jemu pokrewnych pism. I dlatego nie taimy naszego zdziwienia, iż profesor uniwersytetu poznańskiego użyczył tej książce, o bardzo wątpliwej wartości, autorytetu swojego nazwiska. Nie przekonywują nas bynajmniej podane przez niego racje, jak i pseudo-naukowy aparat p. Kowalskiego. P. Kowalski powołuje się wprawdzie i zasłania powagą profesora dra Florjana Znanieckiego, który listownie wyraził się o „Życiorysie...", iż „jest pierwszorzędny; Dr. Piotrowski referował go na mojem seminarjum przed 3 tygodniami i referat wzbudził ogólne zainteresowanie. Stanowczo warto życiorys drukować..." (Str. X).

I naszem zdaniem autobiografja Nachalnika może stanowić interesujące studjum ale na uniwersyteckiem seminarjum, owszem warto ją było nawet drukować, ale w piśmie, przeznaczonem dla fachowców. W ten właśnie sposób Walter Lüz świeżo wydrukował: *Das Verbrechen in der Darstellung des Verbrechers. Ein Beitrag zur Naturgeschichte des kriminellen Menschen*, ale w fachowem piśmie: *Monatschrift für Kriminalpsychologie und Strafrechtsreform*. Heidelberg. Można wreszcie było wydrukować tę książkę, ale w żargonie żydowskim, by społeczeństwo żydowskie, z którego Nachalnik wyszedł miało materjał do studjum psychologji żyda, degenerata i przestępcy. Atmosfera chederów i jeszywetów, w której chował się i kształcił Urke-Nachalnik, środowisko żydowskich paserów i włamywaczy, w którem przeważnie przebywał, wreszcie specyficznie semicki erotyzm — wszystko to może specjalnie zainteresować społeczeństwo żydowskie. Obdarzenie zaś społeczeństwa polskiego tą książką, przeznaczoną dla wszystkich i wszystkim dostępną uważamy za rzecz bezwzględnie ujemną. Wprost zaś pojąć nie mogę, iż nakładcą jest Towarzystwo opieki nad więźniami: „Patronat". Z jednej strony opieka a z drugiej szerzenie zgnilizny moralnej. W najlepszym razie brak w tem wychowawczej logiki.

Książce Wojciechowskiego robił rozgłośną reklamę, na łamach „Wiadomości Literackich", Boy-Żeleński, życiorysem Nachalnika zachwyca się J. E. Skiwski, admirator Boya. W odpowiedzi na ankietę A B C o najciekawszej książce, p. Skiwski oddał prymat właśnie dziełu Nachalnika. W krótkiem umotywowaniu swego wyboru podaje między innemi i tę rację, iż książka ta „czyni zadość tak ostro dziś zaznaczonemu dążeniu do poznania prawdy życia w pełnym wymiarze i bez względu na wszystko, co nam się może wydać w niej odstręczające lub potworne". Oczywiście maksymy tej nie przyjmiemy. Są w życiu „rzeczy odstręczające i potworne" których poznanie przynieść może bardzo

wiele szkody. I etyka i pedagogja i dobro społeczne przemawiają przeciw publikowaniu takich właśnie potworności. I dlatego wydanie książki Nachalnika dla szerokiej publiczności uważamy za czyn nieetyczny i wysoce szkodliwy.

Ks. E. Kosibowicz.

Studja lwowskie. („Bibljoteka Lwowska" t. XXXI i XXXII). Lwów 1932 str. XVI+407.

Miłośnicy starego Lwowa obchodzili ubiegłego roku dwie zbieżne chronologicznie uroczystości; 25-lecie istnienia Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa i 40-letni jubileusz pracy naukowej Dr. Aleksandra Czołowskiego, prezesa Towarzystwa i dyrektora Archiwum m. Lwowa. Dla uczczenia tych dwóch jubileuszów wydało wspomniane Towarzystwo pokaźny tom, owoc pracy zbiorowej pod redakcją K. Badeckiego. Zawiera on 21 artykułów, głównie z przeszłości bohaterskiego grodu. Bezpośredni związek z uroczystościami ma ustęp, napisany przez Ł. Charewiczową, dający zwięzły zarys działalności Towarzystwa Miłośników Lwowa, które przyczyniło się walnie do rozbudzenia tak żywego w tym kresowym grodzie patrjotyzmu lokalnego, a przez 30 tomów wydawanej przez siebie „Bibljoteki Lwowskiej" posunęło silnie naprzód studja nad regjonalną historją kresów południowo-wschodnich i ich pięknej stolicy. Z pośród artykułów jeden jest poświęcony rozległej działalności naukowej, konserwatorskiej i kulturalnej dyr. Czołowskiego, który prócz licznego dorobku drukowanego pozostawia po sobie we Lwowie cztery muzea miejskie, w znacznej części przez siebie zorganizowane, nie mówiąc już o bardzo cennych zbiorach prywatnych. Trudno podawać treść wszystkich artykułów. Zabrała w nich głos starsza i młodsza generacja historyków, literatów i znawców sztuki, by wyczarować piórem wizje z przeszłości ukochanego miasta, jego doli i niedoli, by wspomnieć momenty chluby i radości, oraz bolesne przejścia, szczególnie w epoce porozbiorowej. Do najciekawszych należy studjum Ł. Charewiczowej, przedstawiające wcale skuteczne usiłowania w kierunku podźwignięcia i uporządkowania miasta, jakie podjęto pod koniec rządów polskich we Lwowie w latach 1766—1769. Na wyróżnienie zasługuje również artykuł R. Mękickiego o mennicy lwowskiej, która działała w okresie „potopu" szwedzkiego (1656—1657) pod kierunkiem sekretarza królewskiego Hieronima Pinocciego, aczkolwiek nie jest wolny od pewnych braków, ponieważ autor nie wyzyskał należycie obfitej spuścizny rękopiśmiennej po rodzinie Pinoccich, przechowanej w Archiwum miejskiem w Krakowie. Wysoce estetyczna szata zewnętrzna czyni z tej książki prawdziwą ozdobę bibljoteki domowej, a dla lwowian, namiętnie rozkochanych w swem ojczystem mieście, stanowi ona zarazem miłą i drogocenną pamiątkę.

M. N.

Dr. St. Truchim. Bibliographie (pédagogique polon.) L'education, Juillet 1932.

Czasopismo *L'Education*, wychodzące w Verneuil sur Avre pod kierunkiem G. Bertiera, wydało Nr. 10 swego 23 rocznika, poświęcony specjalnie wychowaniu i szkołom polskim. Złożyły się nań artykuły: G. Bertiera o odrodzeniu polskiego szkolnictwa, Dr. Jana Kuchty o organizacji szkół w Polsce, G. Seweryna o wychowaniu właściwem, Dr. J. Zaleskiego o uzupełnianiu wykształcenia, Dr. St. Kopczyńskiego o higjenie szkolnej, Dr. E. Kownackiej o centralnym instytucie wychowania fizycznego, wreszcie Dr. St. Truchima o bibljografji pedagogicznej polskiej.

Niewątpliwie najwięcej pracy i wiadomości włożył w swój artykuł Dr. Truchim, wybitny znawca przedmiotu i wykładający go na jednej z warszawskich szkół wyższych. Rzecz swoją dzieli na dwa rozdziały, poświęcając jeden wydawnictwom, drugi czasopismom pedagogicznym. Tak jedne jak i drugie układa nie alfabetycznie, lecz rzeczowo, nie spisując je ryczałtem, lecz grupując według treści i dodając własne objaśnienia. Powstaje stąd rzecz niezmiernie instruktywna i zdumiewająca bogactwem materjału, mimo że autor przytacza dzieła tylko najważniejsze w tej dziedzinie.

M. G.

Ks. Antoni Liedtke: Walka księcia Jana Opolskiego „Kropidły" z Krzyżakami w obronie majątkowych praw diecezji włocławskiej. *Rocznik Tow. Nauk w Toruniu t.* 38, Toruń 1932, str. XVI+138.

Postać księcia Jana Opolskiego, który w burzliwych kolejach swego niespokojnego żywota zasiadał na kilku stolicach biskupich, mianowicie w Poznaniu, Włocławku (dwa razy), Gnieźnie i Kamieniu, spotkała się w historjografji z ujemną naogół, ale sprzeczną w szczegółach oceną. Już współcześni odmiennie oceniali jego stosunki do państwa polskiego i Zakonu krzyżackiego, a ta rozbieżność poglądów utrzymała się również w nowszej historjografji niemieckiej i polskiej, pierwsza widzi w Kropidle przyjaciela Jagiełły i wroga Zakonu, druga przeciwnie jest skłonna odsądzić go jako zdrajcę od czci i wiary (Prochaska). Ks. Liedtke podjął trud rewizji dotychczasowych poglądów na podstawie rozległych studjów archiwalnych, które pozwoliły mu przedstawić działalność biskupa Jana w nowem właściwszem świetle. Okazało się, że — jak zwykle w takich wypadkach — prawda leży w pośrodku. Kropidło nie był ani zausznikiem Krzyżaków, ani zawziętym nieprzyjacielem Zakonu, lecz starał się lawirować między obydwiema wrogiemi potęgami, Polską i Litwą z jednej, a państwem krzyżackiem z drugiej strony. Do takiej chwiejnej polityki skłaniała go jego pozycja jako pasterza diecezji włocławskiej, położonej częściowo na terytorjum Polski, częściowo w obrębie dzierżaw Zakonu. Toteż w czasie wojny polsko-krzyżackiej Kro-

pidło zachowywał ścisłą neutralność; mimo to nie uniknął ciężkich strat, gdyż obydwie strony walczące nie ufały mu i traktowały go jak przeciwnika. Krzyżacy postanowili wyzyskać okazję wojenną i osiągnąć zdawna upragniony cel t. j. oderwanie archidiakonatu pomorskiego od diecezji włocławskiej. W tym celu pod pretekstem zdrady ze strony biskupa Jana zajęli majętności biskupstwa na Pomorzu i zatrzymali dochody, stamtąd płynące, a następnie rozpoczęli kampanję przeciw biskupowi w kurji papieskiej. Plany krzyżackie spełzły jednak na niczem, gdyż Kropidło podjął energiczną akcję w obronie swych praw, a wobec notorycznej słuszności swych zażaleń wygrał sprawę zarówno przed trybunałem króla rzymskiego Zygmunta, jak i przed sądem soboru w Konstancji. Kropidło nie potrafił wszakże przeforsować wykonania tych korzystnych dla siebie wyroków, lecz wyczerpany finansowo długoletnim sporem wdał się w układy z Krzyżakami i w ugodzie toruńskiej z r. 1418 przyjął znacznie gorsze warunki; uzyskał w każdym razie zwrot dóbr biskupich, odszkodowanie w kwocie 5000 kóp groszy praskich i wyższą normę dziesięciny. Najważniejszym jednak sukcesem i zasługą zarazem biskupa Kropidły stanowiło utrzymanie łączności kościelnej między Pomorzem a resztą ziem polskich.

M. N.

Dr. St. Truchim, Augusta Sułkowskiego projekt organizacji szkolnictwa w Polsce. Warszawa 1932. Odbitka z *Oświaty i wychowania.*

Dr. Truchim należy do tych szczęśliwych badaczy i historyków, którzy w swych poszukiwaniach odkrywają nieznane dotąd a wielce interesujące przyczynki i rozjaśniają niemi znacznie badaną przez się epokę. Do takich odkryć należy znalezienie w Archiwum Sułkowskich w Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu projektu organizacji szkolnictwa w Polsce, jaki August Sułkowski, wojewoda gnieźnieński, przedstawił w 1773 r. Komisji Edukacji Narodowej.

Projekt jest niezwykle oryginalny. Projektuje zatem szkoły wiejskie dla chłopców i dziewcząt z nauczycielami na czele, utrzymywanymi wspólnie przez gminę i proboszczów. Wyjątkowo dopuszcza do pracy nauczycielskiej zakonników, organistów i kościelnych. W miastach projektuje zakładać szkoły średnie połączone z klasami wstępnemi, na których utrzymanie szłyby fundusze pojezuickie. Poza tem Opaci mieliby obowiązek utrzymywać 12 młodych uczniów przez cały czas ich szkolny. Dotychczasowe szkoły klasztorne winny nadal pozostać, ale muszą być bezpłatne. Przewiduje i szkoły zawodowe.

Szkół wyższych projektuje trzy: w Krakowie, Wilnie i Poznaniu. Każda z tych Akademij ma się dzielić na dwa działy, na Akademję Wojskową i Cywilną. Cywilna zaś ma być podzielona

na cztery fakultety: teologii, filozofji, prawa i medycyny. W każdej Akademji Wojskowej ma się uczyć 70 bezpłatnych i 30 płatnych kadetów, którzy po ukończeniu jej przydzieleni zostaną do pułków. Co do Akademji Cywilnych to projektował zniesienie autonomji uniwersyteckiej i żądał, by każdy kto chce być księdzem, kończył wydział teologiczny i filozoficzny, tak samo kto chce być sędzią lub adwokatem, by musiał mieć za sobą wydział prawniczy, a lekarzem wydział medycyny. Najwyższym typem szkoły miało być, według Sułkowskiego, Specjalne Kolegjum dla szlachty w Warszawie, którego ukończenie otwierać będzie najpierwsze stanowiska w państwie oraz Akademja Stu Kadetów pod kierunkiem samego króla w Warszawie.

Nauczanie dziewcząt oddaje Sułkowski w ręce klasztorów żeńskich, które również mają pokrywać z nadwyżki dochodów klasztornych wydatki na utrzymanie uczennic. Wogóle projektodawca obciąża bardzo znacznie duchowieństwo wydatkami szkolnemi, kładzie duży nacisk na wykształcenie zawodowej inteligencji i korpusu oficerskiego, ale jest zarazem przeciwnikiem autonomji szkolnej. Zasługi jego dla Edukacji Narodowej są niemałe.

M. G.

Bogumił Hoffmann: Wykonanie Bulli „De Salute Animarum" w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Poznań 1932, Drukarnia Nakładowa Józefa Kawalera w Szamotułach.

Praca rozświetla na tle Bulli Stolicy św. prawie wszystkie warunki Kościoła, a w części całego zaboru Wielkiego Księstwa Poznańskiego, w początkach XIX w. Z przyjemnością przerzuca się kartki tego studjum, tak sumiennie, źródłowo i bezstronnie jest wszystko przedstawione. Niespożyty duch Kościoła występuje obok gorącej miłości ojczyzny, mimo ścisłej przedmiotowości, w jasnem świetle. Uzasadnione więc jest pragnienie jak największego rozpowszechnienia tej pracy. Jest bowiem bez wyraźnego zamiaru opromieniem Duchowieństwa Wielkopolskiego owych czasów i chlubą dla całej ludności owej dzielnicy.

L. C.

P. Lippert: Vom guten Menschen. Freiburg, Herder 1931, str. 359.

Książka o dobrym człowieku. Więcej nie potrzeba powiedzieć o książce tej, by ją polecić. Tytuł sam mówi za siebie. A treść odpowiada mu w pełni. Człowiek współczesny z całą swoją problematyką, z duszą chorą i zwątpiałą a przecież na dnie serca swego szczerze dobrą, z całą swoją walką i bólem, z całą dumą swoją i słabością i z tem wyczerpującem szukaniem dróg wśród labiryntu zagmatwanych prądów — oto treść tej książki. Litera czy duch, droga na przebój czy cierpliwe znoszenie, dać niebo czy chleb powszedni, być prawym tylko, czy też dobrym nadto, czy dobrym uległością, czy siłą, dobry jednemu, czy

wszystkim — oto problematy w niej poruszane. Człowiek nadczłowieczeństwa prawdziwego, człowiek kapłaństwa świętego, człowiek prawdziwie dobry, świadomy swego człowieczeństwa i swoich praw, celu swego i swoich czasów, swoich dróg i mocy w sobie złożonej nakreślony tu w całej piękności swojej artyzmem wykończonym i głębią niezrównaną.

Jeszcze nigdy nie pisano o człowieku z taką psychologją rozumnego serca i matczyną wprost czułością słów, mową tak głęboką a ujętą w szatę tak przystępną i powabną — pisze krytyka zagraniczna — jak w tej książce.

W.

Ks. Franciszek Sroka: Inteligent. Nowy Targ, 1932, str. 352. Nakładem autora.

„Ramionami, dodanemi przez Boga i Kościół do umysłu i serca duszpasterza" nazwał Pius XI religijnie urobioną inteligencję. Na brak takiej właśnie warstwy w strukturze naszego społeczeństwa wskazywano już niejednokrotnie, i o jej wytworzenie szły od lat nawoływania. Czcig. Autor nietylko nawołuje, ale naszej inteligencji, — na którą, mówiąc nawiasem, najczęściej patrzy oczyma ludu — daje wskazania, co i jak ma robić, żeby się wzniosła na wyższy poziom uświadomienia religijnego. Głębsze poznanie siebie i celu swego życia, zrozumienie istoty Kościoła i państwa — oto właściwy katolickiej inteligencji zakres wykształcenia i wyrobienia duchowego. Pogłębianie indywidualnych wartości duchowych i zbiorowej kultury, pielęgnowanie i głoszenie prawdy, umoralnianie ludu, udział tak w Akcji Katolickiej jak w charytatywnej — oto znów zadanie naszej katolickiej inteligencji. W ostatnim rozdziale (280—343) przypomniano jej jeszcze obowiązki rodzinne, określono stosunek do młodzieży i wskazano na rolę nadnatury w życiu jednostki, rodziny i państwa.

Poruszono więc, jak widzimy, zagadnienia, które dopuszcza się do głosu tylko podczas t. zw. rekolekcyj dla inteligencji. Ale mimo podobieństwa treściowego zachowano dużą odrębność w ich ujęciu. Miejsce kaznodziejskiego patosu zajął eforyzm czy jakieś „powiedzonko", a zamiast kościelnych powag w mitrach i biretach przemawiają inteligenci w marynarce. Całość wywodów, z nielicznemi wyjątkami, układa się w wartki nurt pouczenia, idącego — ot tak „z serca do serca". I dla tej właśnie serdeczności, tętniącej nawet we właściwem chyba wszystkim duszpasterzom gderaniu, chętnie darujemy Autorowi różne truizmy, nieuniknione nawroty i niedość może konsekwentne rozplanowanie strukturalne. W każdym razie omawiana książka pobudza do myślenia i choć częściowo spełnia rolę bessièrowskiej *L'Évangile du Chef.*

J. K.

Quinet Abbé: Pour mes tout-petits. Vingt leçons de Catéchisme Evangélique par la méthode active. Editions Spes, 1932, str. 372.

Najbardziej postępową, a zarazem modną metodą nauczania jest dzisiaj metoda zwana u nas szkołą pracy, a we Francji raczej metodą aktywną. Pod wpływem ogólnego prądu, a nawet pod naciskiem decydujących w szkolnictwie czynników, spróbowano przenieść tę metodę także i do nauczania katechizmu. Sprawa nie jest łatwą; treść katechizmu stanowią prawdy bardzo wzniosłe, duchowe, abstrakcyjne, które niezmiernie trudno przedstawić i przybliżyć umysłowi dziecka w formach zmysłowych, a cóż dopiero zaktualizować je i ująć w formę zabawy, czy pracy konkretnej, doświadczalnej. Ze szczególnem zainteresowaniem śledziłem dyskusję, jaka się rozwinęła około tego zagadnienia u nas, szukałem przedewszystkiem nie teoretycznych wywodów, ale konkretnych przykładów przeprowadzenia, na najniższym zwłaszcza stopniu nauczania, teoretycznego programu. Przeprowadzenia tego dotąd, o ile się nie mylę, nie znalazłem. Przynosi je dopiero naprawdę świetny, pierwszorzędnej wartości podręcznik ks. Quineta. Francuska literatura katechizmowa ze szczególnym pietyzmem i troskliwością zajmowała się i zajmuje nauczaniem katechizmu dzieci z okresu przedszkolnego i najniższego stopnia. Książka ks. Quineta została uznaną przez krytykę francuską za jedną z najlepszych pozycyj tej literatury. Pierwszorzędna znajomość duszy dziecka, przystępność wykładu, połączona z niewyczerpanem bogactwem pomysłów w przedstawianiu najtrudniejszych nawet pojęć i prawd, a wreszcie ścisłe łączenie z nauką praktyki życia religijnego, wpajanie w dusze dziatwy szczerej pobożności — oto zalety omawianego podręcznika.

s.

Ks. Henryk Weryński: Zew Apostolski. Kraków, 1933. Stron 216, VIII. Cena 4 zł. Skład główny: Księgarnia M. Łubieńskiej, Kraków, ul. Florjańska 1.

Autor tego zbioru przemówień kościelnych pracuje jako publicysta od szeregu lat. Znany jest także ze swych chlubnych występów na ambonie. Z zakresu kaznodziejstwa drukował swe publikacje w „Nowej Bibljotece kaznodziejskiej" w Poznaniu, a nadto wydał osobno: „Testament Zbawiciela" (kazania pasyjne na tle siedmiu słów Zbawiciela), „Młodzi na bój" (kazania przed uroczystością św. Stanisława Kostki) i „Praca dla Ojczyzny" (kazania patrjotyczne).

Obecny zbiór 52 przemówień na wszystkie niedziele w roku ogłasza autor jako „Zew Apostolski", gdyż te krótkie przemówienia oparte są na tekście lekcyj mszalnych, wziętym — jak wiadomo — przeważnie z listów apostolskich. Skierowane są one głównie do inteligencji, mogą jednak posłużyć i do egzort dla starszej młodzieży. Choć ujęte są w formę gotowego kazańka,

mają jednak kaznodzieі służyć raczej za podnietę do pogłębienia treści danej lekcji. Dobór tematów bardzo urozmaicony i szczęśliwy, a uwzględniający także liturgiczne okresy roku kościelnego. Wobec konieczności krótkich przemówień niedzielnych w naszych czasach, „Zew apostolski" odda kapłanom rzetelną przysługę, gdyż jest prawdziwym wzbogaceniem naszej literatury kaznodziejskiej.

Ks. Fr. Kwiatkowski.

Dictionnaire de Spiritualité ascétique et mystique. Doctrine et histoire. Publié sous la direction de M. Viller S. J. avec le concours d'un grand nombre de collaborateurs. Fascicule I: Aa-allemande (spiritualité). Paris 1932, Beauchesne, in 4⁰, str. 160, kolumn 320, 1 zeszyt w subskrypcji 20 fr.

Francuzi słusznie mogą się pochlubić, że w dziedzinie umiejętności teologicznych dali światu wiele rzeczy wartościowych, oryginalnych i praktycznych. Wszystkie te trzy przymioty można śmiało przypisać zwłaszcza francuskim encyklopedjom (dictionnaire), w których kolejno opracowują ważniejsze działy wiedzy religijnej. I tak w *Dictionnaire apologétique de la foi catholique* mamy opracowaną apologetykę katolicką; liturgję zaś i archeologję w *Dictionnaire d'archéologie chrétienne et de liturgie*; dogmat katolicki w *Dictionnaire de théologie catholique*; umiejętności biblijne w *Dictionnaire biblique,* historję i geografję kościelną w *Dictionnaire d'histoire et de géographie catholique.*

Rozległe pole wewnętrznego życia, przebogaty dział ascezy i mistyki chrześcijańskiej, zamierza opracować w sposób encyklopedyczny, nowy *Dictionnaire de Spiritualité.* Według zapowiedzi wykona to w 20 zeszytach, liczących po 160 stronnic foljałowych, względnie 320 kolumn. Głównymi redaktorami będą fachowcy w tej dziedzinie, znani z licznych prac, umieszczanych zwłaszcza w kwartalniku *Revue d'ascétique et de mystique.* Są to OO. Viller, Cavallera i de Guibert T. J. Zapewnione współpracownictwo najwybitniejszych pisarzy z pośród duchowieństwa diecezjalnego i zakonnego. Już w pierwszym zeszycie występuje 39 współpracowników. Mile uderza zwięzłość artykułów, większa niż w innych Dictionnaire'ach, ogrom wiedzy historycznej, a przedewszystkiem nadzwyczajna staranność o objektywne przedstawienie różnych zapatrywań katolickich na tę samą sprawę. Tak np. o wzroście cnót (accroissement de vertus) pisze najpierw dominikanin na 17 szpaltach, a później ten sam temat według Suareza przedstawia jezuita. Niektóre artykuły, jak „Abnégation", „Abus de la grâce", „Admiration", „Adoration", „Affections", „Affective" (spiritualité) to wyborne traktaciki, odznaczające się treściwem i wyczerpującem przedstawieniem tematu, jak i mnogością szczegółów historycznych. Nowy *Dictionnaire* witamy serdecznie.

J. Andrasz.

Hedley O. S. B.: Lehre mich deine Wege. Insbruck 1932. Tyrolia, str. 292.

Są to ćwiczenia duchowne (rekolekcje) dla kapłanów i dusz zakonnych, które w oryginale angielskim dosięgły już liczby 12 wydań, a obecnie zostały opracowane i przełożone na język niemiecki przez benedyktyna Redlicha. Zaleca je jasny, praktyczny wykład praw rekolekcyjnych. Unosi się nad niemi święta powaga wieczności, a równocześnie ojcowska dobroć Boga. Uważane są za jedne z lepszych.

J. A.

Dr. Johannes Brinktrine: Die heilige Messe in ihrem Werden und Wesen, str. 288.
Tenże: Das römische Brevier, Paderborn 1932, Schöningh, str. 141.

W liturgji naczelne miejsce zajmuje ofiara Mszy św. i tak zwane pacierze kapłańskie czyli brewjarz. Jedno i drugie ma stanowić według myśli Kościoła pewną całość przynależną do siebie. Centrum stanowi ofiara św., a dokoła niej grupują się różne części brewjarza, czyli godziny kanoniczne, częścią jako przygotowanie do Mszy św. częścią jakby jej echo. — Obecne formularze mszalne i obecny brewjarz przeszły w obrządku łacińskim bardzo długą ewolucję, a dla pobożności chrześcijańskiej wielce interesującą. Autor w obu swych książkach daje gruntowny szkic historyczny tej ewolucji, odznaczający się dwoma przedewszystkiem przymiotami: sumiennem wyzyskaniem dotychczasowych badań na tem polu, a powtóre niektóremi własnemi wynikami. Obie te książki wprowadzają w należyte zrozumienie łacińskiej Mszy św. i brewjarza także pod względem religijno-ascetycznym.

J. Andrasz.

Z wydawnictw S. A. „Ostoja", Poznań (ul. Pocztowa 15).

Z pośród tanich a pożytecznych wydawnictw księgarni „Ostoja" wspomnieć należy Prawo przeciw pornografji. W małej 30-stronicowej broszurce zebrał Władysław Oleksy najważniejsze przepisy prawne, zawarte w Konwencji międzynarodowej i w ustawodawstwie polskiem. Autor zestawia prawo prasowe, o widowiskach i filmowe, dołącza postanowienia nowego Kodeksu karnego i inne przepisy wykonawcze. W walce z pornografją odda znajomość tych rzeczy niemałą usługę.

Drugiem pożytecznem wydawnictwem jest serja Żywe słowo, podająca na 4 stronach gotowe wykłady na aktualne tematy (cena 15 groszy). Dotąd wydano 4 numery: o czystości w prasie i widowiskach, potędze i znaczeniu prasy, walce z demoralizacją, 10 przykazaniach apostoła dobrej prasy.

Nowością jest wychodzący od października ub. r. ilustro-

wany miesięcznik dla chłopców i dziewcząt p. t. *Orlątko.* Poszczególne zeszyty obejmują 16—32 stron druku, w kartonowej barwnej okładce. Treść jest urozmaicona, dobór współpracowników staranny.

S.

Ks. Stefan Momidłowski: Kazania o Męce Pańskiej. Miejsce Piastowe, Wydawnictwo Tow. św. Michała Archanioła, 1932. Str. 140.

Wszystko się schodzi w tych kazaniach, Stary i Nowy Testament, przepowiednie i wypełnienie przepowiedni, rzewne strofy „Gorzkich żalów" i krótkie ale barwne opisy miejsc, zdarzeń, dobitne i trafne charakterystyki osób, tak, że Kazania powyższe noszą na sobie cechę praedicationis Christi Crucifixi, a zarazem działają silnie na wyobraźnię, w dobrem zaś wygłoszeniu mogą przykuć do siebie uwagę słuchacza. Autor do swych 7 kazań obrał sobie sceny z Męki Pańskiej i przechodzi całość od wjazdu P. Jezusa do Jerozolimy aż do pogrzebu. Szczególnie uderza w tych Kazaniach jasne rozłożenie treści, stąd łatwość do zapamiętania, a powtóre wspaniała, iście misjonarska amplifikacja w zastosowaniach praktycznych, co znów oczywiście wymaga szerokiego gestu i potężnych uczuć u samego kaznodziei, który je wygłasza.

Ks. J. G.

O książkę ks. F. Machaya.

W związku z recenzją książki *Zadania duszpasterskie świeckich,* umieszczoną przed miesiącem w naszem piśmie, otrzymaliśmy od Czcig. Autora następującą odpowiedź na zarzuty.

Przew. ks. Jan Rostworowski T. J. w recenzji swej o mojej pracy stwierdził, że „z zadania swego wywiązałem się wogóle dobrze"... i że „na zasadnicze tezy, w książce rozwinięte i uzasadnione, z pewnością każdy się zgodzi". Taka ocena moich kilkuletnich trudów przez jednego z najgłębszych myślicieli Polski współczesnej i jednego z najwybitniejszych kapłanów, początkującego „naukowca" może napełnić radością. Ale... Mój wielce czcigodny Recenzent do życzliwej — krótkiej — oceny dołączył na trzech stronach kilka „szczerych uwag", z których niektóre sprawiły mi wielką przykrość. Wiem, że O. Rostworowski, pisząc pod moim adresem ostre nieraz słowa, chciał mi wyrządzić kapłańską i przyjacielską przysługę. O gniewie zatem mowy być nie może. Tem bardziej nie, że, sądząc z recenzji, musiał i on odczuwać ból przy czytaniu oraz po przeczytaniu mojego dziełka, za co otrzymałem ciosy uderzenia tak kochanej ręki, jaką jest dla mnie prawica O. Rostworowskiego.

O. Rostworowski wytyka mi „jednostronność a skutkiem tego niesprawiedliwość"; zarzuca mi dalej że „wydałem sądy lekkomyślne i mało uzasadnione" o zakonach i pobożnych zrzeszeniach.

Pierwszy zarzut O. Rostworowskiego brzmi w ten sposób: „Na str. 57, pisze ks. Machay bez zająknienia — daremnie szukałem poprawki do tego ustępu w Erratach: — Kardynał Prymas uznał w swych archidiecezjach za „katolickie" następujące stowarzyszenia (tu wyliczonych ośm), z których składa się Akcja Katolicka. Czyż więc wszystkie inne są

niekatolickie? Czy wystarczy pociecha dodana przez autora, że może kiedyś będzie uznane za katolickie ośmdziesiąt"?

Bardzo proszę wielce czcigodnego Recenzenta, by zechciał wziąć do ręki moje dziełko. Na str. 57 i poprzednich, rozpatrywane jest pytanie: jakie stowarzyszenia tworzą Akcję Katolicką? Przytoczyłem ile i jakie stowarzyszenia tworzą włoską *Azione Catholica*, w diecezji wrocławskiej i w archidiecezjach gnieźnieńskiej i poznańskiej. Wszystko wypisałem ze statutów. I rzeczywiście: przytoczone przeze mnie statuty nie zaliczają do Akcji Katolickiej ani zakonów ani zrzeszeń pobożnych przez nie prowadzonych, czyli sodalicyj, bractw i trzecich zakonów, za co odzywa się do mnie O. Rostworowski z wyrzutem: „Cóż więc dotychczasowa praca zakonów? Cóż tych zakonów dzieła i stowarzyszenia?" Zakony nie mogą tu pod żadnym warunkiem wchodzić w rachubę, bo zakony — to nie stowarzyszenia ludzi świeckich! Ale zrzeszenia pobożne, przez zakony prowadzone, składają się przecież ze świeckich, a w mojej pracy nie są zaliczone do Akcji Katolickiej. Dlaczego tak postąpiłem, wyjaśniam na str. 58, tuż po słowie „ośmdziesiąt" przez O. Rostworowskiego cytowanem: „Pobożne zrzeszenia są przez Ojca św. uznane za stowarzyszenia pomocnicze Akcji Katolickiej. Trzecie zakony, sodalicje i bractwa nie należą zatem do Akcji Katolickiej, lecz przygotowują do niej swych członków. Ks. biskup Adamski celem wyszkolenia apostołów świeckich zorganizował „Misję Wewnętrzną", do której zaliczył bractwa, kongregacje, sodalicje i trzecie zakony". Jeżeli więc te stowarzyszenia nie zaliczyłem do Akcji Katolickiej, to nie dlatego, jakobym o pracy przez nie wykonywanej nie wiedział, lecz postąpiłem w ten sposób dlatego, ponieważ kierowałem się listem Ojca św. z 3. III. 1931 (*Prąd*, 1931, 204). W numerze styczniowym (1933) ogłasza *Ruch Katolicki* urywki z przemówienia Ojca św. do Sodalicyj Marjańskich oraz listu kardynała Sekretarza Stanu Pacelliego do komandora Ciriaci — z 30. III. 1930 — które całkowicie potwierdzają moją tezę, że mianowicie zrzeszenia pobożne nie należą do Akcji Katolickiej, lecz są jej dziełami pomocniczemi.

A teraz zarzut drugi, którym jest moje twierdzenie, że: „Faktem jest, że bractwa, trzecie zakony i sodalicje są raczej ogniskami dewocji niż szkołami czynnego apostolstwa".

Wielce czcigodny Recenzent w swej krytyce nie zwrócił wcale uwagi na słowo raczej. Pyta się bowiem: „Gdzie ks. M. ten „fakt" studjował, że sodalicje są ogniskami dewocji, a nie czynnego apostolstwa"... — W dziełku zaś mojem napisałem: „...są raczej ogniskami dewocji, niż czynnego apostolstwa". Słówko raczej przecież osłabia ostrze zdania i nie wyklucza apostolstwa, lecz je suponuje. Inaczej wyraziłbym to zdanie w ten sposób: w sodalicjach jest dużo czynnego apostolstwa, więcej jest jednak dewocji. Taka była moja myśl. Po przeczytaniu recenzji O. Rostworowskiego moje przekonanie zachwiało się. Dziś wyraziłbym ją w ten sposób: Zrzeszenia pobożne obok niezaprzeczalnego ducha apostolskiego przesiąknięte są — niestety — wielką dozą dewocji.

O. Rostworowski przystępując do rozpatrywania „źródeł niedomagań", wskazuje dwa: biskupa Prohaszkę(!) i „tendencję... aby usunąć od wszelkiego wpływu i działania — zakony".

Mój wielce czcigodny Recenzent trochę wykorzystał lapsum calami o powoływaniu zakonów do pomocy duszpasterskiej „wolą biskupów". Lapsus ten jednak nie zbyt zmienia położenia, bo mimo że zatwierdzenie zakonów należy do Stolicy Apostolskiej, nie zaś do biskupów diecezjalnych, do pomocy duszpasterskiej w diecezjach powoływane są zawsze wolą biskupów. I tu znów muszę poprosić wielce czcigodnego Recenzenta o łaskawe ponowne zaglądnięcie do mojego dziełka na str. 50. Nie wspominam tam ani słówkiem o dobrych lub złych stronach egzempcji zako-

nów. Zaznaczam tylko, że „z dzisiejszego stosunku zakonów do biskupa diecezjalnego trudnoby nieraz wywnioskować, że były i są powoływane do pomocy duszpasterskiej wolą biskupów, tak władza biskupia jest w stosunku do zakonów osłabiona". Cytat ten jest w moich wywodach o organizacji Akcji Katolickiej bardzo doniosłym argumentem. O czem bowiem jest mowa na str. 50? „Obecnie — piszę tam — gdy Ojciec św. do uczestnictwa w hierarchicznem apostolstwie zaprasza szerokie koła świeckich... organizację Akcji Katolickiej należy przeprowadzić w ten sposób, by jedność kierownictwa nie ucierpiała na korzyść daleko posuniętych autonomij poszczególnych stowarzyszeń, tworzących Akcję Katolicką... Doświadczenie dziejowe (z zakonami) jest przestrogą, by przy zaszczepianiu nowych gałązek na drzewie hierarchji (t. j. przy organizowaniu Akcji Katolickiej) postępować przezornie, by mianowicie z nowych szeregów pracowników na niwie duszpasterskiej nie powstały nowe skrępowania i ograniczenia władzy biskupiej".

Czy to, co napisałem, nie odpowiada prawdzie? Czy władza biskupów w stosunku do zakonów nie jest osłabiona? Czy w książce o Akcji Katolickiej nie wolno wyrazić życzenia, by kat. stowarzyszenia świeckie nie ograniczyły władzy biskupiej?! Taka jest myśl przewodnia moich wywodów.

Celem moim nie było, by napisać pracę o działalności i zasługach zakonów w Kościele. Przyznaję, że w dziełku mojem są zdania, które zakonnika mogą boleć, ale jednego pytania wielce czcigodnego Recenzenta nie mogę zrozumieć. „Dlaczego ks. M. tendencyjnie unika wzmianki — pyta się O. Rostworowski — o jakiemkolwiek dobru przez zakony zdziałanem"? Czyż na str. 50, tuż przed napiętnowanem „westchnieniem"(?) nie zaznaczyłem, że „jest powszechnie i chlubnie znaną rzeczą, jak wielkie są zasługi zakonów w Kościele"!!

A teraz kilka słów o pierwszem „źródle" — „niedomagań" mojej pracy, t. j. o biskupie Prohászce. Ktokolwiek przeczyta recenzję O. Rostworowskiego, odniesie wrażenie, że mój sąd o zakonach i zrzeszeniach pobożnych opiera się na dziełach wielkiego i świątobliwego biskupa. Czytamy bowiem w recenzji: „Kto umie patrzeć, pierwsze z tych źródeł znajdzie w przypiskach. Figuruje tam raz po raz Biskup Prohászka i Biskup Prohászka". Rzeczywiście, biskupa Prohászkę cytuję w mojem dziełku bardzo często. W 25 tomach jest co wybierać. Przedziwnie się jednak składa, że na stronach z „niedomaganiami" niema ani jednego cytatu z dzieł Prohászki. Powtarzam: ani jednego.

Recenzja rzuca poza tem cień na prawowierność dzieł biskupa Prohászki: „Wiadomo dobrze — czytamy — że ten pisarz i Książę Kościoła, mimo całej szlachetności, bystrości, wymowy, gorącości ducha i innych przeróżnych zalet, które mu zapewniają nieśmiertelność, hołdował pewnemu lekkiemu liberalizmowi katolickiemu, który swego czasu budził w Rzymie poważne niepokoje, a polegał na tem, że skłonny był wielki Biskup lekko traktować pewne formy i praktyki uświęcone kościelnym zwyczajem, na korzyść pewnych poglądów, odczuć, działań, rzekomo dużo lepiej odpowiadających nowym czasom". I O. Rostworowski dodaje: „Na ks. M. znać odrobinę tego wpływu, który zresztą dość szeroko już się rozszedł".

Słowa te zawierają dwa oskarżenia, z których jedno dotyczy ś. p. biskupa Prohászki, drugie zaś mojej osoby. Prohászkę oskarża O. Rostworowski o „lekki liberalizm katolicki", mnie zaś o przejęcie się tym liberalizmem. Niech mi wolno będzie zapytać się wielce czcigodnego Recenzenta na czem polega mój liberalizm po Jego oświadczeniu wstępnem, że moja „książka jest pełna katolickiego ducha i kościelnego usposobienia"? Bo co się tyczy „liberalizmu" biskupa Prohászki sprawa ta wymagałaby dłuższego i gruntownego studjum, i w ramach odpowiedzi na re-

cenzję nie da się ono zmieścić. Narazie zaznaczam tylko tyle, że Prohászka rzeczywiście „lekko traktuje pewne formy i praktyki uświęcone kościelnym zwyczajem", ale nigdy nie czyni tego „na korzyść pewnych poglądów, odczuć, działań, rzekomo dużo lepiej odpowiadających nowym czasom", lecz w tym celu, by pogłębić i równocześnie uprościć życie chrześcijańskie, a szczególnie dążenie do doskonałości. I pod tym względem jestem nie „odrobinę", lecz w wielkiej mierze pod wpływem biskupa Prohászki, czego dowodem są ułożone przeze mnie wskazówki życia duchownego (str. 77—92), gdzie „raz po raz" powołuję się i na „Rozmyślania o Ewangelji" przetłumaczone i wydane przez „Wydawnictwo Ks. Jezuitów" w Krakowie.

O. Rostworowski wspomina jeszcze, że lekki liberalizm katolicki „swego czasu budził w Rzymie poważne niepokoje"... Zdania tego nie wolno mi zostawić bez krótkiego wyjaśnienia. Tak. Biskup Prohászka budził rzeczywiście poważne niepokoje w Watykanie. Czy jednak z powodu „lekkiego traktowania pewnych form i praktyk uświęconych kościelnym zwyczajem", jak z recenzji możnaby się domyślać? W Indeksie książek zakazanych znajdujemy trzy rzeczy Prohászki: „Wybryki intellektualizmu", „Katolicyzm nowoczesny" i jeden artykuł w tygodniku przeznaczonym dla duchowieństwa. Stało się to w czerwcu w r. 1911. A wiadomo, że były to czasy modernizmu, którego ślady znaleziono w trzech wymienionych pracach biskupa Prohaszki. Czy mój wielce czcigodny Recenzent uważa, że uczeni, którzy szukali i znaleźli modernizm w jego dziełach, reszty jego prac pisarskich nie przestudjowali? Cokolwiek napisał, przechodziło przez bardzo gęste sito uczonych i licznych wrogów. Więcej jednak ponad trzy wymienione prace nie znaleziono. Przed kilku laty wydało „Stowarzyszenie św. Stefana" w Budapeszcie całość jego twórczości w 25 tomach, które dokładnie przestudjował, wstępami i notatkami zaopatrzył profesor dogmatyki na uniwersytecie w Budapeszcie, dr. Antoni Schütz, ozdoba zakonu Ks. Pijarów na Węgrzech. Poza tem wszystkich 25 tomów posiada „Imprimatur" Kurji prymasowskiej w Ostrzyhoniu (Esztergom). Dzieła Prohászki przechodziły więc przez niesłychanie staranną cenzurę kilkakrotną, można zatem być spokojnym co do prawomyślności świątobliwego biskupa, który odezwał się w ten sposób po przeczytaniu wiadomości o „indeksie": „Fiat voluntas Dei!... Zniosę to jako upokorzenie i karę za grzechy, bo zasłużyłem na wszystkie kary; i jeżeli przez to uzyskam tylko tyle, że Bóg udzieli mi pewniej odpuszczenia grzechów i będzie mię lepiej kochał: o, niech dają na indeks wszystkie moje pisaniny, i w dodatku niech mi jeszcze i palce odetną. Chętnie poniosę taką ofiarę!... Ja jestem wiernym synem Kościoła!..." („Soliloquia", I. 215).

O. Rostworowski wspomina jeszcze, że „wpływ (liberalizmu katolickiego) dość szeroko już się rozszedł". O tak, to prawda. Pisze o tem jeden z największych synów św. Ignacego w chwili obecnej, O. Bangha T. J.: „Nowsze pokolenie kapłanów i kaznodziei (naprz. ks. T. Tóth. Przyp. autora), jak również chrześcijańscy przywódcy życia publicznego, a nawet ludzie wartościowi z obozu niekatolickiego, są w wielkiej mierze uczniami biskupa Prohaszki. Madziarska inteligencja ocknęła się z letargu pod jego wpływem i powróciła do wiary, której się lekkomyślnie wyparła. I jeżeli dziś modlitwa nie jest już „wstydem", jeśli tysiące mężczyzn czołowych postaci życia umysłowego, polityków i badaczy z dumą wyznają swą wiarę i według niej żyją, zawdzięczamy to głównie autorowi „Zwycięskiego światopoglądu": biskupowi Prohaszce". („Nemzeti Ujság" z 3. IV. 1927).

Tyle na usprawiedliwienie moich „lekkomyślnych i mało uzasadnionych sądów".

Ks. Dr. Ferdynand Machay.

Do tej odpowiedzi dodajemy dopisek recenzenta.

Nie sądzę, żeby Ks. Dr. Machay odpowiedział na wszystkie postawione sobie zarzuty, ale cieszę się jednak, że w pewnych punktach stara się myśl swoją zmodyfikować, albo w dobrem znaczeniu wyjaśnić. Co się tyczy specjalnie ks. biskupa Prohaszki, któremu zresztą nie szczędziłem w mej recenzji najwyższych pochwał, co innego jest czy są w dziełach jego (oprócz kilku położonych na indeks) ściśle określone i namacalne błędy, co innego czy znajdują się w nich tu i ówdzie ślady jakiegoś lekkiego liberalizmu, nie zupełnie zgodnego cum quodam sensu catholico. Ja twierdziłem i niestety dalej twierdzę tylko to ostatnie. Biskup Prohaszka oddał i ciągle oddaje Kościołowi nieocenione usługi, ale do pewnych jego poglądów trzeba dodać maleńkie granum salis. Myślę, że owo granum salis nie byłoby zaszkodziło i dobrej, pożytecznej książce Ks. Dr. Machaya.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Na tem Redakcja zamyka dyskusję w tej sprawie.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej, Warszawa.

Jalu Kurek: Mount Everest 1924. Str. 93, ilustr.
Inż. Stanisław Szczawiński: Wicher, str. 39, ilustr.
Stanisław Zaleski: Największe zwycięstwo. Opowiadanie sportowe. Str. 142, ilustr.
Hanna Malewska: Wiosna grecka. Str. 93, ilustr.
Dr. Wł. Burzyński: Z Karpat. Wspomnienia myśliwskie. Str. 135, ilustr.

Nakładem Księgarni św. Wojciecha, Poznań.

Ks. Józef Kłos: Pan Jezus przed sądami ludzkiemi. Sześć kazań pasyjnych z dodatkiem kazania na urocz. Zmartwychwstania Pańskiego. Str. 111.
Tenże: Wyprawa na Bożą rolę. Wspomnienia i wrażenia z wycieczki do Ziemi św. 2 tomy, str. 612, z licznemi ilustracjami.

Nakładem różnych.

Ks. Helmuth Fahsel: Konnersreuth. Przyczynek do teologji mistycznej i filozofji religijnej. Tłum. Ks. A. Majewski. Warszawa 1933, wydawnictwo Ks. Pallotynów. Str. XVI+151.
Poznański chór katedralny. Drukarnia św. Wojciecha. Str. 30. z ilustracjami.
Jeszcze o wolności szkół akademickich. Kraków 1933, Skład główny „Dom książki polskiej" w Warszawie. Str. 18.
Ks. Ryszard Paciorkowski: Prymat papieża na tle Soboru efeskiego. Warszawa 1932, str. 31.
F. A. Ossendowski: Huragan. Zbiór nowel. Poznań, wyd. *Dziennika Pozn.* 1933, str. 158.
F. P.: Co to jest Marjawityzm? Wydawn. Misyj Wewnętrznych arch. wileńskiej. Wilno, str. 19.
Dr. Stanisław Pazurkiewicz: Współczesna literatura węgierska. Warszawa, Wydawnictwo współczesne, str. 52.
Zagadnienia misyjne. Pamiętnik I Krajowego Zjazdu Związku Misyjnego Duchowieństwa w Polsce. Opracował ks. Dr. Aleksander Fajęcki. Warszawa, Wydawn. Ks. Pallotynów 1933, str. 186.
Przemówienia na posiedzeniu Sejmowej Komisji Oświatowej 21. I. 33 w sprawie projektu Ustawy o szkołach akademi-

ckich. (Kostanecki, Sierpiński, Kutrzeba, Ujejski, W. Chrzanowski, Sosnowski). Kraków 1933, str. 35.

Ankieta w sprawie Projektu prawa małżeńskiego. Lublin, Uniwersytet, 1932, str. 55.

Postawa katolicka wobec kryzysu. Praca zbiorowa. Lublin, Uniwersytet 1933, str. 143.

Ks. Marjusz Skibniewski T. J.: Znaczenie dydaktyczne historji w szkołach średnich. Lublin, Uniwersytet, 1933, str. 105.

Dawne wiersze ruskie. Przełożył Tad. Łopalewski. Nakł. L. Chomińskiego, Wilno, Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha. Str. 143.

Dominicus Palmieri: S. I.: Tractatus de Romano Pontifice. Ed. 4. Rzym, Uniwersytet Gregorjański, 1931. str. VIII+637.

Dr. Samuel Stendig: Współczesna rodzina wielkomiejska w świetle socjologji wychowania. Kraków 1931, str. 32.

Tenże: Czyn bilujski. Dzieje i znaczenie. Kraków 1933, str. 63.

Elżbieta Marwegowa: Ugor. Poezje. Skład główny: Wielkopolska Księgarnia Nakładowa K. Rzepeckiego, Poznań. Str. 80.

Tai: Capri. Poezje. Skład główny: Księg. św. Wojciecha, Poznań, str. 55.

Tai: Ulica. Poezje. Skład główny: jak wyżej. Poznań, Str. 48.

Bernard Chrzanowski: Tadeusz Kościuszko a Powszechna Edukacja. Poznań 1933, str. 41.

Dr. Adam Wrzosek: Walka o utrzymanie samorządu szkół akademickich w Polsce. Poznań 1933, str. 40.

Statystyka druków 1928—1930. Warszawa, nakładem Bibljoteki Narodowej, 1932, str. XIII+55.

Sprawozdanie z działności Państwowej Rady Ochrony Przyrody w r. 1932. Napisał prof. Dr. Wł. Szafer. Kraków 1933, str. 17.

S. Elżbieta od Trójcy św. Wspomnienia. Przekład O. A. Gmurowskiego. Lwów, Wydawn. OO. Dominikanów, str. 337.

S. Immakulata, Klaryska: Położę nieprzyjaźń. Rozważania o Niepok. Pocz. N. Marji Panny. Lwów, OO. Dominikanie, str. 16.

Ks. Józef Koterbski: Egzorty do dzieci szkół powszechnych. Wyd. 2. Nakł. Księgarni Z. Jelenia, Tarnów, 1933, str. 290.

Ks. Dr. Andrzej Macko: Młodzieńcze wstań! Konferencje wielkopostne. Tarnów, Z. Jeleń, 1932, str. 88.

Bernadeta. Obrazek religijny w 4 odsłonach. Tarnów, Z. Jeleń, 1933, str. 38.

Ks. Władysław Staich: Budzenie Świętej. Dzieje kultu królowej Jadwigi. Kraków, nakł. Księgarni Krakowskiej, 1933, str. 71.

Prof. K. Lutostański: Odprawa. (Z powodu *Odpowiedzi* adw. L. Domańskiego). Warszawa 1933, str. 23.

Ks. Nik. Cieszyński: Roczniki Katolickie na r. 1933. Tom XI. Nakł. autora, Poznań 1933, str. 532.

Paul Doncoeur: Retours en Chrétienté. La Naissance, le Mariage, la Mort. Collection „La Vie chrétienne". Paris, B. Grasset, str. XVI+207.

Ks. Paweł Styger: Katakumby Rzymskie. Warszawa, Bibljoteka *Głosu Kapłańskiego* t. I. Str. 47 z ilustr.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Stulecie oksfordzkiego ruchu. — Manifest pięćdziesięciu. — Widoki na przyszłość.

14 lipca b. r. upłynie sto lat od pamiętnej chwili, kiedy to Jan Keble wygłosił w Oksfordzie swe słynne przemówienie na temat: „Narodowa apostazja" *(national apostasy)*. Wygłoszenie tego kazania uznał Newman za początek oksfordzkiego ruchu *(Oxford Movement)*, którym część wyznawców narodowego kościoła przekreśliła w istotnych punktach jego protestancki charakter. Nieliczna wprawdzie była garstka twórców tego ruchu; dzięki jednak wybitnym zaletom umysłu i serca, przy wielkiej dozie cywilnej odwagi, potrafili z jednej strony wzbudzić istny szał nienawiści i namiętnych napaści, z drugiej zaś zgromadzić dokoła siebie umysłową i religijną elitę. Można ich było nienawidzić lub podziwiać, w każdym razie niepodobieństwem było ich nie znać. Newman, Pusey, Keble, Hurrell Froude — oto nazwiska pierwszych pionierów oksfordzkiego ruchu. Ziarno religijnego odrodzenia, rzucone na niwę umysłów przez inicjatorów „ulotek" (*Tractarians*), wydało swój owoc; zrodził się religijny prąd, który w ciągu wieku potrafił przeniknąć miljonowe masy wyznawców anglikańskiego kościoła. Charakterystycznym jest bądź co bądź fakt, iż cały narodowy kościół anglikański przygotowuje się dziś oficjalnie do jubileuszowych uroczystości oksfordzkiego ruchu. Nie brak oczywiście i protestów ze strony licznych dysydentów.

Oceniając dorobek wiekowy wspomnianego ruchu, trzeba przyznać, iż działalność oksfordzkich reformatorów wpłynęła bezsprzecznie na zmianę anglikańskiego kościoła. Sądząc przynajmniej po zewnętrznych pozorach, narodowy kościół *(the Establishment)* uległ silnemu zbliżeniu do kato-

licyzmu, przyjął cały szereg doktrynalnych punktów, nie mówiąc już o religijnych i rytualnych praktykach, które przecież reformacja uważała za bałwochwalcze wymysły papistów. Postępy romanizacji przybrały zczasem tak wyraźnie rysy, iż powodowały chwilami nietylko głęboki niepokój ale i energiczne protesty najwyższej władzy anglikańskiego kościoła. By zatamować definitywnie katolicyzujące nastroje, wydał prawodawca w roku 1875 słynny: *Public Worship Regulation Act,* prawo regulujące publiczny kult kościelny, przepisy te jednak zostały martwą literą. Drugim analogicznym wysiłkiem oficjalnych czynników kościelnych była podjęta w roku 1927 przez Komisję Królewską rewizja liturgiczno-modlitewnej księgi (*the Book of Common Prayer*). Rewizja ta miała przeciąć dalsze zbliżania się anglikanizmu pod względem dogmatycznym i obrzędowym do katolicyzmu; wysiłki jednak i tej pracy spełzły na niczem. Natomiast statystyki anglo-katolickie (katolicyzujący odłam anglikanizmu), liczba kościołów, szczycących się przydomkiem: *High* (wysoki, prawowierny), proporcja kleru anglikańskiego, nazywającego się katolickim, niemniej jak wzmożona działalność organizacji: *English Church Union* (Ang. Zjednoczenie Kościołów) — wszystkie te wskaźniki świadczą wymownie o wzroście tak liczebnym jak i ideowym oksfordzkiego ruchu. Trudno pominąć fakt, iż „wyznanie wiary". (*Declaration of Faith*), wysłane w roku 1924 do patrjarchy aleksandryjskiego, a zawierające szereg artykułów wiary, których ogół anglikańskich biskupów żadną miarą przyjąćby nie mógł, było mimo wszystko podpisane przez bpa Gore i przez trzy tysiące anglikańskich księży. Postępy więc anglo-katolicyzmu są bezwątpienia wielkie, jakkolwiek sfery oficjalne odnoszą się nieprzychylnie do całego ruchu.

Mimo wszystko nie należy ulegać złudzeniu, iż moment nawrócenia się anglikańskiej Anglji, a przynajmniej znaczniejszego jej odłamu jest bliski. Z pierwszych pionierów oksfordzkiego ruchu przyjął katolicyzm jeden tylko Newman. Tak wybitni działacze jak Pusey i Keble umarli protestantami. W ciągu wieku stosunek ten oczywiście uległ poprawie. Mimo to serce anglikanizmu pozostało niezmienione. Anglikanizm, nawet ten zgrupowany w *High Church*, jest nadal protestancką sektą, która dzisiaj coraz wyraźniej ulega racjonalistycznym wpływom. Podstawą anglikanizmu jest w dalszym ciągu subjektywizm religijny i wolność sądu w rzeczach dogmatu (*private judgment*). Oto przepaść, która oddziela tak anglikanizm jak i inne protestanckie sekty od katolicyzmu. Nad przepaścią tą ruch oksfordzki nie zdołał zbudować trwałego pomostu. Pierwsi pionierzy tego ruchu nie odznaczali się nadmiarem sympatji dla Rzymu, mimo to

szczerze pragnęli wskrzesić w anglikańskim kościele czynnik dogmatycznego autorytetu, by w ten sposób zapewnić temu kościołowi duchową niezależność od państwa. Newman, odznaczający się krytycznym umysłem, wnet przejrzał, że ideał taki jest nie dającą się urzeczywistnić utopją, wszak kościół anglikański był właśnie sztucznym tworem państwa. Wszelkie więc wysiłki, by w łonie tej państwowej instytucji stworzyć niezależną, doktrynalną powagę, której decyzje byłyby dogmatycznie pewne, a równocześnie uznane przez wszystkich, — musiały być zgóry skazane na niepowodzenie. Newman wyciągnął ostateczny i jedynie logiczny wniosek: został katolikiem, by oprzeć się o autorytet Piotrowej opoki; jego towarzysze Pusey, Keble i inni przyjęli tylko nazwę anglo-katolików, łudząc się zresztą do końca mirażem wyzwolenia kościoła z pod zgubnej przewagi państwowej.

Przekleństwo to ciąży nad oksfordzkim ruchem w ciągu jego wiekowej pracy i wiekowych szczerych wysiłków. Kościół anglikański, pomimo pozornego przejmowania się katolickiemi zasadami, pomimo rozwoju katolickich obrzędów, tkwi nieuleczalnie w swym erastjaniźmie. Jego najwyższą powagą duchowną jest trybunał cywilny, jego pierwsi dostojnicy duchowni wyznają otwarcie, iż godność swą otrzymują wyłącznie od króla.

Smutniejszym jest fakt, iż religijny liberalizm, którego Newman tak się obawiał i który tak zawzięcie zwalczał, poczynił w łonie anglikanizmu, w ciągu ostatnich dziesiątków lat, zastraszające postępy. Wystarczy przypomnieć biskupią konferencję w Lambeth (rok 1930), której uchwały ogłosił arcybp. z Canterbury: Lang w 75 rezolucjach. Wszystkie rezolucje zostały powzięte jednogłośnie, z wyjątkiem 15-tej, w której uznano za dozwolone stosowanie sztucznych środków antykoncepcyjnych w małżeństwie. Rezolucja ta, jakkolwiek obwarowana pewnemi zastrzeżeniami i ograniczeniami, stoi w jaskrawej sprzeczności z moralnością chrześcijańską, mimo to przegłosowano ją 193 głosami przeciw 67. W całym szeregu innych rezolucyj przebija niedwuznacznie zatruty duch religijnego liberalizmu. Tak więc ruch oksfordzki nietylko nie przerobił anglikanizmu, lecz przeciwnie przez anglikanizm został pochłonięty.

I oto jako protest przeciw takiemu stanowi rzeczy pojawił się 1 paźdz. ub. r. głośny manifest integralnych zwolenników oksfordzkiego ruchu. Pięćdziesięciu duchownych, należących do wysokiego kościoła (*High Church*), zaprotestowało publicznie przeciw rosnącym wpływom modernizmu, szerzącego się bezkarnie wśród anglo-katolików, i to nawet tych, którzy nazywają się kontynuatorami oksfordzkiego ruchu.

Autorzy manifestu, pojętego jako wstęp do jubileuszowych uroczystości, wyznają otwarcie, iż silny prąd modernizmu unosi znaczną większość anglo-katolików i grozi zasadniczem zerwaniem z religją wielkich twórców i wodzów, którzy przed stu laty stanęli na czele ruchu. A nie chodzi bynajmniej o jakieś podrzędne szczegóły. Liberalizm bowiem zaatakował samą treść dogmatów i rozsadza je racjonalistyczną interpretacją. „W punktach tak istotnych jak te, które dotyczą osoby Jezusa Chrystusa i połączenia w nim dwóch natur, tłumaczenia Pisma św., powagi i nieomylności Kościoła, zasad moralnych historycznego chrześcijaństwa, — cały szereg naukowych poglądów, szerzonych przez nowoczesny kierunek, staje w smutnej sprzeczności z prawowiernością pierwszych ojców oksfordzkich i z katolicką nauką, której ruch anglo-katolicki *ex professo* pragnie bronić". W siedmiu długich paragrafach precyzują autorzy manifestu swoje *Credo,* przeciwstawiając anglo-katolicki dogmat modernistycznym zapędom. W § 6-ym odrzucają faktyczną kontrolę państwa nad kościołem, niemniej jak i filozofję szkoły Erasta, która słuszność tej kontroli uzasadnia. W mieszaniu się państwa w duchowne sprawy Kościoła widzą zasadnicze źródło wszystkich klęsk, które gnębią anglikański kościół, oraz główną przyczynę, która *de facto* oddziela ten kościół od katolickiej wspólnoty. Rozdział ten uważają za prawdziwe nieszczęście, gdyż, jak w następnym paragrafie zaznaczają, Chrystus założył tylko jeden Kościół. Kościołem tym jest Kościół katolicki, zbudowany na opoce Piotrowej, a jego wodzem na ziemi jest następca św. Piotra. Dlatego też uznając tę prawdę i pragnąc zjednoczenia z prawosławnemi kościołami Wschodu, oświadczają, iż celem rzeczywistym i istotnym ich dążeń jest połączenie ze Stolicą Apostolską w Rzymie.

Trzeba przyznać, iż manifest wspomniany jest wyrazem szlachetnych dążeń do urzeczywistnienia założeń oksfordzkiego ruchu. Niemniej jednak jest on równocześnie stwierdzeniem dawnych, zastarzałych błędów protestanckich. Połączenie się z Rzymem pojmuje ta elita wysokiego kościoła nie jako poddanie się całkowite i bez zastrzeżeń najwyższej jurysdykcji papieża, ale jako zlanie się trzech jakoby równie prawdziwych i autentycznych odłamów pierwotnego chrześcijaństwa, uwarunkowane wzajemnemi ustępstwami oraz kompromisem. Autorzy manifestu stoją nadto na stanowisku sakramentalnej ważności anglikańskiego kapłaństwa. A przecież o te właśnie dogmatyczne punkty rozbijały się znane konferencje w Malines (r. 1921, 1923, 1925), którym przewodził ś. p. kardynał Mercier. Obecny zatem manifest nie stanowi żadnego pozytywnego kroku na drodze porozumienia

z Rzymem. Próżne w tym względzie byłyby wszelkie złudzenia.

Ale nawet w swej pozytywnej treści manifest ów nie wyraża bynajmniej ogólnej opinji anglikańskiego kościoła, czy choćby tylko jego najpoważniejszej frakcji: anglo-katolików *(High Church)*. Wspomniany memorjał podpisało bowiem zaledwie 51 anglikańskich duchownych, zatem znikoma garstka, nie reprezentująca przytem umysłowej czy kościelnej elity anglo-katolików. Dodajmy mimochodem, iż dwaj księża publicznie odwołali dane przez siebie podpisy. Ogół zaś społeczeństwa anglo-katolickiego odniósł się obojętnie a nawet wrogo do jubileuszowego manifestu tych nielicznych pogrobowców oksfordzkiego ruchu. Świadczy to chyba najwymowniej o smutnym fakcie, iż kościół anglikański znajduje się pod bardzo silnym wpływem liberalnych prądów i że manifest ów jawi się stanowczo za późno; przed 20 laty miałby on pełne uzasadnienie, a przytem może jakieś, przynajmniej złudne szanse powodzenia. Wszak już w ubiegłym wieku biskup Gore, najbardziej poważany wódz anglo-katolików, zapoczątkował swoją współpracą w książce *Lux Mundi* umniejszanie Boskości Chrystusa i ograniczanie zakresu natchnienia ksiąg biblijnych, a przecież od tego czasu kierunek ten zyskał potężnie na sile. Dzisiaj właśnie liberalna frakcja przewodzi w obozie anglo-katolików, liberałom powierza się odpowiedzialne i wpływowe godności kościelne, a także teologiczne katedry.

Nic więc dziwnego, że wobec takich nastrojów manifest pięćdziesięciu został przez społeczeństwo angielskie zlekceważony, a nawet odrzucony z nietajoną ironją. Oficjalny organ anglo-katolików: *the Church Times* usiłował z początku pominąć milczeniem wspomniany manifest. Następnie (18. XI. 1932) nazwał go „pożałowania godnym przykładem ludzi, którzy wywołują zamęt w sposób wprost nieodpowiedzialny". Zamęt ten pragnie wspomniany organ zlikwidować zapewnieniem, iż „chodzi jedynie o drobną garstkę romanizujących"..., natomiast „znaczna większość anglo-katolików, tak kleru jak i laików, manifest ten odrzuciła". *Church Times* przyznaje zresztą otwarcie, iż „przygniatająca większość anglo-katolików, nie wyłączając całej grupy czołowych teologów, przyjmuje to, co — dla braku lepszego określenia — nazwano stanowiskiem liberalnem".

Najżywszy jednak odruch oburzenia wywołało twierdzenie manifestantów, uznające wyraźnie papieską supremację. *Church Times* (25. XI. 32.) protestuje energicznie przeciw tego rodzaju insynuacji, twierdząc, iż żadne względy, czyto historyczne, czy teologiczne i filozoficzne, czy nawet względy religijnego oportunizmu, nie pozwalają na wniosek,

jakoby celem praktycznym oksfordzkiego ruchu miało być poddanie się Stolicy rzymskiej, zbiorowe lub indywidualne. Poddanie się takie Rzymowi uważa organ anglo-katolików w sytuacji obecnej za rzecz wprost nie do pomyślenia, a wszelkie układy i pertraktacje na ten temat osądza jako „stratę czasu". Pod adresem duchownych, którzy wspomniany manifest podpisali, kieruje *Church Times* sarkastyczną uwagę: „Wyznajemy, iż nie możemy zrozumieć, dlaczego ludzie, którzy uważają papieża za „niezmienne ognisko i wodza" Kościoła, wahają się jeszcze z poddaniem się jego władzy; jakżeż mogą trwać nadal w społeczności, której członkowie tak (anglo) katolicy jak i ewangeliści doktrynę tę odrzucają?"

Ten istotnie jedyny prawdziwy zarzut, powtórzyły i rozprowadziły w bardzo poważnej formie katolickie pisma angielskie (*Tablet*, 12. XI. 32; *Month*, grudzień 1932: „Manifest anglo-katolicki"; obszerniej styczeń 1933: *The end of the Oxford Movement*). Wprawdzie liczba zwolenników manifestu rośnie, dotychczas podpisało go ponad trzysta osób, niestety brak im właśnie logiki i konsekwencji Newmana, czy tych tysięcy, które w ciągu wieku poszły za jego przykładem; poznawszy prawdę, nie mają odwagi wyciągnąć z niej praktycznych wniosków, idą raczej śladami Pusey'a i łudzą się, iż obecność ich w łonie anglikanizmu przyczyni się do jego odrodzenia i połączenia z Rzymem. Tymczasem w miejsce odrodzenia występuje coraz wyraźniej liberalizm i modernizm, odsuwający kościół anglikański coraz to dalej od Piotrowej opoki.

I mówiąc po ludzku niema na to żadnego ratunku. Anglikanizm — reprezentowany dzisiaj przez trzy główne obozy: ewangelicki „kościół niski" (*Low Church*), liberalny a nawet racjonalistyczny „kościół szeroki" (*Broad Church*), wreszcie najbardziej prawowierny „kościół wysoki" (*High Church*), — przedstawia smutny i bolesny obraz religijnego rozkładu. Kościół wysoki zbliża się wprawdzie najbardziej do katolicyzmu, a jego prawe skrzydło anglo-katolików posiada bezsprzecznie najsilniejsze wpływy, mimo to, jak widzieliśmy, i ten kościół jest wydany na pastwę liberalizmu, który kolejno rozsadza jego dogmaty, tolerując jeszcze zewnętrzne pozory. Pośród anglo-katolików nie brak tysięcy i tysięcy ludzi dobrej wiary, ludzi pobożnych i przestrzegających skrupulatnie wszystkie przepisy kościelne, niestety brak im duchowego wodza, brak autorytatywnej i nieomylnej powagi w rzeczach wiary, którą może być tylko następca św. Piotra.

Od dziesięciu lat naukowa Komisja Arcybiskupia, mająca w swem łonie przedstawicieli wszelkich frakcyj, usiłuje

ustalić wspólnotę wiary anglikańskiego kościoła. Choćby nawet owa Komisja doszła wreszcie do jakichś dodatnich wyników, to i tak wyniki te będą tworem czysto ludzkim, będą tylko wyrazem opinji teologów tej epoki. Żaden kapłan ni żaden wierny anglikański, przeczytawszy raport owej Komisji, nie powie: „Tak mówi Pan!“ I właśnie dzięki temu, że kościół anglikański nie ma nauczającego nieomylnie pasterza, liberalizm i modernizm, idący po linji mniejszego oporu, mogą szerzyć w wierzących duszach spustoszenie. Dogmaty, wystawione pod pręgierz „prywatnego sądu“, chwieją się i rozpadają a zasady chrześcijańskiej moralności, zamiast regulować życie, ustępują pod jego naporem.

Kiedy przed wiekiem zapłonęły nad Anglją brzaski oksfordzkiego ruchu można było mieć wielkie nadzieje. Dzisiaj stuletni jubileusz staje się płonnym symbolem. Ruch oksfordzki zamiast odrodzić anglikanizm został przez niego wessany. Inicjatywa szlachetna, ale czysto ludzka, załamała się pod naporem etatyzmu i liberalizmu. Dlatego słusznie można dzisiaj mówić o końcu oksfordzkiego ruchu.

W ciągu wieku spełnił on tylko częściowo swe ideowe zadanie: podniósł mianowicie poziom religijnego życia, usunął wiele uprzedzeń do katolicyzmu, z którego przejął liczne dogmatyczne prawdy i religijne praktyki, zmniejszył również sekciarską nienawiść do Rzymu. — Dzisiaj spełnia już chyba tylko niezamierzoną misję: wskazawszy na bezład i rozkład anglikańskiego kościoła, otwiera oczy wielu anglikanom, którzy w poszukiwaniu prawdy oraz pełni nadprzyrodzonego życia przechodzą indywidualnie do prawdziwej owczarni Chrystusa. W ciągu ostatnich dziesiątków lat wraca rocznie około 12 tysięcy anglikanów na łono rzymskiego Kościoła. Cyfra ta ma swoją wymowę. Wysoce jednak znamiennym jest fakt, iż tylko niewielki procent konwertytów przypada na „kościół wysoki“. Jego członkowie, mając w swym kościele wszystkie prawie zewnętrzne pozory katolicyzmu (rytualizm), w daleko mniejszym stopniu odczuwają głód dogmatycznej prawdy.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Konferencja w Lambeth.

Konferencja biskupów anglikańskich, jaka odbyła się w Lambeth w r. 1930, była światową sensacją z powodu uchwał tam powziętych. Nie pisaliśmy o niej wówczas, ponieważ należało czekać na bliższe sprawozdania, a przytem chodziło nam głównie o stwierdzenie wrażenia, jakie uchwały te wywołają wśród współwyznawców i społeczeństw interesowanych, a więc głównie anglosaskich

krajów. Dziś powracamy do tej sprawy ze względu na rozwijaną u nas propagandę „świadomego macierzyństwa", która usiłuje wyzyskać powagę owej konferencji na korzyść regulacji urodzeń.

Co to jest Lambeth? — Jest to starożytny pałac w Londynie, od końca 12-go wieku siedziba arcybiskupów katolickich, a od czasów Reformy do dziś dnia arcybiskupów anglikańskich; tu mieszka arcyb. z Canterbury, ilekroć przybywa do Londynu. W tej to siedzibie, poczynając od r. 1867, odbywają się, w odstępach przeciętnie 10-letnich, konferencje biskupów, pozostających w łączności z Kościołem anglikańskim w Anglji. Każda konferencja ma ściśle określony program, który zostaje naprzód starannie opracowany przez specjalne komisje biskupów, poczem wraz z przygotowanemi rezolucjami przechodzi pod obrady pełnego zebrania. Rezolucje tu uchwalone (większością głosów), ogłasza się potem jako uchwały konferencji i rozsyła wraz z listem biskupów do wiernych; sprawozdania komisyj drukuje się również, lecz na wyłączną tychże odpowiedzialność.

Siódma taka konferencja zebrała się w Lambeth dnia 7 lipca 1930 r. i zakończyła się dnia 9 sierpnia uroczystem nabożeństwem w opactwie westminsterskiem. Udział w niej wzięło 307 biskupów anglikańskich (na ogólną ich liczbę około 400); inne kościoły (prawosławny, narodowe, ewangelickie itd.) przysłały swych delegatów. Program konferencji obejmował 6 punktów: nauka chrześcijańska o Bogu; życie i świadectwo społeczności chrześcijańskiej; jedność Kościoła; komunja anglikańska; posługa kościelna; młodzież i jej powołania. Materjał był więc obszerny, a owocem 5-tygodniowych, nieraz mocno urozmaiconych, obrad był wspólny list pasterski biskupów, 75 rezolucyj i sprawozdanie sześciu komisyj, dotyczące wymienionych sześciu punktów.[1])

Nie będziemy tu wchodzili w szczegóły wszystkich wymienionych, jakkolwiek interesujących tematów, lecz zatrzymamy się jedynie nad pierwszą częścią drugiego punktu, którego treść stanowiły trzy najbardziej aktualne zagadnienia obecnej doby: małżeństwo i życie płciowe; kwestja rasy (panującej); pokój i wojna.

Jeżeli weźmiemy do ręki odnośne rezolucje (9—14), to z początku wszystko przedstawia się dobrze. Konferencja wzywa do zachowania czystości życia, podkreśla znaczenie rodziny i małżeństwa; związek małżeński, podług nauki Zbawiciela, jest monogamicznym, dozgonnym i nierozerwalnym; rozwód jest przeciwnym naturze. — Niestety po nakreśleniu tych pięknych zasad następują praktyczne zastosowania (w rez. 11), które zupełnie nie płyną z przesłanek. Biskupi nietylko nie odważają się potępić r o z w o d u, ale z całą oględnością wyrażają się o udzielaniu go przez regjonalne i narodowe kościoły anglikańskie; polecają je-

[1]) *Lambeth Conference 1930; Encyclical Letter from the Bishops with the Resolutions and Reports.* London Society for promoting Christian Knowledge.

dynie, ażeby osobom rozwiedzionym nie udzielać ślubu kościelnego za życia poprzedniego małżonka (a). Jeżeli wszakże, dodają, osoba taka jest „niewinna" i zawrze ślub cywilny, a następnie pomimo tego złego postąpienia zapragnie przyjąć komunję św., nie należy jej wręcz tejże odmawiać, lecz oddać sprawę do rozstrzygnięcia biskupowi (b). Wogóle konferencja każe traktować osoby, które w tej materji „nie odpowiadają przepisom kościoła", możliwie względnie, ponieważ „celem kościoła" jest pojednanie błądzących z Bogiem (c).

Na widok powyższych wskazówek — sformułowanych przytem tak oględnie, że autorom najwidoczniej chodziło o to, by nie urazić nikogo, kto postępuje inaczej — można jednak zapytać: co właściwie pozostało ze wzniosłych poprzednio wygłoszonych zasad? Nie widzimy bowiem ani potępienia rozwodu lub sankcyj względem przekraczających przepisy kościelne, ani żadnej określonej dyrektywy postępowania. A ponieważ możliwość ścisłego zbadania owych „niewinnych" osób przez biskupa jest iluzoryczną, a przytem wszystkim duchownym polecono być względnymi dla błądzących — przeto praktycznym rezultatem takich wskazówek może być tylko pozostawienie całkowitej niemal swobody osobom interesowanym, duchownym i świeckim.

Jeszcze smutniej przedstawia się sprawa ograniczenia urodzeń. Ona to nadała taki rozgłos „Konferencji w Lambeth".

Zrazu znowu słyszymy zasady zdrowe. Popęd płciowy jest dany od Boga i ma swe wielkie cele (rez. 9 i 12), o których powinni pamiętać małżonkowie, także ze względów narodowych (rez. 14); potępia się poronienie sztuczne i wszelkie formy nielegalnych stosunków płciowych (rez. 16—19). Lecz cała ta wzniosła linja załamuje się nagle, kiedy przychodzi do konkretnej kwestji ograniczania urodzeń.

Jeżeli małżonkowie — powiada słynna rezolucja 15-a — widzą się zmuszonymi do ograniczenia liczby lub wogóle do unikania dzieci, wówczas powinni postąpić „zgodnie z zasadami chrześcijańskiemi", przyczem stają przed niemi dwie metody. Pierwszą i najwłaściwszą jest wstrzemięźliwość zupełna, zachowana przez panowanie nad sobą i przy pomocy Ducha Św. „Trafiają się jednak wypadki, w których spotykają się równocześnie: z jednej strony jasne poznanie moralnego obowiązku ograniczenia lub uniknięcia ojcostwa, a z drugiej poważne racje porządku moralnego, dla których niepodobna praktykować całkowitej wstrzemięźliwości. W takich razach konferencja uznaje, że można użyć innych metod, byleby się to działo w świetle tych samych zasad chrześcijańskich. Konferencja energicznie potępia posługiwanie się jakąkolwiek metodą z motywów egoizmu, zmysłowości albo osobistej wygody."

Rezolucja powyższa — nie mówiąc już o jej zupełnej niezgodności z wygłoszonemi poprzednio zasadami, pozwala bowiem

otwarcie na stosowanie sztucznych środków zapobiegawczych — jest poza tem typowym przykładem mętnego wyrażania się i unikania wszelkiego wyraźnego określenia. Jakież to bowiem, można zapytać, „zasady chrześcijańskie" pozwalają na sztuczne zapobieganie ciąży, kiedy cała tradycja chrześcijańska potępiała zawsze te praktyki? Albo jakie „poważne racje moralne" sprzeciwiają się zupełnej wstrzemięźliwości?

Na jedno i drugie pytanie biskupi anglik. milczą w swej oficjalnej deklaracji (wyjaśnienia Komisyj są tylko potwierdzeniem tej niejasności i zamieszania), nie dają swym wiernym żadnego autorytatywnego wyjaśnienia, a tem samem pozostawiają całą rzecz do woli i rozstrzygnięcia poszczególnych pasterzy i interesowanych małżonków. Innemi słowy: w praktyce ustępstwo od zasad, można powiedzieć, na całej linji; drobne bowiem zastrzeżenia na końcu 15-ej rez., potępiające niektóre motywy zapobiegania poczęciu, nie zmieniają wcale istoty rzeczy. Wbrew tradycji chrześcijańskiej, biskupi anglikańscy otwierają tu bramę nadużyciom i przyczyniają się do szerzenia tej anarchji moralnej, którą sami potępiają. [1])

Wiadomości powyższe przedostały się szybko do ogółu i stały się niemałym skandalem, kiedy różne „postępowe" i antykościelne stowarzyszenia i pisma poczęły gratulować „Kościołowi" takich rezolucyj, a handlarze „uświadamiającą" literaturą i środkami zapobiegawczemi reklamowali swe towary powoływaniem się na uchwały z Lambeth. To znowu szereg kobiet niezamężnych na tejże podstawie zgłosił w prasie pretensje do przyznania im także prawa używania środków antykoncepcyjnych, gdyż inaczej byłyby upośledzone w porównaniu z mężatkami.

Dla ratowania honoru hierarchji anglikańskiej można chyba tyle zaznaczyć, że rezolucja 15-a nie była wyrazem przekonań ogółu jej przedstawicieli. Z pośród 307 członków konferencji 67 biskupów głosowało przeciw rezolucji, a 47 wstrzymało się od głosowania. Niektórzy z biskupów czuli się tak zrażonymi, że nie wzięli udziału w uroczystości zamknięcia konferencji, inni zaś wyparli się oficjalnie jej uchwał. Dr. W. J. Carey, biskup z Bloemfontein (Afryka Poł.) opuścił konferencję, a w przeddzień opublikowania jej dokumentów przesłał swój protest do *Church-Times*. W 15 dni później przyłączył się do jego protestu biskup Londynu w temże piśmie. W Stanach Zjedn. Am. PN. biskup z New Jersey, Dr. Matthews, ogłosił w miesięczniku *American Church Monthly*, że nie solidaryzuje się z uchwałami Konferencji. William

---

[1]) Upadek ten przygotowywał się stopniowo. Poprzednia konferencja w Lambeth, w r. 1920, potępiła silnie praktyki antykoncepcyjne (rez. 68), ale pozostawiła furtkę nadużyciom przez drobne zastrzeżenie, iż nie chce się zajmować podawaniem wskazówek dla wypadków nadzwyczajnych. — Temi „nadzwyczajnemi" wypadkami zajęła się właśnie konferencja z r. 1930.

Cecil, biskup z Exeter, ogłosił swym wiernym, że do samego końca sprzeciwiał się stanowczo uchwale.

Na tych publicznych wystąpieniach, które z pewnością nie przyniosły chluby większości hierarchji anglikańskiej, nie skończyło się jednak. Niezmiernie ożywiony udział w dyskusji nad uchwałami Konferencji wzięła też prasa codzienna, a jej wyrok brzmiał w wielkiej części odmiennie niż wspomniane, tak mało zaszczytne wyrazy uznania. Wielkie dzienniki londyńskie, jak *Times* i *Daily Mail* przyjęły bardzo chłodno decyzję biskupów, podnosząc, że przeciw „kontroli urodzeń" przemawiają także inne racje, nietylko teologiczne. *Evening Standard* wyśmiewał członków Konferencji, że zamiast rozwiązać trudność, przelękli się jej i szybko ominęli. *Evening News* (Londyn) podniósł, że wobec takiego stanowiska anglikanizm może być bardzo wygodnym dla wyznawców, ale nie będzie im bynajmniej potrzebny, *Daily Express* pisał, że taki Kościół nie nadaje się do prowadzenia ludzi. *Sunday Express* podkreślał, że „Lambeth zadało fatalny cios małżeństwu, macierzyństwu, ojcostwu, rodzinie i moralności".

Nie będziemy tu przytaczali dalszych podobnych świadectw, których ogromna ilość pojawiła się w letnich i jesiennych miesiącach 1930 r. w prasie krajów anglosaskich. Są one aż nadto dostatecznym dowodem, jak ujemnie oceniły szerokie sfery społeczeństwa stanowisko biskupów anglikańskich. Jakże zupełnie odmienne wrażenie wzbudziła *Encyklika* Piusa XI *o małżeństwie chrześcijańskiem*, która — zgodnie z zajmowanem zawsze przez Kościół katolicki stanowiskiem — tak bezwzględnie potępiła wszelkie praktyki zapobiegawcze. Wyrazy uznania dla Głowy Kościoła płynęły wtedy z całego świata, także niekatolickiego. Znaleźli się oczywiście i tacy, liczni nawet, którym to stanowisko się nie podobało, ale mogli tylko narzekać na „skrajność" czy „nieustępliwość" Kościoła kat. — ale nikt nie zarzucił mu, że odstępuje od zasad, że wchodzi ze złem w kompromisy!

Jest to więc posunięcie całkowicie chybione, jeśli nasi propagatorzy „świadomego macierzyństwa" i publicznej demoralizacji usiłują powoływać się na konferencję w Lambeth. Konferencja ta, przez swój przebieg i uchwały, jest tylko jednym więcej dowodem postępującego rozkładu sekt, oderwanych od prawdziwego Kościoła, wykazała brak jedności poglądów, brak pewności i autorytetu w Kościele anglikańskim, oraz bezsilność jego hierarchji wobec własnych członków i wiernych. Echo zaś, jakie wywołała w świecie, jest raczej publicznem potępieniem praktyk zapobiegawczych i, w negatywnej formie, uznaniem dla stanowiska Kościoła katolickiego za jego niezłomne trwanie przy zasadach — zasadach zresztą, które nie są jakiemś prawem kościelnem, lecz prawem Bożem!

Ks. S. Podoleński T. J.

Teatr Henryka Ghéon.

Wiadomo, że nowożytna sztuka dramatyczna wyszła nietyle z tragedji antycznej, jak raczej ze średniowiecznych „mysteriów", przedstawień ludowych, zrodzonych z liturgji, w które wprzęgano całą przyrodę ze wszystkiem co jest pod nią i ponad nią; scena przedstawiała zwykle trzy kondygnacje: niebo, ziemię i piekło, jednocześnie widoczne, tak że widzom uplastyczniał się związek świata przyrodzonego z nadprzyrodzonym i wpływ duchów dobrych i złych na duszę ludzką oraz na bieg wypadków.[1]) Wszystkie sztuki — plastyka, poezja i muzyka — współdziałały w tych przedstawieniach (Ryszard Wagner na tej samej podstawie oparł swoje „Musikdrama"). Tłumy grały w nich dla tłumów, „jedna połowa miasta dla drugiej", jak ktoś żartobliwie powiedział. Nie byli to aktorowie zawodowi, lecz pobożne stowarzyszenia, bractwa dramatyczne, które kilka razy do roku, np. na Boże Narodzenie lub na Wielkanoc, grywały długie, nieraz kilka dni trwające „Mysteria"; reminiscencją ich a raczej relikwją są słynne „Passionsspiele" w Oberammergau, wystawiane co 10 lat z niesłychanym pietyzmem przez tamtejszych górali.

Francuski pisarz Henryk Ghéon chciał wskrzesić w swej ojczyźnie „Mysteria" średniowieczne z całą ich naiwnością, bezpośredniością, malowniczością, a nadewszystko dziecięcą wiarą. Sam jest głęboko wierzącym (opowiedział nam niedawno, kto głównie wpłynął na jego nawrócenie[2]) i wiara ta młoda, radosna, promienna, jest duszą jego utworów, pisanych „dla wiernych" („pour les fidèles"). Utworzył on stowarzyszenie dramatyczne w duchu średniowiecznych, pod nazwą „les Compagnons de Notre-Dame", w skład którego wchodzą poeci i muzycy, malarze i rzemieślnicy artystyczni (artisans). Jedni z nich piszą, drudzy malują dekoracje i projektują kostjumy, tamci śpiewają lub grają. Cała Francja i Belgja cieszy się nimi i popiera ich. Sam Ghéon napisał dla nich cały szereg niezmiernie oryginalnych utworów p. t.: „Jeux et miracles pour le peuple fidèle"; jest ich dotąd dwie serje. Do pierwszej należą: „Le Saint sous l'escalier" — historja św. Aleksego, który przez swoich niepoznany przeżył lat 17

---

[1]) Wpływ „Mysterium" średniowiecznego bardzo jest wyraźny w I-ej części Goethowskiego *Fausta*; toteż w „Prologu" dyrektor teatru daje wskazówki poecie i radzi mu:

„Gebraucht das gross' und kleine Himmelslicht,
Die Sterne dürfet ihr verschwenden;
An Wasser, Feuer, Felsenwänden,
An Tier und Vögeln fehlt es nicht.
So schreitet in dem engen Bretterhaus
Den ganzen Kreis der Schöpfung aus
Und wandelt mit bedächt'ger Schnelle
Vom Himmel durch die Welt zur Hölle!"

[2]) „Vie Spirituelle", Novembre 1932, str. 161—2.

jako żebrak pod schodami pałacu ojcowskiego w Rzymie; „Le Mort à cheval"; „Les aventures de Gilles" — historja św. Idziego i jego legendarnej łani. Serja druga zaś obejmuje: „La bergère au pays des loups" — na tle życia świętej pasterki Germany z Pibrac; „Le crime de frère Genièvre" — epizod z „Fioretti", gdzie brat Juniper (Leopold Staff tłumaczy „Jałowiec") obcina nogę żywemu wieprzkowi, aby potrawką uraczyć chorego brata zakonnego, oraz „Walka pustelnika ze smokiem". Na tysiąclecie św. Bernarda z Menthon († 924) napisał (naśladując oryginał z XV-go wieku) „La merveilleuse histoire du jeune Bernard de Menthon"; w 1927 r. powstał dramat chiński „Les 3 sagesses du vieux Wang", a wkrótce potem „La vie profonde de St. François d'Assise"; ostatnie utwory są: „Justine et Cyprien", ten sam temat co słynny „Czarnoksiężnik" Calderona, i „Le triomphe de St. Thomas d'Aquin".

Weźmy np. *Bernarda z Menthon.*[1]) Mysterjum to grane było po raz pierwszy staraniem komitetu jubileuszowego pod gołem niebem, przed zamkiem Menthon niedaleko Annecy, na tle śnieżnych Alp sabaudzkich i jeziora. Prócz tej niezrównanej dekoracji naturalnej, dekoracja czysto średniowieczna w swej naiwnej prostocie: na lewo platforma, przedstawiająca górę Mont-Jouve (Mons Jovis — dawna nazwa dzisiejszej góry św. Bernarda, gdzie od czasów rzymskich stał posąg Jowisza). Na środku furta klasztoru w Aoście (piemonckie miasto po tamtej stronie przełęczy); na prawo zamek Menthon: brama, dziedziniec, wieża z pokojem Bernarda. Nad środkiem sceny panuje trybuna ze złocistą balustradą, przedstawiającą niebo, gdzie ukazują się wedle potrzeby Najśw. Panna, archanioł Gabrjel, św. Mikołaj, a za purpurową kotarą tron Syna Bożego, który się tylko w najważniejszych chwilach odsłania dla bezpośredniej interwencji Jego.

Dramat dzieli się po średniowiecznemu nie na akty, lecz na *dni*; jest ich trzy, poprzedzone prologiem a zakończone epilogiem. Błazen (le Fou) wygłasza Prolog, pół wierszem pół prozą, w tonie żartobliwie-poważnym; błazen ten wraz z czterema djabłami, groteskowemi tworami wyobraźni ludowej, reprezentuje element humorystyczny, nieodłączny od średniowiecznych dramatów.

Dzień I: Dziesięciu pielgrzymów przeprawia się przez przełęcz, podążając do Rzymu; Jowisz wysyła swoje sługi, szatanów, aby im przeszkodzili; udaje im się porwać jednego z podróżnych; pozostali zaś uciekają i chronią się w klasztorze Aosta. W trzecim obrazie młody Bernard, syn możnego pana, Ryszarda z Menthon, wraca do rodzinnego zamku z magistrem swym Germanem, ukoń-

---

[1]) Jest to ten św. Bernard, którego imieniem zwane są dwie góry, le Grand et le Petit St. Bernard, którędy prowadziła droga z Francji do Włoch; założył on tam słynne hospicjum, gdzie zakonnicy, zapomocą specjalnie tresowanych psów, ratują podróżnych zasypanych w śniegu,

czywszy studja w Paryżu; ojciec jego cieszy się z powrotu urodziwego jedynaka, i chce go ożenić z piękną i pobożną Małgorzatą de Miolans, dziedziczką sąsiednich włości.

Dzień II: Pierwsze spotkanie Bernarda z przyszłą małżonką; młodzi podobają się sobie, ale Bernard oddawna słyszał głos Boga, wołającego go do swej wyłącznej służby. Zwierza się z tem matce swej, Bernolinie; ojciec opiera się gwałtownie zamiarom syna i obwinia mistrza Germana, że mu go wychował na mnicha a nie na rycerza. Małgorzata, pozyskana przez Bernarda, czyni Bogu ofiarę ze swej miłości i podtrzymuje go w świętem przedsięwzięciu. W nocy poprzedzającej wesele Bernard stacza ciężką walkę z szatanem, który mu ukazuje w najpiękniejszych barwach życie małżeńskie z cnotliwą i bogobojną Małgorzatą. Św. Mikołaj przychodzi mu z pomocą, za jego sprawą Bernard wyłamuje żelazną sztabę w oknie i opuszcza ojcowską siedzibę, pozostawiając list, tłumaczący tę nagłą ucieczkę.

Dzień III: Goście zaproszeni na wesele zaczynają się zjeżdżać, przybywa orszak panny młodej, rodzice jej i krewni; domownicy przerażeni donoszą o zniknięciu pana młodego; rodzice czytają list; wściekłość ojca, boleść matki. Rodzina de Miolans domaga się orężnej rozprawy, aby pomścić cześć Małgorzaty; lecz ona jedna rozumie co się stało, rozbraja przeciwników, mówiąc że „jako dziewica i wdowa" zarazem, wstąpi do klasztoru jak Bernard i zostanie Kartuzką. Tymczasem w następnym obrazie Bernard dotarł do klasztoru w Aoście, gdzie prosi o przyjęcie; przeor staruszek miał prorocze o nim widzenie i przyjmuje go z radością.

Epilog. — Pielgrzymi, w liczbie dziewięciu, powracają z Rzymu. Bernard po śmierci starego przeora został, mimo swej młodości, jednomyślnie wybrany na jego następcę. Słyszy o zaginionym niegdyś towarzyszu i o wielu innych ofiarach na Mont-Jouve i postanawia raz już skończyć z szatanami; wypędza ich zatem potężnemi egzorcyzmami. Jowisz przyparty do muru wyznaje, że jest tylko djabłem i ucieka sromotnie do piekła wraz ze swymi sługami. Bernard oświadcza, że tu na szczycie góry założy klasztor i przytułek dla pielgrzymów: l'hospice du Grand St. Bernard.

Sztuka kończy się spotkaniem Bernarda z rodzicami, którzy przebaczają mu jego tajemną ucieczkę; odczytują razem list od Małgorzaty, która pisze: „Sądziłam, że w klasztorze poślubię ból, a tymczasem znalazłam radość doskonałą... Czy możecie to pojąć?" Na co Bernard: „Pojmuję... pojmuję..."

Anieli śpiewają z góry: *Gloria in excelsis Deo!*

Podaliśmy umyślnie obszerniejsze sprawozdanie z tej sztuki, aby dać poznać charakter teatru Henryka Ghéon.

„Teatr współczesny, pisze on w przedmowie do drugiej serji swoich *Jeux et Miracles*, żyje przesądem realistycznym

i naturalistycznym zewnętrznego prawdopodobieństwa. Wedle tej koncepcji chodzi o przedstawienie z możliwie największą dokładnością danego środowiska i danych ludzi, dając widzom złudzenie, że podpatrują ich życie i chwytają je na gorącym uczynku".[1]) Inaczej rozumieli zadanie teatru starożytni Grecy, średniowieczni autorowie „Mysterjów" i klasycy XVII wieku; dla nich teatr nie był możliwie dokładną fotografją rzeczywistości, lecz szlachetną sztuką, której zadaniem jest oderwać widza od szarzyzny codziennego życia, podnieść go i uszlachetnić, a nie pokazywać mu „in effigie" to, co dzień w dzień „in natura" widzi wkoło siebie.

Oto inne „Mysterjum" Ghéona: *Pasterka wśród wilków, czyli św. Germana z Pibrac.* Posłuchajmy prologu, w którym autor sam przedstawia treść swojego dzieła:

Opowiem wam tu słowami i obrazami, jak to powinna czynić poezja, która sprawia, że niewidzialne staje się widzialnem, że Anieli śpiewają a szatan w wilka się wciela.

Historję prawdziwą, wzruszającą a przedziwną świętej Germany Cousin z Pibrac.

Biedna dziecina przyszła na świat słabowita w roku Pańskim 1580, w okolicy Tuluzy, spustoszonej herezją.

Matki swej nie znała, a ojciec niebawem powtórnie się ożenił.

Prześladowana przez macochę, żyła zatopiona w Bogu, w zimnie i niedostatku, między pasterzami, na wyżynie surowej i twardej.

Co rano, jak opowiadają, opuszczała swą trzodę, aby wysłuchać Mszy świętej; a jednak nigdy wilk nie porwał jej ani jednego baranka.

Aby się dostać do kościoła, trzeba było przeprawiać się przez potok nie do przebycia czasu deszczów; widziano ją wtedy chodzącą po wodach, jak Mistrz, którego umiłowała.

Dobra dla dzieci i miłosierna dla ubogich, doznała cudu podobnego jak św. Elżbieta Węgierska: chleb zamienił jej się w kwiaty.

A gdy umarła mając lat 20, Pan Jezus wysłał swe Anioły, by duszę jej przyprowadziły do Niego.

Było to roku Pańskiego 1601, po zwyciężeniu herezji.

Wierni, wyprzedzając orzeczenie nieomylne Kościoła, uważali pasterkę za Świętą, a Germana z nieba wyświadczała im liczne dobrodziejstwa.

Modlą się do niej dziś jeszcze po trzech zgórą wiekach, tak w kościółku parafjalnym w Pibrac, gdzie spoczywają święte jej szczątki, jak w domu jej rodzinnym, stojącym zawsze samotnie w górach.

I dziś odpowiada ona jak dawniej, lecząc czasami ciało, a częściej duszę.

Oto są fakta, a teraz z nich nauka: pokora, ubóstwo, cierpienie z radością przyjęte, miłość Boga i bliźniego, to są kamienie, po których prowadzi droga do żywota wiecznego. Amen.

Cała sztuka pisana jest w tym tonie dziecięco-pobożnym i serdecznie naiwnym i rozwija poszczególne momenty wymienione w tym prologu.

W całkiem inne środowisko wprowadza nas chiński dramat w czterech obrazach p. t. *Mądrość starego Wanga*, grany po raz

[1]) Ibsen wyraził tę samą myśl o swoim języku, gdy mówił, iż w swych sztukach „rzuca na scenę krwawy ochłap życia".

pierwszy w 1927 r. przez „Towarzyszy Najśw. Panny", a odtąd wystawiany niezliczone razy przez różne koła i kółka misyjne. Jest to autentyczny epizod z dziejów misyj na Dalekim Wschodzie, a wykazuje, jak dusza starego Chińczyka nawróconego wznosi się od słusznej (po ludzku biorąc) niechęci i żalu do przebaczenia nakazane przez Ewangelję, a potem wyżej jeszcze, do heroizmu i ofiary, do których łaska podnosi wiernych wyznawców Krzyża, dążących do miłości doskonałej.

Stary Wang wyuczył darmo swej bokserskiej sztuki, otoczył moralną opieką i dobrodziejstwami obsypał ubogiego sierotę, młodego poganina Tszang-fu-Tang. Wzamian zato niewdzięcznik podczas powstania Bokserów wymordował dzieci i zniszczył majętność swego zacnego nauczyciela, poczem opuścił tę okolicę. Stary Wang powraca do domu, zastaje straszliwe zniszczenie i uniesiony szalonym gniewem knuje plan zemsty. Lecz Ojciec Misjonarz przypomina mu, że jest chrześcijaninem i że jako taki powinien wrogowi przebaczyć: zbrodniarz jest niedaleko, objawia żal za swe okropne uczynki, pragnie się z Wangiem pojednać.

Stary Wang nałamuje swą wolę do przebaczenia, wreszcie przebacza mordercy swej rodziny z całego serca i tuli go w swe objęcia. Nie dość na tem; nawraca swego dawnego ucznia, zostaje jego ojcem chrzestnym i opiekunem, miłuje go jak syna.

Jak się odbywa ten proces wewnętrzny, jak serce nieszczęśliwego starca, zdrętwiałe bólem i dyszące zemstą, przetwarza się powoli pod działaniem łaski i zdobywa się na niebywały heroizm cnoty — to jest treścią tego pięknego utworu. Koloryt lokalny wybornie zachowany. Dialog zwięzły, urywany. Djabeł chiński gra w nim ważną rolę: wzbudza on najpierw pychę, zazdrość, chciwość młodego poganina, aby mu obrzydzić chrześcijańskiego nauczyciela. Potem podsyca w Wangu pragnienie zemsty: podsuwa mu wstrząsające obrazy tragedji rodzinnej, której sprawcą był Tszang-fu-Tang. Wieśniacy chrześcijańscy chińskiej wioski zbierają się pod krzyżem i, klęcząc półkolem w świetle pomarańczowych latarek papierowych, modlą się za Wanga o siłę, aby umiał przebaczyć nieprzyjacielowi: i wymodlili mu bohaterstwo.

Możnaby jeszcze mówić o *Misterjum św. Franciszka*, w którem główne momenty jego życia streszczone są w pięciu obrazach: zaślubiny Świętego z Ubóstwem (Madonna Povertà); odbudowanie kościółka św. Damiana; kazanie do ptaszków, stygmatyzacja na Alvernji; wreszcie pogrzeb Poverella i ostatnie pożegnanie jego świętych szczątków przez św. Klarę i jej towarzyszki.

We wrześniu, roku ubiegłego, na jubileuszowe uroczystości w Tancrémont w diecezji Leodjum (Liège) w Belgji, odegrano Mysterjum p. t. *Znalezienie Krzyża świętego*, napisane *ad hoc* przez Henryka Ghéon. *Vie Spirituelle*, miesięcznik ascetyczno-

mistyczny dominikański, wydał we wrześniowym zeszycie 1932 r. wyjątek z tego utworu, — dramatyczną i do głębi przejmującą *Drogę Krzyżową,* którą św. Helena, matka Konstantyna W. przybywszy do Jerozolimy, odbywa z grupą pobożnych pątników na świętych miejscach, które były świadkami gorzkiej Męki i śmierci Zbawiciela.

Przedstawienie odbyło się pod gołem niebem na tle starych drzew, przy ogromnie prostych dekoracjach. Powtórzono je trzy razy w kilkudniowych odstępach, za każdym razem przed pięciu lub sześciu tysiącami widzów: całe parafje okoliczne, z pasterzami swymi na czele, zjechały autobusami, a i gości z dalszych stron wiele przybyło. Grano rzeczywiście *pour le peuple fidèle.* Autor sam występował w swojem dziele i mógł skonstatować, jakie wrażenie wywierały jego słowa na proste a wierzące dusze: otóż przy XII-tej Stacji, gdy Chrystus niewidzialny umiera na nagim krzyżu, tłum był tak przejęty uroczystością chwili, że padł samorzutnie na kolana.

„Wierny lud — pisze jeden z uczestników Misterium, Henryk Brochet — lud jednej wiary i jednej z poetą nadziei, poznał sam siebie w pątnikach na scenie i serce mu zabiło rytmem jednej miłości i jednej modlitwy".

Z tego pobieżnego szkicu widać, że teatr Henryka Ghéon wskrzesza dawny religijny dramat średniowieczny; charakterystycznym rysem jego jest, że wciąga w akcję wszystkie sztuki i całą przyrodę, żywą i martwą, symbolizując przez to całość dzieła Bożego w wszechświecie, przedstawiając wszechpotęgę i wszechmiłość Stwórcy względem stworzenia.

Nie mówmy więc, że taka sztuka nie jest na czasie, że człowiek XX wieku ma duszę zbyt skomplikowaną, zbyt sceptyczną, aby się lubować w naiwnej prostocie i podzielać dziecięcą wiarę minionych suleci. Fakty bowiem zaprzeczają temu, gdyż utwory Henryka Ghéon cieszą się niebywałem powodzeniem na kulturalnym Zachodzie i zachwycają widzów, tak prostych jak i skomplikowanych, w których się obudziła po wielkiej wojnie dusza *naturaliter christiana.*

S. M. R.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 28 lutego 1933.

Spis rzeczy tomu 197.

Artykuły.

Str.

Ks. J. Rostworowski T. J.: Polska Wyspiańskiego . . . 3
J. Wortman: U dna zagadnień ekonomicznych . . . 12, 179
Dr. Wł. Tomkiewicz: Zasięg kolonizacji polskiej na ziemiach ruskich 32
Dr. J. Pajewski: Turcja wobec elekcji Walezego . . . 58, 191
Z. Starowieyska-Morstinowa: Jakób Rivière 71
I. Turowska-Barowa: Poszukiwanie ideałów w powieściach współczesnych 129
Ks. St. Podoleński: O życie nienarodzonych 147
K. Symonolewicz: Literatura piękna w Rosji Sowieckiej . 164
J. Strzemboszówna: Orlando di Lasso 208
Ks. J. Urban T. J.: Technika a modlitwa 257
R. Dybowski: Katolicyzm a nauka 271
Dr. A. Stawarski: Z rozważań prawnika nad pokojem i wojną 280
K. L. Koniński: Logika swastyki 304
S. M.: Pierwsza podróż dookoła świata 327
W. Wiliński: Fransiszek Ksawery Szalda 336

Przegląd piśmiennictwa.

Z literatury powieściowej. And. Strug: Żółty krzyż. — Zygmunt Nowakowski: Start Edmunda Sulimy. — Leon Kruczkowski: Kordjan i cham. — Janusz Meissner: Żwirko i Wigura. — Jim Poker: Panna wodna. — Jan Waśniewski: Na podszybiu. — Kaz. N. Gołba: W cieniu wielkiej legendy. — Marja Czeska-Mączyńska: Otworzyło się okno na świat. — Marja Czeska-Mączyńska: Macierzyństwo. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 85
Semaine Internationale d'Ethnologie Religieuse. V Session. (Ks. E. Kosibowicz) 93
Ks. Arcybiskup R. Jałbrzykowski: „Bóg jest miłość". (Ks. I. Świrski) 96

Str.

Dr. And. Niesiołowski: Formy i metody pracy oświatowej. — W poszukiwaniu nowych metod pracy oświatowej. Opr. Dr. Al. Hertz i Łucja Kipowa. — Powszechny Uniwersytet Korespondencyjny. (Ks. Jan Urban) 97

Jędrzej Giertych: O program polityki kresowej (M. Niwiński) 98

Ks. Edmund Nowak: Rys dziejów duszpasterstwa wojskowego w Polsce 968—1831. (J. Poplatek) 101

Ks. Dr. Ferd. Machay: Zadanie duszpasterskie świeckich. (Ks. Jan Rostworowski) 216

Ks. Paweł Siwek T. J. Prof. Psych. na uniw. Greg. w Rzymie: Metoda badań zjawisk nadprzyrodzonych. (Ks. J. Rostworowski) 220

Juljusz Słowacki: Dzieła wszystkie, pod red. Juljusza Kleinera (Z. Ciechanowska) 221

Bogdan Suchodolski: Ideały kultury a prądy społeczne (Ks. J. Rostworowski) 224

Józef Starzewski: Ze wspomnień o Michale Starzewskim (Z. Starowieyska-Morstinowa) 225

Irena Gałęzowska: Ferment snobizmu. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 226

Skarby przyrody i ich ochrona. Praca zbiorowa pod redakcją Wład. Szafera. (S. Ch.) 228

T. Mańkowski: Galerja Stanisława Augusta (M. Gumowski) 229

Ks. Bol. Makowski: Sztuka na Pomorzu, jej dzieje i zabytki. (M. Gumowski) 231

M. Gumowski: Pieczęcie i herby miast wielkopolskich (M. G.) 232

Karol Iwanicki, inż. arch.: Kościoły i kaplice w Kijowie. — Tenże: Katedra w Kamieńcu. (J. U.) 233

Karl Freckmann: Kirchenbau. (S. B.) 234

Ks. Biskup Bougaud: Credo. Dogmaty. Wyd. 2. (Ks. J. Urban) 234

Ks. Dr. R. Dąbrowski: Tradycja według nauki prawosławnych teologów rosyjskich. — Tenże: Rozwój dogmatów według prawosławnych teologów rosyjskich, — Ks. Dr. H. Hlebowicz: Jedność Kościoła Chrystusowego według św. Jana Chryzostoma. — Ks. Dr. Ant. Słomkowski: Pierwotny stan człowieka według nauki św. Augustyna. — Ks. Dr. L. Puciata: Grzech pierworodny w teologji św. Anzelma. — Ks. J. Zdanowicz: Sarbiewski na tle kontrowersyj teologicznych swojego wieku. (Ks. M. Morawski) 341

Dr. I. Bocheński O. P.: Die Lehre vom Ding an sich bei Straszewski. — Ks. Dr. K. Kowalski: Zagadnienie piękna. (Ks. Fr. Kwiatkowski) 344

Ks. Dr. K. Wais: Kosmologja szczegółowa. (Ks. Fr. Kwiatkowski) 345

Dr. J. Bernhart: Sinn der Geschichte. — Dr. H. Obermaier: Urgeschichte der Menschheit. (Ks. E. Kosibowicz) 345

Nauka Polska. (St. Bednarski) 348

Str.

Henryk Tennenbaum: Struktura gospodarstwa polskiego (Dr. M. J. Ziomek 350
Pamiętniki bezrobotnych (Dr. M. J. Ziomek) 353
Carl Steuermann: Koniec kapitalizmu (Dr. M. J. Ziomek) . 355
Urke-Nachalnik: Życiorys własny przestępcy. (Ks. Edward Kosibowicz) 355
Studja lwowskie. (M. N.) 358
Dr. St. Truchim: Bibliographie. (M. G.) 359
Ks. A. Liedtke: Walka księcia Jana Opolskiego „Kropidły" z Krzyżakami w obronie majątkowych praw diecezji włocławskiej (M. N.) 359
Dr. St. Truchim: Augusta Sułkowskiego projekt organizacji szkolnictwa w Polsce. (M. G.) 360
B. Hoffmann: Wykonanie Bulli „De Salute Animarum" w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. (L. C.) 361
P. Lippert: Vom guten Menschen. (W.) 361
Ks. Fr. Sroka: Inteligent. (J. K.) 362
Quinet Abbé: Pour mes tout-petits. (s.) 363
Ks. H. Weryński: Zew Apostolski. (Ks. Fr. Kwiatkowski) 363
Dictionnaire de Spiritualité ascétique et mystique. (J. Andrasz) 364
Hedley O. S. B.: Lehre mich deine Wege. (J. A.) 365
Dr. J. Brinktrine: Die heilige Messe in ihrem Werden und Wesen. — Tenże: Das römische Brevier. (J. Andrasz) 365
Z wydawnictw S. A. „Ostoja". (S.) 365
Ks. St. Momidłowski: Kazania o Męce Pańskiej (Ks. J. G.) . 366
O książkę ks. F. Machaya 366
Nadesłane 102, 235, 370

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Styczeń: Świąteczne życzenia i podarunek Ojca św. — Bolączki prasy katolickiej w Polsce (Ks. J. Urban) 104
Luty: Na marginesie mowy ministra Jędrzejewicza w komisji budżetowej sejmu. — List Papieża do polskich Kardynałów. (Ks. E. Kosibowicz) 237
Marzec: Stulecie oksfordzkiego ruchu. — Manifest pięćdziesięciu. — Widoki na przyszłość. (Ks. E. Kosibowicz) 272
Kronika gospodarcza. (Dr. M. J. Ziomek) 108
Uroczystości ku czci Stan. Wyspiańskiego (A. Waśkowski) 115

Str.

Kongres Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Nauczycieli Szkół Średnich (Dr. H. Kownacka) 121
W obronie wolności szkół akademickich (Ks. St. Bednarski) 243
Polonja Brazylijska (J. Stańczewski) 247
W sprawie walki z handlem kobietami i dziećmi (Ks. Stanisław Podoleński) 254
Konferencja w Lambeth (Ks. St. Podoleński) 378
Teatr Henryka Ghéon (S. M. R.) 383